

ARCHIWUM EMIGRACJI

W poprzednich zeszytach m.in.:

Czesław Miłosz, *Bieliński i jednorożec*

Jan K. Kapera, *Od Guggenheim Museum do Currier Gallery. Jan Lebenstein — Kronika Amerykańska*

Mirosław A. Supruniuk, *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*

Dobrochna Ratajczakowa, *O teatrze Bronisława Przyłuskiego*

Ryszard Löw, *Literatura polska w przekładach hebrajskich*

Natan Gross, *W drodze i po drodze — polskie korzenie hebrajskiego kabaretu*

Wojciech Ligęza, *Metafory Moralisty — o poezji Tadeusza Sułkowskiego*

Listy Andrzeja Bobkowskiego i Konstantego A. Jeleńskiego do Mieczysława Grydzewskiego, Jerzego Kosińskiego do Józefa Chałasińskiego, Marii Wertenstein do Kazimiery Kott, Jerzego Stempowskiego do Janiny i Wacława Kościałkowskich oraz korespondencja Michała Chmielowca z Henrykiem Elzenbergiem

Rozmowy z Zygmuntem Michałowskim, Stanisławem Frenklem, Józefem Czapskim, Witoldem Gombrowiczem, Janem Nowakiem-Jeziorańskim, Czesławem Miłoszem, Bolesławem Taborskim i Jerzym Giedroyciem

Wspomnienia m.in. o: Tamarze Karren-Zagórskiej, Tadeuszu Nowakowskim, Marcie Reszczyńskiej-Stypińskiej, Januszu Kowalewskim, Tadeuszu Wittlinie, Zdzisławie Broncelu, Reginie Kowalewskiej, Kazimierzu Brandysie, Stanisławie Kotwicz

Redakcja:

Janusz Kryszak (red. naczelny), Mirosław Adam Supruniuk (z-ca red. naczelnego)

Jarosław Koźmiński, Wacław Lewandowski, Wojciech Ligęza, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk

ARCHIWUM EMIGRACJI

STUDIA * SZKICE * DOKUMENTY

ROK 2001

ZESZYT 4

Zeszyt poświęcamy Pamięci
Tymona Terleckiego

UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA
TORUŃ 2001

ARCHIWUM EMIGRACJI
ŹRÓDŁA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW EMIGRACJI POLSKIEJ PO 1939 ROKU

XII

Pod redakcją
Stefanii Kossowskiej i Mirosława A. Supruniuka

Projekt okładki: Mirosław A. Supruniuk
Rysunek na okładce: Stanisław Frenkiel

Artykuły przeznaczone do kolejnych numerów pisma powinny być przysyłane w dwóch egzemplarzach wraz z krótkim streszczeniem (w miarę możliwości w j. angielskim) (oraz na HD) na adres:
Archiwum Emigracji, Biblioteka UMK, Toruń 87-100, ul. Gagarina 13, p. 225, Poland
tel. (48-56) 611-43-91, 611-43-98, tel./fax (48-56) 652-04-19
e-mail Archiwum@bu.uni.torun.pl
http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji

Recenzenci tomu: Marian Kisiel, Jerzy Z. Maciejewski

Kolegium Doradcze:

Zofia Bobowicz (Francja), Anna Frajlich (USA), Maja E. Cybulska (Anglia),
Stefania Kossowska (Anglia), Ryszard Lów (Izrael), Krzysztof Muszkowski (Anglia),
Lech Paszkowski (Australia), Jerzy Pietrkiewicz (Anglia)

© Copyright by Archiwum Emigracji
© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2002

ISBN 83-231-1413-7

Skład: Joanna Krasnodębska
Książki serii „Archiwum Emigracji” sprzedaje Księgarnia Uniwersytecka
Toruń 87-100, ul. Reja 25
tel./fax (056) 6114298; e-mail ksiazki@cc.uni.torun.pl
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław, ul. Ceglana 10/12

SPIS TREŚCI

STUDIA

Jarosław Jędrzejczak, <i>Mówi Polskie Radio Kair</i>	7
Łukasz Garbal, <i>Edytorskie problemy z „Pornografią”</i>	29
Alice-Catherine Carls, <i>Reżyser, filozof, świadek. Estetyka złamania w utworach Zofii Romanowiczowej</i>	43
Wacław Lewandowski, <i>Nomada patrzy na ludzi osiadłych. Topos „homo viator” w późnej twórczości Kazimierza Wierzyńskiego</i>	51
Natan Gross, <i>Nie przeminęło z wiatrem. (Poetka emigracyjna Anna Frajlich)</i>	59

SZKICE — PRZYCZYNKI

Mirosław A. Supruniuk, „ <i>Wielkie pokuszenie</i> ”, albo zapomniany fragment „ <i>Zniewolonego umysłu</i> ” Czesława Miłosza	73
Czesław Miłosz, <i>La grande tentation. Le drame des intellectuels dans les democraties populaires</i>	81
Czesław Miłosz, <i>Wielkie pokuszenie. Dramat intelektualistów w krajach demokracji ludowej</i>	95

TYMON TERLECKI

Nina Taylor, „ <i>Polska Walcząca</i> ” i pierwszy obóz WP w Coëtquidan (ze wspomnień Tymona Terleckiego i innych)	109
Tymon Terlecki, <i>Głos diabelskiego adwokata (w sprawie literatury na emigracji)</i> ..	119
Nina Taylor, <i>Gulasz świąteczny — po literacku</i>	125
Nina Taylor, <i>Trzy listy Witolda Gombrowicza do Tymona Terleckiego</i>	127
Andrzej Pomian, <i>Tymon Terlecki. Wspomnienie</i>	132
Róża Nowotarska, <i>O Profesorze (czyli: coś w rodzaju post scriptum)</i>	140
Róża Nowotarska, <i>Nad książkami Tymona Terleckiego</i>	142
Róża Nowotarska, Andrzej Azarjew, <i>Goodbye, Mr. Chips</i>	145
Andrzej Pomian, <i>Z piórem w zanadrzu</i>	149
Rafał Moczko, <i>Historia jednej recenzji — przyczynek do losów „Literatury polskiej na obczyźnie 1940–1960”</i>	159

KORESPONDENCJE — DOKUMENTY — ROZMOWY

Anna Mieszkowska, <i>Listy do Hemarysi</i>	173
Wacław Iwaniuk, „... <i>twórczość w wieży z kości słoniowej</i> ”. Rozmowa Anny Frajlich	207
Kazimierz Wierzyński, <i>Życie Chopina. Rozmowa Jana Winczakiewicza</i>	212
<i>Dwudziestolecie „Kultury”</i> . Rozmowa: Juliusz Sakowski, Maria Danilewicz Zielińska, Paweł Zaremba, Michał Chmielowiec, Juliusz Mieroszewski	216
Florian Śmieja, <i>Pożegnanie Jerzego Sity w Londynie</i>	225
Wojciech A. Wierzewski, <i>Mały leksykon 175 znanych Polaków w Ameryce</i>	229

WSPOMNIENIA — BIOGRAFIE

Mirosław A. Supruniuk, <i>Szczegóły z życia. Anna Bogusławska</i>	257
Alicja H. Moskalowa, <i>Poeta i naukowiec. Józef Bujnowski</i>	260
Bogumiła Żongołłowicz, <i>Tadeusz Chciuk — Michał Lasota — Marek Celt</i>	263

Eugeniusz S. Kruszewski, <i>Odszedł z klanu chorych na wolną Polskę.</i> <i>Tadeusz Andrzej Głowacki</i>	267
Krzysztof Muszkowski, <i>Zdzisław Jagodziński</i>	269
Stefania Kossowska, <i>Mechanizm przyjaźni. Jan Kott</i>	270
Eugeniusz S. Kruszewski, <i>Artysta grafik — filozof. Piotr Łabużek</i>	272
Tadeusz Nowakowski, <i>Komunista do czasu. Bronisław Moszkowicz</i>	275
Ryszard Löw, <i>„Księgarnia Polska”. Edmund Neustein</i>	277
Tadeusz Nowakowski, <i>Polak, który wstrząsnął Szwecją. Tadeusz Jan Nowacki,</i> <i>prozaik, publicysta, sowietolog</i>	279
Nina Kozłowska, <i>Autor pierwszej książki o Gułagu i Kołymie.</i> <i>Kazimierz Zamorski</i>	285
Stanisław Wujastyk, <i>Dlaczego nie wróciłem „Wtedy”?</i>	288
Róża Nowotarska, <i>Z teczki archiwalnej: Polski Związek Akademików w Stanach</i> <i>Zjednoczonych</i>	290
Eugeniusz S. Kruszewski, <i>Konfraternia „Złotej Róży”</i>	297
Mieczysław Kierkło, <i>„Listy do Polaków” — organ „Niezlomnych”</i>	301

RECENZJE — OMÓWIENIA — POLEMIKI

Ewelina Godlewska, <i>„Kultura” w pigułce (Wizja Polski na łamach „Kultury”</i> <i>1947–1976. T. 1–2, do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem</i> <i>opatrzyła G. Pomian. Lublin 1999)</i>	305
Jerzy R. Krzyżanowski, <i>Sztuka pisarska Włodzimierza Odojewskiego</i> <i>(Odojewski i krytycy. Antologia tekstów, wybór i oprac. S. Barć. Lublin 1999)</i>	310
Róża Nowotarska, <i>Arcymistrz, fraszkopis, kabareciarz (Anna Mieszkowska, Marian</i> <i>Hemar — od Lwowa do Londynu. Szkic do biografii artysty. Londyn 2001)</i>	312
Rafał Moczko, <i>Książka o Polakach w Indiach (Polacy w Indiach 1942–1948</i> <i>w świetle dokumentów i wspomnień, red. L. Bełdowski i in. Londyn 2000)</i>	317
Wacław Lewandowski, <i>„Ali” — czyli Józef Mackiewicz (Józef Mackiewicz,</i> <i>Bulbin z jednosielca. Londyn 2001)</i>	319
Karolina Famulska, <i>„Acta Polonica Monashiensis” („Acta Polonica Monashiensis”</i> <i>2000 wol. 1 nr 1)</i>	322

STUDIA

MÓWI POLSKIE RADIO KAIR

Jarosław JĘDRZEJCZAK (Włocławek)

Mało znane są dzieje polskojęzycznych radiostacji działających w okresie II wojny światowej. Poniższy artykuł jest próbą ukazania dziejów jednej z nich. Po zamknięciu we wrześniu 1939 roku nadajników Polskiego Radia polskie audycje w czasie wojny nadawały Radio Watykańskie, BBC, Biuro Informacji Wojennej Stanów Zjednoczonych (poprzednik Głosu Ameryki), Wydział Radiowy Polskiego Centrum Informacji w Nowym Jorku, Radio Moskwa, rozgłośnia w Kujbyszewie i Saratowie, Radio Polskie z Paryża, a następnie z Londynu, angielskie radiostacje Świt i Głos Wolnych Kobiet, Radio Luksemburg i Belgrad, niemiecka Wanda, Radiostacja imienia Tadeusza Kościuszki, rozgłośnie w Bejrucie, Teheranie i Jerozolimie, powstańcze Polskie Radio i Błyskawica oraz lubelska Pszczółka. Wśród tej rzeszy radiostacji była jedna afrykańska rozgłośnia — Radio Kair, emitująca swoje audycje za pośrednictwem radiostacji w Kairze i Aleksandrii. Polskiej Sekcji Radia Kair poświęcone jest niniejsze opracowanie. Jego powstanie możliwe było dzięki pomocy dwóch osób związanych z Instytutem Polskim i Muzeum generała Władysława Sikorskiego w Londynie. W tym miejscu dziękuję Prezesowi Instytutu Ryszardowi Dembińskiemu i Kierownikowi Archiwum Andrzejowi Suchcitzowi za udzieloną pomoc w dotarciu do archiwalnych zbiorów dokumentujących istnienie Polskiej Rozgłośni w Kairze. Dodatkowo artykuł uzupełniono doniesieniami prasy z okresu II wojny światowej — codziennego pisma Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich, a następnie tygodnika „Ku Wolnej Polsce”.

15 maja 1941 roku o godzinie 18.15 na falach egipskiego Radia Kair popłynęły taktki „Mazurka Dąbrowskiego” i zostały wypowiedziane pierwsze polskie słowa. W tym doniosłym dla polskiej radiofonii dniu przed mikrofonem kairskiej rozgłośni obok autora audycji doktora Jana Frylinga miejsce zajęli chargé d'affaires Ambasady Polskiej w Egipcie Tadeusz Zaźuliński oraz dowódca Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich generał Stanisław Kopański. Przedstawiciel Polskiej Ambasady z okazji otwarcia audycji wypowiedział następujące słowa:

Przed chwilą na otwarcie pierwszej polskiej audycji w kairskiej radiostacji poszła w świat melodia — Jeszcze Polska nie zginęła.

Nie jest sprawą przypadku, że Polska, oswoobodzona po przeszło wiekowej niewoli, podniosła do godności hymnu narodowego — Mazurek Dąbrowskiego. Te proste słowa żołnierskiej piosenki — Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy — zawierają głęboką treść, która wiecznie była żywa poprzez tysiące lat naszej historii i wiodła nas przez lata nieszczęść do nowej potęgi i do nowej chwały. Są one wyrazem tej odwiecznej prawdy dziejowej, wspólnej narodom, które za wolność płaciły krwią, że nie brutalna siła materialna, ale człowiek i jego wartości moralne decydują o losach i zwycięstwie narodów. Tym zasadom hołdują wszyscy Polacy: Rząd w Londynie, społeczeństwo w Polsce i my poza jej granicami. Znalazły one potwierdzenie w bohaterskiej postawie aliantów, którzy jak i my nie poddali się przemocy, a przede wszystkim Anglii, która mimo, że przez rozwój techniki przestała być bezpieczną wyspą, a jednak jest tym niezdobytym bastionem wolności, który zapewni zwycięstwo najwyższym wartościom moralnym człowieka.

Głosem tej wiary będzie również radiostacja kairska w swoich nowych polskich audycjach. Będzie ona na falach eteru krzepić polskie serca polskim słowem, a światu głosić, że trwamy ożywieni jedną wspólną myślą: zwycięstwa i wyzwolenia Polski¹.

Zanim jednak popłynęły w eter powyższe słowa inicjatorzy audycji — pracownicy Ambasady Brytyjskiej prowadzili wstępne rozeznanie. Rozmowy na temat emisji polskich audycji Ambasada Brytyjska w Kairze podjęła prawdopodobnie na początku 1941 roku. Były konsul RP w Czerniowcach i Suczawie, a w czasie działań wojennych w Afryce podporucznik Armii Polskiej, przydzielony do Angielskiego Naczelnego Dowództwa na Środkowym Wschodzie, Tadeusz Buynowski polecił Brytyjczykom Jana Frylinga, jako osobę odpowiednią na organizatora Polskiej Sekcji Radia Kair. Listowną propozycję objęcia stanowiska redaktora audycji w języku polskim Fryling otrzymał w połowie marca 1941 roku. Przebywał wówczas jako uchodźca w Jerozolimie. Znalazł się tu po likwidacji polskiej placówki dyplomatycznej w Rumunii, gdzie od drugiej połowy września 1939 roku do połowy października 1940 roku pracował jako „djetariusz” w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Czerniowcach, a następnie po jego przeniesieniu w Suczawie. W placówkach tych poznał wspomnianego wcześniej Tadeusza Buynowskiego. Brytyjczycy zaproponowali Frylingowi redagowanie audycji w języku polskim oraz miesięczne wynagrodzenie w wysokości 30 funtów. Fryling po omówieniu propozycji z Konsulem Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w Jerozolimie, a za jego pośrednictwem z polskim MSZ w Londynie, zgodnie z zaleceniami ministra Zaleskiego przyjął zaoferowane mu stanowisko. W ciągu paru tygodni oczekiwania w Jerozolimie na wizę egipską Fryling przeprowadza rozmowy na temat swojej przyszłej radiowej pracy z konsulem Rzeczypospolitej Polskiej Kańskim oraz z wojskowymi, dla których w pierwszej kolejności audycje miały być przeznaczone. 2 maja 1941 roku Jan Fryling przyjeżdża do Kairu, gdzie już następnego dnia spotyka się z przedstawicielami Ambasady Brytyjskiej. W trakcie pierwszych rozmów Brytyjczycy postulowali aby audycja w języku polskim nadawana była wyłącznie na falach średnich. Ograniczenie emisji wyłącznie do fal średnich wiązało się z ukierunkowaniem polskiego programu Radia Kair tylko do obszarów położonych w najbliższej okolicy stacji nadawczej to jest Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Europy Południowo-Wschodniej, a więc obszarów zamieszkałych przez żołnierzy Wojska Polskiego i wojenną polską emigrację. Pod znakiem zapytania był odbiór programu w Polsce. Z uwagi na zawile w tym czasie stosunki angielsko-rosyjskie Brytyjczycy nalegali aby w audycjach unikano ostrych wystąpień antysowieckich. Aby nie wywołać trudności ze strony egipskich notabli, którzy udostępnili radiowe studia i bacząc na neutral-

¹ Patrz: Aneks 1.

ność Egiptu, Brytyjczycy nie dopuszczali również gwałtownych ataków skierowanych przeciwko Niemcom².

Jan Fryling z uporem walczył o możliwość odbioru audycji także w okupowanej przez Niemcy i Związek Radziecki Polsce. Z uwagi na konieczność dotarcia do Polaków zamieszkałych na kresach RP nie do przyjęcia był dla niego postulat omijania trudnych tematów związanych ze stosunkami między Polską i Rosją Radziecką. Problemy dotyczące Niemiec według Frylinga miały być poruszane w przyszłej audycji w tonie nie odbiegającym od doniesień codziennej prasy egipskiej³.

Po porozumieniu się z Londynem Ambasada Brytyjska zakomunikowała, iż audycje będą nadawane również na fali krótkiej, co umożliwi ich odbiór w Polsce. Wyjaśniono również, iż wcześniejsze uwagi dotyczące przekazu informacji o Związku Radzieckim i Niemczech ograniczały się jedynie do ich formy, a nie treści. Treść audycji lub ich skrót musiały być każdorazowo tłumaczone na język angielski i przekazywane cenzurze brytyjskiej. Po tych ustaleniach 4 maja 1941 roku organizator Polskiej Sekcji Egipskiego Radia przeprowadza rozmowy w Aleksandrii z Dowództwem Polskiej Brygady generałem Kopańskim, majorem Młotkiem i majorem Sikorskim, z którymi ustala również zasady udziału w audycji członków teatru żołnierskiego⁴. Następnego dnia codzienne pismo Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich „Ku Wolnej Polsce” donosiło w rubryce „Kronika Brygady”:

Możemy podzielić się z naszymi czytelnikami wiadomością, że jedna z egipskich stacji radiowych niedługo — najdalej 15 maja br. — rozpocznie nadawać 15 minutowy program polski. Audycje nadawane będą prawdopodobnie między godziną 18.15 a 18.30⁵.

14 maja 1941 roku wspomniane pismo podawało: „Polskie Radio Kair. Od jutra 15 maja br. nadawane będą przez stację radiową w Kairze audycje polskiego radia”⁶. Nazajutrz ta sama gazeta informowała swoich czytelników: „Inauguracja Radia Polskiego — Kair. [...] Przemówienie inauguracyjne przed mikrofonem wygłoszą Poseł R.P. w Kairze min. Zażuliński i dowódca S.B.S.K. gen. Kopański. Będzie też odegrany Hymn Narodowy. Audycja będzie transmitowana na Polskę”⁷.

W trakcie inauguracyjnej audycji bezpośrednio po Tadeuszu Zażulińskim głos zabrał generał Stanisław Kopański i wypowiedział następujące słowa:

Dzięki uprzejmości władz angielskich i egipskich, od dnia dzisiejszego codziennie będą się rozlegały dźwięki mowy polskiej z rozgłośni w Kairze. Popłyną one z pod Piramid na falach eteru na krainy Wschodu, by dotrzeć do słuchaczy, których rozkaz Naczelnego Wodza i chęć walki tutaj przywiodły. Popłyną może dalej. Zabłądzą może nawet hen na Północ pod polskie niebo, by odezwać się w odbiornikach, ukrywanych przed wzrokiem i słuchem najeźdźcy, z których Rodacy nasi chcą słyszeć słowa prawdy i pocieszenia⁸.

Począwszy od 15 maja 1941 roku codziennie oprócz sobót na falach średnich 222,6 i 267,4 metra oraz fali krótkiej 47,85 metra od godziny 18.15 do 18.30 czasu egipskiego nadawane były informacje w języku polskim, które przygotowywał jedyny pracownik,

² Patrz: Aneks 3.

³ Tamże.

⁴ Tamże.

⁵ *Kronika Brygady – Kwadrans Polski w Radio Egipskim, Ku Wolnej Polsce*, 5.05.1941 s. 4.

⁶ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair, Ku Wolnej Polsce*, 14.05.1941 s. 4.

⁷ *Kronika Brygady – Inauguracja Radia Polskiego – Kair, Ku Wolnej Polsce*, 15.05.1941 s. 4.

⁸ *Kronika Brygady – Pierwsza audycja polska w Egipskim Radio, Ku Wolnej Polsce*, 16.05.1941 s. 5.

a zarazem spiker, redaktor oraz szef Polskiej Sekcji Radia Kair Jan Fryling. O tej samej porze i na tej samej fali w soboty nadawana była audycja teatru żołnierskiego Polskiej Brygady na Środkowym Wschodzie. Teatr żołnierski pojawiał się dodatkowo na antenie radiowej w niedzielne popołudnia od 17.45 do 18.15 wyłącznie na falach średnich Rozgłośni w Aleksandrii. Opiekunem polskiego programu z ramienia Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Egipcie był wspomniany wcześniej Tadeusz Zażuliński. Z nim też Fryling uzgadniał wszelkie komunikaty o charakterze politycznym, a w szczególności dotyczące spraw polskich. Jednoosobowa Redakcja Polska nie zaprzestała swoich działań o zwiększenie czasu emisji. W wyniku tych starań w lipcu 1941 roku uzyskano dodatkowy czas antenowy w czwartek od 17.45 do 18.15⁹. W związku z powyższym 17 lipca 1941 roku zapoczątkowano nowy cykl audycji „Czwartkowe spotkania”. W pierwszym programie nadano słuchowisko „Polonez” w wykonaniu teatru żołnierskiego¹⁰. W taki sposób Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich w Egipcie dysponowała już dwiema półgodzinnymi audycjami w czwartek i w niedzielę, nadawanymi na falach średnich przez radiostację w Aleksandrii. W korespondencji jaką w owym okresie wymieniał Jan Fryling z przedstawicielem Polskiego Poselstwa w Kairze pojawia się następujący adres Polskiej Redakcji: Egyptian State Broadcasting, Polish Section, Radio House, Cairo, Egypt¹¹.

W jednym z raportów skierowanych do chargé d'affaires Ambasady Polskiej w Egipcie z 7 lipca 1941 roku Jan Fryling prosił Tadeusza Zażulińskiego, aby zachęcał „czynniki w Londynie” do słuchania kairskich audycji i przekazywania instrukcji co do ewentualnych zmian w programie¹². Prosił również o zaopiniowanie audycji teatru żołnierskiego oraz uwzględnienie w rozsyłce materiałów Sekcji Polskiej Radia Kair. We wspomnianym raporcie pojawia się też prośba o przekazywanie w polskich audycjach z Londynu zapowiedzi programów kairskich z podaniem fal i czasu emisji. Na koniec Jan Fryling zwracał się do Londynu, aby w miarę możliwości zadbano i powiadomiono Poselstwo Polskie w Kairze, czy i jak audycje odbierane są w kraju. W piśmie poufnym 165/II/5 skierowanym do Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w Londynie Zażuliński zwraca uwagę, iż audycje kairskie są przeznaczone przede wszystkim dla Wojska Polskiego przebywającego na Bliskim Wschodzie, kolonii polskiej zamieszkującej tą część świata oraz również dzięki emisji na falach krótkich do radiosłuchaczy w Polsce. We wspomnianym piśmie zawarta jest informacja o odbiorze polskiej audycji w Palestynie i Turcji. Zarząd rozgłośni egipskiej zwrócił się dodatkowo do Moskwy i Helsinek z zapytaniem czy audycje te są słyszalne w tych właśnie miastach¹³. Zakładano, iż jeżeli audycje można odbierać w tych dwóch miastach to na pewno odbiór możliwy jest również w okupowanej przez Niemców i Rosjan Polsce. O emisji polskich audycji informowała też swoich słuchaczy, działająca na terenie Związku Radzieckiego, Radiostacja imienia Tadeusza Kościuszki. W swoich programach wyemitowanych w dniach 9–11 listopada 1941 roku przekazała taką o to informację:

Niemieckie radio obwieściło, że Polakom łaskawie zezwala się słuchać rozgłośni lwowskiej, wileńskiej, i baranowickiej. W obwieszczeniu tym zawiera się nowa obelga dla godności Polaka, któremu w Polsce jakiś chłystek gebelsowy ma zabraniać lub zezwalać na słuchanie audycji radiowych. Mogą sobie lwowscy, wileńscy i baranowieccy pyskacze

⁹ Patrz: Aneks 5.

¹⁰ *Kronika Brygady – Sekcja Oświatowo-Kulturalna S.B.S.K. inicjuje nową serię słuchowisk radiowych*, Ku Wolnej Polsce, 16.07.1941 s. 4.

¹¹ Patrz: Aneks 2.

¹² Tamże.

¹³ Patrz: Aneks 1.

panów Goebbelsów szczebrać na wiatr. Ani im nikt nie uwierzy, ani ich nikt z uczciwych Polaków słuchać nie zechce. Polak, który łąknie prawdy, niechaj słucha audycji polskich z Londynu, z Moskwy, z Kujbyszewa, z Kairu, a przede wszystkim niechaj uważnie słucha naszej Rozgłośni imienia Tadeusza Kościuszki¹⁴.

Audycje informacyjne Radia Kair w języku polskim opracowywane były przez Jana Frylinga na podstawie następujących materiałów źródłowych:

- doniesień Reutera i Agencji Wolnej Francji — A.I.F dostarczanych przez Ambasadę Brytyjską,
- materiałów dotyczących Polski, opartych głównie na opracowaniach Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, dostarczanych również przez Ambasadę Brytyjską,
- materiałów przekazywanych przez Poselstwo RP w Kairze, a w szczególności doniesień P.A.T. i działających w Londynie polskich ministerstw,
- materiałów dostarczanych przez konsula Kańskiego, zawierających przesłuchania osób przybyłych z kraju oraz komunikaty informacyjne „Polska pod okupacją sowiecką i niemiecką”,
- materiałów dostarczanych przez Poselstwo Czechosłowackie,
- obwieszczeń nadsyłanych przez Londyn,
- codziennej prasy kairskiej¹⁵.

Opinie na temat polskich audycji były zróżnicowane. W programach teatru żołnierskiego zdarzały się przypadki krytyki audycji informacyjnych przygotowywanych przez Jana Frylinga. Żołnierzom nie podobało się, iż audycję informacyjną Radia Kair w całości wypełniają wiadomości i komunikaty¹⁶. Domagali się nadawania piosenek i muzyki. Sygnały te docierały do redaktora Jana Frylinga, który dzielił się nimi z Tadeuszem Zażulińskim. Pierwotnie major Młotek postulował, aby w ciągu tygodnia nadawano sześć programów przygotowywanych przez aktorów w żołnierskich mundurach. Plany te jednak były nierealne. Postanowiono ograniczyć ilość występów do czterech w tygodniu. Faktycznie nadawano tylko dwie półgodzinne audycje w czwartkowe i niedzielne popołudnia.

W owym okresie na falach rozgłośni w Kairze i Aleksandrii emitowano siedem piętnastominutowych audycji informacyjnych opracowywanych przez Jana Frylinga, których odbiór możliwy był również w Polsce. Dwie trzydziestominutowe audycje emitowała na falach średnich radiostacja w Aleksandrii. Twórcami tych audycji byli członkowie teatru żołnierskiego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Programy te kierowane były do słuchaczy przebywających na terenie Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Europy Południowo-Wschodniej. W cyklu tych audycji wyemitowane były między innymi następujące programy:

- 28 maja nadano okolicznościową audycję w rocznicę śmierci Cypriana Kamila Norwida¹⁷,
- Kwadrans polskich melodii i piosenek ludowych w wykonaniu zespołu Teatru Żołnierskiego S.B.S.K. wypełnił audycję emitowaną 29 maja¹⁸,
- 3 czerwca nadano słuchowisko Stanisława Młodożeńca pod tytułem „Zielone Świątki”¹⁹,

¹⁴ M.J. Kwiatkowski, *Polskie Radio w konspiracji 1939–1944*, Warszawa 1989 s. 83–84. Autor zaczerpnął cytaty z dokumentu znajdującego się w zbiorach Centralnego Archiwum KC PZPR.

¹⁵ Patrz: Aneks 2.

¹⁶ Patrz: Aneks 6.

¹⁷ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 28.05.1941 s. 4.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 3.06.1941 s. 4.

- „Halo tu Radio Warszawa” — audycja pióra Wojciecha Wojteckiego ukazała się na antenie 8 czerwca²⁰,
- z okazji obchodzonego przed wojną w Polsce Święta Morza, 29 czerwca nadano program „Wisłą do Gdańska”. Audycja osnuta była na tle życia flisaków, dążących wiślanym nurtem ku polskiemu morzu²¹,
- 6 lipca Zespół Teatralny S.B.S.K przygotował słuchowisko „Sztajerek bombowy”²²,
- nie zapomniano o chlubnych kartach oręża polskiego — 13 lipca wyemitowano słuchowisko Stanisława Młodożeńca „Bitwa pod Grunwaldem”²³,
- 20 lipca nadano słuchowisko pod tytułem „Wesoły krokodyl”²⁴,
- słuchowisko satyryczne „Nie bójmy się śmiechu” wyemitowano 27 lipca²⁵,
- 31 lipca poświęcono program Ignacemu Paderewskiemu²⁶,
- „Ich pięciu, Prokopieni i pies” to tytuł audycji, która ukazała się na antenie 3 sierpnia²⁷,
- 10 sierpnia Radio Kair nawiązało do tradycji Polskiego Radia i nadało „Podwieczorek przy mikrofonie”²⁸,
- 24 sierpnia ukazało się na antenie słuchowisko „Bar radiowy”²⁹,
- „Wesołe słuchowisko” Czołówki Teatralnej Wojska Polskiego wyemitowano 13 września³⁰,
- 14 października od 18.50 do 19.00 nadawano nagrane w Tobruku na płyty przemówienia Dowódcy S.B.S.K. gen. Kopańskiego oraz oficerów, podoficerów i strzelców z różnych oddziałów Brygady. Audycja przeznaczona była głównie dla słuchaczy w Anglii i w kraju. W późniejszym okresie te same nagrania wyemitowała Polska Sekcja BBC³¹,
- w drugiej połowie października emitowano relacje polskich żołnierzy walczących pod Tobrukiem³²,
- 12 listopada w audycji żołnierskiej występował Chór Legii Oficerskiej³³,
- 4 grudnia, w dzień Świętej Barbary — patronki artylerii, wyemitowano audycję poświęconą polskiej artylerii w Tobruku³⁴,
- 7 grudnia przed mikrofonami Radia Kair występował Chór Legii Oficerskiej³⁵,
- Rozgłośnia w Kairze nadała w dzień wigilijny i w dwa dni Świąt Bożego Narodzenia w 1941 roku specjalny program Czołówki Teatralnej Sekcji Propagandy, Oświaty i Kultury Dowództwa Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie³⁶.

²⁰ *Kronika Brygady*, Ku Wolnej Polsce, 9.06.1941 s. 4.

²¹ *Kronika Brygady – Hallo! Tu Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 28.06.1941 s. 5.

²² *Kronika Brygady*, Ku Wolnej Polsce, 5.07.1941 s. 5.

²³ *Kronika Brygady*, Ku Wolnej Polsce, 11.07.1941 s. 4.

²⁴ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 19.07.1941 s. 5.

²⁵ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 26.07.1941 s. 5.

²⁶ *Kronika Brygady – Audycja ku czci śp. I. Paderewskiego*, Ku Wolnej Polsce, 31.07.1941 s. 4.

²⁷ *Kronika Brygady – Audycja żołnierska w Polskim Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 5.05.1941 s. 4.

²⁸ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 8.08.1941 s. 4.

²⁹ *Kronika Brygady – Słuchowisko Radiowe*, Ku Wolnej Polsce, 23.08.1941 s. 4.

³⁰ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 13.09.1941 s. 6.

³¹ *Kronika Brygady – Głos polskich obrońców Tobruku w Radio*, Ku Wolnej Polsce, 14.10.1941 s. 4; *Kronika Brygady – Głos polskich obrońców Tobruku w Radio*, Ku Wolnej Polsce, 15.10.1941 s. 4.

³² Tamże.

³³ *Kronika W.P. na Śr. Wschodzie – Chór Legii Ofic. – w radio*, Ku Wolnej Polsce, 9.11.1941 s. 4.

³⁴ *Kronika Brygady – Radio*, Ku Wolnej Polsce, 7.12.1941 s. 4.

³⁵ Tamże.

³⁶ *Kronika*, Ku Wolnej Polsce, 24.12.1941 s. 29.

W październiku 1941 roku Jan Fryling poufnie dowiedział się, iż Dowództwo Wojska Polskiego wystosowało pismo do Ambasady Brytyjskiej z prośbą, aby całą audycję informacyjną przekazano do dyspozycji Dowództwa. Prośbę powyższą motywowano planowanym przez Frylinga wyjazdem z Kairu, w związku problemami zdrowotnymi. Na następcę Frylinga wysunięto kandydaturę Mariana Hemara. Hemar właściwie Marian Heschel, polski poeta, satyryk i komediopisarz w tym okresie był żołnierzem Brygady Karpackiej. Ambasada Brytyjska, a w szczególności opiekun audycji radiowych pan Catterell był tą propozycją zaskoczony, gdyż dotychczasowy Szef Polskiej Sekcji sam nie poinformował Brytyjczyków o swoich zamiarach. Wiadomość ta zaskoczyła również Frylinga, który ze swoich planów zwierzył się jedynie Tadeuszowi Zażulińskiemu³⁷. Brytyjczycy gotowi byli zaakceptować propozycje polskich wojskowych. Jak donosił Fryling w tym okresie również audycje jugosłowiańskie i greckie miały przejść pod kierownictwo wojskowych angielskich i oni też mieli sami decydować o doborze spikerów. Opiekun audycji z ramienia polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Tadeusz Zażuliński nic o poczynaniach wojskowych nie wiedział. Z zapisków Jana Frylinga z 29 października 1941 roku skierowanych do chargé d'affaires Ambasady Polskiej w Egipcie wynika, iż w tym okresie już dziesięć minut codziennego programu zagospodarowywali członkowie teatru żołnierskiego³⁸.

Rzeczywiście radiowcy w żołnierskich mundurach prowadzili rozmowy, których celem była codzienna emisja audycji. Codzienne pismo Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich już 15 września 1941 r. zapowiedziało zmiany w emisji audycji żołnierskich. W miejsce dotychczasowych dwóch półgodzinnych programów nadawanych w niedziele i w czwartki zapowiadano codzienną dziesięciminutową audycję o 18.50 emitowaną wyłącznie na falach krótkich 47,85 metra. Wykonawcami programów w całości byli członkowie czołówki teatralno-radiowej Sekcji Propagandy Oświaty i Kultury Dowództwa Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie³⁹. 19 września 1941 roku Radio Kair nadało pierwszy program w nowej formule. Audycje zaczynały się i kończyły melodią Hymnu Narodowego⁴⁰. Oficjalna inauguracja odbyła się dopiero po kilku dniach w środę 24 września 1941 r.⁴¹ Przy tej okazji przed mikrofonami Polskiego Radia Kair wystąpił zastępca dowódcy Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie generał Kordian Zamorski i wypowiedział następujące słowa:

Kiedy mam przemawiać na inauguracji naszych codziennych audycji żołnierskich myśl moja ulatuje do Ciebie Ojczysto daleki Kraju.

Pozdrawiam Cię całym serce, pozdrawiam Cię w imieniu całej żołnierskiej gromady, która w twardej służbie stara się by imię Polski dźwięczało dobrze. Trzyma nas w mocy i trwaniu myśl jedna i jedyna nadzieja, że wrócimy do Was w grzmocie dział bijących na pohybel najeźdźcom a Wam na zwycięstwo.

Myślmy o Was wszystkich, którzy trudzicie się w cywilnej strasznej wojnie. Oddajemy Wam głęboki hołd i wołamy: — wytrwajcie! — bowiem czyny Wasze otoczyły imię Polski wawrzynem chwały, a chwila wyzwolenia zbliża się spiesznie.

Niech te nasze codzienne audycje dadzą nam żołnierzom wieści z dalekiej Ojczyzny a Wam rodakom walczącym w kraju, czy na dalekich lądach i morzach rozszanym niezdławione obrozą niewoli słowa polskie, dające dobrymi wieściami otuchę i moc wytrwania⁴².

³⁷ Patrz: Aneks 6.

³⁸ Tamże.

³⁹ *Kronika Brygady – Audycje Żołnierskie – Zmiana*, Ku Wolnej Polsce, 15.09.1941 s. 5.

⁴⁰ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 20.09.1941 s. 5.

⁴¹ *Kronika Brygady – Audycje Żołnierskie w Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 24.09.1941 s. 4.

⁴² *Kronika Brygady – Inauguracja codziennych audycji żołnierskich w Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 25.09.1941 s. 5.

W grudniu 1941 roku program żołnierski emitowany był o 18.00 i poprzedzał piętnastominutową audycję informacyjną przygotowywaną przez Jana Frylinga⁴³.

Oprócz normalnych stałych audycji Radio Kair realizowało także specjalne programy z udziałem żołnierzy wszystkich wojsk zgrupowanych w okolicach Kairu w tym również Polaków. Audycja wyemitowana 22 sierpnia 1941 roku zakończyła się wielkim sukcesem polskich żołnierzy. Program nosił tytuł zaczerpnięty z piosenki Mariana Hemara „To jest V — jak Victory”. O występie Polaków tak donosiło pismo „Ku Wolnej Polsce”:

We czwartek 22 bm (sierpnia — przypisek autora) Radio Kair nadało piosenkę na aktualny temat „To jest V — jak Victory”. Jak wiadomo słowa polskie i angielskie oraz muzykę napisał strzelec Hemar. Audycja była transmitowana przez Radio Londyn.

Audycja nadana była w wykonaniu polskim i angielskim. Obok orkiestry i solistów angielskich śpiewał kwartet Chóru Legii Oficerskiej. Okazało się przy tym, jak bardzo radiofonicznym basem dysponuje podporucznik Muszyński. Audycja wypadła doskonale. Kilkakrotnie podkreślano ze strony angielskiej, że zarówno autor jak i chór pochodzą z Samodzielnej Brygady Polskiej oraz, że jest to w ogóle pierwsza piosenka na temat „literary V”. To była dobra propaganda.

W dalszym ciągu programu Radio Kair kilkakrotnie jeszcze nadało piosenkę graną przez orkiestrę — zapowiadając za każdym razem, że jest to nowa piosenka ułożona przez żołnierza Polskiej Brygady⁴⁴.

W składzie wspomnianego kwartetu występowali podporucznicy Franciszek Muszyński, Kazimierz Kulczycki, Stefan Bletek i Karol Wolański. Wielokrotnie Radio Kair nadawało utwory w wykonaniu Chóru Legii Oficerskiej, którym dyrygował podporucznik J. Nowak⁴⁵. Podczas radiowych koncertów wykonywano polskie utwory między innymi: „Kiedy jechał do dziewczynki” Lachmana, „Wierzbę” Lipskiego, „Maki” Niewiadomskiego, „Daleko, daleko” Kazury, krakowiak „Zeń się Jasiu” Lachmana, „Pieśń rycerską” Moniuszki⁴⁶, „Orzeł Biały” księdza Chlondowskiego i „O mój rozmarynie”⁴⁷.

3 listopada Radio Kair zainaugurowało nowy cykl audycji dla wojsk imperialnych. Duże studio z trudem pomieściło wielką ilość wykonawców — reprezentujących Wojska Imperium i Sprzymierzeńców, wśród których znalazła się grupa polska Czołówki teatralnej Sekcji Propagandy, Oświaty i Kultury oraz grupa Wolnych Francuzów. Widzieliśmy w studio artystów-żołnierzy z Południowej Afryki, Nowej Zelandii, Australii, Hindusów wykonujących przed mikrofonem taniec wojenny itd.

Sukces naszej grupy był pełny. Świetne solo wokalne (Prokopieni) i trio instrumentalne nadało tężyzny i blasku pieśni poświęconej Karpackiej Brygadzie.

Pod datę 5 bm. notujemy udział śpiewaka Prokopieniego i pianisty Feuersteina w programie angielskim w jednym ze szpitali kairskich. Koncert był transmitowany⁴⁸.

W cyklu muzycznych audycji 24 lipca 1941 roku egipskie radio zaprezentowało młodych polskich wykonawców z Konserwatorium w Kairze, które wystawiało dyplomy swoim słuchaczom jako filia Konserwatorium Warszawskiego⁴⁹. Dyrygentem orkiestry złożonej z młodych wykonawców był I. Tiegermann⁵⁰. Na falach eteru nie zabrakło też

⁴³ *Kronika W.P. na Śr. Wsch.* – Radio, Ku Wolnej Polsce, 7.12.1941 s. 12.

⁴⁴ *Kronika Brygady – Wielki sukces polskiej piosenki*, Ku Wolnej Polsce, 23.08.1941 s. 3–4.

⁴⁵ *Kronika Brygady – Koncert Chóru Legii Oficerskiej w Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 10.09.1941 s. 4.

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ *Kronika Brygady – Chór Legii Oficerskiej w Radio*, Ku Wolnej Polsce, 27.09.1941 s. 5.

⁴⁸ *Kronika W.P. na Śr. Wschodzie – Radio*, Ku Wolnej Polsce, 9.11.1941 s. 4.

⁴⁹ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 26.07.1941 s. 5.

⁵⁰ Tamże.

utworów Chopina. Ich emisja możliwa była dzięki udziałowi w programie polskiego pianisty Raula Koczalskiego, który 11 września 1941 roku wystąpił przed mikrofonem Radia Kair z etiudami naszego wybitnego kompozytora⁵¹.

W muzycznych audycjach Radia Kair występowali również Robert Danon (skrzypce), Maria Kijewska (śpiew), panna Tresos (fortepian), akompaniorka Tamin (fortepian)⁵² oraz wykonujący arie operetkowe z „Hrabiny” i „Halki” Moniuszki — Paweł Prokopieni⁵³.

Nie brakowało również radiowych wpadek. Tak na przykład 6 września 1941 roku z powodu „defektu technicznego” słuchacze nie usłyszeli audycji Polskiego Radia Kair⁵⁴.

Ostatnie informacje o Polskim Radiu Kair pochodzą z 2 sierpnia 1942 roku. Wówczas audycje Radia Kair emitowane były dwukrotnie w ciągu dnia o 18.10 na fali krótkiej 47,85 m i fali średniej 226,6 m oraz o 18.45 wyłącznie na fali krótkiej 47,85 m.⁵⁵ Program emisji wybranych polskojęzycznych stacji zamieścił w owym czasie tygodnik „Ku Wolnej Polsce”. Wśród zaprezentowanych stacji były: Londyn, Schenectady z USA, Jerozolima, Bejrut, Teheran, Kujbyszew i opisana powyżej stacja w Kairze. Dalszych losów Radia Kair nie udało się odtworzyć. Z uwagi na zmianę formuły pisma „Ku Wolnej Polsce” z gazety codziennej na tygodnik, coraz mniej było w nim informacji o audycjach Polskiego Radia Kair⁵⁶. Wiadomo jednak, iż w 1943 roku Jan Fryling wypełniał już inną misję, jako radca i przedstawiciel rządu RP dotarł do Chin.

Jaki był oddźwięk polskich audycji Radia Kair? Czy były słuchane i przez kogo? Fragment przytoczonego wcześniej nasłuchu audycji Radiostacji imienia Tadeusza Kościuszki dowodzi, iż zasięg terytorialny programów był bardzo znaczny. Skoro słuchano Radia Kair w Rosji Radzieckiej audycje musiały docierać również do Polski. Jednak w kraju nie udało mi się natrafić na informacje świadczące o ich odbiorze. Być może spowodowane to było dużą ilością stacji jakie w czasie II wojny światowej nadawały polskojęzyczne programy. Próbowałem dotrzeć do potencjalnych grup słuchaczy Radia Kair. Byli wśród nich żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.

Żołnierz oddziału liniowego, w brygadzie od 30 maja 1940 roku, Tomasz Skrzyński stwierdza, iż nigdy nie miał okazji słuchać audycji Polskiego Radia Kair. Pamięta jedynie, iż „niekiedy coś się o tym mówiło”⁵⁷. Starszy stażem w S.B.S.K. Zygmunt Odrowąż-Zawadzki, w brygadzie od 4 kwietnia 1940 roku, wówczas w stopniu kapitana, jest pewien, iż słuchał polskich audycji z Radia Kair, ale dziś szczegółów już nie pamięta. Potwierdza jedynie, iż za sprawy kultury i propagandy w brygadzie odpowiedzialny był pułkownik Mieczysław Młotek. Jemu też powinny być bliskie sprawy radiowe. Natomiast sprawy łączności radiowej powierzone były pułkownikowi Henrykowi Niedziałkowskiemu. Niestety wymienione osoby już nie żyją. Zygmunt Odrowąż-Zawadzki dodatkowo uzupełnia swoje wiadomości o informację dotyczącą generała doktora Józefa Zająca, który kierował specjalnym dowództwem odpowiedzialnym za sprawy wojskowe i ludności cywilnej na Środkowym Wschodzie. To właśnie jego sztab musiał prowadzić sprawy Radia Polskiego w Kairze⁵⁸. Oficer łączności w dowództwie pułkownika Niedziałkowskiego Eryk Nanke tak wspomina czasy, w których dane mu było słuchać Radio Kair:

⁵¹ *Kronika Brygady – Polskie Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 12.09.1941 s. 5.

⁵² *Kronika Brygady – Audycja muzyczna w Polskim Radio Kair*, Ku Wolnej Polsce, 9.08.1941 s. 4.

⁵³ *Kronika W.P. na Śr. Wsch. – Radio*, Ku Wolnej Polsce, 30.11.1941 s. 12.

⁵⁴ *Kronika Brygady – Nasza audycja czwartkowa*, Ku Wolnej Polsce, 6.09.1941 s. 6.

⁵⁵ [Ogłoszenie na 2 stronie okładki], Ku Wolnej Polsce, 2.08.1942.

⁵⁶ *Kronika Brygady*, Ku Wolnej Polsce, 14.10.1941 s. 4.

⁵⁷ List Tomasza Skrzyńskiego z lutego 2000 r. do autora.

⁵⁸ Patrz: Aneks 7.

Okres pod koniec maja 1941 roku, kiedy Dikheila była naszym miejscem postoju, odbiorniki radiowe były naszymi stałymi towarzyszami. To też na przykład „Chór Oficerski” i występy Teatru Żołnierskiego S.B.S.K. były słuchane na salach żołnierskich. Tu jednak kończy się nasz nasłuch i po opuszczeniu Dikheili koczownicze nasze życie zmuszało nas do korzystania z odbiorników radiowych wyłącznie w celach wojskowych. Posiadany sprzęt radiowy, wojskowy miał ograniczony zakres odbioru fal. Brak konwencjonalnej sieci elektrycznej w pustyni zmuszał do zrezygnowania z dobrodziejstw komunikacji radiowej aż do czasu powrotu do Egiptu, a później Palestyny.

Nie ulega wątpliwości, że w Dowództwie S.B.S.K. major Młotek trzymał rękę na pulsie i informował dowódcę brygady generała S. Kopańskiego wraz ze sztabem o działalności Radio Aleksandria i Kair. Pocztą pantoflową informacje przez te stacje nadawane w języku polskim docierały do ogółu żołnierzy, jednak do bezpośredniego odbioru tych stacji żołnierz S.B.S.K. nie miał dostępu.

A że niektóre audycje docierały do żołnierzy, tego dowodem były komentarze dotyczące „Chóru Oficerskiego” i pieśni dwuznacznych naszych artystek.

Reasumując moje uwagi, audycje aleksandryjskie, Kairu i inne w języku polskim miały swoją bezpośrednią wartość narodową dla Polaków zamieszkałych w zasięgu wymienionych radiostacji, korzystających ze stałego dostępu do — źródeł zasilania⁵⁹.

Słuchaczem audycji Polskiego Radia Kair był również Mieczysław Herod związany z S.B.S.K. od 15 maja 1940 roku. Oto jego wspomnienie:

Radia Kair miałem możliwość czasem słuchać dopiero od września 1941 roku w czasie obrony Tobruku. Na centrali telefonicznej pułku artylerii lekkiej były wojskowe radiostacje prawie niewykorzystane do pracy w łączności. Łączność pomiędzy pułkiem a bateriami była liniami telefonicznymi. Radio Kair nadawało komunikaty z walk na morzu, lotnictwa RAF-u, z walk na froncie wschodnim niemiecko-rosyjskim. Czasem był program naszej Czołówki Teatralnej. Wiadomości radiowe prawie w całości były w wydawanym na powielaczu komunikacie „Głos Tobruku”. Ten komunikat był rozprawiany po oddziałach brygady w obłożonym Tobruku.

Po powrocie z Pustyni Libijskiej do Egiptu miasto El Amiryja koło Aleksandrii zostało wyznaczony a raczej skierowany do szkoły podchorążych artylerii lekkiej. Od 1 kwietnia do 31 sierpnia 1942 roku radia żadnego nie słuchałem zajęty nauką i ćwiczeniami jedynie czytałem czasopisma i gazety. Podobnie w okresie irackim od listopada 1942 roku do sierpnia 1943 roku szkolenie żołnierzy i ćwiczenia wojskowe aż do lądowania w grudniu 1943 roku w porcie Taranto w Italii⁶⁰.

Na zakończenie warto kilka słów powiedzieć o samym autorze polskich audycji Radia Kair. Jan Fryling urodził się w 1891 roku. Fryling to przede wszystkim krytyk literacki i dyplomata. W 1922 roku związał się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych między innymi w latach 1927–1930 pracował jako radca poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej w Tokio. W latach 1933–1936 pracował jako wykładowca Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie⁶¹. Od połowy września 1939 roku do połowy października 1940 pracował w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Czerniowcach, a później w Suczawie. Następnie do maja 1941 roku przebywał jako uchodźca w Jerozolimie, skąd dotarł do Egiptu i związał się z Radiem Kair. W latach 1943–1949 był radcą ambasady i przedstawicielem rządu RP w Chinach. Od 1956 aż do śmierci w 1977 roku przebywa w USA. Po zakończeniu II wojny światowej nazwisko twórcy polskich audycji Radia Kair Jana Frylinga pojawiało się wielokrotnie na łamach londyńskich „Wiadomości”, z którymi współpracował

⁵⁹ Patrz: Aneks 9.

⁶⁰ Patrz: Aneks 8.

⁶¹ *Fryling Jan (1891–1977)*, [w:] *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939–1980*, praca zbiorowa pod red. B. Klimaszewskiego. Warszawa 1992 s. 92–93.

wał w latach 1950–1977. W USA Fryling rozpoczął współpracę z nowojorskim biurem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Fakt ten uwzględnił w swoich wspomnieniach zarówno pierwszy dyrektor Redakcji Polskiej RWE Jan Nowak Jeziorański w książce *Polska z oddali*⁶² oraz Danuta Mierzanowska w pracy *Wolna Europa i świat*⁶³. Fryling nie był jednak etatowym pracownikiem RWE. Marek Walicki pracujący wówczas w Radiu Wolna Europa w Nowym Jorku zapamiętał Frylinga jako autora recenzji teatralnych oraz audycji „Dyskusje o kulturze i sztuce” z udziałem między innymi Józefa Wittlina, Kazimierza Wierzyńskiego, Aleksandra Janty, Ewy Mieroszewskiej, Ludwika Krzyżanowskiego i Jana Wszelakiego⁶⁴. Na antenie RWE ukazywały się także omówienia Jana Frylinga poświęcone ciekawszym książkom na tematy stosunków chińsko-radzieckich. Fryling związany był również z działającym w Nowym Jorku Instytutem Józefa Piłsudskiego, którego był dyrektorem⁶⁵. Spod jego pióra wyszły między innymi prace *Złote litery, srebrne litery* (Londyn 1974) oraz *W osiemdziesięciu latach naokoło świata* (Londyn 1978).

⁶² J. Nowak-Jeziorański, *Polska z oddali*. Kraków 1992 s. 448.

⁶³ D. Mierzanowska, *Wolna Europa i świat*. Kraków 1998 s. 165.

⁶⁴ Patrz: Aneks 10 i 11.

⁶⁵ Patrz: Aneks 10.

ANEKS

1.

Poufne
165/II/5.
audycji radiowych

Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych R.P. w Londynie.

Jak donosiłem już Ministerstwu w swoim czasie, dnia 15 maja br. otworzyłem przemówieniem wstępnym polskie audycje radiowe z radiostacji kairskiej. Audycje te zostały przede wszystkim przeznaczone dla wojsk Polskich przebywających na Bliskim Wschodzie, kolonii polskiej w tej części świata oraz, dzięki temu, że odbywają się na krótkiej fali, należy się spodziewać, że mogą docierać do Polski. Czy radiostacja kairska słyszana jest w Kraju nie zostało to jeszcze sprawdzone, niemniej jednak zarząd Broadcasting'u egipskiego zwrócił się do Moskwy i Helsingforsu z zapytaniem czy audycje polskie są tam słyszane. Można się spodziewać, że jeżeli dochodzą one do tych dwóch miast to prawdopodobnie słyszane są również i w Polsce.

Speakerem polskim jest p. Jan Fryling, którego raport adresowany do mnie pozwałam sobie przesłać w załączeniu. Zaznaczam jednocześnie, że całkowitą kontrolę nad audycjami polskimi posiada Poselstwo R.P. w Kairze i wszystkie komunikaty charakteru politycznego, a w pierwszej linii dotyczące spraw polskich, są w prawie codziennej rozmowie ustalane przeze mnie z p. Frylingiem. Miałem możliwość stwierdzić, że audycje polskie słyszane są w Palestynie i Turcji. Obecnie rozważam możliwość zmienienia godziny audycji na późniejszą, kiedy słyszalność jest wszędzie lepsza. Godzina 6.15 wieczorem odpowiada angielskiemu letniemu czasowi godzinie 4.15 po południu, jest to zatem pora gdzie szczególnie w centralnej Europie słyszalność jest słaba.

Poza audycjami powyższymi odbywają się dwa razy na tydzień audycje polskie nadawane przez wojskowych Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w Egipcie. Program tych audycji przeznaczony jest dla żołnierzy polskich.

W załączeniu pozwałam sobie przesłać tekst słowa wstępnego, wypowiedziany z okazji otwarcia audycji w dniu 15 maja br.

Tadeusz Zazuliński
Chargé d'Affaires R.P.

2 załączniki.

Odpis otrzymuje Pan Minister Spraw Wewnętrznych

Przed chwilą na otwarcie pierwszej polskiej audycji w Kairskiej radiostacji posłał w świat melodia: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Nie jest sprawą przypadku, że Polska, oswobodzona po przeszło wiekowej niewoli, podniosła do godności hymnu narodowego „Mazurek Dąbrowskiego”. Te proste słowa żołnierskiej piosenki „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”, zawierają głęboką treść, która wiecznie była żywa poprzez tysiące lat naszej historii i wiodła nas przez lata nieszczęść do nowej potęgi i nowej chwały. Są one wyrazem tej odwiecznej prawdy

dziejowej, wspólnej narodom, które za wolność płaciły krwią, że nie brutalna siła materialna ale człowiek i jego wartości moralne decydują o losach i zwycięstwie narodów. Tym zasadom hołdują wszyscy Polacy: Rząd w Londynie, społeczeństwo w Polsce i my poza jej granicami. Znalazły one potwierdzenie w bohaterskiej postawie aliantów, którzy jak i my nie poddali się przemocy, a przede wszystkim Anglii, która mimo że przez rozwój techniki przestała być bezpieczną wyspą, a jednak jest tym niezdobytym bastionem wolności, który zapewni zwycięstwo najwyższym wartościom moralnym człowieka.

Głosem tej wiary będzie również radiostacja Kairska w swoich nowych polskich audycjach. Będzie ona na falach eteru krzepić polskie serca polskim słowem, a światu głosić, że trwamy ożywieni jedną wspólną myślą: zwycięstwa i wyzwolenia Polski.

Maszynopis z odręcznym podpisem. Oryginał w: Polish Institute and Sikorski Museum. Archives Ref. No. A.50/10.

2.

Kair, 7 VI 1941.

Do Pana Chargé d'Affaires Poselstwa R.P. w Kairze.

Mam zaszczyt przedstawić poniżej całokształt sprawy polskich audycji radiowych w Kairze.

W marcu br. przebywałem jako uchodźca w Jerozolimie. Znalazłem się tam po zlikwidowaniu naszych placówek w Rumunii, gdzie od drugiej połowy września 1939 r. do połowy października 1940 r. pracowałem jako djetariusz początkowo w Konsulacie R.P. w Czerniowcach, a następnie w tymże Konsulacie przeniesionym do Suczawy.

W połowie marca otrzymałem w Jerozolimie listowną propozycję Ambasady Brytyjskiej w Kairze objęcia w stacji kairskiej audycji polskich (redagowanie i wygłaszanie) z pensją 30 funtów miesięcznie. Dowiedziałem się później, że uwagę Ambasady na moją osobę zwrócił p. Tadeusz Buynowski, b. konsul R.P. w Czerniowcach i Suczawie, obecnie podporucznik Armii Polskiej, przydzielony do Angielskiego Naczelnego Dowództwa na Środkowym Wschodzie w Kairze. Anglicy zwrócili się do por. Buynowskiego z zapytaniem, czy może zna kogoś, kto mógłby audycje takie prowadzić.

Otrzymawszy propozycję angielską zwróciłem się do M.S.Z. w Londynie, za pośrednictwem Konsulatu Gen. R.P. w Jerozolimie z prośbą o instrukcje, Pan Minister Zaleski wyraził zgodę na objęcie przeze mnie wspomnianych audycji.

W ciągu paru tygodni oczekiwania w Jerozolimie na wizę egipską omówiłem szczegółowo sprawę audycji z p. konsulem Kańskim, ze względu na wiadomości przeznaczone dla Kraju i z czynnikami wojskowymi, ze względu na żołnierzy, którzy mają audycje słuchać.

Do Kairu przybyłem 2 maja, a następnego dnia odbyłem pierwszą rozmowę z właściwymi czynnikami Ambasady Brytyjskiej. Z rozmowy tej przypomnieć chcę następujące punkty wysunięte ze strony angielskiej:

1) audycja będzie nadawana tylko na falach średnich, a więc słyszalność jej ograniczy się do Europy południowo-wschodniej, Bliskiego i Środkowego Wschodu. Będzie więc ona przeznaczona dla zamieszkałych tam Polaków, emigracji polskiej i oddziałów wojska polskiego,

2) Anglia nie jest w wojnie z Sowietami, zatem unikać należy ostrych wystąpień antysowieckich,

3) Egipt jest krajem neutralnym, więc bardzo gwałtowne ataki przeciw Niemcom mogłyby spowodować trudności ze strony czynników egipskich.

Odpowiedziałem na to:

1) że główna wartość audycji polegałaby dla nas na jej słyszalności w Polsce,

2) że audycja ewentualnie będzie w Polsce słuchana przede wszystkim na okupacji sowieckiej, bo rygory policyjne wysoce utrudniają na okupacji niemieckiej słuchanie audycji pozaniemieckich, pomijanie więc spraw sowieckich byłoby wykluczone,

3) że o Niemczech gotów jestem mówić w tym tonie, w jakim piszą o nich wychodzące w Egipcie dzienniki angielskie.

Po paru dniach Ambasada odpowiedziała mi, że zdecydowano w porozumieniu z Londynem nadawać naszą audycję także na krótkiej fali, wobec czego będzie ona słyszana także w Polsce. Co do informacji o Sowietach i Niemcach oświadczone, że chodzi tu raczej o formę audycji nie o treść. Treść audycji musi być w przekładzie angielskim (może być ewentualnie skrót) komunikowana cenzurze angielskiej.

4 maja udałem się do Dowództwa Brygady Polskiej pod Aleksandrią i omówiłem szczegółowo sprawę audycji z p. Gen. Kopańskim, p. mjr. Młotkiem i p. mjr. Sikorskim. Brygada wysunęła propozycję udziału w audycjach członków teatru żołnierskiego (śpiewy, deklamacje, słuchowiska). O tej sprawie poniżej.

W rozmowie z p. Chargé d'Affaires Poselstwa R.P. w Kairze ustaliliśmy dokładnie zasady mojej współpracy z Poselstwem. Audycje są od początku pod kontrolą i pod opieką Poselstwa.

15 maja odbyła się pierwsza audycja poprzedzona Hymnem Narodowym i przemówieniami p. Chargé d'Affaires Zażulińskiego i p. Gen. Kopańskiego.

Pierwsze tygodnie poświęcone były ustaleniu ram audycji, wyjaśnieniu rozmiarów udziału Brygady, zapewnieniu źródeł informacji etc., etc. Obecnie audycja, po miesiącu pracy, przybrała już formy stałe i można o niej udzielić następujących informacji:

1) Informacje nadawane są codziennie, prócz sobót, od godz. 18.15 do 18.30 czasu egipskiego, co odpowiada godzinie 17.15 do 17.30 według londyńskiego czasu letniego, na fali krótkiej 47.85 i falach średnich 222,6 i 267,4.

2) W sobotę o tej samej porze i na tych samych falach audycja teatru żołnierskiego Polskiej Brygady na Środkowym Wschodzie.

3) Ponadto w niedzielę od 17.45 do 18.15 (czas londyński od 16.45 do 17.15) na wyżej podanych falach średnich audycja teatru żołnierskiego.

Do informacji korzystam z następujących źródeł:

1) Komunikaty Reutera i A.I.F. (agencja wolnej Francji) — dostarczane przez Ambasadę Brytyjską.

2) Materiały dostarczane przez Ambasadę Brytyjską, wśród których materiały dotyczące Polski opierają się przeważnie na informacjach Ministerstwa Informacji i Dokumentacji.

3) Materiały dostarczane przez Poselstwo R.P. w Kairze. (Depesze P.A.T., informacje naszych ministerstw itp.)

4) Materiały dostarczane mi przez p. konsula Kańskiego. (Przesłuchania osób przybyłych z Kraju i komunikat informacyjny „Polska pod okupacją sowiecką i niemiecką”. Zwłaszcza z komunikatu korzystam bardzo obficie. Sprawy te omówiłem dokładnie z p. konsulem Kańskim, który ostatnio bawił w Kairze.

5) Materiały dostarczane przez Poselstwo czechosłowackie. P. Chargé d'Affaires Zażuliński zaproponował ten rodzaj współpracy tutejszemu chargé d'affaires Czechosłowacji,

p. B. Stacho-Szalatnay. P. Szalatnay, mój kolega z Tokio, zwrócił się w tej sprawie z prośbą do mnie.

6) Obwieszczenia nadesłane przez Londyn (np. poszukiwanie syna Amb. Filipowicza).

7) Codzienna prasa kairska, która czasem uprzedza wiadomości Londynu. (Np. niektóre informacje o podróży Gen. Sikorskiego do Kanady oraz wywiady z Gen. Sikorskim po jego powrocie do Anglii.)

Żadnych innych informacji nie podaję, a teksty pełnych audycji są u mnie stale do dyspozycji Poselstwa.

Mam zaszczyt prosić Poselstwo, aby zechciało spowodować:

1) aby polskie czynniki w Londynie słuchały czasami kairskich audycji i udzieliły mi instrukcji co do ewentualnych zmian etc.

2) aby uwzględniło w rozsyłce materiałów audycje kairskie,

3) aby zaopiniowało audycje teatru żołnierskiego,

4) aby czasami w polskich audycjach z Londynu zapowiedziało audycje kairskie podając czas i fale (czas także według godzin środkowoeuropejskich),

5) aby Londyn w miarę możliwości zbadał i powiadomił Poselstwo, czy i jak audycje kairskie słyszane są w Polsce.

Mam zaszczyt dodać, że prowadząc te audycje za zgodą moich władz przełożonych, pozostawiam oczywiście do ich dyspozycji zarówno treść tych audycji i moje w radio kairskim stanowisko.

Adres dla korespondencji:

Egyptian State Broadcasting

Polish Section

Radio House, Cairo

Jan Fryling

Maszynopis z odręcznym podpisem oraz datą. Oryginał w: Polish Institute and Sikorski Museum. Archives Ref. No. A.50/10.

3.

Kair dnia 17 czerwca 1941.

Do Pana Tadeusza Zażulińskiego

Chargé d'Affaires Poselstwa R.P. w Kairze.

Mam zaszczyt przedstawić następującą sprawę:

Znana jest Panu dokładnie sprawa występów teatru żołnierskiego Polskiej Brygady na Środkowym Wschodzie.

Przybywszy do Kairu jako organizator i kierownik polskich audycji w tutejszym radio, omówiłem szczegółowo sprawę występów teatru żołnierskiego z p. mjr. Młotkiem. Początkowy postulat (6 występów tygodniowo) uznaliśmy we wspólnym porozumieniu za nierealny i postanowiliśmy, tytułem próby, zacząć od czterech występów tygodniowo. W praktyce jednak przekonałem się, że i to jest niemożliwe. W tym stanie rzeczy nie mógłbym sprostać ciężącemu na mnie obowiązkowi nadawania przede wszystkim informacji, których obfitość mogę tylko z większym trudem pomieścić, w oddanych do mej dyspozycji 15 minutach dziennie. Podjąłem zatem usilne starania o uzyskanie dla teatru

żołnierskiego dodatkowych audycji. (W Ambasadzie Brytyjskiej u pp. Catterell'a i Runciman'a, w Radio Kairskim u pp. Fergusson'a i Stewart'a.) Wszystkie moje usiłowania speliły na niczym. Wówczas wystosowałem do p. mjr. Młotka 29 maja b.r. list, w którym proponowałem odstąpienie teatrowi żołnierskiemu całej mojej audycji sobotniej (15 minut). Przy czym pozostawałoby dla teatru pół godziny w niedzielę. Było to maksimum, jakie według mego sumienia mogłem zaoferować. Na list ten nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Natomiast w audycji teatru żołnierskiego z dnia 15 czerwca b.r. jeden z wykonawców poddał krytyce nadawanie przez radio informacji („ciągle te komunikaty i komunikaty”) oraz domagał się nadawania piosenek i muzyki.

Jestem przekonany, że ta krytyka decyzji naszych władz co do nadawania informacji, została podjęta bez wiedzy tak poważnego i zrównoważonego człowieka jak p. mjr Młotek. Jestem skłonny przypuszczać, że był to nieprzemyślany wybryk młodzieńców, opartych chęcią popisu przed mikrofonem i gotów jestem być dla nich pełen wyrozumiałości.

Idzie mi o coś innego i w tym zakresie proszę Pana o pomoc jako opiekuna i kontrolera audycji polskich w radio Kairskim z ramienia władz R.P. Jeżeli niedzielne odezwanie się jest tylko niezupełnie właściwym postępkim młodych żołnierzy, poświęcających swój czas amatorskiej pracy aktorskiej, sprawa nie zasługuje na analizę poza zwróceniem ewentualnie młodym ludziom uwagi, o ile ich przełożeni uznają to za potrzebne.

Gdyby jednak poza wspomnianą krytyką, kryła się opinia poważnych kół Brygady, czego nie przypuszczam, musiałbym prosić o szczegółowe zbadanie sprawy i udzielenie mi ścisłych instrukcji.

Jest moją tendencją, którą staram się realizować z najlepszą wolą, aby w ramach audycji, za które jestem odpowiedzialny i których kierownictwo mi powierzono, wykonać instrukcje moich zwierzchników i spełnić w miarę możliwości postulaty Brygady. Próbowaliśmy pogodzić te dwie rzeczy, ale mógłbym przypuszczać, że Brygada ze swego stanu posiadania w ramach audycji nie jest zadowolona. Dlatego proszę o udzielenie mi dokładnych instrukcji. O ile pójdą one w kierunku ograniczenia informacji, a rozszerzenia występów teatru żołnierskiego, oczywiście zastosuję się do nich. Nie chciałbym jednak narażać się osobiście ani na zarzut, że samowolnie uszczuplam informacje, ani że powoduję słuszne niezadowolenie Brygady. Staram się w miarę możliwości spełniać mój skromny obowiązek, który nie jest ani łatwy ani lekki, zmuszony jednak jestem prosić w obecnym momencie o wyraźne wskazówki.

Powstrzymuję się od wszelkiej oceny występów teatru żołnierskiego, której sam Pan, Panie Chargé d'Affaires, może dokonać, słuchając ich przez mikrofon. Nie podaję również luźnych, skierowanych do mnie opinii, zarówno o informacjach jak i o występach teatru żołnierskiego. Jedno i drugie mogę uczynić na ewentualne wyraźne żądanie p. Chargé d'Affaires.

Jan Fryling

Maszynopis z odręcznym podpisem. Oryginał w: Polish Institute and Sikorski Museum. Archives Ref. No. A.50/10.

4.

Kair dnia 17 czerwca 1941.

Mam zaszczyt podać do wiadomości Pana Generała z prośbą o ile to możliwe, zachowanie tylko 1/2 godziny w niedzielę dla występów teatru żołnierskiego. Nadmienając, że audycje Kairskie obliczone są również na Palestynę, Turcję i przede wszystkim Polskę.
Zażuliński

Do Pana Generała Stanisława Kopańskiego

Maszynopis. Oryginał w: Polish Institute and Sikorski Museum. Archives Ref. No. A.50/10.

5.

165/II/4.

Do Pana Generała Stanisława Kopańskiego
Dowódcy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w Egipcie.

Mam zaszczyt poinformować Pana Generała, że dzięki podejmowanym od 2-ch miesięcy, na terenie tutejszej Ambasady Brytyjskiej i w Dyrekcji Radia w Kairze, usilnym staraniom Pana Dr. Jana Frylinga, przyznano drugą audycję, przeznaczoną dla Polskiej Brygady na Środkowym Wschodzie. Począwszy od 17 lipca audycja ta będzie nadawana z Aleksandrii od godziny 17.45 do 18.15, w każdy czwartek na tych samych falach średnich co audycja niedzielna. Audycja niedzielna pozostaje bez zmiany tak, że Brygada dysponuje obecnie dwoma audycjami popołudniowymi w czwartek i niedzielę.

Tadeusz Zażuliński
Chargé d' Affaires R.P.

Maszynopis z odręcznym podpisem. Oryginał w: Polish Institute and Sikorski Museum. Archives Ref. No. A.50/10.

6.

Tajne

29.10.[1941]

Stan faktyczny

1.) Dowiedziałem się ściśle poufnie, że tutejsze dowództwo W.P. wystosowało pismo do tutejszej Ambasady Brytyjskiej z prośbą, aby wobec mego zamierzonego wyjazdu z Kairu Ambasada informacyjną audycję radiową odstąpiła do dyspozycji Dowództwa W.P. Jako kandydata wysunięto p. Hemara.

P. Catterell był z tego postawienia sprawy niezadowolony i oświadczył, że o moim wyjeździe nic mu nie wiadomo. W zasadzie jednak miał się zgodzić na odstąpienie audycji, w razie mojego wyjazdu, dowództwu W.P.

Postawiło mnie to w przykrym położeniu wobec Anglików, którzy o moim wyjeździe dowiedzieli się nie ode mnie.

2.) Umowa między Panem Posłem a p. mjr. Michniewiczem nie została dotrzymana. Treść tej umowy znam od Pana Posła i według jej treści dowództwo W.P. przed poczynieniem dalszych kroków miało odbyć drugą rozmowę z Panem Posłem.

Wydaje mi się, że Pan Poseł może obrać jedną z dwóch dróg:

1. Albo czekać na wysunięcie kandydatury mego następcy przez p. Korsaka i wtedy w rozmowie z p. Catterellem kandydaturę tę przeprowadzić.

2. Albo w rozmowie z p. gen. Zamorskim użyć następujących argumentów:

a) audycja jest powierzona Panu Posłowi przez M.S.Z. i M.S.Wewn.

b) chodzi o zatrudnienie pozostającego bez pracy urzędnika.

c) argument osobisty dla gen. Zamorskiego. Gen. Z. życzliwie się do mnie odnosi i pewnie chciałby mi pomóc. Wyjazd mój umożliwi mi powrót do służby. O ile Dowództwo W.P. będzie obstawać przy swym żądaniu, nie będę mógł z Kairu wyjechać.

Do wiadomości Pana Posła: Panowie Korsak i Kański, chcąc mi dopomóc, postanowili zatrudnić mnie bez uprzedniego zawiadomienia Londynu, gdzie mogłyby powstać trudności. O mej pracy mają zawiadomić Londyn dopiero, kiedy wejdę w pracę. To samo ma uczynić amb. Raczyński. Wysunięcie sprawy na forum Londynu może mieć ten skutek, że otrzymam polecenie pozostania w Kairze. Lekarz wyraźnie powiedział mi, że przebywać tu nie powinienem. Wówczas znalazłbym się tej sytuacji, że zamiast do pracy, pojechałbym do Palestyny lub Rodezji jako uchodźca.

Trzy sprawy.

1) W piśmie Ambasady angażującym mnie, powiedziano, że mają to być audycje dla polskiej Brygady na Środkowym Wschodzie.

2) W najbliższych dniach audycje jugosłowiańskie i greckie przechodzą w kierunek wojskowych angielskich, którzy sami dobiorą speakerów.

Inicjatorem całej akcji dowództwa W.P. jest p. mjr Kijewski.

N.b. Jak Panu posłowi wiadomo Brygada od pierwszej chwili starała się o uzyskanie maksymalnej części audycji. Dzięki moim usilnym staraniom uzyskali 10 minut dziennie, wskutek czego mieli desinteresować się kwadransem informacji. Obecnie chcą otrzymać i ten kwadrans.

[Jan Fryling]

Rękopis Jana Frylinga bez podpisu.

7.

Gdańsk, dnia 23 lutego 2000 r.

Zygmunt Odrowąż-Zawadzki
płk dypl. w st. spocz.

Szanowny Pan Jarosław Jędrzejczak

Szanowny Panie!

Bardzo się ucieszyłem listem Pana z dnia 10 bm. i zainteresowaniami dotyczącymi pośrednio Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, bowiem 2 kwietnia 1940 r. po-

wołana została rozkazem gen. Sikorskiego, w Paryżu, czyli w tym roku przypada 60. rocznica jej powstania.

Byłem oficerem sztabu tej Brygady od 4 kwietnia 1940 r. do końca jej istnienia czyli do 3 maja 1942 r., kiedy to została przeorganizowana w 3. Dywizję Strzelców Karpackich. Byłem jednym z najbliższych współpracowników gen. Kopańskiego, a dziś jestem jedynym żyjącym oficerem ścisłego sztabu SBSK. W SBSK byłem kapitanem dypl. Dziś żyje jeszcze w Anglii szef służby zdrowia SBSK mjr/płk dr Michał Breza. W zakresie moich obowiązków i zainteresowania były wszystkie sprawy wojny i walki, natomiast sprawy radia polskiego (audycji) Kair były na pewno w zakresie działania mjr./płk. Mieczysława Młotka (sprawy kultury i propagandy) oraz dowódcy łączności majora/płk. Henryka Niedziałkowskiego. Niestety obydwaj dawno już nie żyją. Generał Kopański starał się, aby sprawy dotyczące wojska i ludności polskiej na Środkowym Wschodzie zostały przekazane specjalnemu dowództwu WP na Środkowym Wschodzie. Takie dowództwo zostało zorganizowane w końcu 1941 r. lub wcześniej. Dowódcą został generał dr. Józef Zajac, z siedzibą w Kairze. To właśnie jego sztab musiał prowadzić sprawę radia polskiego w Kairze. Gen. Kopański, SBSK i ja też, mogliśmy już myśleć tylko o działaniach wojennych. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich zapisała piękną kartę chwały oręża polskiego, jako jedyna polska jednostka wojsk lądowych, która walczyła w okresie upadku Francji w 1940 r. do bitwy pod Lenino w 1943 r. Broniła Tobruku przez cztery miesiące i złamała front włoski w bitwie pod Ghazalą 15 i 16 grudnia 1941 r.

Na pewno słuchałem polskich audycji radia Kair, ale dziś już szczegółów nie pamiętam. Wiek 88 lat. Pamiętam natomiast doskonale szczególnie bitwy i działania wojenne SBSK.

Natomiast w sprawie polskich audycji radia Kair może wiedzieć p. Eryk Nanke w SBSK oficer łączności w dowództwie mjr. Niedziałkowskiego podpor./por. Należy on (tak jak i ja) do Związku b. Żołnierzy SBSK „Tobrukczycy”. Zdaje mi się, że mieszka w Bielsku-Białej. Proponuję, aby Pan zwrócił się z prośbą o podanie adresu p. Nanke do prezesa Związku w Polsce: mgr Herod Mieczysław, Skrytka Poczтовая 66, 30-969 Kraków 28.

Proszę powołać się na mnie. Gdy Pan uzyska adres proszę napisać do p. Nanke i posłać mu te same dane co mnie. Być może będzie on mógł podać Panu coś więcej niż ja.

Życzę pomyślnego załatwienia sprawy i łączę pozdrowienia

Zygmunt Odrowąż-Zawadzki

Maszynopis z odręcznym podpisem.

8.

Kraków, 29.02.2000 r.

Szanowny Panie!

Dziękuję za dwa listy. Przepraszam za opóźnioną odpowiedź. Przeczytałem b. ciekawy artykuł o Radio Kair, który przypomniał mi o tym co kiedyś słuchałem i czytałem w „Ku Wolnej Polsce”.

Żołnierzem SBSK byłem od 15 maja 1940 r. W czasie służby w Brygadzie wiedziałem, że w Radiu Jerozolima występuje chór żołnierski Brygady śpiewając polskie pieśni. W tym samym dywizjonie artylerii lekkiej było trzech kolegów, którzy byli członkami tego chóru. Jeden z nich kpr. Romek Turczynowicz był z-cą dyrygenta Jarosława Sandelewskiego. Dwaj dalsi to podchorąży Tadeusz Kawa i Jurek Kruszelnicki. Romek i Jurek

prawdopodobnie nie żyją. Tadek Kawa mieszka w Anglii ale jest ciężko chory i od dwóch lat nie odpowiada na przesyłane życzenia świąteczne.

Radia Kair miałem możliwość czasem słuchać dopiero od września 1941 r. w czasie obrony Tobruku. Na centrali telefonicznej pułku artylerii lekkiej były wojskowe radiostacje prawie niewykorzystywane do pracy w łączności. Łączność pomiędzy pułkiem a bateriami była liniami telefonicznymi.

Radio Kair nadawało komunikaty z walk na morzu, lotnictwa RAF-u z walk na froncie wschodnim niemiecko-rosyjskim. Czasem był program naszej Czołówki Teatralnej.

Wiadomości radiowe prawie w całości były w wydawanym na powielaczu komunikacie „Głos Tobruku”. Ten komunikat był rozprawiany po oddziałach Brygady w oblężonym Tobruku.

Po powrocie z Pustyni Libijskiej do Egiptu m. El Amiryja k. Aleksandrii zostałem wyznaczony a raczej skierowany do szkoły podchorążych artylerii lekkiej od 1 kwietnia do 31 sierpnia 1942 r. Radia żadnego nie słuchałem zajęty nauką i ćwiczeniami, jedynie czytałem czasopisma i gazety. Podobnie w okresie irackim od listopada 1942 do sierpnia 1943 szkolenie żołnierzy i ćwiczenia wojskowe aż do lądowania w grudniu 1943 w porcie Taranto w Italii.

To tyle co wiem a może interesować Pana.

Łączę pozdrowienia

[Mieczysław Herod]

Rękopis bez podpisu. W lewym górnym rogu pieczętka z nazwiskiem i adresem nadawcy.

9.

Cieszyn, dnia 9.03.2000 r.

Szanowny Panie Jędrzejczak,

Uprzejmie dziękuję za list w sprawie „Mówi Kair”. Pokładane we mnie nadzieje niestety nie mogę spełnić w sensie podania szczegółów z odbioru Radio Aleksandria lub Kairo.

Okres pod koniec maja 1941 r. kiedy Dikhelia była naszym m.p. miejscem postoju, odbiorniki radiowe były naszymi stałymi towarzyszami, toteż na przykład „Chór Oficerski” i występy Teatru Żołnierskiego SBSK były słuchane na salach żołnierskich. Tu jednak kończy się nasz nasłuch i po opuszczeniu Dikheili koczownicze nasze życie zmuszało nas do korzystania z odbiorników radiowych wyłącznie w celach wojskowych. Posiadany sprzęt radiowy wojskowy miał ograniczony zakres odbioru fal. Brak konwencjonalnej sieci elektrycznej w pustyni zmuszał do zrezygnowania z dobrodziejstw Komunikacji Radiowej aż do czasu powrotu do Egiptu a później Palestyny.

Nie ulega wątpliwości, że w Dowództwie SBSK mjr Młotek trzymał rękę na pulsie i informował dowódcę Brygady Gen. S. Kopańskiego wraz ze Sztabem o działalności Radio Aleksandria i Kairo. Poczta pantoflową informacje przez te stacje nadawane w języku polskim docierały do ogółu żołnierzy jednak do bezpośredniego odbioru tych stacji żołnierz SBSK nie miał dostępu.

A że niektóre audycje docierały do żołnierzy, tego dowodem były komentarze dotyczące „Chóru Oficerskiego” i pieśni dwuznacznych naszych artystek.

Reasumując moje uwagi, audycje Aleksandryjskie, Kairu i inne w języku polskim miały swoją bezpośrednią wartość narodową dla Polaków zamieszkałych w zasięgu wymienionych Radiostacji, korzystających ze stałego dostępu do „źródeł zasilania”.

Stąd też konieczność wydawania gazetek żołnierskich jak np. „Ku Wolnej Polsce”, których redakcje miały dostęp do wiadomości nas interesujących.

Jak z Pańskiego opracowania wynika jest i był Pan w ścisłym kontakcie z organizatorami programów Radio Aleksandria i Kairo i Zespołu Teatralnego SBSK oraz Chóru Oficerskiego Legii Oficerskiej i możliwości otrzymania dodatkowych informacji ze źródeł wojskowych na tematy Pana interesujące są skromne.

Trudno się spodziewać szczegółów odbioru radiowego przez Oddziały Wojskowe z tamtych czasów. Najwięcej informacji można by było się spodziewać ze strony osób cywilnych, Polaków mieszkańców Państw w zasięgu odpowiednich stacji nadawczych.

Gratuluję Panu za wydobywanie tytułu szczegółów i informacji z dawnych lat, życzę dalszej owocnej pracy, w wysiłku zabezpieczenia wspomnień dla przyszłych generacji naszej tak niedawnej przeszłości.

Z wysokim poważaniem

Eryk R. Nanke

Maszynopis z odręcznym podpisem.

10.

Szanowny Panie,

[...] Dra Jana Frylinga (b. dyr. Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku) znałem z Wolnej Europy, ale i on nie był jej stałym pracownikiem. Pisał dość regularnie ale „na zamówienie”, głównie recenzje teatralne („American Stage”) i omawiał co ciekawsze książki, m.in. na temat stosunków chińsko-radzieckich, które pilnie śledził. Prowadził też „Dyskusje o kulturze i sztuce”, w których brali m.in. udział: Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta, Ewa Mieroszevska, Krzyżanowski, Wszelaki i kilku innych wybitnych współpracowników Wolnej Europy. (Przesyłam Panu kopie unikalnego listu dra Frylinga w sprawach programowych z roku [19]63.)

Na temat Radia Kair nigdy z nim jednak nie rozmawiałem. Jest to ciekawostka, o której — sędzę — wiedzą nieliczni radiowcy. W londyńskim Instytucie Sikorskiego powinni mieć jednak o Radio poważną dokumentację. [...]

Z poważaniem

Marek Walicki

Maszynopis.

Nowy Jork, 21 VI 1963

Drogi Panie Doktorze,

Myślałem dziś o tym, jak dziwne bywają w życiu zbiegi okoliczności.

Kiedy w roku 1920 w Warszawie, na ulicy Książęcej 11, młody ksiądz wprowadzał mnie nieraz do swego przełożonego, czy mogłem przypuszczać, że to Paweł VI towarzyszy mi do Piusa XI? (Były to sprawy konkordatu.)

Muszę znów nudzić Pana sprawami „dyskusji o kulturze i sztuce”.

I. Dyskusja 23 lipca (Monachium nagrywa 5 sierpnia) będzie w książce Czapskiej. Uczestnicy (ewentualni): Janta, Krzyżanowski, Wszelaki. Sprawa zdobycia egzemplarzy jest nadzwyczaj pilna. Czy biblioteka zabrała się do tego?

II. Następną dyskusja wyznaczona jest w programie na 20 sierpnia (Monachium nagrywa 2 września). Urządzenie jej w sierpniu jest niemożliwe z powodu niemożności zebrania kompletu. Istnieją więc następujące możliwości:

- a) albo ją skasować, czego wolałbym uniknąć;
- b) albo nagrać ją 5 września (ze względu na Wittlina) i zaproponować Monachium, aby nagrało w jakimś innym terminie — na co się prawdopodobnie nie zgodzi;
- c) albo najłatwiejsze wyjście tzn. nagrać tę dyskusję we wtorek 30 lipca (uzyskawszy czas od produkcji) i posłać ją Monachium do nadania 2 września. Temat: Baldwin. Uczestnicy (ewentualni): Janta, p. Mieroszevska i Wszelaki.

W przyjęciu ewentualności c) Wittlin straci dwie dyskusje, ale nie widzę innego wyjścia z sytuacji.

Bardzo proszę o rychłą decyzję na „gorącym drucie” TR-3-4240.

25 we wtorek spędzę cały dzień w Stratfordzie.

Łączę serdeczny uścisk dłoni.

Jan Fryling

EDYTORSKIE PROBLEMY Z *PORNOGRAFIĄ*

Łukasz GARBAL (Lublin)

1. 1. INFORMACJA WSTĘPNA

Twórczość Witolda Gombrowicza budzi coraz większe zainteresowanie także ze strony ludzi nie związanych z filologią na co dzień. Swoje odczytania dzieła Gombrowicza opierają oni na tekście, którego autentyczność z kilku powodów budzi znaczne wątpliwości — zaś, jak dowodził Lotman, interpretacja zależy od konkretnych rozwiązań edytorskich.

Zła edycja jest przyczyną błędnych interpretacji. Za życia Gombrowicza ukazało się tylko jedno wydanie *Pornografii* w języku polskim, wydanie nie w pełni kontrolowane przez autora. Następne wydania polskie opierały się na pierwodruku, modernizując — częściowo — ortografię i interpunkcję, i najprawdopodobniej nie oddając tekstu zgodnego z wolą autorską.

Pomimo zatem licznych polskich wydań powieści, *Pornografia* pozostaje problemem dla edytora.

1. 1. 1. Uwaga porządkowa

Cytaty z *Pornografii* podaję — o ile nie zaznaczam inaczej — za własną propozycją wydania, czcionką Arial bez podawania lokalizacji.

1. 2. HISTORIA TEKSTU

Pierwsza redakcja tekstu powstała w Argentynie pomiędzy majem 1955 (odejście z banku, czas na pracę literacką) a sierpniem 1958 — ale najprawdopodobniej nie powstała przed 8 października 1957, kiedy to pisarz przybywa pierwszy raz na kurację do Tandilu — zaś druga, będąca ostateczną, między lutym a połową maja 1960 roku, kiedy powieść została oddana do druku (wydrukowana zostaje na początku czerwca).

Gombrowicz pisał na kartach formatu maszynowego odręcznie, przepisując po kilka razy, przeważnie bez skreśleń; ostateczną wersją przygotowania przez niego tekstu do druku było przepisanie na maszynie.

Rękopisy *Pornografii* najprawdopodobniej nie istnieją — autor nie przechowywał zwykle manuskryptów po zakończonej pracy nad tekstem, którego ostateczna wersja oddana była w maszynopisie.

Zachowały się dwie kopie maszynopisu — obydwie z tej samej matrycy (o czym świadczą identyczne literówki i układ typograficzny stron), które nazywam dalej, zgodnie z chronologiczną kolejnością przysyłania ich przez autora do wydawcy, odpowiednio — mp1 i mp2. Mp1 znajduje się obecnie w Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie (nr inw. 1521), zaś mp2 jest w archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (papiery Gombrowicza, teczka nr 15).

Obydwie kopie sporządzone na papierze o formacie A4, o słabej gramaturze, obecnie pożółkłym, niektóre karty zginane w połowie wzdłuż poziomu, tusz czarny, czcionka w stylu *roman*, kilkanaście kart jest bez polskich znaków diakrytycznych (w mp2 dopisywanych na ogół czarnym atramentem).

Interpunkcja w mp1 poprawiana zaledwie w kilku miejscach bladoniebieskim (wyblakłym niebieskim?) atramentem, którym też ręką Gombrowicza wprowadzono kilka poprawek — w mp2 wielka liczba poprawek interpunkcji (zazwyczaj dopisywanie przecinków w określonych pozycjach), przeważnie czarnym atramentem. Czarnym atramentem, nieautorskim charakterem pisma, została też wprowadzona pewna ilość zmian określonych słów — na ogół zmiany te zachowane są w pierwodruku.

Mimo niechęci Jerzego Giedroycia do propozycji Gombrowicza dotyczących druku powieści, autor wysłał jedną z kopii (mp1) do Maisons-Laffitte, najprawdopodobniej przed lutym 1959. Wcześniej którąś z kopii maszynopisu czyta Konstancy Jeleński, który proponuje Gombrowiczowi po lekturze całości pewne zmiany tekstu, wprowadzone w mp2 ręką Gombrowicza (przede wszystkim — przeredagowanie *Informacji* oraz kilka skreśleń w rozdziale dziewiątym w „scenie na wyspie”)¹. Przymuszalnie autor zamierzał te same poprawki wprowadzić w przyszłej korekcie.

Pod koniec 1959 roku autor pertraktuje w sprawie wydania *Pornografii* w języku francuskim, a ponieważ mp1 jest przetrzymywany w Maisons-Laffitte, prosi Giedroycia w styczniu 1960 o wypożyczenie go na kilka tygodni tłumaczce, Annie Posner. Wczesną wiosną 1960 Giedroyc decyduje się wydać powieść, nie jest jednak w stanie odnaleźć tłumaczki, w poszukiwaniu której zarówno on, jak sam autor, mobilizują wielu znajomych w Paryżu, w którym tłumaczka przebywała, oraz w Polsce, dokąd — okazało się — wkrótce przybyła. Wydawca podejrzewał autora o złą wolę i spisek, Gombrowicz obawiał się wykradzenia kopii, obaj po pewnym czasie podejrzewali spisek Służby Bezpieczeństwa zmontowany w celu uniemożliwienia druku powieści w Instytucie Literackim. Giedroyc nalega na Gombrowicza, aby przysłał mu inną kopię maszynopisu — początkowo autor odmawia, tłumacząc, że nie ma przy sobie żadnej kopii (w tym czasie ponownie przebywał w Tandilu), później zaś, kiedy okazało się, że Posner wyjechała do Polski, odnalazł jedną z kopii, jak pisał do Giedroycia — ostatnią. Gombrowicz obawia się jednak zaginięcia maszynopisu — z Maisons-Laffitte otrzymuje list ze słowami „nie ma prawa zaginać” i naglący do pośpiechu, jeżeli powieść ma się szybko ukazać. Autor wysłał kopię (mp2) w jednym liście, lotniczym i poleconym, i z ulgą kwituje potwierdzenie jej otrzymania przez Giedroycia, prosząc o szczególną troskę i ostrożność, „aby nie dać za dużo drukarzowi naraz” — i dalej tropi Posner w kraju, prosząc o pomoc Sandau-

¹ Por. list Gombrowicza do Jeleńskiego, datowany „16.IV.60”, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego, (oryginał obecnie w kolekcji *Witold Gombrowicz's Papers*, Beinecke Library, Yale University, New Haven, Connecticut, USA, sygn. [całej kolekcji:] Uncat. Ms. Vault 816, dalej: Beinecke). Szczegóły dotyczące zmian notuję w komentarzu do przygotowanej edycji.

era, Iwaszkiewicza i — zdaje się — znaczną większość swoich ówczesnych korespondentów krajowych. *Pornografia* jest na maszynach drukarskich w maju 1960, kiedy ostatecznie odnajduje się była tłumaczka — rezygnując z pracy. Mp1 na krótko wraca do Maisons-Laffitte, nie stanowi już jednak podstawy do druku, na co wyrzeka w pewnym momencie sam Gombrowicz — „brakujące strony trzeba było uzupełnić z maszynopisu [...] (ten odzyskany od Posnerówny)”. Już w czerwcu na prośbę Gombrowicza Giedroyc mp1 przekazuje nowemu tłumaczowi powieści na francuski, Jerzemu Lisowskiemu.

Wydanie pierwodruku opóźnia się, powieść ukazuje się w czerwcu 1960 w serii „Biblioteki «Kultury»” — format B5, szara brulionowa okładka, kartki rozcinane ręcznie, papier ciężki, całość zszywana. „[...] jakaś cieniutka” skomentował Gombrowicz, dodając wcześniej „błędów prawie nie ma”².

Kolejną edycją *Pornografii* było wydanie francuskie, planowane na połowę roku 1960, które z powodu kłopotów z tłumaczeniem powieści — historią Anny Posner i ponad rocznym opóźnieniem Jerzego Lisowskiego ukazuje się dopiero w roku 1962. „Ten nieszczęsny Lisowski wreszcie kończy przekładać *Porno[grafię]*”³ pisał autor, który osobiście chciał doglądać wydania — język francuski znał z domu i wydanie francuskie było przez niego kontrolowane w bardzo dużym stopniu, wprowadzał w korekcie poprawki⁴.

Następne edycje powieści prowadzone są poza autorską kontrolą — jedynym, powtarzającym się zaleceniem dla tłumaczy była prośba autora o zachowanie rytmu. Gombrowicz nie mógł sprawdzić poprawności przekładów na włoski (1962), niemiecki (1963), holenderski (1964), angielski (1966), norweski (1966), szwedzki (1967), japoński (1967), fiński (1969) — które, z wyjątkiem japońskiego, powstały na podstawie wydania francuskiego, co Gombrowicz zalecał („[...] je prefere le version française”)⁵ — ponieważ nie znał tych języków lub znał je słabo (niemiecki, angielski).

Gombrowicz mógłby kontrolować wydanie hiszpańskie powieści (1968) w stopniu podobnym albo większym od francuskiego (pisarz używał hiszpańskiego, w Argentynie wiele pisał w tym języku). Edycja ta jednak zajmowała Gombrowicza jedynie handlowo — w tym czasie był już poważnie chory, a sam przekład opierał się na pierwszym wydaniu francuskim oraz włoskim.

We Włoszech, Niemczech i Szwecji za zgodą autora zmieniono tytuł powieści — z *Pornografii* na *Uwiedzenie* — wydawca włoski motywował zmianę względami cenzury

² [Wykorzystane cytaty z:] Korespondencja Gombrowicza z Giedroyciem, kserokopie w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginały w archiwum Instytutu Literackiego, Maisons-Laffitte, Francja).

³ List Gombrowicza do krytyka i tłumacza na serbochorwacki, Zdravko Malicia, datowany „17.07.62”, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke).

⁴ List Gombrowicza do angielskiego tłumacza, Alastaira Hamiltona, datowany „21.09.65”, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke): „certains differences porviennent de cela que la traduction française a été corrigée par moi”. [Ortografia oryginalna.]

Dodatkowo korespondencja Gombrowicza z Lisowskim, kserokopie w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke).

Wydawnictwo Julliard zawiesiło działalność po śmierci właściciela, następnie wykupione przez Denoel. Według uzyskanych przeze mnie informacji, w archiwum wydawnictwa Denoel nie ma korekt z okresu istnienia samodzielnego wydawnictwa Julliard.

⁵ List do Alastaira Hamiltona, tłumacza angielskiego, datowany na 21.12.65, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke).

obyczajowej⁶ (późniejsze wydania włoskie i najnowsze niemieckie wróciły do tytułu oryginalnego), a szwedzki — *ususem* językowym⁷.

Za życia Gombrowicza nie doszło do drugiego polskiego wydania powieści — ukazało się ono dopiero w 1970 roku w ramach pośmiertnie wydanych *Dzieł zebranych*⁸. Wydanie to jest w zasadzie (z wyjątkiem dodatkowych modernizacji w zakresie ortografii i interpunkcji oraz nieco większej czcionki) przedrukiem pierwszego wydania. Giedroyc nie uwzględnił uwag Jeleńskiego, najlepiej wprowadzonego przez Gombrowicza w swoje sprawy wydawnicze, dotyczących całości wydania *Dzieł zebranych*. W intencji Jeleńskiego miała to być „klasyczna edycja (z notatkami, z indeksem nazwisk i zagadnień [...])”⁹, którą chciał powierzyć „specjaliście” — początkowo pierwszemu doktorowi gombrowiczologii, Chorwatowi Zdravko Maliciowi, później zaś Oldze Scherer (jego argumentem było m.in., że jest ona „naukowo wyspecjalizowana w edycji”¹⁰) i, mimo wszystkich swoich zasług dla Gombrowicza, nie chciał samemu podjąć się redakcji *Dzieł*, tłumacząc wydawcy [sic!], że „wymaga to fachowego przygotowania, którego nie posiadam (jest to specjalność w sensie o wiele węższym niż, powiedzmy, krytyka literacka, w której «amator» może być lepszy od «specjalisty»)”¹¹, a w końcu domagając się klasycznego wydania krytycznego „w wydaniu takim, jakiego bym sobie życzył, powinny być zaznaczone te zmiany (tekstem powinien być tekst definitywny, «druga wersja» — ale w odnośnikach na końcu tomu trzeba zaznaczyć, jakie są zmiany i jaka była wersja pierwotna)”¹².

Jerzy Giedroyc planował zaś po prostu przedruk tekstów z pierwszych wydań, opatrzoney wstępem w formie eseju o twórczości Gombrowicza — wstęp taki chciał uzyskać od Jeleńskiego¹³. Początkowo myślał też o wydaniu *Pornografii* w jednym woluminie z *Kosmosem* — w podobny sposób wyglądało pierwsze wydanie *Trans-Atlantyku* (w jednym tomie ze *Ślubem*) — co było niewątpliwie motywowane względami ekonomicznymi. Pomysł takiego wydania *Pornografii* Giedroyc zarzucił pod wpływem zgodnego sprzeciwu Konstantego Jeleńskiego i żony pisarza, mającej prawa autorskie Rity Gombrowicz¹⁴.

Tym niemniej drugie polskie wydanie w edycji *Dzieł zebranych* (tzw. Dzieła „paryskie”) było w zasadzie przedrukiem tekstu z pierwodruku, wprowadzającym dodatkowe modernizacje w zakresie interpunkcji.

Kolejne polskie edycje w latach osiemdziesiątych w większości stanowiły przedruk z *Dzieł zebranych*, przeważnie były to wydania w „drugim obiegu”¹⁵.

⁶ Por.: korespondencja wydawnictwa Bompiani z Gombrowiczem (oryginał w Beinecke), kserokopie w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego.

⁷ List Georga Svenssona do Gombrowicza, datowany „Stockholm, le 24 janvier 1967” (oryginał w Beinecke). Kserokopia dzięki uprzejmości kustosa kolekcji, Vincenta Giroud.

⁸ W. Gombrowicz, *Dzieła zebrane, t. 3: Pornografia*. Paryż 1970. [Seria „Biblioteka «Kultury»” t. 189.]

⁹ J. Giedroyc [sic!], K. A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył W. Karpiński. Warszawa 1995, [seria: „Archiwum «Kultury»” nr 3.], [dalej: Archiwum3] s. 385.

¹⁰ Por.: Archiwum3 s. 385, 386.

¹¹ Por.: Archiwum3 s. 387.

¹² Por.: Archiwum3 s. 387.

¹³ Por.: Archiwum3 s. 381. [Był to pierwszy list wysłany po śmierci Gombrowicza przez Giedroycia do Jeleńskiego].

¹⁴ Por.: Archiwum3 s. 388.

¹⁵ Wydań *Pornografii* w „drugim obiegu” było wiele i zapewne nie udało się jeszcze dotrzeć do wszystkich.

Dziękuję p. Czachowskiej z Pracowni Dokumentacji Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN za skonfrontowanie zgromadzonych przez mnie danych bibliograficznych z materiałami IBL.

Edycją mającą ambicje naukowe było pierwsze krajowe wydanie *Pornografii* w ramach *Dzieł* wydawanych od 1986 roku przez Wydawnictwo Literackie (tzw. Dzieła „krakowskie”) dokonane pod redakcją Jana Błońskiego¹⁶. Wydanie to jest obecnie najpowszechniejszym „źródłem” tekstu.

Nota wydawcy podaje jednak błędne informacje edytorskie (datą ukończenia powieści nie był, jak podawał w *Dzienniku* sam Gombrowicz, 4 lutego 1958, ponieważ pracował nad *Pornografią* jeszcze w listopadzie 1959¹⁷, zaś sam tytuł powieści wybrał ostatecznie dopiero w kwietniu 1960)¹⁸. Nota jest faktycznie notą interpretacyjną, narzucającą pewien sposób lektury (m.in. używając na określenie obecnych w powieści Niemców pejoratywnego epitetu „hitlerowcy” — nieobecnego w tekście).

„Za podstawę [...] edycji przyjęto pierwsze wydanie *Pornografii*, jako jedyne za życia autora, pozostawiając bez zmian intonacyjną — odbiegającą od obowiązujących norm — interpunkcję autorską”¹⁹ — pisał wydawca.

Tym niemniej trzeba zaznaczyć, że edycja w stosunku do przyjętej podstawy nie wykazuje się wiernością w zakresie oddania interpunkcji. Zauważyć też należy, że przyjęta podstawa — za którą uznano pierwodruk — z powodu wprowadzonych przez wydawcę poprawek, najprawdopodobniej nie skontrolowanych przez autora, nie może być uznana za tekst autorski, a charakter wprowadzonych przez wydawcę zmian uniemożliwia praktyczne zastosowanie drugiej przyjętej przez edytora zasady, tj. oddania w tekście autorskiej interpunkcji, ponieważ najpowszechniejszą różnicą między pierwodrukiem a autorskim maszynopisem jest stosowanie odmiennych systemów interpunkcyjnych.

Nie ma dotychczas wydania krytycznego powieści — co więcej, nie ma także wydania poprawnego tekstowo, którego przedstawienie stanowiło intencję pracy.

1. 3. PROBLEMY EDYTORSKIE

1. 3. 1. Różnice między maszynopisem a pierwodrukiem

Gombrowicz cieszył się z każdego swojego wydania²⁰. Najprawdopodobniej głośno wyrażane zadowolenie („błędów prawie nie ma”) dotyczące pierwodruku *Pornografii* było jednak pozorne — w listach do Konstantego Jeleńskiego, będącego najbliższym wówczas

¹⁶ Witold Gombrowicz, *Dzieła, t. 4: Pornografia*, red. nauk. tekstu Jan Błoński. Kraków 1987. [Wyd. 2 1988]. [Następne wydania polskie (wszystkie miały miejsce w Wydawnictwie Literackim) przyjmują to wydanie za podstawę tekstową.]

¹⁷ Por. m.in. list Gombrowicza do Giedroycia, datowany „29. XI. 59”, w którym wspomina o wysłaniu poprawek do powieści (najprawdopodobniej pod wspomnianym wpływem Jeleńskiego).

¹⁸ We *Fragmentach z dziennika z 1958* podaje zarówno datę przyjmowaną przez Błońskiego, jak też tytuł *Pornografia*. Do kwietnia 1960 roku jednakże funkcjonuje druga wersja tytułu — *Akteon*. Świadczy o tym notatka sporządzona dla Jeleńskiego w liście Gombrowicza datowanym „16.IV.60” („Ukończona powieść «Akteon» jeszcze nie ogłoszona”) w porównaniu z listem do Giedroycia datowanym „3 X 57” („z tego widać, że wydanie Akteona na emigracji nieaktualne” — mowa niewątpliwie o *Pornografii*).

¹⁹ *Nota wydawcy*, [w:] Witold Gombrowicz: *Dzieła, t. 4: Pornografia*, red. nauk. tekstu J. Błoński. Kraków 1987 s. 153.

²⁰ Podstawowym celem działań podejmowanych przez Gombrowicza była publikacja, a po 1958 roku jedynym jego wydawcą był Jerzy Giedroyc, i nic nie wskazywało na możliwe zmiany — por. m.in. korespondencja z Chmielowcem (Archiwum Emigracji BUMK Toruń, sygn. AE/AW/LXXXVII A/2) z wczesnych lat 60. dotycząca możliwości druku w „Wiadomościach” (tj. po ukazaniu się pierwodruku *Pornografii*), z powodu licznych zmian wprowadzanych przez Grydzewskiego niemożliwych dla Gombrowicza — por. także R. Habielski, *Korespondencja Witolda Gombrowicza z Mieczysławem Grydzewskim*, Odra 1991 nr 11/12 s. 54–61.

powiernikiem spraw wydawniczych, autor *Pornografii* wyraża swoje niezadowolenie z pierwodruku²¹ — i następnym edycjom za podstawę tłumaczenia poleca brać wydanie francuskie²² (być może jednak z powodu łatwiejszego znalezienia tłumacza z francuskiego).

Powodów do niezadowolenia z pierwodruku miał Gombrowicz sporo. Najczęściej były to drobne błędy korekty — popełnione jednak w tak reprezentacyjnych dla książki miejscach, że rzuca to cień na kompetencje korekty w Instytucie Literackim. Były to błędy m.in. na stronie kontrtytułowej (podwojona litera „b” w nazwie serii — tj. „Biblioteka «Kultury»” i w tytule poprzednio wydanej książki Gombrowicza — *Transatlantyk* pisane łącznie).

Różnice między maszynopisem a pierwodrukiem w znacznej części polegają na modernizacji ortografii i interpunkcji Gombrowicza, który posługiwał się regułami ortograficznymi sprzed reformy w 1936 r. czy nawet 1891 r. — przede wszystkim w zakresie często obocznie występujących w maszynopisie „e” i „y” („poza tem”, „ze swoim pieniem rzewnem, kornem, piskliwem i niezarnem”, etc.) oraz grup „ija”, „ja” (np. „pani Marja”, „Amelja”, etc.)²³.

Pierwodruk mimo częściowych modernizacji zachowuje łączną pisownię wielu wyrazów („niedość”, „jako”, „popołudniu”, „jabym”, „jakby”, etc.).

Zmiany w zakresie interpunkcji przeważnie dotyczą przecinków, choć jest także dodanie kropki (np. „Piach. Droga. Pod górę.” — s. 62 — w maszynopisie „droga pod górę”).

Wydawca wprowadzał do tekstu autorskiego wiele nowych przecinków w określonych pozycjach (przede wszystkim przed spójnikami). Te pozycyjne zasady w wielu przypadkach budzą wątpliwości, np. w wypowiedzi „Nie wiem doprawdy, jak dziękować” — brak przecinka jest uzasadniony względami syntaktycznymi („jak” nie występuje w funkcji spójnika, ponieważ całe zdanie można interpretować jako okolicznościowy związek imiesłowowy) oraz semantycznymi (wypowiedź — pozbawiona przecinka — ma inne znaczenie niż z przecinkiem: jest frazesem, konwencjonalną formułą w ustach jednego z bohaterów — Waclawa, który wypowiada podobne formuły w całym dziele).

Zdarzają się także błędy pierwodruku wynikające z „poprawienia” autora (poprawki obecne w maszynopisie nie ręką Gombrowicza), np. zamiast autorskiego „zwyczajnie (młoda) twarz” — „zwyczajna (młoda) twarz” — czy „dupa” poprawiona na „tyłek”.

Zwraca także uwagę szereg niekonsekwencji, wskazujących na złą adiustację tekstu, z których wymienię tylko kilka bardziej wyraźnych:

- w stosowaniu majuskuły wymiennie z minuskułą w słowie „Pan” w dialogach Fryderyka z Witoldem (w maszynopisie konsekwentna minuskuła),

- w używaniu skrótowca „AK” — zwykle w formie „AK”, dwa razy „A.K.” (w maszynopisie konsekwentnie — „AK”),

- w zapisie poszczególnych słów — w zgodzie z zasadami wprowadzonymi w reformie z 1936 r. w większości przypadków, ale czasem nie (np. pisownia „acha” oboczna do „aha”, „spiżarni” i „spiżarni”),

- w stosowaniu reguł interpunkcji pozycyjnej (np. zachowanie autorskiego „[...]”, a mały brzdąc, biegł po trawniku, może syn kucharki?”),

²¹ Por. list Gombrowicza do Jeleńskiego, datowany „16.IV.60”, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke).

²² Por. list do Alastaira Hamiltona, dotyczący tłumaczenia *Pornografii* na angielski: „[...] je prefere le version française [...]”. List jest datowany „21.09.65”, kserokopia w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego (oryginał w Beinecke).

²³ Por.: Z. Klemensiewicz, *Historia języka polskiego*, t. 3. Warszawa 1985 s. 602–607.

– w typografii — od s. 41 do s. 49 w pierwodruku zwiększona interlinia, w przeciwieństwie do maszynopisu i wydania francuskiego, w których interlinia w całym tekście była jednakowa.

Zła adiustacja tekstu wskazuje na możliwość popełnienia błędów — szczególnie w zakresie interpunkcji. Korektą i adiustacją „Kultury” w tym czasie zajmowała się Zofia Hertz, czasem pomagał jej mąż, Zygmunt. Niestety, nie wydaje się możliwa do ustalenia osoba odpowiedzialna za redakcję pierwodruku *Pornografii* — jest jednak oczywiste, że wydanie zawiera wiele drobnych i irytujących błędów oraz rozwiązań odbiegających od autorskich, szczególnie w zmianach dotyczących interpunkcji.

1. 3. 2. Problem interpunkcji autorskiej

Interpunkcja spełnia w dziełach Gombrowicza wiele funkcji znaczeniowych, którym często ustępują pierwszeństwa funkcje składniowe — szczególnie dotyczy to przecinków²⁴, ich obecności albo braku w miejscach, w których powinny się znajdować według zasad interpunkcji pozycyjnej. W powieści dużo jest także wielokropków — pełniących niejednokrotnie rolę pauzy silniejszej od przecinka. Tekst *Pornografii* zawiera też — szczególnie w miejscach poprzedzonych długimi wypowiedziami dzielonymi przecinkami lub wielokropkami — znaczną ilość równoważników zdań.

Podstawową zasadą gombrowiczowskiej interpunkcji jest jej retoryczny — a nawet muzyczny — charakter.

Wymienię najbardziej znamienne przykłady znaczeniowych funkcji interpunkcji autorskiej w zakresie przecinków, przytaczając cytaty za pierwodrukiem — zaznaczając koniektury wydawcy wykrzyknikiem w nawiasie kwadratowym.

Przecinki

a) wprowadzają odpowiedni, często nietypowy, akcent wypowiedzi, a tym samym zwracają uwagę czytelnika na interpretacyjną ważność akcentowanego słowa, np.

[...], a mały brzdąc, biegł po trawniku, może syn kucharki?

b) oddają mowę naturalną, co prowadzić także może do zacierania granic wypowiedzi narratora i bohatera:

Zaiste w czasach tak trudnych chłopiec musi sobie pozyskać starszych, którzy są od niego potężniejsi, a to może osiągnąć tylko osobistym wdziękiem...

Interpunkcja Gombrowicza przekazuje czytelnikowi olbrzymie napięcie nagromadzone w dziele, przez dzielenie długich wypowiedzi narratora na frazy pokazuje pośpiech, natężenie — wyładowując się w długich opisowych pasażach.

Prawie każdy opisany przypadek pełni kilka funkcji jednocześnie, co widać m.in. w możliwościach wynikających z nieobecności przecinków (przecinki „nieautorskie” w przytoczonych poniżej przykładach zaznaczam wykrzyknikiem w nawiasie kwadratowym) — nieobecność ta może:

a) oddać opisywaną rozlewność i senność:

Bukiety drzew we wdzięcznych esach floresach alejek, ogród staczał się łagodnie, [!] tam, [!] gdzie za lipami przeczuwało się taflę stawu ukrytą — ach, zieleń w cienistej i słonecznej rosie!

²⁴ Por.: M. Ruszkowski, *Składnia prozy Witolda Gombrowicza*. Kielce 1993.

b) wprowadzać emocje — które „poszatkowane” przecinkami są zimne i nieprawdziwe:
Miałem takie wrażenie, jak gdyby (chłopiec) zjawił się nieproszony[!] po to jedynie[!] aby silniej rozplómić...

c) oddawać styl wypowiedzi, grający ważną rolę w kreacji bohatera:
Nie wiem doprawdy,[!] jak dziękować.

d) wprowadzając krótkie frazowanie, prowokować odczytanie teatralne (odgrywane scenariusze, krótkie wypowiedzi z obecnymi didaskaliami — por. scena rozgniatania robaka),

e) oddać równorzędność w opisie (która zanikłaby w razie uznania przecinka):
jaskrawość faktu tonęła w niebycie nocy,[!] i milczenia.

f) wprowadzając długie frazowanie, prowokują odczytanie ciągu epitetów w opisie jako monolitu — jednego plastycznego obrazu natłoku, oddanego także samym zanikiem przecinków:

Ale oto nadchodzi dziedzic, potężny,[!] nabrzmiały,[!] w kurtce zielonej na rozsadzającym cielsku, i, zaiste [...]

g) utrwalając swoiste „stopklatki” psychiki bohatera:
[...] — i wyciągnął rękę,[!] żeby go podnieść do ust — jednakże cofnięcie ręki było właściwie czymś jeszcze bardziej nieuzasadnionym [...]

h) rozładowując napięcie, mogą jednocześnie oddawać opisywane na poziomie narracji porozumienie między „młodością” a „dorosłością” w opisie zamykającym powieść

Był niewinny! Był niewinny! Naiwność niewinna biła z niego! Spojrzałem na naszą parkę. Uśmiechali się. Jak zwykle młodzież, gdy trudno wybrnąć z kłopotliwego położenia. I przez sekundę,[!] oni i my,[!] spojrzeliśmy sobie w oczy.

Interpunkcja retoryczna uzupełniana jest dźwiękiem poszczególnych sformułowań, np. kiedy po wzniosłych słowach o metafizyce dojrzałości, dwójka młodych bohaterów je obiad: siedzieli i jedli kluski — ale już nie np. „ziemniaki”. „Kluski” ze swoim „u” kuszą do rozciągnięcia, smakowania. „Ziemniaki” — prosto i zwyczajnie, krótko i grubo.

Podobnie, można zauważyć — koniektura słowa „dupa” (z głoską skłaniającą do przeciągnięcia) na „tyłek”. „Dupę” słyhać mocniej i odznacza się większą ekspresją, jest też bardziej obsceniczna w relacji „dupa-twarz”, jest jednak także słowem wulgarnym — stąd niespecjalnie pasuje do neutralnej „twarzy”. Zachowujemy jednak oczywiście wersję autorską.

Foniczne podkreślenie faktu obecnego w narracji może być dodatkowo potwierdzone przez powtarzalność:

było to [...] przebywałem był [...] w byłej [...] i w byłej [...]

Rytm obecny jest także w powtarzalności innego rodzaju, w „echowym” przypowiadaniu własnych słów — powtarzalności sklerotycznej i wywołującej efekt jak ze starych pamiętników sarmackich, powtarzalności charakteryzującej jednego z bohaterów — Hipolita, kreowanego na szlachcica z jego staropolskimi cechami, takimi jak gościność, wylewność, posiadanie „przysłów”:

I huknął:

— A to moja żona!

Po czym mruknął na własny użytek:

— A to moja żona.

I wrzasnął:

— A to Henusia moja, Heniutka, Henieczka!

I powtórzył, do siebie, ledwie dosłyszalnie:

— A to Heniusia, Heniutka, Henieczka!

Asonanse i zaburzenia składni w przytaczanych fragmentach stanowią dodatkowy sygnał dla odtwórcy, aby czytał w sposób rytmiczny, osiągając efekty meliczne. Pod tym względem *Pornografia*, przynajmniej w pewnych swoich fragmentach, zbliża się do partytury utworu muzycznego.

„Muzyczność” powieści jest potwierdzona dodatkowo przez aspekt konstrukcyjny, tj. obecność w tekście dzieła powtarzanych co pewien czas określonych wypowiedzi — dających wrażenie motywu, wokół którego organizują się klasyczne wielkie formy muzyczne, takie jak sonata, koncert czy symfonia.

Np. wszystkie sceny podróży obecne w powieści organizowane są wokół wypowiedzi typu *Jechaliśmy. Konie kłusowały*, powtarzanych w każdej ze scen, uzupełnianej — odpowiednio — wypowiedzią *Mnie śmiać się chciało*.

Strukturalne podobieństwo dwuczęściowej powieści Gombrowicza do wielkiej formy muzycznej, potwierdzone charakterem interpunkcji („melodia”) potwierdza tezę o retorycznej kompozycji dzieła — odwołującego się do sfery retoryki także w sferze narracji.

Już pierwsze słowa zapowiadają „gawędę szlachecką”:

Opowiem wam inną przygodę moją, jedną chyba z najbardziej fatalnych.

Wówczas, a było to [...]

Sumując trzeba stwierdzić, że rytm znaczący także przez interpunkcję stanowi ważny element konstrukcyjny dzieła, a sam sposób pisania Gombrowicza skoncentrowany jest wokół efektów muzycznych — co uprawnia autora pracy do uznania interpunkcji składniowo-retorycznej za podstawową w *Pornografii*.

Powieść ta nie doczekała się do tej pory wydania zgodnego z intencją autora — jej ortografia i interpunkcja bywała modernizowana w sposób najgorszy z możliwych, tj. niekonsekwentnie. Przyszłym badaczom trudno byłoby dociec tekstu autorskiego, który mógł mieć przed modernizacjami znaczenie większe, niż po nich, zwłaszcza w świetle jedyne go autorskiego zalecenia dla tłumaczy — troski o zachowanie rytmu, co świadczy o autorskiej intencji jego wagi w tekście.

Interpunkcja wprowadzona przez wydawcę pierwodruku „siecze” utwór Gombrowicza na sztucznie dyskursywne frazy, przed większością „że” jest w pierwodruku przecinek, przecinkami spowolnione są ciągi epitetów, rozbudowane frazy wyrażające namysł czy opisowość dzielone są na słabo przystające do siebie części — powieść Gombrowicza, dysponująca wcześniej szerokim oddechem przestrzeni włączana jest w pancierz pozycyjnej interpunkcji.

Modernizacje w zakresie pisowni są dozwolone — używane przez Gombrowicza „e” oboczne do „y” nie było „e” pochylonym, a raczej stylizacją, ponieważ to charakterystyczne dla Gombrowicza „e” (pochylone w postaci „sér”, wymawianym przez Gombrowicza „syr” czy w formie „palic”, który jednak jest wyraźną stylizacją na mowę wsi sandomierskiej) często występowało obocznie z „y” w warunkach braku możliwości takich oboczności („wtem” i „wtym”). Dostosowanie zapisu słów z formami „-ja” „-ija” do form używanych obecnie także zdaje się być uprawnione.

Gombrowicz czuł się doskonale w języku polskim; wszystkie asocjacje dźwiękowe, rytm, nadwężona i trzeszcząca od semantyki składnia, rymy wewnętrzne, asonanse i nawet typografia — okazywały się nie do przeniesienia nawet na, znany przecież z domu, francuski. Napisanie listu w tym języku było dla niego torturą — zwykł prosić o pomoc najbliż-

szych przyjaciół, w Argentynie często była to Zofia Chądryńska, która, jak wspomina²⁵, spędziła z nim kiedyś pół nocy w kawiarni, tłumacząc na francuski około pół strony listu — ciągle ją poprawiał, zmieniał składnię, usiłował oddać swoją myśl tak, jak zwykł ją zapisywać po polsku, zrozpaczony, że nie wychodzi. Istnieje wiele potwierdzających to świadectw i analiz stylistycznych²⁶, trzeba też zwrócić uwagę na samoświadomość pisarza i wiązanie się przez niego z muzyką: „Pisanie nazywał komponowaniem. Mam wrażenie, że z czasem traktował literaturę w sposób coraz bardziej muzyczny. Dawał często taki przykład. Jeśli IX symfonia Beethovena zaczyna się PA-PA-PA-PAAAM, to wewnętrzna logika tego początku wymaga, by ciąg dalszy zabrzmiał pa-pa-pa-paaam”²⁷.

Jak stwierdzał w listach dotyczących konkretnych rozwiązań edytorskich: „[...] ja na rytm jestem b. wrażliwy i z wielką premedytacją moje teksty pod tym względem opracowuję”²⁸.

Z listu do Olgi Scherer, tłumaczącej jedną z nowel na język angielski: „Zbrodnię proszę tłumaczyć, jak Pani serce dyktuje — tylko jeżeli można proszę postarać się o zachowanie rytmu”²⁹.

1. 3. 3. Problem ustalenia tekstu autorskiego

Ustalenie podstawy edytorskiej *Pornografii* jest jednym z trudniejszych zadań stojących przed gombrowiczologiem. Według zgodnych opinii i zachowanych świadectw Gombrowicz rękopisy niszczył, zachowując jedynie te, które w jego opinii były warte dalszej pracy („prawdziwy artysta nie interesuje się takimi szczegółami — to dobre dla naukowców i profesorów”)³⁰. Nie możemy jednak mieć pewności nieistnienia rękopisu *Pornografii*, zważywszy, że — jak na wyjątkowo zgodną opinię na temat niszczenia rękopisów — bardzo wiele manuskryptów z okresu późnoargentyńskiego zachowało się (istnieją co najmniej dwie rękopiśmienne wersje *Kosmosu*³¹ oraz pół tysiąca kart różnych wersji *Operetki* i *Historii*).

(Paczki z korespondencją, zdjęciami, tekstami ogłaszanymi pod pseudonimem i być może innymi — zostają pod opieką Marii Świeczewskiej³², obecnie w większości w prywatnym archiwum Rity Gombrowicz; według mojej wiedzy nie zawierały one papierów związanych z *Pornografią*.)

Nic nie upoważnia nas do podejrzewania istnienia rękopisu powieści, pewności jednak mieć nie możemy — analiza manuskryptu nie byłaby jednak decydująca w edycji, zważywszy sposób pisania autora — tj. wielokrotne przepisywanie na czysto — który ostateczne wersje przygotowane do druku oddawał w formie maszynopisu.

Podstawą omawianego wyżej pierwszego wydania był mp2, znaczony wieloma poprawkami — o których wspominałem wcześniej. Mp1, będący podstawą wydania francuskiego, zawiera niewielką ilość poprawek, w tym zaledwie kilka interpunkcyjnych. Oby-

²⁵ Według słów Rity Gombrowicz, [rozmowa zarejestrowana na taśmie magnetofonowej w posiadaniu autora pracy], 17.08.2000, Paryż.

²⁶ Por. zwł.: E. Sławkowska, „*Trans-Atlantyk*” Witolda Gombrowicza. *Studia nad językiem i stylem tekstu*. Katowice 1981; M. Ruszkowski, *Składnia prozy Witolda Gombrowicza*. Kielce 1993.

²⁷ *Tango Gombrowicz*, zebrał, przeł. i wstępem opatrzył R. Kalicki. Kraków 1984 s. 305.

²⁸ List Gombrowicza do Giedroycia, datowany 3.V.51, a więc długo przed *Pornografią*, archiwum Instytutu Literackiego, Maisons-Laffitte, Francja. [List dotyczy *Trans-Atlantyku*, nie był drukowany.]

²⁹ J. Siedlecka, *Jaśniepanicz*. Kraków 1987 s. 259.

³⁰ R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie. Świadectwa i dokumenty 1963–1969*, przekład O. Hedemann [i inni], tekst polskiego wydania przejrzał J. Jarzębski. Kraków 1993 s. 337.

³¹ Co prawda, druga wersja *Kosmosu* powstała w Europie, już w Vence.

³² *Tango Gombrowicz*, s. 367.

dwie kopie zawierają wiele poprawek ręką Gombrowicza w identycznych lokalizacjach — co świadczyłoby o przygotowaniu przez autora kilku kopii w tym samym czasie i nie wprowadzaniu zmian w kopiach później.

Pierwodruk — niszcząc interpunkcję autorską, istotną, jak pokazałem, w strukturze dzieła — w znaczący sposób odbiega od tekstu autorskiego. Nie może zatem — wbrew opinii Błońskiego — stanowić podstawy edytorskiej.

Podstawą taką może być wyłącznie maszynopis, który niewątpliwie powstał pod kontrolą Gombrowicza. Z powodu zmian wprowadzonych w interpunkcji w kopii będącej podstawą pierwodruku (tj. w mp2, chronologicznie najpóźniejszej) — najprawdopodobniej podczas opracowania tekstu do druku przez wydawcę — podstawą interpunkcji w proponowanej edycji jest kopia wcześniejsza (mp1), raczej nie zawierająca poprawek wydawcy³³.

Tytuł powieści pozostawiam bez zmian, mimo wprowadzanego w niektórych przekładach wariantu *Uwiedzenie*. Gombrowicz zgryźliwie komentował wprowadzane przez wydawców zmiany tytułu³⁴ i godził się na nie pod naciskiem, nie chcąc opóźnić swoich nowych wydań. Nic nie uprawnia nas do wątplenia w czysto handlowy aspekt zgody pisarza, a tym samym do zmiany tytułu.

Pierwodruk powieści ukazał się w języku polskim, chociaż realna była możliwość pierwodruku w języku francuskim, opóźnionym z powodu afery z Anną Posner. Jak wspomniałem, wydanie francuskie było ostatnim wydaniem za życia autora, nad którym sprawował on kontrolę — teoretycznie zaś może aspirować do rangi podstawy edytorskiej.

Oczywiście, naturalnym środowiskiem Gombrowicza, jak też jego literatury, jest język polski — nie marginalizowałbym jednak znaczenia ewentualnych koniektur dokonanych w pewnych fragmentach wydania francuskiego — które powinny stanowić dla nas sygnał „bezwzględnie się zatrzymaj” przy odpowiadającym koniekturze fragmencie w języku polskim.

Wydanie francuskie może stanowić dla wydawcy pewne odniesienie — w sytuacji braku korekty powieści³⁵, (autor *Pornografii* nie miał też w zwyczaju nanoszenia poprawek na własny egzemplarz) — może uzupełniać nasze postępowanie dowodowe w szukaniu ostatecznie przyjętego przez autora słowa³⁶, ale — zważywszy na osadzenie pisarstwa Gombrowicza w języku polskim, w tym wagę rytmu — nic poza tym.

Motywuując to udowodnionym wyżej wykorzystywaniem przez autora interpunkcji składniowo-retorycznej, nie zaś pozycyjnej, przyjąłem zasadę zachowania interpunkcji z maszynopisu — a ponieważ mp1 najprawdopodobniej nie był opracowany w Instytucie Literackim, przyjmuję tę kopię maszynopisu — z nielicznymi poprawkami niewątpliwie ręką Gombrowicza — za podstawę tekstu w zakresie interpunkcji.

Przygotowanie tekstu do wydania krytycznego wymagałoby jedynie weryfikacji autentyczności autorstwa tej interpunkcji w wątpliwych miejscach.

Ogólna zasada edycji została jednak zachowana, jednakowoż przy braku pewności przyjętych rozwiązań szczegółowych. Uznałem jednak, zgodnie z propozycją Konrada Górskiego, za swój obowiązek wierność autorowi, wychodząc z założenia bazującego na zakła-

³³ W „Kulturze” do adjustacji tekstu przystępowano bezpośrednio przed drukiem — zaś mp1 przynajmniej kilka miesięcy przeleżał w Maisons-Laffitte bez decyzji Jerzego Giedroycia co do druku. [Źródło informacji o sposobie pracy w „Kulturze” — Renata Głowacka, ostatnia korektorka „Kultury”, na podstawie rozmowy z Zofią Hertz, dawną korektorką pisma i wydawnictwa.]

³⁴ Por. m.in. korespondencja z Alai-stairem Hamiltonem (Beinecke).

³⁵ Nie udało się odnaleźć korekty do wydania polskiego (Instytut Literacki) ani do wydania francuskiego (Denoel).

³⁶ Np. w sytuacjach typu „niedzielną wieś” [w maszynopisie] i „nasza wieś” [w pierwodruku] — wydanie francuskie rozstrzyga na korzyść maszynopisu.

dzie Pascala: skoro w wielu przypadkach interpunkcja autorska jest celowa, to być może jest nią także poza analizowanymi przypadkami, lepiej zatem pozostawić ją bez zmian.

Wyjątkiem jest jedyna koniektura w zakresie interpunkcji — wprowadzenie jednego przecinka, którego w mp2 nie było, był natomiast w mp1. Miejsce przecinka znajdowało się na końcu wersu, kończącego jednocześnie całą kartę, i najprawdopodobniej wynikało z przeoczenia, wynikłego z pospiesznej adjustacji tekstu przed bardzo pilną wysyłką do wydawcy.

1. 3. 4. Dodatkowe uzasadnienie przyjętych założeń edytorskich: jeden dzień z życia Witolda Gombrowicza

Celem autora *Pornografii* była przede wszystkim publikacja. Publikacja — nawet za cenę błędów, których nie zawsze mógł poprawić w późniejszych wydaniach³⁷. Nakłada to na nas szczególną odpowiedzialność i skłania do przedstawienia procesu twórczego pisarza — którego życie ukierunkowane było na własne dzieło, co zobowiązuje nas do próby rekonstrukcji jednego dnia z życia autora w czasach powstawania *Pornografii*, tj. między rokiem 1955, odkąd zrezygnował z pracy, do czerwca 1960 roku, kiedy ukazuje się polski pierwodruk powieści.

Gombrowicz prowadził niezwykle metodyczny tryb życia. W Tandilu — podobnie jak w Buenos Aires — wstaje późno, około dziesiątej. Później herbata z cytryną, kanapki z szynką i serem. Mała kawa. Przed południem pisze. Codziennie o siedemnastej w kawiarni „La Rex”. (Podczas późniejszych pobytów w Tandilu jest to bar „Ideal”, do którego Gombrowicz także wcześniej uciekał, kiedy do „Rexa” przychodziła orkiestra Włocha don Vito.) Przed kawiarnią często partia szachów w barze „9 de julio”³⁸.

W Buenos Aires zachowuje podobny tryb życia. Swoim przyjaciółom zabrania przeskadzać mu przed południem. Wiemy z wielu źródeł, że wtedy właśnie pisze — metodycznie, o stałej porze i codziennie, nie poprawiając ani nie skreślając, a przepisując te partie tekstu, które nie są dla niego dostatecznie dobre, po kilka razy. Po obiedzie drzemie, wstaje po 16. Goli się. Wychodzi na spacer, idzie do jakiegoś baru na kolację, często jest to „El Querandi”, opisane w *Dzienniku*.

Zwyczaj pisania przed południem zachował także na ogół w Vence, gdzie wstawał wcześniej (około dziewiątej). Pisanie kończył „dokładnie w południe (był bardzo punktualny) [...]”³⁹ — po południu pił herbatę i odpowiadał na listy (co nazywał „zarządzaniem sławą”), później słuchał muzyki z płyt, a przed pogorszeniem się choroby wychodził jeszcze do kawiarni (najczęściej była to „Regence”, widoczna z balkonu jego mieszkania, albo inna, „Select”) — na partię szachów.

Przedstawiony tok życia wyłania obraz osoby niezwykle systematycznej i precyzyjnej, świadomej swoich celów — co, niezależnie od innych ustaleń, pozwala przypusz-

³⁷ Błędy uwidaczniają się przy konfrontacji tekstu autorskiego z pierwodrukami, zważywszy na fakt powrotu w późniejszych wydaniach do tekstu autorskiego. Szczególnie interesujący jest przypadek *Bankietu*, ponieważ nowela ta — w przeciwieństwie do większości dzieł Gombrowicza — doczekała się drugiego wydania w języku polskim. Tekst autorski noweli jest szczególnie uporządkowany według zasady rytmicznej — pierwodruk różnił się w dużym stopniu od maszynopisu — do którego powraca drugie wydanie noweli w 1956 r. [Wydanie to miało miejsce w PRL, zmiany nie były jednak warunkowane cenzurą, ponieważ 1) dotyczą niemal wyłącznie interpunkcji, 2) są identyczne z maszynopisem przesłanym do wydawcy pierwodruku przed wprowadzeniem przez niego poprawek.]

³⁸ *Tango Gombrowicz*, s. 218.

³⁹ R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie*, s. 334.

czać, że wersja ostateczna tekstu — za którą należy uznać maszynopis — także jest konstrukcją niezwykle przemyślaną, w której zmiana elementu niewiele znaczącego w piśarstwie innego typu zubaża konstrukcję dzieła.

1. 3. 5. Uzasadnienie sposobu graficznego przedstawienia tekstu

W tekście powieści dominują opisy — stąd czcionka powinna być większa niż zwyczaj a interlinia nie może być za duża. Z kolei składnia jest skomplikowana i rządzi się zasadą rytmu, co zmusza do zachowania takiego sposobu druku, aby nie czynić czytania trudniejszym — a nawet aby prowokować recytację tekstu; być może przesadzam w drobiazgowości, tym niemniej warto to uczynić, zważywszy na oddanie tekstu w dotychczasowych wydaniach w sposób promujący jedynie warstwę fabularną dzieła, zubożający je zaś o rytm. Potraktowanie tekstu w proponowany — zgodny, co najważniejsze, z tendencjami Gombrowicza — sposób, zapobiega „zlewaniu” się wersów w wielki tekstowy „korpus”, nie rozdrabniając jednak tej struktury — łatwiejszym czyni zauważenie rytmu, nie utrudnia zaś znacząco czytania w sposób fabularny.

Tym samym zdecydowaliśmy się na czcionkę innego typu niż *roman*.

Rzeka oniryzmu nie powinna być regulowana tamą realizmu — i odwrotnie. W piśarstwie Gombrowicza, jak wspomnieliśmy, te skrajne odczytania są podobnie uprawnione. Poza poziomem fabularnym sama typografia tekstu może narzucać interpretację. Zdecydowaliśmy się na czcionkę mającą bardziej informacyjny charakter, przez jej zwiększenie poza standard umożliwiając lekturę poszczególnych fraz — oprócz pozostawionej możliwości czytania fabularnego (które przyjęta czcionka ułatwia ze względu na prostotę kroju i wprowadzone w większym stopniu niż w czcionkach typu *roman* światło).

Sprawa nie jest problemem wymyślonym, była podnoszona niejednokrotnie, jeżeli chodzi o samego Gombrowicza, m.in. przy przygotowaniu *Dzieł* paryskich zarówno przez Konstantego Jeleńskiego⁴⁰, jak Ritę Gombrowicz, w literaturze zaś zaznaczyła się m.in. fatalnym wydaniem francuskim dzieł Kafki, co doskonale ujawnił Kundera⁴¹.

1. 3. 6. Ogólne zasady przyjęte w proponowanej edycji

Jak uzasadniłem, ogólną podstawą jest drugi polski maszynopis powieści, z uwzględnieniem zaledwie kilku z bardzo wielu poprawek w interpunkcji naniesionych na maszynopisie (w tym wszystkich autorskich z mp1), oraz przy porównaniu poprawek kilku konstrukcji z pierwszym wydaniem w języku francuskim.

Podstawową zasadą, którą przyjąłem w proponowanej edycji, jest wierność rozwiązaniom będącym niewątpliwie autorstwa Gombrowicza. Wszelkie niemożliwe w tej chwili do rozwiązania wątpliwości, w tym szczególnie wiążące się z interpunkcją, rozstrzygam na niekorzyść poprawek — z przyczyn wcześniej wyszczególnionych.

Pozostaje dążyć do zweryfikowania przyjętych — zgodnych z dotychczasowymi ustaleniami — rozwiązań, mając nadzieję, że nie wykrzywają one dzieła Gombrowicza, a pozwolą na jego lepsze rozumienie*.

⁴⁰ Por.: Archiwum3 s. 388.

⁴¹ Por.: M. Kundera, *Zdradzone testamenty. Esej*, z francuskiego przeł. M. Bieńczyk. Warszawa 1996 s. 107–108.

* Ustalenia edytorskie w niniejszej pracy były możliwe dzięki kwerendom sfinansowanym przez Fonds d'Aide aux Lettres polonaises indépendantes i pomocy wielu przyjaznych ludzi.

REŻYSER, FILOZOF, ŚWIADEK

ESTETYKA ZŁAMANIA

W UTWORACH ZOFII ROMANOWICZOWEJ

Alice-Catherine CARLS (USA)

Jeśli dialektyka złamania ma być symbolem XX stulecia, to Zofia Romanowiczowa jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli pisarzy XX wieku. Jej powieści i opowiadania opisują liczne stopnie i formy fragmentacji oraz chwiejnego uzdrowienia. *Trybulacje proboszcza P.* — jej ostatnia powieść — w pełni ujawnia stopień w jakim jej dzieło przekształca doświadczanie różnorodności w potężną broń poznawczą i estetyczną. Niniejszy artykuł proponuje odczytanie dzieł Romanowiczowej na trzy sposoby, wskazując w ten sposób ich precyzyjną konstrukcję i zawłość zamysłu. Zofia Romanowiczowa pełniąc rolę Narratora staje się jednocześnie reżyserem, filozofem oraz świadkiem.

Reżyser

Powieści Zofii Romanowiczowej rozwijają się jak tragedie greckie, wypełnione „wściekłością i wrzaskiem” napięć pomiędzy tym, co ukryte i tym, co ujawnione; tym, co powiedziane i niewypowiedziane, znane i nieznanne, wyuczone i nieznanne. Napięcie jest wzmocnione poprzez zastosowanie metody kompozycji znanej jako *en abîme*, która pozwala artyście odtwarzać scenę główną w mniejszej skali, zwielokrotniając w ten sposób jej początkowy efekt. Autorka stosuje tę technikę w sposób urozmaicony i innowacyjny. Przeznaczenie ingeruje w życie bohaterów w postaci pożarów, burz lub powodzi, które podkreślają boleśnie przeżyty różnorodność poprzez fizyczne wysiedlenie. Te naturalne katastrofy powtarzają główny wątek powieści, tzn. uraz II wojny światowej. Często zdarza się — jak w *Trybulacjach Proboszcza P.*, że opowiadania głównego bohatera i jego protagonisty pobrzmiwają wzajemnym echem.

Inną formą kompozycji *en abîme* jest powtarzanie krótkiego, żywego opisu (cameo) szczytowych elementów narracji związanych z cierpieniem i śmiercią tzn. dwóch nie-szczęść wywołanych przeznaczeniem a powodujących fragmentację. W dziele *Trybulacje Proboszcza P.* opowiadanie o doznanych doświadczeniach Iny w obozie koncentracyjnym i jej śmierć są powtarzane w trakcie powieści, przy czym każde niekompletne cameo tając część informacji sprawia, że napięcie narasta. Odmowa opowiedzenia o cierpieniach, czy

też powierzchowne do nich aluzje kontrastują ze scenami poprzedzającymi opowiadanie Iny, pełnymi długich, drobiazgowych opisów pozornie trywialnych przedmiotów lub zajęć. To samo dotyczy jej śmierci, która powstrzymywana w liniowym przebiegu czasu powieści jest „przeniesiona” do bezpieczniejszej sytuacji — do momentu zakończenia pierwotnego wątku, gdzie staje się załącznikiem nowej historii. Zatem życie i śmierć Iny stają się częścią szerokiej refleksji na temat śmierci, która rezonuje bogatą siecią skojarzeń i wspomnień. Opóźnienie elementów narracyjnych dramatyzuje emocje, podczas gdy powtarzalność uwypukla chwilę decydującą o życiu.

Język powieści świetnie wspomaga reżyserię. Samej Zofii Romanowiczowej nie są obce języki obce. Zna francuski średniowieczny ze swojej pracy doktorskiej, niemiecki z obozów, współczesny francuski — język emigracji, pierwsze dziecięce słowa, dialekt prowansalski oraz w *Trybulacjach Proboszcza P.* „pagaron” — słowo z koszmaru, słowo z podświadomości. Język jest nadzieją, początkiem, nauką i uzdrowieniem, ale może także być jak rażenie pioruna wobec bolesnego przeżycia. Może zostać użyty jako narzędzie odkrycia lub poddawania narracji zabiegowi synkopowania, przerywając poetyckie fragmenty, szczegółowe opisy i wyszukane zdania związłymi, bądź lapidarnymi powiedzeniami, wykrzyknikiem, zwrotem potocznym lub mentalnym „skrótem”. Zatem czytelnik postawiony w obliczu wyzwania przez niecierpliwość autorki, przeskakuje po rozdziałach powieści, doświadcza fragmentacji i jest zadziwiany nieoczekiwanym zwrotem losu.

Sokratyczna metoda przepytywania jest bardzo skutecznym narzędziem reżyserowania procesów uczenia się głównego bohatera. Postaci Zofii Romanowiczowej są niekompletne w specyficzny sposób: czy to niewinne dziecko, czy zbita z tropu młoda kobieta, wszyscy muszą się czegoś nauczyć. Dociekliwość jest kluczowa dla dzieciństwa i uzdrawiania post-traumatycznego; uczy człowieka pokonywać problemy egzystencjalne. Dociekliwość pozwala człowiekowi zbudować lub odbudować świat spójny, o ile to w ogóle możliwe. Dzieci odkrywają świat poprzez język, po jednym słowie na raz, a ich nauka jest odzwierciedlona w odkryciach dorosłego. W utworze *Baśka i Barbara*, Baśka poprzez język przyswaja sobie świat dokoła siebie, podczas gdy jej matka rozważa istotne pytania wywołane przez poznawczy proces swojej córki. W powieści *Ruchome schody* za pomocą prostych pytań mały Tomuś odkrywa ogrom wszechświata, podczas gdy jego babcia rozmyśla nad tajemnicą tworzenia. W wielu powieściach Zofii Romanowiczowej młode kobiety uczą się ponownie żyć po doświadczeniach traumatycznych poprzez zadawanie pytań swemu otoczeniu, począwszy od pytań o miejscowe zwyczaje, aż po pytania o Boski cel wobec rodzaju ludzkiego.

Choroba, wewnętrzny przymus i marzenia jako symbole zmienionych stanów świadomości pozwalają Zofii Romanowiczowej zgłębić czasem ostre, a czasem zamazane granice normalności i świadomości, oraz udramatyzować inność. Symbole te stanowią także mocną metaforę alienacji i fragmentacji doświadczanej przez tak wielu w XX wieku, pełnym przemocy i gwałtu. W powieści *Sono Felice*, młoda kobieta spieszy się, jakby popychana niewidzialną ręką. W *Trybulacjach Proboszcza P.*, kiedy nocne koszmary otwierają drzwi do podświadomości, akt przebudzenia się z koszmaru jest porównany do zatraskujących się drzwi. W utworze *Na wyspie* narkolepsja zmusza młodą kobietę do zejścia niebezpiecznie blisko wody. W powieści *Skrytki* dziecko trawione gorączką budzi się z okropnym pierwotnym krzykiem swego nowego nienormalnego jestestwa umysłu zniszczonego szczepionką.

Tajemnice świetnie nadają się do przedstawiania dylematów zaufania i porozumiewania się. Niemal wszystkie postaci Zofii Romanowiczowej mają swoje tajemnice, ich ukryte przecucie wzbierające pod pozornie normalną powierzchnią stosunków międzyludzkich. Tajemnice skrywane przed mężem (*Sono felice*), stare jak świat listy miłosne

ukryte w skrytce w mieszkaniu (*Skrytki*), tajemnicza walizka zawierająca życiowe tajemnice (*Ruchome schody*), pamiętniki czytane w sekrecie w zaciszu strychu, oraz torebka zawierająca sekretne dokumenty Iny (*Trybulacje Proboszcza P.*), wewnętrzne monologi skrywane w tajemnicy przed przypadkowym, otwartym przepływem codziennego komunikowania się — wszystkie te bolesne tajemnice rozdzielają ludzi. Czy powinny być wyjawione? Odmowa dzielenia się nimi jest ważnym przywilejem, który powinien być respektowany — jednak mógłby wskazywać na niezdolność zaufania lub współdzielenia. Tak jak tajemnice mogą uratować życie lub je zrujnować, dotrzymanie tajemnicy oznacza albo lojalność, albo obojętność, podczas gdy jej ujawnienie oznacza pomoc lub brak lojalności. Tajemnice są nie tylko symbolami złamania porozumiewania się, ale są też okazją do zbadania tego, co dozwolone i tego, co etyczne. Co więcej, tajemnice są zazdrośnie strzeżone jako ostatnie schronienie człowieczeństwa i stanowią narzędzie przeżycia, które przywraca ofierze ludzką godność w akcie wierności, przypominającej cześć. Skrytka ujawnia tylko kolejne tajemnice, walizka spłonie zanim jej zawartość zostanie odczytana, a sekretne lektury na strychu nigdy nie będą wyjawione. Jednakże w *Trybulacjach Proboszcza P.* tajemnica Iny jest ujawniona. To ważne odstępstwo od poprzednich powieści chyba sygnalizuje, że uzdrowienie jest możliwe.

Wszystkie powieści Zofii Romanowiczowej charakteryzuje przemienność stylu wzniosłego i przyziemnego. Mimo iż ta metoda literacka nie jest nowa, sposób użycia jej przez autorkę jest rewolucyjny. „Przyziemne” wątki służą kilku celom. Głównym zadaniem jest przemieścić opowiadanie. Szczegóły dotyczące obowiązków domowych, przygotowania posiłków lub innych przyziemnych prac dostarczają parawanu, poza którym kulminacyjny punkt historii może być wyrażony. Po drugie, zestawienie banalnych szczegółów z wielkimi poetyckimi opisami podkreśla różnorodność codziennych czynności. W powieści *Skrytki* jeden z najpiękniejszych opisów wczesnego świtu jakie kiedykolwiek zostały napisane po polsku — być może z wyjątkiem opisu nocy Józef Wittlina w utworze *Sól ziemi* — poprzedza scenę domowego śniadania. To przejście pomiędzy stylem wzniosłym a przyziemnym jest szczególnie istotnym aspektem dzieł Zofii Romanowiczowej, tym, który został błędnie odczytany przez tych krytyków, którzy nie rozpoznali rewolucyjnego zerwania pisarki z „arystokratycznymi” konwencjami powieściowymi w Polsce w czasie powstawania jej dzieł — trzeci cel tej dychotomii wzniosłości i przyziemności.

Filozof

Jako filozof Zofia Romanowiczowa bada istotne zagadnienia w celu ustalenia wartości. Filozofia przez nią stosowana jest konkretna, a spekulatywna jej część sprawdza różne „jeśli” w życiu. Czy panujemy nad sobą? Kto panuje nad sobą? Czy jest nadzieja? Czy brzemienne w skutki chwile zmieniające nasze życie mogą być cofnięte? Czy rozkosz Edenu trwa wiecznie? Czy tragedia jest nieunikniona? Czy kontinuum życia jest zrujnowane przez przeznaczenie, zło, ignorancję lub obojętność? Dlaczego zdarza się tragedia? Jak można poradzić sobie z bólem i rozpaczą? Czy można zachować człowieczeństwo? Tego rodzaju problemy są udratyzowane przez dualistyczny pogląd podkreślający stany ekstremalne różnorodności: przebudzenie — sen, czas obiektywny — czas subiektywny, jedność — oddzielność, życie — śmierć, normalność — choroba, przynależność — odrzucenie, bycie razem — samotność, jedność — obcość.

Dynamika związków typu miłość — nienawiść, jedność — oddzielność szczególnie dobrze poddaje się rozważaniom filozoficznym. Zofia Romanowiczowa bada szeroki zakres relacji. W powieści *Baśka i Barbara*, autorka bada jedność relacji dziecko — rodzice wobec oddzielenia; w utworze *Sono felice*, miłość małżeńską wobec cudzołóstwa;

w *Skrytkach* wzajemne relacje małżonków i relację dziecko — rodzice; w utworze *Na wyspie*, związki między ojcem a córką; w *Ruchomych schodach* relację między wnukami a dziadkami i przyjacielem płci żeńskiej lub męskiej; z kolei w *Trybulacjach Proboszcza P.* wzajemne związki pomiędzy trzema przyjaciółkami. Związani podobną naturą, podobnym doświadczeniem i podobnymi potrzebami bohaterowie intensyfikują relację przyciągania — odrzucenia. Bohaterowie często grają w kotka i myszkę z własnymi uczuciami i ze sobą nawzajem jako część szerszej gry w chowanego ustanowionej przez budowę powieści *en abîme*. Chwile współdzielone są intensywnymi epizodami quasi-obsesyjnego bycia razem, ale są krótkie, przerywane przez burzliwe konfrontacje wynikające z inności i wybuchów nienawiści. Związki wzajemne nigdy nie są proste, ani przewidywalne; jak w greckiej tragedii konfrontują dwóch protagonistów w beznadziejnych i krótkotrwałych aktach miłości lub nienawiści. Co zbliża ludzi, a co ich od siebie odsuwa? Czy wzajemne relacje są możliwe? Do tego starożytnego pytania stawianego na nowo przez każdą nową generację Zofia Romanowiczowa dodaje nowe wartości, kreując w ten sposób własnego „bohatera o tysiącu twarzach”.

Czas jest badany w kontekście porozumiewania się i języka. Poprzez reżyserowanie tego, co powiedziane i tego, co niewypowiedziane oraz przemieszczenie liniowe porządku narracyjnego, Zofia Romanowiczowa kreuje nierówną chropowatą progresję czasu. Narracja raz wybiega do przodu, a raz zwalnia lub ulega zamrożeniu, przyspieszenie jest nie tylko użyte, by zwiększyć napięcie, ale także by podkreślić nieuchronność zniekształconego czasu. Czas powieści jest podzielony pomiędzy obiektywny „zewnątrzny” czas a subiektywny „wewnętrzny” czas psychologiczny, a każdy z nich trzyma ten drugi na uwięzi. Podział opowiadania pomiędzy akcję i refleksję także odzwierciedla kontrast pomiędzy fragmentacją a ciągłością czasu. Innym środkiem stosowanym przez Romanowiczową jest stworzenie czasu, który autorka nazywa „międzyczasem”. W powieści *Skrytki*, decydująca sekunda podjęcia decyzji pozostaje zawieszona na wieczność. W ten sposób czas rozbity pomiędzy swe dwa skrajne wymiary jest scalony w momencie przełomowym, brzemienne w skutki sekunda i tworzenie zniszczone, Eden przekształcony w koszmar, północny bieg rzeki odwrócony na południowy, normalne dziecko po obudzeniu — trwale kalekie.

Kreacja i jej przeciwieństwo — destrukcja są częstymi tematami w dziełach Zofii Romanowiczowej. Życie jej bohaterów jest zrujnowane przez obóz koncentracyjny, więzienie, chorobę, przykładowania lub wygnanie. W *Skrytkach*, gdy oboje rodzice bezradnie obserwują jak cud stworzenia dziecka przekształca się w koszmar jego destrukcji, kwestionują oni swą moc tworzenia, tak jak Bóg musiał kwestionować Swą moc, gdy Adam i Ewa zjedli jabłko — mówi Zofia Romanowiczowa. Czy my w ogóle mamy moc tworzenia? Co powoduje destrukcję? Czy przeznaczenie jest ślepe? Czy grzech pierworodny skazał nas na egzystencję pełną cierpienia? O śmierci, ostatecznej destrukcji i ostatecznym wygnaniu Zofia Romanowiczowa ma wiele do powiedzenia, zwłaszcza w *Trybulacjach Proboszcza P.*, gdzie chwila i sposób śmierci są starannie odtworzone jako fenomenologia, jako oczyszczająca narracja. Nagła śmierć Iny jest wirem ewokacji wielu obrazów śmierci gwałtownej — śmierć w obozach koncentracyjnych, śmierć Hugenotów, śmierć w czasie Francuskiej Rewolucji.

Samo złamanie jest charakterystyczna dla postaci kobiecych Zofii Romanowiczowej. Wszystkie one są w poznawczym dysonansie ze sobą: bezradne lub pod kontrolą, akceptujące bądź odrzucające innych, akceptowane bądź odrzucane przez innych. Po części doświadczają życia z naiwnego lub niewinnego punktu widzenia, co czyni je nieco bezradnymi wobec swego środowiska lub zależnymi od starszych mężczyzn lub kobiet w swojej inicjacyjnej podróży w życie, a jeszcze inna ich część panuje nad sobą, rozpisuje role, obserwuje, kontroluje, organizuje i narzuca wolę. Niektóre postacie męskie (*Sono Felice*, *Skrytki*) są

przedstawione jako charaktery silne, niezależne, wszechwiedzące, tajemnicze, nieprzewidywalne i autorytatywne, w istocie obce i niezrozumiałe. Starsze kobiety, które są przedstawione w ten sam sposób (*Skrytki, Trybulacje Proboszcza P.*), także wykazują pewien rodzaj fascynacji młodymi postaciami żeńskimi. Starsi protagoniści mają odgrywać rolę inicjatora(-rki), jednak poprzez działanie *deus ex machina*, unikają podjęcia wstępnej wzajemnej relacji i raczej odpychają młode kobiety, niż wychowują je. Ta nieoczekiwana lekcja niszczy wzorzec ich życia, a jednak umożliwia zrobienie czegoś, paradoksalnie zaświadczając o opiece i trosce wykazywanej przez starszą generację.

Zofia Romanowiczowa jest przede wszystkim filozofem wygnania. Autorka bada wiele form: zwłaszcza inność w ogóle, która pod pojęciem alienacji była znakiem rozpoznawczym XX stulecia. Wygnanie jest spowodowane cierpieniem, które zamyka postaci w piekielnym kręgu pamięci, z daremną próbą ucieczki z jej straszliwych objęć i uwalnia egzorcyzmami brzemienny w skutki moment, który zmienił czyjeś życie. Cóż można uczynić? Uciec? Ukryć ból tak głęboko, żeby nikt nie mógł go dotknąć? Zapomnieć o „a jeśli”, wspomnieniu chwili, która zmieniła cud życia w koszmar destrukcji? *Przejście przez Morze Czerwone* opisuje spotkanie dwóch byłych więźniarek Ravensbrück; z których jedna odwróciła się od przeszłości, a druga pozostała w niej zamknięta. Obie przyjaciółki stanowią dwie połowy złamanego koła, niezdolne do dzielenia się wspomnieniami. *Trybulacje Proboszcza P.* poszerzają koncepcję wygnania łącząc wygnanie Iny, która przetrwała medyczne eksperymenty w obozie koncentracyjnym w czasie II wojny światowej, z wieloma innymi emigracjami (młoda Polka uwięziona w stanie wojennym w latach 80.; ksiądz P., który przeżył okrucieństwa Rewolucji Francuskiej; protestanci z Sewenny, którzy przetrwali podczas Kontrreformacji w XVII wieku).

Przetrwanie jest szczególną formą wygnania. Wszyscy jesteśmy wygnańcami — mówi Zofia Romanowiczowa, która rozkłada na czynniki pierwsze rzeczywistość przetrwania, a mianowicie destrukcję znajomych miejsc i przedmiotów, stratę ukochanych osób i wynikający stąd wewnętrzny wymiar wygnania. Bohaterowie zbierają fragmenty swego zwichrowanego życia, oglądając swoje nowe ludzkie i fizyczne środowisko oczami inności, z pewnego rodzaju niewinnością, która czyni ich zakłopotanymi lub zagubionymi. Muszą odcyfrować nowe sposoby życia, co sprawia, że trudno im odnosić się do innych lub czuć się jak „w domu”. Czy inność można przewyciężyć? W większości wypadków Zofia Romanowiczowa odpowiada, że nie. Jednego dnia przynależąc, innego będąc osobą obcą, wygnanie zawsze jest związane z poczuciem wykluczenia lub samym wykluczeniem. Jedyne możliwe wzajemne relacje to związki z miejscami lub ludźmi, którzy pozwalają na intensywne lub bezpośrednie więzy; Eden zostaje odtworzony ze względu na intensywne, lecz krótkie momenty zawsze zakłócone przez gwałtowne i nagłe oddzielenie (Boski gniew w Raju, akcja Gestapo, nocne stukanie policji do drzwi lub nieoczekiwany gniew postaci mentorskiej). Wygnanie przechowuje często tylko wirtualne życie społeczne, wtrącając w samotność, ponieważ niewinność i spontaniczność zostały zachwiane, gdy grzech pierworodny został popełniony. Czym są te odtworzone Edeny? Kafekami jako miejscami chwilowej przelotnej obecności, zamkniętymi i kompletnymi światami z ich własnymi rytuałami (czarna kawa i papierosy) oraz wspomnieniami; krajem Sewenny jako żywym, stabilnym, odosobnionym światem; domatorstwem jako wymarzonego komfortem, pożądanym bezpieczeństwem zauważalnym z zewnątrz; językiem jako środkiem uzdrawiającym, ponieważ nazywanie pokazuje potęgę życia wobec śmierci; i w końcu rytuałem jedzenia — egzorcyzmem destrukcji, głównym dla życia post-traumatycznego, kultuwującego nowe wspomnienia zakorzenione w konkretnym elementarnym świecie codziennych potrzeb.

Świadek

Zdolność Zofii Romanowiczowej do łączenia obserwacji i konkretnej, praktycznej znajomości z potężnymi narzędziami fikcji i narracji czyni jej powieści czymś wyjątkowym. Czytanie ich jako aktu świadectwa sprawia, że poznajemy ich głębokie korzenie w historii drugiej połowy XX wieku. Drobiazgowo opisy krajobrazów miejskich, piękne opisy przyrody, opisy smakowitego jedzenia, najdrobniejsze emocje macierzyństwa są niezapomnianym przywołaniem dawniejszych realiów. Opisy życia w obozach śmierci w czasie II wojny światowej są niepokojąco żywe. Przywołanie miejsc i wygnańców wytwarza istotne realia. Zofia Romanowiczowa pisze z precyzją antropologa.

Świadek momentu wygnania — czy to z przeszłości, czy też z teraźniejszości. Zofia Romanowiczowa skupia się na momencie największego bólu, na chwili zmieniającej życie z precyzją chirurga, opisując wielokrotnie okoliczności, które doprowadziły do zesłania jej ofiar, niektórych na śmierć, a niektórych na przeżycie. Konstrukcja narracji *en abîme* ujawnia pulsujący nawrót bólu i cierpienia. Takie chwile są prawdziwą kwintesencją jej dzieł i być może przyczyną pisarstwa.

Świadek wielu miejsc wygnania i wymarzonego Edenu, którego opis ujawnia prawdziwy dar obserwacji miejsc, zwyczajów i ludzi: Paryż i jego północne przedmieścia, dzielnica Marais i Ile Saint-Louis, Ravensbrück, obraz Fernanda Légera *Nu descendant l'escalier*, francuskie szosy, Burgundia i Sewenny, Riwiera i wieś normandzka, Nowy Jork, francuskie domy wiejskie i staroświeckie bloki mieszkalne Paryża z ich wybrukowanymi podwórkami i archetypowymi dozorcami, Ogród Luksemburski, i na ostatku, choć nie najmniej ważne kafejki. Zofia Romanowiczowa nie pomija żadnego szczegółu, wykorzystując umiejscowienia opowiadania jako dekoracje, stanowiące jednak punkty wyjścia do filozoficznych odniesień.

Świadek ludzi wygnanych: wszyscy jesteśmy wygnańcami — mówi Zofia Romanowiczowa. Najbardziej oczywistymi wygnańcami są osoby wysiedlone, które patrzą na życie „z zewnątrz”, uratowani z obozów koncentracyjnych, cudzoziemcy patrzący na francuskie społeczeństwo z zewnątrz, wysiedleni Polacy patrzący na swój kraj rodzinny z zewnątrz i będący równocześnie emigrantami w swoich nowych społecznościach. Co ważniejsze jednak, Zofia Romanowiczowa pokazuje Francuzom ukryty obraz ich samych, ich otoczenie i ich kulturę. Opisując „innych” wśród społeczeństwa francuskiego (cudzoziemcy, biedota, mniejszości religijne, subkultury młodzieżowe, prowincjusze), autorka ujawnia istnienie inności, której większość Francuzów może nie dostrzegać, w ten sposób ucząc ich spojrzenia na siebie „z zewnątrz”. Również ta cześć jej dorobku jest rewolucyjna, ponieważ poprzedza przebudzenie Francuzów na wielokulturowość pojawiającą się pod koniec XX stulecia.

Zofia Romanowiczowa jest antropologiem domatorstwa: macierzyństwa, dzieci, języka, ogrodnictwa, gotowania, domu. Jest to głos pisarki-kobiety, zwracającej uwagę na konkretne, często banalne szczegóły życia jak wychowanie dzieci, termofory, stare strychy i kominki. Pisarka rozkoszuje się opisami jedzenia z przebogatymi szczegółami, podstawowymi produktami żywnościowymi jak kawa, rogaliki, mięso, wino i owoce. Jej domy i pożywienie mają urok biblijnej prostoty, ponieważ bohaterowie tęsknią do kompletności, odnowienia i stabilizacji. Jednakże domatorstwo jest też przedstawione w kontrpunktowej metodzie narracji wzniosłości/przyziemności. Każda scena służy zarówno jako dekoracja, jak i filozoficzny punkt wyjścia, zatem będąc testem rzeczywistości i feministyczną afirmacją. Życie ma wiele zapisów, człowiek nie może żyć w swoim kokonie lub tylko po „prywatnej”, domowej stronie życia. Kobiety Zofii Romanowiczowej doświadczają poezji wysokich lotów i filozofii oraz sfery domowej. Filozofia i poezja są udomowione; przyziemne przedmioty i obowiązki są gloryfikowane.

Zakończenie

Począwszy od powieści *Baśka i Barbara*, w której występuje dziecko porządkujące swój świat jednym nowym słowem, jedną ideą na raz, do powieści *Trybulacje Proboszcza P.*, w której występuje fenomenologia śmierci, poruszamy się od alfy do omegi. Sztuka życia i umierania — początek i koniec życia zgodne w swym poszukiwaniu uporządkowanego nowego początku. *Trybulacje Proboszcza P.* są kluczem do wszystkich dzieł Zofii Romanowiczowej, jest zatem uzasadnione, że autorka otrzymała Nagrodę Ministerstwa Kultury i Edukacji w 2001 r. za dzieło życia, gdy było jeszcze w druku. Powieść ta dowodzi pełnej maestrii metod narracyjnych, a perspektywa pojednania, która kończy powieść jest ostatecznym aktem dawania świadectwa i uleczenia. Niemiecki żołnierz, który uratował życie Inie podczas jej ucieczki z Ravensbrück, a potem pomagał jej w powojennym życiu, daje pieniądze na zbudowanie jej mauzoleum, i poprzez nią uhonorowanie wszystkich świnek doświadczalnych wykorzystywanych przez doktorów SS w obozach śmierci. Fragmentacja wygnania i niepamięć jest w końcu złamana.

Zakończenie *Trybulacji Proboszcza P.* jest także silną feministyczną afirmacją, która streszcza przesłania Zofii Romanowiczowej na temat kobiecości. Kobiety mają powstać i być uznane. W swoim złamaniu kobiety — mówi Zofia Romanowiczowa — są najpełniejszymi ludzkimi istotami, bogatszymi i bardziej zintegrowanymi wobec wszystkich fragmentów życia zesłanych im przez los. Jej przesłanie przypomina nam inną poetkę różniącą się od niej doświadczeniem, językiem i tradycją, lecz tak jak Romanowiczowa „cichą rewolucjonistkę” — poetkę z indiańskiego plemienia Cherokee Marilou Awiakta, która w *Abiding Appalachia: where mountain and atom meet** (*Trwanie Appalachii. Tam gdzie spotyka się góra i atom*), pisze:

Kobiety umierają jak drzewa, konar po konarze
bo wysiłek niesienia cienia i owoców
wyciąga soki z gałęzi i pnia,
a ciężar lodu z porywem wiatru
rozsadza serce, poluźnia splot korzeni,
aż drzewo pada z westchnieniem
słyszonym tylko przez tych, którzy są w pobliżu,
by spocząć... porastając mchem... gnijąc...
by ścieląc się miękko pod stopami
stać się macierzą nowego listowia i życia.
Żaden sztandar nie łopoce, nikt werbli nie wybija,
ani trąbki dźwięk się nie rozlega dla takiej śmierci jak ta;
tak konar po konarze, kobiety umierają jak drzewa.

Tłumaczenie: Tina Koziej

* M. Awiakta, *Abiding Appalachia: where mountain and atom meet*. Bell Buckle 1995. (Wiersz opublikowany za zgodą autorki.)

NOMADA PATRZY NA LUDZI OSIADŁYCH

TOPOS *HOMO VIATOR* W PÓŻNEJ TWÓRCZOŚCI KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO*

Wacław LEWANDOWSKI (Bydgoszcz)

Od dawna wiadomo, że literatura Drugiej Emigracji¹ ma charakter nomadyczny. W swym arcyważnym szkicu, pisany w Chicago w latach 1985–1986, Tymoteusz Karpowicz dowiódł, iż można przedstawić dynamikę rozwoju poezji emigracyjnej, uporządkować całość jej dokonań, ukazując recepcję toposu *homo viator* w liryce tworzonej na emigracji. Poetów-emigrantów, mimo wielkiej różnorodności poetyk, w jakich się wyrażają, łączy — zdaniem Karpowicza — wspólna im wszystkim serdeczna pasja „nakręcania ruchu”, który sprawia, że poetyckie światy:

Rozprzestrzeniają się [...] od terytoriów rzeczy domowego użytku, po galaktyki, antymaterię, śmiało wchodzą w przestrzenie *ubi leones*, ale też i w miejsca, gdzie, [...] „ludzie milczą i nawet psy odchylają ze wstydem / fryzowane ogony”².

* Jest to rozszerzona wersja referatu wygłoszonego na międzynarodowej sesji pt. „Człowiek w drodze”, jaka odbyła się w Bydgoszczy 3–5 XI 1999, drukowanego w księdze konferencji w 2000 r.

¹ Terminu „Druga Emigracja” używam dla określenia polskiej emigracji pojałtańskiej, zgodnie z tradycją poczętą od liryku Mariana Hemara „Epilog”, ze strofą: „Bracie — my tędy, na dół. Tutaj nasza stacja / Podróży na dno nocy, w kolejce podziemnej, / Drogi trudnej, dalekiej bardzo — niedaremnej. / Oto dziś się zaczyna Druga Emigracja”. — wyd. książkowe: M. Hemar, *Lata londyńskie*, Londyn 1946. Określenie to przyjęło się w piśmiennictwie emigracyjnym, zob. np.: M. Giergielewicz, *Twórczość poetycka*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960, t. 1*, red. T. Terlecki. Londyn 1946 s. 93; *Wieczór poezji Drugiej Emigracji*, red. I. Delmar, O. Żeromska. Londyn 1990 (Prace Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie, t. X) — ostatnio także w krajowych pracach o literaturze emigracyjnej, zob.: J. Kryszak, *Literatura złej chwili dziejowej*. Szkice o drugiej emigracji. [bez daty i m. wyd.] [Warszawa, 1995].

² T. Karpowicz, „*Homo viator*” w *polskiej poezji współczesnej*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie*, red. J. Bujnowski. Londyn 1988 s. 65–114 (Prace Kongresu Kultury Polskiej, t. V), cyt. zdanie ze s. 108. Przytoczony przez Karpowicza dystych pochodzi z *Koncertu na głos kobiecy* Jerzego Niemojowskiego.

O motywie drogi i koczownictwie jako głównych „znakach tożsamości emigracyjnej” pisano także w kraju³.

Literatura polska na obczyźnie stała się nomadyczną już w okresie wojennego wychodźstwa, kiedy to w żołnierskiej poezji pojawiła się w niezliczonych realizacjach poetyckich figura żołnierza-wędrowca. Ów specyficzny *homo viator militans* nie zawsze był Pielgrzymem, zawsze jednak, walcząc, zmierzał do kraju — przez azjatyckie obszary Związku Sowieckiego, biblijne krainy Bliskiego Wschodu, północno afrykańskie pustynie, wreszcie — górzyste rygle na drogach włoskich, broniące dostępu do Rzymu. Mickiewiczowski Pielgrzym zawładnął zaś całkowicie, by tak powiedzieć, cywilną poezją lat wojny, powstającą w głównych skupiskach uchodźczych polskich — w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku. Zwrot ku Mickiewiczowskiej doktrynie pielgrzymstwa, ku tradycji Wielkiej Emigracji, zdawał się naturalnym odruchem porażonej upadkiem II Rzeczypospolitej, poranionej, traumatycznej świadomości poety-wychodźcy. Po Jałcie, po mentalnym przekształceniu się wychodźstwa w emigrację, ten dziewiętnastowieczny wątek narodowego dziedzictwa aktualizował się jeszcze bardziej, stawał się podstawą pierwszych poetyckich prób konstrukcji kodeksu moralnego Drugiej Emigracji. W tradycji polistopadowego pielgrzymstwa szukano bowiem oparcia dla określenia zbiorowej tożsamości emigracji pojałtańskiej, przede wszystkim — odpowiedzi na pytanie o sens i celowość emigracyjnego bytowania-protestu.

I jeśli po nas jakiś plon jeszcze się zbierze
I pamięć bez pogardy jeżeli zostanie,
To wtedy, gdy jak owi staniemy żołnierze,
Co bili się o wolność, by pójść na wygnanie.

— pisał Kazimierz Wierzyński w wierszu „Nie ma dla nas ucieczki” z tomu *Krzyże i miecze* (Londyn 1946).

Pisarze Drugiej Emigracji bardzo szybko skojarzyli koczownictwo z wolnością, wędrowanie stało się zatem manifestacją dumnej niezgody na powojenne uregulowania polityczne, których wynikiem było m.in. znaczne ograniczenie wolności podróżowania, dotyczące mieszkańców obu stref podzielonej Europy. Głośny *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* Jerzego Stempowskiego, wydany w Rzymie w 1946 roku, sygnowany pseudonimem „Paweł Hostowiec” i antydatowany (podróż miała miejsce w listopadzie–grudniu 1945, diarystyczne zapiski opatrzone są datą 1946, diarysta podaje dzień, tai zaś nazwę miesiąca) jest pierwszą zapewne taką literacką manifestacją protestu przeciw poszatkowaniu przestrzeni Europy siecią nieprzenikalnych linii granicznych i szlabanów zamykających drogi, które prowadzą poza granice. W tle tekstu *Dziennika...* jaśniej czytelną choć niewypowiedzianą, sugerowaną zaledwie, deklaracją diarysty: „Podróżuję, mimo zakazów i barier, bo nie akceptuję Europy, w której życie jej obywateli regulowane jest przydziałem przepustek, zezwoleń i dowodów tożsamości. Podróżuję, bo pcha mnie w podróż ciekawość poznawcza, obojętna na roszczenia politycznych decydentów. Podróżuję — ponieważ wędrowka wyraża mój protest przeciw zniewoleniu jednostki w powojennym świecie”. — Wydaje się, że bez obawy interpretacyjnego nadużycia wolno tak właśnie określić postawę podmiotu zapisków Hostowca.

Żywot koczowniczy, toczący się „cygańskim wozem”, staje się dla emigrantów nie tylko ulubionym poetyckim obrazem wolności dawnej, utraconej⁴, lecz także potrzebą wewnętrzną

³ Zob.: J. Kryszak, *Literatura złej chwili dziejowej* s. 57–58.

⁴ Zob. np. liryczny i prozatorski traktat Mariana Pankowskiego o losie narodu Romów *O smagłej swobodzie*, [w:] tegoż, *Smagła swoboda*. Paryż 1955 s. 41–45. Tekst kończy się apelem-przesłaniem: „I to miej na pamięci, abyś dzieciom, kiedy ich czas majowy nadejdzie, rozstajne drogi wskazał”.

samych pisarzy, środkiem ocalenia przed poczuciem wyobcowania. Nie chodzi tu tylko o licznie w literaturze poświadczone przejawy charakterystycznego dla wczesnej, początkowej fazy wygnańczego pobytu na obczyźnie lęku przed ponownym zakorzenieniem. Przykład Wierzyńskiego, który po dwudziestu z górą latach emigranckiego życia, wróciwszy ponownie do Europy, kilka lat przepędza w ciągłych podróżach, nigdzie nie zatrzymując się dłużej, wszędzie przebywając przejazdem, dowodzi istotnej potrzeby koczowania, obciążającej psychikę wygnańca „dojrzałego”, z dawna przebywającego poza ojczyzną⁵.

Nie jest jednak celem tych rozważań przedstawienie dziejów recepcji toposu *homo viator* w literackim dorobku Drugiej Emigracji ani ukazanie biografii Kazimierza Wierzyńskiego. Dążnością tego szkicu jest określenie sposobów wykorzystania i przejawów obecności motywów wędrowca i wędrowki w ostatnim okresie aktywności twórczej Wierzyńskiego. Za późną twórczość uznaję tu, zdaje się wbrew tradycji, jaka wylania się z literatury przedmiotu, dorobek dwóch ostatnich tomów poety — *Czarnego poloneza* z 1968 roku i pogrobowego zbioru *Sen mara* z roku 1969, a to w przekonaniu, iż utwory z tych właśnie książek poetyckich stanowią w lirycznej spuściźnie Wierzyńskiego całość odrębną i osobną. Nie ma tu miejsca na mocowanie owego przekonania, na dowodzenie jego zasadności, niechże więc pozostanie ono jako autorska deklaracja precyzująca zakres przywoływanego i rozpatrywanego materiału.

Zdaniem autora tomu *Sen mara*, instynktowny nakaz wędrowki-peregrynacji jest naturalnym i Boskim wyposażeniem wewnętrznym każdego człowieka. Tkwiąca w ludziach potencjalnie dążność ku temu, co ponadludzkie i ponaddoczesne, pragnienie sięgania w sferę *sacrum*, odzywa się z siłą instynktu nawet w świecie programowo zmaterializowanym, ignorującym duchowość, urządzonym pragmatycznie i zdesakralizowanym. Takim właśnie jest świat powojenny, odwodzący człowieka od refleksji duchowej, odwracający jego uwagę od wartości, nakazujący uznać głos sumienia za zbędny balast atawistycznych obciążeń.

Co mnie obchodzi
Ten samobójczy świat
Po którym jeszcze wlecze się człowiek,
Morderca własnego życia,
Powracający raz po raz
Na miejsce zbrodni.
A jednak?
Sam włokę się po piasku pustynnym
Atawistycznym instynktem
I czego szukam?
Fata morgany?

(*Nocna świeca*, SM)⁶

⁵ Janina Abramowska pisała o owej potrzebie wędrowki: „Itaka, niezliczoną ilość razy przywoływany na poziomie poetyckiego frazeologizmu symbol domu, pozostaje miejscem, do którego można tęsknić, ale do którego nie sposób dotrzeć albo dotarwszy pozostać. Silne nacechowania dodatnie zachowuje przede wszystkim w utworach przedstawiających sytuację emigranta. Z Odysem tułaczem utożsamiają się, za przykładem Owidiusza i du Bellaya, tęskniący do rodzinnego kraju lub tylko do utraconej «ojczyzny domowej» dwudziestowieczni poeci-wygnańcy — greccy (Seferis), niemieccy (Brecht) i oczywiście polscy (Brzękowski, Wierzyński)”. — J. Abramowska, *Odys współczesny*, [w:] *też*, *Powtórzenia i wybory. Studia z tematyki i poetyki historycznej*. Poznań 1995 s. 354–355.

⁶ Objasnienie skrótów: SM — K. Wierzyński, *Sen mara*. Paryż 1969 (Biblioteka „Kultury”, t. 171); CZ — tenże, *Czarny polonez*. Paryż 1968 (Biblioteka „Kultury”, t. 154).

Świat, wydawałoby się, skazany na nieuchronną zagładę, „samobójczy”, oderwany od tradycji kultury, która uznawała trwałość wartości duchowych przeciwstawionych marności tego, co materialne, nie jest jednak opuszczony przez Boga, czy inaczej — nie jest rzeczywistością osieroconą w wyniku śmierci Boga. Pomimo odarcia z wartości, mimo rażącej odmienności od świata dawniejszych epok, mimo doświadczonej zagłady — jest to świat, w którym cierpienie, tak samo jak przed wiekami, jak zawsze w dziejach, wyostrza wrażliwość człowieka, wzmacnia ów głos wewnętrzny nakazujący dążyć ku świętości i przeobraża bezradnego tułacza w świadomego swych dążeń pielgrzyma. Skoro ów podszept odzywa się w ludzkiej podświadomości, czasem przenikając w sferę uświadamianego, wartości duchowe i kosmiczny, religijny ład nie są złudzeniem, urojeniem umysłu udreżonego doświadczaniem pustynnej przestrzeni. Kasprowiczowskie „A ci się wloką, / blasków słonecznych odziani powłoką”, przypominane tu przygłuszonym echem, wyznacza kontekst interpretacyjny.

Homo viator — podmiot późnej liryki Wierzyńskiego — dąży więc świadomie ku *sacrum*, mimo że przyszło mu przemierzać przestrzeń poddaną procesowi pustynnienia, odzierania ze znaków boskości. Jakby na przekór temu postępującemu procesowi wędrowiec Wierzyńskiego uświadamia sobie, że wędrowka jest figurą ludzkiego losu, że tu, na ziemi, jest się tylko przejazdem, w podróży, której końcowego etapu nie ogarnia doświadczenie ani horyzont żyjących. Może to być podróż „metafizyczną koleją”, przy której zmarły ojciec pełni obowiązki zawiadowcy stacji, a podróżny dziwiący się, że „nie ma przystanków”, otrzymuje „urzędowe” wyjaśnienie:

— Widocznie jeszcze nie ma wyroku,
Zostaw to innym sądom,
Przypatrz się jeszcze
Nieprzemierzonym
Morzom i lądom,
Dobru i złu
Na niebie i w piekle:
Nie ma przystanku,
Będzie przystanek,
Wszyscy wysiądą,
Nikt nie ucieknie.

(*Rozmowa z zawiadowcą stacji, SM*)⁷

— Przystanek w podróży będzie zatem końcem żywota. Ziemskiego, bo przecie zaświaty istnieją, skoro reprezentuje je „zawiadowca”. Kres doczesnej wędrowki nie będzie jednak końcem podróży. Dotychczasowe podróżowanie ujawni swą ograniczoność, wąski prowincjonalny wymiar, przystanek-śmierć uwolni wędrowca od przestrzeni ziemskiej, oksymoronicznie nazwanej przez poetę wielką prowincją, umożliwi rozpoczęcie podróży międzygalaktycznej.

Ale dla nas jest jeszcze
W niewyczerpanych snach
Nieukończona nigdy podróż,
Trochę jak słodycz dzieciństwa
Trochę jak ostateczny strach:
Z nocnego nieba zjeżdża
Na wielką prowincję Wielki Wóz

⁷ Jeśli uwzględnić narzucający się tu natrętnie kontekst biograficzny (ojciec poety był zawiadowcą stacji) można ten wiersz potraktować jako autorską poetycką deklarację — wyznanie wiary.

Ładuje wszystkich po drodze
Turkocze w miasteczku
Na kocich łbach.

(*Wiersz dla Romana Palestra, SM*)

Łatwo odgadnąć, że zdolność docierania do tego, co uniwersalne, co określa los i przeznaczenie całej ludzkości i każdego człowieka, osiąga się tutaj poprzez poetycką penetrację własnego osobniczego doświadczenia, i własnych, „prywatnych”, obciążeń świadomości. „Wielką prowincją” jest świat, cała ziemia, gdy ujrzeć ją w perspektywie spraw ostatecznych. Wiersz mówi jednak także o zachowanych w pamięci emigrantów krainach dzieciństwa, o prowincjonalnych miasteczkach galicyjskich — Śniatyniu Romana Palestra oraz Drohobyczu autora utworu.

Homo viator — podmiot i bohater późnej liryki Wierzyńskiego wyprawia się bowiem nie tylko w podróże metafizyczne. Nie jest jedynie „wygnańcem Ewy”, jako przedstawiciel rodzaju ludzkiego, lecz także, a może — przede wszystkim, wygnańcem-emigrantem, uciekinierem z pobitego kraju, „z Troi”, która „nie cała zginęła”, bo żyje tą częścią swego żywota, która przetrwała w pamięci uchodźcy. Oniryczne wyprawy do zachowanego w pamięci „kraju lat dzieciennych” są przymusem wygnańczej świadomości, niemal codziennym (conocnym?) doświadczeniem emigranta. Intencjonalna podróż do kraju jest snem o utraconej krainie, która już nie istnieje, nie jest dostępna w realnym świecie, na jawie. Jednocześnie swój pobyt na obczyźnie wygnaniec odczuwa jako przebywanie w przestrzeni nierealnej, bo nieoswojonej, w której nie wolno zakorzenieć się, osiąść, jeśli nie chce się uchybić nakazowi wierności ani sprzeniewierzyć własnemu wyborowi wolności. Toteż bytowanie na obczyźnie postrzega emigrant jako nieustanną podróż, żeglugę pośród odrealnionych łądów.

Realni są tylko rybacy na brzegu,
Realni przez dwie, trzy i cztery godziny,
Mędrcy, jogi, totemy, druidzi bez ruchu
Bo ryby omijają ich gęstą ławicą,

(*Quai d'Anjou, SM*)

Poczucie realności przestrzeni odzyskuje emigrant tylko we śnie, po przebudzeniu odnajduje się jednak w jakimś zawieszeniu pomiędzy nierzeczywistymi terytoriami, jak w wierszu „Nie lękaj się”, otwierającym tom *Sen mara*:

Nie lękaj się, otwórz drzwi,
Wejź w mój sen,
Nie zbudzisz mnie:
Płynę po wielkiej rzece,
Od brzegu do brzegu ręce,
Serce na ciemnym dnie.

Nie lękaj się, otwórz drzwi,
Wejź do pokoju,
Nie zbudzisz mnie:
Nie śpię, szukam po ciemku
Brzegów które trzymałem w rękę
Jakiegoś gruntu na jakimś dnie.

Nomada — liryczny podmiot Wierzyńskiego wie jednak, że jego koczowniczy żywot jest wynikiem własnowolnego wyboru, dumnym wyrazem niezgody na polityczną rzeczywistość, buntem i protestem moralnym, który ocala godność protestującego. Wie, że

jego podróże i wędrówki, nawet te intencjonalne, śnione i nierealne, są podróżami, by tak powiedzieć, podmiotowymi, o ich podjęciu decyduje bowiem wola wędrowca lub przymus wewnętrzny, nigdy zewnętrzna, obca siła. By rzecz jaśniej — nomada nigdy nie podlega uprzedmiotowieniu; zawsze jest podmiotem przemieszczającym się, nie zaś przemieszczanym przedmiotem. Ma świadomość, że owej podmiotowości zazdroszczą mu obywatele zniewolonego kraju — „zdychający dzisiaj naród / 30-tu milionów bezwolnych / Ziaren piasku” („Quai d’Anjou”). Jak ziarna piasku są przesuwane przez wiatr, tak mieszkańcy kraju, PRL końca lat sześćdziesiątych, jeśli podróżują, czynią to pchani zewnętrznym przymusem. W ruch wprawiać ich może przymus materialny — wtedy podejmują podróże pseudoturystyczne, obliczone na zysk handlowy.

Spirytus, kabanos, konserwy,
Dolary najlepsze po 100 w jednym sztychu,
Skubani nie znajdują,
Konstanca, Konstantynopol, Ateny, Rzym,
[...]
Płaszcz ortalionowe,
Złoto po dolarze gram,
Czaszka pracuje,
Trzy razy obrócić a krągły rok murowany,
550 Fenicjan na Freundschaft,

(*Wyprawa fenicka, CZ*)

Siłą napędową może być brak wytrzymałości psychicznej, potrzeba krótkotrwałej terapii, zażycia leku „na klaustrofobię”.

Jedzie kultura i wiedza
Wartburgiem na Zachód,
[...]
20 lat ciułałi oboje,
20 lat czekali oboje,
On profesor uniwersytetu,
Ona profesor uniwersytetu,
Wiozą niecierpliwy, zachłanny mózg,
Wiozą ojczysty dobrobyt,
Śpiwór zamiast hotelu,
[...]
Bo tyle uciułałi
Przez 20 tłustych lat
Na nieuleczalną chorobę,
Na klaustrofobię
Polaków.

(*Wyprawa naukowa, CZ*)

Kres wytrzymałości psychicznej może też zadecydować o ucieczce z kraju, która jednak nie jest świadomym i godnym wyborem wolności, lecz wstydliwym aktem kapitulacji, prośbą o „wolność kradzioną”, zawstydzonym wyznaniem słabości: „ja nie mogę tam żyć” („Uciekają”, CZ). Wśród „krajowców” przeważają jednak ludzie osiadli, jakby dotknięci atrofią instynktu wędrówki, wyrzekający się pragnienia wolności ludzie zsowietyzowani, zindoktrynowani, „ślepcy, którzy nie widzą pułapu własnego więzienia” („Gryps”, CZ). Jeżeli podejmują próbę wędrówki, to jest to próba kaleka, półprzytomna i pijana, chwilowe usiłowanie wykroczenia poza teatralnie skonwencjonalizowaną

i zamkniętą „wielką scenę” państwa totalnego i wejścia w „naturalną” przestrzeń międzyludzkich relacji. Statyści PRL-owskiego spektaklu bratają się w knajpie, potem — „prowadzą się chwiejnie po chlapawicy” („Wielka scena”, CZ).

Jak sen emigranta jest w poezji Wierzyńskiego aktem wstępowania na drogi, oniryczną wędrówką, tak sen obywatela PRL jest bezruchem, przyczajeniem człowieka zastraszonego, nienawidzącego swojego życia i siebie samego, albo narkotyczną ekstazą, pseudo-wolnością, ucieczką w nieprzytomność.

Przynajmniej nie trzeba się bać,
[...]

Sny są nie ważne,
Nie donoszone
Ale nie śniły się nawet filozofom,
Sny są zdradzieckie
Nie podsłuchane
Nawet przez pluskwę ścienną,
Mikrofon.

Spać.

Wielkie wspólne sypialnie
Opiumowego snu,
Przy łóżku czuwa
Noc pomyślana totalnie,
Łaps uniwersalny,
Spluwa,
Nakryć się kołdrą,
Kurwa mać.

(*Dobranoc, CZ*)

Kazimierz Wierzyński, czujny i współczujący obserwator społeczeństwa krajowego, dostrzegł jednak w PRL końca lat sześćdziesiątych także ludzi duchowo wolnych i niepodległych, heroicznie broniących ludzkiej godności i prawa do wolności. W świetle wszystkiego, co powiedziano uprzednio, można by się spodziewać, że nie dający się zniewolić mieszkańcy PRL będą ukazani jako wędrowcy, koczownicy przemierzający przestrzeń pomimo zakazów i dotkliwych uroszczeń totalnego systemu względem obywateli. — Nic bardziej mylnego, o czym przekonuje wiersz, którego bohaterką jest Kazimiera Hłakowiczówna.

Hła,
Aldona,
Emily nasza,
Zamknięta na wieży,
Zawieszona
U jaskółczego poddasza.

[...]

Mury bez wyjścia,
Powój na murach,
Wieża wieczysta.
Może to jej forteca,
Dobrowolne wygnanie
A może zakonnicza
Zakrystia.

[...]

I tak co noc
Od zmierzchu do ranka
Pod jednym oknem
Przez wieki i mroki:
Nasza Litwinka,
Amerykanka,
Śpiewa i woła
Z wieży wysokiej.

(*Iła, SM*)

Iłakowiczówna, poetka i działaczka niepodległościowa, współpracownica Józefa Piłsudskiego, przyjaciółka skamandrytów i poetki satelita Skamandra, pamiętana sprzed wojny, ciepło wspominana, wydaje się Wierzyńskiemu uwięziona podwójnie. — Nie tylko zamknięta w państwie-więzieniu, podległa nakazom i zakazom systemu, lecz także umieszczona w zamknięciu dosłownym, namacalnym, odcięta od świata. Oczywiście, nie ma w tej sytuacji mowy o wędrowaniu ani podróżach! Poetka z wiersza Wierzyńskiego pędzi żywot, by tak powiedzieć, wybitnie osiadły (by nie rzec: osadzony). Dla interpretacji utworu nie ma najmniejszego znaczenia fakt, że rzeczywistej Kazimierze Iłakowiczównie władze PRL udzielały paszportu, że wyjeżdżała za granicę. Istotne są natomiast aluzje literackie. „Iła” z wiersza nazwana jest „Litwinką” — Mickiewiczowską Aldoną, *d o b r o w o l n i e* zamykającą się w wieży, jest też nazwana „Amerykanką” — i porównana do Emily Dickinson, wybitnej amerykańskiej poetki, która większość życia spędziła w *d o b r o w o l n y m* zamknięciu, w pokoju na piętrze rodzinnego domu w Amherst (Massachusetts). Właśnie owa dobrowolność jest decydująca. Osiadły tryb życia jest tu wyborem (nie — pochodną nakazów systemu), Iłakowiczówna z wiersza nie traci swej podmiotowości, wybiera emigrację wewnętrzną, bo jest przekonana, jak Emily Dickinson, że „Dusza dobiera sobie Towarzystwo — / I — zatrząskuje Drzwi — / Jak Bóg — ma w sobie prawie Wszystko — / A z Reszty sobie drwi —”⁸.

Są w późnych poezjach Kazimierza Wierzyńskiego obecni inni jeszcze „krajowcy” duchowo wolni. Z imienia nieznan. Nie wiadomo, jak liczni. Mieszkańcy „nocnej ojczyzny”, „ludzie bezsłowni”, wszyscy ci, którzy podejmują trud wierności sumieniu, twórczej uczciwej pracy, realizują — mimo przeszkód i rozpaczy — swoje powołanie. Jak inni, pędzą żywot osiadły. Ale to oni właśnie

Z lądu na morze
Białe okręty
Spychają w życie

(*Nocna ojczyzna, CZ*).

Realizując swą duchowość, ocalają w sobie pragnienie drogi-wolności. Właściwie, co noc wstępują na którąś z nieprzegrodzonych dróg, wędrują, nie ruszając się z miejsca. Naprawdę realna jest bowiem rzeczywistość duchowa. Zresztą, wierzył poeta, kiedyś na pewno wędrowki te staną się rzeczywistymi także w potocznym słowa rozumieniu. Wszak biały żagiel symbolizuje nadzieję.

⁸ Przekład Stanisława Barańczaka.

NIE PRZEMINEŁO Z WIATREM (POETKA EMIGRACYJNA ANNA FRAJLICH)

Natan GROSS (Izrael)

Na emigrację udają się intelektualiści (ci się liczą...), wybitni pisarze o bogatym stażu, ale też inni, o mniejszym doświadczeniu, choć nie mniejszym talencie. Ci nadrabiają temperamentem młodości, dynamiką życiową, która pcha ich nie tylko do pisania, ale i działalności społecznej. Na ogół nie są tak osamotnieni jak to się czasem wydaje (choć i samotność jest elementem twórczym, w szczególności emigranta), działają w jakiejś grupie intelektualnej, spotykają się, dyskutują wydają pisma — i książki. Czują, że są włączeni w historię i zdaje im się — albo naprawdę tak jest — że mają wpływ na dzieje swojego narodu, że poruszają masy swoją twórczością i działalnością. Jako aktywni działacze (wolnościowi?) mają ograniczone rozlicznymi granicami pole działania — ci w kraju mają większy, bo bezpośredni, udział i w walce, i w cierpieniu, i w klęsce, i w nadziei, i w osiągnięciach. Ale ci w Paryżu, w Londynie, w Rzymie mają nad ziomkami znad Wisły pewną wyższość intelektualną: ocierają się o kulturę europejską, światową, poznają, uczą się, spotykają się z kolegami najwyższej klasy, chłoną nowe prądy poetyckie, uczą się języków — krótko mówiąc: rozwijają się i wzbogacają duchowo. Zapisują się w ojczystej historii kultury i literatury wysoką klasą, pod wielu względami.

Wszystko co powiedziano o epoce romantyzmu można przyłożyć do emigracji lat 40. naszego zwariowanego wieku. Tuwim, Wierzyński, Wittlin, Lechoń, Miłosz, Broniewski, Herbert, Zagajewski, Iwaniuk, Barańczak, Hemar (by wymienić tylko poetów...) wyznaczają jej poziom. Zdają sobie sprawę ze złożoności w indywidualnych wypadkach „emigracyjności” niektórych nazwisk — a nie unikną też definicji, że „można być emigrantem nie opuszczając nigdy rodzinnego miasta”. Ale mógłbym bez trudu obronić tezę wpływu zagranicy na rozwój intelektualny osobowości wyżej wymienionych, nie negując ich osobistych plusów, talentu, stażu, wykształcenia i innych walorów, kwalifikujących ich na wysokowartościowych twórców. Wszyscy oni włączeni są w walkę czynną lub bierną, politycznym zaangażowaniem lub erupcją tęsknoty do ojczyzny, którą obserwują z daleka. Tu należałoby zwrócić większą uwagę na nowoczesne środki przekazu działające w obu kierunkach, co w epoce romantyzmu miało zupełnie inny charakter i możliwość wzajemnego oddziaływania. Zresz-

ta, na przestrzeni krótkiego czasu, te środki i możliwości zmieniły się i zmieniają z dnia na dzień, stwarzając nowe sytuacje wczoraj jeszcze nieznanne. A mimo tej nowoczesności wdzierającej się w życie człowieka XX wieku, po przeprowadzeniu obiektywnych badań socjologicznych okazałoby się, że niewiele zmieniło się w świecie intelektualnej emigracji lat 40. w stosunku do tej poprzedniej sprzed stu lat... A może? Nie dość jestem do tego tematu przygotowany a moje uwagi to nieobowiązujące impresje z lektury — i trochę z osobistego doświadczenia.

Specyfika Anny Frajlich

Jakie miejsce w świecie polskiej emigracji zajmuje poetka Anna Frajlich? Wchodzi w to środowisko poetka młoda, nieledwie debiutantka, której nazwisko nic nie mówi sławnej gwardii pisarzy i czytelników przedwojennych „Wiadomości Literackich” czy wojennych londyńskich „Wiadomości”. Czyli: „z motyką na słońce”? Jej specyfika? Żydowskie pochodzenie wyrażające się niedwuznacznie nazwiskiem — nie jest czymś „nie swoim” w kole emigrantów, wśród których pisarze z „plamą etniczną” na biografii są zjawiskiem codziennym. Ale Tuwim, Wittlin, Grydzewski, czy Hemar poszli na emigrację dobrowolnie, uciekając ewentualnie przed Hitlerem. Anna Frajlich zaś należy do klasy emigrantów, którzy mówią o sobie, że ich wypędzono — to nie są emigranci z wyboru a wygnańcy, wypchnięci przez własny rząd ze swojego kraju, obywatele, którym odebrano obywatelstwo, odebrawszy przedtem podstawowe środki egzystencji.

Czy emigrant, z taką świadomością odczuwa inaczej żal i tęsknotę za „utraconym rajem” niż „normalny” emigrant? Trochę inaczej... Oto jak ten aspekt swojej emigracji ujmuje Anna Frajlich w szerokim wyznaniu w tygodniku izraelskim „Nowiny-Kurier” (17 sierpnia 2001 — „Anna Frajlich o sobie i wierszach” w dziale „Na warsztacie”) — które będziemy tu jeszcze niejednokrotnie cytować:

Większość moich rówieśników, i osób z emigracji 1968 roku, musiała uporać się z faktem wygnania. To nie tylko sprawa wyjazdu, fałszywych publicznych oskarżeń, fałszywej atmosfery wokół tych spraw, ale potem — sprawa jakby klątwy rzuconej na tych, którzy wyjechali i na tych, którzy utrzymywali z nimi kontakt. A więc listy bez adresu zwrotnego na kopercie, jeżeli spotkania to zawsze w tajemnicy, itp. Wszystko obliczone na to, że człowiek niesłusznie oskarżony, będzie poczuwał się do winy. Manipulacja była na tyle zręczna, a zrozpaczonemu człowiekiem łatwo jest manipulować, że tylko częściowo odczytywało się ją jako manipulację polityczną. Zawsze gdzieś tam niejasny element oskarżenia wisiał w powietrzu. Z tego należało się wyzwolić, należało się z tym uporać. Zdarzało się, że dopiero napisanie wiersza uświadomiło mi posuwanie się tego procesu.

Tu sprecyzowana jest różnica między emigrantami lat 40. a 70. (sprecyzowana jednostronnie — ale jasne, że tak zwane „wyrzuty sumienia” tych wojennych emigrantów obejmują inne pola magnetyczne pozostawionej na pastwę wroga ojczyzny...). Zresztą okoliczności opuszczenia ojczyzny przez wojennych i „marcowych” emigrantów ustępują miejsca dla celów porównania takim poetom jak Miłosz, który znalazł się pod ostrzałem z obu stron — i tej „ludowej” („wybrawszy wolność”) i emigranckiej, ale jego pióro służyło nie autoterapii, jak Anny Frajlich, tylko walce o swoją prawdę.

Wierszem, który pozwolił Annie Frajlich uwolnić się od poczucia niezawinionej winy był utwór „Jestem oddzielna”. Inny wiersz, który pomógł jej w emigracyjnych zmaganiach „Aklimatyzacja”, zaczyna się od słów:

„Zapominam dokładnie, zapominam sumiennie”. Początkowo wywoływał on pewne nieporozumienia i pytania: czy naprawdę chce zapomnieć i dlaczego. Otóż „Aklimatyzacja” jest wierszem o konieczności zapominania i niemożności zapomnienia.

Oczywiście problem pamięci jest jednym z elementów podstawowych poezji emigracyjnej, ale jeśli przyłożyć go do tej emigracji wygnańczej, trzeba zapytać: zapomnieć — co? Czy chodzi o leśne pagórki i zielone łąki, czy o doświadczenia związane z drogą na emigrację. Co zapamiętać i co puścić w niepamięć i dlaczego?...

Rodzinne miasto

Które z miast będzie się kłócić o honorowe obywatelstwo Anny Frajlich? Urodziła się gdzieś w Kirgizji — ale gdzie? Sama nie wie... Pamięta tylko, że w tym rodzinnym mieście (?) słyszała po raz pierwszy z ust swego ojca „Powrót taty”. Symboliczny powrót — pojęcie uczuciowe emigranta — powrót. Albo się wraca albo nie... zawsze się jednak wraca choćby pamięcią — jeszcze do tego wrócimy... Miasto, do którego się Ania przyznaje — jej rodzinne miasto — to Lwów. Nigdy w nim nie była — bo jeśli liczyć króciutką wizytę, było to już we Lwowie — a Lwów to nie Lwów... Wychowała się w Szczecinie, studiowała w Warszawie, dojrzewała w Nowym Jorku... Krótko mówiąc urodziła się (to fakt!) w nienormalnych czasach, czasach chaosu — i tak to w swoich wspomnieniach charakteryzuje:

Mój życiorys może wydać się egzotyczny ludziom nie znającym historii wschodniej Europy. Dla nas wszystkich te przedziwne wędrówki naszego pokolenia i pokolenia naszych rodziców są jakby dyktowane prawami przedziwnej logiki. Logiki nie tyle dziejów, co chaosu. W myśl tej logiki zrozumiałe jest, że skoro moi rodzice są ze Lwowa, a ja skoro miałam się urodzić wówczas, kiedy się urodziłam, musiałam urodzić się w Kirgizji lub gdzieś tam w pobliżu. Dawało mi to szanse przeżycia niewielkie, ale jakieś. Żaden z moich czterech kuzynów urodzonych we Lwowie nie przeżył nawet swego dzieciństwa. Wszyscy urodzeni jak najdalej od Lwowa — żyją.

Równie logiczne jest to, że skoro rodzice moi pochodzą ze Lwowa, dzieciństwo i młodość spędziłam w Szczecinie. Mógł to być Wrocław, ale nie był. I przez wiele lat Szczecin był dla mnie właśnie Polską, polskim miastem, którego mieszkańcy z nostalgią wspominali Wilno, Lwów i co najmniej dziesięć innych miast. Teraz mówi się o tym, że to, co wówczas nazywano repatriacją, było w gruncie rzeczy emigracją. Ale my, młode pokolenie, rośliśmy już jako szczecinianie, jakkolwiek już wówczas mieliśmy dużą świadomość pewnego pokomplikowania etnicznego, kiedy to czy Żydzi, czy etniczni Niemcy znikali ze szkoły podczas kolejnych fal emigracyjnych.

Czy jest w tym coś dziwnego, że dwadzieścia kilka lat po powrocie do Polski, wyjechaliśmy z „wilczym biletem tramwajowym” jako jedynym dokumentem tożsamości? Z tej perspektywy chyba już nie. Ta perspektywa i akceptacja tej logiki, to pewnie jedyna nauka, jaką z tych wszystkich peregrynacji da się wysnuć. Ale nie była ona dla mnie oczywista wówczas. Pod koniec 1969 roku Polska z konieczności przestała być dla mnie tym, czym była i czym chciałam, żeby była — jedynym miejscem stałego pobytu, moim krajem.

Oczywiście (?) odbija się to wszystko w poezji Anny Frajlich od pierwszego tomiku *Aby wiatr malować* po ostatni (tymczasem) *Znów szuka mnie wiatr*. Dziesięć tomików, jak dotąd. Autorka wskazuje ten i ów wiersz jako drogowskaz dla krytyka podążającego jej śladami ku chronologicznej biografii, ale prawdę mówiąc, każdy tomik jest brzemienny jej emigrancką dołą, uczuciem, myślami, poszukiwaniem wczorajszego dnia, oglądaniem się wstecz i w nadzieję, tak że wystarczy otworzyć przygodny tomik w przygodnym miejscu a wyskoczy Lwów, czy Szczecin — Polska.

I zostało wszystko we Lwowie
w mieście mojej matki i ojca
wszyscy żywi stali się umarłymi
ale cmentarz

przestał być cmentarzem
i zostało wszystko
we Lwowie
na wieszaku prawie nowe ubranie
stół i łóżko
może jakieś krzesła
fotografie w ramce na ścianie
na tej ramce niezapominajki
wyciął ojciec scyzorykiem
żeby nie zapomnieć
żeby nie zapomnieć
żeby nie zapomnieć
Lwowa
nawet w Ameryce.

To było miasto r o d z i n n e — nie miejsce urodzenia, ale miasto rodziny — korzenie, zakopane głęboko w ziemi, których soki żywotne długo czują w sobie gałęzie, choć tych korzeni na oczy nie widziały...

Ale zostaje w żywej pamięci Szczecin, nie dlatego, że był naszym miastem młodości, tylko że my byliśmy w nim młodzi. Zostaje w naszej pamięci żywym wspomnieniem ale ze świadomością że:

miasto nie było nasze
tylko odebrane innym
co stąd uciekli w wojennym
popłochu i wszystko zostawili
albo zakopane w ogrodach
lub gruzem przysypane
albo wprost na stole
kryształowe kieliszki
w nich czerwone wino
niedopite plamami przyschnięte
do ścianki.

Miasto było nie nasze, ale kwitło dla nas bzami i jabłoniami:

i słyszało się w mieście
tym różne języki
— jak krzewy — przesadzone
na zachód ze wschodu
ktoś z wileńska zaciągał
ktoś z lwowska całował
rączki — ktoś półgłosem
wciąż mówił po niemiecku
i jidysz niedobitków
rozbrzmiewał w ulicach.

Taki obraz trwa w jej wspomnieniu:

miasto mego dzieciństwa
komuś odebrane
aby czyjeś dzieciństwo
mijało gdzie indziej.

Dzieciństwo wyrównuje historyczny rachunek krzywd — ale jest tylko ogniwem w łańcuchu innych krzywd, które niesie życie, w szczególności w tej epoce „transferów”.

Zamyślenie historyczne — poświęcone Stefanii Kossowskiej, redaktorze londyńskich „Wiadomości”, która rozpoznała w Annie Frajlich przyszłą gwiazdę poezji emigracyjnej i otworzyła przed nią stronicę prestiżowego pisma literackiego:

Rozstawiło nas życie po kątach
zostawiło gdzieś na uboczu
i przed siebie pobiegło sprężyscie
bez nas dalej się toczy
a my?
jego pąki i liście
a my?
jego szumiąca korona
jego jabłka ciężkie
złociste
kamienie
po drogach
rzucone.

Kwiaty, drzewa i ptaki — emigranta...

Znamienna rzecz: Ania kocha przyrodę, kwiaty, drzewa, ptaki. Wiersze jej pełne są bzów, maków, wrzosów, niezapominajek, róż i tulipanów, konwalii i pelargonii, fiołków i macierzanki, są i krokusy, jaśminy, hiacynty... ale na lekarstwo nie znajdziesz jakiegoś egzotycznego kwiatu, choćby kolczastego kaktusa. Czyżby tam na Manhattanie rosły same polskie, czy w Polsce przyjęte kwiaty? Albo drzewa: jabłonie, wiśnie, grusze, brzozy, lipy, wierzby, kasztany, klony...

A tutaj też mam swoje drzewo
za oknem klon
w piórka się stroi na kwietniowo
i chciałby przerósć choć o głowę
tutejszy dom
mój klon
a jednak taki obcy
powtarza szum zamorskich mórz
i obcej ziemi soki chłepce
zlizuje rosę z obcych chmur
mój jest
przez okno moje wbiega
zielenią ugrem albo rdzą
i po podłodze cień rozlewa
ten obcy
ten tutejszy klon.

Ale w jakimś innym wierszu okazuje się, że ten klon jest chory i trzeba go ściąć... Może jednak nietutejszy? Zapuścił korzenie w obcą ziemię ale się nie przyjął, zaczął chorować i umarł. Ciekawe — ja też miałem taką klonową przygodę. Na krawędzi szosy, nieopodal mojego domu w Giwataim posadzono długi rząd drzewek, skądś sprowadzonych. Po młodych listkach poznałem, że to klony — po hebrajsku dolaw — może nie dokładnie, ale rodzina... Te biedne drzewka — obserwowałem je dzień po dniu — każde znałem „osobiście” — powariowały... Niektóre myślały, że to wiosna — a był grudzień — i zaczęły gwałtownie kwitnąć, innym listki pożółkły, jak jesienią ale widziałem, że żyją — po pączkach na wątych gałązkach i zielonym pniu i czekałem z dnia na dzień jaki będzie ciąg dalszy... Inne, kilka z nich, umarły na amen i żadna woda nie mogła ich ocu-

cię — usunięto je po jakimś czasie. Niektóre pochorowały się, ale zaczęły powoli przychodzić do siebie i przeżyć się w górę, ku słońcu... Było to dwa lata temu... Dziś ta aleja klonowa jakoś żyje — ale cienia nie daje... Obce klony... może nie na ten klimat...

Ale wróćmy do ornitologii Anny Frajlch: wróble, jaskółki, pliszki, jest jastrzęb, sójka co wybiera się za morze, bo przyleciała zza morza, kukułka... Czy nie ma tam jakichś niepolskich ptaków? Ależ są! W swoim „Curriculum vitae” są wspomniane, ale ich nazwy — nie!

Przystań nasza wśród wiatrów
na dziwnej ulicy
co nigdzie się nie kończy i nigdzie nie zaczyna
gdzie inni pozdrawiają nas obcym językiem
wśród ptaków których nazwy szukamy w słownikach.

Ale i te „polskie” — nie trzeba ich wymyślać — przylatują, odlatują, wędrują, ptaki emigranci...

Okruchami chleba swego powszedniego
smutna moja mama karmi leśne ptaki
i nie wiedzą wilgi sikory i szpaki
że mama jest także wędrującym ptakiem
gniazda budowane
wzdłuż szlaku jak ziarna zostawia rozsiane
we Lwowie w Warszawie i nad oceanem
każde innym wiatrem strącone rozwiane

jedzcie jedzcie drozdy
z ręki mojej mamy.

Wietrzne intermezzo — czyli słowa na wiatr

Wiatr jest to ruch powietrza, który przenosi z miejsca na miejsce liście, papiery, śmieci. W zależności od intensywności i impetu przenosi też domy i ludzi. Czasami jest to miły wietrzyk, a czasem wichur, wichura, która pędzi przez góry, lasy i oceany w rzeczywistości i w wyobraźni, w mieście, w polu, we śnie, w fantazji poety — wiatr. „Jeden wiatr w polu wiał, drugi wiatr w sadzie lkał...”. A czasem to jest wichur serca.

Wiatr nie ma kształtu, ani koloru, ani smaku, choć czasem mówimy, że jest słony, gdy wieje od morza. Nie ma kształtu, ale ma kierunek. Nie trzeba być poetą, by wiedzieć skąd wiatr wieje. Ale dokąd wieje — to już inna sprawa. Wiatr ma kierunek, ale może go zmienić w każdej chwili jak zręczny polityk. Tylko biednemu zawsze w oczy wieje.

Gasi świece, ale wznieca i podnieca pożary. Pomaga ogniovi, bierze udział w jego szaleństwie niszczenia. Razem z ogniem pożerają lasy. Jak wziął wiatr brata za kamrata, to może sobie po polu latać, ale jak wziął za kamrata ogień — to nie daj Boże!

Jest bardzo towarzyski: dla wesołego człowieka — wesoły kumpel, dla smutnego — smutny. Figlarz: „rozwiewał suknie dziewczynom wiatr od tych domów płonących” — warszawskiego getta.

Lubi kwitnące sady — ale i pustynie. Bardzo. Po prawdzie, lubi samotność. Lubi piaski, bo może przesypywać z pustego w próżne i rysować na pagórkach desenie. Nikt mu w tym na pustyni nie przeszkadza.

Poeta lubi płynąć na skrzydłach wiatru jak wolny orzeł w przestworzach. A czasem lubi wyć razem z wiatrem, choć do mieszkania go nie zaprosi. Niech sobie wyje w kominie. A poeta — w duszy. Albo na papierze.

Czym jest wiatr dla poetki, Anny Frajlich? Mówi: „Znów szuka mnie wiatr”... A może to ona szuka wiatru dla swoich skrzydeł? Szukaj wiatru w polu...

Dwadzieścia pięć lat temu debiutowała tomikiem *Aby wiatr namalować* — chciała wiatr namalować jak Staff: „O głódzie, chłódzie, w ducha swobodzie, maluję sufit w Saskim Ogrodzie”... Malować wiatr — taka fantazja poety. Jakim kolorem? Jaką techniką? Impresjonistyczną? Ekspresjonistyczną? Wypisz, wymaluj...

Ten jej wiatr, który ją gna od 25 lat to takie „przeminęło z wiatrem”, choć to brzmi banalnie. A właściwie, nie przeminęło. To się tak tylko mówi... Gnał ją ten wiatr od morza do morza. Przez lądy i oceany — i nie dawał jej spokoju: bo niepokój dla poety jest ważniejszy niż spokój. Taki twórczy niepokój...

Ten sam wiatr „od tych pól wyłaczanych zbożem rozmaitem” igra w jej ogródku w Nowym Jorku. Bo ten wiatr, to jest właściwie czas — czas, który trwa i wypełnia swym trwaniem bezmiar — a my się w tym czasie posuwamy, torujemy sobie drogę. Czas robi swoje — jak wiatr, wyprawia koziołki, psoci, raz jest pogodny, raz burzliwy — zawsze ten sam, tylko czasem, a nawet często, zmienia kierunek — a my robimy swoje, my bniemy, to my się posuwamy — dokąd? donikąd? Przed siebie. Poeta wie. Albo nie wie. Ale czuje wiatr i idzie pod wiatr... Przeciw wiatrom, przeciw czasom — ku wieczności. I to jest właśnie poezja.

Polskie i żydowskie

Chciałem wziąć wiatr za temat do recenzji z wierszy Anny Frajlich — bo to się prosi: pierwszy tomik o wietrze — i ostatni, powracający wiatr. Ale potem otrzymałem plik recenzji z tego ostatniego tomiku i widziałem, że i inni widzą to samo, czują ten wiatr, i starają się wyłowić go z różnych wierszy i różnych czasów.

Więc zostawmy ten wiatr-los, który ją rzuca z miejsca na miejsce i przetłumaczmy to na indywidualność poetki złożoną z osobowości historycznej i duchowej jako Polki i Żydówki. Oczywiście te dwie osobowości nie wykluczają się nawzajem. Raczej się uzupełniają. Obie należą do tej samej osoby, która w swej wolnej duszy decyduje o sobie i swoim miejscu na ziemi. Samookreślenie. Problem jednak w tym, że i inni, którzy patrzą na ciebie roszczą sobie prawo do definiowania twojej osobowości.

Bo choć żyjemy już w XXI wieku, tendencje nacjonalistyczne, które niemal zburzyły świat, ciągle jeszcze są aktualne. A choć w dość szerokich warstwach społeczeństwa wygasły — to jednak żarzą się jeszcze nawet tam pod skórą. I widocznie tak być musi (?) póki świat, w którym żyjemy, nie doprowadzi siebie do porządku, w jakim zdrowy rozsądek zwycięży fanatyzm, nacjonalistyczny obłąd i zjednoczy ludzi w jeden obóz, który miast nienawiści kultywował będzie, jeśli nie miłość, to choćby tolerancję, szacunek dla wolnej myśli decydującej o wyborze swojego miejsca na ziemi.

Myślę, że Anna Frajlich powtarza za Tuwimem: Jestem Polką, bo tak mi się podoba, bo od dzieciństwa nasiąkałam polskością. Jestem Żydówką nie dlatego, że tak się innym podoba, lub nie podoba, ale że jestem wierna pamięci ojca i jego żydowskiego imienia i poczuwam się do solidarności z prześladowanym narodem żydowskim i jego kulturą.

Oddajmy głos Annie Frajlich:

Jednym z naczelných problémůw jest niewątpliwie moje żydostwo. Moje pokolenie nie znało za wiele wzorcůw. Wzorcem w zyciu byli moi rodzice, którzy nigdy swego żydostwa nie ukrywali w żaden sposób, którzy umieli mnie i mojej siostrze zaszczepić poczucie godności i dumy bez uciekania się do jakichś wybiegów. Zawsze te sprawy postawione były jasno. Naturalnie nie bez buntów. W literaturze natomiast miałam wzorce poetów takich jak Tuwim, „o którym było wiadomo”.

Komplikacją był fakt, że wzorce, które miałam to wzorce tzw. żydostwa świeckiego, ateistycznego i w chwili odczucia tęsknot metafizycznych, nie bardzo rozumiałam, że mogę w ramach mego żydostwa znaleźć ich zaspokojenie. Kiedy znalazłam się w Stanach i zobaczyłam to zewnętrzne zorganizowanie żydowskiego życia religijnego, to sam instytucjonalizm, do którego nie mogłam i nie miałam gdzie przywyknąć, mnie zniechęcał. Ale w pewnym momencie zrozumiałam pewne błogosławieństwo tej sytuacji — że to jest moje. To trochę tak, jak to, że dopiero w Stanach po raz pierwszy zobaczyłam grób kogoś z naszej rodziny. W Polsce naturalnie nie było żadnego grobu, chociaż wszyscy zginęli. To było duże przeżycie, to poczucie, że to jest moje, coś o istnieniu czego nawet nie wiedziałam.

Tu zaczęły się moje zainteresowania judaizmem i pewne, wciąż jeszcze bardzo podstawowe lektury, których ślady dają się odnaleźć w moich wierszach.

W tym kontekście należałoby określić mój stosunek do polskości. W Polsce wyrosłam i przez polską kulturę zostałam ukształtowana, podobnie zresztą jak moi rodzice. Przez jej pryzmat dopiero przyjmuję wszystko inne. Polska poezja porusza mnie najgłębiej, choć nauczyłam się wierzyć, że są inne wielkie poezje i niektóre autentycznie do mnie przemawiają. Wciąż, kiedy słyszę słowo „północ” myślę „Bałtyk” i tak już chyba zostanie. Polska jest krajem mego dzieciństwa i młodości, ale jest też krajem, z którego musiałam wyjechać. Chociaż w Polsce nie jestem, zrobiłam wszystko, co umiałam, aby żyć i pracować w kręgu spraw polskiej kultury. Właśnie przez to, że Polska nie jest miejscem mego zamieszkania, jest dla mnie czymś mniej zagrożonym w takiej formie, bo nie mogę jej po raz drugi utracić.

To wszystko można wyczytać w jej wierszach, tych sprzed dwudziestu lat i tych dzisiejszych. W każdym tomiku znajdziemy ślad tej dwutorowości kulturalnej, jej dwie ojczyzny, powiedziałbym duchowe...

Wystarczy rzucić okiem na zawartość dziesięciu wydanych tomików wierszy Anny Frajlich — począwszy od emigracyjnego debiutu *Aby wiatr namalować* (1976), a skończywszy na *Znów mnie szuka wiatr* (2001), by stwierdzić, że w każdym z nich znajduje się wiersz lub kilka wierszy zaczepiających o temat żydowski — echa biblijno-aktualne, jakaś wystawa obrazów Chagalla, jakaś melodia, skrzypek w żydowskiej uliczce, to znów echa „marcowe”, Szoa, refleksje z wizyty w Izraelu etc. To wszystko rozrzucone jak rodzyнки w cieście wśród nostalgicznych wierszy, gdzie Szczecin, Warszawa, Wisła, polskie drzewa i kwiaty sąsiadują z nowym — ostatnim domem poetki w Nowym Jorku. Mozaika wspomnień, refleksji, fascynacja przyrodą, lekturą, pamięć o przyjacielach, którzy odeszli — poezja, która jest przeżywaniem codziennych emocji, wiatrów, słońca i deszczu.

Kraj utracony — niejednokrotnie — odzywa się na wszystkich kartach, pośrednio lub bezpośrednio:

Z niejednego wygnani kraju
za Jakuba grzech i Abrahama
prarodzice moi
i rodzice
do dziś dnia się błakamy...

(*Indian summer*)

— a już w następnej strofie pojawia się „Powrót taty” — pierwszy wiersz, który usłyszała na Uralu. Od tego czasu zmieniła wiele adresów, które już zacierają się w pamięci:

— Pisarz powinien mieć adres —
rzekł Isaak Bashevis Singer
który swoją ulicę Krochmalną w Warszawie
...przeniósł przez wszystkie powodzie świata.

A Anna szuka do dziś swojej ulicy...

ale zatarły się nazwy
i cyfry znad bram opadły
kto wie
co jest moje co obce
i który adres
to a d r e s.

(*Ogrodem i ogrodzeniem*)

I wloką się za nią dwie a może i trzy ojczyzny — a choć przyszedł czas, gdy granice otwarte, można wracać — wraca też stary ból:

Przeszłość się upomina znakami imionami
upomina się bliźną zarosłą na kamieniu
coraz częściej wracają dawno pożegnani
a tych nie pożegnanych na garstkę snu nie ma.

Na tym tle rośnie swego rodzaju duma, solidarność z narodem pogardzonym. Na jakąś sugestię odpowiada:

Ja nie jestem jak to drzewko
Proszę Pani
to w doniczce
gdzieś w cieplarni hodowane
[...]
jeśli w ogóle jestem d r z e w o
Proszę Pani,
rosnę w borze z moimi braćmi
też drzewami...

(*Tylko ziemia*)

Ta solidarność korzeni wyraża się szeregiem wierszy wspominających Szoa i Jerozolimę. W tomiku *Ogrodem i ogrodzeniem* znajdziemy cykl wierszy pisanych pod wrażeniem wizyty w Izraelu. „Sala dziecięca w muzeum męczeństwa Jad Waszem w Jerozolimie” — to wielki ból i wzruszenie:

To tak wygląda grób moich kuzynów
to tu w tej ziemi której nie widzieli
spoczywa po nich bezimienna pamięć
tu grób znaleźli gdziekolwiek zginęli
we Lwowie w Krakowie
gdzie się rodziła ich ojców ojcowie...
tu powrócili swoich imion echem.

Odeszli. Nie ma. Ale jednak naprawiacze historii chcieliby ich wymazać, doszczętnie:

Niechaj już znikną
bo szpecą legendę
kamienie znacznie bardziej są fotogeniczne
nawet te dawno wyrwane z korzeniem
spod głów umarłych
Niech znikną wreszcie by księgę historii można już było zamknąć...

(*Ogrodem i ogrodzeniem*)

Jeszcze
w tym samym pokoleniu

wraca
gruźlica
Żydów i Cyganów bicie
niedokończona dziejów praca
zastygła w niedokończeniu.

(W słońcu listopada)

I jakby dalszy ciąg tej „niedokończonej dziejów pracy” — Jerozolima:

...To tu turystkę z Francji
— nożem.
To tam pod Ścianą
— wieczny płacz.

Jeszcze o Jerozolimie:

Pod ścianą
nad ścianą
za ścianą
jeden jest płacz
jeden jest strach
a tylko nas tak wiele
i tyle w łapie starych drzazg
tyle zaschniętych w krtani prósb.

Ale i tam w Hajfie, gdzie:

Śródziemne morze w oknie
i co więcej trzeba...
[...]
Uśpiony szlagier z dawnych lat
szczecińska Biała mewa
przerzuciła nas w tamten świat...
[...]
Biała mewa leć z piosenką tą hen daleko na ojczysty łąd
[...]
śpiewaliśmy w Hajfie oboje.
Dokądkolwiek poleciała mewa
surrealistycznego szlagieru
my poleciliśmy dalej
dalej
z piosenką tą.

Tomik *Tylko ziemia* otwiera krótki wiersz pod tym samym tytułem:

Ojcowizna to nie moja
niczyja
tylko ziemia
z kamieniami w swym wnętrzu
tylko ziemia z właściwością przyciągania.

Ale okazuje się, że ta właściwość jest decydująca — choćbyśmy chcieli traktować ją „naukowo”, jak coś neutralnego, realnego, danego nam ale nie danego — to:

w zimie zamarza jezioro
i spadają w śnieg szyszki z sosen
tuż przed zmierzchem

wczesnym wieczorem
nagie słońce zachodzi za szosę.

Magnetyczna siła przyciągania, newtonowska siła ciężkości, stosuje się też do ludzkiego serca, nieobojętnego na to przyciąganie.

Etapy — od Kirgizji do Nowego Jorku

O etapach swojej drogi intelektualnej i poetyckiej pisze Anna Frajlich w swoim *exposé*. Wspomina dom, który nawet w Kirgizji czy na Uralu pełen był aury kulturalnej i literackiej. We Lwowie w bibliotece ojca księgi religijne sąsiadowały z dziełami Heinego. Matka, która sama para się piórem walcząc o chleb dla rodziny nie zapomniła nigdy o pokarmie duchowym. Taka była tradycja rodzinna — i to już szło z Anną przez całe życie.

Nie mogę też przecenić wpływu niektórych moich nauczycieli polonistów. W latach 50. znana była w Szczecinie, wzbudzająca szacunek i niekiedy lęk rozłożysta postać pani Anieli Jeżewskiej. Pamiętała ona jeszcze carską szkołę. Od nas wymagała bezwzględного szacunku dla poetów, nigdy nie pozwalała zastępować pełnych imion pisarzy inicjałami, ale też nie była sentymentalna, czym nierzadko grzeszyły polonistki. Wszystko, czego mnie nauczyła pozostanie ze mną na zawsze, ale szczególnie zapamiętałam pewną ważną życiową lekcję. Kiedy raz zapomniałam igły na prace ręczne, pani Jeżewska, która wiedziała już o moich próbach poetyckich, przy całej klasie zaaplikowała mi sarkastyczną naukę: „Niech Frajlich nie myśli, że jak napisze wiersz, to może już zapomnieć o igle”.

Doświadczenie całego życia potwierdziło tę maksymę. Pisanie wierszy od niczego nie zwalnia i niczego nie usprawiedliwia. Pamiętam o igle i jeżeli na chwilę o niej zapomnę, drogo za to płacę. Nie zawężam zresztą tego do samego faktu bycia piszącą i pracującą kobietą, ale nie uważam też, że fakt ten należy ignorować.

Inny nauczyciel, który odegrał rolę w moim poznawaniu literatury to Stanisław Olejniczak, obecnie reżyser i publicysta mieszkający w Katowicach. W czasach nasilającej się antysemitki atmosfery w 1957 roku powiedział, abym przyszła do niego, jeżeli spotka mnie jakakolwiek zniewaga i dodał: „Ja bym takiemu komuś nie wiem co zrobił”. Po dwudziestu paru latach znalazłam w skrzynce w Nowym Jorku jego list. To jemu zawdzięczam nawiązany wówczas i kultywowany kontakt z katowickim środowiskiem akademickim.

W 1958 r. debiutowała w prasie — na łamach „Naszego Głosu”, który był polskim dodatkiem do żydowskiego pisma „Fołks-Sztyme” a równocześnie ogłosiła kilka wierszy w „Głosie Szczecińskim” i jeszcze przed maturą zdobyła sobie lokalną renomę w Szczecinie. Z tym bagażem udała się na studia polonistyczne do Warszawy.

Kiedy przekonałam się, że na polonistyce prawie każdy pisze wiersze, wstydziłam się nawet zdradzić z tym, że mam na swoim koncie kilkanaście opublikowanych wierszy i nagrodę w poetyckim konkursie „Głosu Szczecińskiego”.

Po studiach zaczęłam pracować w czasopiśmie dla niewidomych. Było to bardzo doniosłe dla mnie doświadczenie. Poznałam dość blisko to swoiste getto, nie znajdujące zrozumienia w społeczeństwie podobnie jak inne zamknięte środowiska. Miałam okazję poznać i zaprzyjaźnić się z dziś już nieżyjącym pisarzem i publicystą — Jerzym Szczygłem.

Jerzy Szczygieł, mój pierwszy szef i z czasem przyjaciel, był dla mnie chyba najtrudniejszym do naśladowania wzorem. Niewidomy, bez nogi, nadzwyczaj energiczny, utalentowany, wrażliwy, prawy i o stalowej woli pisarz i dziennikarz, był i pozostał dla mnie jakąś miarą doskonałości.

Wkrótce nadeszła emigracja... Gdy zdawało się, że cały jej wczorajszy świat się zawalił, w chwilach największego zwątpienia w Brooklynie, podtrzymywali ją na duchu

i w wierze jej przyjaciele z Polski z Forum Poetów „Hybrydy” przysyłając jej pisma, manifesty, almanachy, gdzie często figurowały jej wiersze, jej nazwisko. I wtedy nastąpił jej trzeci debiut w londyńskich „Wiadomościach” — „wielka przygoda pisarza emigracyjnego”, którą zawdzięcza Stefani Kossowskiej — powiedziałbym: łowczyńi nieznanym talentów, przyjaznej duszy emigranta.

Anna Frajlich nie należy do tzw. „poetów zaangażowanych”:

Choć pod jednym czy drugim manifestem zostałam podpisana, nie pisałam nigdy manifestów formalnych, a tym bardziej politycznych, niemniej jednak kilka razy wypowiedziałam się na temat tego, co uważam za swoje credo. Były to głównie wiersze o moim pojmowaniu poezji rozsiane w różnych tomikach.

Ale grudzień 1981 znalazł oddźwięk w takich wierszach jak „Wigilia 1981”, który podejmuje motyw „Pogrzebu Kazimierza Wielkiego” — Wyspiańskiego:

Idą posępni a niosą nadzieję
którą zabili swojscy nożownicy
siedzą bezbronni w przepelnionej celi
i od kul polskich na polskiej ulicy
giną...

— albo „Na pomnik poległych stoczniovców”:

i pamięta poeta
i dziecko pamięta
pamięć jest pomnikami
usiana jak ziemia.

Tematem jej wierszy jest to co jest tematem życia — miłość, ból, emigracja, mijanie, drzewo, miasto...:

Pisanie jest próbą zrozumienia poprzez wiersze pewnego planu, który stał się moim udziałem. Już Leśmian pytał w wierszu: „Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze?” Ja dostrzegam i w pełni doceniam blaski emigracji, odwołuję się tu do słynnego eseju Józefa Wittlina „Blaski i nędze wygnania”. O ile Leśmian pytał, „czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze” Wittlin pisał w eseju, że nie ma powrotu, bo emigruje się nie tylko z miejsca, ale i z czasu. A więc może właśnie dlatego, że nie ma powrotu do czasu, ten czas, ten moment natrętnie powraca do mnie, niosąc ze sobą cały szereg pytań: gdzie jest dom? dlaczego ludzie z jednej ulicy w niewielkim mieście rozsypani są po różnych kontynentach? kto ma prawo do definicji czyjś miejsca?

Wiersz „Przypowieść” wyjaśnia mój stosunek do sprawy powrotu i niemożności powrotu. A to dlatego, że żaden powrót nie jest współmierny do tego bólu, który towarzyszył wyjazdowi. W swoim ostatnim tomie *Znów szuka mnie wiatr*, który w całości niemal poświęcony jest tematowi powrotu, piszę:

Znów przejeżdżam
nad Dworcem Gdańskim
tylko nie mogę
nad nim przejść

do porządku dziennego.

Książki i ludzie

Anna Frajlich wspomina książki, które od dzieciństwa kształtowały jej osobowość — z Mickiewiczem na czele. Jej pierwszym nowoczesnym poetą był Broniewski, autor wierszy o I wojnie światowej i liryków miłosnych. Pawlikowska-Jasnorzewska i Leśmian byli

niemal nie do osiągnięcia w Polsce Ludowej, gdy zetknęła się z Szyborską. Wiersz Anny Kamieńskiej z refrenem „Przysięgałam nigdy nie przysięgać” oddziaływał na nią tak, że nigdy nie przystąpiła do żadnej partii politycznej. Już na uniwersytecie wywarł na niej wielkie wrażenie Brzozowski — „rok lektur Brzozowskiego i seminaryjnych dyskusji był dla mnie największą przygodą intelektualną” — wyznaje.

„Największą jednak rolę w kształtowaniu się mojego losu odegrali ludzie”, począwszy od rodziców oczywiście... Ale ilekroć zagrzała się w jakimś kółku — rozwiewał je wiatr historii...

Kiedy w 1956 roku i później przyjaciele i bliscy emigrowali, zostawałam z tym nieskończenie smutnym uczuciem, że nigdy ich nie zobaczę. Kiedy w listopadzie 1969 roku wyjeżdżałam z Polski, w całej rozpacz, znajdowałam jedno pocieszenie, że zobaczę tych, których — zdawałoby się — pożegnałam na zawsze. I istotnie spotkałam wielu z nich, niektórych dopiero w 1991 roku podczas pierwszej wizyty w Izraelu. Nie spodziewałam się jednak, że to właśnie na emigracji, a potem przy kolejnych „powrotach”, zetknę się z wieloma wybitnymi pisarzami na emigracji i w kraju i z niektórymi będę mogła się nawet zaprzyjaźnić. Wiele z tych osób stało się dla mnie przykładem samozaparcia w dążeniu do samorealizacji, do osiągnięcia swojego celu w warunkach zdawałoby się niemożliwych. [...]

Nie wiem, czy jest to zbieg okoliczności, czy jakaś prawidłowość, ale na istotnych życiowych zakrętach spotykałam kobiety, które odegrały szczególną rolę w moim życiu. Była to Hadasa Rubin, mój pierwszy mentor w sprawach poezji, profesor Janina Kulczycka-Saloni, promotor mojej pracy magisterskiej na Uniwersytecie Warszawskim, Stefania Kossowska, która zaakceptowała wiersze wysłane do „Wiadomości”, mimo że po raz pierwszy zobaczyła moje nazwisko i nie miałam żadnego polecenia. Któregoś dnia w Nowym Jorku przedstawiono mnie prof. Zoi Juriewej, rusycystce, która jest autorką pracy o Józefie Wittlinie. Znała moje nazwisko już z „Wiadomości”.

— Pani miejsce jest na uniwersytecie — powiedziała. Mnie samej ta myśl nie przyszłaby chyba nigdy do głowy ze względu na warunki emigracyjne, trudności językowe, no i czas, który upłynął od ukończenia studiów w Warszawie. A jednak po latach obroniłam pracę doktorską i z profesorem Juriewą pozostawałam w przyjaźni do końca jej życia.

Ale istnieje też „życie prywatne”, mąż inżynier, którego poznała podczas studiów. Wyjechali z Polski z dwuletnim synem, którego w Stanach wychowali i wykształcili. Jest rodzina. Za największe swoje osiągnięcie życiowe uważa ta niezwykle aktywna polonistka to, że nie musiała się wyrzec dla swojej kariery uniwersyteckiej i literackiej pełnego życia rodzinnego i że te dwie dziedziny, które nierzadko kłócą się ze sobą i przeszkadzają jedna drugiej — w jej życiu dopełniają się wzajemnie. Jak mówiła jej nauczycielka: „Wiersze wierszami a nie trzeba zapominać o igle” — I Anna Frajlich dobrze to zapamiętała...

„WIELKIE POKUSZENIE”, ALBO ZAPOMNIANY FRAGMENT ZNIEWOLONEGO UMYSŁU CZESŁAWA MIŁOSZA

Mirosław Adam SUPRUNIUK (Toruń)

1 lutego 1951 roku Czesław Miłosz wystąpił o azyl polityczny we Francji. W relacji Józefa Czapskiego wyglądało to następująco: „Czesław wyskoczył z placówki dyplomatycznej i przyjechał prosto do «Kultury», był w okropnym stanie nerwów, a myśmy go natychmiast przyjęli jako swojego przyjaciela”¹.

Miłosz zjawił się w domu przy 1 avenue Cornaille najprawdopodobniej w ostatnich dniach stycznia 1951 roku. Poeta traktował swoją decyzję jako samobójstwo intelektualne i nie oczekiwał zrozumienia, a jedynie schronienia przed możliwie najszybszym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych, do żony, która spodziewała się drugiego dziecka. Redaktor „Kultury” najprawdopodobniej nie miał wątpliwości, że Miłosza trzeba przyjąć i „przechować”. Wykazał wielką mądrość polityczną (albo wielki spryt polityczny). Według ówczesnego prawa francuskiego uchodźcy polityczni musieli posiadać stałe zamieszkanie i meldować w prefekturze wszelkie wyjazdy i zmiany adresu. Zagadnienie to należało rozwiązać możliwie szybko, aby nikt nie mógł oskarżyć „Kulturę” o bezprawne przetrzymywanie obywatela Polski Ludowej². Za radą ministra spraw wewnętrznych Republiki Francuskiej, Miłosz pozostał w Maisons-Laffitte incognito i nie utrzymywał z nikim kontaktów³. Poinformowany przez MSW posterunek policji w Laffitte przydzielił Instytutowi „obstawę”, a Miłosz wychodził z domu „Kultury” tylko wspólnie z Zygmuntem Hertzem i z zakrytą głową, podając się w razie konieczności za

¹ R. Gorczyńska, *Portrety paryskie*. Kraków 1999 s. 233.

² Por. opinię Zofii Hertz: R. Gorczyńska, *Portrety*, s. 234.

³ I. Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*. Warszawa 1994 s. 62–63.

„Kwiatkowskiego”. Krótco po wizycie w Ministerstwie zjawilo się w domu „Kultury” dwóch funkcjonariuszy francuskiego MSW, którzy przyjęli do wiadomości decyzję poety i — jak wspomina Zofia Hertz — zadali kilka mało znaczących pytań dotyczących przeszłości Miłosza i pracy w ambasadzie PRL-u. Rozmowa odbyła się, na prośbę poety, w obecności Jerzego Giedroycia i była jednorazowa⁴.

Redaktor „Kultury”, wspólnie z Czapskim zaplanowali kolejne wydarzenia podporządkowując je — jak się zdaje — zabiegom o wizę amerykańską dla Czesława Miłosza. Być może też wymusili na poecie zwłokę w ogłoszeniu decyzji publicznie licząc na większy efekt propagandowy. Przez trzy i pół miesiąca Miłosz mieszkał w domu „Kultury” i pisał artykuł „Nie” oraz, najpewniej również, pierwsze szkice na zamówienie „Preuves”, drukowane później w prasie Kongresu. Niektóre z nich w 1953 roku weszły do książki *La pensee captive (Zniewolony umysł)*⁵. Poeta czuł się źle, rzadko spotykał z ludźmi i, pomijając naturalną korespondencję z żoną w Stanach, prawie nie pisał listów. „Czesławowi wyraźnie brakowało rozmów ze swoimi krajowymi przyjaciółmi” — napisze Zofia Hertz — rekompensował je kłótniami z Giedroyciem i Hertzami⁶. Starania o wyjazd do Stanów Zjednoczonych przeciągały się. W połowie kwietnia 1951 roku Józef Czapski, z ramienia Kongresu Wolności Kultury, poleciał do Nowego Jorku, by przekonać Fundację Forda do finansowania projektu uniwersytetu dla młodzieży zza „żelaznej kurtyny”, który opracowali wraz z Jerzym Giedroyciem⁷. Czy przy okazji spotkał się z rodziną Miłosza, nie wiemy. Jednak wkrótce po jego powrocie podjęto w „Kulturze” decyzję o zorganizowaniu konferencji prasowej, na której poeta miał oficjalnie ogłosić decyzję o pozostaniu na Zachodzie.

15 maja 1951 roku nastąpiło ujawnienie. Akcję zaplanowano w szczegółach i zrealizowano przy pomocy francuskich przyjaciół „Kultury”, choć nie ma pewności, że sprawa od początku uzgodniona była z samym Miłoszem. Wiemy skądinąd, że o wielu innych akcjach związanych z Miłoszem Giedroyc decydował sam, np. o apelu z poparciem z grudnia 1951 roku poeta dowiedział się, gdy ten został wydrukowany w „Kulturze”. „Giedroyc jest człowiekiem zamkniętym i nigdy nie mówi o swoich posunięciach” — napisał w liście do Wańkowicza⁸. Krótco przed południem, 15 maja, Czesław Miłosz wystąpił na konferencji prasowej zorganizowanej w Paryżu, w siedzibie redakcji „Preuves”, przez Kongres Wolności Kultury i stowarzyszenie Amis de la Liberté, i poinformował publicznie o ucieczce i emigracji⁹. Równocześnie w prasie francuskiej ukazał się komunikat podpisany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Francji informujący o decyzji poety. Dzień później Instytut Literacki rozpoczął kolportaż majowego zeszytu „Kultury” zawierającego kilka znanych już wcześniej, choć w okaleczonej formie, wierszy Miłosza, w tym „Moje credo poetyckie. Poeta” oraz „Do T. Różewicza, poety”. Majowy numer „Kultury” zawierał ponadto artykuł

⁴ R. Gorkczyńska, *Portrety*, s. 234–235; por. też: I. Chruślińska, *Była raz „Kultura”*, s. 63.

⁵ Zastanawiające, ale pierwszy tekst o Miłoszu ukazał się w „Preuves” tuż przed „Nie”, w maju 1951 roku (nr 3/1951). Pierwszy tekst Miłosza, artykuł „Un païen devant la Nouvelle Foi”, ogłoszony został już w zeszycie następnym (4/1951).

⁶ Z. Hertz, *[O Miłoszu]*, Apokryf 2001 nr 15 s. 19.

⁷ M.A. Supruniuk, „Kultura” – Kraj: pomoc Instytutu Literackiego dla Polski w latach 1946–1990. *Koncepcje i realizacja*. Toruń 2000 (maszynopis rozprawy doktorskiej w zbiorach Archiwum Emigracji BUMK).

⁸ Wańkowicz i Miłosz w świetle korespondencji, podała do druku A. Ziółkowska, *Twórczość* 1981 nr 10 s. 92 (list z 7.01.1952).

⁹ *Une conference de Czeslaw Milosz*, Preuves 1951 nr 4 s. 51; A. Prudhommeaux, *Le cas Miłosz*, Preuves 1952 nr 12 s. 62–63; zob. też: [A. Paczkowski] J. Andrzejewski, *Miłosz '51*, Krytyka 1983 nr 13/14 s. 203.

Miłosza pt. „Nie”. Jerzy Giedroyc zdażył też wydrukować kilkaset egzemplarzy specjalnego „listu Czesława Miłosza” do intelektualistów: literatów, dziennikarzy, ludzi nauki i sztuki w Kraju, który został rozesłany wraz z „Kulturą”. List był też parokrotnie czytany i komentowany w „Voice of America” oraz przez samego Miłosza w Radio France Internationale¹⁰. Na kilka dni przed konferencją ukazał się majowy zeszyt czasopisma „Preuves” z obszernym szkicem redakcji na temat Miłosza.

Jeżeli jednak Miłosz lub, co bardziej prawdopodobne, Jerzy Giedroyc, spodziewali się, że oficjalna konferencja prasowa w siedzibie Kongresu oraz komunikat Quai d’Orsay ułatwią poecie starania o wizę amerykańską to bardzo się zawiedli. Amerykanie oskarżyli Miłosza o kryptokomunizm i stanowczo odmawiali zgody na wjazd od Stanów Zjednoczonych. Nie pomogły ani zabiegi Czapskiego, który latem 1951 roku był w Stanach Zjednoczonych¹¹, ani wspólne starania Konstantego A. Jeleńskiego i Edwarda Borowskiego, wówczas dyplomaty RP przy stolicy watykańskiej, do którego zwracał się sam poeta¹². Na nic zdały się zabiegi amerykańskiego oddziału Komitetu, który — pomimo sprzeciwu Miłosza¹³ — interweniował w sprawie wizy dla niego publikując apel na ten temat w „New York Times”, „New Leader” i „New York Herald Tribune”. Zdaniem Miłosza, odmowa podyktowana była donosami, petycjami i niemal jednobrzmiącym stanowczym protestem Polonii, która domagała się, by władze amerykańskie nie „wpuściły do Ameryki szkodliwego osobnika [...] poetę Miłosza, piewę bierutowskiej Polski”. Donosy składane były też do władz francuskich¹⁴. Czy winę za taki stan rzeczy ponosili Polacy z Londynu — jak uważali redaktor „Kultury” i sam poeta — czy raczej reguła prawna zakazująca wstępu do Ameryki każdemu, kto piastował urząd w państwie za „żelazną kurtyną” — nie sposób dzisiaj potwierdzić. Sam Miłosz dał jednak pewne w tym względzie wskazówki. Mówiąc o efektach swoich starań w powołaniu katedry polonistyki na Columbia University konstatował:

Rozpętało się piekło w całej prasie polonijnej przede wszystkim, i amerykańskiej, że to penetracja komunistyczna i ambasada polska wsadziła swoją wtyczkę. Zacząłem dostawać sterty wycinków, które posyłałem do Warszawy¹⁵.

W innym miejscu napisze jeszcze mocniej, choć z sarkazmem:

winien byłem poważnego przestępstwa, bo [...] stworzyłem pierwszą katedrę literatury polskiej w Ameryce, osadzając na niej profesora Manfreda Kridla — ale za pieniądze Warszawy, czyli bolszewickie¹⁶.

Nie wydaje się, by wraz z legalizacją pobytu we Francji polepszyła się sytuacja finansowa Miłosza. Okres francuski w swojej biografii będzie poeta wspominał jako wypełniony pracą twórczą i zarobkową, codziennym wiązaniem końca z końcem. „Z uciech

¹⁰ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956, cz. 1*, wybrał i wstępem poprzedził K. Po-mian. Warszawa 1999 s. 125.

¹¹ Pisz o tym A. Janta w liście do W. Iwaniuka: *Samotność słowa. Z listów do Wacława Iwaniuka: Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta-Połczyński*, oprac. i wstępem opatrzył L. M. Koźmiński, Lublin 1995 s. 140.

¹² J. Giedroyc, K.A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył W. Karpiński. Warszawa 1995 s. 84.

¹³ Cz. Miłosz, *Listy do Józefa Wittlina*, *Zeszyty Literackie* 2001 nr 3 s. 135.

¹⁴ Cz. Miłosz, *Abecadło Miłosza*. Kraków 1997 s. 32; zob. też: *Wańkiewicz i Miłosz*, s. 93.

¹⁵ A. Fiut, *Rozmowy z Czesławem Miłoszem*. Kraków 1981 s. 108.

¹⁶ Cz. Miłosz, *Abecadło*, s. 31–32, 153–158 — tam więcej na temat okoliczności powołania katedry.

starczało na paczkę gauloise'ów i kieliszek *vin ordinaire* dziennie¹⁷. Miłosz nadal mieszkał w Maisons-Laffitte i, chcąc być przydatnym, pisał artykuły i tłumaczył dla „Kultury” angielską poezję i artykuły, np. fragment książki A. Koestlera *The Age of Longing*, który ukazał się w numerze 9/1951 lub szkic Milady Suczkowej o literaturze czechoskiej. W czerwcu wyszedł zapomniany już prawie szkic „Poezja i dialektyka”, o uwarunkowaniach pisania i publikowania wierszy w Polsce w kontekście powstania „Nowej Kultury”¹⁸. Jeździł też z odczytami na temat sytuacji inteligencji w państwach komunistycznych, zaliczał kolejne konferencje i sympozja Kongresu Wolności Kultury, pisywał do prasy Kongresu artykuły polityczne i literackie oraz felietony radiowe dla BBC. Przed wojną pisywał recenzje filmowe i teatralne m.in. w „Pionie”. Teraz przyszło mu wrócić do tamtej profesji i pisać podobne do „Preuves”. Pierwsze większe pieniądze przyjdą dopiero w 1953 roku wraz z nagrodą za *Zdobycie władzy* oraz honorariami za tłumaczenia nagrodzonej powieści, a także *Zniewolonego umysłu*. Dopiero wtedy będzie mógł sprowadzić żonę i synów z Ameryki, a później wynająć dom w podparyskim Brie-Comte Robert.

Tymczasem, w oczekiwaniu na wizę amerykańską Miłosz pracował nad *Zniewolonym umysłem*. W rozmowie z Włodzimierzem Boleckim, w końcu lat 90. powie:

Temat mój był jasno sprecyzowany. Chodziło mi o opis środowiska, które dobrze znałem, a więc przede wszystkim literatów, bo pisząc o nich, mogłem pisać również przez introspekcję o sobie. Natomiast nie miałem zakreślonego z góry planu, i książka rozrastała się w miarę przybywania rozdziałów.

W innym miejscu poeta powiedział:

Zniewolony umysł napisałem wtedy, kiedy byłem przekonany, że skończyła się moja poezja, bo pójście na emigrację doprowadzało mnie do rozpacz. Chciałem taki przynajmniej zrobić użytek z pióra, wypełniając zobowiązanie. Bo czułem się zobowiązany moralnie. Czyli *Zniewolony umysł* był wynikiem obowiązku i samodyscypliny¹⁹.

Miłosz wspominał, że zaczął pisać *Zniewolony umysł* latem 1951 roku, a książka była gotowa już na początku roku następnego. Potwierdzają to informacje w listach Jerzego Giedroycia do współpracowników²⁰. Pomijając szkic „Ketman”, który powstał najwcześniej i opublikowany został po polsku w „Kulturze”²¹ zanim ukazał się w „Preuves”, ani jeden więcej fragment *Zniewolonego umysłu* nie został udostępniony czytelnikom po polsku przed pełnym wydaniem książki w roku 1953. Książka czy może raczej materiał do książki, znacznie szerszy niż końcowy efekt, powstawał w pośpiechu, najpewniej na zamówienie „Preuves” i Kongresu. Niektóre fragmenty Miłosz ogłaszał drukiem, planowo, np. „Murti-Bing”, lub z okazji wydarzeń: tak było ze szkicem o Tadeuszu Borowskim ogłoszonym w „Preuves” po śmierci pisarza. Przed ostateczną wersją książkową niektóre ze szkiców ulegały przeróbkom, inne Miłosz najpewniej usuwał, by nadać *Zniewolonemu umysłowi* formę jednolitą i spójną. Nie sposób wykluczyć, że szkic „Un païen devant la Nouvelle Foi”, ogłoszony w zeszycie 4/1951 „Preuves”, a następnie przedrukowany we florenckim „Il Ponte” (8/1951) stanowi jedną z wczesnych wersji „Ketmana”, jeszcze surową. Być może

¹⁷ R. Garczyńska, *Portrety*, s. 219; tak samo: Cz. Miłosz, *Abecadło*, s. 74.

¹⁸ Francuski przekład tego szkicu ukazał się niemal równocześnie w „Preuves”. Tekst przedrukowany został jedynie w zbiorze Cz. Miłosza *Poszukiwania*, wydanym w 1985 roku w podziemnym wydawnictwie CDN.

¹⁹ A. Fiut, *Rozmowy*, s. 112.

²⁰ J. Giedroyc, K.A. Jeleński, *Listy*, s. 54, 58.

²¹ *Kultura*, 1951 nr 7–8 s. 24–43.

też do *Zniewolonego umysłu* należał pierwotnie również inny tekst, wydany w listopadzie 1951 roku po francusku, szkic „La grande tentation. Le drame des intellectuels dans des democraties populaires” (Wielkie pokuszenie), ukazujący na podstawie własnych doświadczeń psychologiczne przyczyny współpracy intelektualistów w krajach Europy Wschodniej z władzą totalitarną. Dlaczego nie wszedł do zbioru — możemy się jedynie domyślać. We wrześniu 1951 roku poeta zaproszony został do Andlau (k. Strasbourga) na konferencję Kongresu Wolności Kultury poświęconą psychologicznym wpływom komunizmu na intelektualistów w krajach tak totalitarnych, jak i wolnych, oraz wartościom, w imię których Zachód może docierać do intelektualistów poddawanych ideologii stalinowskiej. W konferencji odbywającej się między 10 a 15 września udział wzięli pisarze, naukowcy i dziennikarze m.in.: Roger Caillois, Jules Monnerot, Władimir Weidle, Nicola Chiaramonte, Paul S. Epstein, John Hopkins, Sidney Hook, Jules Margoline, Denis de Rougemont, François Bondy i Czesław Miłosz²². Miłosz zdecydował się odczytać gotowy tekst, nadając mu osobny i samowystarczalny żywot, a komisja wydawnicza Kongresu uznała, że należy go opublikować.

Bibliografia Czesława Miłosza autorstwa Volynskiej-Bogert i Zalewskiego notuje cztery osobne wydania tego szkicu: dwa po francusku, po jednym po włosku i duńsku²³. Informacje te powtórzyła Jadwiga Czachowska w piątym tomie słownika *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*²⁴. Nie udało się, niestety, potwierdzić istnienia drugiego francuskiego wydania broszury w 1952 roku i najpewniej mamy tu do czynienia z pomyłką bibliografów Miłosza. Jeszcze w roku 1953 „Preuves” informowało, że posiada egzemplarze wydania z roku 1951, nie było zatem powodu do wznowienia. Ponadto wydanie z roku 1951 zostało wydrukowane przez, przywołane jako wtóry wydawca, Societe des editions des Amis de la Liberte. Wydaje się natomiast, że w 1952 roku ukazało się również wydanie niemieckie zatytułowane *Die grosse Versuchung*²⁵. Ponadto w numerze 7/1952 czasopisma iberoamerykańskiego „Sur”, ukazującego się we Francji przedrukowano tekst w całości po hiszpańsku²⁶, a w zeszycie 4/1952 miesięcznika „Problems of Communism” (Washington) angielskie streszczenie pt. „The Intellectual in a People’s Democracy”. Poeta wspomina, że treść *Zniewolonego umysłu* dyktował Andre Prudhommeaux, który nadawał książce właściwą francuską formę²⁷. Wolno przypuszczać, że również *La grande tentation* przełożył na francuski A. Prudhommeaux, choć nie zostało to nigdzie zaznaczone. Broszura dopełniona została rysunkiem portretu Miłosza autorstwa Bernarda Millereta, który ukazał się wcześniej w „Preuves” (4/1951 s. 9)

La grande tentation zostało entuzjastycznie przyjęte przez prasę francuską i brytyjską, było też szeroko komentowane w czasopiśmie młodej emigracji rosyjskiej „Litterature Sovremennik” wychodzącym w Monachium²⁸. Przytoczmy kilka opinii zanotowanych w „Preuves”²⁹:

²² *La semaine d’etude d’Andlau*, Preuves 1951 nr 8 s. 32.

²³ R. Volynska-Bogert, W. Zalewski, *Czeslaw Milosz: an international bibliography 1930–1980*, Ann Arbor 1983 s. 9.

²⁴ [J. Czachowska] J.Cz., *Miłosz Czesław*, [w:] *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury: słownik biobibliograficzny*, oprac. zespół pod red. J. Czachowskiej i A. Szatagan, t. 5: L–M, Warszawa 1997 s. 408.

²⁵ Inf. na ten temat zawierają kolejne zeszyty „Preuves” poczynawszy od 18–19/1952 s. 127.

²⁶ Zob. Preuves 1952 nr 17 s. 64.

²⁷ A. Fiut, *Rozmowy*, s. 112.

²⁸ Preuves 1952 nr 17 s. 64. Zob. też: Time Literary Supplement, 2.03.1952.

²⁹ Preuves 1952 nr 14 s. 59.

Trzeba przeczytać te 20 stron wydanych przez PREUVES: przejmująca głęboka analiza, jasność stylu i spokój tonu, usiłowanie zrozumienia i szczerść Autora czynią dokument niezbędnym, w pierwszym rzędzie, dla intelektualistów w krajach ze Wschodu.

(Arts)

Bez niepotrzebnej polemiki, ale z duchem szczerści, który porusza, Autor analizuje postawę i świadomość intelektualistów, wyjaśniając je w sposób naturalny i przejrzysty.

(Contacts)

To nie jest jakaś broszura, lecz istota rzeczy. Trzeba to przeczytać i przemyśleć.

(Pierre Loewel, *L'Aurore*)

Strony przejmujące szczerścią.

(Georges Rigassi, *La Gazette de Lausanne*)

Pierwodruk szkicu ukazał się w serii „Essais et Temoignages”. Collection de la Revue „Preuves”, jako trzecia broszura po: *Que veulent les Amis de la Liberte?* (1951); Denis de Rougemont, *Les libertesque nous pouvons perde* (1951). W roku 1952 w serii wydrukowany został szkic Arpada Szelpala, *Budapest: Destin d'une Universite*.

Szkic *La grande tentation* stał się początkiem wieloletniej współpracy Miłosza z Kongresem Wolności Kultury. W latach 50. Czesław Miłosz związał się z KWK na dobre. Brał udział w niemal wszystkich europejskich sympozjach i odczytach naukowych Kongresu m.in.: w maju 1952 roku uczestniczył (wraz z Romanem Palestrem i Józefem Czapskim) w odbywającym się w Paryżu „Festiwalu sztuki” zorganizowanym przez KWK. Pisałem o tym szerzej w innym miejscu, nie ma powodu by powtarzać znane fakty³⁰. Zdaniem François Bondy’ego, redaktora „Preuves”, Miłosz był najważniejszym współpracownikiem prasy Kongresu. Publikowane na łamach „Preuves” fragmenty *La pensee captive*, były pierwszym wielkim tekstem, jaki ukazał się w miesięczniku: „dzięki *Zniewolonemu umysłowi* ludzie przestali nas uważać za pismo antykomunistycznej amerykańskiej propagandy i zaczęli traktować poważnie”³¹.

Konstanty Jeleński zauważył, że jedną z najważniejszych i „najbardziej owocnych inicjatyw Kongresu było wydanie artykułów i broszur Czesława Miłosza oraz zorganizowanie mu odczytów”. Jeleński dodawał też, że „Murti-Bing” Miłosza miał bardzo dobry odbiór wśród zachodnioeuropejskich intelektualistów. Wymienił Benedetto Croce, który miał uważać szkic ten „za rewelację”, ale też pisarzy nie związanych z ideologią antysowiecką, czy antykomunistyczną: Elio Vittorini czy Alberto Moravie: „argumenty Miłosza przemawiały do nich szczególnie przekonująco” — pisał Jeleński. — „Wśród intelektualistów francuskich Miłosz uważany był za człowieka, który z niezwykłą ostrością wizji analizował dylematy pisarzy wobec komunizmu. Mogę się tu powołać na opinię Alberta Camusa i Rene Chara”³². Opinia Camusa była zdaje się również ważna dla Miłosza, który w liście do Wańkowicza napisze: „tacy czytelnicy jak Camus są zdolni zrozumieć tragedię [moją] lepiej niż Polacy”³³. Jeleński przytoczył jeszcze świadectwo „najstarszego bojownika antytotalitaryzmu na Zachodzie”: Michaela Polanyi’ego, który powiedział, że odczyty Miłosza

³⁰ Por.: M. A. Supruniuk, *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*, Archiwum Emigracji 1998 z. 1 s. 95–102.

³¹ F. Bondy, *Gombrowicz*, Zeszyty Literackie 1989 nr 27 s. 44. Pierwszym fragmentem *Zniewolonego umysłu* w „Preuves” (9/1951) był „B, ou l’Amant malheureux”, poświęcony Tadeuszowi Borowskiemu z dużym portretem Borowskiego, nie pozostawiającym wątpliwości co do identyfikacji „B”. Kolejne fragmenty ukazywały się w roku 1952 i 1953.

³² K.A. Jeleński, *List do Redakcji*, Wiadomości 1953 nr 13 s. 4.

³³ *Wańkowicz i Miłosz*, s. 92.

zrobiły wielkie wrażenie na lewicowych studentach angielskich³⁴. Ten sam Jeleński napisał jednak w innym miejscu, wbrew świadectwu Bondy'ego i samego Miłosza — choć być może uwagi te nie są całkiem w sprzeczności — że w 1951 roku Paryż przypominał lewicowy salon, w którym *Zniewolony umysł* „wywołał zgorszony bojkot”³⁵.

Esej Miłosza *La grande tentation* nie wywołał reakcji polskich publicystów na emigracji dobrze przecież znających język francuski. Został szybko sklasyfikowany jako wtórny wobec „Nie” i zapewne opublikowanego nieco wcześniej w „The Twentieth Century” „Murti-Binga”, a zatem wrogi emigracji. I, bodaj, poza artykułem Adama Pragiera³⁶ w „Wiadomościach”, nie poświęcono mu zupełnie uwagi. Być może jednak niezyczliwy ton tekstu Pragiera zniechęcił do lektury. Pisał on bowiem:

„Wielka Pokusa czyli dramat intelektualistów w demokracjach ludowych” — pod takim tytułem Czesław Miłosz ogłosił imaginacyjny wizerunek duchowego rozwoju intelektualisty w dzisiejszej Polsce. Ma to być obraz obiektywny, sama prawda. Miłosz nie wypowiada jakoby swojego sądu o sprawach, o których pisze. Z doboru faktów i przemilczeń, z tonu i słów wylania się wszakże jego własna postawa, a może zamierzenie. [...] Miłosz jest na pozór tylko obserwatorem, a nie chwalcą, ale sugeruje ocenę, która wypadać musi dodatnio. Robi to umiejętnie. Sposób ujęcia tych spraw u Miłosza bardzo niewiele odbiega od urzędowej wersji sowieckiej. Wersja ta mówi: lud w porywie ku wolności zerwał kajdany i buduje nowe szczęśliwe życie. [...] I jak w wypowiedziach urzędowych sowieckich, tak w całym wypracowaniu Miłosza nie ma ani jednego włókna, związanego z rzeczywistością życia w Polsce. Uderza właśnie najmocniej — obcość rzeczywistości.

Wydaje się jednak, że wystąpienia i publikacje Miłosza największe znaczenie miały dla lewicowej inteligencji na Zachodzie. Po procesie Dawida Rousseta z komunistycznym tygodnikiem „Les Lettres Françaises”, zakończonym w styczniu 1951 roku, mało kto miał jeszcze wątpliwości co do istnienia obozów koncentracyjnych w „ojczyźnie wielkiego językoznawcy”, a powołany w czerwcu roku 1950 Kongres Wolności Kultury znalazł — jak się wówczas wydawało — oręż do walki z sowiecką propagandą. Europa oczekiwała diagnozy, która umożliwi wyleczenie się z „mądrej choroby”. Zachodni intelektualiści potrzebowali czegoś w rodzaju podręcznika postępowania, który pozwoli im „z honorem” przyznać się do komunizmu, a następnie „z honorem” od niego odejść. I Miłosz napisał *La grande tentation*, a później *Zniewolony umysł* tłumaczony i wydany w kilku językach. Dzięki Miłoszowi publicystyka Kongresu osiągnęła wysoki poziom i zaczęła przyciągać uwagę i szacunek wrogiej mu lewicy francuskiej³⁷. Rolę i znaczenie *Zniewolonego umysłu* w „dojrzwaniu” zachodnioeuropejskich komunistów podkreślał również Thomas Merton: „jest to książka, która powinna być zostać napisana” — pisał, dodając, że z cierpienia Miłosza wypłynęło „dobro dla innych”³⁸. Miłosz był Europie Intelektualistów potrzebny do czasu. Wraz z rokiem 1956 zmienił się ich stosunek do komunizmu, a w nowej polityce nie było już miejsca dla Miłosza.

Niniejsze wydanie oparto na podstawie wydania francuskiego w serii „Essais et Témoignages”. Collection de la Revue „Preuves”.

³⁴ K.A. Jeleński, *List do Redakcji*, s. 4.

³⁵ K.A. Jeleński, *O „Ziemi Ulro” po dwóch latach*, [w:] tegoż, *Szkice*. Warszawa 1990 s. 113.

³⁶ [A. Pragier] Pandora, *Stachanowiec na wygnaniu*, *Wiadomości* 1952 nr 11 (311) s. 3.

³⁷ F. Bondy, *Intelektualna Europa*, rozmawiała Iza Chruślińska, *Przegląd Polityczny* 1997 nr 33/34 s. 64–69.

³⁸ W: *O dziele Czesława Miłosza — głosy z lat 1937–2000*, *Zeszyty Literackie* 2001 nr 3 — dodatek s. 17.

LA GRANDE TENTATION

LE DRAME DES INTELLECTUELS

DANS LES DEMOCRATIES POPULAIRES

Czesław MIŁOSZ

A Varsovie, Prague, Budapest, Bucarest, Sofia, au centre du système circulatoire de chaque démocratie populaire, se trouve un monde spécial comprenant les maisons de l'Union des Ecrivains, les Instituts de Diamat, les rédactions et firmes éditoriales officielles, les salles d'exposition et de concert. Des gens — dont les jours s'écourent entre les livres, les luttes personnelles et la signature incessante de nouvelles résolutions — y forment un cercle fermé et qui, pour le profane, a quelque chose de mystérieux et d'irréel. Ils sont comme suspendus dans les nuées au-dessus des simples habitants du pays. On peut comparer leur navire de nuages à l'île volante des Philosophes créée par l'imagination de Swift. Le système stalinien est une dictature philosophique, et ce monde aérien domine tout: c'est par le résultat du travail des intellectuels que sont formées la mentalité de l'enfant à l'école et celle du lecteur de journaux ou de livres. Mais ce travail est basé sur des concepts donnés, acceptés sans discussion. L'intellect est considéré, non comme un organe de création, mais comme un instrument d'exécution: il doit donner un rendement immédiat à ceux qui gouvernent. Ce qui ne donne pas ce rendement n'est pas considéré comme intellect.

J'ai appartenu à ce cercle il n'y a pas longtemps; voilà seulement quelques mois que j'ai rompu mes liens avec la Pologne. J'ai fait cela à contre-cœur, tout simplement parce que je ne voyais pas d'autre issue.

Je voudrais écarter ici un malentendu. Personnellement, aucun danger ne me menaçait en Pologne. L'écrivain des Démocraties populaires se trouve au sommet de l'échelle sociale et jouit de tous les privilèges, pourvu qu'il se rende utile. Le caractère de ma poésie, telle que je la pratiquais jusqu'en 1950, m'exposait sans doute à certains reproches (on m'accusait d'un penchant vers la «métaphysique» et le tragique pur). Néanmoins, on me comptait parmi les poètes reconnus. On m'appréciait aussi comme traducteur de poètes étrangers, en particulier de Shakespeare. Comme la majorité des écrivains de l'Europe centrale et orientale, je n'ai jamais appartenu au Parti; on ne me considérait pas comme un stalinien; j'étais un «bon païen», c'est-à-dire un homme qui n'est pas réactionnaire et qui n'a pas eu, dans son passé, de sympathies pour la droite. Avant la guerre, je ne cachais pas mon attitude hostile envers les antisémites dont la propagande jouissait, à cette époque, d'un suc-

cès considérable. J'ai passé la guerre à Varsovie, écrivant et publiant clandestinement contre le nazisme. Après cela, on m'a envoyé aux Etats-Unis comme attaché culturel. Le fait que je n'étais pas communiste a plutôt facilité cette nomination: c'était encore l'époque du libéralisme transitoire. J'ai passé quelques années sur le territoire américain, envoyant toujours en Pologne mes poèmes, mes traductions et mes articles aux revues, et prenant part à des polémiques littéraires; plus tard, on m'a fait attaché culturel à Paris, mais je n'exerçai que peu de temps cette fonction. Pendant mon dernier séjour à Varsovie, je me suis rendu compte que je ne pourrais plus, désormais, publier autre chose que de la *p r o p a g a n d e*. On exigeait de moi une orthodoxie stricte. C'est alors que j'ai pris ma décision.

Puisque je connais bien l'Ile, suspendue dans les nuages, c'est-à-dire les intellectuels des Démocraties populaires, je vais tâcher d'en donner une description aussi précise que possible, quoique réduite aux lignes principales.

LE PROBLEME DE LA FUITE

Il faut constater que chacun des artistes ou des savants des Démocraties populaires s'est trouvé en 1945 devant ce dilemme: émigrer, ou travailler dans son pays. Personne n'était assez naïf pour s'imaginer que les exigences de Moscou ne seraient pas de plus en plus grandes; cependant, l'opinion générale se prononça comme suit: les intellectuels devaient rester sur place; toute fuite serait un signe de faiblesse. En fait, il existait une chance, précaire sans doute, d'un «chemin national vers le socialisme» — et il faut remarquer qu'aucun intellectuel ne voulait du retour à l'état de choses d'avant guerre. Il s'agissait de profiter des années de liberté relative pour organiser la vie culturelle, composer de bonne musique, publier le plus possible de bons livres, et s'opposer par tous les moyens à la pression russe. Le jeu commença, un jeu qu'il est très difficile de présenter à ceux qui ne l'ont pas connu; — seuls, les intellectuels de l'Est ou ceux qui se sont évadés récemment en savent les secrets. Il n'est pas susceptible, comme j'ai pu le constater, d'être compris à l'étranger. Dans ce jeu, les meilleurs sentiments humains étaient en cause, et d'abord, l'amour pour le pays, terriblement dévasté par la guerre. On commet une erreur en posant un signe d'équation entre l'attitude des Occidentaux qui se stalinisent et celle des hommes qui travaillent pour le régime dans les Démocraties populaires. En principe, c'est de sa propre volonté qu'un Occidental devient le serviteur de la doctrine communiste (encore que ce fait prenne, parfois, un tour presque inévitable: en France, par exemple, un ouvrier en dehors du parti se sent isolé). Dans les Démocraties populaires où chaque habitant est, par nécessité, une pièce du mécanisme d'Etat, il n'existe pas une grande différence politique entre le fonctionnaire de ministère, le professeur d'université et le membre de l'Union des écrivains. De même, la différence s'efface entre les membres du parti et les «sans-parti». L'institution des «compagnons de route», bien qu'elle soit née en Russie, a pris en Occident une signification tellement bien définie qu'il serait injuste d'en chercher l'application dans les Démocraties populaires. Le «compagnon de route» occidental est un homme de gauche, coopérant de son propre gré avec le parti. Ce degré de coopération est, à l'Est, un minimum vitalemment indispensable pour chaque citoyen.

Le drame de l'intellectuel dans les Démocraties populaires consiste en ce que son destin se joue en dehors de la compassion du monde. L'Occident, incapable de pénétrer le jeu complexe qui se déroule dans les pays du glacis soviétique, considère tous les écrivains, artistes et savants qui sont actifs dans ces pays, comme des staliniens par conviction. L'attitude de l'émigration politique envers ceux qui font partie, là-bas, de la «machine», est décidément hostile. Et pourtant beaucoup d'artistes et de savants de ces pays ont voyagé à l'étranger après la guerre, ou même travaillé dans des postes diplomatiques; et seul un pourcentage

minime a résolu le problème intérieur par la fuite. «Je retourne à mon camp de concentration», m'a dit un de mes amis à l'étranger; et chacun de ceux qui rentraient pensait la même chose. Mais, tout de même, ils rentraient. Parfois, c'étaient des raisons de famille qui en décidaient; pourtant, ceux-là mêmes qui n'étaient pas liés par des obligations de cette sorte prenaient le chemin du retour. Le motif général, était le sentiment du devoir envers la nation et la honte de profiter d'une possibilité privilégiée d'évasion. Pendant la dernière guerre, j'ai connu à Varsovie beaucoup de Juifs qui, pouvant rester en dehors du Ghetto, y sont rentrés de leur propre chef, conscients qu'ils choisissaient la mort. Les liens de l'homme avec la collectivité sont extrêmement forts. Le sentiment de loyauté de l'individu envers le groupe social est un motif d'action plus puissant qu'on ne suppose. J'ai eu l'occasion d'éprouver cela par moi-même parce que j'ai choisi, de mon propre chef, le séjour sous l'occupation nazie, et qu'après la guerre je me suis défendu comme je pouvais contre le fait de devenir un émigré. Ce motif de loyauté agit à l'Est d'une manière particulièrement forte chez les écrivains, les compositeurs, les artistes et les savants — c'est-à-dire chez les «travailleurs de la culture». Dans l'Europe centrale et orientale, on soulignait toujours particulièrement la fonction sociale de ces travailleurs de la culture et on la comprenait comme un devoir envers la collectivité. Etant attaché culturel à Washington, je demandai à un jeune savant polonais, qui était arrivé comme boursier aux Etats-Unis, ce qu'il voulait faire de lui-même; il m'a répondu que retourner en Pologne serait pour lui une solution héroïque et rester un signe de faiblesse, mais qu'il ne savait pas s'il pourrait trouver la force du choix héroïque. Cet homme n'était pas stalinien et il me parlait en toute franchise. Imaginons qu'il se décidât à agir héroïquement; évidemment, les passagers du bateau sur lequel il voyageait le traitèrent comme un bolchévik dangereux, tandis que les émigrés le notaient comme un serviteur fidèle du régime odieux, sinon comme un agent de la police secrète.

Fuir à l'étranger, ou rester à l'étranger, dans l'opinion des intellectuels vivant aujourd'hui dans les Démocraties populaires, est synonyme de renoncer à la fonction sociale. Un savant émigré, s'il a de la chance, peut trouver du travail dans un laboratoire; mais il ne travaillera pas pour son pays, et ses possibilités, en matière de crédit pour les recherches scientifiques, seront plus étroites que ce n'est le cas dans un système qui est particulièrement large envers les savants. Un metteur en scène, un acteur connu, fera la vaisselle dans un hôtel; le compositeur devra commencer à nouveau sa carrière. Quant à l'écrivain, il sera privé de son public et, par là-même, de la possibilité de rien publier dans sa langue. Ses livres seront écartés des bibliothèques; son nom sera prononcé comme celui d'un traître, et lui-même devra gagner son pain par un travail extérieur à sa profession.

Un intellectuel qui fuit à l'étranger, que peut-il faire pour lutter contre le stalinisme et influencer l'opinion de son pays? Cette lutte serait l'unique justification morale de la fuite, aux yeux de ses compatriotes qui restent. Hélas!... Il ne peut faire que très peu de choses. Tout d'abord, l'Occident n'a jamais attribué aux intellectuels autant d'importance pour la formation de la vie sociale que ce n'a été le cas en Europe orientale. Aujourd'hui, le système stalinien considère les intellectuels comme un outil de premier ordre.

Secondement, les autorités soupçonnent le nouveau venu, et le jeu qui se passe à l'Est est trop compliqué pour qu'elles sachent au juste à qui elles ont affaire. Enfin, dans les milieux d'émigrés, l'opinion régnante est hostile à celui qui s'enfuit. En un mot, le transfuge s'expose à des humiliations sans bornes. Je peux illustrer cette situation en citant un fragment du poème satirique qui a paru à Varsovie après mon départ:

Tu sentiras la culture chez les brutes de la Military Police
Dont les mains tiennent le visa tellement désiré,

Tu gémiras pour un asile, et les agents stupides
Mettront leurs pieds sur la table pour que tu lèches leurs bottes

Il existe un conflit entre les politiciens d'émigration et les intellectuels. C'est quelque chose de plus que le conflit classique entre émigrations, vieille et nouvelle. On peut y trouver les traces du conflit de deux groupes sociaux. En Europe centrale-orientale, il y a contraste entre l'intelligentzia et les intellectuels. Le terme «intelligentzia» embrasse l'ensemble des gens qui possèdent une certaine éducation et ne gagnent pas leur vie par un travail physique; nombre de traits caractéristiques définissent ce groupe qui, par ses mœurs, était récemment encore l'héritier de la noblesse. Par exemple, un médecin, un fonctionnaire des Postes, un avocat, un rédacteur de ministère, appartiennent à l'intelligentzia. Les intellectuels proprement dits sont ce que l'on appelle l'intelligentzia créatrice. Ce sont les savants, les hommes de lettres et les artistes; entre eux et l'intelligentzia (qui est l'équivalent de la classe moyenne en Occident), il existait, dès avant la guerre, des contradictions d'intérêts. La différence entre les deux groupes s'est accentuée plus tard, lorsque les intellectuels sont devenus une caste ploutocratique du système nouveau, tandis que l'ancienne intelligentzia est tombée au rang des parias sous la pression d'une intelligentzia nouvelle, d'origine prolétarienne, constituant un groupe spécial tout à fait différent.

La plupart des politiciens d'émigration appartiennent, par leur origine, à l'intelligentzia d'avant guerre, et leur mentalité est considérée par les intellectuels créateurs comme un résidu fossile du passé. Les relations entre les deux clans ne sont pas empreintes de sympathie. Il y a d'une part le mépris, de l'autre la rancœur d'un groupe qui a perdu sa position sociale contre un groupe demeuré vigoureux. «Nous n'avons aucune chance de nous comprendre avec les réactionnaires de l'émigration; il vaut mieux travailler avec les staliniens.» Combien de fois n'ai-je pas entendu cette phrase? Dans ces conditions, la fuite d'un intellectuel est traitée à l'Est comme un passage dans le nirvana. Ce n'est pas une solution honorable. L'intellectuel qui s'enfuit se libère de la souffrance que lui impose la pression du régime, choisit une durée purement physiologique. L'oubli couvrira son nom dans son pays. Sa fuite équivaut à sa mort.

Le choix est donc entre deux genres de mal, et rester en place est considéré comme le moindre. Pendant ces derniers cinq ans, plusieurs centaines d'artistes, savants, écrivains polonais se sont rendus en Occident; très peu ont décidé de ne pas rentrer. Ceux qui sont restés ont passé dans le nirvana, et personne dans leur pays ne sait rien à leur sujet. Il y a cependant parmi eux des esprits de premier ordre.

J'ai discuté souvent avec mes amis le problème de la fuite. Tous, y compris d'ardents catholiques, étaient d'opinion qu'une pareille décision doit être individuelle, mais qu'il vaut mieux ne pas rompre les liens avec sa nation pour n'obtenir que la liberté «purement négative», c'est-à-dire la liberté sans la possibilité d'aucune réalisation artistique ou politique. Si toute la nation est plongée dans une situation tragique, il faut partager le sort commun en tâchant de faire ce qu'on peut. Après tout, traduire Shakespeare est une activité socialement utile, tandis que travailler dans une usine de l'Ouest, rien que pour se maintenir en vie, n'est pas une activité méritant ce nom.

J'ai toujours dû me déclarer d'accord avec de pareils arguments. Je ne voulais pas devenir un émigré, et ma fuite fut un coup de folie individuel. J'avais compris que le jeu était fini pour moi et que je n'éviterais pas d'écrire une ode en l'honneur du «Père des Peuples» ou un poème sur Félix Djerjinski. Il est possible que cela vaille la peine d'écrire un poème pareil pour pouvoir traduire Shakespeare; mais je n'étais pas capable de payer ce prix.

La fuite d'un intellectuel a, d'ordinaire, des conséquences tragi-comiques. Comme je l'ai dit, notre monde, c'est-à-dire le monde des intellectuels des Démocraties populaires, est

un monde fermé, et les lois qui le régissent ne sont pas connues de l'extérieur. Quiconque sort de ce monde rencontre, non seulement le malentendu quand il s'agit de ses intentions, mais encore l'incapacité de s'expliquer publiquement, à moins d'écrire tout un livre. Pour l'Occidental, l'affaire est plutôt simple: on était lié avec un pays communiste, on était donc stalinien; si on «choisit la liberté», cela veut dire qu'on est revenu de ses illusions. J'ai lu beaucoup d'articles, dans la presse d'émigration polonaise, au sujet de ma fuite vers l'Ouest. Il est curieux de noter que l'unique article montrant une certaine compréhension du problème a paru en Suède, c'est-à-dire dans un pays où les émigrés, grâce à un afflux constant de nouveaux venus, sont mieux informés sur les règles du jeu. Qu'il me soit permis de détacher quelques passages de cet article, non pour attirer l'attention sur moi, mais pour qu'ils jettent une lumière sur l'ensemble du problème: «La période de plusieurs années, pendant laquelle la gauche polonaise était d'opinion que le terrain de la lutte se situe seulement à l'intérieur de la Pologne, est définitivement close. La fuite de Milosz est, en quelque façon, symbolique; il n'était pas communiste, mais il était de gauche, et d'opinions avancées. Ainsi, il appartenait à ceux dont les communistes veulent à tout prix se faire des alliés, et qu'ils considèrent en fin de compte comme leurs pires ennemis.»

J'ai tâché de présenter la situation des intellectuels à l'Est en démontrant combien il est injuste de réduire leur affaire à une question de convictions politiques. La peur de perdre la fonction sociale est un motif puissant. Qui fuit ne peut se débarrasser d'un sentiment de trahison envers ceux qui restent. L'unique moyen de se libérer de ce sentiment est l'activité. Quant à moi, je tâcherai d'être actif comme écrivain; et, seulement quand je parviendrai à la conclusion que j'ai perdu la partie et quand je me sentirai complètement impuissant, je passerai dans le nirvana.

LA TACTIQUE

Les intellectuels dans les Démocraties populaires sont mis dans la position où ils peuvent devenir la nouvelle aristocratie, sous la condition absolue qu'ils obéissent toujours. Comme le cœur répand le sang à travers l'organisme, de même leur tâche, d'après le dessein du parti, doit consister à répandre dans le corps social l'idée directrice; ils propagent le matérialisme dialectique dans sa version stalinienne. En allant lentement et patiemment pour rendre l'intellectuel digne de cette tâche, le parti, c'est-à-dire Moscou, est résolu à faire sa conquête à tout prix. L'ancienne *intelligentzia* est destinée à disparaître. A sa place, la nouvelle *intelligentzia* ouvrière doit entrer en fonction. Quant aux intellectuels, on a besoin de leur nom, de leur talent et de leur savoir, qui ne sont pas remplaçables.

L'immense majorité des intellectuels se sont prononcés pour la révolution. Cette révolution n'avait pas dans les Démocraties populaires un caractère spontané. Elle était menée à coups de décrets venant d'en haut et appuyée sur la force de l'Armée rouge. C'était une révolution bureaucratique. Tout de même, la nationalisation de l'industrie et la réforme agraire étaient considérées comme des mesures utiles. Les points litigieux étaient l'indépendance nationale et l'adoption de la doctrine stalinienne; sur ce terrain, les intellectuels déployèrent une sourde résistance et ils furent aidés par les tendances des masses au sein de leur nation, ces tendances qu'on pourrait définir comme au moins dissidentes. La tactique appliquée à l'égard des intellectuels peut, dans ses grandes lignes, être présentée ainsi:

1. Donner et ne rien demander d'abord en échange.

De même qu'on a donné la terre aux paysans et qu'on ne leur a rien demandé au commencement, de même on a assuré aux écrivains la possibilité d'imprimer leurs œuvres, aux musiciens l'usage des salles de concert, aux savants l'accès des laboratoires; et de

grandes possibilités se sont ouvertes alors, car, dans les Démocraties populaires, le gouvernement consacre à ses buts culturels des sommes immenses. D'ailleurs, le public, après des années de guerre, était avide de livres, de publications, de spectacles et de concerts. La vente de la matière imprimée allait croissant. On ouvrait de nouveaux théâtres d'avantgarde. Les intellectuels tâchèrent de profiter de cette période de boom qui dura quelques années pour publier ce qu'ils avaient écrit pendant la guerre, discuter les problèmes esthétiques et sociaux, traduire de bons écrivains occidentaux et, généralement, remplir les lacunes créées par la guerre.

2. Augmenter la pression graduellement, pour ne pas créer de point de résistance psychique.

C'est là une règle très importante. Il faut éviter une situation dans laquelle le patient pourrait crier: non! En produisant une atmosphère convenable et en appliquant des pressions délicates, on mène le patient vers les concessions. Il se dit: «Bah! ce n'est rien. J'écrirai bien cet article si, grâce à cela, on doit me laisser en paix pour que je puisse travailler à mon roman, qui n'est pas dans la ligne.» Ce résultat obtenu, on augmente doucement la pression des critiques, des exigences. Le patient se dit: «J'ai déjà écrit un article de ce genre, à quoi bon faire une histoire pour si peu de chose!» Il s'agit de faire en sorte que le patient ne puisse parvenir à aucune décision; pour cela, chaque augmentation de dose est insignifiante, et la différence avec l'étape précédente reste trop faible pour que cela «vaille la peine» de résister. Le résultat est tel qu'après quelques années, le patient avale des doses énormes. Beaucoup de gens sont inconsciemment parvenus de cette manière à écrire, peindre et enseigner d'une façon très orthodoxe. Quelques-uns, mais en petit nombre, se sont aperçus du piège et se sont aussitôt enfuis pour éviter la suite du traitement. Mais la plupart ont bien compris le jeu et l'ont accepté en utilisant toutes les possibilités de résistance qu'il peut offrir. Ils ont fait des concessions mesurées, calculant à chaque pas les gains et les pertes et supputant si la différence est de leur côté. Par exemple, «il vaut la peine» d'écrire un article attaquant les existentialistes si, grâce à cela, on peut publier un poème qui se moque du réalisme socialiste. Cela «vaut la peine» de mettre sa signature sous une déclaration politique si, en échange, on peut faire valoir sa bonne renommée et tirer de prison un de ses parents. Cela «vaut la peine» d'écrire de la musique pour une chanson glorifiant le système si, pour ce fait, on obtient la permission d'exécuter une symphonie. Voilà la règle du jeu. Ce n'est pas seulement un jeu individuel: il s'agit de sauver beaucoup d'institutions, de groupes, d'ateliers, de revues, etc. Le développement graduel de ces compromis individuels et collectifs est une des raisons pour lesquelles les intellectuels de l'Est, en général, n'ont pas cru nécessaire de devenir des émigrés.

3. Mettre le vin nouveau dans les vieilles outres.

Il importe au système de conserver les institutions universellement connues et universellement honorées en les employant comme façade. Peu à peu, on les remplira d'un contenu nouveau. Par exemple, on changera un musée célèbre en une galerie d'exposition consacrée à la propagande. On gardera le nom d'une revue connue et on en changera la rédaction. La même chose se pratique avec les hommes. On conservera leur visage et leur nom; mais on les videra et on les remplira d'une nouvelle philosophie. Tel écrivain, qui était connu comme un catholique zélé, signera de son nom des attaques contre le Vatican. Cette transformation, qu'on dirait magique, n'est pas magique du tout. Ce n'est que le résultat du

principe: «L'existence détermine la conscience». En créant des conditions spéciales où le patient est enfermé, on atteint le but sans grande difficulté.

4. Éviter autant que possible les pressions directes et utiliser la pression des situations.

Il ne faut pas s'imaginer qu'en Démocratie populaire quelqu'un ordonne aux intellectuels, de façon positive, d'écrire ceci, de peindre cela, de faire des recherches scientifiques dans tel ou tel sens. Au contraire, on souligne à chaque pas que personne ne force personne à rien, que tout est volontaire. Ce principe est appliqué d'une manière générale, pas seulement aux intellectuels. Personne n'ordonne aux paysans de former des kolkhoses, non!... On les ruine avec l'impôt; on leur prend leur blé; on les harasse par le moyen des brigades de jeunes, et la situation apparaît sans autre issue que de former un kolkhose. De même, l'intellectuel, à un moment donné, s'aperçoit qu'il doit écrire un poème sur un sujet donné. Ce poème sera considéré comme un acte volontaire, quoique l'auteur, à vrai dire, ait été acculé à la nécessité de l'écrire.

5. Ne pas permettre à la solidarité de groupe de se former.

Sous l'occupation nazie, la solidarité des intellectuels était bien développée. Il suffira de dire, par exemple en Pologne, qu'il ne se trouva qu'un écrivain (un seul) qui collabora timidement avec les Allemands. Cette solidarité se maintint quelque temps après la guerre. Mais, très vite, elle fut remplacée par une nouvelle hiérarchie. Les divisions surgirent entre «bien vus» et «mal vus». A leur tour, les bien vus se sont divisés en «mieux vus», «moins bien vus» et «tolérés». Cette division a son équivalent dans la vie de l'usine, où la hiérarchisation de la masse ouvrière, d'après l'orthodoxie politique et d'après l'émulation socialiste, fait toujours de nouveaux progrès.

Les règles tactiques énumérées ci-dessus ont donné de bons résultats. Le jeu est presque gagné par le parti. L'importance de cette victoire, c'est que ce qui n'est pas exprimé n'existe pas: l'insatisfaction des masses ne peut trouver aucune expression, sauf le réflexe émotionnel, du moment que ceux qui manient la plume, le pinceau ou le ciseau, n'expriment que l'optimisme officiel. Le pouvoir sur l'intellectuel donne la clé pour gouverner le pays. Le jeu résistant se continue, mais avec de moins en moins de succès. Les efforts des écrivains, des compositeurs et des peintres, qui s'efforcent de ne pas tomber au niveau du réalisme socialiste russe, sont désespérés.

LES TRANSFORMATIONS

Dans les Démocraties populaires, nous avons affaire avec un phénomène complètement nouveau dans l'histoire. Ce fait ne trouve pas d'analogie en Russie, où l'évolution s'étendit sur une plus longue période et avait, au commencement du moins, des traits de spontanéité. On ne saurait le rapprocher non plus des dictatures passées et présentes qui ne sont pas des dictatures philosophiques. Les pays de la Démocratie populaire ont été soumis à un système élaboré dans ses moindres détails, dont chaque étape était planifiée d'avance. C'est vraiment l'application la plus scientifique, au «matériel humain», des principes du matérialisme dialectique.

Les conditions établies, en accord avec le principe que l'existence détermine la conscience, font que beaucoup de questions posées en Occident sont sans objet. Il serait, je pense, oiseux de se demander si les habitants de Mars sont chrétiens ou bouddhistes. De même, la division entre communistes et non-communistes, qui existe en

Occident de façon si marquée, perd son importance dans les Démocraties populaires. Un grand nombre de membres du parti haïssent le système; mais, de même que les sans-parti, ils sont soumis à un dédoublement intérieur qui les rend inclassables d'après les critères occidentaux. De gré ou de force, il faut ici raisonner dialectiquement et renoncer à *o u i = o u i e t n o n = n o n*.

Les phénomènes psychiques qui apparaissent dans les Démocraties populaires sont fascinants pour l'observateur. J'avoue que je suis captivé par eux et que j'essaie de les analyser dans un livre que j'écris. C'est une tâche extrêmement difficile, à cause de la nouveauté du thème. En même temps, c'est une sorte de devoir.

On parle de l'intellectuel communiste. Je comprends que ce terme puisse trouver une application en France et en Amérique. Mais, dès lors que, dans les Démocraties populaires, il existe une situation de fait, il n'est pas facile de trouver un critère d'appréciation. L'appartenance au parti ne fournit pas de moyens de discrimination. Un écrivain que je connais et qui, après avoir passé quelque temps en territoire d'occupation russe au commencement de la guerre, n'avait pas montré beaucoup de sympathie pour le communisme, tira de sa poche devant moi, en 1945, la carte du P.C. et me dit: «J'en avais assez de cette peur d'être déporté. C'est fini.» Un autre de mes amis, un artiste membre du parti, déclare quand il est ivre: «Votre socialisme, je passerai au travers !» D'après un troisième, le centre intellectuel du monde s'est déplacé de l'Occident à Moscou, et c'est une preuve suffisante que Moscou ne peut pas perdre: il ne reste qu'à tirer les conséquences de ce fait.

La question se présente autrement chez les jeunes. Mais, là aussi, les considérations de doctrine ont moins d'importance que le monde tel qu'il est. Elles se heurtent au «fait» qu'il existe seulement un système de pensée possible, et que l'Occident est une périphérie où il ne se passe rien qui soit digne d'attention.

Evidemment, l'élément temps change les hommes: beaucoup de ceux qui ont mené le jeu, pied à pied, se résignent et embrassent l'orthodoxie avec un grand enthousiasme. L'homme veut croire; il ne peut pas vivre dans un état de négation permanent. Le rythme de transformation est très rapide; quiconque voudrait s'immobiliser recule et il est déjà rangé parmi les réactionnaires. Il faut «rattraper» le rythme de la vie, pleine d'un travail collectif et fiévreux. Les possibilités, pour ceux qui veulent agir, sont illimitées. C'est un système où la question d'argent ne joue aucun rôle, sous la condition qu'on soit utile. L'orthodoxie devient une condition de bonheur; elle assure cet essor qui pousse automatiquement l'homme à «rattraper». Un nombre croissant d'intellectuels passent par une crise intérieure qui est douloureuse, mais après laquelle l'homme est capable enfin d'embrasser la Nouvelle Foi. Qu'il soit converti ne veut pas dire qu'il se débarrasse du dédoublement, mais signifie qu'il peut agir — c'est-à-dire que les maillons intellectuels qui lui manquent sont désormais fournis; d'une manière ou d'une autre, il s'est convaincu que les doutes qui l'obsédaient n'avaient pas de sens. Ces doutes subsistent, mais sur un autre plan. On dirait: sur un plan parallèle.

En analysant la psychologie de cet intellectuel, je tâcherai d'énumérer les arguments principaux qu'il emploie envers lui-même.

1. La nécessité historique.

Les événements en Europe, entre les deux guerres mondiales, et la marche de l'Armée rouge sur Berlin ont grandement impressionné les habitants de l'Europe centrale et orientale. Le communisme luttait contre le fascisme, et le fascisme a été vaincu. Est-ce que cela ne confirme pas la thèse du léninisme-stalinisme selon laquelle, dans le monde contemporain, il y a seulement le fascisme et le stalinisme et que c'est le fascisme qui doit crouler? Quiconque parvient à une telle conclusion ne doit pas se placer dans le camp qui est

condamné, implicitement, par l'être qui a pris dans notre siècle la place de Dieu, c'est-à-dire l'Histoire. Un écrivain qui écrit contre l'Histoire sera impuissant et écrasé.

La Pologne, que les dirigeants russes ont toujours considérée comme le pays le plus important pour leurs intérêts, car il était le pont vers l'Europe, a vécu ce dilemme d'une manière particulièrement pénible. Il y avait là, pendant la guerre, une résistance contre les nazis extrêmement forte. Ce mouvement de résistance dépendait du gouvernement en exil à Londres. L'insurrection de Varsovie qui éclata en 1944 avait deux buts: libérer la capitale des Allemands et, en même temps, prendre le pouvoir avant que l'Armée rouge, qui approchait déjà, n'entrât dans la ville. C'était l'insurrection d'une mouche contre deux géants. L'un des géants s'arrêta sur le bord de la Vistule et attendit que l'autre écrasât la mouche. Un géant travailla deux mois à écraser cette mouche, en employant les avions, l'artillerie la plus lourde et les tanks. Il l'écrasa enfin, et puis il fut jeté à terre par l'autre géant qui avait attendu patiemment. Près de 200.000 personnes périrent à Varsovie et la ville fut changée en un Hiroshima plus grand que celui du Japon. Voilà la preuve qu'aucune troisième force n'est possible. La destruction de Varsovie devait soulever la haine envers l'Union soviétique. Et cette haine ne manqua pas à la Pologne, mais, graduellement, elle a commencé à produire le respect pour la fatalité de la force. L'Armée rouge agissait comme l'instrument de l'Histoire, comme un pouvoir impersonnel. En réalité, a-t-on dit, un monde nouveau est en train d'être créé, avec Moscou comme capitale, et peut-être n'y a-t-il plus de place pour les nationalismes utopiques. Il est curieux de noter que le Diamat, qui a deux côtés, dialectique et matérialisme, a été soumis au changement dans la mesure même des succès remportés; on souligne, en tout cas, dans les Démocraties populaires, plutôt le déterminisme, c'est-à-dire plutôt la nécessité des processus que leur contingence.

Pour présenter maintenant un tableau de ce que fut l'influence de cette nécessité sur les esprits, je dirai quelques mots sur un personnage de ma connaissance, M. X..., qui habite Varsovie. X... est un artiste. Il provient d'une famille riche. Avant la guerre, sa profession ne pouvait lui permettre de vivre indépendant; aujourd'hui, ses parents, autrefois fortunés, sont ruinés, tandis qu'il a un joli appartement et mène une vie prospère. X... est un homme bien élevé et d'esprit raffiné. Il mène le Jeu avec une grande finesse. Il cède ses positions lentement; il accorde ce qu'il faut à un moment donné, et rien de plus. Il faut dire que dans le Système, l'agilité intellectuelle est hautement appréciée. Plus cette agilité est grande, plus on obtient de liberté. X..., dont les ripostes sont toujours bien placées et dont la maîtrise de la dialectique n'est pas moindre que celle des philosophes du Parti, se tient habilement en équilibre sur la corde raide. Après la guerre, il a voyagé plusieurs fois à l'étranger. Il m'a dit, à Varsovie: «Enfin, tout cela me paraît une sorte de déluge. Ces petits pays de l'Europe occidentale seront submergés et il ne restera que l'Amérique — comme un rocher sur lequel grimperont les derniers survivants, en s'entretenant au bord du précipice. Le déluge biblique de Gustave Doré! Quant à moi, Je préfère avoir ça derrière moi.»

X... est, de sa nature, un observateur des événements, et la défaite de la Russie, si elle survenait, serait accueillie par lui non sans plaisir. En même temps, ses œuvres deviennent lentement une glorification modérée du stalinisme. Considère qui voudra que X... est «un intellectuel communiste».

La nécessité historique est le plus fort argument employé dans les Démocraties populaires. Dans les masses du Parti, et même chez les plus hauts dignitaires, cette foi en la nécessité va de pair avec la haine. Malgré tout, la liberté comme «vérité de la nécessité», de Hegel, est une liberté difficile à atteindre. L'homme n'aime pas la nécessité, même s'il sait devoir s'y soumettre. L'argument de la nécessité a un côté faible. Ce n'est rien que le culte de la force qui se déguise en loi de l'Histoire. Si la Russie trébuchait, la haine amassée pourrait devenir un torrent dévastateur.

2. L'intégration de l'intellectuel.

L'aliénation de l'intellectuel en Occident a été depuis longtemps un sujet de considération pour beaucoup d'esprits. L'intellectuel se sent posé en dehors de la société: étranger à la bourgeoisie, dont il est le plus souvent issu, autant qu'aux masses ouvrières. Le sens de son activité est, le plus souvent, peu compréhensible pour son entourage, à l'exception d'un petit groupe professionnel. Par exemple, l'histoire de la poésie occidentale peut nous enseigner bien des choses sur l'isolement du poète et sur ce qui en résulte: l'hermétisme de son style.

Le stalinisme crée un nouveau type de société où l'importance particulière est assignée à la «culture». Ce qu'était, dans les sociétés chrétiennes, l'Eglise avec ses rites religieux accessibles à chaque habitant du village, est fourni dans le stalinisme par le Coin rouge, les conférences, les cours politiques, etc... Il existe aussi une liturgie, la même pour tous les pays qui s'étendent de l'Elbe à l'Océan Pacifique.

Le Coin rouge pour l'équipage d'un bateau appartenant à une Démocratie populaire ne diffère pas de celui d'un village isolé dans les montagnes: les portraits, la couleur rouge, les discours prescrits sont les mêmes. La «culture» ainsi diffusée est, à vrai dire, équivalente à l'«éducation politique», qui n'est pas tout de même conçue étroitement, puisque la doctrine est universelle et peut être appliquée de la même façon au présent et au passé de l'humanité. L'histoire de la Réforme, ou les œuvres des poètes du XIX^e siècle, peuvent fournir l'occasion de considérations rattachées à l'ensemble. Jamais auparavant, on n'imprimait les classiques avec des tirages aussi importants que dans les Démocraties populaires, d'accord avec le principe que «le Proletariat est l'héritier de l'Humanité». Le fait que les classiques sont mis à la portée de tous, et la création d'un intérêt réel pour les problèmes historiques et littéraires dans les masses, sont un sérieux argument en faveur de la nouvelle religion séculière. La «culture» ainsi conçue, qui n'est rien d'autre que l'organisation de la distribution sur le plan mental, change complètement le caractère du travail confié aux écrivains, aux compositeurs et aux peintres, car elle leur ouvre une consommation de masse.

Au XIX^e siècle, pour la première fois, apparut la popularisation de la science. Quand certaines théories scientifiques — par exemple celle de Darwin — sont devenues célèbres, les brochures populaires ont mis ces théories, sous une forme simplifiée, à la portée de tous. Il se cachait dans ce fait un grave danger: les théories ainsi vulgarisées avaient peu de choses en commun avec ce qui constituait précédemment leur rôle d'interprétation scientifique; mais elles devenaient un élément sociologique de premier ordre. Les autodidactes à la Adolf Hitler ont puisé leurs connaissances dans de telles brochures populaires pseudo-scientifiques.

Dans le stalinisme, ce danger apparaît presque à l'état pur. Tout est expliqué et, ce qui est pire, un demi-analphabète, politiquement éduqué, commence à croire qu'il comprend tout; c'est un système de ponts construit au-dessus des abîmes. Il est défendu de regarder en bas, dans les profondeurs, si bien qu'on oublie leur existence.

Evidemment, il y a des degrés différents d'initiation. Un philosophe qui interprète Platon d'après les règles du Diamat se trouve sur un niveau plus élevé que les masses auxquelles est livrée en pâture une version prédigérée. Mais un philosophe doit aussi simplifier; le sort de G. Lukacs, qui voulut appliquer aux matières complexes des méthodes complexes, peut servir d'avertissement.

Donc, le lien indubitable avec la masse, ce lien que l'intellectuel doit à l'orthodoxie, est payé assez cher. Mais l'intellectuel du XX^e siècle souffre particulièrement de son isolement, et il est prêt au sacrifice pour se trouver parmi les hommes; l'argent et les honneurs qui tombent dans sa main sont un signe externe de son utilité dans l'organisme social.

L'intégration a beaucoup de charme, même pour ceux qui continuent à jouer le Jeu défensif. Par exemple, un grand nombre d'historiens de la littérature, travaillant à préparer de nouvelles éditions des textes anciens, considèrent ce genre de travail comme digne de concessions poussées très loin.

3. Le rythme de la vie.

Le *wasteland* décrit par T.S. Eliot, sur lequel vivent tant de gens de l'Occident, n'est pas un lieu enviable de séjour. Ce n'est pas ici mon affaire de pénétrer les causes qui nous ont menés à ce point. En tout cas, par exemple au Moyen Age, il n'y avait pas de signe d'équation entre la «vie personnelle» et la «vie physiologique». La vie personnelle, alors, était aussi bien la durée physiologique que la vie de l'âme immortelle. A la fin de *Wasteland*, le tonnerre parle en sanscrit et formule les bases de la morale. Tandis que T.S. Eliot lui-même cherchait une issue au *Wasteland* dans une contemplation religieuse en écrivant *Ash Wednesday* et *Four Quartets*, ceux qui ne pouvaient pas supporter la vie dissipée entre les états nerveux et les flux et reflux de l'énergie animale, et qui ne pouvaient pas suivre le chemin de T.S. Eliot, cherchaient une issue au *wasteland* dans le social. Ils sont devenus un matériel particulièrement souple pour la nouvelle doctrine qui revendique d'être la vérité scientifique. Je m'intéresse particulièrement à l'histoire de la poésie de ces dernières années. J'ai eu l'occasion de suivre l'évolution de beaucoup de poètes des Démocraties populaires. Cette évolution se dirigeait en courbe ascendante à mesure que l'auteur enrichissait son œuvre de nombreux éléments de la vie collective. Ces éléments sont, sans doute, nécessaires à la poésie. Le solipcisme ne mène à rien. Cependant, quand l'œuvre d'un poète s'imprégnait du social, à tel point qu'il n'y restait plus rien hors la politique, la courbe tombait subitement et le plus grand talent n'y pouvait rien. C'est un piège du social, et il guette tous les artistes des Démocraties populaires. Quand on y met le pied, il est difficile de s'en tirer.

La vigueur de la première phase, quand les Démocraties populaires ne demandaient aux intellectuels que l'intérêt à la vie collective, a convaincu beaucoup de gens qu'ils se trouvaient enfin en Terre promise après être sortis du *wasteland* où ils séjournèrent avant la guerre. Une fois acceptés tous les inconvénients du système, le rythme de la vie dans une grande collectivité libérait l'écrivain du cercle de la solitude personnelle. Du reste, la période de l'occupation nazie avait créé la croyance que l'écrivain doit être «engagé». Ce qui se produisit après guerre ne paraissait être que l'intensification de cet état de choses.

Malheureusement, le réalisme socialiste russe, dernièrement introduit, n'est pas seulement l'intérêt pour le social, c'est une discipline tellement précise, et qui exige une telle dose de mensonge et de pompiérisme, que la Terre promise se change très vite en Sahara. Malgré cela, bien des écrivains et des artistes, après avoir été enivrés par les premiers signes euphoriques de la santé recouvrée, ne peuvent plus vivre sans la doctrine qui dissout l'homme complètement dans le social, et qui condamne toutes les manifestations de la vie personnelle, comme n'étant rien de plus que «la physiologie», «la psychologie» et «la mystique».

4. La nécessité pratique.

Un écrivain, un professeur d'université, un peintre, un compositeur, doit «rattraper». Autrement, il perdra sa place dans l'échelle sociale et se trouvera dans la misère. Des motifs d'ambition agissent aussi; parmi ceux qui ne peuvent «rattraper», se trouvent avant tout les hommes d'une mentalité décidément réactionnaire, les hommes âgés, les esprits dévots ou fermés. Ils ne pourraient, même s'ils le voulaient, suivre le peloton. Se trouver parmi eux n'est pas une chose dont on puisse se vanter. Quiconque «rattrape» fait la preuve de la

vigueur et de l'agilité de son esprit. Ici, de nouveau, s'impose la comparaison avec l'usine: le système stakhanoviste joue sur l'ambition des ouvriers, et ceux qui sont fiers de leurs muscles, heureux de la coordination de leurs mouvements, désireux de se faire remarquer, prennent la première place. L'adaptation à la ligne dans le domaine de la science et de l'art perd son sens idéologique et devient une habileté professionnelle comme les autres. Le conformisme devient la vertu supérieure. Il en est qui se révoltent; un plus grand nombre fait son métier avec un cynisme complet. Mais la majorité des intellectuels ne peut supporter un dédoublement total et parvient à la foi par la pratique. De même, les assemblées dans les clubs, les cours politiques ont une influence considérable sur la population. Il est bien connu que l'Eglise catholique met l'accent plutôt sur la pratique religieuse que sur la foi théorique; la foi vient par surcroît quand on fréquente l'église, va à confesse, etc... L'intellectuel qui prend une part active dans la vie de son syndicat — de son union d'écrivains ou d'artistes — en reçoit une empreinte conventionnelle. Après quelque temps, il ne peut plus parler ni penser autrement que son entourage. Il ne peut même plus écrire pour mettre des manuscrits au tiroir, car une action de ce genre apparaît dépourvue de sens.

En somme, tous les arguments que l'homme emploie envers lui-même, dans un cas semblable, se réduisent au sentiment qu'une autre société que celle créée par le stalinisme est impossible. La nécessité historique devient quelque chose de beaucoup plus profond que la simple prépondérance des chances de victoire pour la Russie. Tout est parfaitement logique. Vouloir quelque chose d'autre serait vouloir que 2 fois 2 ne fassent pas 4, mais 5. La pensée du retour vers l'état de choses d'avant guerre paraît absurde, et on ne voit pas d'autre chemin que le stalinisme vers la civilisation basée sur le primat du social.

L'enthousiasme du monde nouveau coexiste avec la haine. Je connais des gens dont chaque moment de la vie est rempli de la haine pour Staline, et cependant ils sont communistes fidèles.

Le citoyen des Démocraties populaires doit consacrer beaucoup de temps à ce qu'on appelle le travail social, et à la participation aux assemblées. Il est toujours parmi les hommes et on ne lui laisse guère de temps pour la solitude. Etant toujours parmi les hommes et soumis aux demandes du conformisme, il agit comme un acteur. Une vérité existe pour lui dans un petit cercle d'amis; une autre s'impose dans un lieu public. De cette façon, une hiérarchie de vérités apparaît.

Dans les pays d'Islam, durant la période de floraison des sectes, il n'y avait pas, paraît-il, de musulmans absolus. L'unité extérieure cachait une diversité infinie de croyances — et même des philosophies qui rejetaient l'Islam en secret, tout en gardant pour lui le respect extérieur. La méthode de comportement qui consistait à dire des choses complètement opposées aux convictions intimes, pour se protéger contre les soupçons, s'appelait dans les pays d'Islam «Ketman». La pratique du Ketman était considérée comme une activité honorable. C'était la preuve de l'habileté. Du reste, le Ketman était souvent une question de vie ou de mort.

En observant la vie dans les Démocraties populaires, j'ai pu constater que le Ketman y est universellement pratiqué. Les uns pensent que les théories soviétiques de l'art sont absurdes; d'autres sont contre la théorie de Lyssenko; d'autres encore rangent toute la politique des nationalités conduite par Moscou parmi les entreprises criminelles. Il ne manque pas de gens qui regardent le Diamat sceptiquement, croyant que c'est une méthode à vrai dire pragmatique, qui est un produit d'une certaine période historique et qui disparaîtra quand le communisme sera réalisé. Beaucoup observent avec crainte l'équilibrisme du Kremlin dans le domaine de la politique internationale, en pensant que Moscou peut facilement aller trop loin.

Le Ketman, qui a beaucoup de variétés, ne mène pas à la résistance vraie contre le stalinisme. Au contraire, un homme aime son Ketman et grâce à cela il commence à aimer la Nouvelle Foi, car sans elle son Ketman ne serait plus possible. Le Ketman a beaucoup d'avantages.

Pour les apprécier, il suffit d'observer la vie des pays occidentaux. Les intellectuels y souffrent d'un genre particulier de «taedium vitae»; leur vie émotionnelle et spirituelle est trop dispersée. Tout ce qu'ils pensent et sentent se volatilise connue des vapeurs vers l'espace infini. La liberté est pour eux un fardeau. Aucune des conclusions auxquelles ils parviennent ne les engage; il peut «en être ainsi», mais il peut «en être autrement». De là un malaise continu. Tandis que le Ketman consiste à se réaliser contre quelque chose. Les vapeurs qui se volatilisent sont ainsi comprimées. Celui qui pratique le Ketman souffre à cause de l'obstacle qu'il rencontre, mais si l'obstacle vient à disparaître soudainement, il se trouve en face du vide, ce qui peut-être est beaucoup plus désagréable. Je crois que l'homme de notre époque n'a pas de centre intérieur et c'est pourquoi la Nouvelle Foi Offre tant de charmes aux intellectuels. Cette Nouvelle Foi, en soumettant l'homme à la pression de son entourage, crée ce centre; en tout cas, elle crée l'impression que ce centre existe. Un de mes amis, dialecticien du Parti, me criait, naguère, à Varsovie: «Mais tu ne peux pas écrire en partant de toi-même!... Dans l'homme, il n'y a rien, rien, rien.» Ainsi, dans l'homme, il n'y a rien, tout est produit du déterminisme social; de là, sa peur panique de se couper du collectif dans lequel il vit. Il ira, avec ce collectif, partout, même en Enfer, pour ne pas être seul.

L'OCCIDENT

Les méthodes employées à l'Est pour avilir l'Occident sont trop connues pour qu'on doive les mentionner ici. Le citoyen des Démocraties populaires entend du matin au soir la même musique: la marche funèbre du monde capitaliste courant à sa ruine. On lui dit que la mort de l'Occident est déjà inscrite dans les faits. Ce qui se passe maintenant, c'est l'agonie, c'est-à-dire le fascisme. Dans la conscience du citoyen, cela équivaut à choisir entre l'hitlérisme, qu'il connaît par expérience, et le stalinisme. Voilà le profit évident réalisé grâce à la découverte des «lois de l'histoire», c'est-à-dire grâce à la construction des ponts au-dessus de la réalité. Le Jeu des intellectuels, grâce à l'immense force suggestive de cette situation, est purement intérieur: tout se passe comme si la victoire du stalinisme était décidée. L'évolution qui se déroule dans les Démocraties populaires est considérée comme la préfiguration d'une destinée qui deviendra commune aux Français, aux Italiens, aux Anglais, aux Américains.

Les intellectuels de l'Est, qui ne croient pas à la force spirituelle de l'Occident, sont tout de même particulièrement enclins à regarder vers l'Ouest, avec un reste d'espoir. Ils sont assez intelligents pour comprendre que le système stalinien, dans lequel il n'est pas possible de dire la vérité, n'assure pas d'avenir à l'humanité — et que l'Etat universel, avec Moscou comme capitale, serait plutôt un cauchemar. Ils sont donc particulièrement avides des nouvelles de l'Ouest, surtout de celles qui pourraient prouver que le fatalisme historique peut être brisé.

Cependant, les slogans de liberté, employés par l'Occident, les laissent indifférents. Chacun d'eux admet volontiers que la liberté est une bonne chose — mais après? Comment y parvenir? Ils sont irrités quand ils entendent répéter, en ce milieu du XX^e siècle, des lieux communs empruntés à l'histoire de la Révolution française ou de la Guerre américaine de l'Indépendance. Les opinions de beaucoup de politiciens d'émigration les font sourire, car ce sont des opinions basées sur la croyance au retour possible du «statu quo». Ce retour n'est pas possible. Les transformations en cours pénètrent bien trop profondément. Il en résulte

une société complètement autre que celle d'avant guerre: une société où tous sont employés d'Etat, sauf un certain nombre de paysans pas encore collectivisés. Quelle restauration peut-on imaginer? Ira-t-on chercher les héritiers des propriétaires de mines et d'usines? Ressuscitera-t-on la bourgeoisie qui a été détruite? Faudra-t-il recréer les luttes nationalistes entre les Etats de l'Europe centrale-orientale? Non! Tout cela n'aurait aucun sens.

Les intellectuels de l'Est sont pourtant très vulnérables quand il s'agit des nouvelles de l'étranger, lorsque ces nouvelles leur apportent la preuve qu'il existe en Occident des gens qui comprennent leurs problèmes et qui cherchent des solutions autres que les solutions staliniennes. Si un article, un livre ou une conférence les touche, cet événement est pour eux un sujet de discussion pendant des mois. Evidemment, ils sont un public sévère et difficile à contenter. Ils ont l'entraînement d'acrobates intellectuels, car la théologie du Diamat est un exercice assouplissant l'esprit.

L'Occident, vu de l'Est, fait l'impression d'un complet désert intellectuel. Ce n'est pas le cas; mais il en est un peu de la vie spirituelle occidentale comme de la construction des digues, des routes et des logements en Occident. Jadis, à New-York, l'ami chez qui je logeais m'a demandé si j'avais connaissance des nouveaux grands boulevards construits sur l'East-River, à Brooklyn, et d'un nouveau tunnel entre Brooklyn et Manhattan. J'ai répondu que je n'en avais jamais entendu parler. Alors, il m'y a conduit. Si des travaux semblables étaient entrepris à Moscou, la presse du monde entier serait pleine des nouvelles de cette construction socialiste gigantesque. En U.S.A., on n'y fait pas attention: on considère cela comme allant de soi. Il en est de même, et au plus haut degré, dans le domaine de la science et de l'art qui, en Occident, sont un sujet d'intérêt seulement pour les spécialistes.

CONCLUSION

Le paradoxe de la situation mondiale consiste en ce que, dans les Démocraties populaires et — autant qu'on peut le deviner — dans l'Union soviétique aussi, on trouverait peu de gens qui aient une sympathie sincère pour le système dans lequel ils vivent. En même temps, ces masses sont prêtes à marcher en rangs et à imposer au monde entier la Dictature dont ni eux, ni leurs enfants et petits-enfants ne pourraient trouver l'issue, car le totalitarisme moderne dispose de moyens assez puissants pour rendre toute révolution illusoire. Ces masses sont prêtes à marcher au nom du fatalisme historique. L'homme nous assure qu'il a aboli Dieu, mais, à sa place, il a mis le dieu nouveau: l'Histoire. C'est un dieu cruel et sanguinaire. Les ordres qui tombent de ses lèvres sont la voix de prêtres astucieux cachés dans son ventre vide. Les yeux de ce dieu sont construits de telle façon qu'ils ont un pouvoir magnétique. L'humanité se divise aujourd'hui en deux genres: ceux qui n'ont jamais subi ce regard magnétique et ne savent rien du danger intellectuel, et ceux qui sont tombés en son pouvoir — et savent que le dieu qu'ils servent est méchant.

Sur ceux qui ont connu le pouvoir magnétique de ce dieu et ne se sont pas soumis à lui — car ils croient que l'homme lui-même peut former son histoire — repose un devoir particulier.

WIELKIE POKUSZENIE

DRAMAT INTELEKTUALISTÓW W KRAJACH DEMOKRACJI LUDOWEJ

Czesław MIŁOSZ

W Warszawie, Pradze, Budapeszcie, Bukareszcie, Sofii, w centrum obiegowego systemu każdego z krajów demokracji ludowej, mieści się specyficzny świat, składający się z domów Związku Pisarzy, Instytutów Diamat, redakcji oraz oficjalnych firm wydawniczych, sal ekspozycyjnych i koncertowych. Ludzie — których dni upływają pośród książek, osobistych potyczek oraz na nieustającym podpisywaniu coraz to nowych rezolucji — tworzą w nim zamknięty krąg, który dla laika ma w sobie coś tajemniczego i nierzeczywistego. Są oni jakby zawieszeni w chmurach ponad zwyczajnymi mieszkańcami kraju. Można by porównać ich statek z chmur do latającej wyspy Filozofów, stworzonej przez wyobraźnię Swifta. System stalinowski jest dyktaturą filozoficzną, i ów powietrzny świat zdominował wszystko: to w efekcie pracy intelektualistów formuje zarówno umysłowość dziecka w szkole, jak i czytelnika czasopism czy książek. Lecz praca owa oparta jest na pojęciach danych z góry, zaakceptowanych bez dyskusji. Intelkt pojmowany jest nie jako organ twórczy, lecz jako narzędzie wykonawcze: powinien dać natychmiastowy plon tym, którzy rządzą. To, co nie daje należytego plonu, nie jest uważane za intelekt.

Niedawno jeszcze należałem do tego kręgu; to zaledwie kilka miesięcy, jak zerwałem więzi z Polską. Uczyniłem to z ciężkim sercem, dlatego po prostu, że nie widziałem innego wyjścia.

Chciałbym w tym miejscu wyjaśnić pewne nieporozumienie. Mnie osobiście żadne niebezpieczeństwo w Polsce nie zagrażało. Pisarz w krajach demokracji ludowej znajduje się na szczycie drabiny społecznej i korzysta ze wszelkich przywilejów, byleby tylko okazał się użyteczny. Charakter mojej poezji, takiej, jaką uprawiałem aż do roku 1950, z całą pewnością narażał mnie na pewne zarzuty (oskarżano mnie o skłonności do „metafizyki” i czystego tragizmu). Niemniej, zaliczano mnie do poetów uznanych. Doceniano mnie także jako tłumacza poetów zagranicznych, w szczególności Szekspira. Jak większość pisarzy Europy Środkowej i Wschodniej, nigdy nie należałem do Partii; nie uważano mnie za stalinistę, byłem „dobrym poganinem”, to znaczy człowiekiem, który nie jest reakcjonistą i który nie żywił w przeszłości sympatii prawicowych. Przed wojną nie

ukrywałem mojej wrogiej postawy względem antysemitów, których propaganda odnosiła w tamtych latach znaczne sukcesy. Przeżyłem wojnę w Warszawie, pisząc i publikując w podziemiu przeciwko nazizmowi. Potem wysłano mnie do Stanów Zjednoczonych jako *attaché* kulturalnego. Fakt, że nie byłem komunistą, raczej ułatwił tę nominację: była to jeszcze epoka przejściowego liberalizmu. Spędziłem kilka lat na terytorium amerykańskim, wysyłając zawsze do Polski moje wiersze, moje przekłady i moje artykuły do czasopism oraz biorąc udział w polemikach literackich; później zrobiono mnie *attaché* kulturalnym w Paryżu, ale tylko krótko pełniłem tę funkcję. Podczas mojego ostatniego pobytu w Warszawie zdałem sobie sprawę, że nie mógłbym już od tej chwili publikować nic innego, jak tylko p r o p a g a n d ę. Żądano ode mnie ścisłej ortodoksji. To właśnie wówczas podjąłem decyzję.

Ponieważ dobrze znam Wyspę, zawieszoną pośród chmur, to znaczny intelektualistów z krajów demokracji ludowej, postaram się dać opis możliwie najdokładniejszy, jakkolwiek ograniczony do kilku rysów zasadniczych.

PROBLEM UCIECZKI

Trzeba stwierdzić, że każdy z artystów czy uczonych z krajów demokracji ludowych w roku 1945 stanął przed dylematem: wyemigrować, czy też pracować w swoim kraju. Nikt nie był na tyle naiwny, by nie zdawać sobie sprawy, że wymagania Moskwy będą coraz to większe. Jednak opinia publiczna wypowiedziała się w sposób następujący: intelektualiści powinni zostać na miejscu; każda ucieczka stanowiłaby przejaw słabości. W istocie, była szansa, niechybnie wątpliwa, na „narodową drogę ku socjalizmowi” — i zaznaczyć należy, iż nikt z intelektualistów nie pragnął powrotu do stanu sprzed wojny. Chodziło o to, by wykorzystać lata względnej swobody na organizowanie życia kulturalnego, komponowanie dobrej muzyki, wydawanie możliwie jak największej liczby dobrych książek i wszelkimi środkami przeciwstawiać się presji rosyjskiej. Rozpoczęła się gra, gra, którą bardzo trudno jest przedstawić tym, którzy jej nie poznali; tylko intelektualiści ze Wschodu lub ci, którzy niedawno uciekli znają jej sekrety. Nie jest możliwym, jak sam mogłem się przekonać, uzyskanie zrozumienia zagranicą. W tej grze chodziło o najszlachetniejsze uczucia ludzkie, a przede wszystkim o miłość do kraju, straszliwie zniszczonego przez wojnę. Popęlnia się błąd, stawiając znak równości między postawą ludzi Zachodu, którzy czynią się wyznawcami stalinizmu oraz postawą ludzi pracujących dla systemu w demokracjach ludowych. Z reguły człowiek Zachodu z własnej woli staje się sługą doktryny komunistycznej (nawet jeżeli czasami zdarzenie to staje się nieuniknione: we Francji, na przykład, robotnik nie należący do partii czuje się wyobcowany). W krajach ludowej demokracji, gdzie każdy z mieszkańców jest, z konieczności, częścią mechanizmu państwowego, nie ma wielkiej różnicy politycznej między urzędnikiem ministerstwa, profesorem uniwersytetu oraz członkiem Związku Pisarzy. Tak samo zaciera się różnica pomiędzy członkami Partii a „bezpartyjnymi”. Instytucja „towarzyszy drogi”, chociaż narodziła się w Rosji, otrzymała na Zachodzie znaczenie tak dobrze zdefiniowane, że niesprawiedliwym byłoby szukać jego zastosowania w krajach demokracji ludowej. Zachodni „towarzysz drogi” jest człowiekiem lewicy, współdziałającym z własnej woli z partią. Ów stopień współpracy jest, na Wschodzie, niezbędnym życiowo minimum dla każdego obywatela.

Dramat intelektualisty w krajach demokracji ludowej polega na tym, że jego przeznaczenie rozgrywa się poza współczuciem świata. Zachód, niezdolny do przeniknięcia złożonej gry, jaka toczy się w krajach należących do strefy wpływów sowieckich, uważa wszystkich pisarzy, artystów i uczonych, którzy działają w tych krajach, za stalinistów

z przekonania. Postawa emigracji politycznej wobec tych, którzy tam są częścią „machiny”, jest zdecydowanie wroga. A jednak wielu artystów i naukowców z tych krajów po wojnie podróżowało za granicę, a nawet pracowało na placówkach dyplomatycznych; i tylko niewielki ich procent rozwiązał problem wewnętrzny poprzez ucieczkę. „Wracam do mojego obozu koncentracyjnego”, powiedział mi jeden z moich przyjaciół na obczyźnie, a każdy z tych, którzy wracali, myślał tak samo. Ale, pomimo to, wracali. Czasami decydowały o tym względy rodzinne; jednak nawet ci, którzy nie mieli tego typu zobowiązań, obierali drogę powrotną. Głównym motywem było poczucie obowiązku w stosunku do narodu i wstyd ze skorzystania z uprzywilejowanej możliwości ucieczki. Podczas ostatniej wojny poznałem w Warszawie wielu Żydów, którzy mogąc zostać za murami getta, jednak dobrowolnie do niego wracali, świadomi, że wybierają śmierć. Więzy człowieka ze społecznością są niezmiernie silne. Poczucie lojalności jednostki wobec grupy społecznej jest silniejszym motywem działania, niż można by przypuszczać. Miałem okazję sam tego doświadczyć, ponieważ dobrowolnie wybrałem przebywanie pod nazistowską okupacją, a po wojnie broniłem się jak tylko mogłem, przed tym, by nie zostać emigrantem. Ten motyw lojalności działa na Wschodzie w sposób szczególnie silny na pisarzy, kompozytorów, artystów i uczonych — to znaczy na „pracowników kultury”. W Europie Środkowej i Wschodniej zawsze w sposób szczególny podkreślano społeczną funkcję tychże pracowników kultury i pojmowano ją jako obowiązek wobec społeczeństwa. Kiedy byłem *attaché* kulturalnym w Waszyngtonie, zapytałem pewnego młodego polskiego naukowca, który przybył jako stypendysta do Stanów Zjednoczonych, co chciałby z sobą uczynić. Odpowiedział mi, że powrót do Polski byłby dla niego rozwiązaniem heroicznym, a pozostanie — oznaką słabości, ale nie wie, czy będzie potrafił znaleźć siłę na dokonanie wyboru heroicznego. Człowiek ten nie był wyznawcą stalinizmu i rozmawiał ze mną całkiem szczerze. Wyobraźmy sobie, że zdecydowałby się działać w sposób bohaterski. Bez wątplenia, pasażerowie statku, którym by podróżował, traktowałiby go jak niebezpiecznego bolszewika, podczas gdy emigranci uważaliby go za wiernego sługę ohydneho reżimu, jeśli nie wręcz za agenta policyjnych tajnych służb.

Ucieczka za granicę albo pozostanie zagranicą jest w opinii intelektualistów żyjących dziś w krajach demokracji ludowej synonimem rezygnacji z pełnienia funkcji społecznej. Uczony-emigrant, jeżeli ma szczęście, może znaleźć pracę w laboratorium, ale nie będzie pracował dla swojego kraju, a jego możliwości w kwestii kredytu na badania naukowe będą o wiele węższe, aniżeli ma to miejsce w systemie, który jest szczególnie hojny dla naukowców. Reżyser, znany aktor, będzie zmywał naczynia w hotelu. Kompozytor będzie musiał od nowa zacząć swoją karierę. Co do pisarza, będzie on pozbawiony swojej publiczności, i tym samym możliwości wydawania czegokolwiek w swoim języku. Jego książki zostaną usunięte z bibliotek. Jego nazwisko będzie wymawiane jako nazwisko zdrajcy, a on sam będzie musiał zarabiać na życie pracą obcą jego profesji.

Cóż intelektualista, który ucieka za granicę, może zrobić, by walczyć ze stalinizmem i kształtować opinię w swoim kraju? Ta walka, w oczach rodaków, którzy zostali, byłaby jedynym moralnym usprawiedliwieniem jego ucieczki. Niestety!.. Niewiele może on zrobić. Najpierw, Zachód nigdy nie przydawał intelektualistom takiego znaczenia dla formowania życia społecznego, jak ma to miejsce w Europie Wschodniej. System stalinowski w chwili obecnej uważa intelektualistów za narzędzie pierwszorzędne.

Następnie, władze są podejrzliwe w stosunku do nowo przybyłych, a gra, która toczy się na Wschodzie, jest zbyt skomplikowana, by zdawały sobie one sprawę, z kim mają do czynienia. Wreszcie, opinia panująca w środowiskach emigracyjnych jest nieprzyjazna wobec tego, który ucieka. Jednym słowem, zbieg wystawia się na poniżenia nie znające

granic. Mogę zilustrować tę sytuację, cytując fragment satyrycznego wiersza, który pojawił się w Warszawie po moim wyjeździe:

Poczujesz kulturę brutalni z Military Police
Których dłonie trzymają więź tak upragnioną,
Będziesz skomlał o azyl, a głupi agenci
Położą nogi na stół, żebyś lizał ich buty

Istnieje konflikt między politykami emigracji oraz intelektualistami. Jest to coś więcej niż klasyczny konflikt między emigracjami, starą i nową. Można w nim odnaleźć ślady konfliktu dwóch grup społecznych. W Europie Środkowowschodniej występuje kontrast między inteligencją a intelektualistami. Termin „inteligencja” obejmuje wszystkich ludzi, którzy posiadają pewien poziom wykształcenia i nie zarabiają na życie pracą fizyczną. Pewna liczba cech charakterystycznych określa tę grupę, która, za sprawą swoich obyczajów, była niedawno jeszcze spadkobiercą szlachty. Na przykład lekarz, urzędnik Poczty, adwokat, redaktor ministerstwa, należą do inteligencji. Intelektualiści w ścisłym tego słowa znaczeniu są tym, co nazywa się inteligencją twórczą. Są to uczeni, literaci i artyści. Między nimi a inteligencją (która jest równoważna klasie średniej na Zachodzie), występowała, od czasów przedwojennych, sprzeczność interesów. Różnica między tymi dwoma grupami zaznaczyła się później, kiedy intelektualiści stali się kastą plutokratyczną nowego systemu, podczas gdy dawna inteligencja spadła do rangi pariasów pod naciskiem nowej inteligencji, pochodzenia proletariackiego, tworzącą grupę społeczną całkowicie odmienną.

Większość polityków emigracyjnych należy z pochodzenia do inteligencji przedwojennej, a ich mentalność uważana jest przez intelektualistów tworzących za kopalne residuum przeszłości. Relacje między tymi dwoma klanami nie są nacechowane sympatią. Po jednej stronie jest pogarda, po drugiej zaś — uraza grupy, która straciła swoją pozycję społeczną, w obliczu grupy, która pozostała żywotna. „Nie mamy żadnej szansy na porozumienie z reakcjonistami emigracji. Już lepiej pracować ze stalinistami.” Ileż to razy słyszałem takie zdanie? W tych warunkach, ucieczka intelektualisty jest traktowana na wschodzie jako przejście w n i r w a n ę. Nie jest to rozwiązanie honorowe. Intelektualista, który ucieka, wyzwała się od cierpienia, jakie narzuca mu presja reżimu, wybiera trwanie czysto fizjologiczne. Zapomnienie pokryje w kraju jego imię. Jego ucieczka równa się jego śmierci.

Wybór istnieje zatem między tymi dwoma rodzajami zła, a pozostanie na miejscu uważane jest za mniejsze zło. Podczas ostatnich pięciu lat kilkuset artystów, naukowców, pisarzy polskich udało się na Zachód. Bardzo niewiele spośród nich zdecydowało się nie wrócić. Ci, którzy zostali, przeszli do n i r w a n y i nikt w ich kraju nic na ich temat nie wie. Są wszakże pośród nich umysły pierwszorzędnej wielkości.

Często dyskutowałem z moimi przyjaciółmi o problemie ucieczki. Wszyscy, włącznie z zagorzałymi katolikami, byli zdania, że podobna decyzja powinna być indywidualna, ale że lepiej byłoby nie zrywać więzi ze swoim narodem po to tylko, by zyskać wolność „czysto negatywną”, to znaczy wolność bez możliwości jakiegokolwiek realizacji artystycznej czy politycznej. Jeśli cały naród pogrążony jest w sytuacji tragicznej, należy dzielić wspólny los, starając się robić, co można. Jakby nie spojrzeć, tłumaczenie Szekspira jest działalnością społecznie użyteczną, podczas gdy praca w fabryce na Zachodzie, wyłącznie po to, by utrzymać się przy życiu, nie jest działalnością zasługującą na to miano.

Zawsze musiałem zgodzić się z taką argumentacją. Nie chciałem stać się emigrantem, i moja ucieczka była napadem indywidualnego szaleństwa. Zrozumiałem, że gra się dla mnie skończyła, i że nie uniknąłbym pisania ody na cześć „Ojca Ludów” albo poematu

o Feliksie Dzierżyńskim. Możliwe, że warto napisać podobny wiersz, aby móc tłumaczyć Szekspira. Nie potrafiłem jednak zapłacić takiej ceny.

Ucieczka intelektualisty ma zazwyczaj konsekwencje tragikomiczne. Jak już powiedziałem, nasz świat, to znaczy świat intelektualistów z krajów demokracji ludowych, jest światem zamkniętym, a prawa, które nim rządzą, pozostają na zewnątrz nie znane. Ktokolwiek wychodzi z tego świata, spotyka się nie tylko z niezrozumieniem co do jego intencji, ale także z niemożliwością wytłumaczenia się publicznie, chyba że napisze całą książkę. Dla człowieka Zachodu sprawa jest raczej prosta: było się związanym z krajem komunistycznym, było się więc stalinistą; jeżeli „wybrało się wolność”, oznacza to, że wyleczyło się ze swoich złudzeń. Czytałem wiele artykułów w polskiej prasie emigracyjnej na temat mojej ucieczki na Zachód. Ciekawe, że jedyny artykuł, który wykazywał niejakie zrozumienie dla tego problemu, pojawił się w Szwecji, czyli w kraju, gdzie emigranci, dzięki stałemu napływowi nowych przybyszów, są lepiej poinformowani o zasadach gry. Niechaj wolno mi będzie przytoczyć kilka urywków z tego artykułu, nie po to, by skupić uwagę na mojej osobie, lecz by rzucić światło na całość problemu: „Okres kilku lat, w czasie których polska lewica uważała, że terytorium walki znajduje się tylko w obrębie Polski, jest definitywnie zamknięty. Ucieczka Miłosa jest, w jakiś sposób, symboliczna. Nie był komunistą, ale należał do lewicy i miał dosyć postępowe poglądy. Tym samym należał do grona osób, z których komuniści chcą za wszelką cenę uczynić swoich s p r z y m i e r z e ń c ó w, a których w ostatecznym rozrachunku uważają za swoich najgorszych w r o g ó w”.

Starałem się przedstawić sytuację intelektualistów na Wschodzie, ukazując, jak niesprawiedliwym jest redukowanie ich sprawy do kwestii przekonań politycznych. Obawa przed utratą ich funkcji społecznej jest potężnym bodźcem. Ten, kto ucieka, nie może pozbyć się poczucia zdrady względem tych, którzy pozostają. Jedynym sposobem na oswobodzenie się z tego poczucia jest aktywność. Co do mnie, będę się starał być aktywny jako pisarz i dopiero gdy dojdę do wniosku, że utraciłem ojczyznę i poczuję się całkowicie bezsilny, przejdę w n i r w a n ę.

TAKTYKA

Intelektualiści w krajach demokracji ludowej znajdują się na takiej pozycji, że mogą stać się nową arystokracją, pod warunkiem, iż zawsze będą posłuszni. Tak jak serce rozprawdza krew po całym organizmie, tak i ich zadanie, zgodnie z zamierzeniami partii, powinno polegać na rozprawdzaniu w ciele społecznym idei przewodniej. Propagują oni materializm dialektyczny w jego stalinowskiej wersji. Zmierzając powoli i cierpliwie do tego, by intelektualista stał się godnym tego zadania, partia, czyli Moskwa, zdecydowała się na dokonanie podboju za wszelką cenę. Dawna inteligencja została przeznaczona na wyginięcie. W jej miejsce nowa inteligencja robotnicza powinna objąć funkcje. Co zaś się tyczy intelektualistów, potrzeba ich nazwiska, ich talentu oraz ich wiedzy, które są niezaprzeczalne.

Ogromna większość intelektualistów opowiedziała się za rewolucją. Rewolucja ta nie miała w krajach demokracji ludowej charakteru spontanicznego. Została ona wprowadzona za pomocą dekretów narzuconych z góry i opartych na sile Armii Czerwonej. Była to rewolucja biurokratyczna. W podobny sposób, za środki użyteczne uważano nacjonalizację przemysłu i reformę rolną. Punktami spornymi były niezależność narodowa oraz przyjęcie doktryny stalinowskiej. Na tym polu intelektualiści stawiali utajony opór, masowo wspierani tendencjami, płynącymi z serca narodu; tendencjami, które można by określić jako dysydenckie. Taktyka zastosowana wobec intelektualistów w ogólnych zarysach może zostać przedstawiona w sposób następujący:

1. Dawać i nie żądać najpierw nic w zamian.

Tak jak dano ziemię chłopom i z początku niczego od nich nie żądano, tak zapewniono pisarzom możliwość wydawania drukiem ich dzieł, muzykom — korzystanie z sal koncertowych, naukowcom — dostęp do laboratoriów. I otworzyły się wówczas wielkie możliwości, bowiem w krajach demokracji ludowej rząd poświęca ogromne kwoty na swoje cele kulturalne. Poza tym, publiczność po latach wojny była spragniona książek, publikacji, spektakli i koncertów. Sprzedaż materiałów drukowanych szybko wzrastała. Otwierano nowe, awangardowe teatry. Intelktualiści usiłowali korzystać z tego okresu prosperity, który trwał kilka lat, by opublikować to, co napisali w czasie wojny, omówić zagadnienia estetyczne i społeczne, dokonać przekładów dobrych pisarzy zachodnich i, ogólnie rzecz ujmując, zapełnić pustki spowodowane przez wojnę.

2. Zwiększać presję stopniowo, tak, by nie wytworzył się opór psychiczny.

Oto reguła niezwykle istotna. Należy unikać sytuacji, w której pacjent mógłby krzyknąć: nie! Wytwarzając sprzyjającą atmosferę i wywierając delikatne naciski, doprowadza się do tego, że pacjent staje się skłonny do ustępstw. Mówi on sobie: „Ba! To nic. Napiszę już ten artykuł, jeżeli dzięki temu zostawią mnie w spokoju i będę mógł pracować nad moją powieścią, która jest nie po linii”. Uzyskawszy ten rezultat, łagodnie zwiększa się nacisk krytyki, wymagań. Pacjent mówi sobie: „Napisałem już artykuł w podobnym tonie, nie ma co robić historii o taki drobiazg”. Chodzi o to, by działać tak, żeby pacjent nie mógł podjąć żadnej decyzji. Dlatego też każdorazowe zwiększenie dawki jest nieznaczne, a różnica w porównaniu z etapem poprzedzającym jest zbyt nikła, żeby „warto było” stawiać opór. Rezultat jest taki, że po kilku latach pacjent przełyka dawki ogromne. Tym sposobem wielu ludzi nieświadomie zaczęło pisać, malować i nauczać w sposób wysoce ortodoksyjny. Niektórzy, choć w niewielkiej liczbie, dostrzegli pułapkę i szybko z niej umknęli, aby uniknąć dalszego ciągu tej kuracji. Lecz większość dobrze zrozumiała grę i ją zaakceptowała, wykorzystując wszelkie możliwości przeciwstawienia się jej, jakie dawała. Poczynili założone ustępstwa, za każdym razem kalkulując zyski i straty oraz oceniając, czy różnica wypada na ich korzyść. Na przykład, „warto” napisać artykuł atakujący egzystencjalistów, jeżeli dzięki temu można opublikować wiersz, który naśmiewa się z realizmu socjalistycznego. „Warto” złożyć podpis pod deklaracją polityczną, jeśli w zamian można przydać sobie renomy i wyciągnąć z więzienia kogoś krewnego. „Warto” napisać muzykę do piosenki sławiącej system, jeżeli z tego powodu otrzymuje się pozwolenie na wykonanie symfonii. Oto reguła tej gry. Nie jest to gra wyłącznie indywidualna: chodzi o to, by uratować wiele instytucji, grup, atelier, czasopism itd. Stopniowy rozwój tych kompromisów indywidualnych i zbiorowych jest generalnie jedną z przyczyn, dla których intelektualiści ze Wschodu nie uważali za konieczne, by przeobrazić się w emigrantów.

3. Wlać nowe wino do starych bukłaków.

Systemowi zależy, by zachować instytucje powszechnie znane i szanowane, wykorzystując je jako fasadę. Krok po kroku, wypełni się je nową zawartością. Dla przykładu, zamieni się słynne muzeum w galerię wystawienniczą, poświęconą propagandzie. Zachowa się nazwę znanego czasopisma i zmieni się jego redakcję. To samo praktykuje się z ludźmi. Zachowa się ich twarze i ich nazwiska, lecz opróżni się ich i napełni nową filozofią. Pisarz, którego znano jako gorliwego katolika, będzie swym nazwiskiem podpisywał ataki na Watykan. To przeobrażenie, które nazwać by można magicznym, zupełnie nie jest magiczne.

To tylko rezultat zasady: „Byt określa świadomość”. Tworząc szczególne warunki, w których zamknięty jest pacjent, bez większej trudności osiąga się cel.

4. Unikać, jak tylko jest to możliwe, bezpośredniego nacisku i postugiwać się presją sytuacji.

Nie należy sobie wyobrażać, że w krajach demokracji ludowej ktoś nakazuje intelektualistom, w sposób pozytywny, napisać to, czy namalować tamto, prowadzić badania naukowe w tym, czy innym kierunku. Przeciwnie, podkreśla się na każdym kroku, że nikt nikogo do niczego nie zmusza, że wszystko jest dobrowolne. Ta zasada stosowana jest w sposób ogólny, nie tylko wobec intelektualistów. Nikt nie nakazuje chłopom tworzyć kołchozów, nie!... Rujnuje się ich podatkami; zabiera się ich zboże; nęka się ich brygadami młodzieżówki — i okazuje się, że nie ma innego wyjścia z sytuacji, jak utworzyć kołchoz. Tak samo intelektualista w pewnym momencie spostrzega, że powinien napisać wiersz na dany temat. Ów wiersz będzie traktowany jak akt dobrowolny, chociaż autor, by rzec prawdę, został wpędzony w konieczność pisania.

5. Nie pozwalać, aby w grupie utworzyły się więzy solidarności.

Pod okupacją hitlerowską solidarność intelektualistów była dobrze rozwinięta. Wystarczy powiedzieć, że w Polsce, na przykład, znalazł się tylko jeden pisarz (jedyne), który nieśmiało kolaborował z Niemcami. Ta solidarność przetrwała jakiś czas po wojnie. Ale bardzo szybko została ona zastąpiona przez nową hierarchię. Pojawiły się podziały między „dobrze widzianymi” i „źle widzianymi”. Z kolei „dobrze widziani” podzielili się na „lepiej widzianych”, „gorzej widzianych” oraz „tolerowanych”. Podział ten ma swój ekwiwalent w życiu fabryki, gdzie hierarchizacja mas robotniczych, zgodnie z ortodoksją polityczną i zgodnie z socjalistyczną rywalizacją, wciąż czyni nowe postępy.

Reguły taktyczne, wymienione powyżej, dały dobre efekty. Gra jest prawie wygrana przez partię. Waga tego zwycięstwa, to fakt, że to, co nie zostało wypowiedziane, nie istnieje. Niezadowolone mas nie może zostać wyrażone w żaden sposób, za wyjątkiem odbicia emocjonalnego, odkąd ci, którzy posługują się piórem, pędzlem czy dłutem wyrażają wyłącznie oficjalny optymizm. Władza nad intelektualistą daje klucz do rządzenia krajem. Gra oporu trwa nadal, lecz z coraz to mniejszym sukcesem. Wysiłki pisarzy, kompozytorów i malarzy, którzy usiłują nie spaść do poziomu rosyjskiego realnego socjalizmu, są desperackie.

TRANSFORMACJE

W demokracjach ludowych mamy do czynienia ze zjawiskiem w historii zupełnie nowym. Fakt ten nie znajduje analogii w Rosji, gdzie ewolucja rozciągała się na okres dłuższy i miała, z początku przynajmniej, cechy spontaniczności. Nie można by go również przyrównać do którejkolwiek z dyktatur minionych lub obecnych, które nie byłyby dyktaturami filozoficznymi. Kraje demokracji ludowej poddane zostały systemowi opracowanemu w najdrobniejszych szczegółach, którego każdy etap był wcześniej zaplanowany. To rzeczywiście najbardziej naukowe zastosowanie zasad materializmu dialektycznego do „materiału ludzkiego”.

Stworzone warunki, zgodnie z zasadą, iż byt określa świadomość, sprawiają, że wiele kwestii występujących na Zachodzie pozostaje bezprzedmiotowych. Sądzę, że byłoby zbyt cennym stawiać sobie pytanie, czy mieszkańcy Marsa są chrześcijanami, czy też buddystami. Podobnie tak wyraźny na Zachodzie podział na komunistów

i niekomunistów traci znaczenie w demokracjach ludowych. Spora liczba członków partii nienawidzi systemu lecz, podobnie jak bezpartyjni, są oni poddani wewnętrznemu rozdwojeniu, powodującemu, iż nie da się ich zaklasyfikować według kryteriów zachodnich. Dobrowolnie lub z musu, trzeba tutaj rozumować dialektycznie i zrezygnować z *t a k = t a k* i *n i e = n i e*.

Zjawiska psychiczne, pojawiające się w demokracjach ludowych, są dla obserwatora fascynujące. Wyznam, iż zaintrygowały mnie one i że próbuję dokonać ich analizy w książce, którą piszę. Jest to skrajnie trudne zadanie, z uwagi na nowość tematu. Jednocześnie zaś — jest to rodzaj obowiązku.

Mówi się o intelektualistach-komunistach. Rozumiem, że termin ten mógłby znajdować zastosowanie we Francji i w Ameryce. Ale odkąd w krajach demokracji ludowej zaistniała rzeczywista sytuacja, nie jest łatwo znaleźć kryterium oceny. Przynależność do partii nie staje się środkiem dyskryminacji. Jeden ze znanych mi pisarzy, który spędził czas jakiś na terenie znajdującym się pod okupacją rosyjską na początku wojny, w 1945 roku na moich oczach wyciągnął z kieszeni legitymację Partii Komunistycznej i powiedział do mnie: „Mam już dosyć strachu przed deportacją. Koniec z tym”. Inny z moich przyjaciół, artysta, będący członkiem partii, kiedy znajduje się w stanie upojenia alkoholowego, oznajmia: „Ten wasz socjalizm, ja go przetrzymam”. Według trzeciego, intelektualne centrum świata przemieściło się z Zachodu do Moskwy, i jest to wystarczający dowód na to, że Moskwa nie może przegrać: pozostaje tylko z tego faktu wyciągnąć konsekwencje.

Inaczej jawi się to zagadnienie młodemu. Ale również tutaj doktrynalne rozważania mniejszą mają wagę, aniżeli świat taki, jaki jest. Zderzają się one z „faktem”, że istnieje tylko jeden możliwy system myślenia, i że Zachód jest prowincją, na której nie dzieje się nic, co byłoby godne uwagi.

Oczywiście, element czasu zmienia ludzi: wielu z tych, którzy prowadzili grę, broniąc się do ostatka, poddaje się i przyłącza do ortodoksji z ogromnym entuzjazmem. Człowiek pragnie wierzyć; nie może żyć w stanie permanentnej negacji. Rytm przeobrażenia się jest bardzo szybki; ktokolwiek chciałby stać w miejscu — cofa się i już jest zaliczony w poczet reakcjonistów. Należy „nadgonić” rytm życia, gorączkowy i przepelniony pracą kolektywną. Dla tych, którzy chcą działać, możliwości są nieograniczone. Jest to system, w którym kwestia pieniędzy nie gra żadnej roli, pod warunkiem, że będzie się użytecznym. Ortodoksja staje się warunkiem szczęścia; zapewnia ten wzlot, który automatycznie popycha człowieka ku „nadgonieniu”. Coraz to większa liczba intelektualistów przechodzi wewnętrzny kryzys, który jest bolesny, ale po którym człowiek jest nareszcie zdolny, by przyjąć Nową Wiarę. To, że się nawróci, nie oznacza jeszcze, iż pozbędzie się rozdwojenia, ale znaczy, że może działać — to znaczy, że dostarczone mu już zostały intelektualne ogniwa, których mu brakowało. W ten czy inny sposób, przekonał się on, że prześladowające go wątpliwości nie miały sensu. Owe wątpliwości istnieją, ale na innym planie. Rzecz by można: na planie równoległym.

Analizując psychikę takiego intelektualisty, będę się starał wymienić główne argumenty, których używa on w stosunku do samego siebie.

1. Historyczna konieczność.

Wydarzenia w Europie, pomiędzy dwoma wojnami światowymi, a także marsz Armii Czerwonej na Berlin wywarły ogromne wrażenie na mieszkańcach Europy Środkowej i Wschodniej. Komunizm walczył z faszystami — i faszystom został zwyciężony. Czyż nie potwierdza to tezy leninizmu-stalinizmu, w myśl której w świecie współczesnym występuje tylko faszystom i stalinizm, i że to faszystom musi upaść? Ktokolwiek doszedłby do

takiego wniosku, nie powinien znajdować się w obozie, *implicite* skazanym przez byt, który zajął w naszym stuleciu miejsce Boga — czyli Historii. Pisarz, piszący wbrew Historii, pozostanie bezsilny i zmiażdżony.

Polska, którą rosyjscy rządzący zawsze uważali za kraj dla ich interesów najważniejszy, ponieważ stanowił on most do Europy, odczuli ów dylemat w sposób szczególnie bolesny. W czasie wojny działał tutaj niezwykle silny ruch oporu przeciwko nazistom. Ten ruch oporu zależny był od rządu przebywającego na wygnaniu w Londynie. Powstanie warszawskie, które wybuchło w 1944 roku, miało dwa cele: wyzwolić stolicę od Niemców i równocześnie przejąć władzę, zanim Armia Czerwona, która już się zbliżała, wejdzie do miasta. Było to powstanie muchy przeciwko dwóm olbrzymom. Jeden z olbrzymów zatrzymał się na brzegu Wisły i czekał, aż drugi zgniecie muchę. Olbrzym potrzebował dwóch miesięcy, by zgnieść tę muchę, używając samolotów, najcięższej artylerii oraz czołgów. Zgniół ją wreszcie, po czym został rzucony na ziemię przez drugiego olbrzyma, który cierpliwie czekał. Niemal 200.000 ludzi zginęło w Warszawie, a miasto zmienione zostało w Hiroszimę większą niż ta japońska. Oto dowód, że żadna trzecia siła nie jest możliwa. Zniszczenie Warszawy powinno było obudzić nienawiść do Rosji sowieckiej. I tej nienawiści Polsce nie brakowało, lecz, stopniowo, zaczęła ona wzbudzać respekt dla nieuchronności siły. Armia Czerwona działała jako narzędzie Historii, jako bezosobowa władza. W rzeczywistości, mówiono, właśnie tworzy się nowy świat, ze stolicą w Moskwie, i być może nie będzie już więcej miejsca dla utopijnych nacjonalizmów. Ciekawe, że Diamat, mający dwie strony: dialektyczną i materialistyczną, w miarę jak odnosił sukcesy, poddawany był zmianom. W każdym razie, w demokracjach ludowych podkreśla się raczej determinizm, to znaczy raczej nieunikniony charakter procesów aniżeli ich przypadkowość.

Aby przedstawić teraz obraz tego, czym był wpływ owego nieuniknionego charakteru na umysły, powiem kilka słów o jednej postaci spośród moich znajomych, pana X..., mieszkającego w Warszawie. X... jest artystą. Pochodzi z bogatej rodziny. Przed wojną wykonywany przezeń zawód nie pozwalał mu na niezależne życie. Dzisiaj jego rodzice, niegdyś posiadacze fortuny, są zrujnowani, podczas gdy on ma ładne mieszkanie i prowadzi szczęśliwy żywot. X... jest człowiekiem dobrze wykształconym, o wyrafinowanym umyśle. Prowadzi Grę z dużą zręcznością. Z pozycji następuje powoli; daje to, co w danym momencie dać trzeba, i nic więcej. Powiedzieć należy, iż w Systemie sprawność intelektualna jest wysoko ceniona. Im owa sprawność jest większa, tym więcej uzyskuje się swobody. X..., którego riposty są zawsze bardzo na miejscu, i którego stopień opanowania dialektyki jest nie mniejszy niż u filozofów z Partii, utrzymuje zρέcznie równowagę tańcząc na linie. Po wojnie wiele razy podróżował za granicę. Powiedział mi, w Warszawie: „Ostatecznie wszystko to wydaje mi się czymś w rodzaju potopu. Te państewka Europy Zachodniej są podtapiane, i zostanie tylko Ameryka — niczym skała, na którą będą się wspinać ostatni, którzy przetrwają, zabijając się wzajemnie na skraju otchłani. Biblijny potop Gustawa Doré! Co do mnie, wolę to mieć za sobą”.

X... jest ze swej natury obserwatorem zdarzeń, a klęska Rosji, gdyby się zdarzyła, zostałaby przez niego przyjęta nie bez przyjemności. Jednocześnie jego dzieła stają się powoli umiarkowaną gloryfikacją stalinizmu. Kto chce, niech uważa, że X... jest „intelektualistą-komunistą”.

Konieczność historyczna jest najsilniejszym argumentem, używanym w demokracjach ludowych. Wśród mas Partii, a nawet pośród najwyższych dygnitarzy, ta wiara w konieczność idzie w parze z nienawiścią. Mimo wszystko, Hegłowska wolność jako „prawda konieczności” jest wolnością trudną do osiągnięcia. Człowiek nie lubi konieczności, nawet jeżeli wiadomy jest mu obowiązek podporządkowania się jej. Argument

konieczności ma słabą stronę. Nie jest to nic innego, jak kult siły, która przebiera się w prawo Historii. Gdyby Rosja się potknęła, nagromadzona nienawiść mogłaby stać się niszczycielskim potokiem.

2. Integracja intelektualisty.

Wyobcowanie intelektualisty na Zachodzie było od dawna tematem rozważań wielu umysłów. Intelektualista czuje się postawiony poza społeczeństwem: obcy zarówno burżuazji, z której najczęściej wyszedł, jak i masom robotniczym. Znaczenie jego działalności jest najczęściej mało zrozumiałe dla jego otoczenia, za wyjątkiem niewielkiej grupy zawodowej. Historia poezji zachodniej, na przykład, może nas nauczyć wielu rzeczy o odizolowaniu poety i o tym, co z niego wynika: hermetyzmu jego stylu.

Stalinizm stworzył nowy typ społeczeństwa, gdzie szczególną wagę przypisuje się „kulturze”. To, czym w społecznościach chrześcijańskich był Kościół wraz z jego obrzędami religijnymi, dostępnymi dla każdego mieszkańca wioski, jest zapewniane w stalinizmie dzięki Czerwonemu kącikowi, konferencjom, kursom politycznym itp. ... Istnieje także liturgia, taka sama dla wszystkich krajów, które rozciągają się od Elby aż po Ocean Spokojny.

Czerwony kącik, stanowiący wyposażenie okrętu pływającego pod banderą demokracji ludowej nie różni się od „czerwonego kącika” w zagubionej górskiej wiosce: portrety, kolor czerwony, nakazane przemowy są takie same. W ten sposób rozpowszechniana „kultura” jest, prawdę powiedziawszy, równoważna „edukacji politycznej”, która nie jest zresztą wąsko pojmowana, gdyż doktryna jest uniwersalna i może być stosowana w ten sam sposób w czasie obecnym i w przeszłości ludzkości. Historia Reformacji czy też dzieł poetów XIX wieku może dostarczyć okazji do rozważań mających odniesienie do całości. Nigdy wcześniej nie wydawano drukiem klasyków w nakładach tak dużych, jak w demokracjach ludowych, w zgodzie z zasadą, że „Proletariat jest spadkobiercą Ludzkości”. Fakt, że klasycy są dostępni dla każdego a także stworzenie prawdziwego zainteresowania dla problematyki historycznej i literackiej wśród mas, to poważny argument na korzyść nowej, świeckiej religii. Tak pojmowana „kultura”, która nie jest niczym innym jak organizacją dystrybucji na planie umysłowym, zmienia całkowicie charakter pracy, powierzonej pisarzom, kompozytorom i malarzom, ponieważ otwiera przed nimi konsumpcję masową.

W XIX wieku po raz pierwszy pojawiła się popularyzacja nauki. Gdy niektóre teorie naukowe — na przykład darwinowska — stały się sławne, popularne broszury udostępniły te teorie, w uproszczonej formie, wszystkim. W tym fakcie kryło się poważne niebezpieczeństwo: tak upowszechnione teorie mało miały wspólnego z tym, co stanowiło uprzednio ich rolę interpretacji naukowej. Stawały się one natomiast czynnikiem socjologicznym o pierwszorzędym znaczeniu. Autodydakci w rodzaju Adolfa Hitlera czerpali swoją wiedzę z takich właśnie popularnych, pseudonaukowych broszur.

W stalinizmie niebezpieczeństwo to pojawiło się w postaci niemal czystej. Wszystko jest wyjaśnione, i — co gorsza — pół-analfabeta, wyedukowany politycznie, zaczyna wierzyć, że rozumie wszystko. To system mostów, zbudowanych ponad przepaściami. Zabronione jest spoglądanie w dół, w głębię, do tego stopnia, że zapomina się o ich istnieniu.

Oczywiście, istnieją różne stopnie wtajemniczenia. Filozof, interpretujący Platona według zasad Diamatu, znajduje się na wyższym poziomie niż masy, którym daje się jako strawę wstępnie przetrawioną wersję. Ale również filozof musi upraszczać; los G. Lukacsa, który chciał do złożonych problemów zastosować złożone metody, może służyć jako ostrzeżenie.

Tak więc, niewątpliwa więź z masą, ta więź, jaką intelektualista zawdzięcza ortodoksji, jest dosyć drogo opłacona. Lecz intelektualista XX wieku cierpi szczególnie z powodu swego odizolowania, i gotów jest na poświęcenia, byleby znaleźć się pomiędzy ludźmi. Pieniądze i zaszczyty, które spadają na niego, są zewnętrzną oznaką jego użyteczności w organizmie społecznym.

Integracja posiada wiele uroków, nawet dla tych, którzy kontynuują Grę obronną. Dla przykładu, wielu historyków literatury, pracujących nad opracowaniem nowych edycji dawnych tekstów, uważa ten rodzaj pracy za godny ustępstw bardzo daleko idących.

3. Rytm życia.

Wasteland, opisany przez T. S. Eliota, na którym żyje tak wielu ludzi Zachodu, nie jest miejscem, w którym pobytu można by pozazdrościć. Nie jest moją rzeczą dociekać w tym miejscu przyczyn, które doprowadziły nas do tego punktu. W każdym razie, w Średniowieczu na przykład, nie było znaku równości między „życiem osobistym” a „życiem fizjologicznym”. Życie osobiste było wówczas zarówno fizjologicznym trwaniem, jak i życiem duszy nieśmiertelnej. Pod koniec *Wastelandu* piorun przemawia w sanskrycie i formułuje podstawy moralności. Podczas gdy sam T. S. Eliot poszukiwał wyjścia z *Wastelandu* w kontemplacji religijnej, pisząc *Ash Wednesday* i *Four Quartets*, ci, którzy nie mogli znieść życia rozproszonego pośród stanów nerwicowych oraz przypliwów i odpływów zwierzęcej energii, i którzy nie potrafili iść drogą T. S. Eliota, szukali wyjścia z *wastelandu* w tym, co społeczne. Stali się materiałem szczególnie elastycznym dla nowej doktryny, która żąda uznania za prawdę naukową. Interesuję się szczególnie historią poezji tych ostatnich lat. Miałem okazję śledzić ewolucję wielu poetów z krajów demokracji ludowej. Owa ewolucja przybierała kształt krzywej wznoszącej się, w miarę jak autor wzbogacał swoje dzieło o liczne elementy życia zbiorowego. Solipsyzm nie prowadzi do niczego. Jednak kiedy dzieło poety nasiąkało tym, co społeczne, do tego stopnia, że nie pozostawało już nic poza polityką, krzywa opadała nagle i największy talent nic nie mógł na to poradzić. Oto pułapka tego, co społeczne, a czyha ona na wszystkich artystów demokracji ludowych. Gdy włoży się do niej nogę, trudno już się z niej wydostać.

Żywość pierwszej fazy, kiedy demokracje ludowe nie żądały od intelektualistów niczego innego, jak tylko **zainteresowania** dla życia kolektywnego, przekonała wielu ludzi, iż znaleźli się oni nareszcie na Ziemi Obiecanej po wydostaniu się z *wastelandu*, gdzie przebywali przed wojną. Raz zaakceptowawszy wszelkie niedogodności systemu, pisarz zostawał wyzwolony z kręgu osobistej samotności przez rytm życia w wielkiej zbiorowości. Zresztą okres okupacji nazistowskiej wytworzył wiarę, że pisarz powinien być „zaangażowany”. To, co stało się po wojnie, zdawało się nie być niczym innym, jak tylko intensyfikacją tego stanu rzeczy.

Nieszczęśliwie rosyjski realizm socjalistyczny, wprowadzony ostatnio, jest nie tylko zainteresowaniem dla tego, co społeczne, jest to dyscyplina tak precyzyjna i wymagająca takiej dozy kłamstwa i patetyczności, że Ziemia Obiecana bardzo szybko zmienia się w Saharę. Pomimo to, wielu pisarzy oraz artystów, po początkowym upojeniu pierwszymi euforycznymi oznakami powracającego zdrowia, nie może już żyć bez doktryny, która całkowicie wtapia człowieka w to, co społeczne, i która skazuje wszelkie przejawy życia osobistego na bycie niczym więcej, jak tylko „fizjologią”, „psychologią” oraz „mystyką”.

4. Konieczność praktyczna.

Pisarz, profesor uniwersytetu, malarz, kompozytor, powinien „nadgonić”. W przeciwnym razie straci on swoje miejsce na drabinie społecznej i znajdzie się w nędzy. Mo-

tywy ambicjonalne również odgrywają rolę: pośród tych, którzy nie mogą „nadgonić”, znajdują się przede wszystkim ludzie o mentalności zdecydowanie reakcyjnej, ludzie starsi, umysły zdewociałe bądź zamknięte. Nie mogliby oni, nawet gdyby chcieli, nadażać za peletonem. Znalezienie się między nimi nie jest okolicznością, którą należałoby się chełpić. Ktokolwiek „nadgania”, daje dowód żywotności i bystrości umysłu. W tym miejscu znowu narzuca się porównanie z fabryką: system stachanowski gra na ambicji robotników i ci, którzy są dumni ze swych mięśni, szczęśliwi z koordynacji swych ruchów, pragnący dać się zauważyć, zajmują pierwsze miejsce. Dopasowanie do linii w dziedzinie nauki traci swój sens ideologiczny i staje się umiejętnością zawodową, jak każda inna. Konformizm staje się zaletą nadrzędną. Są tacy, którzy się buntują; większa ich liczba wykonuje swój zawód z kompletnym cynizmem. Ale większość intelektualistów nie potrafi znieść całkowitego rozdwojenia i dochodzi do wiary poprzez praktykę. Tym samym, zebrania w klubach, kursy polityczne — mają znaczący wpływ na społeczność. Jest rzeczą znaną, iż Kościół katolicki kładzie akcent raczej na praktyki religijne, aniżeli na wiarę teoretyczną; wiara przychodzi w sposób naturalny, kiedy uczęszcza się do kościoła, przystępuje do spowiedzi itd. ... Intelektualista, który bierze aktywny udział w życiu swojego związku — swojego stowarzyszenia pisarzy czy artystów — uzyskuje przez to piętno konwencjonalne. Po pewnym czasie nie może on mówić ani myśleć inaczej, niż czyni to jego otoczenie. Nie może nawet pisać po to, by włożyć rękopisy do szuflady, ponieważ działanie tego rodzaju byłoby pozbawione sensu.

W sumie wszystkie te argumenty, które człowiek w podobnym przypadku stosuje w odniesieniu do siebie samego, ograniczają się do poczucia, że społeczeństwo inne niż to, które stworzył stalinizm, nie jest możliwe. Konieczność historyczna staje się czymś znacznie głębszym, aniżeli prosta przewaga szans zwycięstwa dla Rosji. Wszystko jest doskonale logiczne. Chcieć czegoś innego oznaczałoby chcieć, żeby dwa razy dwa nie równało się cztery, lecz pięć. Myśl o powrocie do stanu rzeczy sprzed wojny wydaje się absurdalna, i nie widać innej drogi ku cywilizacji opartej na prymacie tego, co społeczne, jak stalinizm.

Entuzjazm dla nowego świata współistnieje z nienawiścią. Znam ludzi, których każda chwila życia wypełniona jest nienawiścią do Stalina, a mimo to są oni wiernymi komunistami.

Obywatel krajów demokracji ludowej powinien wiele czasu poświęcać na to, co nazywa się „pracą społeczną” oraz na uczestniczenie w zgromadzeniach. Wciąż znajduje się on wśród ludzi i nie pozostawia mu się wcale czasu na samotność. Będąc zawsze wśród ludzi, i poddany wymogom konformizmu, postępuje niczym aktor. Jedną prawdą istnieje dla niego w wąskim kręgu przyjaciół; inna narzuca się w miejscu publicznym. W ten sposób ujawnia się hierarchia prawd.

W krajach Islamu, w okresie rozkwitu sekt, nie było, jak się wydaje, muzułmanów absolutnych. Zewnętrzna jedność ukrywała bezmierną różnorodność przekonań — nawet z filozofiami, które skrycie odrzucały islam, na zewnątrz zachowując respekt dla niego. Metoda postępowania polegająca na mówieniu rzeczy, które pozostawały w całkowitej sprzeczności z wewnętrznymi przekonaniami po to, by uchronić się przed podejrzeniami, zwała się w krajach islamu „Ketman”. Uprawianie Ketmanu uważane było za działalność przynoszącą zaszczyt. Był to dowód zręczności. Poza tym, Ketman był często kwestią życia lub śmierci.

Obserwując życie w demokracjach ludowych mogłem zauważyć, iż Ketman jest tam powszechnie praktykowany. Jedni twierdzą, że sowieckie teorie sztuki są absurdalne; inni są przeciwni teorii Łysenki; jeszcze inni umieszczają politykę nacjonalizmu, prowadzoną przez Moskwę, w rządzie przedsięwzięć kryminalnych. Nie brak ludzi, którzy sceptycznie przy-

glądają się Diamatowi, wierząc, iż jest to metoda prawdziwie pragmatyczna, będąca produktem pewnego okresu historycznego, która zniknie, gdy tylko komunizm zostanie zrealizowany. Wielu z obawą obserwuje ekwilibrystkę Kremla w dziedzinie polityki międzynarodowej, myśląc, że Moskwa z łatwością może zająć zbyt daleko.

Ketman, który posiada wiele odmian, nie prowadzi do prawdziwego oporu przeciwko stalinizmowi. Wręcz przeciwnie, człowiek lubi swój Ketman i dzięki temu zaczyna lubić Nową Wiarę, ponieważ bez niej Ketman nie byłby już możliwy. Ketman ma wiele zalet.

Aby je docenić, wystarczy obserwować życie krajów zachodnich. Intelktualiści cierpią tam na szczególny rodzaj *taedium vitae*"; ich życie emocjonalne i duchowe jest zbyt rozproszone. Wszystko, co myślą i czują, ulatnia się, niczym para, ku nieskończonej przestrzeni. Wolność jest dla nich ciężarem. Żadne wnioski, do których dochodzą, nie są wiążące. Może być „tak”, ale może być też „inaczej”. Stąd ciągła *malaise*. Podczas gdy Ketman polega na realizowaniu się wbrew czemuś. Opary, które się ulotniły, tutaj są zawarte. Ten, kto praktykuje Ketman, cierpi z powodu przeszkód, jakie napotyka, lecz jeśli przeszkoda nagle znika, znajduje się w obliczu pustki, co może być dużo bardziej nieprzyjemne. Sądzę, że człowiek naszej epoki nie ma wewnętrznego centrum i to właśnie dlatego Nowa Wiara przedstawia tak wiele uroków dla intelektualistów. Ta Nowa Wiara, poddając człowieka presji otoczenia, tworzy owo centrum; w każdym razie sprawia wrażenie, że to centrum istnieje. Jeden z moich przyjaciół, dialektyk Partii, krzyknął do mnie niegdyś, w Warszawie: „Ależ nie możesz pisać, wychodząc od siebie samego! ... W człowieku nie ma nic, nic, nic”. Tak więc, w człowieku nic nie ma, wszystko wynika z determinizmu społecznego. Stąd jego paniczny lęk przed odcięciem od kolektywu, w którym żyje. Pójdzie z tym kolektywem wszędzie, nawet do Pieła, byle nie być samym.

ZACHÓD

Metody, stosowane na Wschodzie, żeby obrzydzić Zachód, są zbyt dobrze znane, by o nich wspominać w tym miejscu. Obywatel w krajach demokracji ludowej od rana do wieczora słyszy tę samą muzykę: marsz żałobny świata kapitalistycznego, zdążającego ku swej ruinie. Mówi mu się, że śmierć Zachodu jest już wpisana w bieg zdarzeń. To, co ma teraz miejsce, to agonia, to znaczy faszyzm. W świadomości takiego obywatela jest to równoznaczne z wyborem pomiędzy hitleryzmem, który zna z własnego doświadczenia, a stalinizmem. Oto oczywista korzyść, zrealizowana dzięki odkryciu „praw historii”, czyli dzięki skonstruowaniu mostów ponad rzeczywistością. Gra intelektualistów, dzięki potężnej sile sugestii takiej sytuacji, jest czysto wewnętrzna: wszystko odbywa się w taki sposób, jakby zwycięstwo stalinizmu było przesądzone. Ewolucja zachodząca w demokracjach ludowych jest traktowana jako prefiguracja losu, który stanie się wspólny Francuzom, Włochom, Anglikom, Amerykanom.

Intelktualiści ze Wschodu, którzy nie wierzą w siłę duchową Zachodu, mają mimo wszystko skłonność do spoglądania w kierunku Zachodu z resztką nadziei. Są wystarczająco inteligentni, by zrozumieć, że system stalinowski, w którym niemożliwe jest powiedzenie prawdy, nie zapewnia ludzkości przyszłości — i że państwo uniwersalne, z Moskwą jako stolicą, byłoby raczej koszmarem. Są oni zatem szczególnie spragnieni nowin z Zachodu, zwłaszcza zaś tych, które mogłyby świadczyć, iż fatalizm historyczny może zostać przełamany.

A jednak pozostają oni obojętni na wolnościowe slogany, jakimi posługuje się Zachód. Każdy z nich chętnie przyzna, że wolność jest rzeczą dobrą — ale co potem? Jak do niej dojść? Są zirytowani, słysząc powtarzane w tym środowisku z XIX wieku, komunały zapożyczone przez historię z Rewolucji francuskiej lub z amerykańskiej wojny

o niepodległość. Opinie wielu polityków emigracyjnych wywołują u nich uśmiech, gdyż są to opinie oparte na wierze w możliwy powrót do „statu quo”. Powrót taki nie jest możliwy. Trwające przekształcenia posunęły się już zbyt głęboko. Ich wynikiem jest społeczeństwo całkowicie odmienne od przedwojennego: społeczeństwo, w którym wszyscy są pracownikami państwowymi, za wyjątkiem pewnej liczby chłopów, jeszcze nie poddanych kolektywizacji. Jakie odnowienie można sobie wyobrazić? Czy zaczną się poszukiwania spadkobierców właścicieli kopalń i fabryk? Przywróci się do życia burżuazję, która została zniszczona? Czy trzeba będzie na nowo odtworzyć nacjonalistyczne walki między państwami Europy Środkowowschodniej? Nie! Wszystko to nie miałoby najmniejszego sensu.

Intelektualiści ze Wschodu są jednak niezwykle wrażliwi, jeśli chodzi o wieści z zagranicy, jeżeli nowiny te dostarczają dowodu na to, że istnieje Zachód ludzi, którzy rozumieją ich problemy i poszukują rozwiązań innych, aniżeli rozwiązania stalinowskie. Jeżeli jakiś artykuł, jakaś książka czy konferencja tego dotyczy, wydarzenie takie jest dla nich tematem do dyskusji przez całe miesiące. Oczywiście, stanowią publiczność surową, którą trudno zadowolić. Przebyli oni trening akrobatów intelektualnych, ponieważ teologia Diamatu jest ćwiczeniem, które uelastycznia umysł.

Zachód widziany ze Wschodu robi wrażenie zupełnej pustyni intelektualnej. W istocie tak nie jest; jednak trochę tak wygląda życie duchowe świata zachodniego, podobne do konstrukcji grobli, dróg i mieszkań na Zachodzie. Kiedyś, w Nowym Jorku, przyjaciel, u którego mieszkałem, spytał mnie, czy widziałem nowe, wielkie bulwary, zbudowane na East-River, w Brooklynie, oraz nowy tunel między Brooklynem a Manhattanem. Odpowiedziałem, że nigdy o nich nie słyszałem. Więc zaprowadził mnie tam. Gdyby podobne prace zostały przedsięwzięte w Moskwie, prasa na całym świecie pełna byłaby wieści o tej gigantycznej, socjalistycznej konstrukcji. W USA nie zwraca się na nie uwagi: uważa się je za naturalne. Tak samo jest, i to w najwyższym stopniu, w dziedzinie nauki i sztuki, które na Zachodzie są przedmiotem zainteresowania wyłącznie dla specjalistów.

KONKLUZJA

Paradoks sytuacji na świecie polega na tym, że w krajach demokracji ludowej i — jak można odgadnąć — także w Związku Radzieckim, znalazłoby się niewielu ludzi, którzy żywią prawdziwą sympatię dla systemu, w którym żyją. Równocześnie masy gotowe są, by maszerować w szeregach i narzucać całemu światu Dyktaturę, z której ani one, ani ich dzieci i wnuki nie będą mogły znaleźć wyjścia, ponieważ współczesny totalitaryzm dysponuje wystarczająco potężnymi środkami, aby uczynić każdą rewolucję iluzoryczną. Owe masy gotowe są maszerować w imię fatalizmu historycznego. Człowiek zapewnia nas, że zdetronizował Boga, lecz na jego miejsce posadził boga nowego: Historię. Jest to bóg okrutny i krwawy. Rozkazy, padające z jego ust, są głosami przebiegłych kapłanów, ukrytych w jego pustym brzuchu. Oczy tego boga są skonstruowane w ten sposób, że mają magnetyczną moc. Ludzkość dzieli się dzisiaj na dwie kategorie: tych, którzy nigdy nie ulegli temu magnetycznemu spojrzeniu i nic nie wiedzą o niebezpieczeństwie intelektualnym, i na tych, którzy dostali się pod jego władzę — i wiedzą, że bóg, któremu służą, jest zły.

Na tych, którzy poznali magnetyczną moc tego boga i nie ulegli mu — ponieważ uważają, że człowiek sam może tworzyć swoją historię — spoczywa szczególnie obowiązek.

Z francuskiego tłumaczyła: Aleksandra Machowska

TYMON TERLECKI

„POLSKA WALCZĄCA” I PIERWSZY OBÓZ WP W COËTQUIDAN (ZE WSPOMNIENÍ TYMONA TERLECKIEGO I INNYCH)*

Nina TAYLOR (Wielka Brytania)

Tymon Terlecki — eseista i krytyk literacki, od 1934 profesor w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie, od 1936 redaktor „Sceny Polskiej” i „Teatru” — w połowie lipca 1939 roku wyjechał do Francji na letnią kurację. Na kilka dni przed wyjazdem zadzwoniła do niego Halina Wittlinowa, żona Józefa Wittlina, z prośbą żeby

* W opracowaniu wykorzystano: W. Leitgeber, *W kwaterze prasowej*. Londyn 1972; T. Terlecki, „Polska Walcząca”. *Od zachodniej strony*, Orzeł Biały 1945 nr 32; *U Świętego Klemensa*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 12 VII 1960 s. 6; wspomnienie o Samuelu Tyszkiewicz w: *Samuel Tyszkiewicz — artysta-typograf*, pod red. T. Terleckiego. Southend-on-Sea 1962; „Pierwszy numer «Polski Walczącej»”. Felieton nie drukowany, wygłoszony w BBC z okazji piątej rocznicy PW; „Wspominki Coëtquidańskie”. Maszynopis z 1954 r.; L. Bojczuk, *Cztery lata „Polski Walczącej”*, Polska Walcząca 1946 nr 34; W. Budzyński, „Pierwsza wizyta”. Maszynopis; Z. Grabowski, *Weteran prasy emigracyjnej*, Orzeł Biały 1945 nr 32; K. Zbyszewski, „Dobrze jest walczyć, ale i pisać o tym trzeba”. Maszynopis; rozmowa z prof. Janem Ciechanowskim z 1985 r., spisana z taśmy i udostępniona przez Keitha Sworda; K. Zbyszewski, *Tam powstało polskie wojsko na emigracji i jego pismo*. (Z okazji 50. rocznicy 1 numeru „Polski Walczącej”), Środa Literacka (dodatek do Dziennika Polskiego); J. Kowalik, *Przed pół wiekiem powstała „Polska Walcząca”*, Nowy Dziennik-Przegląd Polski (Nowy Jork) 7 XII 1989 s. 2–3; J. Kowalewski, *Z prof. Tymonem Terleckim rozmawiał...*, Tygodnik Polski (Melbourne) 16 XII 1989; Rozmowa z Florianem Śmieją drukowana w: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji*. Toronto 1990. W opracowaniu ujęto także sprawozdania obozowe i notatki służbowe zachowane w archiwum Tymona Terleckiego. W nawiasach i w cudzysłowie włączono również krótkie wypowiedzi o ludziach zapisane w latach 90.

„zabrał ze sobą” autora *Soli ziemi*. Pociąg, w którym dwaj Lwowianie jechali przez zbrojące się do napadu na Polskę Niemcy, mijał lotnisko na Tempelhof, gdzie samoloty bojowe stały gęsto ustawione jeden przy drugim. Po wielu latach Terlecki wspominał w rozmowie z Florianem Śmieją, „Wittlin jak zobaczył ten obraz zbladł jak ściana. Prze-czuł, że wojna jest nieuchronna, i że my obydwaj unosimy świadomie czy półświadomie nasze głowy z grożącą naszemu krajowi katastrofy”.

Pierwszy dzień września zastał Terleckiego w Chinon nad Loarą. W drugi dzień wojny, jako strzelec pospolitego ruszenia z kategorią C-1, zgłosił się bez rozkazu w Biurze Werbunkowym Ochotników Armii Polskiej przy rue Crillon, w Paryżu, czyli w lokalu Polskiego Czerwonego Krzyża, na kandydata do Szkoły Podchorążych. Wedle zaświadczenia z dn. 28 września 1939 podpisanego przez Eugeniusza Turskiego, aktem tym oraz pracą w tymże Biurze przyczynił się do stworzenia zawiązku Armii Polskiej we Francji. Dnia 23 września miał się stawić w Biurze w celu dokonania oględzin lekarskich przed wyznaczonym na 26 września wyjazdem do Szkoły Podoficerskiej na dwutygodniowy Kurs Rekrucki. Tymczasem bardzo się zaangażował w robocie werbunkowej. (Zaświadczenie, że należy do personelu Biura Werbunkowego nosi datę 17 IX 1939.) Jak wyznaje w rozmowie z prof. Janem Ciechanowskim w 1985, „Bardzo to była pasjonująca robota, bo nam się zdawało, że my jeszcze zmobilizujemy odsiecz napadniętej Ojczyźnie”. Wkrótce, bo w liście z 22 IX 1939 z podpisem: „Eug. Turski” otrzymał zlecenie natychmiastowego zajęcia się skompletowaniem Biblioteki przeznaczonej dla Obozu powstającego Wojska Polskiego w bretońskim Coëtquidan.

Jak relacjonuje w swoim wspomnieniu o Samuelu Tyszkiewicz, Terlecki dnia 23 września 1939 dość wczesnym rankiem zjawił się przed konsulem polskim na rue Goujon, [...] „dygocący z wewnętrznego przejęcia jak zapuszczony motor — posiawszy za sobą książki i gryzmoły, których nie było mi sądzone odzyskać”. Na ulicy „jeden za drugim stały trzy samochody, każdy innej maści, kształtu i rozmiarów. Był to «pierwszy rzut» jadący do Coëtquidan, zapadłej dziury bretońskiej, gdzie miało się narodzić nowe wojsko polskie. Jechali: wyznaczony dowódca obozu płk January Grzędziński, wczoraj dziennikarz, [...] dziś znowu żołnierz, jego adiutant kpt. Oktawian Jastrzembski («Skrobek»), wczoraj malarz i urzędnik ambasady paryskiej, dziś pies na służbie, pdch. Kazimierz Pryliński, szer. z cenzurą Dante Baranowski, konsul Stanisław Ruzewicz, prowadzący wspaniałą (swoją własną) limuzynę, jeszcze kilka osób i — ja”. Terleckiego zabrano jako specja od spraw kulturalnych. Jednym z trzech szoferów, prowadzący własne skromne auto, był kapral Faktor „żydzina ryżawa, z wylupiastymi oczyma, z wiecznym osłupiałym wyrazem twarzy, mówiąca żalostną polszczyzną, w której pomieszał się małomiasteczkowy żargon, gwara chłopska i na własny sposób przyswojona mowa Rasyńska”.

Czytamy w szkicu wspomnieniowym Terleckiego:

Pierwszy dowódca obozu pułkownik January Grzędziński — lewicujący legionista, osobliwy typ wojskowego i polityka, oficera i publicysty w jednej osobie, założyciel, wydawca i redaktor opozycyjnego, postępowego, sztandarowo demokratycznego tygodnika „Czarno na Białym” — jak ja przychwycony przez wojnę w Paryżu jeszcze tam wyznaczył mi rolę oświatowca i zabrał ze sobą. Na jego rozkaz już wojskowy choć odebrany w cywilnej marynarce wybrałem z biblioteki paryskiego domu polskiego na rue Crillon kilka tysięcy książek i powlokłem na niepewne losy. Przyjechałem do Coëtquidan 23 września pamiętnego roku, wyprzedzając najwcześniejsze transporty ochotników. [...] Bo też trzeba wiedzieć że Coëtquidan — czyli mówiąc po naszymu Koczokodan — pamięta podobno czasy Rzymian ale jest to dziura i wydmuchów odbity od świata, zgubiony wśród rozpadlin, chaszczki i rzadkich, chudych drzewek; najbliższe większe miasto Rennes leży w odległości 40 kilometrów.

Ich zagospodarowanie na bretońskim odludziu, które nie widziało polskiej książki i pewnie nigdy nie słyszało polskiej mowy, było moim pierwszym zadaniem. Nie bez trudu pozbrałem w pustym obozie małe podłużne szafczyny służące zazwyczaj do przechowywania uboższego dobytku żołnierskiego i w nich розміściłem tak zdawało by się anachroniczny, niewojenny ładunek. Wkrótce okazał się on użyteczny nad wszelkie spodziewanie. W Coëtquidan było chłodno, mokro, niezbyt syto, przyciemnawo. Wszyscy chodzili oboile od świeżej kłęski, wszyscy byli rozżarci na Niemców i rwali się do odwetu, a mimo to, może właśnie dlatego, książki były czymś najbardziej pożądanym. Wieczorami przed biblioteką stały długie kolejki czekających cierpliwie nie na co innego ale na książkę. Zrazu zaspakajalem ten głód sam jeden. Później i trzech przydanych mi do pomocy takich samych cywilów jak ja z ledwością mogło nastarczyć tej żywiolowej potrzebie.

Z perspektywy pół wieku, Terlecki wspomina że to było zupełnie sielankowe wojsko, inteligentkie, niesłuchanie rozruszane ideowo, myślowo i intelektualnie, artystycznie — „wielu malarzy tam było, dużo pisarzy, dużo naukowców”.

Mały nawias o tych towarzyszach doli i pracy. Podejrzewam że dowódca obozu dobierał ich nie bez ukrytego ubawienia. Nasampierw przyszedł Ludwik Rubel, jeden z redaktorów krakowskiego Ikaca i poseł na Sejm. Potem, przechylając głowę na prawe ramię zjawił się w starym, gęsto łątanym mundurze koloru *bleu horizon* dziennikarz narodowy i senator, dziś już nieżyjący Jan Rembieliński; przyjechał aż z Argentyny. Z kolei dołączył się do nas Karol Zbyszewski, przed wojną jeden z filarów „Prosto z Mostu”, terrorysta wywijający „ryżową szczotką”, która i mnie nie jeden raz dobrała się do żywej skóry; w magazynie mundurowym dali mu parciane portki i jakąś kurtkę, a że brakło płaszczy, na własną rękę dopełnił tego stroju kraciastym, wściekle kolorowym autentycznie szkockim szalikiem. Na koniec z Anglii przyjechał młody dziennikarz i literat Aleksander Grobicki. Razem stanowiliśmy bractwo od Sasa do lasa, od prawa do lewa, z sanacji i opozycji, z konkurencyjnych sklepików. Przed wojną nie znało się to, nie gadało ze sobą, patrzyło na siebie kosym okiem. W Coëtquidan zapomnieliśmy o wszystkim. Polubiliśmy się, wypili dużo czerwonego cienkusz, grzanego z cukrem i pracowali od rana do nocy. Rembieliński i Zbyszewski wbrew moim rozkazom wydawali książki po kryjomu, poza wyznaczonymi godzinami, kiedy kto zapragnął.

Drugim moim równoczesnym zadaniem była świetlica obozowa. Mieściła się w dwu olbrzymich saliskach obdrapanych bardzo kunsztownie i zabłoconych na wysokość rosłego chłopca. Niedługo po naszym osadzeniu się zakwitły one wszystkimi kolorami tęczy. Większą zapacykował w pojedynkę Tadeusz Lipski, świetny grafik użytkowy, specjalista od rzeźby w papierze, przebywający teraz w Ameryce; na ścianie wprost drzwi machnął kolorową mapę Polski od sufitu do stołu. Drobny, uśmiechnięty, z śmiejącymi się oczyma, Lipski wszystko potrafił powyginać z kartoniku. Doceniał robotę swoją, tzw. propagandę plastyczną. Bardzo pogodny, koleżeński, życzliwy, długo pętał się dokoła mnie. W większej sali co wieczór był nieludzki tłok wokół aparatu radiowego — kto mógł słuchał radia z Londynu, jedyne wtedy mówiącego po polsku.

W mniejszej, zamalowanej w trzech każdy po swojemu przez trzech malarzy-żołnierzy: Józef Natanson („długas, masa nóg i masa rąk, wyrobiony społecznik”), Marian Walentynowicz („król humorystów rysunkowych”) i Aleksander Żyw, urządziliśmy herbaciarnię, zagospodarowaną dzięki pomocy Polskiego Komitetu Pań w Paryżu. Wydawała ona codziennie kilkaset filiżanek herbaty w cenie 30 *centimes* za filiżankę, a w miarę możliwości także chleb z marmoladą, pasztetem itp. W zimowych, przedświątecznych tygodniach ilość filiżanek wydawanych codziennie doszła do cyfry 400. Brakowało jednak surowców (herbata, cukier, suchary, marmolada itp.), gdyż zapas herbaty ofiarowany przez Komitet Pań wkrótce się wyczerpał. Widzę oczyma wspomnienia pana senatora z panem posłem złanych siódmym potem wokół samowarów, chwiejnymi rękami napelniających szklanki i krążących płatki cytryny. Późniejszą jesienią dołączyła do nich pomocnica, ochotniczka przybyła na pomoc ojczyźnie — aż z Boliwii. [...] Razem w baraku

C-1 mieściły się więc biblioteka, pokój do prób chóru i pokój klubowy, w którym odbywaliśmy długie nocne „rodaków rozmowy”.

Już poprzyjeżdżali z całego świata ochotnicy, starzy i nowi znajomi. Z pułkownikiem Januarem Grzędzińskim Terlecki był w serdecznych stosunkach jeszcze za czasów warszawskich. W *trou breton* pojawili się Jerzy Paczkowski, Czesław Straszewicz, Arkady Fiedler, Jerzy Alfred Kossowski, Stefan Themerson, Adam Tarn, Mieczysław Lisiewicz, Zygmunt Haupt. Zgłosił się na ochotnika również Marek Szwarz. W wiele lat po wojnie Terlecki wspomina go.

Jeszcze przed wojną Szwarz przeniósł się do Francji, zbliżał się do Maritainizmu. To był dużej klasy nowoczesny rzeźbiarz, taki czysty człowiek, taki idealista, ludzie się naśmiewali, bo ten ewangeliczny Żyd, który się chrześcijanizował na wskroś, został rozdzielony między Chrystusa Jezusa a żydostwo wysublimowane, wyszlachetnione w chrześcijaństwo. Był przeniknięty tym duchem chrześcijańskim i duchem kultury zachodniej. Marek przez całą wojnę służył jako prosty żołnierz. W Szkocji służył ciągle w transporcie wojskowym i dobrze się sprawował. Tymi rękami rzeźbiarza prowadził ciężkie samochody.

Na początku grudnia zjawił się w Coëtquidan wyżej wspomniany Karol Zbyszewski, okrężną drogą przez Litwę, Łotwę, Szwecję, Norwegię i Anglię. We wspomnieniach spisanych w pół wieku później Zbyszewski wyraziście określił sylwetkę Grzędzińskiego, swego sąsiada z warszawskiego podwórka, witającego każdego nowoprzybyłego osobście słowami „Czołem obywatelu!”. Przypomniał Rembielińskiego „endeka od urodzenia, senatora z nominacji sanacji, który nigdy nie stawał, ale zawsze zaznaczał, że potępia i unika alkoholu, lecz tym razem, dla towarzystwa, zrobi wyjątek i wypije”. Nie zapomniał też otyłego i klabzdrowatego Rubla „super Polaka — katolika z wyboru i przekonania”. Pisz dalej Zbyszewski:

Zjeżdżało do Koczkodanu coraz więcej zawodowych oficerów. Uważając, że są po prostu przeniesieni do DOK — Bretania, wdrażali dawne regulaminy. Zdumiewało, że inteligentni ludzie zamiast zwalczać tępe żupactwo przesiąkali nim najdokładniej. Adzio Bocheński, Ksawery Pruszyński, Józef Lipski, nasz ostatni ambasador przy Hitlerze w Berlinie, Woroniecki, Badeni, Jan Rostworowski, Natanson, malarz, Piotrowicz, dawny zaufany urzędnik przy wojewodzie Raczkiewiczu, Karwowski, sekretarz Sławoj Składkowskiego, Horko, Meysztowicz, Czesław Jeśman, obiecujący młodzi z MSZ lub Legionu Młodych, trzaskali obcasami przed byle kapralem, skrzeczeli gardłowo: „Melduję posłusznie”. Mimo zimna nie można było chodzić po obozie z rękoma w kieszeniach bo bez przerwy trzeba było salutować. Ramię zamieniało się w semafor.

Wraz z Rembielińskim, Rublem i Grobickim Karol Zbyszewski wchodził w skład Referatu Oświatowego. Na niego jako na biegle mówiącego po francusku, spadła odpowiedzialność za wycieczkę do Rennes po pianino. Dalej wspomina:

Szefem Wydziału Oświaty był Tymon Terlecki. Dzięki niemu nasz Wydział ściągał masę książek do biblioteki-wypożyczalni, sprowadzał z Paryża polskich aktorów na występy, urządzał kursy języka francuskiego, werbował setki pań jako „matki chrzestne” dla żołnierzy, prowadził herbaciarnię w świetlicy... Nie byłem zachwycony aktywnością Tymona, bo wobec wiecznie rozlatanego Rubla i rozgadanego Rembielińskiego największej pracy skupiało się na mnie, potulnym popychadle.

Przy takim doborze personalnym koncert ku uczczeniu rocznicy 11 listopada opierał się prawie wyłącznie na własnych siłach artystycznych. Referat oświatowy współdziałał w organizacji polskiego koncertu propagandowego w Rennes, z udziałem Władysława Galińskiego, Pierre Hérała z Odeonu, Toli Korian, Marii Kuncewiczowej i Witolda Małcużyńskiego, który zyskał sobie znaczny odzew wśród publiczności francuskiej. Pięć

koncertów świątecznych dało okazję do współpracy artystycznej polsko-francuskiej — wystąpili w nich żołnierze polscy obok kolegów francuskich, śpiewaczka koloraturowa pani Berenita i pianista Ciampi z Radio Rennes i szereg innych.

* * *

Tam w Coëtquidan kształtowało się Polskie Wojsko poza Polską. A w jednym z bloków koszarowych, w malutkiej izdebce, urodziło się właśnie pismo „Polska Walcząca”. W swoim dzienniku z lat wojny ogłoszonym w Londynie w 1972, pod datą 1 X 1939, ówczesny korespondent „Kurierza Poznańskiego” Witold Leitteger napisał następujące świadectwo narodzin pisma.

Pierwsza niedziela w obozie. [...] Jest nas tutaj cała grupa dziennikarzy, publicystów, literatów różnych szarż. Od kilku dni mówiliśmy o potrzebie założenia pisma obozowego. Teraz na zaproszenie Komendanta Obozu, płk. Grzędzińskiego, zebraliśmy się w jednym z baraków. Obok dziennikarzy [...] byli też m. in. Tymon Terlecki (teatrológ), S. Tyszkiewicz, Stanisław Paprocki, Wiktor Żółtowski (filozof), Jastrzebski. [...] Ludwik Rubel [...], Jan Rembieleński. Dyskutowaliśmy bardzo długo nad różnymi sprawami związanymi z wydawaniem pisma. Ma to być tygodnik. Płk Grzędziński proponuje tytuł „Gromada żołnierska” [...]. Terlecki proponuje bardziej szumny: „Polska Walcząca”. Coëtquidan — mówi — jest załączkiem nowej armii. Jesteśmy w tej chwili we Francji jedyną Polską walczącą skoro w kraju ustały walki. Ale i ten tytuł budzi zastrzeżenia i wątpliwości. Przecież jeszcze nie walczyliśmy — podkreślają niektórzy. Terlecki odpowiada z wielkim przejęciem, że jesteśmy Polską, która chce walczyć i zapewne niedługo będziemy walczyć. [...] Kto będzie redaktorem? Wygląda na to, że Terlecki, ale są też inni amatorzy. (s. 13–14)

Wedle Wiktora Budzyńskiego, twórcy „Wesołej Lwowskiej Fali”, ojcami chrzestnymi nowego pisma byli Rembieleński i Rubel, sami oni jednak w numerze jubileuszowym w roku 1942 całą „winę” złożyli na Terleckiego. A on „podobno jak maniak łąził po obozie znużając komendanta Coëtquidana, to on pojechał do Rennes po papier, to przez niego przy kasztach drukarskich z niekompletnymi czcionkami polskimi, nadesłanymi z Paryża, musieli stanąć składacze w polskich mundurach”. Terlecki nieco inaczej opowiada.

Najmóźolniejszą i — jak się później okazało — najbardziej dla mnie fatalną robotą jaką przedsięwzięłem w Coëtquidan było pismo obozowe. Pułkownik Grzędziński myślał o nim jeszcze w Paryżu, spiskowaliśmy o tym piśmie od samego przyjazdu do Coëtquidan, ale jak z wielu rzeczami na świecie — zrobiło się łatwo i przyjemnie, ale rodziło się trudno, powoli i wśród przykrości, udało się je doprowadzić do skutku dopiero z końcem listopada.

Terlecki powtarza i podkreśla, że nie mogłoby dojść do skutku bez współpracy Jana Rembieleńskiego, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, Ludwika Rubla, Zygmunta Haupta i Karola Zbyszewskiego. Akt założycielski nowego pisma, zachowany w archiwum Terleckiego, nosi datę 7 XI 1939, jest podpisany siedmiu nazwiskami, m.in. Rubel, Mieczysław Fleszar, Janta, Tyszkiewicz, Grzędziński. Pytam Terleckiego kto to był Fleszar. „Jako student brał udział w wojnie hiszpańskiej po stronie lewicowej, matka jego także była polityczką. Rozpoznałem go jako lewicowca-patriotę, bardzo go przygarnąłem, on zaś pośredniczył. Rozstaliśmy się na tle stosunków do Sowietów, nadal będących dla niego sprzymierzeńcami”.

Od początku piętrzyły się trudności z materiałem. Pisze Terlecki: „Coëtquidan przelewało się od gryzipiórków, wszystkich rang i maści, ale nikt nie chciał pisać, wszyscy chcieli strzelać”. Były kłopoty z cenzurą francuską, już uczuloną na punkcie Sowietów. Potem zaczęło się szukanie zecerów —

[...] także niebylejszy trud, bo dowodzący nie chcieli oddawać żołnierzy, a dowodzeni stawali okoniem przeciw „cywilnej” robocie. Była tam oczywiście drukarnia ale równie oczywiście nie było polskich czcionek. W wojennym już rozgardiaszu, w natłoku pilnych, palących spraw organizacyjnych trzeba je było zamawiać w Paryżu, popędzać odlewnię, dopilnować aby odlane znaki przyjechały na miejsce.

Ale koniec końców uporem i życzliwą pomocą wszystko się dało przezwyciężyć. W końcu znaleźli się oddani, serdeczni i jak oświatowcy zdolni żyć w sielankowej zgodzie zecerzy dwu konkurencyjnych, zwalczających się na bij zabij pism emigracji zarobkowej „Narodowca” i „Wiarusa”, którzy spotkawszy się przy tej robocie, zaczęli się kochać jak mleczni bracia. Samuel Tyszkiewicz, legendarny typograf, nadworny drukarz uniwersytetu we Florencji i twórca „Oficyny Florenckiej”, eks-hallerczyk, teraz zaś ochotnik, mimo różnicy wieku druh od serca nas wszystkich, skomponował winietę tytułową pisma i pomógł mi złamać pierwszy numer. Ze względu na pamięć o nim utrzymano ten ascetyczny nagłówek do końca. Z pomocą kapitana Chodźki, potomka emigrantów listopadowych, udało się udobruchać lokalnego cenzora”.

Chodźko — o ile pamięć nie zawiodła Tymona Terleckiego — była to „dramatyczna postać, emigrant który doczekał się wojny emigranckiej, bardzo sfrancuziały, przeniknięty wpływem francuskim, strasznie nerwowy, niepozorny, chudy starszy pan”.

Technologia nie dopisywała. Najpierw trzeba było odlewać czcionki polskie aż w Paryżu.

Odlewały się w tym samym piorunującym tempie, z jakim chodził lokalny pociąg. Składali ręcznie literkę do literki i okazało się że ą, ę, ł, z których w języku polskim jest stanowczo za dużo (już nie mówiąc o kłopotach z polskimi „elami”, „esami”, „setami”, „zetami”, „achami” i „echami”) wystarczy tylko na cztery strony pisma mniejszego niż dziś formatu. Odbijaliśmy więc wprzód cztery strony, a potem przenosili owe a, e, l, z, na pozostałe cztery i znowu odbijali. Siedzieliśmy przy tym parę wieczorów głęboko w noc, ku złości właściciela Francuza, który stanowczo twierdził, że drukarnia w Rennes, to nie młyn i w nocy nie pracuje.

* * *

Pułkownik-dowódca obozu przykazał, że „Polska Walcząca” musi być gotowa 29 listopada — na rocznicę Powstania. Obchodząc jej piąte urodziny na falach radia londyńskiego, Terlecki wspominał:

Mzył kapuśniaczek, taki, przesiewany przez gęste sitko i wilgoć wsiąkała we francuskie płaszczki z pierwszej wojny światowej, jakby był specjalnie do tego zrobiony. Całe szczęście, że w departamentalnym mieście Rennes można było poczekać na tzw. „samowarek” pod jakimś okapem. „Samowarkiem” nazywaliśmy pociąg lokalny, między Rennes a [...] Coëtquidan, powszechniej znanym p.n. Ketkidan, albo zgoła Koczgodan zapewne dla niewielkiej urody krajobrazu i budownictwa koszarowego. Otóż ten koczkodąński szybkobiegacz, dychawiczny i nieopisanie flegmatyczny, na pokonanie odległości czterdziestu kilometrów między miastem a obozem zużywał prawie tyle czasu, co koń dorżkarski. Prychał, rzeził i korzystał z każdej sposobności, aby przystanąć po drodze.

Z dwu rzeczy zapamiętanych tego dnia: wilgoci w płaszczu i powolności „samowar-ka” — tylko ta druga była przedmiotem mojej cichej furii i rozpaczki. Chciałem być w obozie jak najprędzej. Wiedziałem, że mnie tam czekano, jak dygnitarza z „Reginy”. Czekali dowódca obozu w baraku A z jakąś cyfrą, czekali w baraku C-1 oświatowcy, rekordowe gaduły obozowe, poza tym serdeczni druhowie. Wiozłem ze sobą nie listę awansów, ale cały nakład pierwszego numeru „Polski Walczącej”.

Zmierzało już gdy dobiłem do stacyjki, naprzeciw obozu. Pod kapuśniaczką zmieniło się sitko i zaczął dość gruby deszcz, gdy z pakietem pisma dotarłem do baraku

C-1. [...] Czekali tam przyjaciele. Nie pamiętam czy krzyknęli „hurra”, ale wiem, że byli wzruszeni.

W kilka minut potem, poprzez wilgotny zmierzch listopadowy, zabelony mgłą, skrawki papieru wędrowały do źle oświetlonych, przewiewnych baraków. Żołnierze w błękitnych mundurach z przeszłej wojny, Polacy z Francji i Polacy z Polski, jak się wtedy mówiło, chwycili je w ręce, podsunęli do oczu.

I nagle wszyscy my, którzy zabiegaliśmy o to piśmiśko i ci, którzy je do rąk dostali, wszyscy w ten wieczór jesienny pamiętnego roku uświadomiliśmy sobie, że jego imię ogłoszone w dniu urodzin — „Polska Walcząca” — jest imieniem nas wszystkich, imieniem naszej woli i naszego losu. Nikt z nas tylko nie przypuszczał, że tak długo wypadnie nam to imię nosić, że tygodniczkowi urodzonemu w mało sławnym mieście Rennes jest pisany żywot tak długi i tak burzliwy. Przy wysoko zawieszonych, żółto pełgających żarówkach moi czterej towarzysze pracy obejrżeli numer z mieszaniną krytycyzmu i wzruszenia. Gdy o określonej godzinie zgasło światło w obozie, siedzieliśmy przy świecach i grzanym, słodzonym winie chyba dłużej niż zwykle.

Pierwszy numer „Polski Walczącej” w nakładzie coś ponad 1,000 egzemplarzy był więc gotów w wigilię rocznicy powstania listopadowego. Nosił podtytuł: „Tygodnik Gromady Żołnierskiej”. Zawierał dwa postania na początku, od generała Sikorskiego i generała Maczka, artykuł wstępny dowódcy obozu, dwa wiersze Wierzyńskiego, piosenkę „A gdy minie jesień” napisaną przez Rembiewskiego, artykuł okolicznościowy „Noc podchorążych” pióra redaktora, „Wspomnienia lotnika z obrony Warszawy”, szkic polityczny Czesława Poznańskiego („dziennikarz w służbie dyplomatycznej, w opozycji do Becka i trzymany przez niego na dystans”), bezimienną „Kronikę wojenną”, „Kronikę obozową” Aleksandra Janty, który miał być aż do klęski Francji jednym z najwyższych współpracowników, garść bledziutko odbitych fotografii i garść oryginalnych rysunków. Na pierwszej stronie znajdowała się nie podpisana apostrofa. Po piętnastu latach redaktor Terlecki w pogawędce radiowej przyznał się do jej autorstwa. Pisze dalej:

Nazajutrz — dnia 29 listopada 1939 r. — cztery karteluski rozeszły się pod rzadko szczelne dachy, szeroko przewiewne ściany baraków. Nie wiem co o nich mówił szary, raczej pstrokaty, lud wojskowy. Góra nie ze wszystkiego była zadowolona. Komuś nie podobał się cytat z legionisty Żuławskiego i społecznie radykalne akcenty w tym co napisał Poznański, ktoś inny zrywał się na ostatnie zdanie mego artykułu o podchorążych listopadowych: „Pozdrawiamy w nich najczulszą i nieśmiertelną nadzieję każdego narodu, każdego wojska, każdego boju — młodość”. Dziś już sam nie jestem młody, ale nie zmieniłbym w tym zdaniu ani jednego słowa. [...] Gdy je czytano, ani mi przeszło przez myśl, że oto zaczęła się nawijać na nową szpulkę nić mego życia. Nie przypuszczałem, że „Polsce Walczącej” oddam dziesięć lat wieku męskiego.

Dorzuca Karol Zbyszewski, słynny humorysta, autor *Niemcewicza od przodu i od tyłu*: „Sprzedawaliśmy go [tygodnik] w świetlicy, roznosiłem go po obozie; miał powodzenie, najmniejszy oczywiście wśród nas, zazdrosnych dziennikarzy”.

Na wojnie jak na wojnie. W rozmowie z profesorem Ciechanowskim Terlecki wspominał również o ćwiczeniach wojskowych.

Mieliśmy instruktorów francuskich. To byli ludzie z tamtej wojny, formalisci ale z dobrą wiedzą wojskową. Szkolili nas, nawet ganiali oficera oświatowego na rozmaite ćwiczenia, zrywali go z łóżka rano o świcie na gimnastykę, ale to wszystko kryło pustkę za sobą, to wszystko nie miało żadnego zaplecza, żadnego przygotowania do rozgrywki, która była nieuchronna”. Redaktor-podchorąży, czyli „Monsieur l’aspirant”, doczekał się rangi kapitana na czas wojny dopiero dnia 1 stycznia 1945. W strzelaniu pewnie nie celował. „Należałem do kursu oficerskiego, pewna ilość punktów była potrzebna do kwalifikacji. Bardzo źle robiłem, ale mozoliłem się rozpaczliwie żeby się dociągnąć.

Życie obozowe toczyło się dalej, toczyło się „drôle de guerre”. Z okazji pierwszych świąt wojennych świetlica coëtquidańska dokonywała rozmaitych rzeczy: olbrzymią, kilkumetrową prześliczną szopkę krakowską z prawdziwą słomianą strzechą, gwiazdę dużą jak młyńskie koło, wykonaną przez artystów-żołnierzy Kazimierza Jodzewicza („katolika”) i Edmunda Ernesta. Zorganizowano zespół kolędników odgrywających oryginalne jasełka żołnierskie w rejonach zakwaterowanych, z tekstem Aleksandra Janty-Pończyńskiego i Jana Rembélińskiego. Kostiumy dla kolędników, zaprojektowane i wykonane przez Mieczysława Różańskiego i Stanisława Mikulę („bardzo malownicza postać, żarłok i grubas”), artystów dekoratorów ze szkoły Podchorążych, były malowane kolorami na białym płótnie. Trzej Królowie nosili barwy i herby Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych. Witold Leitgeber opisał ten wieczór na gorąco:

Kilku z nas, znajomych oficerów, umówiło się na Wilię nie do kasyna oficerskiego, ale do podchorążych, gdzie przygotowano posiłek według polskich zwyczajów. [...] Przy stole siedziałem z Samuelem T., Terleckim, Jakobem Schulzem, Lissowskim, Zdrojewskim. Na chwile przysiadł się do nas „gość oficjalny” płk. Grzędziński. [...] śpiewaliśmy kolędy. (s. 20)

Karol Zbyszewski za to twierdzi, że noc wigilijna była szczytem smutku; wtuliwszy głowy w koce wszyscy płakali.

Bywało czasem jeśli nie wesoło, to przynajmniej mniej markotnie. Dla rozproszenia nudy obozowej grono prawie zawsze tych samych podchorążych-intelektualistów spotykało się raz na tydzień w sobotę wieczór na prywatne agape i porywało kolegę-redaktora do jakiejś okolicznej restauracji czy gospody na zamówioną kolację; „z tego się wytworzył nukleus moich wielbicieli, chcących wyrazić uznanie dla mego wpływu na podniesienie atmosfery i poziomu w obozie”. Jak głosi dokument z datą 16 II 1940 roku „Decyzją II-go Zastępcy Ministra Spraw Wojskowych z dnia 25.I.br. podchorąży Tymon Terlecki został przeniesiony z obozu w Coëtquidan do Wydziału Propagandy i Oświaty M.S. Wojsk”.

Z okazji odkomenderowania Terleckiego do paryskiej „Reginy” odbyła się nie lada uczta, opisana znowu przez niezawodnego naocznego świadka, Witolda Leitgebera. Pod datą 31 I 1940:

Wieczorem w restauracyjce w Carentoir, ok. dziesięć kilometrów od Coëtquidan, zegnaliśmy kolacją Tymona Terleckiego, podchorążego, oficera oświatowego obozu i redaktora „Polski Walczącej” w jednej osobie. Odchodzi do MS Wojsk, do Paryża na stanowisko redaktora połączonych pism „Polski Walczącej” i „Żołnierza Polskiego we Francji”, wydawanego dotychczas w Lille. W pożegnaniu brało udział grono ludzi związanych z Tymonem, a więc adwokat Tadeusz Baykowski, podch. Kazimierz Pryliński, lekarz Stefan Kantor, Paweł, Kuba i jeszcze paru innych. Biedny Tymon, odchodzi z lekkim strachem, co będzie w Paryżu. (s. 24)

O tym że nie odbyło się bez dobrego winka świadczy dokument sporządzony w łacinie: z datą Coetquidanum A.D. MCMXL.

Nos subscripti ut coenam bene preparatam vinoque saturatam ad maiorem (seu aspirantem) amici nostri Tymoni Terleciani laudem consumemus, hic conventi sumus. Virus virtutum plenus non solum ipsa persona sua, sed etiam spiritus cerebrique qualitatibus cor nostrum in saecula saeculorum conquerit, idemque conquestum lutetiam secum prehendit.

Itaque nos vitam ejus lutetia honoris et laudum plenam futuram sperantes, votum sequens emittimus: Sint tibi providentia socio, amica fortuna!

Czyli — w bardzo wielkim skrócie — redaktor Terlecki swymi zaletami duchowymi i umysłowymi na zawsze podbił serca współbiesiadników. Wśród dających się rozszyfrować podpisów występują: Kazimierz Pryliński, Janusz Zdrojewski, Paweł Zdziechowski, Stefan

Kantor, Tadeusz Baykowski („bardzo miły człowiek, adwokat, w wojsku bardzo pozytywny i pomocny”), Witold Leitgeber oraz Kuba Schulz, zdaje się krewny pisarza.

Po kilku (właściwie sześciu) numerach skromne pismo obozowe promowano do godności organu całych Polskich Sił Zbrojnych, gwałtownie rozrastających się zwłaszcza po zawarciu polsko-francuskiej umowy wojskowej. Redakcję przeniesiono z bretońskiego odludzia do małego pokoju redakcyjnego przy Sztapie Głównym w paryskim hotelu „Regina”, naprzeciwko pomnika Joanny d’Arc. Skład przeniesiono do drukarni w Lens w departamencie Nord, gęsto zasiedlonym Polakami-górnikami.

Z okazji 50-lecia „Polski Walczącej” w 1989, Terlecki oświadczył w rozmowie z Januszem Kowalewskim:

Wzięty „Polskę Walczącą” pod swoją opiekę liczne, żywe, dynamiczne organizacje polonijne. Z ich ramienia współpracował ze mną szlachetny, ofiarny działacz społeczny Tadeusz Obrębski, przyjaciel mego przyjaciela Jerzego Zawieyskiego, dramaturga i organizatora (wraz z Jędrzejem Cierniakiem) ruchu teatrów ludowych. [...] Trwały ślad współpracy wojska ze społecznością polonijną zachował się w nowym podtytule pisma: ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE. Wywodził się on z niezbyt udanej, krótkowzrocznej próby wydania pisma przez Polonię francuską „Żołnierz Polski we Francji”, dwutygodnika Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego wydawanego przez Kwiatkowskiego w Lille. Połączenie z tym pismem w lutym 1940 r. wielokrotnie nakład „Polski Walczącej” do 17 tysięcy. I ten podtytuł — „na Obczyźnie” — pozostał do końca.

Dnia 11 II 1940 ukazał się pierwszy numer „Polski Walczącej” poza Coëtquidan. Od tego czasu niemal przez pół roku redaktor dzielił siebie między Paryż i Północ.

Trzy dni w tygodniu spędzałem w Paryżu, trzy w Lens w drukarni polskiego dziennika „Narodowiec”, dużej, świetnie urządzonej i bogato wyposażonej. Było mi tam jak w raj. Hołubili mnie tam wszyscy, nawet rzadko uśmiechający się twórca i założyciel tego warsztatu, redaktor Michał Kwiatkowski (ojciec). Otoczony życzliwą atmosferą, montowałem tygodnik wojskowy tam do lata 1940 roku.

Nadeszła klęska Francji. Nadal jako ppor. piechoty Terlecki otrzymał przepustkę z datą 9 i 10 VI 1940 na 25 dni, a więc zezwolenie na jazdę w kierunku Paris-Angers-Paris. W Angers spotkał Jana Hulewicza, kolegę uniwersyteckiego. Dnia 18 VI 1940 po dwudniowej podróży znalazł się już w Libourne, zamieszkał u Jana Hulewicza, Président du Conseil, przy 29 rue Clément Thomas. Wedle relacji Ludwika Bojczuka, „Jeszcze w toku ewakuacji, w przeddzień ogłoszenia kapitulacji przez Pétaine’a, daremnie usiłował redaktor wraz z jednym ze swych kolegów wydać przygotowany do druku numer «Polski Walczącej» w Bordeaux”. Za to w czasie ewakuacji-podróży całe paryskie archiwum redakcyjne przepadło bez wieści. Redaktor „Polski Walczącej” ewakuował się do Wielkiej Brytanii z malutkiego portu Le Verdon, w pobliżu Bordeaux u ujścia Garonny.

W oczekiwaniu na statek-węglowiec „Clan Fergusson” spędziłem kilka nocy na piaszczystej plaży z otwartym widokiem na niebo. Tam pierwszy raz widziałem spadające bomby. Po ciężkiej podróży na brudnym dnie węglowca wylądowałem w Liverpoolu.

Dnia 25 czerwca 1940 r. uprzejma Angielka poczęstowała Terleckiego jego pierwszą w życiu *cup of tea* z... mlekiem. Z Liverpoolu przewieziono go pociągiem do Glasgow, gdzie pierwsze kilka nocy spędził pod gołym niebem na twardych deskach olbrzymiego stadionu sportowego. Kiedy rozdano koce, „wziąłem i narzuciłem na plecy, tak że oficerowie naśmiewali się z mojej zniewieściałości”. W rozmowie z Januszem Kowalewskim Terlecki skomentował: „Byliśmy w Glasgow bardzo popularni — jako obrona przeciw

grożącej inwazji”. Wraz z kolegami jeździł darmo tramwajami, autobusami, pił herbatę, za którą nie chciano przyjmować opłaty itd.

Zaledwie w kilka dni później, w lipcu 1940 r., wraz z kolegami z ministerstwa wylądował w jednym z pierwszych obozów WP wśród wspaniałych wiekowych drzew w parku przy zamku Douglas, w pobliżu miasta Lanark.

Rozbito namioty na trawniku. Tam na szkockiej murawie z wspólnego wysiłku grona świetnych dziennikarzy z 1. Korpusu, jak Bregman, Horko, urodził się „Dziennik Żołnierza”, drukowano go jeszcze pod drzewami w Douglas. „Dziennik Żołnierza” bił na głowę „Dziennik Polski”, który był podówczas niedbały i niechlujny. Żeby pobić konkurencję minister Stroński dążył do połączenia tych dwu pism. Po „Dzienniku Żołnierza” została tylko pamiątka w nazwie.

Ale wróćmy do „Polski Walczącej”. Dwaj koledzy po piórze utrwaliли okres szkocki. Ludwik Bojczuk pamiętał:

[...] jak to w chłodne i dżdżyste dni naszego koczowania w szkockich lasach Tymon Terlecki, redaktor od czasów coëtquidańskich, człowiek, dzierzący podobno w armii polskiej rekord długości tego samego przydziału, spacerował pod sosnami z coraz to innym kandydatem na korespondenta, dyskutując żarliwie wszystkie problemy, związane z wznowieniem pisma, i snując rozległe plany w chwili, gdy pod grozą nieuchronnej — jak się wydawało — inwazji niemieckiej żyło się, nie znając dnia ani godziny.

Pisze Wiktor Budzyński, kolega z lwowskich lat:

Tymon wierny swojej PW jest zły i smutny, że właśnie teraz, w takim momencie nie może ona przemówić do żołnierza. Z zazdrością jakby patrzy na nas, gdy z „Lwowską Falą” krążymy od polany do polany śpiewając żołnierzom [...]. Redaktor PW wygląda w tym czasie jak stwór błady, niedożywiony, gdyż mięso z kotła uroczyście zakopujemy w przydrożnych rowkach, pochodzi ono bowiem z roku 1894 z Kanady, jest dobrze zamrożone, a nasi kucharze nie mają jeszcze na nie swojego sposobu. [...]

Któregoś dnia, jak twierdzi Bojczuk, zniknął redaktor z leśnego wzgórza. Za to Budzyński był obecny, kiedy: „Pewnego dnia w otworze naszego namiotu z karteczką w ręce staje rozpromieniony Tymon: «Będzie PW — jadę do Londynu». Padają mało patriotyczne pożegnania: «Pozdrów Goebbelsa. Opisz pierwszą paradę Adolfa w Londynie»”.

W Londynie znaleziono nieistniejącą już drukarnię St Clement's Press przy Portugal Street, której trzypiętrowy, narożny budynek przeszedł potem na własność London School of Economics. Wkrótce po tym, w rzeczywiście rekordowym czasie, bo w dniu 12 lipca 1940 r., ukazał się pierwszy „brytyjski” numer „Polski Walczącej”, czyli dziewiętnasty numer drugiego rocznika, z datą 21 lipca 1940. Opuścił prasę o tydzień wcześniej, miał przesuniętą datę z uwagi na rozproszenie zbierających się resztek armii lądowej, lotnictwa i marynarki.

GŁOS DIABELSKIEGO ADWOKATA (W SPRAWIE LITERATURY NA EMIGRACJI)*

Tymon TERLECKI (Wielka Brytania)

Jesienią ubiegłego roku Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zorganizował w Londynie zbiorowy wieczór poświęcony literaturze emigracyjnej¹. Zagaił ten wieczór Michał Sambor i teraz ogłosił drukiem swoje zagajenie w czerwcowym numerze „Kultury”². Stwarza to i dla mnie sposobność aby zabrać głos na tym forum.

Jak na wspomnianym wieczorze pragnę i tutaj odwieść wprzód myśl czytelników do kolegium i przewodu rozstrzygającego sprawy o ileż trudniejsze, niż ta która była przedmiotem jesiennej rozprawy pisarzy. Mówię — o trybunale beatyfikacyjnym. Skład sędziowski takiego trybunału ma w swoim gronie urzędnika o wcale nie świętym przezwii-

* Maszynopis tekstu znajdującego się w archiwum Tymona Terleckiego odnalazła i przygotowała do druku Nina Taylor-Terlecka.

¹ O wieczorze dyskusyjnym poświęconym literaturze polskiej na obczyźnie, urządzonym w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czytamy w „Dzienniku Polskim” z 18 XII 1952: „Referat zagajający wygłosił M. Sambor. Zdaniem referenta, pisarze polscy na obczyźnie powinni się zająć opracowywaniem tematów o znaczeniu światowym. Tematy bowiem polskie straciły atrakcyjność.

Oponenci Sambora natomiast byli wręcz przeciwnego zdania. J. Bielatowicz w dosadnym przemówieniu wskazał, jakim warunkom powinien odpowiadać piszący, aby być pisarzem, szczególnie — poczytnym. H. Naglerowa przeprowadziła porównanie między emigracją XIX wieku a obecną. T. Terlecki zajął się szczegółową krytyką referatu. S. Zahorska (zaznaczywszy w wstępie, że powie to samo, co Terlecki, tylko — popularniej) z wielką swadą polemizowała z referentem. Tak samo z krytycznymi uwagami, zaprawionymi dowcipem i ironią, wystąpił J. Kowalewski. Przewodniczył prof. Stroński”.

² Kultura 1953 nr 6/68. W tymże roku Michał Sambor zadedykował swój artykuł „Zapiski o pisaniu” „Tymonowi Terleckiemu, któremu zawdzięczam nie tylko tytuł tych uwag”, Wiadomości 1953 nr 45 (394) s. 2.

sku: *advocatus diaboli* — adwokat diabła. Jego zadaniem jest wskazywać słabe strony dowodów, zaczepiać i podważać każdy argument powołany na świadectwo świątobliwości wielkiego nieobecnego, którego proces toczy się przed trybunałem. Jest to głos ciągle czujnej, podejrzliwej trzeźwości, głos ubezpieczający prawdę ze wszystkich stron, opukujący ją nieustannie, jak się opukuje mur czy bryłę metalu po to, aby sprawdzić czy nie ma w nich rysy. Sądzę, że prałat, na którego spada to ważne i odpowiedzialne, choć niewdzięczne i niezbyt miłe zadanie spełnia ją z całą pokorą serca.

W dyskusji o literaturze przyjąłem na siebie tę rolę i chcę w niej pozostać. Zrobiłem to i robię z pokorą ale bez uczucia szczególnej niewygody. Już przywykłem do tej roli; można by nawet powiedzieć — wolę to sam zrobić — jestem w tej roli wyspecjalizowany. Upodobałem ją sobie perwersyjnie od dawna, od początku, może nawet przed początkiem rozważanej sprawy.

Byłem adwokatem diabła, kiedy wbrew logice mówiono, że nie ma literatury emigracyjnej, że jej być nie powinno, kiedy uważano, że są tylko... pisarze na emigracji. Byłem diabelskim mecenasem, kiedy czule hodowano złudzenia o możliwości współżycia, nawet współdziałania tych pisarzy z porządkiem narzuconym krajowi, kiedy stawiano znak mechanicznej (i rachunkowej) równości między literaturą krajową a tym co można i co się powinno niezależnie od niej, mimo niej, często przeciw niej tworzyć na emigracji. Gdy nieuchronnie, ale jakby na przekór niektórym z nas, literatura na obczyźnie stała się rzeczywistością niezaprzeczalną, błogosławioną i poniekąd uprzywilejowaną, znowu adwokatowałem diabłu, wskazując obciążenia płynące z grzechu pierworodnego, błędnej oceny i małodusznej niewiary.

Z powodu tego wystugiwania się Borucie i Kusemu spotykały mnie dobrze zasłużone cierpkie słowa. Cenię je sobie wyżej od niezrozumienia i od tego co Valéry tak surowo osądzał — od mieszania racji uczuciowych i racji rozumowych, od myślenia własnymi urazami. Ostatecznie jednak od tych cierpkoci, niezrozumień i kompleksów nie spadł mi włos z głowy. Bo między innymi właśnie to jest odrębnością literatury emigracyjnej, że dopuszcza ona rozmaite poglądy, każe je wzajemnie szanować, uczy nas „szlachetnie się różnić”. Zachęcony tą bezkarnością, trochę z nawyku, będę znowu występował jako adwokat diabła.

Na wstępie czuję potrzebę stwierdzić (czyni to zapewne także mój odpowiednik przy owych ważniejszych okazjach), że obecna faza procesu, którą nazwy szkic Sambora, w pewnej mierze mnie rozbraja. Ten szkic widzi szczupłą garstkę pisarzy emigracyjnych, trudną sprawę, z którą od lat się zmagają — w szerokim kontekście.

Od dawna żywię przekonanie, że o literaturze emigracyjnej, jak i o emigracji politycznej, jak i o całej sprawie polskiej można sensownie myśleć i można mówić do rzeczy, ujmując je w rozległym tle, w związkach i zależnościach. Jeszcze w czarnym roku 1945 wydawało mi się, że punkt wyjścia i meta naszej emigracji są zupełnie inne, niż punkt wyjścia i meta tzw. Wielkiej Emigracji.

Nasi poprzednicy szli pod sztandarem narodowości. My, czy chcemy czy nie chcemy, musimy iść pod sztandarem idei zachodniości. Przed stu, stu pięćdziesięciu laty chodziło o to, aby uzasadnić prawo narodu do odrębnego, samorządnego istnienia i o to, aby w przy mierzu z pokrewnymi prądami i siłami wywalczyć swemu narodowi takie istnienie.

Dzisiaj tego prawa nikt nie poddaje w wątpliwość — przynajmniej teoretycznie i jawnie. Dzisiaj gra idzie o coś innego: o prawo osobowości ludzkiej do odrębnego, swobodnego istnienia, o całą kulturę, która opiera się na tej zasadzie i tej zasadzie służy. Gdy Mickiewicz pisał wiersz „Do matki Polki”, widział groźbę wydarcia jej dziecka z objęć narodu. Dziś, ten kto umie patrzeć, widzi groźbę innego stopnia — wydarcia całego narodu z objęć kultury, do której on od wieków należy.

Sprawa literatury emigracyjnej widziana w takim świetle mieści się w obrębie starcia kultur, stanowi tylko część, tylko jeden punkt tego starcia.

Ale godząc się na ogólną dążność w ujmowaniu sprawy przez Sambora (jestem świadomy, że tę dążność zapewne zaostrzyłem), nie godzę się na ujęcie stosunku do całości, stosunku naszego polskiego tekstu do wielkiego kulturalnego kontekstu, nie godzę się na rozumienie naszego nikłego głosu w tym cyklonie, który już wieje, choć są tacy, co się usiłują przed nim chronić chowaniem głowy pod poduszkę. Wracając do roli diabelskiego rzecznika, stwierdzę otwarcie, że także w stanowisku Sambora widzę tę zmasę pierwotną, która od samego mrocznego początku zaciążyła na naszym myśleniu o literaturze emigracyjnej i na jej życiu.

Mój pogląd na tę sprawę da się streścić w nieprzyjemnym ale dość wyrazistym obrazie: literatura emigracyjna jest chora na psychonerwicę; przyczyną tej choroby, jak przyczyną każdej nerwicy, jest ucieczka czy próba ucieczki przed narastającymi zagadnieniami, przed trudnościami wewnętrznymi. Literatura na emigracji uchylała się i uchyla się ciągle od tego aby być sobą, uciekała i ucieka od swego losu. Najpierw uciekała ona od samego faktu, że jest, od nieodpartych okoliczności, które narzucają jej istnienie. Wtedy to wyobrażała sobie, że jest możliwy *modus vivendi* z tym co się dzieje w kraju. Jej zastraszenie, lęk przed samą sobą zrodził sentymentalny straszak „wyrwy” między nią a literaturą krajową, między krajem a wychodźstwem. O innych objawach nie warto mówić bo są wstydlive i, na szczęście, bezpowrotnie minione.

Ale ta chęć uchylecia się od ciężaru, pęd do wymykania się samemu sobie nie ustał do dzisiaj. Mimowiednie przebija się także w ujęciu Sambora, choć usiłuje on po toynbe'e'owsku odczytać „wezwanie” stojące przed literaturą emigracyjną i stara się z najlepszą wiarą dać na to wezwanie odpowiedź. Działanie tego pierwotnego zahamowania widzę w jego słowach: „zastąpić świadomość narodową świadomością szerszej ojczyzny, z której nas nie wygnano”. Sambor za to „zastąpienie” obiecuje nam nagrodę w tym i w przyszłym życiu. „By służyć ojczyźnie — dodaje — trzeba sobie postawić cel wyższy od ojczyzny”.

Ta piękna formuła jest parafrazą powiedzenia Norwida: „Oderwać się od siebie i wejść w siebie: słowem aby narodowym, być nadnarodowym”. W jego czasie takie ujęcie sprawy było odkrywcze ale Norwid rozumiał, że ten sylogizm jest odwracalny. Uzasadniał wiele razy i na wiele sposobów jego odwracalność: aby być nadnarodowym, trzeba wprzód być narodowym. Mickiewicz za życia Norwida urzeczywistnił tę podwójną prawdę: był narodowy dzięki temu, że umiał być nadnarodowym, był nadnarodowym dlatego, że był narodowy tak głęboko jak nikt przed nim.

Jestem przekonany, że nie może być mowy o zastępowaniu świadomości narodowej świadomością europejską, zachodnią, chrześcijańską. Bo są to dwa stopnie, stopnie związane ze sobą, jednej i tej samej świadomości. Podlegają one prawu o naczyniach połączonych i prawu o tonach muzycznych.

Stanowisko Sambora wydaje mi się mimowolnie anty-chrześcijańskie. Chrześcijaństwo obchodzi żywa, konkretna osobowość urzeczywistniająca się w czasie i przestrzeni, w powiązaniu ciała i duszy, w sprzęgu z kulturą i historią. „Le particulier dans le christianisme — mówi przenikliwie agnostyk Malraux we wspaniałej książce *Les Voix du silence* — n'est ni la fonction, ni la gloire, ni le destin: c'est l'âme”. Wspólnota chrześcijańska to wspólnota dusz, wspólnota odrębnych, odmiennych osobowości.

Pogląd Sambora wydaje mi się sprzeczny z zachodnim odczuwaniem kulturalnym i z zachodnią rzeczywistością kulturalną. Wspólnota duchowa, do której należymy, to wspólnota grup zróżnicowanych, osobowości narodowych, które mają własne dole i drogi, które od tysięcy dają temu każda odmienny wyraz. Dopiero te pojedyncze wyrazy, głosy zestrojone razem, czasami — nie trzeba tego tać — zakłócone dysonansem, tworzą tę jedy-

nią w historii świata symfonię, która się nazywa kulturą zachodnią. Usunąć jakiś głos, to znaczy zubożyć tę konstrukcję; usunąć je wszystkie to znaczy unicestwić ją całą.

Jak każda konstrukcja muzyczna — żeby pozostać przy tym samym porównaniu — kultura zachodnia ma swój „rysunek”, idealny kościec, ale miąższ tej kultury, jej żywą, przemieniającą się treść stanowią osobowości narodowe. Bez nich kultura zachodnia jest pojęciem oderwanym, tak jak bez osobowości ludzkiej oderwanym byłby naród. Nie ma innej drogi do narodu jak przez istnienie osobowe, nie ma innej drogi do kultury ponadnarodowej jak przez istnienie narodowe. Niedawno Lechoń przypomniał prosty fakt, że nawet fabuła *Boskiej komedii* jest czysto włoska, że cały świat materialny i duchowy Dostojewskiego jest czysto rosyjski. Włoskość „nie przeszkadza” poematowi Dantego, jednemu z najbardziej uniwersalnych, wszechludzkich dzieł jakie kiedykolwiek pomyślano, rosyjskość „nie przeszkadza” powieściom autora *Zbrodni i kary*. Przeciwnie włoskość i rosyjskość je umożliwiła, stała się bodźcem ich powstania.

To więc co Sambor uważał za sięgnięcie powyżej przeciętnej miary, czy wyznaczenie sobie celu porywająco wielkiego, mnie wydaje się ukrytym poszukiwaniem wygody duchowej, jeszcze jednym uskokiem, jeszcze jedną ucieczką prze samym sobą. Ostatecznie na to samo wychodzi czy ktoś ucieka przed kataklizmem pod łóżko czy do lasu. Na to samo wychodzi, gdy broni się przez sobą ordynarnym samogonem czy kosztownym peyotlem.

Wracam w ten sposób do poglądu, który wyraziłem poprzednio i wyrażałem już dawniej. Wynika z niego proste żądanie wierności swemu czasowi, swemu przeznaczeniu, swemu losowi historycznemu. Przed półtora rokiem próbowałem tę sprawę ująć w kategoriach personalizmu³, posłużyć się jego zasadniczym, głośnym dziś, mało rozumianym i może nadużywanym pojęciem *engagement* — zaangażowanie. „Poznanie spraw człowieka i świata w tej mierze w jakiej świat człowieka obchodzi — mówi Emanuel Mounier, personalista chrześcijański — zawiązuje się tylko przez dobrowolne zaangażowanie, tylko przez sprzęgnięcie się z przedmiotem. Instynktowna odraza (*une répugnance viscérale*) do zaangażowania — to również jego słowa — jest niemocą urzeczywistnienia czegokolwiek”. Nie będę się głębiej zapuszczał na ten tor, bo okazał się mało użyteczny. Przez lenistwo myślowe czy moją własną nieudolność powstało na nim najwięcej nieporozumień. W tych nieporozumieniach zatarto granicę między organiczną i świadomą zależnością pisarza a zależnością mechaniczną i narzuconą wbrew jego woli. Po tym doświadczeniu pragnę się tutaj ograniczyć do strony czysto estetycznej.

Malraux, z którego książką od dawna obcuje (jej złożoną zawartość czytelnikowi polskiemu udostępnił na łamach „Kultury” Józef Czapski i Jan Ulatowski) słusznie stwierdza, że sztuka jest *impréconcevable*, jest nie do przewidzenia, jest czymś nieobliczalnym, czymś wymykającym się planowaniu. Ale ten sam Malraux z naciskiem i wiele razy podkreśla, że sztuka nie istnieje poza czasem: każdą sztukę, w każdym momencie

³ O ile można sądzić z kroniki Terleckiego, będącej jeszcze w stanie roboczym, chodziłoby o podwieczorek literacki Y.M.C.A. w Sali Klubu Towarzystwa, który się odbył w niedzielę dn. 28 I 1951 pod hasłem „Personalizm — Marxiizm — Egzystencjalizm”. Trzy punkty wyjścia przedstawili do dyskusji Terlecki, Gustaw Herling-Grudziński i Zdzisław Broncel. Przewodniczyła Herminia Naglerowa. Zob.: [Ogłoszenie], *Wiadomości* 1951 nr 252; omówił J.O.N., *Z sali odczytowej. Kryzys literacki braci syjamskich*, *Życie* 1951 nr 7 (191) s. 7; zob. także list Terleckiego do Redakcji *W sprawie personalizmu*, *Życie* 1951 nr 11 s. 8. Miał również miejsce wieczór poświęcony Mounierowi (?19.II.1951). W 1953, w obrębie programu „Głos wolnych pisarzy z Londynu” Terlecki przeprowadził dyskusję pt. „Literatura zaangażowana i niezaangażowana w świetle filozofii personalistycznej i praktyki komunistycznej” z udziałem Wacława Grubińskiego, Józefa Kisielskiego i Zofii Kozarynowej. Zob.: *Wiadomości* 1954 nr 412. Książkę pt. *Krytyka personalistyczna* wydał dopiero w 1957 r.

łączy związek z jej epoką. Jest to związek miłości lub nienawiści, związek miłości i nienawiści. Sztuka idzie z prądem lub pod prąd epoki, ale w nim, nie poza nim. Poza czasem, bez tego związku, po prostu jej nie ma.

Wystarczy w tym świetle przytomnie spojrzeć na całą naszą literaturę ostatniego dziesięciolecia. W literaturze krajowej pod złudnym słońcem Nepu skończyły się pewne wątki, pewne style przedwojenne, po prostu ukazały się utwory napisane w ukryciu podczas okupacji niemieckiej; dziś tą literaturą, przynajmniej jej życiem jawnym, rządzi instrukcja policyjna, terror zastraszenia, w tym przypadku najzupełniej uzasadniony lęk przed własnym cieniem. Literatura na obczyźnie korzysta z całkowitej swobody; wbrew historycznym krzykom nikt jej niczego nie narzuca. Ale — również wbrew gromkim pokrzykiwaniom — prowadzą w niej, ton jej nadają pisarze starsi. Przedłużają się, nieraz przewlekają się wątki i style wczorajsze. Jeśli zdarzają się gesty odnowicielskie, nieraz imponujące, to właśnie u pisarzy starszych, w obrębie osobowości już ukształtowanych. Od lat nie widać żadnego punktu napięcia, żadnego punktu zderzenia. A te napięcia i zderzenia rozstrzygają o życiu sztuki. Malraux ujmuje sztukę jako dzieje, jako nieprzerwany ciąg zaprzeczeń i buntów: takich jak ten, który El Greco podniósł przeciw Weneccjanom, Cézanne przeciw impresjonistom, Norwid przeciw romantyzmowi polskiemu, Skamander przeciw Młodej Polsce.

Ten stan rzeczy jest według mnie skutkiem manii bezdziejowości, ucieczki przed swoim czasem, „ucieczki przed męką”.

Przeciono nie tylko słuszności tej tezy — kwestionowano nawet prawo do jej postawienia. Biadanie nad niedorozwojem krytyki należy do składu gorzkich żalów emigracyjnych, ale niechże ona czegoś zażąda, grają zaraz wszystkie urazy i obrazy. A przecież krytyka jest od tego, przynajmniej między innymi od tego, aby zgłaszała żądania (choćby i „niecierpliwe”) w tych granicach, w których sztuka jest *préconcevable*, jest możliwa do przewidzenia. Jeszcze raz dochodzi się do tego samego: do niechęci samouświadomienia, przytomnego rozejrzenia się wokół siebie, przyjęcia za coś odpowiedzialności. Można by po irzykowski powiedzieć, że bezpostulatowość jest to bezmóźgowość. Jest to atak na same korzenie krytyki, na samą rację jej bytu. Jest to zresztą stanowisko przeciwne kulturze, bo kultura składa się z postulatów i rozwija się po linii postulatów.

Słowo: kultura nawraca nas do szerszego kontekstu sprawy dzisiaj rozważanej — do starcia kultur. To starcie obejmuje cały świat, nasz naród, każdego z nas. I sztukę. I literaturę. Literaturę emigracyjną także. „Stało się dziś zagadnieniem — pisze Camus, jeden z najwrażliwszych pisarzy współczesności — jak opanować pasje zbiorowe i walkę sił tworzących historię. Przedmiot sztuki... rozszerzył się poza psychologię, obejmując cały byt człowieka. Gdy namiętność czasów stawia cały świat na jedną kartę, sztuka chce opanować całe przeznaczenie”.

W tym świetle odpada wiele urojeń, które nas paraliżują. W nim „oderwanie od kraju i narodu” jest braniem okoliczności mechanicznych za rzeczywistość duchową. Do rodzaju takich przywidzeń należy w tym ujęciu „brak szerokiego pola obserwacji, które byłoby wspólnym polem autora i czytelnika”. Do rodzaju tych samych złudzeń należy także stwierdzenie jakoby „los pozbawił pisarza polskiego jego misji: wyrażania i tworzenia świadomości narodu”.

Idzie jeden prąd świadomości przez naród, który jest już w kleszczach cyklonu, i przez świat zachodni, który czuje jego powiew. Rzecz w tym, aby między narodem wystawionym na straszliwą próbę a światem zachodnim ten prąd nie napotykał na zaporę w naszej świadomości, w świadomości literatury emigracyjnej. Rzecz w tym, aby była ona nie zaporą, ale soczewką ogniskującą.

Michał Sambor nauczył się od Simone Weil wyrażania swoich myśli przytoczeniami z innych. Na zakończenie przytoczę i ja dwa cytaty — niech to będzie po tych wszystkich diabelskich dokuczliwościach koleżeński ukłon w jego stronę. Te dwa cytaty dzieli odległość siedemdziesięciu lat, ale dopełniają się one nawzajem.

Jeden z nich znalazłem na karcie tytułowej sztuki Charles Morgana *The River Line*, nawiasem mówiąc sztuki, która ujmuje rzeczywistość dzisiejszego życia w wymiarach tragedii antycznej i tragedii chrześcijańskiej. Są to słowa Mazziniego z 1849 r.: „Musimy działać tak jak ludzie, u których drzwi stoi wróg i jednocześnie jak ludzie, którzy pracują dla wieczności”.

A oto drugi cytat, wyjątek z listu Valéry’ego do Duhamela o jego arcydziele *La jeune Parque*, napisanym w czasie I wojny światowej.

Stworzyłem ją — pisze Valéry — w lęku i na poły wbrew lękowi. Narzuciłem sobie przeświadczenie, że spełniam obowiązek: że sprawuję obrządek wokół rzeczy zagrożonej zagładą. Utożsamiałem się z mnichami wczesnego średniowiecza, którzy nasłuchiwali, jak świat cywilizowany pada w ruinę wokół ich klasztorów, którzy byli pewni, że nadchodzi koniec świata. A mimo to składali w mozole z twardych, mrocznych heksametrów olbrzymie poematy, nie przeznaczone dla nikogo...

Spełniłem przyjętą rolę — przemawiałem jako *advocatus diaboli*. Spełniwszy ją niech mi jeszcze będzie wolno powiedzieć, że obok tego popularnego przezwiska ma on oficjalny tytuł: *promotor fidei* — rzecznik, orędownik wiary. Nie mnie rozstrzygać, które z dwu nazwań ściślej przystaje do tego co usiłowałem wysławić. Mnie samemu ten mało wdzięczny wysiłek wydaje się niezupełnie stracony. Tym bardziej, że nie ma wśród nas mowy o beatyfikacji i kanonizacji literatury emigracyjnej — trudno przewidzieć czy kiedykolwiek będzie o tym mowa. Idzie tu o uczciwe, sensowne życie wolnej literatury, o nasze własne życie, które podtrzymujemy pulsem krwi, wysiłkiem komórek mózgowych, mozolnym, omylnym trudem rozeznawania świata i nazywania go po imieniu.

GULASZ ŚWIĄTECZNY — PO LITERACKU

Nina TAYLOR (Wielka Brytania)

Na początku lat 50. część polskiego Londynu literackiego spotykała się w wieczór sylwestrowy u Stefanii i Juliusza Sakowskich. Schodzili się m.in. Stefania i Adam Kosowski oraz Tola (Korian) i Tymon Terlecki. Jeden ze stałych gości, Stanisław Baliński, miał zwyczaj składania życzeń rymowanych. Cztery–pięć takich kartek noworocznych zachowało się w archiwum Tymona Terleckiego. Jest wśród nich wiersz pochodzący z 1954 roku, który składa się na jego portret literacki.

Można by wywnioskować, że Baliński skrzętnie podglądał chemię duchową swego bohatera, albo też czytywał dokładnie i starannie wszystkie rubryki „Wiadomości”, gdzie Terlecki pisywał do „Notatek francuskich” o Bernanosie, Mauriacu i Colette. Tam też wspominał niejednokrotnie o Claudelu, jego dramat pt. *L’Annonce faite à Marie* czyli *Zwiastowanie* spolszczył i radiofonizował dla RWE.

Spostrzeżenia Balińskiego są ściśle udokumentowane na łamach ówczesnej prasy londyńskiej. Przyjęcie, o którym mowa, odbyło się w niecały miesiąc po wieczorze w Instytucie Sikorskiego poświęconym twórczości T.S. Eliota z udziałem m.in. Terleckiego. Uderza przy tym, w litanii składników do „gulaszu świątecznego”, trafność prognozy literackiej. Główny szkic o angielskim poecie pt. „Światło nad ziemią jałową” (przedruk w *Szukaniu równowagi*, 1985) powstał w dwa lata po opisanym spotkaniu.

Ze Stefanią Zahorską Terlecki współpracował od dawna, czasem też polemizował. Poświęcone jej wspomnienie pośmiertne pt. „Intelekt i pasja” ukazało się w „Wiadomościach” w 1961 r. (przedruk w *Spotkaniach ze swoimi*, 1999).

Jeszcze inaczej wyglądała sprawa „Kazia” (Kazimierza Wierzyńskiego). Terlecki pierwszy tekst o nim ogłosił w 1930 r., poświęcał mu pogadanki radiowe, przemawiał na jego wieczorach. Warto zwrócić uwagę, że w ankiecie „Wiadomości” „Co czytają członkowie Rady Narodowej i Rady Politycznej”, spośród lektur powojennych, które zrobiły na nim największe wrażenie, Terlecki wymienił (obok Colette, Camusa, Montherlanta, Grahama Greene’a i Fry’a) tylko jedną polską pozycję — właśnie *Korzec maku* Wierzyńskiego. Dwa większe studia „o poecie-przyjacielu” (zob. *Szukanie równowagi*) powstały dopiero po jego śmierci.

Pewnie sporo podobnych tekstów poetyckich zawieruszyło się po domowych archiwach emigrantów. Ten nieznanymi wiersz Balińskiego określa sylwetkę pisarza, daje wgląd w warsztat, rzuca światło na pewien program ideowy, oddaje nastrój rozmów, stwarza winiętkę życia towarzysko-literackiego nad Tamizą. Takie to bywały bale sylwestrowe w tamtych dawnych latach.

Stanisław Baliński

Terlecki czyli Kucharz doskonały

Terlecki robi gulasz, gulasz wigilijny,
Według pewnej instrukcji śmiałej, choć zdradzieckiej,
Wziął dwie kwarty **Zahorskiej**: jedną — tej biblijnej,
A drugą — tej mentalnej, tej etyki świeckiej.
Potem wziął kilo mięsa, pilnie je rozdziela
Na dwie równiutkie części: **Colette** i **Claudela**.
Dodał skrzydło anioła i skrzydełko ptaka,
Jak nerkę **Bernanosa** i mózdzek **Mauriaca**.
Wziął pół funta **Eliota**, jak perłowej kaszy,
Rzucił dwa ziarenka pieprzu, jak **Hemara** fraszki,
Które mu Tola Korian podsunąć się stara,
Bo jej strasznie zależy na pieprzu **Hemara**.
Chciał wsypać **korzec maku**, ale się nie spieszy,
Wreszcie wsypał i westchnął: niech się **Kazio** cieszy.
Potem zmieszał to wszystko ręką sybaryty
I rzekł: z tej kadzi wyjdzie gulasz znakomity.
Tola patrzy przez dziurkę od klucza. Jest błada,
Z gniewu, że Zdzisław Broncel mężowi pomaga.

TRZY LISTY WITOLDA GOMBROWICZA DO TYMONA TERLECKIEGO

Nina TAYLOR (Wielka Brytania)

Czy to w przedwojennej Warszawie czy to później na emigracji Tymona Terleckiego i Witolda Gombrowicza nigdy nie łączyły bliższe stosunki. Nawet przed wojną, o ile mi wiadomo, Terlecki nie przepadał za życiem kawiarnianym. Zajęty pracą w TKKT, wykładami w PIScie, redagowaniem pism teatralnych, chodzeniem do teatru, czynny również w Związku Literatów, w życiu towarzyskim był najbliżej związany z domem Diany Eigerowej, matki Stefana Napierskiego, i z rodziną Beylinów, u których był stałym gościem. Ale nawet nie będąc *habitué* „Ziemiańskiej” lub „Zodiaku” siłą rzeczy musiał tam bywać raz czy drugi. W ten sposób stykał się dorywczo z Gombrowiczem. Przy tym, trzeba podkreślić, że zupełnie obce mu było gombrowiczowskie podejście do ludzi, jego wykpiwanie, wyszydzanie znajomych na forum właściwie publicznym.

Natomiast od 1939 r. Terlecki miał serdeczne koleżeńskie stosunki z Czesławem Straszewiczem, o którym zamierzał napisać szkic do planowanego zbioru pt. „Spotkania ze swoimi”. Poznali się we Francji, gdyż Straszewicz na wiadomość o wybuchu wojny opuścił Argentynę i wstąpił do pierwszego obozu Wojska Polskiego w Coëtquidan, gdzie Terlecki zaczął redagować „Polskę Walczącą”. W Coëtquidan Terlecki kolegował również z Pawłem Zdziechowskim, którego powieść *Torricola* ukazała się w Paryżu w 1951 r. Zdziechowski widocznie należał do bliższego grona „literatów w mundurze”. Przed odkomenderowaniem Terleckiego do Paryża był wśród gości na kolacji pożegnalnej w Carentoir, opisaney przez Witolda Leitgebera w książce pt. *W kwaterze prasowej*. Z upływem czasu Terlecki stracił kontakt ze Zdziechowskim, a w kilka lat po wojnie uzyskał jego paryski adres za pośrednictwem Jerzego Giedroycia.

Klepiąc biedę w Buenos Aires Gombrowicz przez jakiś czas stał przed impasem wydawniczym. Zdaje się, że najpierw zasięgał opinii ludzi pióra w Kraju. Pierwszym, który ocenił pozytywnie *Trans-Atlantyk* był Jarosław Iwaszkiewicz, a w ślad za nim Wil-

helm Mach. Gombrowicz posłał również *Ślub* do Tadeusza Brezy, skontaktował się z Marią Kuncewiczową, wybadał sytuację rynkową u Jerzego Giedroycia w Paryżu, narażał się z Pawłem Zdziechowskim i innymi. Po tym pierwszym sondażu za namową Zdziechowskiego zwrócił się do Terleckiego w Londynie.

Jak wyglądało ówczesne życie literackie w polskim Londynie? Pierwszy list Gombrowicza noszący datę 8 marca 1950 przypada jak gdyby symbolicznie na pół drogi między wieczorem autorskim *Książki o Kołymie* Anatola Krakowieckiego a jego śmiercią w Wielki Piątek 1950 r. Wystarczy przeczytać list Terleckiego do redaktora „Ostatnich Wiadomości” w Mannheim pt. „O bezdomnej książce” w listopadzie tegoż roku, żeby się przekonać jak sytuacja była rozpaczliwa. Terlecki, którego zaledwie przed kilku miesiącami zdjęto z redakcji „Polski Walczącej” żył wyłącznie z pióra, czyli z „Wiadomości”, ogłaszał w ponad połowie numerów recenzje z przedstawień, drukował studia z zakresu pedagogiki teatralnej. Wygłaszał odczyty o egzystencjalizmie chrześcijańskim, pisał o Gabriel Marcel i Mounier. Był prezesem Rady Naczelnej NiDu i delegatem do Rady Politycznej. Planował zbiór szkiców o teatrze pt. „Zmartwychwstanie Dionysos”.

Z drugiego listu Gombrowicza z 14 IX 1950 r. wynika, że Terlecki „życzliwie” potraktował jego prośbę. Przesyłka z maszynopisem *Trans-Atlantyku* musiała nadejść w krótkim czasie po zapowiadającym ją liście. Zastała Terleckiego w wirze zajęć. Było to zaraz po powrocie z urlopu odbytego „na zlecenie lekarza” w dniach 11 IX do 25 IX 1950 w Blindley Heath, Surrey. W tydzień później miał uczestniczyć w wieczorze poświęconym Marii Pawlikowskiej i nagrać dwie audycje radiowe o Kazimierzu Wierzyńskim. To zestawienie stanowi tło do lakonicznej notatki w dzienniku Terleckiego pod datą 2 października 1950 r., jako że od kilku dni czyta „powieść” Gombrowicza i czuje się w zupełnym zgrabieniu.

Tymczasem Gombrowicz otrzymał propozycję przełożenia *Ślubu* na angielski. Ważniejsza jednak wydawała mu się sprawa odpowiedniego agenta dla tej sztuki a także dla *Ferdydurke*, po której spodziewał się sławy i wyższego poziomu życiowego. Na gwałt potrzebował dolarów na przepisanie i powielenie swych utworów. W Londynie, jak donosiła Kuncewiczowa, zorganizowano zebranie poświęcone obu utworom, na które przyszło 15 osób. Zdziechowscy urządzili podobne spotkanie u siebie w Neuilly. Czytane teksty ponoć wywołały burzę sprzecznych opinii, a większość zebranych gości była skłonna uznać autora za geniusza.

Zachwyt kilku rodaków w diasporze niewiele pomógł w zdobywaniu potrzebnych do powielania i rozsyłania dolarów. Przez całą jesień Gombrowicz wciąż odczuwał dotkliwy brak pieniędzy. Nie dał jednak za wygraną, był święcie przekonany co do wartości i oryginalności swych utworów. Wiedział, że jego sztuka ma chodzić innymi drogami. Wiązał pewne nadzieje (wydawnicze, reklamowe, ale na pewno nie finansowe) z osobą Aleksandra Janty-Pończyńskiego. Uważał go za jedyne polskiego literata, któremu udało się zająć jakąś pozycję w prasie amerykańskiej i przypomniał sobie, że w swoim czasie był on szczerym Ferdydurkistą i odnosił się do niego z sympatią. Jantę miała zmobilizować do tego wspólna znajoma.

Jednak na przełomie 1950–1951 perspektywa wydawnicza wyglądała wręcz przygnębiająco. Obiecanki entuzjastów i entuzjastek okazały się cacankami. Maria Kuncewiczowa nie chciała, względnie nie miała czasu, żeby pisać do „Wiadomości”. Mieczysław Grydzewski odrzucił zamówiony artykuł pt. „Risum teneatis”, jako nie nadający się do wydawanego przez niego periodyku. Janta miał widocznie jak najlepsze chęci, usprawiedliwiał się jednak „że Ameryka etc., etc.”.

Po przeczytaniu maszynopisu Gombrowicza Terlecki postanowił nie przekazywać go „Veritas”. Nie należy się temu dziwić. Trudno wyobrazić sobie Wielką Kpinę z tradycji

sąsiadującą w katalogach pobożnego księgarza z tomami homilii, hagiografii i św. Tomasza z Akwinu. Co prawda Terlecki był „autorytetem”, uchodził za głównego animatora życia kulturalnego w polskim Londynie. Wydobywał spod ziemi subwencje na druki zbiorowe, na nagrody. Przeworsował niejedną książkę. Herminia Naglerowa nazywała te walki „wojnę pana Tymona z Ciemnogrodem”. Nie był jednak dysponentem, nie był wydawcą, tylko żyjącym z pióra pisarzem. Nie rządząc środowiskiem, znał je za to na wskroś. Gombrowicz mógł uważać swoje pisarstwo za rodzaj wyczynu patriotycznego *à rebours* z celem oswobodzenia czytelnika z niewoli własnych zapatrywań. Ale środowisko rozmiłowane w akademiach i obchodach na pewno nie pragnęło wyzwolenia ze szponów swoistego patriotyzmu. Pod pewnymi względami *Trans-Atlantyk* byłby podówczas bardziej na rękę wydawcy krajowemu.

Inna to rzecz że — przy nieodstępnej świadomości absurdu i groteski zachowań ludzkich w sytuacji emigracyjnej — Terlecki nie cenił sobie groteski i absurdu w literaturze i w teatrze. Można snuć hipotezę, że bez względu na swoje osobiste upodobania mógłby postarać się o druk *Trans-Atlantyku*. Ale w roku 1950 chyba nie było siły, która by zmusiła polskie społeczeństwo nad Tamizą do spojrzenia na siebie w krzywym zwierciadle. Nie było jeszcze ani „Aneksu” ani „Kontry”. *Trans-Atlantyk* przekraczał psychiczne możliwości ówczesnego polskiego Londynu. Terlecki widocznie obiecał, że postara się o urządzenie odczytu, co do tego nie posiadam bliższych informacji. W kilkanaście lat później, w 1963 r., na posiedzeniu Jury „Wiadomości” wysuwał do nagrody *Dziennik (1957–1961)* Gombrowicza.

Co innego udzielne państwo pod Paryżem. Czy Giedroyc wiedział o „bezwzględnym zachwycie” Józefa Wittlina dla *Ślubu*? Czy wiedział, że Janta „ryczał z radości” przy czytaniu i uważał *Trans-Atlantyk* za „arcydzieło większe od *Ślubu*”? Ostatni list Gombrowicza do Terleckiego nosi datę 26 lutego 1951 roku. Zaledwie w parę miesięcy później sytuacja wyjaśniła się. Od maja Gombrowiczowi było już wiadomo, że początek *Trans-Atlantyku* miał się ukazać w najbliższym numerze „Kultury”, a dwa dalsze fragmenty w następnym.

LISTY

1.

8 III [19]50

Szanowny Panie,

Paweł Zdziechowski poradził mi abym zwrócił się do Pana w następującej sprawie:

Ukończyłem właśnie powieść pt. „Trans-Atlantyk” i zupełnie nie wiem co z nią zrobić. Chciałbym wydać ją na emigracji (o tem aby ukazała się w Kraju niema mowy) ale jak się dowiaduję od Giedroycia i od Pawła sytuacja na rynku wydawniczym polskim jest katastrofalna.

Pozatem chciałbym wydać dramat pt. „Ślub”, również niedawno napisany... i najlepiej byłoby gdyby oba te utwory ukazały się w jednym tomie. Wyglądałoby to w ten sposób: Przedmowa — „Trans-Atlantyk” — Przedmowa — „Ślub”.

Widzę jednak, że trudności są b. duże. Mogę liczyć tylko na to, że wartość tych utworów dla kultury polskiej okaże się dość poważna aby uzasadnić jakiś istotny wysiłek ze strony którejś z polskich firm wydawniczych. Niech Pan mi wierzy, że nie jestem megalomanem i bardzo trzeźwo odnoszę się do mojej pracy — ale z drugiej strony opinie poważnych ludzi pozwalają mi przypuszczać, że być może, utwory te naprawdę są wartościowe.

Powieść ukończyłem dopiero i teraz i reakcje — nader gorące — kilku osób, które ją tutaj czytały nie mają pod tym względem większego znaczenia. Ale dramat został opubli-

kowany po hiszpańsku i spotkał się z wielkim uznaniem wielu tutejszych intelektualistów. Poza to zacytuję Panu następujące opinie nielicznych Polaków którzy go czytali: Iwaszkiewicz mi pisze „To jest wielkie dzieło”. Wilhelm Mach w liście do Iwaszkiewicza „Waga tego utworu jest kolosalna”; Kuncewiczowa: „Napisał Pan poprostu nowego Hamleta na miarę naszych czasów... Jako szczytowy wyraz rozczarowania powojennego «Ślub» wydaje mi się dramatem nieprześcignionym i doskonałym”.

Otóż, jak Panu wiadomo, moje rzeczy są trudne i wymagają pewnego wysiłku ze strony czytelnika — poza to mój sposób pisania jest nieco szokujący dla szerszej publiczności. Ale te wszystkie minusy mają charakter uboczny i dałyby się łatwo przezwyciężyć. gdyby utrwaliła się opinia iż to jest naprawdę poważna sztuka (której taki brak daje się odczuwać obecnie). Moja sytuacja jest bardzo dziwna, gdyż i „Ferdynand”, która ukazała się po hiszpańsku wywołuje podobne reakcje i to w zasięgu coraz szerszym. Tymczasem na terenie polskim jestem autorem prawie nieznanym.

Nie wiem, czy znane Panu są moje książki i czy Panu się podobają. Ale Paweł mi pisze, że Pan ma wielki autorytet w polskim świecie wydawniczym w Londynie i dlatego bardzo pragnąłbym przesłać Panu te maszynopisy. Proszę jednak o odpowiedź, czy mógłbym liczyć na Pańską łaskawą pomoc i poparcie w razie gdyby rzecz naprawdę była tego warta. Gdybym miał większą ilość egzemplarzy, przesłałbym Panu jeden poprostu dlatego iż bardzo zależy mi na Pańskim zdaniu — ale, niestety, muszę narazie organizować to wszystko pod kątem wyłącznie praktycznym.

Dodam jeszcze że moja powieść dotyczy bezpośrednio spraw polskich. Nie mieszam się do polityki gdyż ani mój temperament ani moja problematyka do tego się nie nadają i moje ujęcie problemów polskich różni się nieco od tego co na ogół jest przyjęte, sądzę jednak że pod tym względem nie powinno być większych trudności z wydaniem tej książki. Jest to zresztą utwór humorystyczny i fantastyczny, bardzo groteskowy, który nie ma żadnych aspiracji na terenach organicznie mu obcych.

Bardzo byłbym wdzięczny gdyby Pan zechciał odpisać mi na ten list bez większej zwłoki, gdyż zależy mi na czasie. Proszę darować że zabieram Panu czas moimi sprawami i proszę przyjąć wiele serdecznych pozdrowień.

Witold Gombrowicz

Adres: Tucuman 462, Buenos Aires, Argentina

2.

14 IX 1950

Szanowny Panie,

Bardzo dziękuję za list i życzliwe potraktowanie mojej sprawy. Przypuszczam iż wkrótce otrzyma Pan maszynopis powieści i dramatu, które wysłałem statkiem. Niezmiernie będę zobowiązany jeżeli Pan zechce zastanowić się co i jak dałoby się zrobić — jeżeli, naturalnie, rzecz wyda się Panu tego warta. Gdyby Pan doszedł do wniosku że Veritas nie ma szans, to bardzo prosiłbym o przekazanie tych tekstów ludziom, których zdanie ma wagę i którzy mogliby ewentualnie wspólnym wysiłkiem coś zdziałać.

Mnie zależałoby na wyjaśnieniu, czy mogę liczyć, jako literat, na jakieś istotniejsze poparcie ze strony czynników, które pracują nad organizacją i utrwalaniem naszego kulturalnego stanu posiadania na emigracji. Rozumiem, że moja literatura nie jest łatwa i nie służy bezpośrednim interesom, myślę że to nie są trudności nie do przezwyciężenia i że od tego jest prasa, krytyka etc. aby udostępnić szerszej publiczności bardziej skomplikowane przejawy polskiego życia duchowego. Moja sytuacja jest niewątpliwie paradoksalna, gdyż z jednej strony trudno chyba o silniejszą reperkusję niż ta, którą mają moje utwory wśród cudzoziemskiej elity intelektualnej i to pomimo iż nie są lansowane ani

popierane przez nikogo, a tylko jakimś psim śwędem i w trybie nieomal prywatnym przechodzą z ręki do ręki; a z drugiej jestem chyba, dla publiczności polskiej, najmniej znanym polskim autorem. Sądzę więc że mój czas dojrzał do wyjaśnienia.

Co się tyczy „ducha” tych autorów, to pozostawiam Panu sąd o tym. Tutaj kilku czytelników „Trans-Atlantyka” jednomyślnie wypowiedziało się w tym sensie, że jest to książka antybolszewicka — co nawet mnie zdziwiło, gdyż to nie było wcale moim zamierzeniem: szło mi jedynie o pewne sprawy natury zasadniczej. Moim skromnym zdaniem „Trans-Atlantyka” choć na pozór dość zabawny, a może i trochę drażniący dla tych którzy go od razu nie zrozumieją, jest w gruncie rzeczy utworem bardzo trudnym — może najtrudniejszym ze wszystkich co dotąd napisałem — i wymaga bardzo dokładnego przestudiowania. Wszystko to referuję Panu, oczywiście, z mojego punktu widzenia, doskonale zdając sobie sprawę, że mój sąd jest subiektywny i pozbawiony większego znaczenia. Łączę wiele pozdrowień i bardzo proszę o wiadomość jak tylko coś się skryształizuje.

Witold Gombrowicz

Tucuman 462, Buenos Aires

3.

26 II [19]51

Szanowny Panie,

Otrzymałem list od Pawła Zdziechowskiego, w którym mi pisze że Pan postanowił nie przekazywać moich tekstów „Veritas”. Decyzja ta wydaje mi się b. słuszna jeśli rzeczywiście nie mają one szans w tem wydawnictwie. Pisze mi też Paweł że Pan nosi się z zamiarem zorganizowania ewentualnie jakiegoś odczytu na temat mojej literatury. Niezmiernie byłbym Panu wdzięczny i zobowiązany gdyby ten projekt doszedł do skutku.

Grydzewski mi pisał, że „Trans-Atlantyka” nie nadaje się do „Wiadomości”. Wobec tego pragnąłbym aby przeczytał dramat — może ta sztuka będzie miała więcej szczęścia. Czy mógłbym prosić aby Pan był łaskaw przekazać mi tekst polski „Ślubu”, który jest w Pańskim posiadaniu? Bardzo przepraszam za ten kłopot, ale już nie mam egzemplarzy polskich. Właśnie dziś wysyłam list na ten temat do Grydzewskiego. Gdyby Pan mógł wysłać mi ten egzemplarz bez większej zwłoki... chciałbym w końcu aby coś się wyjaśniło w moich sprawach.

Domyślam się iż mój sposób pisania musi wzbudzać w Panu pewne zastrzeżenia i tem bardziej jest dla mnie cenna Pańska łaskawa pomoc. Mam nadzieję, że prędyż czy później znikną te nieporozumienia, które na razie jeszcze dość boleśnie dają mi się we znaki. Grydzewski odrzucił większy artykuł, który ostatnio mu przesałem.

Wspominał Paweł że Pan zamierza do mnie pisać. Otóż w tym wypadku bardzo bym prosił aby Pan mi podał adresy osób, którym, zdaniem Pana, warto posłać tekst francuski *Ślubu*. Mam 100 egzemplarzy do rozesłania, a zupełnie nie znam stosunków angielskich i nie wiem jakim teatrom, literatom, aktorom, ani nawet komu z Polaków to posłać. Naturalnie proszę o to tylko jeśli by się Panu takie osoby same przez się nasunęły. Jeszcze raz bardzo dziękując łączę wiele serdecznych pozdrowień, oddany Panu

Witold Gombrowicz

Venezuela 615 dep. 5
Buenos Aires, Argentina

TYMON TERLECKI — WSPOMNIENIE

Andrzej POMIAN (USA)

Lata londyńskie

Żałoba nie zachęca do pisania. Gdy w roku 1956 zmarł tragicznie Jan Lechoń, Karol Wagner, dyrektor Biura Polskiego Radia Wolna Europa w Nowym Jorku, zwrócił się do Kazimierza Wierzyńskiego, aby napisał o nim wspomnienie. Spotkał się z odmową. Pan Kazimierz tak boleśnie odczuł śmierć przyjaciela, że nie mógł się na nic zdobyć. Zamiast niego musiałem ja napisać o Lechoni, choć znając dobrze jego twórczość — z nim samym zetknąłem się zaledwie kilka razy.

Tymon Terlecki był moim bliskim przyjacielem politycznym, organizacyjnym i osobistym przez ponad pół stulecia. Toteż wiadomość, że zmarł w Oxfordzie zmartwiła mnie tak bardzo, że nie czułem się zdolny dać obrazu jego życia i twórczości. Ale cóż — okazuje się, że jestem jedynym z jeszcze żyjących, który go dobrze znał, toteż muszę się otrząsnąć z ciosu i o Tymonie napisać, do tego — pośpiesznie.

Poznałem go wkrótce po przylocie z okupowanego Kraju w roku 1944 w Londynie jako redaktora tygodnika dla żołnierzy „Polska Walcząca”. Zachęcił mnie do napisania źródłowego artykułu o powstaniu warszawskim. Wprowadził do londyńskiego środowiska pisarzy. Wciągnął do londyńskiego Pen-Clubu polskiego, który później przekształcił się dzięki m.in. niemu w Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Wraz ze mną i innymi założył w roku 1945 ruch polityczny „Niepodległość i Demokracja”, a gdy później zająłem się pracą wojskową na Kraj, zastąpił mnie na stanowisku prezesa Rady Naczelnej tej organizacji.

Łączyła nas nie tylko wspólna niepodległościowa działalność polityczna. Mieliśmy ponadto zbliżone zainteresowania kulturalne. Tymon był teatrologiem, krytykiem literackim, świetnym znawcą literatury i kultury polskiej. Ja, z wykształcenia prawnik i historyk prawa, interesowałem się żywo historią w ogóle, a po amatorsku — literaturą piękną.

Nie pytałem nigdy Terleckiego o bieg jego życia. Wiem, że urodził się w sierpniu 1905 roku w Przemyślu, był więc ode mnie starszy o pięć i pół roku. Pochodził z tzw. Galicji, a nie z Kresów Ukrainnych jak ja. Kształcił się na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, zdobył tam stopień doktorski i uzupełnił swoją wiedzę w paryskiej Sorbonie. Pisał krytyki literackie, znał doskonale teatr i od roku 1934 wykładał w Warszawie

w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Redagował również miesięcznik „Teatr”. Podczas wojny służył najpierw w mundurze we Francji, gdzie założył w roku 1939 „Polskę Walczącą”, a następnie w Wielkiej Brytanii. Po zakończeniu działań wojennych redagował dalej ten tygodnik aż do roku 1949, lecz przede wszystkim był głównym animatorem i organizatorem polskiego życia kulturalnego w Londynie. Był jednym z założycieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zajmującego się działalnością wydawniczą i jak już wspominałem — koleżeńskimi Związku Pisarzy Polskich.

W Stowarzyszeniu prowadził dział wydawniczy. Wydał około 20 książek, w tym obok przedruków starszych publikacji, także bardzo ważne nowe pozycje. Wydał np. zbiór Kazimierza Wierzyńskiego *Krzyże i miecze*, Stanisława Balińskiego *Wiersze zebrane (1927–1947)*, Wacława Grubińskiego *Między młotem a sierpem*, Mariana Hemara *Lata londyńskie*, Antoniego Bogusławskiego *Struny na drzewach*.

Nakładem Stowarzyszenia ogłosił Tymon swoją rozprawę *Polska a Zachód. Próba syntezy* (1947). Stwierdził w niej, że Polska broni Zachodu przed Wschodem, „przed każdą przeciwnością kulturalną, która godzi w zachodni ustrój życia, w zachodni instynkt wolności jednostkowej i narodowej, w zachodni typ człowieka”. Chodziło mu nie dosłownie o kulturę spotykaną na Zachodzie Europy, ale o jej typ zasadniczy, podkreślił bowiem, że Polska ma swoją własną „osobowość kulturalną”. Zakończył swoją rozprawę słowami: „Kto walczy o Polskę, walczy o Zachód”.

Rok później, w roku 1948, Terlecki opracował dla Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybór publicystyki Mickiewicza pt. *Słowa do emigracji i słowa do Europy*. Poprzedził go własnym esejem „Mickiewicz i my”, w którym tak napisał o wielkim poecie:

Myśleliśmy już w naszym pokoleniu, mieliśmy prawo myśleć, że ten, kto arcy-życie przeżył, stał się symbolem [...] . A tymczasem w naszych oczach stał się żywym wśród nas żywych. Jest znowu wśród nas. Pod niebem obcym i mglistym wieje nam jak wiatr, świeci jak światło, aby naszą nędzę podnosić do dumy, naszą małość popychać ku wielkości.

W wydaniach zbiorowych Mickiewicza proza zajmuje więcej miejsca niż poezja, ale poza polonistami mało kto do niej zagląda. Wybór dokonany przez Terleckiego świadczy, że Mickiewicz był i wielkim poetą, i wielkim publicystą, choć tego zwykły czytelnik jego dzieł zazwyczaj nawet nie podejrzewa. Jest to wielka zasługa Tymona. Dał nowy obraz twórczości autora *Pana Tadeusza*.

Paryż fascynował zawsze Tymona. Odwiedziwszy to miasto po raz pierwszy po wojnie, osiem lat po zakończeniu działań wojennych, poświęcił Paryżowi dwa szkice: „Paryż odnaleziony” i „Kuszenie w Paryżu”. W roku 1952 zebrał je w tomie *Paryż*, wydanym przez Oficynę Poetów i Malarzy po bibliofilsku na pięknym papierze czerpanym z doskonałymi rysunkami Mariana Bohusza-Szyski. Książka ukazała się tylko w 317 egzemplarzach.

Tymon był frankofilem, nawet po niesławnej klęsce Francji w roku 1940. W „Kuszeniu w Paryżu” napisał:

To nieprawda, że ma się tylko jedną ojczyznę. To prawda, że także tutaj (tj. we Francji) jest moja ojczyzna [...] . Ojczyzna to jest miejsce na ziemi i miejsce w duchu, które się pomnaża. Z którego zdobywa się świat. To nieprawda, że Europa jest złudzeniem. To prawda, że jest kształtem trudnej wierności, gorzkim, ale jedynym sensem naszego życia.

Po czym w „Modlitwie na odjeździe” czytamy:

Modliłem się na zgliszczach Warszawy w rozeznaniu, że już nigdy i nigdzie nie będę szczęśliwy. Boże przepływających obłoków i rosnących miast, nie daj mi się modlić na ruinach Paryża. Nie daj, nie daj, mi się modlić na ruinach Paryża.

W konstrukcji tych zdań, w całym powtórzeniu słów ostatnich jest cały patos stylu Tymona. Nasycił on zawsze swoje słowa obrazami. Nazwałem go kiedyś poetą eseju.

Książki, które przed chwilą omówiłem, nie wyczerpują twórczości Tymona w tym czasie. W roku 1953 wydał on dzieło zbiorowe *Leonardo da Vinci* a w roku następnym *Stanisław Stroński. W 50-lecie pracy pisarskiej*.

Z moich ówczesnych lat londyńskich przytoczę dwa epizody, związane z Tymonem. W roku 1947 prasę brytyjską obiegrała wiadomość, że alianci postanowili pociągnąć do odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne w Związku Sowieckim feldmarszałka Ericha von Mannsteina, którego nazwisko — dodając od siebie — brzmiało pierwotnie — Lewinski. Prawie natychmiast na świadka jego obrony zgłosił się Władysław Studnicki, publicysta i pisarz polityczny, znany germanofil, patriota polski. Zarząd Związku Pisarzy Polskich, w którym zasiadał wtedy Terlecki, zawiesił Studnickiego w prawach członka. Sprawę roztrząsano na Walnym Zebraniu Związku, które odbywało się pod przewodnictwem Zygmunta Nowakowskiego, aktora, wybitnego pisarza i głośnego publicysty. Byłem wtedy razem z Januszem Jasięńczykiem (Poray-Biernackim), prawnikiem, jak i ja, członkiem Sądu Koleżeńskiego Związku. Trzeciego członka Sądu już nie pamiętam. Doszliśmy obaj do przekonania, że nie możemy kwestionować szczerości Studnickiego i jeśli posiada on dowody niewinności von Mannsteina, nie tylko ma on prawo, ale i obowiązek stanąć w jego obronie. Sprawiedliwość odnosi się i do Niemców, choć mamy prawo ich nienawidzić. Zebranie przychyliło się do naszego wniosku. Studnicki odzyskał prawa członkowskie Związku. Von Mannsteinowi gorzej się powiodło. W roku 1949 skazano go na 19 lat więzienia. Odsiedział z nich cztery.

Tymon nie umiał dbać o siebie należycie. Pierwsza jego żona — Tola Korian otoczyła go troskliwą opieką. Była to kobieta bardzo wybitna, znana już przed wojną jako utalentowana pieśniarka i recytatorka, wysoce wykształcona, muzykalna, pełna uroku osobistego i wielkiej prostoty w obejściu. Do zwyczajów domu Terleckich należało podejmowanie gości herbatą z biszkoptami. Tymon tym się nie zajmował. Za każdym razem, gdy go odwiedzałem w jego domu, herbatę podawała Tola.

Tymon doceniał jej talent i troskliwość. W czasie jej występów w Londynie zawsze pilnie baczyl, co się dzieje na sali. 15 marca 1955 roku urządził wieczór autorski przy udziale Toli jednemu z najznakomitszych poetów tego czasu — Stanisławowi Balińskiemu. Znałem ojca Balińskiego — Ignacego, wtedy już nieżyjącego. Pan Ignacy był poetą, działaczem społecznym, miłośnikiem Warszawy, w której pełnił urząd pierwszego prezesa Rady Miejskiej w niepodległej Polsce międzywojennej. Z tego tytułu miał na początku sierpnia 1944 roku przemawiać ze mną, oficerem Komendy Głównej AK, na wiecu zwołanym z okazji powstania warszawskiego. Miał już lat 82. Zawiodły go nerwy. Zjawił się na estradzie, ale zacząwszy mówić rozplakał się i musiał przerwać.

Jego syn boczył się trochę na mnie. Pewnego razu zadzwonił do mnie płk Antoni Bogusławski, poeta-żołnierz i powiedział, że Staś Baliński przechodzi zawsze na drugą stronę ulicy, gdy mnie widzi, boi się bowiem, że go uważam za szpiega reżymowego i że go pobiję. Napisałem wtedy list do Balińskiego, że nie ma na świecie rządu, który znając jego umysłowość chciałby go zatrudnić jako szpiega. Mimo to na prośbę Tymona zgodziłem się przemawiać na wieczorze Balińskiego. Pamiętał, że stworzył piękne wiersze o okupowanej Polsce. Swoją „Kolędę warszawską 1939” ze zbioru: *Wielka podróż* (1946 r.) pisząc o Matce Boskiej i Jej Synu zakończył pamiętnym czterowierszem:

A jeśli chcesz już narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po narodzeniu
Rzuć go na krzyż.

Tuż po mnie wiersze poety recytowała Tola. Byłem już wtedy na sali i swemu sąsiadowi szepnąłem coś o niej pochlebnego do ucha.

Po wieczorze podszedł do mnie Tymon. Jak mogłeś przeszkadzać Toli — zapytał mnie podniosłym głosem. Ależ Tymonie, szepnąłem tylko parę słów. Czy ty nie wiesz — odpowiedział — że gdy szepczesz — wrzeszczysz? Później, gdy się już uspokoił i udobruchał, podziękował mi za przemówienie.

Podszedł do mnie i Baliński. Dziękował mi i ścisnął. Na tomiku swoich *Trzech poematów o Warszawie* (Londyn 1945) napisał: „Panu Andrzejowi Pomianowi z wyrażeniem wdzięczności za piękne i wzruszające przemówienie, jakie wygłosił 15 marca 1955 w Londynie — wdzięczny autor Stanisław Baliński”. Na egzemplarzu trzeciego wydania zbioru *Wielka podróż* (Londyn 1949) zadeklarował mi wręcz swoją przyjaźń.

Tak się odbyło moje ostatnie wystąpienie publiczne w ówczesnym polskim Londynie.

W następnym miesiącu wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych i zamieszkałem w Waszyngtonie. Rozpoczął się nowy rozdział mojej wzajemnej przyjaźni z Tymonem.

Za Oceanem

W roku 1956 w Polish Book Importing Company w Nowym Jorku, bardzo zasłużonej polskiej księgarni wydawniczej, już niestety nieistniejącej, kupiłem *Ostatnie utwory* Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, zebrane, opracowane i wydane po bibliofilsku przez Tymona Terleckiego w Oficynie Poetów i Malarzy pod Londynem w 5000 egzemplarzach numerowanych w dziesiątą rocznicę śmierci poetki. Nie była to dokładnie ta rocznica. Pawlikowska-Jasnorzewska zmarła w Manchester w lipcu 1945 roku.

Tymon znał ją dobrze i bardzo się z nią zaprzyjaźnił, ale tylko korespondencyjnie, nigdy jej bowiem osobiście na emigracji nie widział: ani w Paryżu, ani w Wielkiej Brytanii. Nie zobaczył jej nawet po śmierci. Gdy przyjechał na pogrzeb, trumna już była zamknięta. Zaopiekował się jednak spuścizną pisarską, pod wrażeniem jej zgonu napisał tegoż jeszcze roku studium o jej twórczości *Ruina poetyckiego klasycyzmu*, które 10 lat później ogłosił jako wstęp do *Ostatnich utworów*. W roku 1950, gdy ten tom przygotował do druku, zaopatrzył go w „Podzwonne”, w którym przedstawił okoliczności ostatniej choroby poetki i zamieścił teksty dwóch jej listów: z maja i czerwca 1945 roku.

Wszystkie późniejsze wydania twórczości Pawlikowskiej przedrukowywały teksty ustalone przez Tymona. Zrobił to tak starannie i autorytatywnie, że nikt z późniejszych wydawców nie próbował nawet dotrzeć do oryginałów. W roku 1980 wydał jeszcze Tymon dodatkowo tomik poetki pt. *Czterolistna koniczyzna albo szachownica*. Nie mam go w swoich zbiorach. Jest teraz praktycznie niedostępny, jak i *Ostatnie utwory*. Można by odszukać go w bibliotekach publicznych w Londynie, gdyż Tymon wysyłał do nich swoje książki w pięciu egzemplarzach. W moim wieku Londyn leży już jednak za daleko.

Dwa tomiki Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, wydane w Londynie: *Róża i lasy płonące* (1940) i *Gołąb ofiarny* (1941) oraz *Ostatnie utwory* nie należą zapewne do czołowych zbiorów poetki. Wojna ją poraziła. Wszystkie trzy są jednak godne uwagi i stanowią zamknięcie jej twórczości. Pawlikowska, gdyż pod tym nazwiskiem publikowała przeważnie przed wojną, uchodzi za największą poetkę polską XX wieku, według niektórych historyków literatury. Obok Kazimierzy Iłłakowiczówny zalicza się ją do czołówki pisarzy polskich epoki.

Tymon cenił wysoko jej osiągnięcia pisarskie. We wstępie do *Ostatnich utworów* napisał:

Mogłaby stanąć na jej grobie strzaskana, ale niezachwiana w pionie kolumna klasyczna, mogłaby rosnąć tak jak jej droga w tych ostatnich latach wierzba polska, biorąca w siebie

pioruny i upartym istnieniem, trwaniem nieulekłym, szeptem pokornym świadcząca przeciw nim — o miłości życia, o woli życia, o nieugiętości w klęsce.

Tymon nawiązał tu do ostatnich trzech linii króciutkiego wiersza Pawlikowskiej „Wierzby”:

Wierzby, stare piorunów
znawczyźnie
Szumią, uczą żyć
spiorunowanych,
Żyć i patrzeć ku następnej
wiosnie...

Tymi „spiorunowanymi” było polskie pokolenie wojenne.

W roku 1957 przesłał mi Tymon swoją rozprawę *Krytyka personalistyczna*, wydana także w Oficynie Poetów i Malarzy. Krytykę tę wyprowadzał z założenia: „Każdy akt twórczy jest aktem osobistym, każde dzieło jest znakiem danym przez osobę ludzką i utrwalonym w jakimś materiale”. W taki właśnie sposób oceniał utwory innych pisarzy w swoich krytykach literackich i dlatego jeszcze przed wojną nazywano go „krytykiem personalistycznym”.

Nie znam pracy Terleckiego o wielkiej aktorce polskiej drugiej połowy XIX wieku *Pani Helena. Opowieść biograficzna o Modrzejewskiej*. Pisał ją jako znany teatrolog, a wydał w roku 1962. Musiała ona wyrzeć duże wrażenie na czytelnikach i fachowcach, gdyż dwa lata potem Uniwersytet w Chicago zaproponował mu wykłady na dwa semestry. Dobrze je widocznie poprowadził i w roku 1965 przybył tu wraz z Tolą jako stały profesor tego Uniwersytetu, a przy okazji — profesor wizytujący Uniwersytetu Stanowego w Illinois. Przeszedł na emeryturę dopiero w roku 1977, gdy już miał lat 72 i powrócił do Londynu. W czasie pobytu Terleckich w Ameryce spotkałem ich tylko raz jeden — w Waszyngtonie, na ich odjeźdźnym.

Ileokroć odwiedzałem później stolicę Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał mój syn z rodziną przy tej samej ulicy co Terleccy, zawsze ich odwiedzałem. W marcu 1983 roku Tola zmarła prawie nagle. Dla Tymona był to cios straszliwy. Rok później ukazało się w Londynie jego staraniem dzieło zbiorowe *Tola Korian. Artystka słowa i pieśni* w Oficynie Poetów i Malarzy. Na karcie przedtytułowej Terlecki figuruje jako współautor tomu, ale w tekście nie ma niczego jego pióra. Autorstwo Tymona musiało się chyba ograniczyć do wyboru autorów i do nadania książce odpowiedniego kształtu graficznego. Całość składa się z 32 wspomnień i artykułów, jeden w języku angielskim, pozostałe — w polskim. Złożyły się na nią wypowiedzi pisarzy tak znanych, jak: Baliński, Jeleński, Kielanowski, Kozarynowa, Lerski, Tadeusz Nowakowski, Smogorzewski, Weintraub, Karol Zbyszewski. Wymieniłem tylko najgłośniejszych, co wcale nie znaczy, że lekceważę pozostałych. Książka daje dość wszechstronny obraz osiągnięć Toli. Stanisław Baliński napisał o niej w krótkim „Pożegnaniu”: „Żegnam z żalem i smutkiem wielką artystkę, tkniętą magią genialności”. Trudno określić lapidarnie znaczenie Toli.

Jak Tymon urządził po jej śmierci swoje życie osobiste, wiem tylko z relacji osób postronnych. Sam Tymon o tym nie mówił. Szanując jego powściągliwość, nigdy go o to nie pytałem.

Pracował dalej. W lutym 1987 roku przysłał mi swój ostatni tom *Opowieść o dwóch miastach — Londyn, Paryż*. Książkę wydaną bardzo starannie przez Polską Fundację Kultu-ralną w Londynie, ozdobił świetnymi jak zwykle rysunkami Marian Bohusz-Szysko. Kazimierz Wierzyński i Jerzy Pietrkiewicz zamieścili po wierszu. Terlecki przedrukował tu swoje własne wcześniejsze szkice o tych miastach. Nowością był dla mnie szkic o Londynie,

który pochodził z roku 1941, a ukazał się drukiem w Glasgow w roku 1943. Nie znałem go, gdyż w tym czasie przebywałem w okupowanej Warszawie. Tymon zaopatrzył swoje dzieło dedykacją dla mnie, podobnie jak i poprzednie swoje książki. Zawsze zapewniał mnie o swojej przyjaźni. Tym razem napisał coś więcej: „Andrzejowi Pomianowi z zawsze wierną przyjaźnią, z podziwem dla jego publicystyki historycznej”. Do publicystyki tej to on mnie przecież zachęcał jeszcze w roku 1944, czy 1945!

Szkic, a właściwie dwa szkice Tymona o Paryżu wydane po raz pierwszy w roku 1952 pod jedną okładką, już omówiłem. Szkic „Londyn — z wpływem czasu i Tamizy” uderzył mnie swoim tonem. Zacytuję tylko jeden fragment:

Dziś przez wypalone okna Parlamentu widzimy czarne ruiny Zamku Królewskiego, zrujnowany gotyk Westminsteru nachodzi jak płynący obraz na Katedrę św. Jana, a zbudzona cisza „Kąta poetów” każe wspominać urnę, w której od bomby umarło po raz drugi serce muzyczne, czułe jak brzoza, raz już umarłe w piersi spustoszonej przez kaszel Chopina. Dziś te miasta są na jednej szali. Za progiem nocy, od pierwszej smugi światła będziemy odbudowywać razem Warszawę, która wyprzedziła los Londynu, który podzielił los Warszawy.

Ruin w Londynie już nie ma, a Warszawa, zniszczona bez porównania bardziej niż Londyn, prawie całkowicie, została odbudowana, zresztą bodaj z konieczności — dość tandetnie. Tylko Szlak Stanisławowski od Belwederu i Łazienki przez Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Plac Zamkowy, Świętojańską, Rynek Starego Miasta po Nowe Miasto urzeka dalej pięknnością, rzadko gdzie indziej spotykaną.

Co w słowach Terleckiego o Londynie jest szczególnie ważne — to wierne odtworzenie postawy polskiej kolonii londyńskiej, a zwłaszcza żołnierzy w Wielkiej Brytanii w latach wojny. Emigracja nie powróciła w większości do Kraju. Nie odbudowywała Warszawy, jak pragnęła. Losy Polski rozstrzygnęły się poza nią, choć nie bez znacznego jej wpływu na postawę Kraju. Żołnierz polski walczył na obczyźnie po to, jak napisał Tymon, aby móc powrócić i przywrócić Krajowi jego kształt własny i właściwy. Że nie mógł tego zrobić, to już nie jego wina.

Finał

W roku 1985 otrzymałem od Tymona z wyrazami braterskiej przyjaźni przedostatnią jego książkę: *Szukanie równowagi. Szkice literackie i publicystyczne*. Ukazała się ona znów w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy. Omawiam ją na ostatku, gdyż jest zbiorem eseistyki Terleckiego.

Ten wybór szkiców z lat 1940–1984, w tym ostatnich ogłoszonych, zastanawia bogactwem tematów. Porusza więc w nich Tymon ważne zagadnienia społeczne i narodowe, pisze o Mickiewiczu, Ferrero, Leonardo da Vinci, Paulu Valéry, Koperniku, Conradzie-Korzeniowskim, Wierzyńskim, Bobkowskim, Dylanie Thomasie, Leszku Kołakowskim, Norwidzie, Eliocie, a z plastyków — o Kossowskim i Marianie Bohuszu. Esej „Mimo wszystko jestem frankofilem”, napisany w roku 1940 po katastrofalnej klęsce Francji, stanowi proeuropejskie wyznanie wiary Terleckiego. Dwa eseje: „Europejskość i odrębność kultury polskiej” i „Kultura Drugiej Niepodległości”, oba z roku 1948, dają syntetyczny obraz naszych dokonań kulturowych i zdobyczy dwudziestolecia międzywojennego na tym polu.

Zatrzymałem się z konieczności, i to tylko pokrótce, nad trzema szkicami Terleckiego, które są dla mnie najbardziej znamienne. Pisząc o Niemcach w roku 1943, jeszcze w toku wojny, Terlecki zastanawiał się nie tyle nad samymi ich zbrodniami wojennymi, w szczególności nad ich mordowaniem Żydów, ile nad psychologią sprawców tych potworności. Oto jego konkluzja: „Wina tego także ludzkiego upodlenia, wina potwornej

deprawacji, obciąża tylko i wyłącznie sumienie niemieckie”. Terleckiego przerażało milczenie ówczesnego świata. „Kto milczy w obliczu mordy — podkreśla — staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala”. Zabiera też głos jako Polak-katolik: „Nie chcemy być Piłatami [...]. Protestujemy równocześnie jako Polacy [...]. Wiemy również, jak trwający bywa posiew zbrodni. Przez dwa tysiące lat rosło pośrodku kontynentu obce i wrogie plemię germańskie, nienawistne wszystkiemu, co było i jest cywilizacją europejską. Dziś możemy się modlić tylko na mnożących się ruinach miast Europy”. Modli się więc Tymon o „łaskę trudnej nienawiści”. Nienawiści nie do ludzi za „rasę lub narodowość, za wiarę lub język”, lecz „zła w człowieku bez względu na jego ojca lub matkę, rasę i narodowość, wiarę jego i język”. Oto credo Tymona Terleckiego, Polaka i Europejczyka.

W szkicu o „socjalizmie chrześcijańskim” z 1946 r. zajmuje się Tymon krzywdą społeczną i gospodarczą, która spotyka większość ludzi na świecie. Socjalizm Marksa, zdaniem Tymona, zwalcza tę krzywdę niewłaściwie. „Za Smithem mówi ciągle o człowieku ekonomicznym, ale usiłuje nie dostrzegać człowieka duchowego, etycznego, metafizycznego. Brutalnie rozrywa integralność osoby ludzkiej”. W Polsce „socjalizm naukowy, kosmopolityczny stał się [...] socjalizmem narodowym, sprzęgniętym z ideą walki o niepodległość. Chrześcijaństwo nie może uchylić się od socjalizmu [...], socjalizm może się urzeczywistnić tylko w obrębie kultury chrześcijańskiej. Socjalizm chrześcijański nie oznacza nic innego, jak doprowadzenie chrześcijaństwa do pełnych konsekwencji praktycznych. Nasz wiek tragiczny znaczy się po obrocie stu lat przejściem od socjalizmu naukowego do socjalizmu etycznego. Do socjalizmu chrześcijańskiego”. Wątpię czy Jan Paweł II zapoznał się kiedykolwiek ze szkicem Terleckiego. Ale jego wypowiedzi w sprawach społecznych i gospodarczych są bardzo zbliżone do poglądów Tymona, choć operują odmienną frazeologią.

Szkic Terleckiego z roku 1969 o Kazimierzu Wierzyńskim daje zarazem przekrój zapatrywań Tymona na poezję i poetykę. Omawia wszechstronnie i krytycznie całą twórczość poety: od pierwszego zbioru *Wiosna i wino* (1919) do ostatniego — *Sen mara* (1969) i dochodzi do wniosku, że Wierzyński jest jednym „z największych poetów polskich [...] stulecia”.

Szukanie równowagi jest lekturą frapującą. Terlecki zdobył wielką wiedzę humanistyczną i ciągle ją pomnażał. Nie ustawał w pracy nad sobą. Po tym tomie dalej jeszcze pracował, ale — o ile wiem — niczego już drukiem nie ogłosił, przynajmniej — książkowo. Pod względem fizycznym wyraźnie podupadł. Gdy odwiedzał mnie u mojej rodziny w czasie moich pobytów w Londynie, chodził już drobnymi, przedwcześnie starymi kroczkami. Czuł się niepewnie na nogach. W maju 1990 roku przemawiając na wieczorze poczuł ogarniającą go słabość. Wkrótce potem stracił przytomność. Uległ wylewowi krwi do mózgu. Leczenie szpitalne, a zwłaszcza staranna opieka jego drugiej żony — Niny Taylor, Angielki, mówiącej doskonale po polsku, kobiety równie niezwykłej, jak Tola — przywróciły mu jasność umysłu, ale już niczego nie pisał. Przeżył jeszcze dziesięć i pół roku, nie w Londynie już jednak, lecz w Oxfordzie. Zmarł 6 listopada 2000 roku w wieku lat 95.

Poza utworami, które omówiłem z konieczności — pobieżnie, wydał jeszcze jedną książkę własną — rozprawę *Egzystencjalizm chrześcijański* (1958). Ponadto był jednym ze współautorów dwóch dzieł zbiorowych: *XXX-lecie „Wiadomości”* (1957) i *O Sułkowskim* (1967). Zaadoptował dla teatrów polskich *Pod mleczną drogą* Dylana Thomasa (1981). Nie na tym koniec. Zainicjował i zredagował ogromną dwutomową *Literaturę polską na obczyźnie 1940–1960* (1403 stron druku), która ukazała się w Londynie w latach 1964–1965. We „Wstępie redakcyjnym” Tymon wyjaśnił, o co mu chodziło: nie

tylko o tzw. literaturę piękną, ale o „dorobek pisarzy powstały poza Polską podczas II wojny światowej i w następstwie wypadków, które zaszły po tej wojnie. Ma to być rejestr, inwentarz, bilans”. Tymon nie podzielił na szczęście poglądów prof. Manfreda Kridla, znanego polonisty, który do literatury zaliczał tylko poezję i beletrystykę. Są więc w dziele przez niego zredagowanym rozdziały m.in. o „Literaturze wojskowej”, „Literaturze dokumentalnej”, „Publicystyce”, „Słownikach i wydawnictwach encyklopedycznych”. Jest i „Nekrologia”.

Opracowanie poszczególnych rozdziałów powierzył Terlecki najlepszym znawcom, jakich mógł znaleźć na wychodźstwie. Można się tu spotkać z niejedną niespodzianką. Tak np. Mieczysław Giergielewicz pisząc o „Twórczości poetyckiej”, wśród sylwetek poetów umieścił na poczesnym miejscu Stefana Borsukiewicza, żołnierza, instruktora spadochronowego, który zginął w wieku lat 22, gdy podczas skoku nie otworzył się mu spadochron. Zdążył wydać tylko jeden tomik: „Kontrasty” (1941). Wiersze Borsukiewicza, które przytoczył lub zacytował Giergielewicz, świadczą niezbicie, że miał on niemały talent poetycki i dużą ogólną kulturę pisarską. Niestety — nie zauważyli go autorzy naszych antologii poetyckich, szerokiej rzeszy miłośników poezji jest więc on nieznanym.

Nie zauważyli go i krajowi historycy literatury polskiej. Nawet Czesław Miłosz, który już na emigracji korzystając z pełnej wolności i dostępu do publikacji ogłoszonych w wolnym świecie wydał w roku 1969 swoją *History of Polish Literature*, Borsukiewicza także nie dostrzegł, choć powinien był się zapoznać z *Literaturą polską na obczyźnie 1940–1960* zredagowaną przez Terleckiego. Szczególny zresztą historyk z Miłosza. Na karcie tytułowej swego dzieła zamieścił orła bez korony, a w tekście nie omówił ani poety Stanisława Balińskiego, ani dramaturga Jerzego Szaniawskiego, autora świetnego dramatu *Dwa teatry*, wystawionego po raz pierwszy w Krakowie w lutym 1946 roku, ogłoszonego drukiem w tymże roku w krajowym miesięczniku „Twórczość” (Rok II, z. 12), a przynajęcego powstaniu warszawskiemu doniosłe znaczenie historyczne, za co spotkała autora dziesięcioletnia banicja z teatrów od roku 1949 w PRL. Znalazł natomiast Miłosz miejsce dla poety niższego lotu — Lucjana Szenwalda, komunisty, który podczas wojny służył w Armii Czerwonej i uważał decyzję powstania za „nieprawy zamiar” na „fałszywy sygnał” z „dalekomorskich ziem” (wiersz „Warszawa”).

Pisarstwo polskie na emigracji nie zatrzymało się po roku 1960, ostatnim omówionym w *Literaturze polskiej na obczyźnie*. Dalej się rozwijało i wydało dzieła godne upamiętnienia. Nie znalazł się jednak drugi Tymon, który by się nimi zajął, tak dokładnie i szczegółowo.

Słyszysz się nieraz pogląd, że historię tworzą tylko ruchy masowe, a nie najwybitniejsze nawet jednostki. Obserwowałem przez lata naszą emigrację wojenną po obu stronach Atlantyku i widziałem, jaką różnicę w jej osiągnięciach robili wybitni działacze. Bez Tymona Terleckiego kultura polska na emigracji byłaby znacznie uboższa. A dla pełnego rozwoju i człowieka, i społeczeństwa, i narodu kultura jest równie ważna jak chleb, a jeśli chodzi o postępowanie ludzi — nawet najważniejsza.

Ze śmiercią Tymona ubył jeden z czołowych działaczy kulturowych pokolenia polskiego, które w znacznym odsetku zachowało w pamięci z lat dziecinnych mroki niewoli, wyrastało w całości w blasku niepodległości, nie szczędziło krwi w jej obronie, po wojnie nie ustawało w wysiłkach, aby ją odzyskać, a gdy nastąpiła po raz drugi w wieku XX — zaczęło coraz liczniej odchodzić z tego świata.

Dziś pozostało już nas niewiele. Robi się pusto dokoła, mój Tymonie.

O PROFESORZE (CZYLI: COŚ W RODZAJU POST SCRIPTUM)

Róża NOWOTARSKA (USA)

Gdy wiele, wiele lat temu pisałam dla „Dziennika Związkowego” i „Gwiazdy Polarnej” esej pożegnalny pt. „Goodbye Mr. Chips”, myślałam z żalem, że z życia kulturalnego społeczności polonijnej w Chicago ubywa ktoś absolutnie niezastąpiony. Myślę tak do dziś, bo wyjazd prof. Tymona Terleckiego do Londynu jest niepowetowaną stratą. Dziś może bardziej niż przedtem. Jest stratą dla uniwersytetu, na którym wykładał. Dla Akademików, z którymi współdziałał. Dla tych, którzy kochają teatr polski i polską literaturę. Dla tych, którzy pragną być ze zjadaczy chleba przerobieni w aniołów. Bo taki miał wpływ i taki zasięg oddziaływania Pan Profesor (i jego Małżonka, śp. Tola Korian).

Wyjazd prof. Terleckiego z Chicago do Londynu odebrałam osobiście jako bardzo bolesną stratę. Wprawdzie nie rozmawialiśmy ze sobą przez telefon codziennie. Rozmowy takie przyspadały tylko raz na jakiś czas. Nie pisywaliśmy do siebie listów ani raz w tygodniu, ani nawet raz w miesiącu. Nie widywaliśmy się częściej niż raz na pół roku a bywało, tylko raz w roku. Ale nie ilość kontaktów była najważniejsza ale jakość, ich ciężar gatunkowy. Kiedy dochodziło do spotkań, rozmów, czy do wymiany listów, to powód był zawsze nadrzędny. To było związane zawsze z czymś nadzwyczajnym. To było zawsze coś od święta. Mogła to być książka, artykuł, wieczór poetycki, spotkanie autorskie, wystawa, koncert, zjazd, lub znacząca wypowiedź literacka. Prof. Tymon Terlecki był nie tylko *spiritus movens* wielu poczynąń kulturalnych, ale także znakomitym gawędziarzem, moderatorem, dyskutantem. Spokojny, wyciszony, skromny, o ogromnej, rozległej wiedzy, niczego wprawdzie nikomu nie narzucał, ale wymagał ogromnie dużo i w sprawach kultury był nieustępliwy.

Niejednokrotnie już przy różnych okazjach pisałam i mówiłam, że prof. Terlecki należy do trójki moich ulubionych pisarzy. Dwaj inni to, Gustaw Herling-Grudziński i Jan Parandowski. W książkach i artykułach jego pióra jestem zakochana. Mogę je czytać niezliczone ilości razy i zawsze urzekają mnie głębią myśli i kunsztem stylu. „To już ostatni, co tak poloneza wodzi!” — chciałoby się zakrzyknąć. Proza prof. Terleckiego jest dystygowana, jasna, zwięzła, potoczysta, jest to polszczyzna najwyższego szlifu

i najwyższego lotu. W tej opinii nie jestem odosobniona. Wystarczy, gdy przytoczę słowa Krzysztofa Dybciaka z przedmowy do *Krytyki personalistycznej; Egzystencjalizmu chrześcijańskiego*:

Terlecki, świadomy wielości własnych zainteresowań i ekspresji, szukał równowagi swego piarstwa. Uzyskiwana ona była dzięki równoważeniu się przeciwbieżnych tendencji: uczoności i sztuki, filologicznej akrybii i artystycznego rozpasania. Większość jego tekstów, to wytwory pracy mózgu i wibracji uczuciowej. Każdy z nich był starannie przygotowany, podbudowany erudycyjnie, zawierający klasyfikacje, zaopatrzone w sprawdzone cytaty i odnośniki bibliograficzne. Ale równocześnie przenikają te wypowiedzi pierwiastki sztuki: staranna kompozycja, wyszukany styl, oddziaływanie na emocje... Nie unika Terlecki archaizacji stosując rzadko dziś używane słowa, skomplikowane figury retoryczne, częste powtórzenia. Autor jakby przeczuwał, że jego artykuły, eseje, rozprawy i monografie przetrwają próbę czasu i po dziesięcioleciach będą odczytywane jako świadectwa...

W polskich kołach intelektualnych na Zachodzie nazwisko prof. Terleckiego było doskonale znane. Miał swych zaprzysiężonych wielbicieli, chociaż grono to nie było może tak liczne, jakby pisarz takiej klasy na to zasługiwał. Dla wielu bowiem klasyczna, wykwinna polszczyzna profesora była zbyt trudna, może nawet zbyt staroświecka. Albo zbyt „powolna”. Chcieli czytać, pojmować, rozumieć szybciej, niemalże w biegu. Chcieli prześliznąć się po tematach po wierzchu, a nie schodzić w głąb nie tylko tematu ale także i samych siebie.

Jerzy Stempowski użył dla swych zapisów określenia *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*. Profesor Terlecki wymagał od czytelnika nieśpiesznego czytania. Wymagał też wiedzy a przynajmniej otwartego, chłonnego umysłu.

Jak napisałam powyżej, nazwisko prof. Terleckiego znane było w kręgach czytającej emigracji. Natomiast nie było wcale znane w Polsce. Prawie wcale. I trwało to całe lata i niejednemu raz myślałam: jaka to bolesna sprawa, że rośnie jedno, drugie a nawet trzecie pokolenie, które o tej wspaniałej, urzekającej, znakomitej prozie nic nie wie i nie będzie wiedziało. Że nie będzie tym pokoleniom dane rozkoszować się tak świetną polszczyzną, że nie poznają bogatej, wszechstronnej twórczości, rozlicznych prac edytorskich i redakcyjnych i wreszcie przekładów jego autorstwa.

Okazało się, że byłam człowiekiem małej wiary.

Amerykanie mówią, że nawet w najniekorzystniejszych okolicznościach w najbardziej niesprzyjających warunkach, każdy człowiek jest obdarzony dwoma tylko dla niego przeznaczonymi promieniami słońca.

Otóż — nareszcie, nad twórczością prof. Terleckiego zaświeciło polskie słońce. Padł jeden i drugi promień. W Warszawie w 1984 roku wydano w zbyt skromnym — jak na mój gust — nakładzie *Rzeczy teatralne*. W 1987 roku „Biblioteka «Więzi»” wydała jako tom 58 jego *Krytykę personalistyczną; Egzystencjalizm chrześcijański*. Obie książki okazały się objawieniem. A teraz, jak słyszę, ma się ukazać zbiór esejów *Szukanie równowagi*. Oby jak najprędzej!

To, że książki Tymona Terleckiego nie docierały do olbrzymich rzesz czytelników w Polsce nie znaczy jednak, że nie znano ich w kołach intelektualistów, naukowców i w kołach uniwersyteckich. Były i są znane — docierały tam w przeróżny, najczęściej nielegalny sposób. A jeśli nie wyrażano publicznie czci i uznania dla jego osiągnięć, to sprawiały to więcej niż niesprzyjające warunki. Niekorzystna atmosfera stworzona przez komunistyczną władzę w Polsce.

Na szczęście, na wielkie szczęście, ten blisko czterdzieści pięć lat trwający, upokarzający stan minął. Zaświeciło na nowo słońce wolności. I pierwsze dwa promienie (te

z porzekadła amerykańskiego) padły na siwą głowę profesora Tymona Terleckiego. Dwa piękne listy: jeden Towarzystwa Literackiego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a drugi z Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Warszawie, potwierdzają raz jeszcze, że można wznieść mury, ustanowić sztuczne podziały, można zaaranżować wielką zмовę milczenia, ale myśl ludzka, twórczość, duch ludzki — wymkną się spod kontroli i przebiją najszczelniejszą nawet żelazną kurtynę. Co jest radosne i pocieszające i napawające wielką otuchą. Tym radośniejsze, że dotyczy człowieka tak wielkiej godności i talentu, jak prof. Tymon Terlecki.

NAD KSIĄŻKAMI TYMONA TERLECKIEGO

Mam ulubionych pisarzy, do których stale powracam, odczytuję na nowo od deski do deski. Chociaż czynię tak od dziesiątków lat, nigdy mnie ich książki nie nużą, czytam je za każdym razem tak, jakbym je czytała po raz pierwszy. A równocześnie mam uczucie, że to moi starzy przyjaciele, że znamy się na wylot. Czytając ogarnia mnie ciepło i czułość. A także wzruszenie. Lista moich ulubieńców nie jest zbyt długa. Pięć palców jednej ręki, za dużo! Jest ich prawdę mówiąc trzech: Gustaw Herling-Grudziński, Jan Parandowski i Tymon Terlecki. Nazwiska podałam w porządku alfabetycznym — bo tak najlepiej, ale są bliscy memu sercu i memu intelektowi w równy sposób. Im trzem zawdzięczam wiele cudownych godzin. Godzin całkowitego wyłączenia się z otaczającej rzeczywistości i wejścia w inny świat, świat szczególnego niepowtarzalnego piękna.

Dziś chcę napisać o jednym twórcy z tej Wielkiej Trójki a to dlatego, że poczta przyniosła mi dwie jego książki (tylko dwie, niestety!). Znam obie — znam ich treść z okresu, kiedy jeszcze nie były książkami. Zaczytywałam się tymi tekstami gdy były drukowane w „Wiadomościach” londyńskich i „Kulturze” paryskiej — czekałam na nie z niecierpliwością i drżeniem serca. Tymon Terlecki — bo o nim mowa — napisał o urzeczeniu teatrem. Od najmłodszych lat. A mnie zawsze urzekało słowo pisane, drukowane. Miałam niemal nabożną cześć dla krakowskiego IKACA, na którego rozlicznych wydawnictwach byłam wychowana od dziecka.

Więc przyszły te dwie książki. Jedną wydano w Londynie, w Polskiej Fundacji Kulturalnej. Tytuł: *Szukanie równowagi*. Jest to zbiór szkiców literackich i publicystycznych, wydanie drugie, offsetowe, Londyn 1988.

Druga książka ukazała się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie. Nosi tytuł: *Rzeczy teatralne*. Pierwsza książka Tymona Terleckiego wydana w Kraju. Jest to wybór artykułów, szkiców, wspomnień i rozpraw o teatrze i dramacie, ogłaszanych w latach 1938–1983. Data warszawskiego wydania, rok 1984.

Nie będę już wracała do mojej reakcji na obie książki — bo to byłoby tylko powtórzenie mych zachwyty. Czytelnik już przecież wie, że pozostają pod wielkim urokiem tego pisarza. Natomiast nasunęły mi się różne myśli i spostrzeżenia, którymi — zamiast recenzji — chciałabym się podzielić.

Nie wiem jaki był pierwszy nakład *Szukania równowagi* książki wydanej w Oficynie Poetów i Malarzy, Krystyny i Czesława Bednarczyków. I nie wiem ile egzemplarzy odbito tym razem. Ale przyjmijmy najskromniejszą liczbę, to znaczy książek siedmiuset za każdym razem. Czyli, 1.400 dla czytelnika emigracyjnego. Co często jest pożyczane za „skandal intelektualny” i stwarza wrażenie, że emigranci, to niemal wtórni analfabeci. Pamiętam, że kiedyś Aleksander Janta zrobił wykaz w jakim kraju i ile można zdobyć przedpłat. I że właśnie liczba siedmiuset egzemplarzy była jakby górną granicą możliwości dla całej polskiej diaspory. Mieliśmy się tego lenistwa umysłowego wstydzić. I słusznie. Wiadomo było wówczas i wiadomo dziś, że dopóki pisarz polski poza krajem

nie przebiję się na rynek amerykański, to z emigracyjnych wydań polskich na pewno nie wyżyje. Znaczący to, że z pisania w języku polskim utrzymać się nie może w żadnym kraju, poza Polską.

A no właśnie. I tutaj dochodzę do punktu, który mnie zasmucił i oburzył równocześnie. Bo przyjrzyjmy się teraz nakładowi *Rzeczy teatralnych*, wydanych w normalnym (zdawało by się) wydawnictwie, w normalnie funkcjonującym (zdawało by się) kraju. W którym — podobno — nie ma analfabetyzmu. W którym panuje głód słowa pisanego, a dzieci uczą się od małego szacunku dla książki. (Tak samo uczą się szacunku dla książki na emigracji z małą poprawką: już pierwsze pokolenie emigrantów z Polski przeważnie nie czyta w języku rodziców.) Otóż nakład wynosi pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. (W stopce podano: Nakład 5000 + 250 egz.) Ciśnie się na usta pytanie: dla kogo ma tych książek starczyć? Dla bibliotek? dla wypożyczalni? dla recenzentów? dla jednego miasta? dla jednej ulicy w Warszawie? dla jednej dzielnicy w Krakowie? A może dla teatrologów, aktorów, historyków i badaczy dziejów teatru polskiego? i dla nikogo więcej?

Na obwołanie wydania krajowego znajduję taką notkę bibliograficzną: „Tymon Terlecki (ur. 1905) znakomity krytyk teatralny i literacki, historyk teatru i literatury, przed wojną profesor Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (PIST), redaktor «Sceny Polskiej» i «Teatru». Od 1939 r. na emigracji, w latach 1964–1977 profesor literatury polskiej i teatru na uniwersytecie w Chicago”. I dalsze informacje, wspomniane już przeze mnie w początkach obecnego omówienia krytycznego. Taka wspaniała wizytówka — i taki śmiesznie niski nakład? Dlaczego? Wiem, wiem. Przed wojną, gdy poecie wydano zbiorek wierszy w wysokości 500 egzemplarzy, było to ogromne osiągnięcie! Ale Tymon Terlecki nie jest początkującym poetą, jest pisarzem o wielkim dorobku literackim, a jego nazwisko jaśnieje pierwszym blaskiem wśród polskich piór na Obczyźnie. Dlatego wydaje mi się, że zasłużył sobie na dziesięciokrotnie wyższy nakład. Że mu się to ze wszech miar należało!

Chcę tutaj dodać moje osobiste doświadczenie związane z osobą Autora. Przytaczam je na poparcie mojej tezy. Otóż za każdym moim pobytom w Polsce (a odwiedzałam Kraj sześć razy) najbardziej dopytywano się o trzech pisarzy: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Czesława Miłosza (jeszcze przed Nagrodą Nobla) i właśnie Tymona Terleckiego. To samo powtarzało się podczas licznych prywatnych spotkań z nowo-przybyłymi emigrantami czy też osobami przybywającymi z wizytą do Ameryki. Grudziński, Miłosz, Terlecki, Miłosz, Terlecki, Grudziński. Terlecki, Grudziński, Miłosz stanowili zawsze główny obiekt zainteresowań zarówno młodych jak i starszych wiekiem Polaków.

Dalej. W latach mojej pracy w „Głosie Ameryki”, szczególnie zaś po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce i w okresie nadawania w ramach programu polskojęzycznego tej rozgłośni „Czwartkowych spotkań z poezją i prozą” (nadano ich dwieście), dosłownie tysiące razy proszono mnie nie tylko o uwzględnienie utworów tych trzech autorów, ale także o ich życiorysy i fotografie! Miłosza poznano potem (choć na krótko) z prasy, telewizji i znaczka pocztowego. Ale Herling-Grudziński i Terlecki? Ich twarze i postacie pozostawały nadal tajemnicą. Głód — nazwałabym to — wolnego słowa polskiego — był ogromny a próśby wzruszające! („Drugi obieg” dopiero kięłkował i też nie do wszystkich docierał!)

W tamtym bezpowrotnym i niepowtarzalnym okresie, potrzebna mi była w mojej pracy nie tylko sekretarka, ale biuro wysyłkowe. A byłam zupełnie sama — i tylko niewielkiemu procentowi próśb mogłam sprostać. A i tak w pojedynkę zdołałam wysłać do Kraju kilka tysięcy listów. Zawierały: a to artykuł, a to esej, a to fragment powieści, kilka stron *Dziennika pisanego nocą* czy Miłoszowego wiersza. Wszystko to szło z moich

osobistych zbiorów, roczników „Wiadomości” i „Kultury”. Za te okruchy, urywki, drobniaki, dziękowano mi jak za największe skarby!

Wiem też, że wielu mych znajomych poszukiwało książki *O rzeczach teatralnych* i nigdzie jej nie mogli zdobyć. Nawet spod lady. Nawet po „pieniężnej” znajomości („przemawianie do ręki”).

Piszę o tym wszystkim w dniu, gdy spotkała mnie wielka radość, w dniu nadejścia dwu książek Tymona Terleckiego. Wiem, że przeczytam je na nowo, że znów urzeknie mnie przepyszny styl, mądrość i rozległa wiedza ich Autora. Że znów zachwycę się nimi bez reszty jak zachwycałam się w przeszłości. Ale równocześnie nie mogę przestać myśleć o tych tylko pięciu tysiącach szczęśliwców w narodzie tak namiętnie czytającym książki, tak łaknącym wiedzy i piękna.

Wiem, minimaliści powiedzą: dobrze, że chociaż tyle, dobrze że w ogóle... Ale ja do minimalistów nie należę. A mój maksymalizm wzrasta w miarę czytania. Pragnęłabym, aby wszyscy, kochający teatr i szukający równowagi mieli okazję do całkowitego, bezgranicznego zachwytu nad cudem, jakim są niezrównane książki Tymona Terleckiego.

P.S.: Dla porównania: *Rok w trumnie* Romana Bratnego, Krajowa Agencja Wydawnicza, nakład: 150 000 + 260 egzemplarzy — *O tempora! O mores!*

P.S.: W związku ze zmianami, jakie już zaszły w Kraju chcę wierzyć, że nakłady książek Tymona Terleckiego wzrosną i to szybko!

GOODBYE, MR. CHIPS...

Róża NOWOTARSKA (USA), Andrzej AZARJEW (USA)

Róża Nowotarska: Wydaje mi się, że tytuł tego bardzo wzruszającego filmu oddaje doskonale uczucia, wiążące się z odjazdem z Chicago prof. Tymona Terleckiego.

Andrzej Azarjew: Na pewno. Chociaż ładunek intelektualny jest inny. Natomiast ludzka strona, dobroć, bezinteresowna życzliwość, wyrozumiałość sprawiają, że tytuł filmu idealnie pasuje do naszej rozmowy.

R.N.: Jak wiesz, z prof. Tymonem Terleckim zetknęłam się w czasie jego pobytu w Ameryce, tylko kilkakrotnie, zawsze przy okazjach wieczorów literackich. Pierwsze spotkanie miało miejsce w Detroit, gdy otwierał niejako drogę młodemu, dobrze zapowiadającemu się poecie Andrzejowi Lechowi Sowulewskiemu, który — nawiasem mówiąc — zniknął zupełnie z polskiego środowiska literackiego. Był może efemerydą, łątką jednodniówką. Niemniej, zapowiadał się doskonale i jego poczynaniom, jak zresztą wielu innym, nie tylko przyklaskiwał, ale i patronował, wspomagał radą i wskazówką, prof. Terlecki.

A.A.: Te zakulisowe, aby tak je nazwać akcje prof. Terleckiego, były jednymi z najwartościowszych, a ich anonimowość czyniła je jeszcze piękniejszymi.

R.N.: Właśnie. Unikanie rozgłosu. Czynienie dobra dla samego dobra — jakże rzadko to dzisiaj spotykamy. Sama od bardzo wielu lat doznawałam zachęty, troski, wyczuwałam wielkie zainteresowanie moją pracą. Nie obeszło się naturalnie bez nagany i wskazywania na braki czy niedociągnięcia i nierówności tego co piszę. Była to krytyka wielce konstruktywna i bardzo pomocna.

A.A.: Prof. Terlecki dwukrotnie wprowadzał Cię w twoich wieczorach autorskich w Chicago i brał udział w dyskusji o Twoim warsztacie pisarskim w programie telewizyjnym Roberta Lewandowskiego. Dwukrotnie też przedstawiał do nagrody książki, z których jedna *Gentleman z Michigan* była Twojego współautorstwa a druga *Tryptyk wojenny* Twojego autorstwa. Pierwszą widział jako wartościowy wkład do dziejów Polonii amerykańskiej, drugą jako dokument II wojny światowej.

R.N.: Dodam tu, że nikt nigdy piękniej o mnie nie mówi! Chowam te, jak je nazwałś „wprowadzenia”, jak największy skarb. Prof. Terlecki nie ograniczał się do uprzejmo-

ściowych uogólnień. Poświęcał długie godziny na opracowanie życiorysu literackiego autorów, o których mówił. Gdyby te omówienia zebrać, byłaby z tego obszerna literatura polska na obczyźnie i nie tylko na obczyźnie... szczególnie, że...

A.A.: Pozwól mi dodać: szczególnie, że tylko w Chicago i tylko w imprezach Polskiego Związku Akademików* wygłaszał słowo wstępne... Choć reguła ta miała dwa czy trzy wyjątki. Zanim jednak przejdę do przypomnienia imprez PZA, mała dygresja. Pragnę cofnąć się na chwilę do okresu przedwojennego...

R.N.: I chciałam to samo uczynić. Czy sądzisz, że pamięć o prof. Terleckim, jest wśród ludzi, z którymi stykał się w okresie międzywojnia, ciągle żywa?

A.A.: Jak najbardziej. Przytoczę tu konkretny przykład: przebywając w 1977 roku w Polsce, miałem okazję zetknięcia się z Jerzym Andrzejewskim. Autor *Ładu serca* bardzo dobrze pamiętał prof. Terleckiego z Warszawy z okresu przedwojennego. Prosił, abym przekazał Profesorowi pozdrowienia, co też po powrocie uczyniłem.

R.N.: Z pewnością pamiętają go też ludzie teatru?

A.A.: Oczywiście, nie tylko dlatego, że był od r. 1934, tj. od samego początku powstania tej placówki, profesorem historii dramatu światowego w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, ale również z tej m.in. przyczyny, iż w rękę Tymona Terleckiego — 30-letniego wówczas teatrologa skupiały się praktycznie wszystkie prawie ówczesne wydawnictwa związane z życiem teatru: był bowiem redaktorem miesięcznika „Teatr”, kwartalnika „Scena Polska”, serii książkowej „Wiedza o Polsce” oraz zastępcą redaktora rocznika „Życie Sztuki”. Przy okazji należy z zalem przypomnieć, iż w czasie wojny spłonął w Warszawie rękopis „Historii teatru polskiego” pióra T. Terleckiego, książki, którą trudno było już później odtworzyć, a która przydałaby się dziś bardzo.

R.N.: Myślę, że nie tylko historia teatru polskiego w ogólności, ale także historia teatru na emigracji, przydałaby się również. Być może, prof. Terlecki, mając obecnie więcej czasu, zajmie się tym tematem...

A.A.: Przechodząc do imprez Polskiego Związku Akademików, prof. Terlecki brał udział w co najmniej trzydziestu wieczorach zorganizowanych przez PZA. W wielu wypadkach był ich inicjatorem. Działo się to w okresie lat 1964–1977. Cytuję na poczekaniu, z pamięci, tak że lista może okazać się niekompletna. Zaraz po przybyciu do Chicago, w październiku 1964 r. (co stało się w poważniejszej mierze dzięki usilnym zabiegom naszego kolegi, b. prezesa PZA, obecnie prof. dr. Zbigniewa Kruszewskiego, wykładającego w El Paso, Teksas), prof. Terlecki wziął udział w otwarciu roku akademickiego. W tydzień później był obecny na wieczorze Jana Rostworowskiego.

R.N.: Rostworowski był pod wielkim wrażeniem spotkania z środowiskiem chicagowskim. Pamiętam, że w drodze powrotnej powiedział mi: „ciekaw jestem, czy Polacy w Chicago zdają sobie sprawę z tego kogo mają wśród siebie? Prof. Terlecki to bezcenny skarb...”.

A.A.: Oczywiście, że sobie zdawali sprawę. Chociaż w pełni zdają sobie sprawę — obawiam się — dopiero pięć po dwunastej, czyli za późno...

* Więcej na temat Polskiego Związku Akademików we wspomnieniu Róży Nowotarskiej pt. „Z teki archiwalnej...”, s. 290.

R.N.: Ale wracajmy do przeglądu imprez, dającego pojęcie o nieprawdopodobnej żywotności i mrówczej pracy prof. Terleckiego. Jego olbrzymim wpływem na życie kulturalne polskiej grupy etnicznej w największym skupisku polonijnym, jakim jest Chicago.

A.A.: A więc w lutym 1965 r. był wieczór autorski Profesora. Już w miesiąc później wyruszyliśmy z tym wieczorem do Detroit, gdzie Ty przygotowałaś spotkanie. Później następuje długa litania wprowadzeń literackich na wieczorach — wymieniam nazwiska w porządku chronologicznym: śp. Elżbieta Dziewońska, Czesław Miłosz, Beata Obertyńska, śp. Czesław Pawłowicz (prozaik, marynarz), Karl Dedecius (wybitny niemiecki tłumacz literatury polskiej), George Comori (węgierski tłumacz literatury polskiej i poeta), para poetycka Zbigniew Bieńkowski i Małgorzata Hillar, Łukasz Łukaszewicz (autor-recytator, wychowanek przedwojennego PIST-u), Florian Śmieja (hispanista, poeta), śp. Aleksander Janta, prof. Maria Dłuska (wybitna polonistka z Uniwersytetu Jagiellońskiego), Tymoteusz Karpowicz, Zofia Romanowiczowa, Halina i Bolesław Taborscy, Artur Międzyrzecki i Jadwiga Hartwig. Wieczór pośmiertny ku czci Kazimierza Wierzyńskiego, wieczór zorganizowany z okazji 50-lecia śmierci Jana Kasprówicza”. „Żywy Dziennik”. Nie wspominam o dwóch Twoich wieczorach — jeden z nich był wspólnym waszym wieczorem z Markiem Święcickim — albowiem o tym była już mowa.

R.N.: Czy prof. Terlecki brał udział tylko w literackich wieczorach?

A.A.: Nie tylko. Brał udział i przewodniczył w dwóch czy trzech wieczorach zorganizowanych przez PZA na temat studiów polonistyki na tutejszych uczelniach, jak również na temat potrzeby zachowania języka polskiego. Wspomnieć także wypada udział w audycjach telewizyjnych Roberta Lewandowskiego.

R.N.: O ile mi wiadomo, to w imprezach PZA brała także udział małżonka Profesora, Tola Korian.

A.A.: Zgadza się, pani Tola występowała w co najmniej dziesięciu naszych wieczorach, uświetniając swymi recytacjami — zawsze na najwyższym poziomie — program naszych imprez.

R.N.: Przypomniałaś tylko imprezy urządzone przez Polski Związek Akademików — w zasięgu lokalnym i ogólnokrajowym. I już jest to ilość imponująca. A był to przecież tylko margines... Jeśli dodać do tego również imponującą aktywność uniwersytecką — prof. Terlecki okazuje się tytanem pracy.

A.A.: A przecież i to też jeszcze nie wszystko. Zapraszany do różnych ośrodków polonijnych czy uniwersyteckich w Ameryce i w Kanadzie prawie nigdy nie odmawiał. Odnosi się wrażenie, że pewne sprawy wykonywał w poczuciu jakiegoś specjalnego posłannictwa.

R.N.: Bo tak też chyba i było. I znów wszystko o czym tu mówiliśmy, to tylko ułamek. Pozostał jeszcze ogromny temat, a mianowicie rola prof. Terleckiego, którą odgrywał, jak by to powiedzieć... drogą korespondencyjną. Do Profesora zwracano się w przeróżnych sprawach, poważnych, błahych, literackich i wydawniczych, proszono o radę, o pomoc, o podtrzymanie na duchu, o wybrnięcie z martwoty, z tego co Gombrowicz określa jako „ogólną, polską niemożność”.

A.A.: Był rzeczywiście powiernikiem, doradcą, „opoką”, jak ci to powiedział Aleksander Janta. Bezinteresownie życzliwy, obiektywny i sprawiedliwy... co nie jest równoznaczne z ustępliwością od zasad, chodzeniem na kompromisy i brakiem krytycyzmu. Prof. Ter-

lecki wiedział doskonale komu i w jakiej sprawie warto pomóc. niestety, do smutnych stwierdzeń należy to, że dobroć ludzka często bywa wykorzystywana czy nadużywana...

R.N.: Nie uniknął tego i prof. Terlecki. Ale wydaje mi się, że są to sprawy nie do uniknięcia. Szczególnie w tak bogatej, rozległej działalności. W zetknięciu z różnymi ludźmi. Wielkim rozczarowaniem była książka wspomnień o Jancie. Ale znów, jakby dla wyrównania rachunków zysków i strat, wielką radością było ukazanie się zbioru wierszy Zbigniewa Chałko.

A.A.: Prof. Terlecki towarzyszył zresztą wydawcy „Contry” Edwardowi Duszy dobrym słowem, zachętą, tak ważnymi w trudnych poczynaniach wydawniczych. I jakby na pożegnanie ze środowiskiem, którego, jeśli — z tytułu swych obowiązków uniwersyteckich nie był pierwszoplanowym *spiritus movens*, to był niezastąpioną „szarą eminencją”.

R.N.: Wydaje mi się, że udział w wieczorze staromiejskiej, warszawskiej poezji Zbigniewa Chałko było przepięknym akcentem zamykającym 14-letni pobyt profesora Terleckiego i — trzeba dodać — prof. Toli Korian-Terleckiej na terenie Chicago.

A.A.: Ubiegłaś mnie. Właśnie chciałem powiedzieć, zwrócić uwagę, że ani razu nie wspomnieliśmy o pani Toli, a przecież odegrała Ona swą odrębną, osobną, ale wcale nie małą rolę.

R.N.: Tola Korian, moim zdaniem odgrywa najważniejszą i najpiękniejszą rolę, wspinała się towarzyszką życia. Bez przekreślenia własnej osobowości. Czarująca Pani Domu, która z niemal niespotykaną dzisiaj dyskrecją i kobiecym wdziękiem usuwała się na drugi plan, robiąc miejsce tym, którzy garnęli się do Profesora. Dzisiejsze agresywne kobiety mogłyby się wiele nauczyć od Wielkiej Damy, od pani Toli Korian-Terleckiej.

A.A.: Ty, zdaje się, cieszysz się szczególnie względami obojga państwa Terleckich.

R.N.: Jeśli tak jest istotnie, to wielka dla mnie radość i wielka duma. W swych listach, istotnie prof. Terlecki wykazywał nie tylko zainteresowanie tym co piszę, nad czym pracuję — dając bezcenne rady, ale dowiadywał się o moje córki o ich zainteresowania, postępy w nauce, kierunki studiów. Znów, bardzo to rzadko spotykana cecha dzisiaj, gdy jak w tuwimowskim wierszu ludzie „tak biegną, tak się spieszą”, że na zainteresowanie, szczerze — a nie plotkarsko-sensacyjne cudzymi sprawami, nie mają czasu. Tak więc, sama świadomość „bycia” obecności prof. Terleckiego w Chicago, miała dla mnie wielkie znaczenie. Zawsze można było nakręcić numer telefonu... Miał też prof. Terlecki jedną, niezwykłą cechę. Umiał doprowadzić do zetknięcia się ludzi o wspólnych ideałach, zainteresowaniach, dążeniach. Umiał przerzucać pomost nad dzielącymi jednych od drugich odległościami. — Dotyczyło to zarówno kilometrów jak i często ilości lat...

A.A.: Z czego jeszcze raz wniosek, że Polonia chicagowska traci swe „ognisko myśli i ducha...”.

R.N.: A ja osobiście tracę bardzo mi bliską, życzliwą osobę. Niezastąpionego doradcę i przyjaciela. Goodbye Mr. Chips...

A.A.: Do widzenia, Profesorze.

Z PIÓREM W ZANADRZU

Andrzej POMIAN (USA)

Na polskiej emigracji politycznej był tylko jeden Tymon — Terlecki, działacz wszechstronny: historyk teatru i literatury, pisarz-eseista, krytyk teatralny i literacki, publicysta, pedagog, organizator życia kulturalnego emigracji, a także polityk. W roku ubiegłym pisałem już o kilku jego książkach.

W roku 1999 ukazała się jego ostatnia książka: *Spotkania ze swoimi*, wydana bardzo starannie przez Uniwersytet Wrocławski pod redakcją naukową Janusza Deglera na podstawie materiałów dostarczonych przez żonę Tymona — Ninę Taylor, Angielkę, mówiącą po polsku jak rodowita Polka, obeznaną doskonale z literaturą polską. *Spotkania ze swoimi* to zbiór jego szkiców, a właściwie — wspomnień o ludziach, których dobrze znał lub z którymi się przyjaźnił, głównie ze świata literatury i teatru. Nie znał osobiście tylko jednego z nich — Jana Kasprowicza, ale utrzymywał przyjazne stosunki z wdową po nim — Marusią i jej to poświęca najwięcej miejsca w szkicu o nim i o niej.

Brak mi w tej książce eseju o Kazimierzu Wierzyńskim, który ukazał się w książce Tymona *Szukanie równowagi* (Londyn 1985). Tymon, który był jednym z bliskich przyjaciół pana Kazimierza, uważał go za jednego z największych poetów polskich XX stulecia. Moim zdaniem esej Tymona o nim powinien być się znaleźć i w *Spotkaniach ze swoimi*, skoro tom ten składa się z 22 przedruków z innych książek, a tylko 13 z czasopism.

Z konieczności zajmę się tylko kilkoma osobami z książki Tymona spośród tych, które sam znałem osobiście.

Rozpaczynam od znakomitego pisarza — Józefa Wittlina. Tymon cenił go bardzo wysoko, pisał więc o jego pierwszym tomie poetyckim *Hymny*, o jego przekładzie *Odysei* Homera i o jego głośnej powieści *Sól ziemi*, lecz najbardziej go obchodziła lwowska pisarza. Ani Tymon, ani Wittlin nie urodzili się we Lwowie, pochodzili jednak obaj z Małopolski i obaj byli związani z tym miastem. Tymon urodzony w roku 1905 studiował tam na Uniwersytecie Jana Kazimierza i stawiał pierwsze kroki jako krytyk literacki. Wittlin, starszy od niego o lat dziesięć (ur. w 1896), jeszcze za czasów austriackich chodził we Lwowie do gimnazjum klasycznego i gdy wybuchła I wojna światowa zaciągnął się ochotniczo do Legionu Wschodniego. Po jego rychłym rozwiązaniu, gdy Lwów zajmowali Rosjanie, schronił się jako uchodźca polityczny w Wiedniu i rozpoczął studia na tamtejszym uniwersytecie. W roku 1916 został wcielony do wojska austriackiego. Wskutek złego stanu zdrowia pełnił służbę pozafrontową. Do Lwowa powrócił w roku 1918.

I on i Tymon przenieśli się do Warszawy. Terlecki zadomowił się w stolicy Polski na dobre: objął profesurę w Instytucie Sztuki Teatralnej i redagował pisma teatralne. Wittlin uczuciowo nigdy się ze Lwowem nie rozstał. Często go odwiedzał, a po latach, już w Ameryce poświęcił mu doskonały esej *Mój Lwów* (1946). Zachował też w mowie śpiewny akcent lwowski.

II wojna światowa zmusiła ich obu do nowej tułaczki. Tymon osiadł na stałe w Anglii, najdłużej — w Londynie, choć spędził parę lat we Francji i w Ameryce. Dla Wittlina miejscem stałego pobytu stał się Nowy Jork, gdzie zmarł w 1976 r. Tymon rozstał się z tym światem w roku ubiegłym (2000) w Oksfordzie.

Z Tymonem się przyjaźniłem. Z Wittlinem spotkałem się w szczególnych okolicznościach. W londyńskim tygodniku literacko-publicystycznym „Życie” zaatakował go brutalnie, jako Żyda, prawicowy publicysta Michał Pawlikowski. Oburzony do żywego swój esej o poetach podziemnych, zamieszczony w londyńskich „Wiadomościach”, zadedykowałem na znak protestu właśnie Józefowi Wittlinowi, którego nigdy jeszcze nie widziałem na oczy. Wittlin to zapamiętał. Dowiedział się, że przyjeżdżam do Nowego Jorku w czerwcu 1955 roku, zadzwonił do mnie do hotelu, spotkał się ze mną i przeprowadził długą rozmowę. Widywałem potem jego i jego uroczą żonę, wymieniałem z nim listy. Pozostawaliśmy w przyjaźni, lecz nie w zażyłych stosunkach. Mieszkaliśmy zresztą w innych miastach: on w Nowym Jorku, ja w Waszyngtonie.

Jako pisarz był Wittlin jedyny w swoim rodzaju. Zaliczany a to do ekspresjonistów, a to do kręgu skamandrytów, z którymi utrzymywał bliskie stosunki, różnił się i od jednych i od drugich. Był zawsze przede wszystkim sobą. Nie poetyzował. Unikał wyszukanego języka. Swoją własny język poetycki tworzył z mowy potocznej. Cytuję dwa czterowiersze z jego „Trenu XX” (1930), niby kontynuującego cykl Kochanowskiego, pisany po przedwczesnej śmierci ukochanej córeczki — Orszulki. Dla zrozumienia tekstu podaje, że „on” to wedle Wittlina „najlichszy fornał” z Czarnolasu:

On w każdy wieczór z wszystkimi dziećmi do stołu zasiada,
Ze wspólnej misy lipowej je łyżką kluski z serwatką.
A ja? Pod lipą jak stary pajac siedzę i głęboko
Treny układam.

O wielkie muzy, o Apollinie, o wy okrutni,
Pozwólcie mojej boleści zapomnieć o Niobie.
Ach, gdybym mógł na kamiennym Orszulki grobie
Strzaskać cię, moja lutni!

Jest w tym wierszu cały Wittlin, dla którego prawda przeżycia jest ważniejsza od poetyckiej frazy.

W czasach, gdy w niektórych ośrodkach polskich szalał pod wpływem endeckim antysemityzm, Wittlin Polak całą duszą, z wyznania i przekonania katolik, nie zapomniał nigdy o swoim żydowskim pochodzeniu. W zakończeniu wiersza „Święty Franciszek i biedni Żydzi” (1932) napisał:

Ty byś nas się nie brzydził,
Ty byś, o święty, gojski patriarcho,
Najnędnieszemu z nas powiedział: bracie,
Bracie parchu!

W wierszu z sierpnia 1942 roku: „Żydom polskim” bolał nad tragicznym ich losem:

Krew z waszej starej krwi, kość z waszej kruchej kości,
O bracia moi w gettach, ja nie mam słów dla waszej żalości.

W wierszu następnym: „Na Sądny Dzień żydowski roku 1942 (5703)” zwrócił się do Jehowy:

Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa
I bez Twojego wyroku odwieczna kaźń nasza trwa,
Powołaj świadków obrony i niech się skończy ta krwawa
Parodia Sądneho Dnia.

Tyleśmy grzeszyli, co inni — i hac lacrimarum valle
Wygnańcy, synowie Ewy, przeklęty Kaina płód.

Krótko po wojnie Wittlin poprzedził esejem „Pokłon poetom getta” tomik *Poezja getta* (1946). Był to przedruk wydawnictwa podziemnego *Z otchłani* (Warszawa 1944), opracowanego — jak dziś wiemy — przez Tadeusza Sarneckiego. Zawierał on utwory poetów nie tylko pochodzenia żydowskiego, którzy z wyjątkiem Borwicza w żadnym getcie nie przebywali, o czym Wittlin nie wiedział. Byli to: Mieczysław Jastrun (M.J.), Michał Maksymilian Borwicz (M.B., pisywał przed wojną jako Maksymilian Boruchowicz), Tadeusz Sarnecki (Jan Wajdelota) oraz nie podpisani nawet inicjałami: Czesław Miłosz (pierwodruk „Campo di Fiori”) i Jan Kott. Wszyscy oni wojnę szczęśliwie przetrwali.

Wittlin nie obnosił się ze swoim patriotyzmem. Ale w lipcu 1945 roku na wiadomość, że Zachód uznał rząd komunistyczny, narzucony Polsce przez Moskwę, nie wytrzymał i wybuchnął gorzko wierszem: „Na swojską nutę”, utrzymanym w rytmie pieśni jeszcze z czasów konfederacji barskiej „Jedzie Derwicz jedzie”. Jest to dialog z kupcami handlującymi skórą ludzi gnijących w polu jak liście:

A jacyż to ludzie
Tam na polu leżą?
Chcemy za ich dusze
Westchnąć przy pacierzu.

Nie warto się modlić,
To są głupie ludzie,
Polak nadaremno
Wszędzie zdychać pójdzie.

Hej, panowie kupcy!
Pohandlujcie sobie
Ludzką skórą na ludzkości
Zapomnianym grobie!

Terlecki słusznie uważa, że Wittlinowski przekład *Odysei* Homera leży na tej linii, co rysunki Wyspiańskiego do Rydlowej *Iliady* (nie ukończony niestety), co jego *Achilles* i *Powrót Odysa*.

Wittlin nie rozstawał się z oryginałem *Odysei* w latach służby w wojsku austriackim i zabrał się do jego przekładania w szpitalu wojskowym. Na formę rytmiczną wybrał heksametr polski, który różni się od starożytnego, opiera się bowiem nie na iloczasię, obcym dzisiejszej polszczyźnie, lecz na akcentowaniu daktylicznym sześciu stóp linii wiersza. Pierwszą wersję swego przekładu ukończył w roku 1921 (ogłosił w 1924), drugą w roku 1936, trzecią i ostatnią w roku 1957 w Nowym Jorku, w tymże jeszcze roku wydaną w Londynie.

W wieku XIX tłumaczono u nas Homera rymowanym trzynastozgłoskowcem. Tak *Iliadę* przełożył Franciszek Ksawery Dmochowski (1800–1801), a Lucjan Siemieński *Odyseję* (1873). Mickiewicz napisał *Pana Tadeusza* (1834) także takim trzynastozgłoskowcem, ale przedtem w *Konradzie Wallenrodzie* (Powieść Wajdeloty) użył heksametru,

a Norwid w heksametrze, dla odmiany rymowanym, stworzył „Bema pamięci żałobny rapsod”. Były to niewielkie całości. W czasach najnowszych ukazały się przekłady heksametryczne. Ignacy Wieniawski przełożył udatnie *Iliadę* (1961) heksametrem, a także przełożyła ją Kazimiera Jeżewska (całość ukazała się pośmiertnie w roku 1982). Francuzi tłumaczą zwykle utwory epickie prozą. Może za ich wzorem przełożył prozą *Odyseję* Jan Parandowski.

Wymienione powyżej pozycje polskie Homera są wybitnymi osiągnięciami naszej literatury przekładowej. Polskim Homerem, jedynym polskim Homerem, dającym należyte pojęcie o oryginale, jest jednak tylko Wittlinowski przekład *Odysei*. Żaden polski przekład Homera nie może się z nim równać, nikt bowiem z poprzedników i następców Wittlina nie miał jego talentu poetyckiego. Jest to trud olbrzymi, liczy bowiem blisko 12800 linii.

Powieść o cierpliwym piechurze — Sól ziemi Józefa Wittlina, wydana po raz pierwszy w roku 1935 z datą 1936, należała do wielkich polskich wydarzeń literackich. Uchodziła za utwór pacyfistyczny. Sam Wittlin uważał się przez pewien czas za pacyfistę. W wojnie widział zjawisko potworne. Jeśli to jest pacyfizm, wszyscy ludzie rozsądni są pacyfistami. Światem nie rządzi jednakże rozsądek, a człowiek jest stworzeniem drapieżnym, z czego Wittlin zdawał sobie sprawę. Niektóre wojny — dodaję od siebie — były w tych warunkach — konieczne, jak np. dwie wojny światowe. Pierwsza z nich obaliła haniebny porządek europejski Kongresu Wiedeńskiego (1815), ustanowiony przez wielkie mocarstwa dla swoich interesów. Przyznała ona niepodległość wielu ciemnym narodom, a Polsce ją przywróciła. Ponadto unowocześniła trochę ustrój gospodarczy i społeczny Europy Zachodniej. II wojna światowa zadała śmiertelny cios najstraszliwszej chyba w historii potworności — Niemcom hitlerowskim i spowodowała upadek zachodnich imperiów kolonialnych oraz stworzyła warunki, dzięki którym odpadło najpierw imperium zewnętrzne Związku Sowieckiego, a następnie rozleciało się i sowieckie imperium rosyjskie.

Wittlin zamierzał napisać dwie dalsze części *Soli ziemi* i opracował część drugą, choć nie w całości. Rękopis tego opracowania zaginął w zawierusze wojennej we Francji w roku 1940. Ocalał tylko fragment, który autor zamieścił w roku 1972 w paryskiej „Kulturze” pt. „Zdrowa śmierć”. Taki miał być tytuł całej części drugiej.

W rozległym dorobku pisarskim Wittlina szczupłą rozmiarami, lecz ideowo i literacko bardzo ważną pozycję zajmuje jego oryginalna twórczość poetycka. Przed wojną poeta wydał książkowo tylko *Hymny* i to trzy razy: w roku 1920, 1927 i 1929, wprowadzając do tekstu i składu zmiany. Wierszy ulotnych wtedy nie zebrał, może ze względu na ich małą liczbę, choć były wśród nich utwory tak znamienne i doniosłe, jak wspomniany już „Tren XX” (1923), „Skrucha w Asyżu” (1925), „Z pieśni do muzyki przyszłości” (1931), „Litania” (1937). Dopiero pod koniec życia poeta zebrał wiersze wszystkich okresów i przygotował do druku *Poezje*, ale nie zdążył już ich wydać. Był to tylko wybór. Nawet z *Hymnów* zatrzymał tylko niektóre.

Wybór ten nieco uzupełniła wdowa po nim — Halina wierszami odnalezionymi w papierach zmarłego i ogłosiła w Warszawie ze wstępem Juliana Rogozińskiego. Z kolei twórczością poetycką Józefa Wittlina zaopiekowała się jego ukochana córka — Elżbieta Wittlin-Lipton. Wybór bardzo uzupełniła nie tylko odnalezionymi utworami, ale także pominiętymi przez poetę *Hymnami* z roku 1920. Wojciech Ligęza poprzedził teksty wstępem, a na końcu dodał ważną notę biograficzną. Poprawił błędy druku. Całość ukazała się w Krakowie w roku 1998. Jest to edycja wzorowa.

Wittlin uprawiał przez całe życie eseistykę, wykazując ogromną kulturę humanistyczną i wielką przenikliwość wraz z niezwykłą szczerością. Eseje swoje zebrał w tomie

Orfeusz w piekle XX wieku i wydał w Paryżu w roku 1963. Blisko czterdzieści lat potem nie straciły one nic ze swojej wartości. Jest to nie tylko znakomity obraz postawy samego autora, ale i jedna z najważniejszych publikacji w dziejach publicystyki polskiej.

Wittlin znalazł czas, aby obok swych wielu zajęć przełożyć wiele wybitnych dzieł literatury obcej: epopeję starobabilońską *Gilgamesz* (1922), powieść laureata Nobla Hermanna Hesse *Wilk stepowy* (1934), pięć powieści Józefa Rotha (1936–1939).

Poeta nie był kosmopolitą, ale nacjonalizm był mu zawsze obcy. Obchodziły go losy wszystkich ludzi i przemawiał do ich sumień. Wierzył w jedność rodzaju ludzkiego bez względu na te czy inne różnice narodowościowe:

Wszechświat przelewa się przez moje żyły
I płynie we mnie tysiaccbarwną strugą —
Świecie! ty moja ojczyzno!

(*Ballada-hymn*, 1920)

Z kolei zajmę się Janem Lechoniem (1899–1956), oczywiście na tle tego, co o nim napisał Terlecki.

Dla Terleckiego był on znakomitym poetą, a także niepospolitym rozmówcą (*causeur*). Jako attaché kulturalny w ambasadzie Rzeczypospolitej w Paryżu olśniewał dowcipem i inteligencją wszystkich: Polaków i Francuzów. Zdaniem Terleckiego był to jednak człowiek wewnętrznie rozdarty. Wybitna inteligencja „zwoziła go na manowce”, prowadziła „do pychy”, czego nie umiał pogodzić z „wielką, przeczuloną uczuciowością” i „duszą anielską”. Konflikt tych dwóch stron jednej natury popchnął w końcu Lechonia do samobójstwa. Taki pogląd wyraził Terlecki.

Skłonności samobójcze zdradzał Lechoń od lat i przynajmniej raz jeden zażył truciznę, co w porę zauważono, zastosowano środki lecznicze i poetę odratowano. Rozterkę, która nim targiała w ostatnich latach w Nowym Jorku przedstawił doskonale Aleksander Janta-Polczyński w szkicu „Nowojorskie dzieje i śmierć Jana Lechonia”. W ostatnich kilku tygodniach — jak to wiem skądinąd — do tej ciągłej samowątpliwości doszedł jeszcze kłopot nowy: obawa, że pewne bardzo intymne szczegóły jego życia prywatnego wyjdą na jaw i skompromitują go w oczach Polaków i władz amerykańskich, a przynajmniej jeszcze bardziej skomplikują jego codzienne bytowanie. Była to płonna obawa. W nadmiernie wrażliwym i nerwowym poecie, zmagającym się ostatnim wysiłkiem z nie leczoną depresją, wywołała ona groźny kryzys. 29 maja 1956 roku Lechoń zapisał w swoim *Dzienniku*: „Słup twardego smutku we mnie”, a 30 maja: „Nie jest to do wyrażenia, co przeżyłem dzisiaj. Nie w życiu, ale w sobie wewnątrz. [...] Można zawsze znaleźć w swej inteligencji, woli, sercu coś co pomoże nam w walce z życiem, z ludźmi. Ale na walkę z sobą — jest tylko modlitwa”.

Są to ostatnie słowa *Dziennika*. Modlitwa nie pomogła poecie. Ze swego oplotanego stanu znalazł Lechoń wyjście — tragiczne. 8 czerwca 1956 roku zabił się skacząc na bruk z dziesiątego piętra hotelu „Hudson” w Nowym Jorku.

Na wiadomość o jego śmierci ówczesny dyrektor nowojorskiego Biura Radia Wolna Europa Karol Wagner zwrócił się do bliskiego przyjaciela zmarłego — Kazimierza Wierzyńskiego o wspomnienie. Wierzyński był tak wstrząśnięty, że nie mógł się na to zdobyć. Zamiast niego o Lechoniem musiałem napisać ja. Nie wdając się w okoliczności śmierci poety podniosłem jego patriotyzm i zwróciłem uwagę na tematykę śmierci, zbyt często występującą w jego twórczości. Z pięciu głównych skamandrytów uważałem go za największy talent poetycki. Sam Lechoń najwyżej stawiał Tuwima.

Poznałem Lechonia przygodnie w nowojorskim Biurze Radia Wolna Europa. Tylko tam go widywałem. Pamiętając jego „Pieśń o Mackensenie”, którą znalazłem krótko przed wojną w jednym z numerów „Skamandra” z roku 1920, zapytałem pewnego razu poetę, dlaczego tego świetnego wiersza nie zamieścił ani w żadnym ze swoich zbiorów, ani w *Poezjach zebranych* (1954). Odpowiedział mi bez wahania, że nigdy czegoś podobnego nie napisał. Byłem zdumiony, ale nie nalegałem. Po kilku miesiącach postawiłem mu to pytanie ponownie. Wyjaśnił mi wówczas, że „Pieśni o Mackensenie” nie ogłosił ze względów politycznych. Znacznie później dowiedziałem się z jego *Dziennika*, że sprawa tego utworu wypłynęła w marcu 1953 roku w trakcie druku *Poezji zebranych*. Grydzewski, który tym się zajmował, „pół serio, pół żartem” chciał „Pieśń o Mackensenie” zamieścić. Lechoń do tego nie dopuścił. Choć sam uważał ten wiersz za dobry, jeden z najlepszych, był zdania, „że żaden zdrowy Polak nie może go czytać bez zmaconych uczuć — jeżeli nie bez wstrętu”. „Wiem, że Mackensen był prawdziwym rycerzem, jeśli to coś w naszych czasach znaczy — zapisał w *Dzienniku* 19 marca 1953 roku — ale trzeba nie mieć żadnego instynktu żeby nie rozumieć, że tu nie chodzi o prawdę, o moje pobudki, tylko o «imponderabilia»”. Mimo woli w rozmowie z Lechoniem dotknąłem jego bolesnego miejsca.

Bardzo pochlebna ocena Mackensena („rycerski”) świadczyła o tym, że Lechoń nie pofatygował się dowiedzieć o nim całej prawdy. Był to typowy militarysta niemiecki, który między wojnami światowymi domagał się głośno rewizji granicy zachodniej Polski na korzyść Niemiec i mając wpływ na koła wojskowe przyczynił się walcnie do poparcia Hitlera przez wojsko.

„Pieśń o Mackensenie” zwróciła moją uwagę zarówno swoją świetną formą, jak niezwykłym tematem u poety, który nie żywił specjalnych sympatii do Niemców. Feldmarszałek August von Mackensen był jednym z najwybitniejszych dowódców niemieckich na frontach: wschodnim i bałkańskim. Wbrew Lechoniowi na froncie zachodnim nigdy nie walczył. A jednak poeta przedstawił go w sytuacji, gdy wracał z frontu zachodniego. Pociąg przystanął na stacji. Feldmarszałek nie zwracając uwagi na ryki zbuntowanego tłumu i zastraszone twarze swoich towarzyszy, włożył na głowę czapę huzarską, wysiadł na peron i zewsząd otoczony:

Aż nagle odpiął palto, błysnęły ordery!
„Pour le mérite” — ktoś cicho w tłumie poszepnął wrogi
I ktoś runął jak długi, przypadł mu do nogi.

Ten to właśnie epizod skądś zasłyszany podziałał silnie na wyobraźnię Lechonia. W grudniu 1918 roku napisał na gorąco „Pieśń o Mackensenie” i wydrukował ją w roku 1919 w noworocznym numerze „Dziennika Powszechnego”. Jej wersję poprawioną ogłosił w roku 1920 w „Skamandrze” (nr 3), ale nie zdecydował się włączyć do pierwszego swego zbioru *Karmazynowy poemat*, wydanego w styczniu tegoż roku. Na Niemców patrzyli wtedy Polacy inaczej niż rok przedtem. Na koncie wojska niemieckiego były już takie ostre wystąpienia antypolskie, jak stłumienie pierwszego powstania śląskiego i kumanie się z Rosją bolszewicką, z którą Polska prowadziła wojnę. Opinia o Niemcach była wówczas wśród Polaków bardzo zła i nie poprawiła się nigdy za życia Lechonia, mimo oficjalnych flirtów Warszawy z Berlinem po układzie ze stycznia 1934 roku. W latach przedwojennych i wojennych stawała się nawet — i słusznie — coraz gorsza. Toteż „Pieśń o Mackensenie” ukazała się książkowo dopiero 34 lata po śmierci Lechonia, w roku 1990, w najpełniejszym dotąd zbiorze jego wierszy: *Poezje* nakładem Ossolineum.

Mnie jej epizod końcowy przypominał prawie identyczną scenę z filmu amerykańskiego „Ostatni rozkaz” z roku 1928 (o dziesięć lat późniejszego od wiersza Lechonia)

o generale rosyjskim z I wojny światowej i wojny domowej w Rosji. Jego rolę zagrał pół-Niemiec, pół-Amerykanin: Emil Janniges, świetny Neron w najlepszej chyba ekranizacji *Quo vadis* produkcji włoskiej (1924).

Myślałem, że Lechoń rozmawiając ze mną nic nie wiedział o mojej działalności poza radiowej. Ze zdumieniem dowiedziałem się jednak z jego *Dziennika*, że był na wieczorze nowojorskim poświęconym generałowi Leopoldowi Okulickiemu („Niedźwiadek”), ostatniemu dowódcy AK, zamordowanemu w więzieniu sowieckim. Pod datą 29 stycznia 1956 roku zapisał: „Uroczystość na cześć Okulickiego bardzo przejmująca i prawdziwa. Pomian mówił rzeczy ważne i nieznanne”.

Spod pióra Lechonia wyszły podczas wojny wiersze oddające doskonale sposób myślenia żołnierzy polskich walczących o niepodległość:

Żołnierz, który zostawił ślady swojej stopy
Na wszystkich niedostępnych drogach Europy [...]
Dowiedział się nareszcie, że sam nie ma ziemi
I wtedy ktoś rozumny, nie rozumny szalem,
Powiedział mu: „Od dawna wszystko to wiedziałem [...]
I powiedz sam mi teraz, czy to było warto”.
A żołnierz milczał chwilę i ujrzał w tej chwili
Tych wszystkich, co wracali i co nie wrócili
Tych wszystkich, którzy legli w cudzoziemskim grobie,
Co mówili: „wrócimy”, nie myśląc o sobie [...]
„Czy warto?”... Odpowiedział: „Ach, śmieszne pytanie!”.

(Przypowieść)

Terlecki omawia również Antoniego Bogusławskiego (1889–1956), tegiego poetę i tłumacza poetów jugosłowiańskich, dowborczyka, pułkownika dyplomowanego, który podczas wojny służył w Ministerstwie Obrony Narodowej i zajmował się sprawami prasowymi, a od roku 1943 piastował stanowisko szefa polskich korespondentów wojennych. Pochodził z rodziny ziemiańskiej o tradycjach żołnierskich. Jego pradziad — Ludwik Bogusławski (1773–1840), odznaczony przez Napoleona, był w czasie powstania listopadowego generałem i dowódcą dywizji, a po upadku powstania — zesłańcem w głąb Rosji na mocy decyzji cara Mikołaja I. Córka Antoniego — Teresa (1929–1945), młodociana poetka, harcerka, więziona i torturowana przez okupanta niemieckiego, uczestniczka powstania warszawskiego (szła mundury i opaski dla powstańców), kilka miesięcy po jego upadku zmarła w Zakopanem na gruźlicę, której się nabawiła w więzieniu. Miała 15 lat. Terlecki zamieścił w redagowanej przez siebie „Polsce Walczącej” (z 1 lipca 1945) wiersz Teresy „Echo listopadowe” (1943).

Antoni Bogusławski, czy jak go nazywali koledzy — Antoś — nie wiedział jeszcze wtedy o jej śmierci. Wiadomość o tym przeżył bardzo ciężko. Zatrzaszczył się o spuściznę pisarską swojej córki, wybrał najlepsze wiersze i wydał je w roku 1946 w Londynie pt. *Mogłom i cieniom*. Trochę obszerniejszy wybór poezji Teresy Bogusławskiej ukazał się w Warszawie w roku 1979 pt. *Wołanie z nocy*. Opracował go Józef Skrzypka.

Oto fragment jej „Listu”, wiersza do Warszawy z 19 października 1944 roku:

I dopiero po miesiącach... po latach...
Kiedy skończy się nasza udręka,
Nadciągniemy, jak ptaki do gniazda,
By przed Tobą w milczeniu pokłękać.
By powiedzieć, cudownej i świętej,

Że nam w sercach rozpała jasno,
Taką miłość i wiarę, i siłę,
Że do śmierci nie zgasną, nie zgasną...

W swojej własnej twórczości poetyckiej — wydał na emigracji cztery zbiory — poruszał często tematy wojskowe. Jego wiersze patriotyczne nim ujrzały światło druku rozchodziły się wśród Polaków londyńskich w maszynopisach. W oczach emigracji był poetą-żołnierzem.

Terlecki przeciwstawia się stanowczo temu określeniu. Jego zdaniem Antoni Bogusławski kontynuował „długotrwałą tradycję polskiej poezji rycerskiej, rycersko-ziemiańskiej”. Był poetą nim został żołnierzem.

Z Antosiem pozostawałem na stopie bardzo przyjaznej. Był mi bliski. Rozumiał, jak zresztą i Terlecki, konieczność upartej walki z Niemcami na każdym kroku mimo straszliwej groźby sowieckiej. Wyczuwał doskonale właściwy sens powstania warszawskiego. W niezwykle trudnych czasach zachował poczucie humoru. Siadywałem z nim przy jednym stole w kasynie oficerskim w Londynie i przysłuchiwałem się dykteryjkom, którymi sypał jak z rękawa. Mówił o konkretnych osobach, wszystkim nam znanym i świadomie koloryzował. Było w nim coś z Pana Zagłoby.

Za cel swoich żartów obrał sobie m.in. generała Tadeusza Malinowskiego, który odznaczał się manierami starego kawalera, choć nim nie był. Gdy na wiosnę 1944 roku przyleciałem z Kraju do Londynu przyjrzał mi się swoimi wielkimi sarnimi oczami i wyraźnie wzruszony powiedział: „Ach, jakiś ty nędzny!”. Generał do wszystkich oficerów zwracał się per ty. Byłem istotnie bardzo wynędzniały po przeszło czteroletniej służbie w Podziemiu.

Malinowski kierował wtedy Biurem Oświaty i Opieki nad Żołnierzami w Ministerstwie Obrony Narodowej. Pewnego razu jedna z interesantek w toku rozmowy z nim dostała histerycznego ataku płaczu. Generał bardzo się zmieszał. Gdy wyszła, Bogusławski obecny przy rozmowie zauważył: „Tak nie można mówić z kobietami, panie generale. Trzeba znać trochę kobiety”. Malinowski się zachnął: „Pułkowniku, wypraszam sobie takie uwagi! Ja nie znam kobiet? Mam przecież siostrę!”

Innym razem Bogusławski opowiadał o swoim koledze pułkowniku Leskim, który pochodził z rodziny żydowskiej i przybrał to nazwisko, gdy się wychrzcził. Stale w kłopotach finansowych, latał po pieniądze do swego ojca, ortodoksyjnego Żyda. Aż kiedyś stary nie wytrzymał: „Co ty ciągle przychodzisz po pieniądze do starego Nusbauma? Idź sobie do papy Leskiego!”

Terlecki nie widział nigdy Antosia zagniewanego. Ale ja widziałem. W okresie powstania warszawskiego na wiadomość, że Brytyjczycy wstrzymali loty nad Warszawę z zaopatrzeniem dla powstańców ze względu na zbyt wielką odległość z bazy włoskiej. Bogusławski zawrzał oburzeniem i napisał wiersz „Pomoc dla Warszawy”, którego jeden z maszynopisów mnie doręczył:

Znów — „strzelać nie kazano”, znów — „nie doradzano”.
Buchnęła krew Warszawy niezbliznioną raną:
krew na murach, na bruku i krew na chodniku...
Dać pomoc — za daleko.
Czy słyszysz, Angliku?
Słyszysz zza Oceanu możny kombatancie
A i ty — ciągle za Wisłą — „aliantów alianacie”? — [...]
Pięć lat żołnierskiej walki, przy ramieniu ramie...
Kto Wam tu prawdę mówi, a kto tu Wam kłamie?
Przywołajcie w pamięci niepodległe lata:

Kto pierwszy się zastawił orężem od kata?
z kim zwiążaliście sojusz w dobrowolnym słowie?
Pytajcie staroświecko sumienia.
Odpowie.

Sumienie odpowiedziało. Brytyjczycy wznowili loty. Amerykanie wysłali wielką wyprawę lotniczą.

Terlecki rozsiał w swojej książce zastanawiające obserwacje także i o pisarzach, których nie omówił. Tak np. w szkicu o uczonej romaniście, pisarzu i polityku Stanisławie Strońskim stwierdził, że Leopold Staff to „może największy poeta refleksyjny, jakiegośmy mieli, liryk intelektualistyczny, filozof liryki, jak go nazwał przyjaciel i inspirator Ortwin”.

Jeśli już jestem przy Strońskim muszę przypomnieć, że słynął on przed wojną ze swoich wtęgotów (zwischenrufów). Po jednym z jego przemówień sejmowych poseł sanacyjny Józef Sanojca wszedł na trybunę i zagrział: „Pan poseł Stroński znów wsiadł na swego konia”. W tym miejscu Stroński przerwał mu z sali: „Tylko nie na osła, panie pośle, tylko nie na osła!”

Sala sejmowa zatrzęsa się od śmiechu.

Wymieniam na zakończenie pozostałe osoby, którymi zajął się Tymon Terlecki w swojej książce *Spotkania ze swoimi*. Oto one: pisarze, krytycy literaccy i historycy literatury — Bolesław Leśmian, Ostap Ortwin, Juliusz Kleiner, Stefan Napierski, Stefan Essmanowski, Ludwik Hieronim Morstin, Ignacy Baliński, Maria Pawlikowska Jasnorzewska, Stefania Zahorska, Andrzej Bobkowski, Jerzy Stempowski, Tadeusz Sułkowski, Aleksander Janta-Pończyński, Wiktor Bruner, Herminia Naglerowa, Beata Obertyńska, redaktor i historyk Mieczysław Grydzewski, typograf Samuel Tyszkiewicz, aktorzy i reżyserzy teatralni: Juliusz Osterwa, Leon Schiller, Wilam Horzyca, Stanisława Wysocka, Stanisław Stanisławski, Edmund Wierciński, Mieczysława Ćwiklińska, Arnold Szyfman, Elżbieta Barszczewska. Nie jest to nasz zupełny współczesny Panteon, nawet emigracyjny. Terlecki dał sylwetki tylko niewielu. Przebierał. Mimo to przedstawił obraz wielkich rozmiarów. Gdybym ja z kolei przystąpił do omówienia wszystkiego, co o nich napisał Terlecki i dorzucił swoje uwagi, powstałaby nowa, obszerna książka, na którą w moim podeszłym wieku już mnie nie stać.

Pozwolę sobie na parę jeszcze spostrzeżeń. Najpierw coś niecoś o Mieczysławie Grydzewskim, redaktorze „Skamandra”, „Wiadomości Literackich”, a na emigracji „Wiadomości Polskich” i po prostu „Wiadomości”, autorze bardzo dobrej antologii: *Wiersze polskie wybrane* (Londyn 1946). Spotykałem się z nim w Londynie wielokrotnie. Mówiliśmy przeważnie o poezji i poetach. Raz jednak zaskoczył mnie i bardzo zastanowił. Oto w dniu, w którym ogłoszono niepodległość Izraela (14 maja 1948 r.) powiedział mi przy kawie: „Wie pan, nie jestem już Żydem-Polakiem tylko Polakiem. Nic mnie nie ciągnie do Izraela. Wszystko mnie łączy tylko z Polską i z Polakami. Powtarzam jestem już tylko i wyłącznie Polakiem”. I był nim do końca życia. Mało kto z jego i z późniejszego trochę mego pokolenia zrobił tyle dla kultury polskiej, co on. Był jednym z tych niewielu, bez których dzieje kultury polskiej potoczyłyby się inaczej, znacznie ubożej.

Samuela Tyszkiewicza nie znałem. Słyszałem jednak o nim i gdy mi Tymon doradził, abym mu przesłał swoją książkę o powstaniu warszawskim do wydania, zastosowałem się do jego rady. Tymon napisał tyle w swojej książce o tej sprawie:

Przed chorobą zaczął Tyszkiewicz wielką pracę, jedną z największych, jaką kiedykolwiek wykonał: monumentalny zbiór dokumentów o powstaniu warszawskim opracowany przez

Andrzeja Pomiana. Nie skłonny do łatwych rozczuleń pisał mi, że pracując nad tą książką chodzi po ulicach swego rodzinnego miasta, współżyje z nim w najcięższej, najtragiczniejszej najwspanialszej chwili jego istnienia. Ostatnie złożone arkusze *Powstania* miałem w rękę wiosną tego roku. Pozostało nie skończone.

W gruncie rzeczy było dopiero zaczęte. Całość składała się nie tylko z dokumentów w całym technicznym znaczeniu tego słowa, ale i z mojej rozprawy o powstaniu i z obszernego wyboru prasy powstańczej. Po śmierci Tyszkiewicza wdowa po nim, Włoszka, nie chciała mi zwrócić mego maszynopisu. Pozostał u niej. Cały mój ogromny wysiłek spełził na niczym, o co zresztą nie miałem żadnej pretensji do Tymona.

O Juliuszu Osterwie Tymon napisał: „Wątpię, czy był w Polsce ktoś, kto by się nie poddał magii tej osobowości aktorskiej”. Należałem do tych wielu, którzy jej ulegli. Nie będę się tu zajmować jedną z największych jego kreacji scenicznych: Przełęckim w jedynym wybitnym dramacie Żeromskiego *Uciekła mi przepióreczka*. Chcę tylko kilka słów poświęcić znaczeniu jego „Reduty” na Kresach. Objeżdżał z tym zespołem aktorskim miasta i miasteczka na Ziemiach Wschodnich. Był wszędzie tam, gdzie miejscowi Polacy łaknęli słowa polskiego ze sceny. Pamiętam ze swoich lat szkolnych w Ostrogu na Wołyniu *Sułkowskiego* Żeromskiego w reżyserii Osterwy i z nim samym w roli tytułowej. Z tej rozgadanej, rozdeklamowanej, dość słabej sztuki teatralnej potrafił Osterwa uczynić wstrząsający dramat patriotyczny. Widziałem w przedwojennej Polsce, głównie w Warszawie, kilkaset przedstawień teatralnych z najwybitniejszymi aktorami. Mieliśmy wtedy jeden z największych teatrów w Europie. Nie ustępowaliśmy nikomu. Wbił mi się jednak szczególnie w pamięć właśnie *Sułkowski*. Osterwa był nie tylko znakomitym reżyserem i aktorem. Był wielkim kapłanem kultury polskiej, za moich czasów — niezrównanym.

Gdy czytałem słowa Tymona o Osterwie w *Spotkaniach ze swoimi*, znakomity aktor stanął mi przed oczami jak żywy. Dobrze, że zjawił się przede mną w ujęciu Tymona Terleckiego. Dzięki temu powiał mi na emigracji wiatr od mojej Polski.

HISTORIA JEDNEJ RECENZJI — PRZYCZYNEK DO LOSÓW *LITERATURY POLSKIEJ* *NA OBCZYŹNIE 1940–1960*

Rafał MOCZKODAN (Toruń)

W numerze 11 (937) „Wiadomości” z 16 marca 1964 roku została opublikowana „Rozmowa o *Literaturze polskiej na obczyźnie*”, którą z redaktorem tej pracy, Tymonem Terleckim, przeprowadził Janusz Kowalewski. Był to pierwszy tekst, jaki na jej temat ukazał się w prasie. Z jednej strony stanowił on rodzaj zapowiedzi, której celem było poinformowanie czytelnika o zawartości przygotowanych do druku tomów, z drugiej zaś miał przybliżyć odbiorcy historię ich powstania.

Odpowiadając na pytanie Kowalewskiego o zawartość *Literatury polskiej na obczyźnie* Terlecki stwierdził:

— Tom pierwszy [...] obejmuje głównie, prawie wyłącznie, literaturę „czystą” — prozę, poezję, dramat, essay i krytykę artystyczną plus literatura religijna i wojskowa oraz obszernie opracowanie „Udziału Polaków w literaturach zachodnich”. Tom drugi obejmie takie działy jak literatura dokumentarna i osobno literatura dokumentarna w czasopiśmie, publicystyka, słowniki i encyklopedie, przekłady na język polski, czasopiśmiennictwo, literatura dla dzieci i młodzieży, bibliografia bibliografii, nawet nekrologia¹.

Mówiąc natomiast o celach i zadaniach tego opracowania, nazwał je „przedsięwzięciem czysto poznawczym”, po czym dodał: „Nie zawiera ani bezpośrednich polemik ani artykułów propagandowych, ani nawet zwrotów tego rodzaju. [...] zawsze uważałem i uważam za najlepszy rodzaj «propagandy» — nie polemikę, lecz mowę faktów. Fakty mówią dobitniej niż insynuacje i połajanki”². Ton tej wypowiedzi korespondował wyraźnie z otwierającym pierwszy tom *Literatury...* „Wstępem redakcyjnym”, w którym Ter-

¹ J. Kowalewski, *Rozmowa o „Literaturze polskiej na obczyźnie”*, *Wiadomości* 1964 nr 11 (937) s. 4.

² Tamże.

lecki rozwijał i uzupełniał powyższe stwierdzenia, posługując się sformułowaniami podobnymi do tych, jakich użył podczas udzielania wywiadu:

Ma to być rejestr, inwentarz, bilans. Metodą przyjętą, a przynajmniej założoną u wstępu, jest możliwie ścisła i wyczerpująca systematyzacja opisowa zjawisk, ich wstępna analiza. Opis przeważa tu nad sądem wartościującym, porządkowanie – nad hierarchizacją³.

Podobieństwa między „Wstępem” a wywiadem były z pewnością spowodowane czasową zbieżnością powstania obu tekstów — przypomnijmy, że zgodnie z informacją podaną pod „Wstępem” powstał on zaledwie w dwa miesiące przed ukazaniem się wywiadu („Londyn, w styczniu 1964 r.”).

Jak wspomniano, podczas rozmowy z Kowalewskim Terlecki przybliżył także czytelnikom „Wiadomości” historię całego przedsięwzięcia⁴. Można tam odnaleźć takie oto wspomnienie dotyczące początków prac nad *Literaturą*...:

Gdy w r. 1955 wpadłem na pomysł *Literatury emigracyjnej* i przedstawiłem go na zarządzie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, nie zdawałem sobie sprawy, nie zdawali sobie również sprawy ci, co wraz ze mną podjęli ten pomysł, że będzie tak rósł w rękach, rozrastał się nam w oczach, dorobek pisany, powstały poza polską w czasie drugiej wojny światowej i potem. Byliśmy jak ludzie w lesie, którzy nie mogą ogarnąć wzrokiem całości leśnego obszaru⁵.

Następnie przedstawione zostały kolejne etapy realizacji tego zamiaru z wyraźnym położeniem nacisku na różnorodne problemy, z jakimi przyszło borykać się zarówno autorom szkiców, jak i redaktorowi. Kończąc swą opowieść ten ostatni przedstawił stan, w jakim prace znalazły się na początku 1960 roku:

Na wiosnę 1960 r. praca dociągnięta do końca r. 1958 była gotowa w stanie surowym i można było myśleć o jej wydaniu. Wtedy wyłoniły się trudności natury przede wszystkim materialnej, które postawiły całe przedsięwzięcie pod znakiem zapytania. Nim [...] udało się te trudności przezwyciężyć, minął rok z okładem, a praktycznie — dwa lata. Wreszcie, na początku 1962 r. można było przystąpić do finalizowania książki⁶.

Do końca prac było jeszcze daleko. Terlecki podkreślił, że dwuletnie „przewyciężanie «oporu materii»” spowodowało przedawnienie informacji zawartych w książce, w związku z czym „trzeba ją było jeszcze raz, drugi i trzeci uzupełniać”. W efekcie praca, która „pierwotnie miała objąć 15-lecie literatury poza Polską, 1940–1955”, a jej przygotowanie zostało zaplanowane na dwa lata, ogarnęła swym zasięgiem „22 lata — od r. 1940 do połowy 1962”, zaś jej opracowanie zajęło lat dziewięć⁷.

W przywołanej historii powstawania *Literatury*... istnieje jednak pewna „biała plama”, której ramy czasowe zamykają się między początkiem roku 1962 a styczniem roku 1964, kiedy to (jak wolno nam wnosić z umieszczonej pod „Wstępem redakcyjnym” daty) praca uzyskała swój ostateczny kształt. Informacje o tym, co działo się w owym czasie z *Literaturą polską na obczyźnie*, przynosi zachowana korespondencja Terleckiego z redaktorem „Wiadomości”⁸. Okazuje się, że w tym okresie Mieczysław Grydzewski był

³ T. Terlecki, *Wstęp redakcyjny*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960, t. 1*, pod red. T. Terleckiego. Londyn 1964 s. 8.

⁴ Analogiczny fragment znalazł się we *Wstępie*.

⁵ J. Kowalewski, *Rozmowa...*, s. 4.

⁶ T. Terlecki, *Wstęp redakcyjny...*, s. 7–8.

⁷ J. Kowalewski, *Rozmowa...*, s. 4.

⁸ Wszystkie cytaty z tej korespondencji pochodzą z Archiwum „Wiadomości” znajdującego się w Archiwum Emigracji UMK w Toruniu, sygn. AE/AW/CCCXVII oraz sygn. AE/AW/CCCXVIII.

zasypywany przez niego prośbami o nadesłanie kolejnych numerów londyńskiego tygodnika oraz innych materiałów, niezbędnych do uzupełniania i poprawiania informacji zawartych w pierwszym tomie pracy. Zacytujmy przykładowy:

W związku z *Literaturą polską na obczyźnie* potrzeba mi nast[ępujących] nr-ów „Wiadomości”:

1959: 17/682, 19/684, 21/686, 29/695, 30/696, 33/698, 34/699, 35/700, 37/702, 39/704, 43/708, 44/709, 45/710, 46/711, 47/712

1960: 2/719, 5/722, 7/724, 8/725, 10/727, 23/740, 24/741, 25/742, 26/743, 27/744, 29/746, 31/748, 32/749, 39/756, 40/757, 41/758, 48/765.

Jest to olbrzymi dezyderat i niestety pilny. Gdyby Pan tak uznał, gotów jestem zwrócić kosztą⁹.

Ostatni taki list z prośbą o materiały nosi datę 23 listopada 1963 roku — zapewne wówczas Terlecki nanosił ostatnie poprawki. Kończąc pracę redakcyjną zaczął też zabiegać o nagłośnienie całego przedsięwzięcia. W liście z 1 stycznia 1964 roku pisał do Grydzewskiego:

Kowalewski jest prawie gotów z wywiadem o tej książce [*Pani Helenie* — przyp. R. M.], ale ja chciałbym Pana uprosić, żeby go przełożyć na drugie miejsce i przedtem zrobić wywiad o *Literaturze emigracyjnej*. Pierwszy tom (ponad 700 stron) dobją wreszcie końca i taki interview porządnie, interesująco zrobiony byłby nieocenioną usługą dla tego szaleńczego przedsięwzięcia, które mi zabrało kilka lat życia. Jeśli Pan się zgodzi, ja zrobię co trzeba i możliwie szybko¹⁰.

Warto się zastanowić dlaczego Terleckiemu zależało tak bardzo na przygotowaniu i publikacji wywiadu, skoro zdecydowana większość informacji w nim podanych znalazła się też we „Wstępie” do pierwszego tomu *Literatury...*? Wydaje się, że odpowiedzi na to pytanie należy poszukiwać z jednej strony w podejściu jego samego do własnego dzieła, z drugiej zaś w obawach, jakie żywił on w stosunku do przyszłych losów tej pracy.

Zauważmy, że w zacytowanym liście pojawia się dość zaskakujące — przynajmniej można odnieść takie wrażenie — określenie *Literatury...* mianem „szaleńczego przedsięwzięcia”. Jednak w kontekście innych listów zdaje się ono dobrze oddawać stan ducha, w jakim na przełomie 1963/1964 roku znajdował się Terlecki. W korespondencji do Grydzewskiego stosunkowo często dawał wyraz zmęczeniu czy wręcz zniechęceniu, jakie towarzyszyło mu w ostatnim etapie prac nad *Literaturą polską na obczyźnie*. Pierwszy taki sygnał pojawił się we wspomnianym liście z 23 listopada 1963 roku, gdzie ostatnia prośba o materiały przyjęła formę: „Byłbym wdzięczny za egzemplarze nr 768/9, 707 i 861 «Wiadomości» — to ciągle ta nieszczęsna *Lit[eratura] em[igracyjna]*”. W podobnym duchu wyrażał się o swym dziele na początku 1964 roku pisząc o „kołowrotku z *Lit[eraturą] em[igracyjną]*” (16.01.1964).

Jednocześnie o skali prac, jakie zostały do wykonania, i zmęczeniu nimi świadczy też fakt, iż niekiedy zabiegi dążące do sfinalizowania kilkuletniego przedsięwzięcia służyły Terleckiemu jako wymówka i usprawiedliwienie. Tłumacząc się przed Grydzewskim z opóźnień w nadsyłaniu zamówionych tekstów zasłaniał się koniecznością dopracowania wszystkich szczegółów związanych z *Literaturą*. W liście z 11 lutego 1963 roku pisał:

⁹ List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 15.05.1963 r., podkr. autora.

¹⁰ Do pomysłu redaktor *Literatury...* powrócił w tydzień później (list z 07.01.1964 r.), a w *post scriptum* do listu z 21.01.1964 r. (datacja niepewna) pisał: „Czy zgodziłby się Pan, żeby wywiad o *Literaturze emigracyjnej* zrobił Dobek, bo z Kowalewskim jakoś nie wychodzi.” Ostatecznie jednak, jak wiemy, wywiad przeprowadził Janusz Kowalewski.

„Edena postaram się zrobić jak najprędzej, ale proszę o odrobinę cierpliwości, bo uginam się pod *Literaturą emigracyjną* (diabeł mnie podkusił żeby się za to zabrać — teraz mam za swoje)”, a w rok później wyjaśniając powody, dla których nie nadesłał jeszcze recenzji stwierdził: „Nie zrobiłem tego z powodu katastrofy mego życia — *Literatury emigracyjnej*” (12.02. 1964 r.).

Naturalnie jakkolwiek by owa „katastrofa” nie zmęczyła swego twórcy i animatora, jej dalsze losy były mu niezwykle bliskie. Dlatego zabiegał o publikację wywiadu, który — jak wolno się nam domyślać — miał uchronić *Literaturę...* przed pretensjami ze strony urażonych pisarzy, w ich mniemaniu niedostatecznie wyróżnionych w tej pracy. Zapewne dlatego Kowalewski kończąc wywiad zadał Terleckiemu następujące pytanie:

Czy nie obawia się pan — i autorzy poszczególnych opracowań — że mogliście kogoś pominąć, pomniejszyć — w jego lub jej pojęciu — i że z tego powodu będziecie mieli od „niedocenionych” pretensje, przykrości?

W odpowiedzi redaktor *Literatury...* stwierdził:

[...] o tej naszej drażliwości piszę nawet we wstępie redakcyjnym do *Literatury*. Czy się nie obawiam, że po wyjściu książki drażliwość polska da mi znać o sobie? Już mi się dała we znaki w toku pracy. Przez tę drażliwość cała impreza o mało się nie wykoleiła. My lubimy się obrażać. Praca nad żywym organizmem i ogromnym materiałem, w takich warunkach, zapewne nie będzie wolna od drobnych usterek, może nie zdoła zadowolić wszystkich ambicji, nie dorosnie do wszystkich wyobrażeń o sobie. Mogę tylko stwierdzić za współpracowników i za siebie że staraliśmy się, ze wszystkich sił, z najlepszą wolą, o to by nie pominąć żadnej rzetelnej pracy¹¹.

Jak się okazało, obawy te nie były bynajmniej płonne. Można przywołać kilka reakcji na książkę, które wymieniały pominięte w niej nazwiska, choć wbrew przewidywaniom nie były to głosy samych zainteresowanych¹². Jednocześnie jednak — jak zauważył Czesław Dobek — mimo że uwagi te były wystosowywane przez pisarzy, którzy „upominali się naturalnie nie o siebie, ale o swoich kolegów, żądali naprawienia krzywdy komu innemu”, to jednak „czuć było w tym proteście urazę osobistą”¹³.

Ostatecznie pierwszy tom *Literatury polskiej na obczyźnie 1940–1960* ukazał się wiosną 1964 roku. Pierwsze recenzje pojawiły się w czerwcu tegoż roku. Anonimowa nota w „Ostatnich Wiadomościach” wniosła się do książki entuzjastycznie, choć jej autor skupił się przede wszystkim na przedstawieniu zawartości pracy¹⁴. Natomiast omówienie w „Środku Literackiej” obok informacji głoszącej, że tom ten był „od dawna oczekiwany i zapowiadany (sama praca drukarska nad nim trwała 15 miesięcy)”, przyniosło ostrożną, choć w swej wymowie pochlebną ocenę tego faktu: „Ukazanie się pierwszego tomu *Lite-*

¹¹ J. Kowalewski, *Rozmowa...*, s. 4.

¹² Por. np.: J. Żurawicka, *Piśmiennictwo polskie na emigracji*, *Kultura i Społeczeństwo* 1965 nr 3 s. 195–199 (była to jedna z trzech recenzji opublikowanych w Polsce); B. Czaykowski, *Piśmiennictwo polskie na obczyźnie*, *Kultura* 1964 nr 11 (205) s. 114–128; S. Piekut, *Synteza literatury emigracyjnej*, *Kultura* 1967 nr 3 (233) s. 128–132; Cz. Bednarczyk, *Książka o literaturze polskiej*, *Kontynenty* 1964 nr 69 s. 4–6; Czytelnik z USA, [List do Redakcji], *Kontynenty* 1965 nr 82 s. 20. Zdarzały się i takie wypowiedzi, w których autorzy nie tyle zgłaszali pretensje, co raczej prostowali nieścisłości i błędy, jakie wkrały się do opracowania w związku z ich twórczością czy nazwiskami, zob. np.: J. Niemojowski, *Jeden autor pod trzema nazwiskami*, *Wiadomości* 1965 nr 7 (985) s. 6.

¹³ Cz. Dobek, „Szkłana kula” i kwadratura koła, *Orzeł Biały* 1965 nr 7 (1154) s. 28.

¹⁴ 1 tom „*Literatury emigracyjnej*”, *Dodatek Tygodniowy „Ostatnich Wiadomości”* 1964 nr 22 (780) s. 2.

ratury polskiej na obczyźnie jest niewątpliwie wielkim wydarzeniem kulturalnym”¹⁵. W podobnym tonie wypowiedziała się na ten temat redakcja „Kontynentów”¹⁶, choć już zakończenie noty odnotowującej ukazanie się książki zapowiadało wymowę dwóch następujących po niej recenzji: „Uważamy, że należy wszelkie wydawnictwa emigracyjne omawiać «bez taryfy ulgowej» w duchu szczerości i prawdy”¹⁷. Rzeczywiście opinie wyrażone przez Czesława Bednarczyka i Zbigniewa Grabowskiego dalekie były od entuzjazmu. Ten pierwszy uznał, że na *Literaturę*... „szkoda było starań drukarzy i introligatora. Nie uratuje tej książki zapowiadany we wstępie aneks, «który zawrze uzupełnienia i sprostowania». Jest to zła książka. Książka-widmo, która będzie straszyć i mylić żeglujących po naszej literaturze”¹⁸, zaś drugi dodał, że choć „wykazuje [ona — przyp. R.M.] wielki trud, duże dobre chęci”, to jednak „w sumie wydaje się pracą poronioną”¹⁹.

Z pewnością opinie te nie przypadły Terleckiemu do gustu²⁰ — zapewne dlatego zaczął zamyślać o zaproponowaniu jednemu z emigracyjnych krytyków przygotowania kolejnej recenzji z przeznaczeniem do druku na łamach „Wiadomości”²¹. I — jak można się domyślać — zupełnie się nie spodziewał, że kolejna negatywna opinia na temat jego pracy wyjdzie spod pióra redaktora londyńskiego tygodnika. Nastąpiło to 27 września 1964 roku, gdy to w numerze 39 (965), w dziale „Książki nadesłane” *Literatura*... została odnotowana z dodaniem drobnego, lecz wymownego komentarza:

Nieopatrzenie tego rodzaju dzieła, rojącego się od tysięcy nazwisk, w indeks jest zbrodnią na skalę zupełnie niezwykłą. Obietnica, że indeks ukaże się w tomie drugim nie stanowi nawet okoliczności łagodzącej²².

Nota ta czy choćby owa krytyczna uwaga musiała być znana Terleckiemu jeszcze przed publikacją, bowiem na zacytowany zarzut odpowiedział już w liście z 25 września 1964 roku. Pisał w nim m.in.:

Ma Pan rację z indeksem do *Lit[eratury] em[igracyjnej]*, ale mam pod ręką dwutomową *A Critical History of English Literature* Davida Daichesa z jednym indeksem do obu tomów. Chciałem zrobić skorowidze osobne, bo oba tomy stanowią zamknięte całości, ale Świdorski upierał się, tak przypuszczam, z wyrachowania handlowego przy łączonym indeksie. Byłbym może postawił na swoim, gdyby nie to, że nam druk I tomu zabrał przeszło 1½ roku i chciałem żeby się wreszcie skończył. Indeks (w kartkach) jest do dyspozycji Pana. Wystarczy, żeby p. Grocholski zadzwonił, Tola [Korian] udzieli każdej potrzebnej informacji.

Odpowiedź na pytanie dlaczego wobec tego Grydzewski — przychylny Terleckiemu — zdecydował się na publikację tej noty w takiej właśnie formie, pozostaje jedynie

¹⁵ ff, *Literatura polska na obczyźnie. Bilans pisarski naszej emigracji*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 03.06.1964 s. 3.

¹⁶ „Pojawiła się książka, która stanowi na pewno swojego rodzaju wydarzenie w kulturalnym życiu emigracji.”

¹⁷ Redakcja „Kontynentów”, *Dwugłos o książce „Literatura polska na obczyźnie 1940–1960”*, Kontynenty 1964 nr 69 s. 4.

¹⁸ Cz. Bednarczyk, *Książka o literaturze polskiej*, Kontynenty 1964 nr 69 s. 6.

¹⁹ Z. Grabowski, *Ogromny trud — nieudane dzieło?*, Kontynenty 1964 nr 69 s. 8.

²⁰ *Polska Bibliografia Literacka* odnotowuje jeszcze jedną recenzję z tego okresu — omówienie Jana Ostrowskiego, które miało się ukazać w „Orle Białym” w numerze 27/28 na stronie 9. Do tekstu tego nie udało mi się dotrzeć.

²¹ W liście z 10.09.1964 roku pisał do Grydzewskiego: „Byłem przekonany, że zgłoszenie się Bielatowicza z gotowością napisania recenzji zastanie już egzemplarz w rękach Pana”.

²² *Książki nadesłane*, *Wiadomości* 1964 nr 39 (965) s. 4.

w sferze domysłów²³. Faktem jest jednak, że sprawa indeksu powracała jeszcze kilka razy w różnych recenzjach i notach dotyczących pierwszego tomu *Literatury...* (w tym także na łamach „Wiadomości”) — zarzut Grydzewskiego poparł Zbigniew Grabowski²⁴, natomiast w sukurs Terleckiemu przyszli Jan Kowalik²⁵ i — z pewnymi zastrzeżeniami — Marian Kukiel²⁶.

Jednak kwestia indeksu nie wydawała się dla samego Terleckiego priorytetowa — zapewne w momencie wysłania do Grydzewskiego listu z wyjaśnieniem uznał ją za zakończoną i już do niej nie wrócił. Natomiast żywo — jak już wspomniano — interesował się możliwościami ewentualnego zamówienia recenzji, która miałaby się ukazać na łamach „Wiadomości”. W cytowanym już liście z 10 września 1964 roku Terlecki prosił redaktora londyńskiego tygodnika:

Niech [...] Pan [...] zgodzi się, żeby B[ielatowicz] pisał recenzję. Zresztą jeśli Pan woli kogoś innego z góry, bez zastrzeżeń i sprzeciwów się na to godzę. Chodzi mi o to żeby ta cegła nie poszła w wodę bez śladu i echa.

Najwidoczniej jednak kandydat zgłoszony przez Terleckiego nie przypadł Grydzewskiemu do gustu. Być może przewidywał on, że recenzja napisana przez Jana Bielatowicza wyda się nazbyt stronniczą, gdyż jej potencjalny autor był zbyt blisko związany z pracami nad recenzowanym dziełem²⁷. Obaj redaktorzy zaczęli poszukiwać innej kandydatury.

Tymczasem ukazywały się kolejne — zdecydowanie negatywne — omówienia i noty dotyczące pierwszego tomu *Literatury...* Bogdan Czaykowski zarzucał pracy przede wszystkim chaotyczność (przyjęte przez różnych autorów metody porównał do „szatkowania kapusty”)²⁸, Beata Fischer „brak jednolicie przemyślanej koncepcji redakcyjnej”²⁹, zaś Czesław Dobek nie wartościując pracy jednoznacznie wykazywał pojawiające się w niej uchybienia i błędy³⁰. Opinie recenzentów podzielali także niektórzy czytelnicy³¹.

W kontekście tych opinii nie dziwi, że Terleckiemu zależało na szybkim przygotowaniu recenzji równoważącej te sądy. Jednak nie był w tym na tyle zdeterminowany, aby — wbrew wcześniejszej deklaracji — przyjmować bezkrytycznie wszelkie propozycje

²³ Zapewne list Terleckiego dotarł do Grydzewskiego zbyt późno. W ogóle w owym czasie korespondencja między dwoma redaktorami była nieco utrudniona. Świadczy o tym choćby to, że pierwszy tom *Literatury...* przez dłuższy czas nie mógł dotrzeć do rąk Grydzewskiego, przed którym Terlecki tłumaczył się w liście z 10.09.1964 r.: „Bardzo przepraszam za zamieszanie z *Literaturą emigracyjną*. Nie wiedziałem że wydawca — z jemu tylko wiadomych powodów — opóźnił wysyłkę egzemplarza recenzyjnego. [...] Przykro mi że wyszło nieporządnie i nie fair z mojej strony. Niech mi Pan to wybaczy [...]”.

²⁴ Z. Grabowski, *Ogromny trud...*, s. 9.

²⁵ J. Kowalik, *Sprawa indeksu*, *Wiadomości* 1965 nr 3 (981) s. 4.

²⁶ M. Kukiel, *Zbrodnia czy tylko szkoda?*, *Wiadomości* 1965 nr 8 (986) s. 6.

²⁷ We *Wstępie redakcyjnym* (s. 11) Terlecki pisał: „Niemał od pierwszego dnia, od chwili rozpoczęcia się tej książki do momentu jej zamknięcia, służył mi koleżeńską i braterską pomocą Jan Bielatowicz, choć ciężka choroba nie pozwoliła mu na planowany przez nas obu udział autorski. Przez ten cały czas był on moją drugą parą oczu, drugim mózgiem, drugą pamięcią, drugim rozważaniem krytycznym. Jego wkład do książki jest niewymierny”.

²⁸ B. Czaykowski, *Piśmiennictwo polskie...*, s. 114–128.

²⁹ B. Fischer, *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*, *Problemy Poloni Zagranicznej* 1964–1965 t. IV s. 269–272.

³⁰ Cz. Dobek, „*Szklana kula*”..., s. 28.

³¹ Dwaj czytelnicy z Londynu ([List do redakcji], *Kontynenty* 1964 nr 71 s. 20) stwierdzili: „Wszystko to co napisaliście w ocenach Bednarczyka i Grabowskiego o *Literaturze* Terleckiego to szczerą prawdą... Tom ten jest poroniony”.

Grydzewskiego. Dlatego, gdy w czerwcu 1965 roku redaktor „Wiadomości” zaproponował przygotowanie omówienia Juliuszowi Sakowskiemu, Terlecki odniósł się do tego pomysłu z dużą dozą sceptycyzmu:

Co do *Literatury emigracyjnej* bardzo bym się cieszył, gdyby Sakowski chciał i mógł o niej napisać. Ale on jest przywalony „Dziennikiem”, książkami, procesami, od kilku lat nie napisał ani jednego zdania, jak Pan [...] wyobraża Go sobie mocującego się z książką, która w sumie będzie miała 1.400 stron druku?³²

Powątpiewając w to, czy Sakowski zdoła się uporać z tak dużą pracą, redaktor *Literatury*... proponował innego kandydata: „O Pankowskim myślałem nie jako prozaiku, ale historyku literatury: doktoryzowanym niedawno, wykłada na uniwersytecie. [...] Ale niech się dzieje wola Twoja, a nie moja, Panie.” Grydzewski nie dał się jednak przekonać i obstawał przy swoim. Niestety plany pokrzyżowała mu choroba autora *Asów i dam*. Dlatego w dwa tygodnie po cytowanym liście Terlecki, pytając redaktora londyńskiego periodyku: „[...] czy wobec choroby Sakowskiego nie uważałby Pan za stosowne zmienić osoby recenzenta *Literatury emigracyjnej*”, ponownie sugerował, żeby propozycję tę złożyć Pankowskiemu. Jednak przywiązany do swego pomysłu „Grydz” nie przejawiał szczególnego entuzjazmu w zaaprobowaniu tej koncepcji. Podobnie Terlecki nie wierzył w powodzenie rozmów z Sakowskim, choć nie wykluczał możliwości zaistnienia takiej ewentualności. W połowie lipca 1965 roku pisał do Grydzewskiego:

Cieszyłbym się, gdyby Julek napisał o *Literaturze emigracyjnej* i nie chcę odbierać Panu wiary, że to zrobi. Gorąco tylko proszę, żebyśmy szukali innego recenzenta, jeśli ta możliwość zawiedzie. Jak Pan wie, Grabowski wiesz na mnie psy za tę moją ciężką mordęgę, bo uznał że jest nie dość doceniony. Ostatnio użył nawet argumentu, że „Wiadomości” intencjonalnie i znacząco przemilczają książkę. Co — nie mam wątpliwości — jest świadomym, wierutnym kłamstwem³³.

Sprawa na kilka kolejnych miesięcy utknęła w miejscu, a tymczasem w prasie ukazywały się następne recenzje niezbyt przychylne książce. Janina Żurawicka czerpiąc obficie z omówień Fischer i Czaykowskiego zarzuciła jej „brak jednolitej koncepcji redakcyjnej”, który — jej zdaniem — „zaważył na różnej metodzie opracowania poszczególnych części”, co w efekcie sprawiło, że „obecny kształt omawianej książki niemal prowokuje szereg pytań”³⁴. Podobnie Zbigniew Folejewski podkreślający zalety pracy zakończył swą recenzję fragmentem, w którym dał wyraz swemu rozczarowaniu³⁵. W podobnym tonie wypowiedział się Magnus J. Krynski, który zarzucając pracy brak jednolitej metodologii oraz liczne powtórzenia i błędy dodał, że podstawową słabością książki jest to, że „the images of certain major writers do not emerge clearly despite treatment by several contributors”³⁶.

³² List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 25.06.1965 r., podkr. autora.

³³ List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 15.07.1965 r.

³⁴ J. Żurawicka, *Czytelnictwo polskie...*, s. 196, 198.

³⁵ „Ponieważ wszystkie informacje bibliograficzne są jak dotąd rozproszone, orientacja w tym tomie nie jest łatwa. Po ogłoszeniu drugiego tomu, który ma zawierać ogólny skorowidz, dzieło będzie cennym zbiorem źródłowym. Może on posłużyć jako podstawa dla podręcznej, związanej historii polskiej literatury emigracyjnej, która jest ciągle do napisania — najlepiej przez jednego człowieka. [...] W tej chwili powinniśmy być wdzięczni redaktorowi i jego współpracownikom za to co stworzyli w warunkach, które były więcej niż niesprzyjające.” Z. Folejewski, *[After many years...]*, Books Abroad. An International Literary Quarterly 1965 t. 39 nr 3 s. 358, tł. wg O „*Literaturze polskiej na obczyźnie*” w *Stanach Zjednoczonych*, Wiadomości 1965 nr 40 (1018) s. 6.

³⁶ M. J. Krynski, *[The first volume...]*, Slavic Review. American Quarterly of Soviet and East European Studies 1965 t. XXIV nr 3 s. 566–567.

We wrześniu 1965 roku na łamach „Kontynentów” pojawiła się jeszcze jedna publikacja, która z pewnością nie przysporzyła *Literaturze...* zwolenników. Mowa o tekście „Przeciwko klikom, protekcji i «kumoterstwu»”³⁷, który — jak później wyjaśniał ówczesny redaktor pisma, Zbigniew Grabowski — „wyrażał opinię redakcji”³⁸. Opinia ta dotyczyła sporu, jaki rozgorzał między Tymonem Terleckim a Lidią Ciołkoszową, która była autorką przygotowanego do drugiego tomu *Literatury...* tekstu poświęconego emigracyjnej publicystyce³⁹. Spór dotyczył — w opinii samej zainteresowanej oraz sprzyjającej jej redakcji „Kontynentów” — „niedozwolonej ingerencji redaktorskiej”, która polegała na wstawieniu w tekst Ciołkoszowej sześciostronicowego tekstu Stanisława Grocholskiego, w którym omówiona została publicystyka polityczna Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”⁴⁰. Publikacja „Kontynentów” obszernie przedstawiła cały spór wspierając się na obszernych cytatach z listów Terlecki–Ciołkoszowa oraz Ciołkoszowa–Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w których autorka wyrażała swój protest przeciwko postępowaniu redaktora *Literatury...* oraz domagała się zwołania sądu koleżeńkiego celem rozstrzygnięcia całej sprawy. Wobec niespełnienia tego żądania⁴¹ Ciołkoszowa w liście do ZPPnO oświadczyła, że w tej sytuacji czuje się zmuszona do poszukiwania innej drogi dochodzenia swych praw. Jakiej? — to określiła wprost: „pozostaje mi tylko postępek p. Terleckiego podać we właściwej chwili do wiadomości publicznej”⁴². Sformułowanie to rodzi szereg pytań. Jak należało je odczytać w kontekście tego, że — o czym informuje data podana przy cytacie — zostało ono przesłane do ZPPnO 20 marca 1965?⁴³ Kiedy miała nadejść owa „właściwa chwila”? Dlaczego na publikację czekano pół roku i zdecydowano się na nią w przededniu wydania drugiego tomu *Literatury...*? Dlaczego wreszcie cała sprawa została nagłośniona w piśmie, na łamach którego ukazały się dwie negatywne recenzje pierwszego (w tym jedna autorstwa redaktora naczelnego)?

Odpowiedzi pozostają w sferze domysłów, podobnie jak powody, dla których Grydzewski nie zgodził się na to, żeby Terlecki odpowiedział na publikację „Kontynentów” na łamach „Wiadomości”. O tym, że redaktor *Literatury...* czynił takie starania informuje list z 11 września 1965 r.:

Jeszcze nie ukazał się II t. *Literatury emigracyjnej* a już dobrana para, p. Grabowski z p. Ciołkoszową, zaatakowała mnie frontalnie. Czy zechciałby mi Pan udzielić gościny w „Wiadomościach” dla rzeczowego omówienia sprawy? Byłbym wdzięczny, bo na podwórko „Kontynentów” nie chcę wchodzić za żadną cenę.

Grydzewski nie dał Terleckiemu możliwości zabrania głosu — uczynił to natomiast redaktor „Kultury”, gdzie pojawiły się dalsze wypowiedzi dotyczące wspomnianego spo-

³⁷ *Przeciwko klikom, protekcji i „kumoterstwu”*, Kontynenty 1965 nr 81 s. 18–20.

³⁸ Z. Grabowski, List do redakcji, *Kultura* 1965 nr 11 (217) s. 151.

³⁹ Zob.: L. Ciołkoszowa, *Publicystyka*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960, t. 2*, pod red. T. Terleckiego. Londyn 1965 s. 169–296.

⁴⁰ Zob.: S. Grocholski, *Nowe środowisko koncepcyjne*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960, t. 2*, pod red. T. Terleckiego, Londyn 1965 s. 297–302.

⁴¹ ZPPnO przyjął do wiadomości informację, że tekst Grocholskiego zostanie umieszczony w drugim tomie *Literatury...* jako osobna publikacja i uznał całą sprawę za zakończoną. Zob.: *Przeciwko klikom...*, s. 19–20.

⁴² Tamże, s. 20.

⁴³ Jak informują daty przy cytowanych listach cała sprawa rozgrywała się na przełomie lat 1964/1965, a list Ciołkoszowej przesłany do ZPPnO z informacją o planowanym nagłośnieniu całej sprawy jest ostatnim z cytowanych, co nie wyklucza możliwości, że w czasie poprzedzającym publikację w „Kontynentach” (wrzesień 1965) korespondencja między zainteresowanymi stronami nie była prowadzona w dalszym ciągu.

ru. Głos w nim zabrali kolejno: Tymon Terlecki⁴⁴, Zbigniew Grabowski⁴⁵ i Lidia Ciołkoszowa⁴⁶. Jak można wnosić z ich wypowiedzi, żadne z nich nie zmieniło swego zdania na temat zaistniałej sytuacji⁴⁷. Tym jednak, co szczególnie interesujące w kontekście omawianego tu wymyka historii *Literatury polskiej na obczyźnie* jest sformułowanie, jakie pojawiło się w liście Terleckiego, który oznajmił, że „nie odpowiadał i nie myśli odpowiadać na systematyczną kampanię przeciw *Literaturze*”⁴⁸. Jednocześnie zaznaczył, że reakcje, jakie wywołał tom pierwszy i zapowiadany drugi uważa za „jarmark próżności, [...] jazgot podrażnionych ambicji, branie ślepego odwetu za zawiedzione nadzieje”, które z jednej strony są „czymś głęboko zawstydzającym”, a z drugiej „nie sprzyjają sensownej dyskusji”⁴⁹.

Tym samym Terlecki *Literatury...* dał wyraz swemu rozżaleniu, w jakie wpędziło go niepoehlebne przyjęcie opublikowanego tomu pracy. Zapewne nastroju nie poprawił mu nawet Juliusz Mieroszewski, który w tym samym numerze, w którym ukazały się listy Grabowskiego i Ciołkoszowej, na marginesie ogólnych rozważań o literaturze uchodźczej wymienił kilka pozytywnych uwag na temat pierwszej części *Literatury...*⁵⁰. Dlatego jej redaktor w dalszym ciągu poszukiwał „swojego” recenzenta, który omówiłby pracę w sposób — według niego — zadowalający. Nieudane próby przekonania Grydzewskiego do Bielatowicza i Pankowskiego nie zniechęciły go, tym bardziej, że naraz pojawiła się kandydatura, która zdawała się zadowalać obu redaktorów. Pod koniec 1965 roku pisał do „Grydza”:

Naradzałem się z Weintraubem w sprawie recenzenta *Literatury emigracyjnej* w „Wiadomościach”. Do spółki nie wymyśliłszy nikogo poza M. K. Pawlikowskim, którego Pan wymyślił. Jeśli Pan trwa w swoim zamiarze, proszę o zwrócenie się do Niego w tej sprawie. Byłbym wdzięczny, gdyby Go Pan zbyt nie ograniczał miejscem. Nie spodziewam się za mego życia bezstronnej oceny tego wariactwa, którego zamiary mogą ocenić nieliczni ludzie tacy jak Pan, znający z własnego doświadczenia co ono znaczy w czasie i energii, ale byłoby mi przykro gdyby Pawl[ikowski] załatwił rzecz kilkunastowersową notatką. Zresztą i to nie byłoby największą przykrością w porównaniu z tym, co mnie już spotkało i jeszcze spotka w nagrodę za tę dziesięcioletnią mordęgę⁵¹.

Jednak już w kilka dni później dzielił się z redaktorem „Wiadomości” wątpliwościami, co do możliwości pozytywnej realizacji tego pomysłu. Natychmiast zaczął poszukiwać rozwiązań alternatywnych:

Na wszelki przypadek donoszą, że gdyby z M. K. Pawlikowskim jako recenzentem *Lit[e-ratury] em[igracyjnej]* coś tam nie wychodziło lub nie dogadzało, w grę mogłaby wchodzić Jadwiga Maurer. Wszedłem tutaj z Nią w bardzo przyjemną (korespondencyjną) styczność i może udało by mi się ją namówić do tej syzyfowej pracy. Proszę to mieć na uwadze⁵².

Niestety i tym razem nie udało się dojść Terleckiemu i Grydzewskiemu do porozumienia. Być może także potencjalni recenzenci nie chcieli podjąć trudu proponowanego im zadania? Zapewne wśród tych niepowodzeń niejaką pociechą było dla Terleckiego

⁴⁴ T. Terlecki, List do redakcji, *Kultura* 1965 nr 10 (216), s. 159–160.

⁴⁵ Z. Grabowski, List do redakcji, *Kultura* 1965 nr 11 (217) s. 151.

⁴⁶ L. Ciołkoszowa, List do redakcji, *Kultura* 1965 nr 11 (217) s. 156–160.

⁴⁷ Do sprawy L. Ciołkoszowa powróciła po latach w tomie wspomnień *Spojrzenie wstecz* (Paryż 1995) s. 228–229.

⁴⁸ T. Terlecki, List do redakcji..., s. 159.

⁴⁹ Tamże, s. 159.

⁵⁰ [J. Mieroszewski] Londyńczyk, *Literatura na obczyźnie*, *Kultura* 1965 nr 11 (217) s. 52–55.

⁵¹ List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 27.12.1965 r.

⁵² List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 08.01.1966 r.

opublikowane w tym czasie kolejne anglojęzyczne omówienie pierwszego tomu *Literatury...* autorstwa Marii Kuncewiczowej, która zakończyła swoją recenzję następującym zdaniem: „Still, recognition is due to the group of people who undertook a gigantic task, under difficult circumstances, with no thought of material reward”⁵³. Równocześnie jednak pojawiły się pierwsze głosy krytyczne na temat właśnie wydanego tomu drugiego. Jako pierwszy zareagował na niego... Zbigniew Grabowski, który w ciągu trzech miesięcy (w marcu i w maju 1966 roku) opublikował dwie recenzje, o wyraźnie krytycznej wymowie. Pisał w nich m.in.:

Dwa tomy *Literatury Polskiej na Obczyźnie 1940–1960* stanowią będą kiedyś materiał dla prawdziwie twórczego i ciekawego opracowania, które z perspektywy czasu ujmie lepiej proporcję i hierarchię i podkreśli linie zasadnicze i tendencje literatury emigracyjnej, które tutaj zanikają, pogrzebane pod masą szczegółów i pedanterii [...] ⁵⁴.

[...] robota redakcyjna potraktowana została byle jak, jest puszczona i z braku istotnej kontroli i panowania nad tekstem, całość rozprzęgła się w niezorganizowane odruchy krytyczne — z których wiele cierpi na elephantiasis ⁵⁵.

W miesiąc po ukazaniu się drugiej recenzji z niektórymi zarzutami Grabowskiego polemizował Jan Kowalik⁵⁶, natomiast w korespondencji Terlecki–Grydzewski pojawiło się kolejne nazwisko ewentualnego recenzenta, który mógłby się podjąć trudu omówienia tej pracy dla „Wiadomości”. Był nim Jerzy Stempowski, a na pomysł, aby jemu powierzyć to zadanie wpadł Grydzewski. W związku z tym w liście z 7 czerwca 1966 r. Terlecki zapytywał: „Chciałbym wiedzieć czy Hostowiec odezwał się na ponaglenie Pana w sprawie *Lit[eratury] emigr[acyjnej]* — sprawa wymaga zamknięcia z mojej strony”. W kilka dni później wszystko zdawało się układać pozytywnie, bowiem Stempowski wyraził zgodę na przygotowanie omówienia. W związku z tym Terlecki zaczął coraz natęczywiej dowiadywać się u niego o los recenzji. Wieściami dzielił się z redaktorem „Wiadomości”. W liście z 24 czerwca 1966 r. pisząc do niego o gotowości „niespiesznego przechodnia” do przygotowania omówienia, niepokoił się jednocześnie okolicznościami mogącymi uniemożliwić realizację tego zamiaru: „On rzeczywiście chce pisać o *Literaturze*, ale jest bardzo kiepsko ze zdrowiem”. Podobnie w trzy miesiące później informował Grydzewskiego: „Do Stempowskiego napisałem, jak Pan sobie życzył, ale nie mam jeszcze odpowiedzi”⁵⁷.

Jednocześnie w tym samym czasie pojawiły się także problemy (opóźnienia) w korespondencji Terlecki–Grydzewski, które spowalniały całą sprawę. W zacytowanym liście z 24 czerwca 1966 r. redaktor *Literatury...* informował „Grydza” o tym, że wysłał mu pierwszy tom *Literatury polskiej na obczyźnie 1940–1960*, przewidując przy tym, że „nie będzie Go Pan miał w ręku przed upływem kilku tygodni”. Potwierdzenie tych przypuszczeń odnajdujemy w przywołanym liście z 26 września, gdzie w *post scriptum* czytamy: „Mam nadzieję, że I t. *Lit[eratury] emigr[acyjnej]* dotarł do rąk Pana”⁵⁸. A w miesiąc później

⁵³ M. Kuncewiczowa, *[Literatura polska na obczyźnie...]*, *The Slavic and East Europe Journal* 1966 t. X nr 2 s. 221.

⁵⁴ Z. Grabowski, *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960 (tom II)*, *Kontynenty* 1966 nr 87 s. 14.

⁵⁵ Z. Grabowski, *Historia literatury i jak jej redagować nie należy*, *Orzeł Biały* 1966 nr 22 (1169) s. 21.

⁵⁶ J. Kowalik, *Bibliograficzna dyskusja*, *Kontynenty* 1966 nr 90 s. 19.

⁵⁷ List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 26.09.1966 r.

⁵⁸ Należy przypomnieć, że w tym czasie T. Terlecki przebywał w Chicago, gdzie wykładał literaturę polską i teatrologię na tamtejszym uniwersytecie, zob. hasło *Terlecki Tymon*, [w:] *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939–1980*, pod red. B. Klimaszewskiego. Warszawa 1992 s. 317.

zapytywał o losy... II tomu: „Od niepamiętnych czasów nie dostałem żadnego numeru „Wiad[omości]”. Nie wiem np. czy Pan odnotował II t. *Literatury*. Jeśli tak — dziękuję”⁵⁹.

Stempowski po okresie dłuższego milczenia odpisał Terleckiemu obiecując szybkie przygotowanie recenzji, co jednak nie nastąpiło w przewidzianym terminie. Dlatego w liście z 8 listopada 1966 r. redaktor *Literatury*... wysłał do „Wiadomości” kolejny list z pytaniem o przebieg całej sprawy:

Czy Stempowski przesłał omówienie *Lit[eratury] em[igracyjnej]*? Zapowiedział je na koniec ubiegłego miesiąca w obszernym liście zawierającym plan, wyszczególnienie punkt po punkcie co zamierza napisać. Podziwiam ten brak konsekwencji, ale wolałbym zamiast listu — artykuł. Jeśli będzie zwlekał, proszę o sygnał w moją stronę albo o ponaglenie do Szwajcarii.

Pod koniec tego roku z powodu choroby Grydzewskiego obowiązki redaktora „Wiadomości” przejął także nie cieszący się najlepszym zdrowiem Michał Chmielowiec. Terlecki nie zamierzał jednak zrezygnować z obiecanej recenzji w „Wiadomościach”. Tymczasem początek nowego roku przyniósł dwa kolejne omówienia. Autor pierwszego skupiając się przede wszystkim na tych częściach *Literatury*..., w których poruszano kwestie związane z czasopiśmiennictwem ustosunkował się do niej raczej pozytywnie pisząc:

Autorom i redaktorom [...] mimo pewnych mankamentów [...] udało się niełatwa przecież próba syntetycznego zestawienia zagadnień dotyczących historii kultury polskiej emigracji, a historii jej czasopiśmiennictwa w szczególności⁶⁰.

Mniej skory do pochwał był Stanisław Piekut⁶¹, który w pewnym momencie stwierdził: „Nie można wymagać, aby dzieło ludzkie było doskonałe, ale w omawianej literaturze niedomagań jest zbyt wiele”, zaś po omówieniu wybranego zagadnienia przemawiającego za tą tezą podsumował całość następująco:

Nie chcę poruszać innych spraw, gdyż mimo wszystko *Literatura* jest osiągnięciem o dużym znaczeniu, tym bardziej, że pionierskim. Redaktor i współpracownicy spróbowali wypełnić ciężący na emigracji obowiązek utrwalenia literackiego dorobku uchodźstwa⁶².

Na początku kwietnia Terlecki sygnalizował Samborowi konieczność podjęcia działań zmierzających do ostatecznego sfinalizowania rozpoczętej dwa i pół roku wcześniej sprawy:

Hostowiec obiecał Grydzewskiemu napisać recenzję o *Literaturze emigracyjnej*. Miała być gotowa w październiku, a zaczął się kwiecień. „Niespieszny przechodzień” idzie tym razem jeszcze wolniej niż zwykle... Byłbym Panu bardzo zobowiązany, gdyby Pan do niego napisał z delikatnym przypomnieniem i zachętą. Mnie to nie bardzo uchodzi⁶³.

Wobec braku reakcji ze strony Stempowskiego Terlecki zaczął po raz kolejny poszukiwać innego recenzenta. W połowie maja pytając „Czy Hostowiec odpowiedział na ponaglenie w sprawie recenzji o *Literaturze emigracyjnej*?” i obawiając się, że odpowiedź będzie negatywna proponował Chmielowcowi:

⁵⁹ List T. Terleckiego do M. Grydzewskiego z 13.10.1966 r. W rzeczywistości tom ten został odnotowany w rubryce *Książki nadesłane* w numerze 38 (1068) „Wiadomości” z 18.09.1966 r. (s. 4). Tym razem poza informacją o zawartości i układzie tomu nie dodano żadnej uwagi czy oceny.

⁶⁰ E. Rudziński, *[W roku 1964 ukazał się...]*, Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 1967 t. VI z. 1 s. 290.

⁶¹ S. Piekut, *Synteza literatury emigracyjnej*, Kultura 1967 nr 3 (233) s. 128–132.

⁶² Tamże, s. 132.

⁶³ List T. Terleckiego do M. Chmielowca z 02.04.1967 r.

Jeśli nie odpowiedział lub zrzucił [?] się z obietnicy zrobionej ponad rok temu, sugeruję dr Jadwigę Jurkszus Tomaszewską (5 Ridout Apt. 5 Toronto 3 Ont. Canada). Wydaje właśnie wraz z mężem Adamem, współpracownikiem „Wiadomości”, książkę eseistyczną, ale jest polonistką o doskonałym przygotowaniu i dużym dorobku i tylko przez przypadek zamiast katedry uniwersyteckiej zajmuje bardzo wysokie stanowisko w administracji kanadyjskiej (w dziale opieki społecznej). Przyjmuję wszystko co się dzieje wokół *Lit[eratury] em[igracyjnej]* z chrześcijańską pokorą czy masochistyczną satysfakcją [...] a może z jednym i drugim, ale sądzę, że rzeczowe, obiektywne omówienie tej nieszczęsnej książki się należy. Mam nadzieję, że się Pan ze mną zgodzi⁶⁴.

W miesiąc później zdawało się, że sprawa recenzji wreszcie znajdzie swój finał. W liście z 27 czerwca 1967 r. Terlecki pisał do Sambora:

Dziękuję za wiadomości o Hostowcu. Nie mam żadnego prawa do „aprobowania” jego artykułu, ale marzę o tym, żeby go wreszcie skończył i przesłał Panu. Trwa to już dwa lata. Jego trzeba również „dusić”. Pisząc do Niego proszę go serdecznie pozdrowić ode mnie. Jego chorowanie bardzo mnie niepokoi.

Czy to z powodu wspomnianej choroby, czy też z innych przyczyn przygotowanie recenzji po raz kolejny odwlokło się w czasie. Zaniepokojony Terlecki nie ustawał jednak w przynagleniach i prośbach o interwencję w tej sprawie. We wrześniu pisał do redaktora „Wiadomości”:

Byłbym Panu bardzo zobowiązany, gdyby Pan jeszcze raz przynaglił Hostowca i ostatecznie wyjaśnił sprawę omówienia *Literatury*. Minęły dwa pełne lata od otwarcia tej sprawy⁶⁵. Gdyby tak długie czekanie na niespiesznego przechodnia okazało się daremne, zachęcałbym pana do rozważenia mojej propozycji alternatywnej (dr Jadwiga Jurkszus Tomaszewska w Toronto)⁶⁶.

Wreszcie starania Grydzewskiego, Chmielowca i Terleckiego zostały uwieńczone sukcesem — na początku października do tego ostatniego dotarła wiadomość, że recenzja jest gotowa. W odpowiedzi redaktor *Literatury*... napisał: „Nie szkodzi, a nawet lepiej, jedynie dobrze, że mi Pan nie przysłał artykułu Hostowca przed drukiem”⁶⁷. Tak długo oczekiwane omówienie ukazało się w „Wiadomościach” w cztery dni później — 8 października 1967 r.⁶⁸ Co zaskakujące — nie dotarło ono natychmiast do rąk redaktora *Literatury polskiej na obczyźnie* — w liście z 1 listopada 1967 r. pisał do Chmielowca rozżalony: „Dotąd nie otrzymałem nr. z artykułem Hostowca. Szkoda że Pan nie wykosztował się na przesyłkę lotniczą”. Mimo tego opóźnienia Terlecki z pewnością nie rozczarował się po przeczytaniu tekstu Stempowskiego, który na wstępie podsumował dotychczasowe głosy krytyczne pisząc: „Książka [...] nie zyskała jednak życzliwej oceny krytyków. Wytykano jej różne usterki, z których najważniejsza polegała na niejednorodnym i nieco chaotycznym układzie całości”. Jednocześnie zastrzegł, że nie będzie „wracał do tych argumentów”, lecz zabierając głos ostatni, z wdzięcznością wspomina poprzedników, którzy w swym krytycyzmie pozostawili mu prawie nietknięte zasoby pochwał i komplementów. W efekcie Stempowski wypowiedział się o pracy w superlatywach, a całość zakończył stwierdzeniem głoszącym, że

⁶⁴ List T. Terleckiego do M. Chmielowca z 14.05.1967 r.

⁶⁵ W rzeczywistości od rozpoczęcia rozmów ze Stempowskim upłynęło niecałe półtora roku, zaś od chwili podjęcia pierwszych prób zamówienia recenzji do „Wiadomości” trzy lata.

⁶⁶ List T. Terleckiego do M. Chmielowca z 10.09.1967 r.

⁶⁷ List T. Terleckiego do M. Chmielowca z 04.10.1967 r.

⁶⁸ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960. Refleksje czytelnika*, *Wiadomości* 1967 nr 41 (1123) s. 1.

Literatura... jest „nie tylko niezastąpionym źródłem wiadomości, lecz także lekturą, pociągającą czytelnika jako przygoda myśli”⁶⁹.

W miesiąc po druku recenzji Hostowca, w numerze 45 „Wiadomości” ukazała się wypowiedź Terleckiego poświęcona *Literaturze emigracyjnej* i potrzebie jej kontynuowania⁷⁰. Była ona poprzedzona odredakcyjnym pytaniem, w którym powoływano się na sformułowania Hostowca sugerującego konieczność prowadzenia dalszych prac nad — jak to nazwał recenzent — „inventaryzowaniem piśmiennictwa emigracyjnego”: „Co pan sądzi o potrzebie i możliwościach takiego «dalszego inventaryzowania»?” Mimo że odpowiedź ukazała się po druku recenzji Stempowskiego, to jednak napisana została zanim Terlecki się z nią zapoznał. W cytowanym już liście z 4 października napisał:

Przesyłam odpowiedź na pytanie w sprawie *Literatury emigracyjnej*, choć mi trudno było się na to zdobyć w gorączce zaczynającego się roku akademickiego. Nie wiem, jak Pan zamierza prowadzić ten dział, ale na wszelki przypadek sugeruję jeszcze dwóch „odpowiedziodawców”: Kukiel (historyk), Kowalik (bibliograf).

Jednak wbrew sugestiom redaktora *Literatury...* więcej odpowiedzi na to pytanie już się nie pojawiło. Tym więc ważniejszą jest ta, której udzielił on sam. Przyznał, że dwa opublikowane tomy „mimo swej objętości [...] zapewne niejedno przepuściły i zawierają niejedną pomyłkę”, co tym bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że potrzeba kontynuowania zainicjowanych nimi prac jest oczywista. Zaznaczył przy tym, że ewentualni kontynuatorzy powinni czerpać z doświadczeń swych poprzedników jednocześnie modyfikując i doskonaląc metodę opracowywania i badania literatury emigracyjnej. Swą wypowiedź zakończył następująco:

Na początku tej odpowiedzi przejąłem termin użyty w pytaniu: potrzeba. Byłbym skłonny wzmocnić go i zmienić na słowo: konieczność. Inventaryzacja polskiego dorobku piśmienniczego powstającego poza krajem jest czymś imperatywnym. Ten dorobek rośnie z roku na rok, zmienia zasięg i charakter, staje się trudniej uchwytany przez fakt ogłaszania również w językach obcych, w czasopiśmie rozproszony po całym świecie. Doświadczenie z *Literaturą emigracyjną* nauczyło co w naszym położeniu znaczy dystans czasu pomnożony przez dystans przestrzenny. Należałoby wyciągnąć wniosek z tego doświadczenia i nie czekać aż ktoś zaryzykuje je znowu za lat dziesięć czy dwadzieścia, znajdzie się w dżungli i zacznie w niej wyrębywać przesieki. Jeśli — zacznie?

Wymowne pytanie retoryczne postawione przez Terleckiego po dziś dzień nie uzyskało odpowiedzi. I choć wydawało się, że będzie ono ostatnim akordem związanym bezpośrednio z *Literaturą polską na obczyźnie 1940–1960*, to jednak tak się nie stało. Końcowe zdanie należało do Danuty Bieńkowskiej, która ogłaszając w 1969 roku recenzję obu tomów tej pracy uznała je (mimo wielu uwag krytycznych) za wartościowe źródło informacji dla tych wszystkich, którzy są zainteresowani piśmiennictwem emigracyjnym i działalnością kulturalną uchodźstwa polskiego⁷¹. Jak się obecnie wydaje, ten sąd ostatecznie określił rangę i status *Literatury...*, która zajmuje dziś niekwestionowaną pozycję w, z jednej strony — dokonaniach, z drugiej zaś — opracowaniach związanych z literaturą emigracyjną.

⁶⁹ Tamże.

⁷⁰ T. Terlecki, *Odpowiedź*, *Wiadomości* 1967 nr 45 (1127) s. 1. Tekst ukazał się w rubryce: *Pytania i odpowiedzi*.

⁷¹ D. Bieńkowska, *Polish literature in exile*, *The Polish Review* 1969 t. XIV nr 3 s. 91–95.

KORESPONDENCJE – DOKUMENTY – ROZMOWY

LISTY DO HEMARYSI

Anna MIESZKOWSKA (Warszawa)

Hemarysia to Maria Modzelewska, która w latach 1936–1939 była żoną Mariana Hemara. Aktorka wyjechała z Polski we wrześniu 1939 roku. Wróciła w 1994. Przez ponad 50 lat mieszkała w Stanach Zjednoczonych. Mimo niełatwych warunków życia, była czynna w polskim środowisku emigracyjnym. Występowała, pracowała społecznie.

W czasie pracy nad książką o Marianie Hemarze, poznałam rodzinę blisko spokrewnioną z Marią Modzelewską. Państwo Godziszewscy udostępni mi pamiątki po wspólnie aktorze. Wśród wielu dokumentów, fotografii, wycinków prasowych, były także listy. Niestety nie zachowały się te, na których poznanie liczyłam najbardziej. Nie ocalał ani jeden list od Mariana Hemara. Publikuję więc inne, które adresatka pozostawiła w swoich zbiorach. Ich nadawcami byli m.in.: Julian Tuwim, Leon Schiller, Antoni Boroman, Mieczysław Grydzewski, Juliusz Sakowski, Tymon Terlecki, Kazimierz Wierzyński, Jan Fryling. Przedstawiam je w układzie chronologicznym, zaznaczając w przypisie czy jest to rękopis czy maszynopis i wyjaśniając niektóre okoliczności towarzyszące pisaniu tych listów.

*

Maria Modzelewska urodziła się 15 kwietnia 1903 roku w Sosnowcu, w rodzinie aktorskiej. Matka — Józefa z Bednarskich i ojciec — Stanisław byli aktorami. Debiutowała wcześniej, jako niespełna siedemnastoletnia dziewczyna, w zapomnianej dzisiaj sztuce F. Friedmanna i H. Kottowa *Wuj Bernard*¹.

¹ Ponieważ w wielu publikacjach mylnie podawane są okoliczności debiutu aktorki, podaję za Kroniką „Z Teatrów Krakowskich” w „Krakowskim Przeglądzie Teatralnym” (Tygodnik Art.-Literacki Dla Spraw Teatru, Literat. Dram. i Sztuki) z 28 lutego 1920: „Pod każdym względem szczęśliwym debiutem był występ p. M. Modzelewskiej. To prawdziwe dziecko teatru, czuje się na scenie w swoim żywiole. Młodość, wdzięk i niezaprzeczony talent przy wytrawnej reżyserii i sumiennej pracy, otwierają przed p. Modzelewską wiele obiecującą przyszłość. [...] Młoda adeptka wyszła daleko poza ramy jakie stawiać można debutantkom. Wniosła na scenę rzadko widywa-

Później wystąpiła w *Grubych rybach* Bałuckiego, także w krakowskim Teatrze Bagatela. Z tego teatru, po dwóch sezonach, przeniosła się do Teatru im. Słowackiego. Tu zobaczył ją po raz pierwszy Jan Lechoń. Zachwycony jej urodą i talentem zarekomendował dyrektorowi Teatru Polskiego w Warszawie, Arnoldowi Szyfmanowi. Okoliczności poznania Szyfmana i przyjęcia jego propozycji przeniesienia się do stolicy tak wspominała po latach, już w Ameryce:

W 1924 roku przyjechał do Krakowa Arnold Szyfman. Nie wiem już, jak się porozumiał z Mamą, dość, że na drugi dzień po jego przyjeździe miałyśmy pójść do mieszkania jego siostry, u której się zatrzymał. Chciał omówić ewentualne zaangażowanie nas do Warszawy. Boże, jakieśmy płakały przez tę całą noc dzielącą nas od tej wizyty! Mama na nowo wymawiała sobie, że dała się namówić kolegom i pozwoliła mi kiedyś zastąpić na scenie młodą aktorkę, która nagle zachorowała. Bo od tego zastępstwa wszystko się zaczęło. [...] Rezultat był taki, że ukrywając jedna przed drugą, postanowiłyśmy robić wszystko, żeby się Szyfmanowi nie podobać. Przed tą wizytą spytałam Mamę, jak się mam ubrać. Machnęła ręką. Zmaltretowana powiedziała: — czysto! Wzięłam więc świeżo wypraną, starą białą sukienkę, chociaż miałam kilka nowych. Mama wzięła czarną, ale z białym kołnierzykiem, „żeby tam znowu nie iść jak na pogrzeb”.

Szyfman wszystko załatwił z samą Mamą, mnie tylko obejrzawszy. Po latach powiedział mi, że się wtedy dziwił Lechonia nade mną zachwytem, bo zobaczył obiecywaną bardzo młodą, ale chudą, bladą, z czerwonymi oczami dziewczynę, nie aktorkę, bo to ani pudru, ani różu, a na nogach „fildekosowe” pończochy. Mama „na życie” nie dawała mi nosić jedwabnych. Wyszłyśmy zadowolone, bo do niczego nie doszło. Mnie się o nic nikt nie pytał, ale Mama ciągle odpowiadała Szyfmanowi, że nie wie, że się musi zastanowić. Szyfmanowi wydawało się, że może za małe proponował warunki, więc poprosił Mamę jeszcze raz (mnie nie, ja już byłam obejrzana), podwyższył gaże i Mama podpisała kontrakty. [...] Skończyło się na tym, że Mama zapowiedziała, że jedziemy tylko na rok. Na rok, żeby tam nie wiem co! Zapakowałyśmy kufry. Mieszkanie ze wszystkim, co w nim było Mama zamknęła, opłaciła za rok pielęgnowanie grobu Tatusia i wyjechałyśmy. [...]

Pierwsza moja sztuka w Warszawie, to był „Szofer Archibald” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Była to jej pierwsza sztuka. Obydwie przeżywałyśmy wielką treść. Ona dużo dorosłej, nawet tym, że już na dwa dni przed premierą nic przelknąć nie mogła, a mnie nasza Marcysia dała trzy bułki z szynką, które zjadłam jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia. Pawlikowska miała wielki sukces. A ja? Ja miałam pierwszy raz na scenie suknie szyte nie przez Mamę i rozpuszczone włosy. [...] Modliłam się, żeby recenzja o mnie nie doszła do Krakowa. Bo co z tego, że napisali, że od razu widać, że dziecko teatru, że droga piękna na oścież otwarta — kiedy było tam także owo pamiętne, przez Makuszyńskiego napisane: „Marysiu, nie jesteś już brzdąc, stawiaj nogi od siebie. I te kolana, pamiętaj!”. [...]

W teatrze Szyfmana żyło się jak jedna wielka rodzina. Nie było tam podziału na wielkich czy małych aktorów. Wszyscy byli sobie oddani i życzliwi. Martwiliśmy się kłopotami Szyfmana i cieszyli każdym jego sukcesem. [...]²

na werwę, szczerzy wdzięk, dużą swobodę sceniczną, dając równocześnie nie tylko dobrą recytację słów autora, piękną dykcję i umiejętność okrągłych ruchów, na których to sztukach poprzestają nie tylko debiutanci, ale i to co jest fundamentem powodzenia gry artysty, to nieokreślone c o s, pełne tajemnic uśmiechu, rozkoszy spojrzenia, czy niespodziewanego tricku temperamentu, które to cechy indywidualnie stojące z dala od roboty reżyserskiej, składają się na umiejętną sztukę czarowania. A kto tę sztukę posiada, rozwiązuje problem powodzenia; tych artystów kocha publiczność. Jeśli uwzględnimy doskonale warunki zewnętrzne i wiotką postawę, którą posiada debiutantka, oraz zamiłowanie jakie okazuje dla ukochanej przez siebie sztuki, możemy jej przepowiedzieć piękną przyszłość”.

² Fragmenty wspomnień Modzelewskiej (maszynopis) w zbiorach rodzinnych.

Premiera warszawskiego debiutu aktorki (w reżyserii Karola Borowskiego) odbyła się 17 października 1924 roku. I choć prasa życzliwie odnotowała to wydarzenie, większym sukcesem była rola Julki w sztuce Kisielewskiego *W sieci*, zagrana trzy miesiące później (premiera 10 stycznia 1925). Ale prawdziwą kreację stworzyła Modzelewska w roli następczej, jako Ewa Pobratymska, w głośnej inscenizacji Leona Schillera wg *Dziejów grzechu* Żeromskiego. Popularność przyniosła jej także Polly w *Operze za trzy grosze* wg Brechta i Bonny w *Artystach* Wattersa i Hopkinsa. W tym ostatnim przedstawieniu zaśpiewała szlagiery Mariana Hemara: „Pensylwanie” i „Wspomnij mnie”. W sumie, do sierpnia 1939 roku zagrała ponad 30 ról teatralnych, osiem filmowych. Wyłansowała kilkanaście piosenek, które w *Qui Pro Quo*, *Bandzie*, *Cyruliku Warszawskim* napisał dla niej Hemar (m.in. „Chciałabym, a boję się”, „Zawołaj mnie”). Poza macierzystym Teatrem Polskim występowała także w Teatrze Letnim (*Piękna Helena* Offenbacha, w reżyserii Hemara), Narodowym (*Smugoniowa* w *Powrocie Przełęckiego* Zawieyskiego w reżyserii Osterwy), Ateneum, Nowa Komedia (*Firma* — Hemara, *Rodzina* — Słonimskiego, *Płaszcz* — Gogola).

W Polskim do legendy przeszły jej role w wielu udanych i ważnych przedstawieniach: Klara w *Ślubach panińskich* Fredry, Julia w *Wilkach w nocy* Rittnera, Lina w *Lekkomyślnej siostrze* Perzyńskiego, tytułowa w komedii muzycznej Greya i Newmana *Jim i Jill* (grana 111 razy!).

Ostatnią jej rolę w przedwojennej Warszawie była tytułowa w *Obronie Ksantypy* Ludwika Hieronima Morstina (premiera 10 lutego 1939).

W kwietniu 1936 została żoną Mariana Hemara. On był jej trzecim mężem (po Aleksandrze Lipińskim i Stefanie Norblinie). Zamieszkali w pięknej willi (stoi do dziś!) przy ulicy Madalińskiego 89.

5 września 1939 Modzelewska opuszcza męża, Warszawę, Polskę. Wyjechała w towarzystwie przyjaciela, adiutanta ministra Becka, najpierw do Krzemieńca, potem do Rumunii. Przez Francję i Anglię już w grudniu tego roku dotarła do Stanów Zjednoczonych. Początkowo pracowała fizycznie na kurzej fermie. Ale dość szybko włączyła się w polonijne życie artystyczne. Organizowała teatr i występowała na wielu koncertach. Grała z zespołem Teatru Lidii Pucińskiej, z aktorami Towarzystwa Scena Polska. Nawet reżyserowała (m.in. adaptację *Krzyżaków* wg Sienkiewicza). Była współorganizatorką i gwiazdą Polskiego Teatru Artystów (z tego okresu pochodzi znakomita jej rola Marii w *Warszawiance* Wyspiańskiego). Blisko zaprzyjaźniona z wieloma poetami, m.in. z Lechoniem, Wierzyńskim, często brała udział w organizowanych dla nich lub przez nich wieczorach literacko-muzycznych. Od samego początku pobytu w Stanach, współpracowała z polskimi programami radiowymi, w których czytała wiersze, wygłaszała wspomnieniowe mini pogadanki o teatrze swojej młodości: „Wyspiański głaskał ją po głowie. Trzcński brał ją na kolana. Pawlikowski kupował jej landrynki u Piaseckiego”. Była jedną z czterech krakowianek, które podbiły Warszawę, stając się uosobieniem szyku i uroku stolicy (inne to: Maria Malicka, Karolina Lubieńska, Kazimiera Skalska).

Na zaproszenie ZASP-u za Granicą, gościnnie wystąpiła także w trzech przedstawieniach polskiego teatru w Londynie (*Pan Tadeusz*, 1955; *Skiz* — Zapolskiej i *Cień* Niccodemiego, 1956). Z tym ostatnim przedstawieniem była także w Paryżu³.

Na stałe mieszkała aż do 1994 w Nowym Jorku, gdzie pracowała jako urzędniczka w różnych polskich instytucjach (m.in. w redakcji „Tygodnika Polskiego”).

³ 3 i 4 marca 1956 zespół aktorów z Londynu wystąpił w Domu Kombatanta.

Do Polski po raz pierwszy przyjechała w 1966 roku. Była to wizyta prywatna, rodzinna. Spotkała się z dawnymi koleżankami w Teatrze Polskim. Udzieliła kilku wywiadów warszawskiej prasie. Później przyjeżdżała jeszcze kilka razy, zawsze prywatnie.

Z Marianem Hemarem spotkała się po wojnie dwukrotnie: w Londynie (1955) i w Nowym Jorku (1956). Oficjalny rozwód uzyskali dopiero w 1956 dzięki jej staraniom, i to ona poniosła koszty załatwienia tej sprawy (stąd aluzje w listach A. Bormana!). Marian Hemar popełnił bigamię, żeniąc się w Londynie, w 1946 roku z Carol Anną Eric (zwaną Cają), tancerką amerykańską duńskiego pochodzenia. Maria Modzelewska już nigdy z nikim się nie związała. Stanisław Natanson, bliski towarzysz życia, zmarł tragicznie zanim mogli się oficjalnie pobrać.

Po powrocie do Polski zamieszkała w Skolimowie. Zmarła 25 września 1997 roku w szpitalu w Warszawie. Pochowana została w grobie rodzinnym na warszawskich Starych Powązkach.

LISTY

LIST OD JULIANA TUWIMA

New York, 19 listopada 1942

Moi kochani!

Tak się niefortunnie złożyło, że w niedzielę nie będzie mnie w New Yorku (mam występ w Hartford), nie zobaczę więc waszej premiery; wybiorę się dopiero na jedno z następnych przedstawień. Wiecie dobrze, że nie lubię szumnych słów — ja wiem o was to samo — nie będę więc częstował was w tym liście żadną uroczystościową frazeologią ani nie zabrnę w tyrady na temat ważności i znaczenia waszej pracy na obczyźnie, pracy w tak trudnych warunkach podjętej. Już gdzie jak gdzie, ale chyba nie tutaj — ani w New Yorku, ani w tych miasteczkach i przygodnych salach, w których grać będziecie — zakwitną wam laury nowej sławy lub spęcznieją portfele. I wiem, że nikt z was nie marzy tu o sukcesie osobistym, o wyróżnieniu indywidualnym, o „dużej roli” i innych „prywatnych zaszczytach”, które to czynniki, przyznajmy się z ręką na sercu, bywają nieraz silnymi bodźcami dla aktora, całkiem zresztą zrozumiałymi, ludzkimi i dającymi często najlepsze wyniki artystyczne. W waszym jednak teatrze, kochani przyjaciele, wszystkie te względy w kąć poszły — i tylko zespół, tylko całość, tylko suma osiągnięcia na pewno wam, jako ideał, przyświeca. Wierzę i czuję to, że pracujecie nie dla siebie, nawet (w ostatecznym celu) nie dla publiczności, która was będzie słuchać i oklaskiwać — ale dla największego waszego ukochania: dla samego Teatru, dla nieśmiertelnego Słowa polskiego, którego olśniewające świetności, z pokolenia na pokolenie, przekazuje dynastia Aktorów Polskich swemu narodowi. Myślę, moi kochani, że w każdym z was, w każdej sztuce, w każdej najmniejszej nawet rólce, tlić będzie radosne poczucie tego posłannictwa: że JESTEŚCIE — że TRWACIE — żeście szczerzłoty łańcuch polskiej sztuki scenicznej znowu przedłużyli o jedno ogniwo. Wierzę, że wspólnymi siłami artystów, pisarzy i polskiego społeczeństwa w Ameryce dociągniemy go do Polski. Oby jak najprędzej! Życzy wam tego w dniu premiery sługa wasz i przyjaciel

Julian Tuwim

Rękopis. List adresowany do powstałego 22 listopada 1942 roku w Nowym Jorku zespołu Polskiego Teatru Artystów, przesłany na ręce Marii Modzelewskiej — prezeski Koła Artystów Sceny Polskiej.

LIST OD LEONA SCHILLERA

[List bez daty. Najprawdopodobniej z 1947 lub 1948 roku, pisany w Łodzi]

Do Ob. Marii Modzelewskiej

Droga Koleżanko!

Piszę do Ciebie, nie tylko w imieniu teatrów, których jestem dyrektorem — tj. Państwowego Teatru Wojska Polskiego i Teatru TUR w Łodzi (są to dziś najlepsze teatry w Polsce, pod względem zespołu, reżyserii, inscenizacji plastycznej i repertuaru — a Łódź jest nie tylko miastem przemysłowym, ale i uniwersyteckim, ponad to b. ważnym centrum życia literackiego i artystycznego), piszę do Ciebie, jako v. Przewodniczący Rady Teatralnej (przewodniczącym jest Minister Kultury i Sztuki) oraz jako członek

Komitetu Doradczego przy Min[isterstwie] K[ultury] i S[ztuki] Dep[artamentu] Teatru — a więc jako wyraziciel opinii całego naszego świata teatralnego.

Jeśli o Ciebie chodzi, Droga Koleżanko, opinia ta jest zgodna: Jesteś Scenie Polskiej potrzebna, rezerwujemy dla Ciebie czołowe stanowisko w teatrze, w którym zapragniesz pracować, prosimy Cię z całym poczuciem odpowiedzialności, a szczerze i serdecznie — wróć do odradzającej się i z dniem każdym potężniejszej Ojczyzny!

Wierzymy w Twój patriotyzm, w Twój rozsądek, w siłę Twego arcyzmu — one będą najlepszą busołą na Twej drodze powrotnej do Kraju. Nie przypuszczamy na chwilę, znając Cię, byś mogła paść ofiarą niepoczytalnej na podłych kłamstwach opartej, propagandy antypolskiej.

Polska jest wolna, demokratyczna — jak nigdy dotąd nie była. Państwo opiekuje się sztuką i artystami, jak tego nigdy dotąd nie robiło. Nikt, ani wewnątrz Państwa, ani z zewnątrz nie wywiera na twórczość naszą żadnego nacisku. To brednie o NKWD i o tym, że Polska jest lub może być 17 republiką ZSRR. To brednie, że w Polsce rządzą tylko komuniści.

Po raz pierwszy w dziejach naszych jesteśmy świadkami połączenia się wszystkich stronnictw demokratycznych reprezentujących interesy zarówno robotnicze, jak chłopskie i inteligencji pracującej — w imię jednego, wspólnego ideału: MIŁOŚCI OJCZY-ZNY!

W Polsce nie ma głodu! Jeśli może być mowa o jakimś głodzie, to o niebywałym głodzie kultury! Książki i pisma drukuje się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy, literaci nasi zarabiają znakomicie, gaże aktorskie urosły do wysokości przerażającej wynagrodzenia wszystkich innych pracowników sztuki. Teatry są w stanie wyprodukować zaledwie kilka premier w sezonie, gdyż sztuki idą minimum 2–3 miesiące. Wzrósł poziom repertuaru i strony wykonawczej. Pomimo ciężkich strat, zadanych przez okupanta, teatr odradza się. Gdybyście mogli czytać, to co się u nas o teatrze pisze, gdybyście wiedzieli, ile zdołaliśmy już zrobić w dziedzinie uzdrowienia organizacji i administracji teatrów, reformy szkolnictwa itp. — bylibyście dumni z Nowej Polski. Gdybyście zobaczyli, jaka praca buchnęła na ziemiach odzyskanych, jak one z dniem każdym polszczą się — uwierzylibyście w siłę naszego Państwa i naszego Narodu!

Twojemu rozsądkowi, Twojemu sumieniu i Twojemu sercu pozostawiamy decyzję. Nie wątpimy, że ona będzie pozytywna i że niebawem powitamy Cię serdecznie na Scenie Polskiej.

Łączę wyrazy szczerych uczuć koleżeńskich i ucałowanie rąk

Leon Schiller

Łódź
Teatr Państwowy Wojska Polskiego
im. Stefana Jaracza

Maszynopis z odręcznym facsimile artysty.

LISTY OD MIECZYŚŁAWA GRYDZEWSKIEGO

1.

[Londyn] 5.6.51
54 Bloomsbury St. W.C.I.

Droga Marysiu (a raczej Maniu).

Dostałem właśnie tekst Twego doskonałego i bardzo miłego przemówienia — będzie naturalnie drukowane na miejscu honorowym. Wskrzesało wiele wspomnień. Dziękuję ci

raz jeszcze i łączę najserdeczniejsze pozdrowienia. Mam Twoją fotografię z moimi pie-
skami przed Ipsem*.

Mieczysław Grydzewski

* IPS — Instytut Propagandy Sztuki.

2.

[Londyn] 13.6.56

Droga Marysiu.

Dziękuję Ci za list i za załatwienie sprawy wieńca. Napisz, proszę, ile jesteśmy Ci
winni. Mam nadzieję, że napiszesz coś do numeru specjalnego, który chcę wydać. Byłem
zupełnie zaskoczony wiadomością o samobójstwie: wyśmiałem Sakowskiego, który od
razu to przypuszczał. Tak się złożyło, że Stefcia¹ pokazywała mi fotografię Leszka
u Falenckich² pracującego w ogrodzie: pani Kara zdaje się nie wspomniała, że w ogóle
źle się czuje. W piątek będzie Msza św. w Brompton Oratory.

Ściskam Cię serdecznie

Mieczysław Grydzewski

Co mówią lekarze? Czy to prawda, że było podejrzenie raka? I dlaczego to nagłe załama-
nie psychiczne?

¹ Stefania Sakowska.

² Falency — małżeństwo aktorki Karin Tiche i przedsiębiorcy Włodzimierza Falenckiego.

3.

[Londyn] 16.6.56

Droga Marysiu.

Dziękuję Ci za list, ale napisz co oznacza wiersz, przeciw komu jest skierowany. Nic
nie rozumiem: przecież Leszek nie mógł mieć wrogów którzy go wpędzili w położenie
z którego nie miał innego wyjścia tylko śmierć. Nigdy w listach jego nie było tego śladu,
ale może się zmieniło w ostatnich tygodniach.

Uściski serdeczne

Mieczysław Grydzewski

4.

[Londyn] 19.6.56

Droga Marysiu.

Dziękuję Ci za wzruszający list. Fotografie już mam od p. Krzywickiego. Napisz mi
wyraźnie kto go zadenuncjował i czy to mogło się odbić na jego losach. Przecież przed
laty cofnięto mu subwencję na tym samym tle i nie skończyło się tragicznie.

Ściskam Cię serdecznie

Mieczysław Grydzewski

List dotyczy ujawnienia nazwiska osoby podejrzanej o sprowokowanie samobójstwa Jana Le-
chonia.

5.

[Londyn] 14.9.56

Droga Marysiu.

Bardzo ładne i wzruszające. I cóż to za przyjemny autor, w którym nie ma nic do poprawiania. Przypilnuj jeszcze Kazia [Wierzyńskiego], Józia [Wittlina], [Zdzisława] Czermańskiego, [Tadeusza] Korbońskiego i [Jerzego] Krzywickiego by przysłali. Był u mnie właśnie Hemar: zapytałem go czy mogę Cię pochwalić. Powiedział, że mogę. Zrobiłem to: mam wrażenie, że był lekko dumny.

Uściski serdeczne.

Kiedy przyjedziesz? W tym miesiącu przenosimy się do nowego lokalu.

Mieczysław Grydzewski

6.

[Londyn] 24.9.56.

Droga Marysiu.

Wiersz jest wzruszający i bardzo ładny. Jedno mnie razi i myślę, że trzeba zmienić. Powinno być Morse'a nie Morsego, bo nie mówimy Morse tylko Mors. Myślę, że ta przeróbka nie sprawi Ci wielkiego kłopotu. Bardzo Cię wychwalałem niedawno przed Marianem. Przyślij tę zmianę. Uściski serdeczne

Mieczysław Grydzewski

7.

[Londyn] 12.10.56

Droga Marysiu.

Dziękuję Ci za uwagi Dorothy Thompson i za Matejkę: pomieszali, bo Matejko nie był daltonistą, ale krótkowidzem, stąd błędy w perspektywie. Naturalnie zgadzam się na Morsego. Może przypilisz wielką trójkę (C., W. and W.) by wreszcie napisali o Leszku. Czekam. Rzecz o Tuwimie idzie w nr 552: przejmujące to co tam pisze o stosunku do zmarłych. Kiedy przyjedziesz? Borman robi nadzieję. Rozglądam się za smokingiem. Przeprowadzka jutro: 67 Great Russell St. W.C.I.

Uściski serdeczne

Mieczysław Grydzewski

Kogoś miała na myśli w Twoim wierszu oskarżycielskim napisanym po śmierci Leszka? Jeśli Cię to kępuje, podaj trzecią literę imienia i piątą literę nazwiska.

8.

[Londyn] 5.8.56

Droga Marysiu.

Czy napiszesz do numeru specjalnego poświęconego Leszkowi? Jeżeli tak, to proszę o rękopis do 15 września. Widziałem tu Szyfmana, fantastycznie młody mimo 74 lat, żona mimo swoich 30 lat wygląda przy nim na staruszkę, ale przystojna*.

Uściski serdeczne

Mieczysław Grydzewski

* Maria Szyfman, obecnie Gordon-Smith.

9.

[Londyn] 27.11.60

Droga Marysiu.

Naprawdę doskonale piszesz. To taka ulga poza tym dostać rękopis, w którym nic nie trzeba zmieniać, który wystarczy przejrzeć i odesłać do drukarni. Mętne gadulstwo pisarzy współczesnych jest czymś nieopisanym. Poza tym przeważnie, jak mawiał Nowaczyński, piszą pod siebie. 90 procent mojego życia upływa na poprawianiu nędznych wycopin i wydobywaniu z nich sensu. Nie jestem żadnym redaktorem, tylko nauczycielem polskiego w szkole elementarnej.

Ściskam Cię serdecznie

Mieczysław Grydzewski

10.

[Londyn] 28.11.63

Droga Marysiu.

Bardzo, bardzo, także w imieniu Antoniego, dziękuję za życzliwość, starania i piękne rezultaty. Proszę tylko o wyjaśnienie w jaki sposób dać nazwiska ofiarodawców. Czy rzeczywiście nie podawać kto ile dał. Po raz pierwszy mamy do czynienia z taką formą pomocy i nie chcemy popełnić błędu. Czy np. taka forma byłaby odpowiednia? Naprzód nazwiska w porządku alfabetycznym a potem taki tekst: składają najlepsze życzenia „Wiadomościom” w ich 40-lecie, dołączając zamiast barwnych kwiatów równie barwne czekci. Jeżeli nie to, może masz jakiś inny pomysł. W każdym razie odpowiedz, proszę, odwrotnie, bo w ciągu tygodnia muszę skończyć łamanie numeru. Podziękuj także ofiarodawcom, do których naturalnie oddzielnie napiszemy.

Ściskam Cię najserdeczniej i mam nadzieję, że zobaczymy Cię wreszcie w Londynie,
Mieczysław Grydzewski

11.

[Londyn] 22.8.65

Droga Marysiu,

Dwie prośby. Widziałem teraz niemieckie przedstawienie „Opery za trzy grosze” i chciałbym abyś mi przypomniała czy to Ty jako Polly śpiewałaś piosenkę pomywaczki, która czeka na okręt mający pomścić jej krzywdy. Poza tym potrzebne mi są dwie pary rękawiczek numer sześć i jedna czwarta naszywanych perełkami, białych (nie skórkowych), zdaje się bawełnianych czy płóciennych, których tu nie można dostać. Zdaje się nie są drogie a jeśli będziesz mogła wyłożyć tę sumę poproszę aby ktoś szybko Ci to zwrócił*. Z góry dziękuję i serdecznie ściskam.

Czy już nigdy nie wybierzesz się do Londynu?

[Mieczysław Grydzewski]

* Oczywiście nie czekaj na okazję, ale wyślij pocztą.

12.

[Londyn] 10.9.65

Droga Marysiu.

Jest mi wstyd, że fatygowałem Cię, ale chciałem koleżance zrobić przyjemność. Powiedziała, że takie rękawiczki można dostać tylko w Nowym Jorku, tam sobie kupiła. Nie dowierzając zwiedziłem sklepy tutejsze i w końcu zdobyłem. Okazały się wiotkie i na

jeden raz. Stąd moja prośba. Bardzo dziękuję za trudy. Ale w liście moim było pytanie w sprawie piosenki pomywaczki w „Operze za trzy grosze”. Chciałbym wiedzieć czyś to Ty śpiewała. A kiedy odwiedzisz Londyn? Antoni jeszcze na wakacjach, ale niebawem wraca.

Uściski serdeczne

[Mieczysław Grydzewski]

[Wszystkie listy nadawca pisał na maszynie, na firmowym papierze redakcji londyńskich „Wiadomości” i wszystkie podpisał nieczytelnie. List nr 12 jest ostatnim zachowanym, ale były na pewno następne.

W zbiorach Modzelewskiej zachowały się brudnopisy listów do Grydzewskiego, Antoniego Bormana, Stefani i Juliusza Sakowskich, w których opisała okoliczności śmierci i pogrzebu Jana Lechonia. Uważam, że warto te listy przypomnieć. Minęła przecież 45. rocznica tragicznej śmierci poety.]

LISTY MARII MODZELEWSKIEJ DO PRZYJACIÓŁ W LONDYNIE

1.

[Nowy Jork] 9 VI 1956

Gryziu kochany,

To co zrobił Leszek uderzyło nie tylko w serce, ale i w mózg. Trudno myśli zebrać. Jeszcze przed moim wyjazdem do Londynu*, widziałam Leszka w doskonałej formie. Przeraziłam się, co zobaczyłam po powrocie. To już był kłębek nerwów. Rozdygotany, drżącymi rękami wyjmował, otwierał i zamykał jakąś flaszeczkę, mówił o diable, którego nosi w sobie. Przestał sypiać, wyłudzał od ludzi środki nasenne. Coraz częściej mówił o samobójstwie. Aż przeraził się tej myśli, bał się samotności. Zostawał na noc to u tych, to u innych przyjaciół i przegadywał z nimi całe noce. Przez co musiał przechodzić, kiedy wstawszy w nocy, sam u naszych przyjaciół na wsi, krzyczał, i te jego krzyki przechodziły w wycie?

Doktór, do którego zaprowadzono Leszka na siłę, znalazł serce w dobrym stanie, mniejszą ilość cukru ale i konieczność udania się do psychiatry. I znowu, na siłę, do doktora Bychowskiego. O sanatorium już Leszek słyszeć nie chciał. Ostatnie dni mieszkał u gen. Kowalskiego. Czuwali nad nim na zmianę, Kowalski, Bortnowski i ks. Tyczkowski, u którego się spowiadał.

Tego rana im znikł. Szukali. Jeszcze przed pierwszą jadł śniadanie z Bejtmanem. A o drugiej... Z ostatniego piętra Hotelu Hudson. Nie upilnowałby go nikt. Może uzdrowiłby go zakład-sanatorium, a może nie odłożony na wrzesień wyjazd do Paryża?

Pogrzeb Leszka we wtorek o 10 tej rano. Wieniec — dziś rano dostałam Twoją depeszę — już zamówiony, odeślę do kaplicy. Ułożę go sama blisko Leszka.

Marysia

* Maria Modzelewska przyjechała do Londynu 1 grudnia 1955 i była do marca 1956. Lechoń popełnił samobójstwo 8 czerwca 1956 o drugiej po południu. List ten pisała Modzelewska następnego dnia po tragedii.

2.

[Nowy Jork] 12 VI 1956

Stefciu kochana moja,

Nie wiem czy dobrze, czy źle zrobiłam, ale wydawało mi się, że wśród kwiatów, które składaliśmy Leszkowi od najbliższych jego sercu, najbardziej z nim zaprzyjaźnionych

brakowało by kwiatów od Was. Zadzwoiłam do Kary [Falenckiej], która zrozpaczona i bez głowy zapomniała być może o tem. Zamawiając od siebie, wysłałam i od Was. Stasiowi Balińskiemu powiedzcie, proszę, że zamawiając moje kwiaty, wysłałam i w jego imieniu. Na szarfach: Drogiemu Leszkowi — Stanisław Baliński.

Wczoraj wieczorem zegnaliśmy Leszka w kaplicy. Dziś tłumy odprowadziły Go na daleki cmentarz. I nie ma już Leszka. I nie chce się w to wierzyć. Przechodził przez piekło niepokoju, nie umiał sobie z nimi poradzić mimo gorącej wiary i ostatniej spowiedzi. Trudno i nie czas dzisiaj pisać o wielu rzeczach, ale złośliwość ludzka, która Leszka nie oszczędziła, jest dziś ciężko ukarana jego śmiercią.

A od tego co postanowił nie uchroniłby go nikt. A może ten wyjazd do Paryża?
Wybrał dalszą drogę.

Marysia

LISTY OD ANTONIEGO BORMANA

1.

Londyn, 31.5.1956

Mania, słodczy moja!

Choć na mój list jeszcze nie dostałem odpowiedzi — pewno w drodze — a ja znów piszę interesownie, bo co kogo spotkam w Ognisku albo w okolicy, każdy zadaje tylko jedno pytanie: „Co pisze Modzelecha?”, a jak coś bąknę, bo przecież nie mogę powiedzieć, że Wajsowa na rudo, to oni zaraz: „A do nas się nie odezwała!...” i widzisz te miny? Otóż chciałem Ci zaproponować kupienie hurtem u Woolwortha paczki najtańszych pocztówek z niezapominajkami przewiązanymi różową kokardą i poślij dla spokoju wszystkim, gdzieś załapała łyżkę ciepłej strawy. Dla ułatwienia tej procedury podaję Ci poniżej listę amatorów Twoich pozdrowień:

Mr. and Mrs. J. Sakowski, 54 Newlands Park, London, S. E. 26 (pochlebna recenzja)

Mr. and Mrs. W. Czerwiński, 102 Eton Hall, London, N. W. 3 (Milunia właśnie wróciła ze szpitala a Witold przyniósł Ci od niej bombonierkę!)

Mr. and Mrs. L. Kielanowski, 6 Frogna Lane, London, N. W. 3 — reżyser

Mr. and Mrs. B. Rand (Kitajewicz), 3 Ranulf Rd., N.W. 2 (ryba po żydowsku)

Mr. and Mrs. T. Horko, 37 Cromwell Rd., London, S.W. 7 (bliny z kawiozem)

Mrs. Irena Anders, 78 Brondersbury Park, London, N.W. (żona Wodza Narodu)

Mr. and Mrs. T. Terlecki, 84 Hazlewell Rd., London, S.W. 15 (zawsze obraza na wszystkich)

Mr. and Mrs. A. Kossowski, 38 Redcliffe Rd., London, S.W. 10 (duża kolacja, ona czarna a on milczący)

Dr Z. Nowakowski, 22 Hollycroft, London, N.W. 3 (wstrząsający felieton i wiele łzawych przemówień)

Mr. S. Baliński, 51 Eaton Place, London, S.W. 1 (sylwestrowy poemat)

Mr. T. Koper, 16/17 Avery Row, London, W. 1 (popiersie bez piersi)

Mr. A. Borman, 70 Queens Gate, London, S.W. 7 (chronicznie chory na serce)

Koledzy, koleżanki i Belski pod adresem Ogniska: 55 Princes Gate, London, S. W. 7

Marysia Potocka, 18 Talbot Square, London, W. 2 (też człowiek!)

Mr. M. Grydzewski, 54 Bloomsbury St., London, W. C. 1 (życzliwy redaktor i amant)

No, i zdałem Ci robotę aż do następnego wyjazdu do Londynu. Spiesz się, bo inaczej Cię nie sprowadzamy.

Całuję Cię najczulej Twój A.

2.

[Londyn] 31.5.1957

Mania, słodczy moja!

Wreszcie po długim wyczekiwaniu dostałem Twój list. Przyznam, że oko mi załza-
wiło — dziwne, że mamy podobne odczucia. Bezustannie jestem teraz w takim wyczulo-
nym nastroju, bo ciągle ktoś stamtąd przyjeżdża i z każdym z osobna łączą mnie inne
wspomnienia. Z tych wskrzeszanych wspomnień można by odtworzyć historię Polski na
przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat, bo dawniej już ledwo pamiętam...

Kwiaty załatwię z rozkoszą, ale są „problema” — kiedy posłać? We czwartek jest pre-
miera „Męża i żony” z Janką Romanówną (mały zespół) a w piątek „Dom otwarty”^{*} ze
wszystkimi staruszkami, ale bez Janki? Druga sprawa, to koszt. Można mieć za każdą cenę
od funta. Dziś oglądałem w mojej kwiaciarni cudny bukiet jak z obrazu ze wszystkich
kwiatów letnich i we wszystkich kolorach. Specjalnie nadaje się na scenę, bo niebywale
okazały. Cena wraz z garnkiem, bo musi być wniesiony w naczyniu £4.10 co znaczy na
Wasze dolary 13.- Może to za drogo, to może być mniejszy. Musisz zdecydować. Uprze-
dzam, że na wstążki z napisem już za późno, bo trzeba wcześniej zamówić i piekielnie dro-
gie. Wyrzucone pieniądze. Albo sam kupię jakąś śliczną kolorową kartę, albo sama mi przy-
ślij. Ewentualnie podaj mi tekst. Jeżeli do środy nie dostanę od Ciebie odpowiedzi, bo może
w czasie się nie zmieścić, decyduję sam za £4.10, posyłam na drugie przedstawienie tzn. na
„Dom kobiet”, kupuję prześliczną kartkę i wypisuję co następuje: „Najmilszym moim kole-
żankom — Marysia Modzelewska Nowy Jork. Data”. Jeżeli Ci się nie podoba — telegrafuj,
bo czasu bardzo mało. Liczę że mój list powinnaś dostać w poniedziałek, a ja Twoją odpo-
wiedź we środę, jeżeli odwrotnie odpiszesz. Może expresse? Na adres redakcji, bo tutaj
częściej doręczają pocztą a w domu tylko dwa razy dziennie i to niechętnie. Jeżeli będziesz
miała jakieś trudności z wysyłką czeku — odłóż na później a ja wyłożę.

Dlaczego ani słowa nie piszesz o swoim przyjeździe do Londynu? Czy odechciało Ci
się też występować u nas? Przecież wszyscy wyczekują! Kolegom nie odpisujesz na ich listy
w tej sprawie. Podobno wszyscy kolejno do Ciebie pisali. Napisz jakie masz zamiary.

Oczekuję więc odwrotnej odpowiedzi i całuję Cię najczulej i bardzo mocno

Twój A.

Dziś wyszedł numer poświęcony Leszkowi. Twoje wspomnienie — urocze.

* Pomyłka autora listu. Chodzi o przedstawienie „Domu kobiet” Zofii Nałkowskiej.

3.

Londyn, 7.6.1957

Mania najdroższa!

Wszystko odbyło się wedle z góry przewidzianego programu, w więc: Twój list przy-
szedł jak przewidziałem w porę, ale niestety nie mogłem ściśle wykonać Twego polecenia,
bo nie ma jeszcze storczyków. Zresztą dobrze się stało, bo w powodzi kwiatów storczyki by
zginęły na scenie. Twój bukiet był najwspanialszy i najokazalszy. Janka się popłakała,
i powiedziała mi, że „gdyby Marysia podarowała mi drapacza nowojorskiego, nie zrobiłaby
mi takiej przyjemności jak tymi kwiatami!”. Kartkę zresztą zaadresowałem do wszystkich
koleżanek, ale odebrała Janka, bo na jej ręce. Wszystkie były w teatrze z wyjątkiem Ćwikły.
Nie wyobrażasz sobie co się działo na widowni po przedstawieniu, jaki entuzjazm i oklaski
niemiłkące. Janka grała znakomicie. Pierwszy raz widziałem tę Kreczmarową¹, młodziutka,
pełna temperamentu i wdzięku. Urocza! Mężczyźni też doskonali. Po przedstawieniu wszy-

scy znajomi lunęli za kulisy. Tłumy z Heszelesem² na czele (jego żonusia też). Broniszówna powiedziała, że dopiero tutaj w Londynie jest stara Warszawa, bo w Warszawie już nie ma nikogo. Ogólne szloch, wzruszenie, kwiaty i tylko Ciebie jednej brakowało. Jaka szkoda, że nie zdobyłaś się na przyjazd. Dziś powtórzenie, ale „Dom kobiet”. Oczywiście idę i napiszę po przedstawieniu. Janka płaszczka jeszcze nie dostała, ale powiedziała, że Ty zupełnie szalejesz z tymi prezentami. Ponieważ z Twego czeku zostało mi około trzech funtów, proponuję kupienie czegoś Jance, albo może innej koleżance. Napisz jak zdecydujesz. Gdybyś zdecydowała Jance, poszedłbym z nią do Marks and Spencera, gdzie można kupić za te pieniądze prześliczną sukienkę albo coś z bielizny. Nie wiem, czy do Ciebie dotarło, że Zosia Terne ma własny i bardzo szykowny klub. Właśnie wczoraj wszyscy po przedstawieniu tam byli. Zosia podejmowała koleżanki. Były: Broniszówna, Janka, Karolina Lubieńska (najmniej się zmieniła), Kreczmarowa, Zelwerowiczowa, z miejscowych Kitajewicz, Kułakowska i tłumy innych. Ja byłem z Jasiem Brodzkim, który pierwszy raz widział autentyczny polski teatr. Był nieprzytomny. Natomiast Staś Baliński, widocznie pod wpływem tej obmierzłej starej Kirkienowej, już na przedstawieniu świńił, że Janka grała histerycznie, a że nie słyszał wiersza, a sztuka słaba itd. W tej chwili właśnie przerwał mi pisanie telefonem, bo posłałem mu urywek o nim z Twego listu. Oszalał z bólu! Twierdzi, że nigdy o tym nie wiedział, że jak to, on przecież natychmiast za wszystko dziękuje a zwłaszcza płaci (żeby taki zdrow był! On i Heszeles zawsze płacą!!!). Że właśnie szykuje audycję do radia Free Europe i wspomina polskie tradycje tego teatru (Scala Theatre), gdzie występowała Maria Modzelewska itd. I żebym koniecznie Tobie to napisał, jak on Ci jest oddany i jak zawsze tylko o Tobie myśli (żeby taki zdrow był — on i Heszeles!). Natychmiast do Ciebie napisze i gotów jest nawet zwrócić pieniądze (Heszeles też miał płacić za rozwód Żeby obydwaj tacy zdrowi byli!). Czytałem dziś recenzje w dwóch najpoważniejszych dziennikach angielskich. Entuzjastyczne. Daily Telegraph pisze, że nie potrzeba sztuki rozumieć, bo staropolski erotyzm bije ze sceny. Tylko Polacy umieją tak kochać. Obydwie recenzje w tym tonie. I znów wielkie przeżycie w tym szarym i prze nudnym Londynie.

Całuję Cię bbb. Mocno

Twój A.

¹ Justyna Kreczmarowa grała w „Mężu i żonie” Justysię.

² Chodzi oczywiście o Mariana Hemara, którego prawdziwe nazwisko było Heschel.

4.

Londyn, 11.12.1957

Mania, słodczy!

Jak mi możesz tylko wymyślać? Przecież wiesz, że to śmierć na moje serce i to w dodatku niesprawiedliwie, bo ja pisałem ostatnio i mi nie odpisałaś. Jestem w ciągłej korespondencji z Janką. Proponowałem jej abyście się razem zjechały w Londynie i zagrały jakąś sztukę. Bardzo jej się ten pomysł podobał i pyta w czym mogłybyście zagrać. Co Ty na to? Ale Ty na to jak na lato, bo nigdy mi nie odpisujesz, jak się pytam o Twój przyjazd. Aktorzy już też przestali się pytać, bo i im nie odpisujesz. Tymczasem polski Londyn szykuje się na Eichlerównę. Jutro przyjeżdża i będzie grała „Profesję pani Warren”, a Ty? Wstyd mi za Ciebie. Wszyscy się mnie pytają a ja nic nie potrafię odpowiedzieć.

Święta zapowiadają mi się słabiuchno, nawet nie będzie Sylwestra u Julków*, bo Stefcia ostatnio kilka tygodni leżała na nogę. Teraz już lepiej, ale musi bardzo uważać i mało chodzić. Grydz jedzie do Paryża. Kossowscy (wiesz, ta mała, czarna, też pisze Big Beny) nic nie urządzają. Słowem zostałem sam jak palec w nosie. Mam zerwane stosunki

z Retingerem o spór, kto występował w „Manewrach jesiennych” — Messalka czy Kawecka. Ja byłem za Kawecką a on odwrotnie i huknął na cały klub Zosi Terne, że ma w dupie, ale nie powiedział kogo — mnie, Kawecką czy Messalkę. W lokalu zrobiła się panika, kobiety mdlały, faceci je cucili, a stary tak się na mnie wściekł, że zerwał stosunki po 30 latach. Zupełny ramol. Z przerażeniem myślę, że ja też wkrótce będę taki sam, jeżeli natychmiast nie przyjedziesz i mnie nie odmłodzisz.

Jeżeli będziesz miała jakiś ślad choinki i Oplątka, pomyśl sobie o mnie tak czule i serdecznie jak ja będę w samotności myślał o Tobie.

Życzę Ci bardzo wesołych Świąt i całuję Cię mocno i gorąco.

Twój A.

Verte

Wołkowski nie chce już prenumerować „Wiadomości”. Odmówił! Hańba!!!

Bejtman zalega od 1 grudnia. Napisałem do niego wruszający list, ale nie odpisał. Co robić? Szkoda mu wstrzymywać, bo on może płacić. Przedpeńska, Rożek i Victoria mają wstrzymaną wysyłkę. Słabiuchno! Tylko jedna Frydler płaci.

Od 1 stycznia podnieśliśmy prenumeratę na 3.75 kwartalnie, 7.- półrocznie i 15.- dolarów rocznie. Okropnie wszystko zdrożało. Znów u nas bieda. Boję się, że ludzie nie będą chcieli płacić tak dużo i sporo nam odpadnie. Cholera!!! A Ty nie przyjeżdżasz... To już pełne dwa lata. Mój fotel, jak muzealny mebel, ogrodzony i nikomu nie wolno na nim przysiąść. I cóż mi z tego, że latarnia przez okno jeszcze świeci a mnie przed oczami coraz ciemniej i ciemniej. Jeszcze raz całuję.

* Sakowskich.

5.

Londyn 8.1.1958

Mania, słodczy!

Jak Ty możesz takie rzeczy mówić? Przecież ja odpowiadam tego samego dnia na każdy list, a na Twój nawet dzień wcześniej, zanim go dostanę. Piszę ciągle i o wszystkim. To prawda, że jest Lena, ale to nie to. Widuję ją, ale bez salopy, odwożenia i czułości. Ona ma prywatnego faceta, który jej nie odstępował. Zresztą nigdy mnie z nią nic „takiego” nie łączyło. Inna rzecz, że gra znakomicie w „Profesji pani Warren”*. To świetna aktorka, ale też zupełnie inna na co dzień, smutna i jakaś okropnie przegrana. Wczoraj była wielka kolacja dla niej u Kitajewicz. Oczywiście staropolskim zwyczajem odstawiliśmy tam „kino”, ale bez jej udziału (Włada Majewska, Irena Delmar, Jadzia Czerwińska no i ja). Było śmiesznie i suto. W piątek Grydz zaprosił ją na kolację a w niedzielę była u Toli Korian.

Święta miałem raczej słabiuchne. Kilka nudnych kolacji. Sylwestra w tym roku nie było u Sakowskich, bo ona była chora. Byłem sam w klubie u Zosi Terne. Było dość przyjemnie, ale ja sam jak palec w nosie. I w ogóle ja sam i ciągle sam, choć jeszcze mnie zapraszają, ale cóż z tego, kiedy sam. I tak będzie już do końca. Sam!!

Tys zaczęła, no to i masz te głupie wynurzenia o smutnej samotności. Czas było mi się przyzwyczaić. Całuję Cię tysiąc razy i kocham Cię niezmiennie mimo Leny i rudej.

Twój Antoni

* Premiera „Profesji pani Warren” G.B. Shawa z Ireną Eichlerówną w roli głównej odbyła się w Londynie 27 grudnia 1957.

6.

Londyn, 20.3.1958

Oj, Mania, słodczy moja!

Czy nie dałoby się, abyś z Janką bezpośrednio wykorespondowała Wasze granie w Londynie. To moje pośrednictwo do niczego nie prowadzi. Przede wszystkim Janka musi definitywnie oświadczyć, że przyjechać może i ona musi określić termin, bo przecież dla nas Europejczyków, skok z Ameryki do Londynu jest fraszką. Co innego dla nich z głębokiej Azji. Rozmawiałem tu z ichnim dyrektorem agencji teatralnej „PAGART”, Zakrzewskim, który podpalił się do tego pomysłu. Zdaje się, że Ci już to pisałem. I na tym wszystko utknęło. Ja ze zrozumiałych powodów nie mogę do niego pisać, bo mogę wszystko popsuć. Zrób ten wysiłek i napisz zaraz do Janki. Przecież to nie jest ważne co będziecie grały, byle byście jednocześnie przyjechały do Londynu. O sztukę najłatwiej. Powodzenie zapewnione. Forsa też. Uważam, że nie powinnyście się wiązać z Belskim¹, bo to nawalacz. Może Kielanowski nie jest najlepszym reżyserem, ale na poziomie, szmiry nie robi a administracyjnie nigdy nie nawali. Nie mogą przypadkowi agenci na Was zarabiać i Was nacinać na forszę, bo to hańba!!! Wszelkie wstępne pertraktacje z rozkoszą przeprowadzę i teren przygotuję a reszta później. Najważniejsze, żeby w Was przełamać jakąś indolencję. Obydwie chcecie, ale czegoś się boicie („choć chciałabym, boję się...”).

Co robisz na Święta? Może wpadniesz na Wesołe Jajko do mnie? Będzie kilka osób. Grydz jedzie do Hiszpanii. Z Warszawy przyjeżdża Paweł Hertz. Ja mu zmontowałem przyjazd a Auberon² zapłacił za bilet. Nie zapomnij salopy przesytać naftaliną i na tym kończę pocałunkiem czułym i gorącym

Twój A.

¹ Stanisław Belski (1900–1960), aktor, reżyser, prowadził teatr w Londynie.

² Auberon Herbert.

7.

Londyn, 18. 12. 1958

Mania, słodczy moja!

Dlaczego Ty mnie tak rugasz? Sama winna a innym wymyśla za milczenie. Przecież to ja ostatni do Ciebie pisałem i Tyś mi odpisała. Twój list wspólny z Kaziem [Wierzyńskim] potwierdziłem 3 października, opisałem wszystko jak było na letniakach a Ty ani słowa od tego czasu. Jak Ci nie wstyd? Ale ja mam wielkie polskie serce, nie obrażam się i piszę. A jeżeli komuś „bardzo źle” to raczej mnie, bo tęsknota za Tobą spędza mi sen z powiek. Mnie piosenka ciśnie się na usta: „Santa Madonna poratuj!”, „Czy pani mieszka sama, czy razem z nim” — zazdrość mnie podrzuca i „Mały żygolo, stary żygolo” to też ja — stary i nikt mnie już nie chce, tylko pisać każą a jak przychodzi co do czego np. przyjechać do Londynu, to już nie do mnie...

Wczoraj posłałem Ci przesliczną malowanąkę na święta z czułościami i życzeniami. Święta zapowiadają się raczej smętnie. Sakowscy wyjeżdżają do Manchester do jej jakiejś przyjaciółki, Sylwestra nie będzie, u Terleckich party w najbliższą sobotę. I tyle. To już nie te czasy. Może jak wygram w canastę, pójde przeć do Zosi Terne do jej klubu. Właśnie wróciła z Warszawy upojona swoim powodzeniem. Przywiozła nawet sensacyjną wiadomość, że podobno Ty się też wybierasz na występy. Czy to prawda? A ja się szykowałem na tę „Panią Dulską” z Janką, ale nigdy mi nie odpisałaś na mój pomysł. A Janka tylko marzy o przyjeździe do Londynu. Może jednak się zdecydujesz.

Mietek [Grydzewski] pojechał „szlakiem kadrówki” do Paryża na porcję teatrów. Pewno znów pobije własny rekord i w ciągu dwóch tygodni będzie w stu teatrach. Tegorocznym numerem gwiazdkowym też pobił wszystkie rekordy świata: 36 stron druku i milion malowanek. Ciesz się na tę lekturę. Lada dzień dostaniesz.

A czy wiesz, że ta wstrętna Amelia (Szenker) nie zapłaciła za cały rok 1958 i w końcu wstrzymałem jej wysyłkę. Może przy sposobności przemówisz jej do zatwardziałego sumienia? Piętnaście dolarów nie chodzi piechotą! Porównaj teraz moje pisanie z Twoim. Ja stale biję moje rekordy a Ty się wykpiwasz kilkoma słowami. Teraz kolej na Szanowną Panią.

Raz jeszcze wszystkiego najlepszego, Wesołych Świąt i kochaj mnie jak dawniej, jak zawsze i do końca mego życia.

A co tam słyhać na naszych drogach sercowych?

Całuję A.

8.

Londyn, 22. 4. 1959

Mania, słodczy moja!

„No — nie pisałam, ale...”, tak rozbrajająco zaczynasz swój rękopis. Ale gdybym to ja nie pisał — dostałbym manto tam i z powrotem.

Prawdą jest, że „Dziennik Polski” pisał, że już jesteś w Warszawie i występujesz ze zmiennym powodzeniem: raz tak, raz inaczej, ale zawsze cudnie, bo to taka nasza, taka polska gwiazda sceny rodzimej itd., itp.

Nie rozumiem tylko, dlaczego robisz Chaberskiemu* trudności, przecież sama mi kiedyś pisałaś (nie dostałem później już odpowiedzi), że gotowa jesteś grać „nawet Dulskiego”, byleby występować. A ja ciągle, z uporem Maliniaka, namawiam na występy w Londynie i właśnie w „Pani Dulskiej”, bo sztuka cudów cud, a Ty mogłabyś stworzyć fantastyczną kreację. Ale Ty na listy nie odpowiadasz!!! I tak gadał dziad do obrazu...

Koledzy londyńscy, którzy ciągle mnie podejrzewają o jakieś tajemne z Tobą związki, nie przestają mnie atakować, aż w końcu mnie pobijają na środku Ogniska Polskiego, właśnie o Ciebie. Biedny Belski z tego powodu nawet się groźnie rozchorował i od wielu miesięcy przebywa w szpitalu. Pozostali na placu Zimand [Zygmunt], Kielanowski [Leopold] i Wojtecki [Wojciech]. Każdy po kolei, bierze mnie na stronę i coś bałaka na Twój temat, a ja udaję, że mam coś do powiedzenia. Pisałem już kilka razy, że forsa na wojaż do Londynu też się znajdzie. Jest taka kupa teraz najrozmaitszych imprez polskich tutejszych i krajowych, że faceci podpalają się do każdej nowej i dorabiają się. Słowem zdecyduj się wreszcie jeśli chcesz mnie jeszcze przed piachem zobaczyć.

Ty na mnie kamieniem, a ja na Ciebie tasiemcem. Widzisz, jak się rozpisałem? A Ty co? Świstek papieru jak życzenia na Purym. Wstydź się! Mimo to kocham Cię sercem całym i całuję czule i gorąco.

Twój A.

* Chaberski Emil (1891–1967), aktor, reżyser, dyrektor teatru.

9.

[Londyn] 22.11.1960

Marysiu, kochana moja i najmilsza!

Z całego serca dziękuję Ci za Twoje słowa pocieszenia. Śmierć Hapelki¹ rzeczywiście jest strasznym dla mnie ciosem, bo przez całe życie była najbliższą mi Istotą i do

końca wiernym i oddanym Przyjacielem, ale najcięższy mój ból jest niczym w porównaniu z nieludzkimi cierpieniami, jakie Ona znosiła od wielu lat, a zwłaszcza od pół roku. Z małymi przerwami, od maja już nie opuszczała szpitala i doskonale zdawała sobie sprawę z bliskiego końca, o który się modliła. Codziennie chodziłem do szpitala i bezradnie siedziałem przy Jej łóżku, patrząc na jej cierpienie, któremu niczym ulżyć nie mogłem. Przytomna była do ostatniego dnia. W czasie ostatniej mojej wizyty jeszcze mnie prosiła, abym Jej czytał „Wiadomości”, a na pożegnanie, jak co dzień, uśmiechnęła się do mnie. To był ostatni Jej uśmiech. Nazajutrz rano nie obudziła się.

Prześlizcznie napisałaś o Waszym nowym domu². Czytałem w korekcie. Wczoraj przyjechał do Londynu Słonimski. Spędziłem z nim cały wieczór. Dziś idziemy z nim, Grydзем i Stasiem [Balińskim] na kolację. A pamiętasz naszą ostatnią kolację u Simona? Podarowałaś na drogę Orciowi papierosy. On też już nie żyje. Coraz nas mniej. To okropne.

Czy Ty nigdy nie przyjedziesz do Londynu? Przecież nie musisz występować, jeśli nie chcesz, ale możesz przyjechać „prywatnie”, do nas — starych przyjaciół, jeśli chcesz jeszcze te resztki zastać.

Napisz znów kiedyś do mnie, bo ostatnio bardzo zaniedbałaś korespondencję ze mną. Jeszcze raz dziękuję Ci i całuję Cię czule i gorąco.

Kochający Cię Antoni

¹ Hapelka — Halina Frankowska, była żoną Antoniego Bormana, zmarła w Tel Awiwie.

² Chodzi o dom Fundacji Kościuszkowskiej.

10.

Londyn, 5.12.1960

Mania, słodczy moja!

Odżyły najpiękniejsze tradycje — nowa prenumerata zjednana przez Ciebie!!! Już myślałem, że zupełnie zapomniałaś o Swoich najważniejszych „obowiązках”. Nie czekając Nowego Roku, już dziś rozpoczynamy wysyłkę p. Alfredowej Jurzykowskiej, aby miała dobre wyobrażenie o naszym organie.

Jeżeli wierzę, że p. Alfredowa będzie naszą dożywotnią prenumeratorką, to wprost uwierzyć nie mogę Twoim słowom, że rzeczywiście wybierasz się do Londynu. Czy mówisz na serio? Pytasz kiedy lepiej, czy w maju czy w kwietniu? Ja oczywiście wolę w kwietniu, bo bliżej, ale może cieplej będzie w maju... Choć tutaj w tym obrzydliwym kraju nic nie wiadomo. Czasami właśnie wczesna wiosna piękna, a później już leje bez przerwy do Bożego Narodzenia, tak właśnie jak jest w tym roku. Jeszcze nie przestało lać, a już dawno wiosna minęła!

Napisz mi koniecznie więcej o tym przyjeździe: czy na długo, gdzie chcesz mieszkać (chyba nie u Marysi?), czy mam coś dla Ciebie przygotować? A może na stałe?

A więc pakuj sakwojaż, zabieraj na drogę pudermantel i siatkę na motyle, bo to już będzie wiosna i w drogę!!! Całuję Cię bardzo czule i gorąco

Twój A.

11.

Londyn, 10.10.1961

Mania, słodczy moja!

Zemdlilo mnie! Czy prawdę mówisz, że przyjedziesz na Boże Narodzenie? Już myślałem, że nigdy więcej się nie zobaczymy a tu taka wiadomość!!! I zabierasz salopę?...

Gdzie chcesz mieszkać? Ten śmierdzący hotelik Marysi Potockiej już przestał być jej. Sprzedała i mieszka razem z „narzeczoną”. Może coś przygotować? Ile chciałabyś płacić i na jak długo? Może coś prywatnego, będzie taniej. Można coś znaleźć w cenie 15 dolarów tygodniowo. Czy to Cię nie przeraża? A może u jakiejś kumy? Mogę negocjować, tylko mi napisz zawczasu. Czy przyjedziesz aeroplanem czy trakcją motorową? Gdzie czekać? Już nie śpię po nocach. Oczywiście nigdzie na święta nie pojedę, choć mam zaproszenie do Hagi, ale wolę z Tobą przy świetle ulicznej latarni przez okno. Pamiętasz?

Egzotyczną Twoją kartkę dostałem, ale nie odpisałem, bo gdzie Cię szukać po pustyniach? Listu nie dostałem, chyba masz na myśli ten sprzed pięciu lat, bo od tego czasu do mnie nie pisałaś. Ty, brzydka.

W Londynie bawi w tej chwili Mania Nagórska. Dziś idę z nią do teatru. Zaprosiła. W czwartek duża kolacja u Stefci Sakowskiej. Ale nic się nie martw, dla Ciebie też urządzi.

Ciesz się, że wkrótce zobaczysz „Mazowsze”. To wielkie przeżycie artystyczne. Ostatnio specjalnie pojechałem na spotkanie z nimi do Holandii, a teraz ich spotkałem w Southampton w drodze do Kanady. Płynęli „Batorym”. Rozkoszna banda dzieciaków w podeszłym wieku.

Pisz ciągle i o wszystkich przygotowaniach do wojażu, bo czasu zostało już niewiele. Całuję Cię czule i gorąco, bo kocham sercem całym.

Twój A.

12.

Londyn, 8.1.1963

Mania, słodczy moja najcudniejsza!

Dostałem długi list od Janki Romanówny, w którym mi pisze, że za moją namową gra Dulską. A ja kiedyś marzyłem, abyś się z nią zjechała w Londynie i razem w Dulskiej zagrały. To byłaby zabawa!... Janka pyta, czy teraz nie udałoby się zrealizować tego pomysłu. Co Ty na to? Przecież sto razy obiecywałaś, że przyjedziesz i ani śladu. Radzę, pospiesz się, bo nas już coraz mniej. Teraz mamy prawdziwy teatr w Ognisku, scena, kurtyna, reflektory — słowem jak opera. W tej chwili grają sztukę dwuosobową Cwojdzńskiego „Hipnoza” z Tolą Korian i Jerzym Kawką (młody aktor, zwiął z Polski). Sztuka — coś na zasadzie „Teorii snów” tegoż. Tola znakomita i śpiewa Twoje piosenki z Qui Pro Quo (Hemara). Kawka gorszy, ale ma dużo wdzięku i młody. Przecież wystarczyłoby, abyś tylko tu dojechała, a forsa na resztę się posypie. Kapuj się i ruszaj w wojaż.

Do serca Cię tulę i pocałunkami obsypuję

Twój kochający Antoni

13.

Londyn, 22 marca 1963

Mania, Słodczy moja!

Z naszej „Dulskiej” nici. Dostałem właśnie płaczliwy list od Janki, że te ruskie chamy dwa razy odmówiły jej paszportu. Widocznie Polska Ludowa żyć nie może bez Janki. Jej wyjazd na krótki pobyt na Zachodzie może spowodować zalew bliskiego Wschodu przez daleki Wschód, czego oni najbardziej się boją. Już prędzej by woleli Amerykę niż te żółtka. A tak sobie ślicznie wymyśliłem to widowisko z dwiema moimi najulubieńszymi gwiazdami sceny polskiej!

Trudno się mówi, ale przecież Ciebie nic nie zatrzymuje na drugiej półkuli i bez większych trudności możesz przyjechać. A jeśli będziesz miała kaprys w czymś wystąpić — zawsze wymyślimy i znów błysniesz wszystkimi blaskami swego talentu. O.K.?

W poniedziałek przylatuje do Londynu moja znajoma Bronka Gerard. Z pewnością ją znasz. Z nią omówię Twój przyjazd i pewien jestem, że nam pomoże. Mam jeszcze w zanadrzu Izę Landsbergerową, która ma kupę forsy i tylko szuka okazji, gdzie by ją wydać. A okazja nadarza się znakomita!...

Odpisz mi zaraz, co sądzisz o tym wojażu i kiedy mogłabyś płynąć, lecieć i nawet jechać na rowerze. Byle do nas i byle prędzej.

Czekam więc, bo tęsknię, całuję Cię, bo kocham itd. Twój A.

14.

Londyn, 29 sierpnia 1963.

Mania, słodczy mego zbolełego serca!

Czy wiesz jaką datą był ozdobiony Twój ostatni do mnie list? 10 stycznia 1963!!! I nie jest Ci wstyd? Ale ja kocham i wybaczam, bo mam wielkie polskie serce (zbolełe).

Nieubłagana starość jeszcze bardziej mnie ku ziemi pochyliła, a że stary — dam Ci jeden tylko dowód: w tym roku przypada czterdziestolecie od chwili założenia naszego organu, w R.P. 1924!... W związku z tą osobliwą uroczystością mam dla Ciebie propozycję interesowną. Rocznice chcemy uczcić numerem gwiazdkowym, zdobnym w liczne malowanki, a co najważniejsze liczne ogłoszenia. I tu zaczyna się interes. Czy nie miałabyś kaprysu zarobić trochę forsy i zakręcić się wokół wszystkich Twoich milionerów, aby ten numer swoimi ogłoszeniami ozdobili? Jeśli nawet nie mają co do sprzedania, mogą np. składać nam życzenia drukiem a za to będą sownie płacili od każdego zajętego na ten cel centymetra czy cala. Czasu wiele nie zostało, i dlatego zaklinam Cię — odpisz mi odwrotnie, bo jeśli mi odmówisz, będę szukał kogoś, oczywiście nieporównanie gorszego od Ciebie i to pod każdym względem: urodą, wdziękiem i płcią. Ten genialny zresztą pomysł zawdzięczam Anieli Mieczysławskiej, która właśnie ostatnio prześliznęła się na moment przez Londyn i znikła jak sen jakiś złoty. A jeśli się zgodzisz, podam Ci wszystkie warunki i szczegóły jak się do tego zabrać, aby miliony zebrać.

Dwa tygodnie temu wróciłem z letniaków i czuję się doskonale. Wyglądam świetnie, urosłem, opaliłem się, mam blond pukle i niebieskie oczy. Słowem, cudów cud. Przyjeżdżaj a zobaczysz. A może właśnie na nasz jubileusz? Podobno Kazio Wierz[ynski] już jedzie. Zabierz się z nim.

Czekam więc odpowiedzi. Całuję Cię najczulej, bo kocham niezmiennie. Twój A.

15.

Londyn, 20 września 1963

Najmilsza moja!

Za list bardzo Ci dziękuję, i za to że gotowa jesteś „zniechęcić się” do mojej prośby. Znam Twoje wielkie polskie serce i wierzę, że uczynisz, co będzie w Twojej mocy, aby w godny sposób uczcić tę naszą rocznicę szczęśliwego pożycia Grydza ze mną. Czy istnieje przykładniejsze i wierniejsze małżeństwo na świecie? Czterdzieści lat!... Co?

Ile czasu na to poświęcisz — będę szczęśliwy, ale pod jednym warunkiem, że na zasadach uczciwego handlu — coś za coś, a więc proponuję jedną trzecią dla Ciebie, a resztę dla nas. Zgoda? A jeśli sobie uzbierasz trochę grosza, czy przyjedziesz do Londynu? Głównie mi na tym zależy. Kilka bitych stron ogłoszeń i aeroplan zapłacony. O resztę już się nie martw.

Obojętne czy to będą życzenia czy handlowe ogłoszenia, byleby były. Chcemy tę rocznicę obchodzić numerem gwiazdkowym, a więc najpóźniej do 1 grudnia musimy mieć wszystkie teksty.

Życzenia czy ogłoszenia kosztują według naszego cennika:

Cała strona	dol. 420.-	(daj nam Boże kilka!)
½ strony	" 210.-	
¼ "	" 105.-	
⅛ "	" 52.50	(niech ręka Boska broni!)

Naddatki mile widziane tzn. małe życzenie za dużą sumę. Targować się nie będziemy. Ja uczciwy kupiec i aby do wiosny...

Gdyby rzeczywiście czas Ci nie pozwolił na całkowite wyzyskanie rynku amerykańskiego, może dobrałabyś sobie jakąś pomoc na pomniejszych stany np. Indiana, Virginia itp.

Oczekuję z radością i niepokojem pierwszych wyników, a tymczasem całuję Cię bardzo czule i gorąco — Twój Antoni

Z góry bardzo dziękuję i cieszę się na zobaczenie w Londynie [Mieczysław Grydzewski]

16.

Londyn, 10.10.1963

Marysiu, słodczy moja!

Za list gorąco Ci dziękuję. Jestem Twego zdania, że powinno się akwizycję oddać komuś, kto mógłby poświęcić cały swój czas, za duży nawet procent. Ale skąd wziąć takiego faceta? Ja tam nikogo nie znam. Byłabyś aniołem, gdybyś razem z Anielą Mieczysławską, która bardzo się podpaliła do tego naszego jubileuszu, kogoś odpowiedniego znalazła. Czas nagli bo zostało już sześć tygodni. Właściwie musimy mieć teksty ogłoszeń, czy życzeń, do końca listopada. A więc ratuj, bo nędza w oczy prószy!...

„Wiadomości” wysyłamy do Polski w zamkniętych kopertach i też nie dochodzą. Przepuszczają tylko do instytucji, uniwersytetów, bibliotek itp. Może ten profesor ma jakieś oficjalne stanowisko i na adres jego instytucji można by posyłać, bez wymieniania jego nazwiska? Wówczas jest szansa, że będzie dostawał. Nie chcę naciągać na prenumeratę, wiedząc z góry, że pisma dostawać nie będzie, chyba, jak się rzekło, na instytucję. Czekam na odpowiedź.

Jeszcze sobie pomyślałam, że może Halina Rodzińska, która z pewnością nic nie robi, zorganizowała by taką zbiorówkę ogłoszeniową. Napuść na nią Anielę.

Czekam z utęsknieniem dalszych od Ciebie wiadomości, a tymczasem tulę Cię do serca i kończyń Twoje całuję. Twój A.

A może istnieje w Nowym Jorku jakieś polskie biuro ogłoszeń? Im można by powierzyć wyłączność. Może na to polecać?

Jutro pogrzeb Zygmunta Nowakowskiego*. Biedak, okropnie się męczył i od lat chorował na wszystkie dopuszczalne choroby, aż wreszcie go zmogło. Przytomny był do ostatniej chwili. Wielki żal tego człowieka.

* Zigmunt Nowakowski zmarł 4 października 1963.

17.

[Londyn] 15.11.1963

Słodczy moja!

„Cegiełkowy” pomysł sztabowy! Brawo!!! Przykro mi tylko, że przysporzyłem Ci tyle kłopotów. Wybacz, ale odcałuję wszystkie trudy, jak tylko przyjedziesz do Londynu. O.K.?

Te cegielki można prześlicznie oprawić w jakąś szatę graficzną. Może uzbiera się na całą stronę? Dostałem już taką cegielkę, ale jedną i na całą stronę od Galerii 63. To moja ostatnia „miłość” — nie galeria, a jej właścicielka. Ciekaw jestem czy ją znasz? To są dwie siostry: Bronka Gerard i Ziuta Gerst... (po literze „t” ma jeszcze coś; ale nie pamiętam). Ostatnio obydwie były w Londynie. Wszystkie przyjeżdżają (dziś miałem zapowiedź przyjazdu od Anieli), a TY nigdy. Wstydz się!!!

Ale zanim sama przyjedziesz, błagam o wszystkie cegielki najpóźniej do 1 grudnia, bo numer gwiazdkowy wychodzi 10-go.

Czekam więc, z góry dziękuję, gorąco Cię całuję bo kocham sercem całym

Twój Antoni

18.

Londyn, 9.1.1964

Słodyczko moja jedyna!

Wczoraj Grydz pisał do Ciebie, ale zapomniał Cię poprosić o zwrot tego zestawienia wpłat, a nie zrobił odpisu i już nic nie wie. Zastraszący urząd starczy gnębi tego Mietę, i nic nie pamięta. Może ja też już taki ramol? Zanim odeślesz ten dokument, może sama z nim przyjedziesz, choć w tej chwili nie namawiam, w przede dniu występów „Mazowsza”.

Zazdroszczę Ci, że ich zobaczysz beze mnie. Ja mam pełnego fioła na ich punkcie i wlokę się za nimi jak maniak! Pogadaj tam z nimi — zobaczysz jak oni mnie „ubóstwiają”, a Ty nie, bo nie chcesz za Boga przyjechać.

Co się stało z Anielą Miecz[ysławską]? Przecież zapowiedziała swój przyjazd i rzekomo miała posunąć do ołtarza z polskim hrabią, nawet niegdyś ambasadorem. Takie tu chodzą gadki. Czy to prawda?

Napisz znów słówko, bo kocham i tęsknię — Twój Antoni

19.

Londyn, 24.1.1964

Słodyczy Ty moja!

Za list pięknie Ci dziękuję. Potrzebny mi był do obliczenia w myśl naszej umowy Twego procentu, co zostało dokładnie wykalkulowane i nie czekając Twego przyjazdu, czek na sumę dol. 120.- przez bank został dziś wysłany. Może ta drobna sumka zachęci Cię do wojażu i wystarczy na podróżną nową „salopę”? Ale nie zapomnij przywieźć nurków, bo może być znów zimno tak jak za poprzednim Twoim pobytem w Londynie. Chwilowo wiosna i pięknie.

Książkę Julka Sakowskiego wysyłam oddzielną pocztą. Dostaniesz ją chyba za dwa tygodnie, bo leci zwykłą pocztą. Aniela już zjechała, ale coś mi się ta miłosna sprawa nie podoba. Szuka mieszkania oddzielnego i jak twierdzi — na jakieś sześć a może nawet dwanaście miesięcy. A przecież ten „narzeczony” cały rok czekać na kobierzec ślubny nie będzie, to chyba ryzykowne. No, ale może się ona doczeka. Widziałem ją już dwa razy i będziemy się widywali często (tak ona twierdzi) w chwilach wolnych od jej „obowiązków”. A mnie się wydaje, że te obowiązki są dość smutne...

„Wiadomości” jako takie żadnych galówek obchodzić nie będą, jedynie „obszedł” Koziół (znany restaurator ze Lwowa) i zaprosił do swojej restauracji grono najbliższych przyjaciół organu na fantastyczny obiad. Jedzenie i alkohole jakich w ustach nie miałem od Warszawy. Cudów cud! Opis tej uczyty przeczytasz w najbliższym numerze „Wiadomości” pióra Big Bena (Stefa Kossowska). Ale przecież i bez galówki możesz przyjechać? Twój przyjazd będzie najpiękniejszą galówką dla nas wszystkich. A więc Ty się

tylko kapuj i siadaj na najbliższy parostatek, a ja już w porcie będę oczekiwał z największą radością.

Całuję Cię tysiąc razy i pozdrawiam najserdeczniej. Twój Antoni
Bardzo Ci polecam „Mazowsze”. Pogadaj z nimi o mnie, zobaczysz jak mnie wszyscy kochają — nie wiadomo za co, ale kochają!

20.

Londyn, 17 lutego 1964.

Mania, słodka moja!

Czyś Ty oszalała, żeby taki cudny czek odsyłać? Jak Ci nie wstyd? Przecież tak umówiliśmy się! Chyba masz mój dokument z warunkami handlowej umowy? A teraz co? Po prostu sztylet w serce!...

Gdybym miał Ci posyłać przez następnych lat czterdzieści wszystkie książki, które już wyszły i może kiedyś wyjdą — nie spłace tego długu — ani wdzięcznością ani czekami. Nie poniżaj mojej godności osobistej i przynajmniej jak najczęściej żądaj tych książek, a ja odwrotną pocztą będę Ci wysyłał. A może masz jakieś inne kaprysy? Może Ci się zdarła Twoja cudna nurkowa „salopa”? Powiedz szczerze, choć ta szczerłość nie pomoże, bo ja biedny i skąd do mnie taka „salopa”? Ale gdybyś, zamiast, miała kaprys i wreszcie przyjechała — gościnności mojej nie będzie granic. Wszystkie już przyjechały, nawet ostatnio Kazia Skalska, a Ciebie jak nie widać tak nie widać. I po co się drażnisz? Nie przeciągaj struny, bo może być za późno, i jak w końcu przyjedziesz — mnie możesz nie zastać i będzie Ci przykro...

Tymczasem raz jeszcze dziękuję za Twoją słodką „Kolaborację” i całuję Cię czule i serdecznie Twój Antoni

Ja także bardzo dziękuję za piękny dar, ale mam wyrzuty sumienia... Całuję Cię serdecznie i pozdrawiam [Mieczysław Grydzewski]

21.

Londyn, 13.1.1965

Mania, słodczy Ty moja!

Cudne przysłałaś mi fotki, ale Ty najpiękniejsza. Szkoda, że są kolorowe, bo chcielibyśmy je dać do organu, a z kolorowych nic nie wyjdzie. Może masz odbitki czarne?

Ale na co mi te fotki? Mnie się Ciebie chce w naturze. Uprzytomnij sobie, że to już osiem lat upłynęło od Twego pobytu w Londynie!!! Jak Ci nie wstyd? Miliony obróciły w te i we wte z Ameryki do Europy. Papieru by mi zabrakło na listę w porządku alfabetycznym. Kto tu nie był? I gwiazdy filmowe (Jadzia Smosarska), i gwiazdy sceny polskiej (Janka Wilczówna), i właścicielki restauracji (Janka Wilczówna), i poeci (Kazio Wierzyński) i pisarze (Kazio Wierzyński), i hipochondrycy (Józio Wittlin), może biegać i za pisarza, choć jakoś dalszego ciągu „Soli ziemi” nie widać, i młodzież, i staruszki, lesbijki i pederasci (bez wymieniania nazwisk i adresów), kupcy i piłsudczycy, a Ciebie jak nie widać, tak nie widać... Czy myślisz, że uda Ci się mnie utrzymać w tym oczekiwaniu następnych lat osiem? A czy Ty wiesz, ile ja mam już lat? Oblicz sobie, ile lat upłynęło od wojny krymskiej, podziel przez dwa i odejmij siedem. Tyle ja jestem!

Przecież teraz można jechać za byle co, podobno nawet dopłacają, a jeżeli nawet „się nie ma złota ani miedzi” — jak skończył Twój kuśnierz, który Cię wrabiał w kupno nowego futra? Przerachuj to sobie dobrze, pakuj sakwojaż i wsiadaj na jakiś środek loko-

mocji, i wreszcie przyjeżdżaj, bo serce mi pięknie z żalu i tęsknoty, a nie zapominaj, że serce mam delikatne...

Całuję Cię czule i gorąco — Twój kochający Antoni

22.

Londyn, 22.10.1965

Mania, Słodczy Ty moja!

Ale czy Ty mnie nie nabierasz na ten przyjazd?* Ta wiadomość aż mnie zemdlila! Przyjeżdżaj jak najprędzej i przyrzekam Ci, że tym razem nie dostanę zawału serca, bo serce mam jak dzwon i jeszcze będzie lepsze, jak Cię wreszcie zobaczę.

Byłoby najlepiej, gdybyś mogła przyjechać na Boże Narodzenie. Miałbym więcej czasu na pieścizoski, a i pełno szykuje się przyjęć: Wilia, pierwszy dzień świąt, drugi też, Sylwester w... Oazie itp. A czy sobie upatrzyłaś jakiś dach nad głową? Przecież nie będziesz mieszkała w hotelu? Marysia Potocka już nie posiada swego Palace Hotel, natomiast ma dom i może tam mogłaby Ciebie ulokować. Ja niestety mam ciągle ten sam jeden pokój a dobrze Ci znane moje łożo boleści z czasów choroby jest tak wąskie, że nie mógłbym go z Tobą dzielić...

Pewno z innego powodu też!

Napisz dokładnie dzień przyjazdu — czy aeroplanem, czy koleją żelazną i parostatkami? Muszę wiedzieć dużo wcześniej, bo chcę się odpowiednio przygotować: ułożyć pukle, umyć nogi, zrobić przepitkę kolorów.

Ty się tylko kapuj i uderzaj w ten wożaż!!! Grydz daje rzeźbę w organie, a ja tylko marzę o organizmie w naturze. W tym miłym oczekiwaniu całuję Cię najczulej i najmocniej.

Resztę czułości osobiście. Twój Antoni

* Maria Modzelewska w drodze powrotnej z podróży po Europie przyjechała do Londynu dopiero za kilka miesięcy. 26 III 1966 r. była na premierze sztuki Mariana Hemara *Pierwiastek z minus jeden*.

23.

Londyn 28 I 66

Słodczy Ty moja!

Twoja radosna wiadomość przysłała w samą porę, uzdrawiając moje nadwątlone serce. Od dwóch tygodni leżę w betach jak za dawnych dobrych czasów, tylko że bez Twojej troskliwej opieki. To co prawda nie zawał, ale „sfatygowane” serce, jak twierdził znany Ci dr Kryszek. Czym się sfatygowało — nie wiadomo, podejrzewam, że tęsknotą po Tobie. Przyrzekam, że jak Cię odbiorę na lotnisku, znajdziesz mnie ozdrowionego i w pełnej krasie. Może to nawet lepiej, że w marcu — będę miał czas na wykurowanie się. W każdym razie możesz liczyć na mnie!!! Czy przywieziesz „salopę”, bo ja autko ciągle jeszcze posiadam, tylko inne, ale „słodkie”. Smutek polegiwania w łóżku rozjaśnia mi perspektywa zobaczenia Ciebie. Już liczę dni i godziny. Czekam więc i całuję Cię czule i gorąco i tak mocno jak mocno Kocham. Twój Antoni.

24.

Londyn, 10 maja 1966

Słodczy Ty moja!

Wzruszyłaś mnie swoim uroczym listem i prześliczną fotką, szkoda tylko, że została zeszpecona moim organizmem. Teraz wszystko się wydało — zgrzybiały staruch!!! Na-

tomiast oburzyłaś mnie swoim czekiem. Gdybym miał Twój tupet — odesłałbym tak jak Tyś to zrobiła z moim. Pamiętaj! Ale ja delikatny i ze wstydem przyjmuję. Taki drobiazg! Przecież to było jednorazowe wsparcie dla biednego pielgrzyma (czy bywają pielgrzymki?).

W Paryżu było czarownie, zwłaszcza na łonie „Mazowska” (i Miry!). Występowali w olbrzymim teatrze, Alhambra, przez trzy tygodnie przy kompletach i entuzjastycznym przyjęciu publiczności i prasy. Za to Teatr Powszechny (z Warszawy) — kłapa. Grali „Wesele”, „Zbrodnię i karę” i „Kolumbów”. Jedno gorsze od drugiego. Dlaczego przysyłają do nas zawsze takie kiepskie teatry? A Tyś mówiła, że w Warszawie wspaniale. Jak to jest? Przyjechali do Londynu na międzynarodowy festiwal teatralny. Wczoraj byłem na „Idiocie” — teatr moskiewski. Fantastyczne przedstawienie. Pękałem z zazdrości, że te ruskie tak grają, i tak wystawiają, a my tacy mizerni.

W tej chwili nie mam jeszcze żadnych planów wakacyjnych. Gdybyś znów miała kaprys do mnie napisać — byłbym szczęśliwy. Całuję Cię tysiące razy, bo kocham sercem całym.

Twój Antoni

25.

Londyn, 16 maja 1966.

Mania, najśłodsza moja!

List Twój dostałem dziś i natychmiast wysłałem pocztą lotniczą 10 egzemplarzy „Lechonia”¹.

Cena wraz z wysyłką wynosi \$1.50 za 1 egz. Może ta przesyłka dojdzie na 20-go, ale bardzo wątpię. Poganiam aeroplan jak mogę, ale czy on aby doleci?

List Twój z fotką i czekiem dostałem i natychmiast Ci odpowiadam, dziękując za fotkę i wyrażając oburzenie z powodu czeku. No ale co robić, jak Ty uparta i ciągle mi wtykasz jakieś czeki.

Wczoraj były imieniny Zosi Terne. Wielki ochłaj i same „panienki”: Jasia [Jasińska], [Loda] Halama, Tamara Karren, Beata Artemska i ja jeden jedyny chłopak. Zosia trochę podlała i cały czas śpiewała Twoją piosenkę: „Santa Madonna poratuj, w czwartek z kryminalu powraca mój mąż” bo rzeczywiście Mikuła już wraca we czwartek². Życie zaczynamy na nowo!

Dziś odleciał do Chicago Kazik Kranc, a w sobotę przylatują z Paryża Słonimscy. Słowem sezon w pełni „a w środku me złamane serce”, bo Ty tak daleko.

Napisz słówko, czy „Lechoń” przyfrunął na czas.

Całuję Cię milion razy, bo kocham do utraty przytomności

Twój Antoni

¹ *Pamięci Jana Lechonia*. Londyn: „Wiadomości”, 1958.

² Aluzja do popularnej piosenki Hemara „Santa Madonna, poratuj!”. Stanisław Mikuła (1908–1977), artysta malarz, scenograf, był mężem Zofii Terne. Odsiadywał kilkuletni wyrok za kradzież czeków.

26.

Londyn, 8.6.1966.

Kochanko moja najmilsza!

Za list i śliczny czeczek pięknie Ci dziękuję. Cieszę się, że w porę książki nadeszły. Nie przypuszczałem, że zostaną sprzedane. Tobie jednocześnie posyłam pocztą zwykłą, oczywiście jako skromny upominek.

Na żadną rocznicę w Londynie jakoś się nie zanos^{*}. Brak inicjatywy i chętnych wykonawców. To powinien zrobić Związek Pisarzy, ale to martwa instytucja. W Londynie rozeszła się pogłoska o śmierci Jurzykowskiego. Wiadomość podał w zeszłym tygodniu „New York Herald Tribune” i powtórzyła jakaś gazeta londyńska. Natomiast nie ma żadnego potwierdzenia bezpośrednio z Nowego Jorku ani do „Dziennika Polskiego”, ani do Radia Free Europe. Korespondentem „Dziennika” z Nowego Jorku jest Mossin. Dlaczego nie podał, a jeśli to nieprawda, dlaczego nie zdementował? Wczoraj powstrzymałem Grydza, aby nie posyłał depechy kondolencyjnej do p. Jurzykowskiej dopóki nie nadejdzie oficjalna wiadomość. Może Ty napiszesz mi słówko w tej sprawie.

Z Jasią [Romanówną] spędziłem wczoraj pożegnalny wieczór u Daquis’a. Dziś rano wyjechała do Polski.

Byłbym szczęśliwy, gdyby rzeczywiście Ci się udało znów przyjechać do Londynu, ale nie jak bomba — na kilka dni. Ja muszę na bardzo długo, albo na zawsze!...

Całuję Cię czule i gorąco Twój kochający A.

* Borman zwraca uwagę, że nie było żadnego (symbolicznego nawet!) uczczenia 10. Rocznicy śmierci Jana Lechonia.

27.

Londyn, 10.10.1966.

Mania, słodczy Ty moja!

Już mnie nikt nie dogląda, bo zacząłem funkcjonować normalnie, ale com się wycierpiał, to moje! Nie wiem, przy czym trzymasz i od jakiego momentu mam Ci opowiedzieć. Nie będę zaczynał od pierwszego ataku, kiedyś to Ty mnie doglądała i w betach pieściła, bo pewno to stadium mojej choroby pamiętasz. W krótkich, żołnierskich słowach opowieść jak było. A więc udawałem się własnym autkiem i z własnym szoferem, tym Heniem, którego mi przysyłałaś z hotelu Marysi z własnoręcznie upieczoną kurą w R.P. 1956, na letniaki, ku słońcu Południa, do La Cioty, w objęcia Manety. W połowie drogi, w małym miasteczku, gdzie mieliśmy spędzić jedną noc, zamiast rozkoszy złapał mnie taki znany Ci z przeszłości atak serca. Zdecydowałem jechać dalej aż do celu tylko w jednym celu — na chorobę. I rzeczywiście w ciągu dnia dojechałem (500 km!) i wnet po stwierdzeniu świeżego zawału odesłali mnie ambulansem do szpitala w Marsylii. Tam przeleżałem trzy tygodnie, a następne trzy w domu u Manety. Takie miałem letniaki! Od dwóch tygodni jestem z powrotem w Londynie, i przyjechałem w samą porę, bo dla odmiany na chorobę Grydza. On leży w szpitalu. W zeszłym tygodniu zaprosił do restauracji Adasia Nagórskiego i swoją „narzeczoną” (Tołę) i zanim zasiedli do biesiadnego stołu zaczął rzygać. Przenieśli go w stanie nieprzytomnym do ustronnego miejsca, gdzie rzygał dalej, wezwano doktora, doktor ambulans i dawaj do szpitala, gdzie jeszcze rzygał. Dokładnie nie wiadomo, czy to był mały stroke, czy coś innego. W każdym razie musi zostać w szpitalu trzy tygodnie. I takie jest to nasze życie na wygnaniu... Najgorsze, że już nikt mną się nie interesuje, a tylko Mieciem. On teraz załapał szmerek, a w około mnie zapanaowała cisza. Ale com się wycierpiał, to moje. Gdyby nie anielska Maneta, która na czas mego pobytu w szpitalu przeniosła się do Marsylii, zginąłbym nędznie gdzieś w rynsztoku.

Lada dzień przyjeżdża do Londynu Kara [Tiche-Falencka] i będziemy mówili o Tobie. A kiedy wprost z Tobą? Czas już zjechać na zawsze. W tym miłym oczekiwaniu całuję Cię czule i gorąco — Twój kochający A.

28.

Londyn, 11.11.1966.

Mania, Słodczy Ty moja!

Krótki list interesowny i to nie mój a Julka, który krępuje się do Ciebie pisać, bo on nieśmiały zwłaszcza gdy chodzi o kobiety! Podjąłem się więc tej misji pośrednika i uprzejmie zapytuję, czy otrzymałaś od niego list z propozycją „handlową” i zawiadomieniem o zdeponowanej dla Ciebie jakiejś „pokażnej” sumy w dolarach?

Jeśli tak — błaga o odpisanie, a jeśli tego listu nie dostałaś, napisz szczerze, a on z radością prześle Ci kopię.

I jak ja mam być zdrów, skoro każą mi się zajmować takimi sprawami, za które w końcu od jednej ze stron zainteresowanych mogę dostać po mordzie. Kiedyś Twój ex-mążonek (Heszeles) napisał taki wierszyk: „Nie mieszaj się głupi w spór arcybiskupi. Oni się pogodzą, na Tobie się skrupi”. Może Bóg da, że się nie skrupi!...

Daj temu dowód i napisz do mnie też kilka słów. Czy przyjeżdżasz na karnawał do Londynu? Zamawiam sobie pierwszego mazura: „dziś, dziś, panie dziejski!”.

Całuję Cię milion razy — Twój A.

29.

Londyn, 6 marca 1967.

Mania, słodczy Ty moja!

Pięknie Ci dziękuję za list. Zgadłaś, że mam teraz cholernie dużo roboty, ale zawsze chwilę, aby odpisać na Twoje odręczne pismo. Nie mam nawet czasu na zastanawianie się nad własnym zdrowiem. Może to i lepiej, bo w tej chwili nic mi nie dolega. A inna sprawa, że tysiąc razy wolałbym, zamiast pichcić samemu w domu, czy pędzić do Ognicha — dostać łyżkę ciepłej stawy z Twoich białych dłoni. Życie byłoby piękne, ale co tu marzyć, skoro Ty za Boga nie chcesz tu przyjechać...

Grydz, niestety bez zmiany — lewa ręka w dalszym ciągu martwa. Nogą kapkę zaczyna ruszać, ale sam bez pomocy nie może zrobić kroku. Najgorsze, że zanika mu pamięć. Nie pamięta, co się działo rano, czy był na fizjoterapii, natomiast świetnie pamięta co się działo 50 lat temu. Okropne robi wrażenie płacz bez najmniejszego powodu. Telefonuje do mnie i nie może powiedzieć słowa, bo szlocha w telefon. Doskonale zdaje sobie sprawę ze swego stanu. Już trzy miesiące minęły od chwili zachorowania. Wszyscy mamy nadzieję, że wróci do normalnego życia, ale on tej nadziei nie ma. Obawiam się, że on ma rację, a nie my.

Oczywiście, na Wielkanoc, nigdzie się nie ruszę, obawiam się, że w lecie też nie. Całe „Wiadomości” na mojej starczej głowie. Pomaga mi zresztą dzielnie Michał Chmielowiec. Chyba nie zauważyłaś żadnej zmiany w redagowaniu pisma?

Jak wyglądają Twoje projekty zjechania na stałe do Londynu? Musisz się pośpieszyć, jeśli chcesz nas jeszcze zastać w komplecie. Słabiuchno wszyscy wyglądamy. Ty jedna przywiozłabyś nam trochę „świeżego” powietrza.

W Ognisku leci nowa sztuka Hemara*. Świetne widowisko, wspaniałe dekoracje i doskonale wszyscy grają. Z pewnością sztuka będzie szła przez długie miesiące i czekać będzie na scenie na Twój przyjazd. A więc zbieraj manatki i uderzaj w ten wóz.

Całuję Cię najczulej i najgoręcej — Twój Antoni.

* Premiera „Pięknej Lucyndy” odbyła się 29 stycznia 1967. Grano ją do maja — 50 razy!

30.

Londyn, 30 sierpnia 1967.

Mania, słodczy Ty moja!

Po powrocie z letniaków zastałem Twój list. Niestety już śladu nie było po Jurzykowskiej, ale jak wiem, była tu przyjmowana po „królewsku” przez moich wiernych poddanych. Bardzo żałowałem, że nie było mi dane wzięcie udziału w tych uroczystościach, ale za to sobie odpocząłem za wszystkie czasy w Cap d’Antibes, gdzie było mi anielsko dobrze. A teraz znów tyram za siebie i za Miecia, który niezmiennie przebywa w szpitalu bez najmniejszej poprawy.

Pękałem z zazdrości, żeś Ty była na „wczasach” w Zakopanem. Moje marzenie nie do spełnienia. Miałem liczne relacje o Twoim tam pobycie. Jeśli na serio mówisz o przyjeździe na Boże Narodzenie do Londynu — czy ucieszę się z Tobą? Zgadnij!!! A gdzie będziesz „stała”? Może Ci coś przygotować? Napisz zawczasu.

A więc do miłego zobaczenia pod choinką. Całuję Cię milion razy — Twój A.

W tej chwili bawią w Londynie: Wierzyńscy, Wittlinowie, Broniek Kaper, Jan Kott i pomniejsi.

31.

Londyn, 12.12.1967.

Mania, słodczy Ty moja!

Pięknie Ci dziękuję za Szyfmanową!¹ Już rozpoczęliśmy jej wysyłkę. A propos: czy pamiętasz starego Żyda przy kasie w Teatrze Polskim? „Co to znaczy — pytał — że Bejlinowa gra, Szyfmanowa² gra, tylko Heszelesowa nie gra!”

Tymczasem, nie tylko Heszelesowa nie gra, ale przyrzekła przyjechać do Londynu i nawałiła. Wstyd! Dać słowo i nie dotrzymać? Tak robi Heszelesowa?

Biedny Grydz — żadnej poprawy. Tyle tylko, że z zapałem pisze swoją „Silwę”, ale ani ręką ani nogą nie rusza, a do tego bez powodu płacze, co robi wstrząsające wrażenie na odwiedzających. On zdaje sobie sprawę i każdorazowo uprzedza, że będzie płakał. Zdaje sobie również sprawę, że już nigdy nie nastąpi poprawa.

Daję Ci jeszcze tydzień do namysłu — jedziesz, czy nie, a jeśli nie — przesyłam Ci moc najlepszych życzeń świątecznych i noworocznych i pod choinką będę wszystkimi myślami przy Tobie.

Kochający Cię do utraty przytomności Twój A.

¹ Chodzi o Marię Szyfmanową, która już wtedy mieszkała w Stanach i zapnumerowała (dzięki Modzelewskiej!) „Wiadomości”.

² Chodzi o Marię Przybyłko-Potocką, przedwojenną towarzyszkę życia Arnolda Szyfmana.

32.

Londyn, 9 lutego 1968.

Mania, Słodczy Ty moja!

Pięknie Ci dziękuję za list i donoszę, że zamówione przez Ciebie książki (25 egz. Leszka) są w drodze i lada dzień z pewnością dostaniesz. Skład Główny tej książki jest u Julka Sakowskiego, tzn. Polska Fundacja Kulturalna, i w tej sprawie, jak również w sprawie Twego procentu pisz do niego. JA marzę o Twoim przyjeździe. Może z tego procentu uzbierasz sobie na przelot, a o resztę w Londynie nic się nie martw. Masz zapewnioną łyżkę ciepłej stawy i ułożenie pukli u fryzjera.

Tylko jeśli rzeczywiście chcesz uderzyć w ten wóz, nie przed marcem, bo ja w najbliższy poniedziałek lecę do Hiszpanii na krótki urlop. Zaprosili mnie moi znajomi do swojej posiadłości. Bardzo się cieszę, bo okropnie jestem przemęczony. Choroba Grydza dobrze nie wpływa na moje zdrowie.

Całuję cię tysiąc razy —

Twój Antoni*

* Antoni Borman zmarł 16 IX 1968, w szpitalu St. Mary Abbot's w Londynie. Miał 71 lat. Został pochowany na cmentarzu Fortune Green w dzielnicy Hampstead (inf. za TP nr 39, 28 IX 1968, s. 7).

[Wszystkie listy (z wyjątkiem jednego, z 28 stycznia 1966) pisał na maszynie. Zawsze na firmowym papierze „Wiadomości”. Dopiero lektura tych listów pozwala zrozumieć powody „rozstania” z Hemarem, o którym pisał Juliusz Sakowski we wspomnieniu pośmiertnym (Wiadomości 1972 nr 22 s.1). Zarówno Borman, jak i Grydzewski należeli do „obozu Modzelewskiej”.]

WSPOMNIENIE MARII MODZELEWSKIEJ O ANTONIM BORMANIE*

Antoś Kochany,

No i widzisz? Obiecywałam Ci przyjazd do Londynu przez tyle, tyle lat, i nareszcie, i na pewno przyjadę w końcu października. Więc uważaj na siebie i żebyś mi zdrów był jak przyjadę. Pójdziemy do Ogniska, do teatrów, do Sakowskich na „kinga”. (Czy Staś Baliński poduczył się już grać w kierki?) Pochodzimy po Hyde Parku, będziemy szurać nogami po opadłych liściach i opowiadać sobie o naszych strapieniach i radościach, opowiadać bez końca, bo tyle się tego nazbierało przez te wszystkie lata. Myślę o Tobie często i cieszę się, że zobaczę Cię znowu.

Ale tego listu już nie wysłałam. Zanim dopisałam — „ściskam Cię najserdeczniej jak zawsze” — zadzwonił telefon. Powiedziano mi, że Antka już nie ma. Nie lubię słowa „umarł”. Wierzę, że gdzieś odchodzimy i spotkamy się znowu. Nie napisze już do mnie „Mania, słodczy moja”, ani że „zwarjatuje z radości” jak przyjadę. Był mi dobrym, najmiłszym przyjacielem i kompanem. A do Londynu chyba nie prędko się wybiorę...

* W zbiorach M. Modzelewskiej zachował się brudnopis tego wspomnienia, opublikowanego 15 grudnia 1968 roku w „Wiadomościach” (1185).

LISTY OD STEFANII SAKOWSKIEJ

1.

[Londyn 9 czerwca 1956]

Moja droga Marysiu!

Jakiesz bardzo serdecznie dziękuję Ci za Twoją czułość i delikatność. Męczyła mnie właśnie ta myśl bezustannie i nie umiałam sobie z tym poradzić, choć może się to wydać proste. Od chwili otrzymania Twego telegramu nie przestajemy mówić o Leszku — i smucić się zupełnie straszliwie. Życie zubożało, zszarzało i nie ma już w nim uśmiechu. Nie umiem pisać i mówić o tym. Jest nam źle i ciągle jednakowo nas to boli i męczy, że to nieodwołalne, że już Leszka nigdy, nigdy nie zobaczymy i nie usłyszymy jego głosu. Jeszcze raz moja najmiłsza dziękujemy Ci.

Całuję Cię najserdeczniej bardzo gorąco — Stefcia.

2.

Londyn 15.3.59

Kochana, miła Marysiu!

Ciągle ktoś tu przyjeżdża i mówi, że już, już zobaczymy Cię tutaj. I tak mijają lata i wszystko to tylko obiecanki. A Ciebie jak nie ma, tak nie ma, choć solennie obiecywałeś przyjazd szybki.

Kierki na Ciebie u nas czekają niecierpliwie, a scena ślicznej Marysi!!

Więc nie postpuj nas i przyjeźdź — bo to naprawdę nieładnie.

Marysiu — ja mam roboty moc. Wiesz, że przepisałam już 9 tomów Leszka „Dziennika”. Jest ich 24 — więc jeszcze masa do zrobienia — ale już duża część zrobiona i przynajmniej odcyfrowana.

Praca to jest trudna, ciężka, ale zachwycająca i tak ciekawa, że z rozpaczą myślę, że to się kiedyś skończy. Szczęście, że to ja z Julkiem robię — tego by nikt prócz nas zrobić nie mógł, takie to hieroglify, skrót, zagadki. Ktoś kto tak dobrze Leszka znał jak my oboje, żył w tym otoczeniu, środowisku, zna ludzi, może sobie dośpiewać moc rzeczy, a przede wszystkim zna pismo — które przy pozorach kaligrafii jest najnieczytelniejsze w świecie — i odczytać potrafi po prostu zawijasy nie słowa!

Grydz myśli to wydać — ale to taki ogrom, że boję się czy da radę.

Marysiu kochana — Wesołych, dobrych świąt życzę i całuję najczulej

Stefcia

[dopisek Juliusza Sakowskiego]

3.59

Marysiu,

Nie mogę sobie darować, że tak mało Cię miałem podczas Twego londyńskiego pobytu (a nawet wcale Cię nie miałem).

Kochana, śliczna, miła! Przyjeźdź znowu. Tęsknimy. Wspominamy. Zawsze Cię kochałem i obiecuję, że zawsze będę

Julek

LISTY OD JULIUSZA SAKOWSKIEGO

1.

Londyn 19.6.1956

Marysiu! Jesteś nam bliska, czuła, kochana, najlepsza.

Napisałaś o naszym Leszku prosto, pięknie i wstrząsająco. Wszystkie Twoje listy (pisane czy to do mnie, czy do Mietka) czytamy przejęci, obolali, ze ściśniętym gardłem...

Wy, którzyście byli z nim wciąż razem, mocniej odczuliście tę śmierć, niż ludzie tutaj. Nie wszyscy go tu znali, nie wiedzą jaki był i czym był dla nas, jemu bliskich. Oboje ze Stefcią nie możemy się uspokoić. Tak myśleliśmy o bliskim jego przyjeździe, o spotkaniu po tylu latach oddalenia. I już go nie ma, i nie będzie. Mnie trudno cokolwiek wydobyć z siebie, trudno o nim pisać. Uważam to za obowiązek, najsmutniejszy ze wszystkich, i gdy zwracają się o coś do gazety czy do radia, robię to, wiedząc jak to mało i nieistotne.

Marysiu! Napisz znowu, przyjeżdżaj do nas do Londynu. Już nas tak mało, coraz mniej.

Całuję Cię mocno i czule

Twój Julek

2.

Hove 8.3.1967

Marysieńko!

Dziękuję. Otrzymałem, o to mi chodziło. Jak indeks będzie gotowy, też o niego poproszę.

Żałuję, że nie chcesz zajmować się kolportażem „Tygodnia” i książek. Miałabyś dodatkowy dochód „na szpilki”.

Były wiadomości, że się tu do nas wybierasz. To samo mówiono o Czermańskim, którego nie widziałem od 1939 r. Ucieszymy się jak przyjedziecie.

Hemar ma u nas duży sukces z „Piękną Lucyndą”. Stale komplety i rzecz będzie szła kilka miesięcy. Jak na teatr emigracyjny, to rekord powodzenia.

Z Grydzem — smutek. To przewlekła choroba i nie wiadomo kiedy zacznie chodzić (i czy?). Na pewno do końca roku zostanie w lecznicy. O powrocie do normalnego życia i pracy mowy nie ma. Dla mnie, poza smutkiem, mnóstwo dodatkowych obciążeń w moim aż nadto pełnym życiu.

Całuję Twój (jeśli chcesz)

Julek

3.

Hove 29.2.68

Kochana Marysieńko! Widzisz, piszę do Ciebie jak sam Sobieski do swojej ukochanej królowej. Niepokoi mnie, że nie mam wiadomości o otrzymaniu przez Ciebie 20 egz. dawno już stąd wysłanych. Jeśli doszły, jak Ci idzie sprzedaż i czy dostać jeszcze?

Gdy kto zwraca się do mnie od Was, kieruję go do Ciebie. Tak skierowałem J[ózefa] Wittlina, T[adeusza] Wittlina, [Wacława] Solskiego.

Sądząc z oddźwięku, powinnaś sprzedać co najmniej 50 egz. W indeksie są wszyscy zainteresowani, więc każdy z nich choćby dlatego książkę kupi, by znaleźć w niej siebie.

Serdecznie całuję

Julek

4.

[Hove] 4.11.68

Kochana Marysiu!

Śliczne, wzruszające, dziękuję.

Bez komplementów, mogę Cię zapewnić, że będzie to najlepsza rzecz w numerze poświęconym Bormanowi.

Niestety, numer ten opóźnia się, bo musimy czekać na wspomnienie Grydza; poza tym obiecał coś dać Kazio Wierzyński i jeszcze ktoś (nie pamiętam kto) z dalekich stron.

Ale dobrze, że Cię nagliłem, bo dzięki temu jest to i śliczne, i tak z serca.

Pomyśl, moja droga, o pisaniu pamiętnika, który chętnie wydaj. Piszesz tak ładnie i tyle przecież masz wspomnień teatralnych. A książka to wielka satysfakcja.

Chciałbym kiedyś zająć Cię czym innym (sprzedażą książek), pisanie — to znacznie trudniejsza rzecz, ale dużo więcej daje przyjemności.

Czy tylko do Antka przyjeżdżałaś do Londynu? A my, a ja! Całuję

Julek

5.

Hove 9.1.69

Kochana Marysiu!

Ślicznie wypadł Twój list w „Wiadomościach” o Antku. Czy piszesz wspomnienia teatralne, jak radziłem?

Nie wiem czy chcesz od czasu do czasu zająć się sprzedażą niektórych książek, bo nowojorscy czytelnicy skarżą się, nie wiedzą gdzie kupować. Nie namawiam na wszystkie książki, ale akurat wydałem piękny, ozdobnie wydany tom opowiadań Tadeusza Nowakowskiego (440 stron). Wiem, że ma on u Was wielu przyjaciół. Cena książki jest 5\$, a powinna kosztować znacznie więcej, ze względu na oprawę, piękny papier itd. Zresztą, książka jest świetna.

Napisz mi czy miałabyś ochotę tym się zająć, na warunkach oczywiście handlowych (33 i 1/3% dla Ciebie). Całuję

Julek

6.

16.1.1975

Kochana i najmiłsza!

Nie jestem świntuch, że od razu do Ciebie nie napisałem, ale jestem zaorany jak wołek, a poza tym zdrow jak rybka też nie jestem.

Wdzięczny jestem za Twój piękny gest na cele „Wiadomości” z myślą zresztą o naszych obu przyjaciółach: Mietku i Antku. Martwię się, że nie wiem czy długo utrzymam nasze „Wiadomości”, mimo doskonałej redakcji w osobie Stefy Kossowskiej, która niespodzianie „wywiązuje” (się).

Nie wiesz, że nie żyją, bodaj jednocześnie: Zosia Lindorf i Lodzia Pancewiczowa. Umarły tego samego dnia (L.P. miała 85 lat).

Kiedy zobaczę Cię w Londynie?

Oboje ze Stefcia ściskamy i życzymy dobrego i bodaj lepszego roku 1975.

Bądź — jak zawsze — dzielna, miła, zabawna, żywa, prawdziwa, urocza i najdoskonalsza. Twój Julek

LIST OD TYMONA TERLECKIEGO

Londyn 1.X.1962

Kochana Marysieńko,

Od Mietka i Frylinga wiem, że brałaś udział w rozmowie o mojej „Pani Helenie”^{*} i opowiadałaś bardzo interesujące rzeczy. Przyszło mi na myśl czy byś tego nie zechciała napisać dla Grydzewskiego. On jest bardzo łasy na takie rzeczy. Ja bym się też z tego uradował, bo teraz mnie interesuje każdy szczegół dotyczący tego fantastycznego, bądź co bądź, babuna. Gdybyś pisała, niczego nie ukrywaj co wiesz. Ona lubiła siebie przyprowadzić na słodko i stylizować na anioła. Za bezcenne uważam wszystko co ją uwalnia od tej przyprawy i wyzwala z tych bibułkowych skrzydełek. A nie zapomnij mnie dedykować swego dzieła!

Ściskam Cię serdecznie od nas obojga bardzo czule i wiele razy.

Tymon

^{*} „Pani Helena” opowieść biograficzna o Helenie Modrzejewskiej, wydana w 1962 w Londynie („Veritas”).

LISTY OD KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

1.

P.O. Box 525
[Sag Harbor L.I., N.Y.] 7.XII.59.

Kochana Marysiu,

Nie miałem sposobności zobaczyć Cię po wieczorze i nie mogłem powiedzieć Ci jak pięknie zadeklamowałaś poemat Wittlina. Zabrział on wstrząsająco, słuchałem Cię bardzo przejęty i wzruszony — najwyższa klasa. Winszuję Ci teraz, moja Kochana i Wielka — i całuję Cię serdecznie

Twój pies i entuzjasta — Kazimierz

2.

Piazza Caizoli 6, int. 12 tel. 65-95-24
Rzym 23. I. 66.

Kochana Marysiu!

Bardzo mnie podnieciła wiadomość o Twoim wyjeździe do Warszawy. Leć szczęśliwie, czuj się tam jak najlepiej, ucałuj wszystkich znajomych i nieznajomych.

Równie ucieszyłem się tem, że mogłabyś nas odwiedzić. Myślę, że 10–11 marca będziemy w Rzymie i pokażemy Ci coś z tego niepojętego, wspaniałego miasta. Niedaleko nas mieszkał teraz, u Palotynów, kilka dni Staś Baliński, którego pewnie zobaczysz w Londynie. Mogłabyś tam się zatrzymać. Jest to quasi hotel-pensjonat. Pokój z pół pensją (tzn. ranne śniadanie i jeden posiłek w południe albo wieczorem). Kosztował go — o ile dobrze pamiętam — 3.300 lirów, ekwiwalent 5.50 dolarów, co jak na Rzym nie jest drogo. Adres na wszelki wypadek: CASA PALOTTI, via PETTINARI 64, tel. 65-68-843.

Oczywiście pokój trzeba zamówić, napisz więc, daj znać zawczasu. Gdyby Ci to nie odpowiadało, poszukamy czegoś innego.

Do widzenia, kochanie. Całujemy Cię oboje jak najserdeczniej. Halina w mieście, więc się nie dopisuje. Pozdrów Rudzia, Sierpińskich, panią Wandę i wszystkich w okolicy.

Twój Kazimierz

LISTY OD JANA FRYLINGA¹

1.

Toronto, 1.1.1957

Droga Pani,

Mam do Pani wielką prośbę. Ale trudno mi to jakoś od razu napisać, bo za oknem leżą masy olbrzymich poduch śniegu, a nie jest to śnieg polski ani nawet himalajski. I za godzinę zacznie się Nowy Rok, lepszy od innych, bo nie obiecujący już niczego. Jak to trudno pozbyć się starych nawyczek: że ten wieczór należy spędzić z kimś bliskim i wypić trochę wina i pocałować się. No kiedy właśnie nie ma ani z kim wypić ani się z kim pocałować. Mówi się „trudno” — i to zupełnie nie pomaga.

Kto mnie ostatnio pocałował? Otóż to, że Pani. I stąd jest cała awantura. Chodzę z tym pocałunkiem jak żołnierz z pierwszym orderem. Albo z ostatnim. Należałoby się jeszcze zastanowić, który jest droższy. Przepraszam — mówiąc ściśle, zaczęła się ta awantura przed trzydziestu dwoma czy trzema laty. Wtedy to, jak się już Pani domyśliła, zakochałem się w Pani. Dziwna to była miłość. Nigdy nie starałem się, aby mnie Pani przedstawiła, choć mogłem to osiągnąć. Mój wuj, brat mojej matki, był aktorem, miałem trochę znajomości

w teatrach. Nie było mi to przedstawienie potrzebne. Taka to była dziwna miłość, która wyżywała się w zachwycie i w pisaniu hymnów o Pani. Na domiar śmieszności po francusku, a piszę w tym języku lichy i nie mogłem się zachwycać fortissimo, potykając się w chwili największego entuzjazmu. Jednym słowem pisywałem przez dwa lata recenzje w „Messenger Polonais”², o czym nikt prawie nie wiedział. Szyfman się kiedyś przede mną rozczulał na temat tych pisanin, nie przypuszczając ani przez chwilę, że ja jestem ich autorem.

Miałem wtedy garsonierę na Wilczej, ustronie szaleństw, kapliczkę Astarty i Afrodyty Pandemos. Było to atelier malarskie i ze stalug patrzył na mnie tłum jakichś nieznanych ludzi, a ja szalałem. Szaleństwo to wyrażało się bazgraniem po papierze. Pędziłem na Wilczą prosto z teatru, aby śpiewać moje adoracje, z tą gorzką świadomością, że nigdy ich Pani czytać nie będzie. Pisałem o szalonej Julce i myślałem ze smutkiem, że nieszczęsny Jan August Kisielewski, którego znałem tak dobrze, nigdy Pani w tej roli nie zobaczy. Pisałem o Ewie Pobratymskiej. Pisałem o każdej Pani roli. Zaraz u wstępu tego pisania ostrzegałem recenzentów warszawskich: „Piszcie ostrożnie o Modzelewskiej, abyście się później nie wstydzili swoich słów. To jest wielkie nazwisko polskiej sceny”.

Ewa... Zbrodniarka na pograniczu świętości. Jest parę takich przeżyć w teatrze, których nie zapomnę nigdy. Nie miałem jeszcze dziesięciu lat, kiedy widziałem panią Modrzejewską, obmywającą ręce ze krwi. Nie zapomnę. Wtedy też widziałem ją jako Marię, a obok niej przesuwiał się nieśmiertelnym widmem Wiarus Solski. Nie zapomnę. Miałem osiemnaście lat kiedy pięćdziesięcioletnia Duse raczyła okazywać mi wiele dobroci. Nigdy nie zapomnę kaszlu, drącego na strzępy płuca kameliowej nieszczęsnicy. I nigdy, do śmierci, nie zapomnę przejścia przez scenę Ewy, broczącej krwią, dygoczącej rozpaczą, niosącej na śmierć dziecko swojej miłości.

A potem... Proszę Pani, dużo by o tym gadać. Wyjechałem z Polski do Tokio, tłukłem się po całym świecie, dwadzieścia lat w Azji.

„Po morzach wędrował,
Był także farysem,
Pod palmą nocował,
Pod ciemnym cyprysem,
Odwiedzał proroka grobowce...”

No właśnie. Przejechały nas koła historii. Widziałem Panią ostatni raz w Krzemieńcu. Ryczałem wtedy do kogoś w nocy, aby zgasił latarkę elektryczną. Pani była tym kimś.

Historia, mnie wyrwała grunt z pod nóg, Pani scenę. To na jedno wychodzi. Aż po czterech latach himalajskiej pustelni przyjechałem tu i drugiego dnia po przybyciu znalazłem się na wieczorze p. Dory Kalinówny. Siedziałem akurat w pierwszym rzędzie i najadłem się strasznego wstydu, bo ona opowiadała moje szmoncesy, pobudzające ludzi do wybuchów śmiechu, a ja nie mogłem powstrzymać łez, które ciurkiem płynęły mi po twarzy. Siedział za mną Józef Wittlin, patrzył na mnie i wiem, co myślał: żem zwariował!

Droga Pani, po raz pierwszy bezpośrednio mogę Pani podziękować za to piękno, które dzięki Pani mogłem zobaczyć i za najgłębsze wzruszenia, które Pani kazała mi przeżyć. (Biją dzwony. Urodził się rok 1957. Bodaj kark skręcił. Przepraszam. Szczęśliwego Nowego Roku!)

Co tu gadać? Pani była częścią tej Polski, której nie ma, i której już nie będzie. I tej młodości. Za to wszystko chciałem Pani dziś podziękować. No — i za pocałunek.

Rany Boskie — miałem przecież tylko zapytać, czy zrobi mi Pani zaszczyt i raczy wziąć udział w audycji, którą sklecę w rocznicę stycziowego powstania?

Ręce Pani całuję

Jan Fryling

Jutro wracam do piekła.
Mój adres tam:
808 South 10th Str.
Newark, New Jersey
Albo na Free Europe.

List pisany odręcznie.

¹ Jan Fryling (1891–1977), prozaik, krytyk literacki.

² Jan Fryling w latach 1925–1927 w wychodzącym w Warszawie dzienniku francuskim „*Messenger Polonais*” podpisywał recenzje teatralne jako „H.Z.”. Wspominał o tym w książce *W osiemdziesięciu latach naokoło świata* (Londyn: PFK, 1978). Tam także informacja, że w 1918 roku został „po Janie Lorentowiczu — recenzentem «Nowej Gazety» i byłem nim aż do końca istnienia tego dziennika. Podpisywałem te recenzje «Li»”. (s. 65)

2.

[Shruk Park] 18 IX 1961

Kochana Marysiu,

Siedzę tu na wsi i staram się odpoczywać po bardzo ciężkim roku. Tymczasem trzeci dzień po przyjeździe tutaj dostałem tzw. Ivy Poison i nieznośna pokrzywka dręczy mnie już dwa tygodnie.

Przysłano mi tutaj z Nowego Jorku zaproszenie na zebranie, które urządzasz dla p. Tymona Terleckiego i p. Toli Korian. Bardzo szczerze żałuję, że nie będę mógł wziąć w nim udziału. Panią Korian nieraz oklaskiwałem, ale nie mam zaszczytu znać jej osobiście. Natomiast będę Ci bardzo wdzięczny, jeśli wyrazisz mój żal p. Terleckiemu i przekażesz wiele serdecznych słów ode mnie.

Mam tu dużo czasu na rozmyślanie i taki mi przyszedł pomysł. Raz po raz ukazują się teraz książeczki o ostatnich nawet aktorkach i aktorach. Ciebie zawsze uważałem za jedną z najświetniejszych aktorek (nie uznaję słowa „artysta” zamiast „aktor”, bo „aktor” czy „aktorka” to dumne słowo), a widziałem ich wiele. Byłem jednym z pierwszych, którzy dzwoniли na Twoją chwałę. Może w Public Library albo Bibliotece Kongresu są roczniki „*Messenger Polonais*” z lat 1925/26, mogłabyś tam przeczytać moje poematy o Tobie.

Myślę, że gdybyśmy usiedli razem do pracy — i jeśli masz trochę recenzji i fotografii — mogłaby z tego powstać książeczka po pięknym tytule „*Maria Modzelewska*”. Może winniśmy to historii polskiego teatru — a ja mojej młodości.

Oboje zasylamy Ci serdeczne wyrazy, ręce Twoje całuję
Zawsze oddany

Jan Fryling

List pisany odręcznie.

...TWÓRCZOŚĆ W WIEŻY Z KOŚCI SŁONIOWEJ

ROZMOWA ANNY FRAJLICH
Z WACŁAWEM IWANIUKIEM

PRZEPROWADZONA DLA RWE W ROKU 1981

Wacław IWANIUK (Kanada)

Anna Frajlach: Jest Pan autorem kilku tomów poetyckich, laureatem kilku nagród literackich, jednocześnie tworzy Pan od wielu lat, mieszkając w Toronto. Co Pan sądzi o sytuacji poety, który tworzy będąc oddzielonym od kraju, od języka, od środowiska innych twórców?

Wacław Iwaniuk: Właściwie już pogodziłem się z całą sytuacją. Od zakończenia wojny, byłem pewny, że będę musiał żyć na emigracji, będę musiał tworzyć na emigracji. Wiedziałem, że nie będę mógł wrócić do kraju, i że będę musiał pisać. A z drugiej strony, sytuacja nasza była o tyle ułatwiona — pisarzy na emigracji — że mamy już duże zaplecze historyczne, wiemy to z epoki romantycznej, pisarze byli na emigracji, pisarze tworzyli na emigracji i musieli tworzyć na emigracji. Nieszczęściem moim było, że musiałem wyjechać aż do Kanady, gdzie rzeczywiście był kraj „zabity deskami” w tym czasie. Przyjechałem tu w 1948 roku. Jeżeli chodzi o środowisko literackie, czy kulturalne, czy intelektualne to go wcale nie było, więc pisałem, mając zaplecze londyńskie i paryskie. W Paryżu była „Kultura”, która wtedy mnie drukowała i miałem ożywiony z nią kontakt. W Londynie były „Wiadomości”, dawne „Wiadomości Literackie”, z Grydzewskim, ich redaktorem. Z czasem jakoś małe środowisko utworzyło się w Toronto, zaczęliśmy robić wieczory poetyckie, przyjechali tu pisarze, poeci, którzy uciekli z Polski, aktorzy, którzy pomagali nam tak, że sytuacja ta nie była właściwie tragiczna. Z Polską, a zwłaszcza z pisarzami starszego pokolenia utrzymywałem duży kontakt. Wiem nawet, że Iwaszkiewicz zaraz po wojnie dopytywał się, pisząc do Balińskiego, co robię, dlaczego nie wracam, żeby koniecznie się opiekować mną tu na emigracji. Jak byłem w Londynie spotkałem Balińskiego, który pokazał mi list Iwaszkiewicza. Wzruszony tym wszystkim, kiedy ukazał się mój tom w „Kulturze” paryskiej, dałem znajomemu, żeby zabrał go dla Iwaszkiewicza. On pojechał i na jakiejś uroczystości chciał wręczyć Iwaszkiewiczowi książkę ale ten nie chciał jej przyjąć. Potem dopiero przysłał znajomego po cichu, żeby mu ten tom zwrócić.

Czy Pan uważa, że twórczość pisarza na emigracji jest inna przez to, że jest on daleko od swego, powiedzmy, najszerzego czytelnika, daleko od kraju, od języka?

Wydaje mi się, że twórczość pisarza na emigracji jest całkowicie inna od twórczości pisarza w kraju. Pisarz w kraju ma bezpośredni kontakt z czytelnikiem. Jest częścią swego kraju. Pisarz na emigracji nie ma tego samopoczucia. Jest wyobcowany. Naturalnie szuka oparcia we własnym kraju i szuka oparcia w kraju zamieszkania, ale mimo wszystko pisze trochę w próżni. Tu są też i plusy bo pisarz na emigracji spotyka się z innym społeczeństwem i innym środowiskiem. To środowisko oddziałuje w jakiś sposób na jego twórczość również. Nasze doświadczenie, jeżeli chodzi o pisarza czy poetę jest właściwie szersze od doświadczenia pisarza w kraju i jest mniej zależne.

Może by Pan więcej powiedział na temat tego bycia mniej zależnym od czego? Czy od kogo?

Pisarz na emigracji jest mniej zależny od opinii bezpośredniej swoich czytelników, czy opinii, która się tworzy w kraju, a zwłaszcza w kraju takim, jakim obecnie jest Polska. My tych wpływów nie czujemy na sobie. Przeciwnie, my myślimy, że możemy wpływać, powiedzmy na środowisko polskie pisząc na emigracji. Nie mamy żadnych zahamowań, żadnych politycznych wstrząsów, tych które mają pisarze w kraju. My się nie boimy cenzury, my się nie boimy bezpośredniego kontaktu z policją, czy się nie boimy, że w nocy ktoś tam przyjdzie i będzie chciał nas aresztować, dlatego jesteśmy tak niezależni i możemy pisać bardziej swobodnie na tematy współczesne, a zwłaszcza na tematy polityczne.

Mówił Pan o tym, że pisarz na emigracji może wpływać na twórczość, czy powiedzmy, na opinię krajową. Jak w Pana doświadczeniu to wygląda? Czy Pan rzeczywiście odczuwa jakiś oddźwięk krajowego czytelnika, czy krajowego środowiska pisarskiego na swoją twórczość i czy to jest dostatecznie duży oddźwięk, żeby był dla Pana jakimś bodźcem?

Oddźwięk kraju na naszą twórczość nie jest aż tak duży jaki powinien być, jakiego spodziewalibyśmy się. W moim wypadku — ja mam duży kontakt z pisarzami w kraju, od najmłodszych do prawie najstarszych — te kontakty były od zakończenia wojny. Z grupą lubelską — pisarzy — miałem kontakt, z grupą Czechowicza, pisywał do mnie stałe Piętak, Zagórski, pisuje do mnie Bieńkowski, pisuje Ożóg, pisuje Świrszczyńska, Ważyk — ze starszych pisarzy. Z młodszych... bardzo dużo pisarzy młodych pisuje i przysyłają mi swoje tomiki. Może dlatego, że je kiedyś omawiałem w „Kulturze” paryskiej. Tak, że w tej chwili mam duży kontakt ze środowiskiem literackim w Krakowie i w Gdańsku. Pisarze w Gdańsku nawet proszą mnie o tomiki. Wyjeżdżając za granicę, proszą żeby wysłać tomiki tam i tam, żeby oni mogli przewieźć te tomiki do kraju. Jeżeli chodzi o normalnych czytelników w kraju, oddźwięk jest mniejszy bo jest mniej bezpośredni. Powiedzmy, mam kontakty z Komitetem Obrony Robotników i właśnie przez ich wysłanników dowiedziałem się, że śledzą moją twórczość, że im się podoba moja twórczość i bardzo zależy im żebym w dalszym ciągu w ten sposób pisał jeżeli chodzi o mój stosunek polityczny — obecny stosunek polityczny — jak pisałem do tej pory.

W ankiecie ogłoszonej przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, na temat „Czy jedna polska literatura czy dwie?”, Pana wypowiedź była jedną z dwóch mówiących, że są dwie polskie literatury, tzn. polska literatura w kraju i polska literatura na emigracji¹.

¹ Ankietę pt. „Jedna czy dwie polskie literatury?” opublikował „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 1976 t. 1 s. 9–22. Uwaga nie jest ścisła: podział literatury polskiej na krajową i emigracyjną uznali Jan

Czy mógłby Pan coś więcej na ten temat powiedzieć — dlaczego — i czy Pan wciąż utrzymuje to zdanie?

Uważam, że są dwie literatury. Chciałbym, żeby była jedna literatura, teoretycznie istnieje jedna literatura polska, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę stosunki polityczne, jeżeli weźmiemy pod uwagę ograniczenia w jakich powstaje literatura na emigracji i w kraju, to mimo wszystko jest ten podział na dwie literatury. Pisarze na emigracji mają szerszy zakres doświadczeń w twórczości. Pisarze krajowi są bardziej ograniczeni i bardziej zobowiązani, jeżeli chodzi o warunki polityczne. Poza tym literatura emigracyjna nie jest powszechnie znana w kraju. To co powstaje, powiedzmy, w Londynie, czy w Paryżu częściowo tylko jest znane w kraju przez Wolną Europę czy paryską „Kulturę”, ale odbiorców paryskiej „Kultury” jest w kraju bardzo mało. Natomiast jest dużo odbiorców Wolnej Europy. Ja mam wiadomości z jakiegoś Świdnika, czy z Lublina, czy gdzieś z Krasnego Stawu, moich stron rodzinnych, że tam słuchają Wolnej Europy, ale nigdy nie słyszeli o paryskiej „Kulturze”. Chciałbym żeby była jedna literatura, ale uważam, że są dwie literatury. Nie mamy na to żadnego wpływu. Ani środowisko w Polsce, ani środowisko emigracyjne nie ma na to wpływu. Możliwe, jeżeli teraz ułożą się tak warunki jak byśmy chcieli, że będą pisma, które będą właśnie tworzyły jedną literaturę. Uważam, że takim pismem jest „Zapis”² i jeżeli będzie on dalej wychodził, stworzy jedną literaturę. Będzie drukował pisarzy emigracyjnych i pisarzy krajowych, niezależnych pisarzy i to pismo będzie wyrażało, można powiedzieć, jedną literaturę współczesną polską.

Spodziewa się Pan od „Zapisu”, że nie tylko otworzy swe łamy dla pisarzy polskich przez cenzurę zabronionych w kraju, ale dla pisarzy emigracyjnych?

Tak. Uważam, że „Zapis” powinien spełnić tę rolę. „Zapis” powinien otworzyć łamy dla pisarzy emigracyjnych, powinien tworzyć jedną polską, współczesną, niecenzurowaną literaturę. „Zapis” powinien przy tym utworzyć wydawnictwo literackie przy sobie, żeby tam się ukazywały książki tak emigracyjne, jak i krajowe niecenzurowane³.

W Pana twórczości, w Pana poezji duże odzwierciedlenie znajdują problemy polityczne. Czy Pan czuje się w tej problematyce, czy w jakimś takim programie, częścią jakiegoś odłamu polskiej poezji na emigracji, czy w ogóle polskiej poezji w kraju i na emigracji?

Moja twórczość polityczna w poezji prawdopodobnie odzwierciedla moje nastawienie osobiste jeżeli chodzi o politykę współczesną polską. No, jestem antykomunistą, jestem za tym, żeby Polska była niezależna i wolna. Jestem za tym, żeby w Polsce była demokracja, jeżeli chodzi o ustrój to prawdopodobnie socjalizm, ale socjalizm zbliżony do socjalizmu angielskiego i żeby pisarz mógł pisać to wszystko, co mu się podoba. Tak jak piszą pisarze angielscy, amerykańscy czy francuscy. Najbardziej mi się podoba w tej chwili, powiedzmy, ustrój amerykański, gdzie każdy może powiedzieć co chce, napisać co chce, może nawymyślać prezydentowi, tak jak u nas w Kanadzie często piszę do pism kanadyj-

Fryling, Henryk Grynberg, Waclaw Iwaniuk, Józef Łobodowski i Karol Zbyszewski, ale w istocie stanowili oni mniejszość.

² „Zapis”, pierwsze niezależne pismo literackie wydawane w PRL poza cenzurą w latach 1977–1981. L. Szaruga, *„Zapis” — zarys monograficzny. Bibliografia zawartości*. Szczecin 1996.

³ „Zapis” wydawał również książki. Jako osobne zeszyty ukazały się: T. Konwicki, *Kompleks polski* (1978); T. Konwicki, *Mała Apokalipsa* (1979); J. Strykowski, *Wielki strach* (1980), T. Konwicki, *Wschody i zachody księżycy* (1981). Drukująca „Zapis” Niezależna Oficyna Wydawnicza (NOWa), od roku 1977 wydawała książki emigracyjne. Przed 1981 r. ukazały się wiersze, eseje i opowiadania Czesława Miłosza, Kazimierza Wierzyńskiego, Marka Hłaski, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Witolda Gombrowicza oraz wspomnienia Józefa Czapskiego.

skich i wymyślam panu Trudeau⁴, co mi się nie podoba. Dlaczego w Polsce nie mamy pisać tak samo? Polska kultura przecież jest tak stara, polska niepodległość liczy się od tylu lat. W tej chwili jesteśmy jakimś ciemnym zaściankiem jakby odpryskiem tego wszystkiego co jest najgorsze na Wschodzie, czyli pozostałość carskiej Rosji i sowieckiej Rosji. Dlatego w mojej twórczości wyrażam siebie. Nie należę do żadnego programu politycznego, nie należę do żadnego ugrupowania pisarzy politycznych, tylko po prostu to, co czuję, piszę. Ale od siebie. Nie od żadnej grupy, nie od stronnictwa, nie od żadnej klikki politycznej.

W Pana twórczości odczuwa się również dużą wiarę w słowo i w siłę poetyckiego wyrazu. Pan nazywa siebie, wewnątrz poety, tą mennicą, w której się kują mity. Pan mówi o słowie, że jest jedyną ostoją we współczesnym życiu, przy niewielkim zapotrzebowaniu na poezję, czy powiedzmy przy mniejszej ilości czytelników jednak ta wiara w siłę poetyckiego słowa u Pana jest bardzo widoczna.

Moje umiłowanie słowa chyba jest naturalne, bo każdy pisarz posługuje się słowem i każdy pisarz o to dba, by jego słowo było nośne, by jego słowo było przekonujące i żywe. Poza tym jest to chyba moja choroba, którą odziedziczyłem czytając poetów romantycznych. Oni nas nauczyli wiary w słowo i oni to dziedzictwo nam przekazali. Jeżeli chodzi o współczesne pokrewieństwo skąd wywodzi się moje umiłowanie, czy powiedzmy mój kult dla słowa, to wydaje mi się, że właśnie warunki polityczne to sprawiły, że jednak słowo, któremu zaufamy, i w które wierzymy, słowo jednak przetrwa i to słowo powie wszystko, co byśmy chcieli przekazać przyszłości. Dlatego powinniśmy uważać na to słowo i powinniśmy je tak formułować, by kiedyś pokolenia po nas wiedziały cośmy przeżywali i co się działo w naszej historii współczesnej.

Wróćmy do problemu literatury politycznej. W historii literatury polskiej polityka zawsze odgrywa dużą rolę. Warunki polityczne określają i kształtują poezję i ma to również swoje minusy ponieważ bardzo często poezja polska jest nieprzetłumaczalna, niedostępna obcemu czytelnikowi, który nie jest w stanie tego skomplikowania spraw polskich zrozumieć. Były takie pokolenia, które buntowały się przeciwko polityce w poezji. Co Pan o tym myśli jako poeta polityczny?

Polityka w poezji jest dużym grzechem. Jeżeli weźmiemy poezję amerykańską, czy poezję angielską, czy poezję francuską, a nawet niemiecką, widzimy tam, że poeta nie ma żadnych innych zadań prócz tworzenia. Nasze warunki, tak się nieszczęśliwie złożyły, że nasz poeta nie tylko musiał być poetą ale i politykiem. Nie tylko być politykiem, ale musiał jakoś ten naród prowadzić do odrodzenia, do niepodległości. Gdybyśmy mieli doskonałych polityków, gdyby politycy nasi zajęli się sprawą polityczną Polski, wtedy ani Mickiewicz, ani Słowacki czy Norwid nie musieliby właśnie przejmować politycznego orędzia od polityków i uczyć naród wytrwania. Wtedy, przypuszczam, nasza poezja romantyczna byłaby o wiele wyższa. Pisałem kiedyś nawet na ten temat w „Kulturze” paryskiej, że nasi poeci nie tylko byli i są poetami ale są też przywódcami politycznymi. Co jest, jeżeli chodzi o poezję, może nawet ujemne, ale jeżeli chodzi o życie narodu, może bardzo potrzebne.

⁴ Trudeau Pierre Eliot (1919–2000), premier Kanady, dwukrotnie pełnił funkcję szefa kanadyjskiego rządu (1968–1979) i (1980–1984); za jego rządów, w 1982 r., Kanada uchwaliła własną konstytucję, która zastąpiła działający od 1867 r. Akt o brytyjskiej Ameryce Północnej. Odegrał wielką rolę w kształtowaniu silnego rządu centralnego i w walce z przejawami separatyzmu.

A czy otaczający Pana świat, tutaj w Kanadzie, w Toronto, otaczająca Pana kultura, czy to także jest tworzywem w Pana poezji?

Kanada wpłynęła na moją twórczość i to bardzo. Bo już w pierwszym tomiku wydanym tu w Kanadzie *Milczenia* jest dość długi poemat mówiący o tym, że poeta-Ja, mieszkam na Alasce i, powiedzmy, jak to otoczenie na mnie wpływa. Potem pisałem dość często na tematy kanadyjskie. W moim tomiku kanadyjskim wydanym po angielsku jest dość dużo wierszy o Kanadzie. Ostatnio nawet ogłosiłem cykl wierszy „Wieczory nad Jeziorem Ontario”, który zresztą bardzo się podobał. Jest to początek tomiku, który będzie się nazywał „Wieczory nad Jeziorem Ontario” i tomik jest już prawie gotowy i chciałbym go wydać wkrótce. Będą to wiersze tylko pisane pod wpływem kultury kanadyjskiej, pod wpływem przyrody kanadyjskiej i środowiska kanadyjskiego⁵.

A jak wygląda sytuacja wydawnicza? Jak Pan ją ocenia?

Jeżeli chodzi o wydawnictwa pisarzy emigracyjnych, to jest to zagadnienie tragiczne. Pisarz sam musi się ubiegać kiedy napisał książkę, żeby ją wydać, a potem jest tylu znajomych, którzy czekają na książkę, żeby ją za darmo otrzymać. Jeżeli chodzi o mnie to sytuacja była trochę łatwiejsza bo pierwsze tomy wydała mi paryska „Kultura”, za które nie trzeba płacić, potem dwa tomy ukazały się w Oficynie Poetów i Malarzy, ostatni tom, który się ukazał w Oficynie Gliwy. Trzeba zapłacić za ten tomik, ale ma się tę satysfakcję, że bardzo pięknie jest tomik wydany. Ogólnie jednak wydać coś na emigracji jest bardzo ciężko.

Proszę powiedzieć na koniec, jakie jest Pana miejsce jako poety na Ziemi i poety polskiego tworzącego w Ameryce, w Kanadzie?

Pisarz na emigracji jest nie tylko skazany na milczenie w kraju, ale po części jest skazany na milczenie na emigracji. Emigracja jest przesiąknięta prądami politycznymi i zagadnieniami politycznymi. Wszyscy myślą o kraju, jak mu pomóc, w jaki sposób zmienić ustrój, czy wpłynąć na zmianę tego ustroju. Wtedy twórczość pisarza, a zwłaszcza poety trafia w próżnię. Dlatego pisarz nie ma tu czytelników na emigracji, zwłaszcza poeta. Emigracja jest w momencie czekania, żeby powrócić do kraju czy powiedzmy, żeby wpłynąć na warunki polityczne. Dlatego, mimo że pisarze emigracyjni, a zwłaszcza poeci piszą i wydają, jednak to jest po prostu twórczość w wieży z kości słoniowej. Piszą dlatego, że muszą, wydają dlatego, że trzeba właściwie to wydać jak się napisze. A czy czytelnik przeczyta to, czy się znajdzie czytelnik, to już właśnie na dwoje babka wróżyła.

⁵ W. Iwaniuk, *Evenings on Lake Ontario. From my Canadian diary*. Toronto 1981.

ŻYCIE CHOPINA

ROZMOWA JANA WINCZAKIEWICZA Z KAZIMIERZEM WIERZYŃSKIM W PARYSKIM STUDIO R.F.I. W 1960 ROKU

Kazimierz WIERZYŃSKI (USA)

Jan Winczakiewicz: Zaprosiliśmy dzisiaj do studia Kazimierza Wierzyńskiego. Naturalnie, Kazimierz Wierzyński jest znany, przede wszystkim jako poeta, ale w związku z obecnymi obchodami 150-lecia urodzin Chopina, chcielibyśmy przeprowadzić z Panem Kazimierzem Wierzyńskim rozmowę o Chopinie, jako że Pan Wierzyński jest autorem książki pt. „Życie Chopina”. Proszę pana, chcielibyśmy, przede wszystkim zapytać jak zrodził się pomysł napisania tej książki.

Kazimierz Wierzyński: Proszę Pana. O tym jak ten pomysł się zrodził i jak ja tę książkę pisałem, to właściwie mógłbym napisać nową książkę. W tej pracy spotkało mnie tyle rzeczy osobliwych i niespodziewanych, że to zajęłoby drugą taką rzecz jaką napisałem o Chopinie. Ale zapomnijmy o tym. Żeby konkretnie odpowiedzieć na pana pytanie. Więc, przede wszystkim, zaczęło się od tego, że Artur Rodziński¹, mój przyjaciel, zmarły dwa lata temu — znakomity dyrygent — zaproponował mi kiedyś, było to dawno, mianowicie dwa lata przed stuletnią rocznicą urodzin...

Śmierci...

... śmierci Chopina.

W roku 1946.

Zaproponował mi, żebym napisał biografię Chopina. Zaczął mi mówić, że nie ma takiej biografii w Ameryce, że Amerykanie są bardzo łaśni na biografie². I rzeczywiście jest to rodzaj pisarski, który w Ameryce cieszy się ogromnym powodzeniem. Więc to...

¹ Artur Rodziński (1892–1958), dyrygent, po wojnie na emigracji w USA.

² W archiwum „Wiadomości” znajduje się obszerna dokumentacja starań Mieczysława Grydzewskiego z lat 1946–1949 o wydanie przygotowanej przez niego angielskiej książki o Chopinie. Maszynopis książki znajduje się w Bibliotece Polskiej w Londynie.

... był pierwszy bodziec.

Był pierwszy bodziec. To był pierwszy człowiek, który mi o tym wspomniął i to była pierwsza myśl, którą od niego przejąłem. Muszę powiedzieć, że nie przyjąłem tego obojętnie. Nie jestem muzykologiem, nie pisałem nigdy żadnej biografii i nie wiedziałem jak się zabrać do tej rzeczy. I z początku przyjąłem to raczej opornie, ale już tak niby z nałogu popchnięty przez niego zacząłem szperać po rozmaitych rzeczach i powoli, powoli się rozpałałem do tej idei. Przede wszystkim, uderzyło mnie jedno, że Chopin, mimo jak największego wzięcia na całym świecie — o czym nie potrzebujemy mówić — w encyklopediach był traktowany nieodpowiednio, moim zdaniem. I to mnie bardzo rozdrażniło.

Na przykład w jakich encyklopediach?

Na przykład, proszę Pana, jest taka znakomita encyklopedia muzyczna Grove'a³. I przypominam sobie, przeglądając tę encyklopedię, znalazłem ustęp o Schubercie, który miał dwadzieścia kilka stronic podzielonych na połowę, podczas gdy Chopin musiał się kontentować kilkoma stronicami. Ja nie zacytuję dokładnie cyfr, ale było to coś tak monstrualnego, że mnie właściwie kolnęło pod sercem. Pomyślałem, cóż to za nonsens.

Niesprawiedliwość?

Niesprawiedliwość. Później, pamiętam, wziąłem do ręki encyklopedię uniwersytetu nowojorskiego Columbia⁴. I tam znalazłem krótką notatkę o Chopinie, która oczywiście podkreślała jego polskie pochodzenie, ale twierdziła, że on był reprezentantem głównie wpływów francuskich, co mnie nie odpowiadało i też tak jakoś kolnęło. No, co Panu więcej powiem? Mnóstwo takich rzeczy spotkałem. Zacząłem potem czytać...

I zaczął Pan odczuwać potrzebę napisania tej książki. Pan rzeczywiście zdążył z napisaniem tej książki na 100-lecie śmierci Chopina.

A tak. Miałem datę z góry ustaloną przez wydawcę, mianowicie 1 maja 1949 r. i byłem gotów na 17 października. W stulecie jego śmierci książka była gotowa i była w sprzedaży. Po angielsku. Oczywiście, pisałem ją po polsku, więc trzeba włączyć jeszcze to, że...

Przekład zabrał pewien czas. Książka jest już trochę, powiedzmy stara, ale nie jest przedawniona, jest ciągle aktualna, zwłaszcza, że potem nie ukazała się żadna inna książka o Chopinie, która by wniosła coś nowego. O aktualności tej książki świadczą również to, że została przełożona na wiele języków i ostatnio jak słyszałem, ukazał się przekład na język portugalski. Prawda? A na jakie inne języki była jeszcze przełożona?

Dzieje jej są osobliwe, bo była napisana po polsku, a ukazała się po angielsku. Później, po polsku w Nowym Jorku nakładem Roy'a⁵. Zaczęło się od tego, że wyszła ona nasamprzód w Nowym Jorku, potem wyszła w Londynie po angielsku, potem ukazał się przekład — o ile pamiętam — hiszpański w Buenos Aires, potem francuski, tu w Paryżu, potem włoski, potem Japoński, który jest...

³ G. Grove, *Grove's dictionary of music and musicians*, ed. by J.A. Fuller Maitland. Philadelphia 1918. (Wyd. 4 ukazało się w Londynie w wydaniu Macmillan w 1940 r.)

⁴ *The Columbia encyclopedia*, compiled and edited at Columbia University. New York 1935.

⁵ Wydawnictwo „Roy”, założone przez Hannę i Mariana Kisterów wspólnie z Melchiorzem Wańkowiczem, jako „Rój”, odżyło w Nowym Jorku (już bez Wańkowicza) w latach wojny. W 1958 roku, po śmierci Kistera przekształciło się w firmę czysto amerykańską.

Nawet egzotyczne języki.

Bardzo śliczne wydanie, na pięknym papierze i tak pięknie zrobiona, jak Japończycy to robią. Włoskie, gdzie miałem dwa wydania, hebrajskie i teraz ukazało się po portugalsku.

Jeżeli się nie mylę, to już razem, tak liczyłem na palcach jest siedem albo osiem języków. Książkę Pan pisał w Nowym Jorku?

Zacząłem ją pisać w Nowym Jorku, ale muszę się przyznać tu otwarcie, że szybko się zorientowałem, że to miasto mi nie sprzyja i że ja tej książki w terminie nie napiszę. I wtedy zacząłem się głowić co zrobić, bo już się zaangażowałem w robotę, już zacząłem studia, już przygotowałem sobie literaturę, itd. Rzucać tego nagle nie mogłem, a czułem jedno, że w Nowym Jorku tego nie napiszę. Tam był rozgardiasz, mnóstwo znajomych, chodzić by trzeba tędy i owędy. No, powiedziałem sobie, coś trzeba zrobić. Wtedy znów, drugi raz się Rodziński, jeżeli się mogą tak wyrazić, nawinął. Mianowicie — ja nie wiem czy to Pana interesuje. Czy mam o tym mówić?

Oczywiście to interesujące.

On miał posiadłość w stanie Massachusetts w miejscowości Stockbridge. I tę posiadłość sprzedał swojemu znajomemu, panu Arturowi Parsifalowi. Pan Parsifal zaproponował mi, żebym... ponieważ on wiedział w jakiej jestem sytuacji, czego się podejmuję, jak trudno mi w Nowym Jorku to idzie... więc zaproponował mi, żebym przyjechał do niego i tam zamieszkał w tej posiadłości. Myśmy tam pojechali. Żegnani przez przyjaciół, jak ludzie niespełna rozumu, bo nagle rzucić Nowy Jork i pojechać na tę pustynię. To wszystkim się wydawało takie dziwne. I rzeczywiście była to pustynia, bo ona się znajdowała, przy tzw. *dead-end road* tzn. ślepej drodze. Ta droga się kończyła przed naszym domem. Potem zaczynała się coś takiego, jak puszcza. Puszcza amerykańska: lasy, góry.

Jak długo Pan tam wytrzymał?

Dwa lata. I muszę panu powiedzieć, że to było jedno z najbardziej... jest to dzisiaj dla mnie jedno z najbardziej wzruszających wspomnień. Bo naprawdę byłem cały poświęcony pracy, nic mnie więcej nie obchodziło.

Ale przecież pisząc książkę o Chopinie, musiał Pan mieć jakąś dokumentację?

No, ładna zabawa. Dwie paki, proszę Pana, wozilem ze sobą. Dwie ogromne paki. Mnóstwo książek, materiałów itd. Poza tym korzystałem z pomocy biblioteki — Public Library w Nowym Jorku — która mnie, mnóstwo wyświadczyła uprzejmości, bo często się znajdowałem w takiej sytuacji, że nie wiedziałem co począć z tym lub innym problematem. Więc się zwracałem do ludzi. Doktor Bernstein pamiętam, cytuję to nazwisko, bo rzeczywiście jestem jemu dużo dłużny, wyświadczył mi wiele uprzejmości. Dał mi mnóstwo wiadomości.

Pan miał również ze sobą płyty, żeby móc słuchać?

Tak, miałem płyty, które grałem bardzo często. To było bardzo szczególne, jednocześnie pisałem wiersze, z których później złożyłem taki tomik pt. *Korzec maku*. A proszę Pana, sama egzystencja była czymś nieopisanym. Myśmy mieszkali, jak Panu wspominałem na końcu...

świata?

... na końcu polnej drogi, czy jakby to powiedzieć, wiejskiej. I jednocześnie na końcu świata. I nikogośmy nie mieli za sąsiadów. Tylko lisy zimą przybiegały. Patrzyłem co

rana, którą jakiś lis gdzieś się przedał, ewentualnie, prócz tego przychodziły sarny, z którymi się przyjaźniłem. To była bardzo przyjemna kompania. Przyjeżdżał farmer, który pracował na tej farmie pana Parsifala. Tam były trzy konie wierzchowe, zostawione przez niego, bo w tym czasie państwo Parsifal wyjechali do Europy. Otóż ten farmer przychodził paść konie i żywić te konie, a poza tym, nie mieliśmy żadnego kontaktu z nikim. Najbliższe światło się świeciło od nas o dwie mile.

Czyli jakieś trzy kilometry.

Coś takiego. Jak panu mówię, mieliśmy tylko lisy i sarny.

I w tym skupieniu przez dwa lata napisał Pan tę piękną książkę pt. „Życie Chopina”. Bardzo Panu dziękujemy. I teraz na zakończenie tej rozmowy może posłuchamy jakiegoś utworu Chopina.

DWUDZIESTOLECIE „KULTURY” ZAPIS DYSKUSJI W RADIO WOLNA EUROPA, 18.07.1966 ROKU*

Sakowski: Zebraliśmy się w studio londyńskim Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy celem odbycia rozmowy o dwudziestolecie „Kultury”. W rozmowie biorą udział: Michał CHMIELOWIEC, Maria DANILEWICZOWA, Juliusz MIEROSZEWSKI, Paweł ZAREMBA. Wszyscy, zwłaszcza pan Mieroszewski ściśle związany z „Kulturą”, inni mniej ściśle, ale współpracujący z „Kulturą”. Przewodniczę ja Juliusz SAKOWSKI przed tą audycją nic nie mający wspólnego z miesięcznikiem „Kultura”.

Odbywamy tę rozmowę, bo to jest wydarzenie nie byle jakie. Dwadzieścia lat, w ciągu tych dwudziestu lat powstało dwadzieścia cztery — jeżeli mówię ściśle — może mnie pan Mieroszewski poprawi...

Mieroszewski: Tak... Ściśle.

Sakowski: ...dwadzieścia cztery numery miesięcznika, sto dwadzieścia osiem książek wydanych przez Instytut Wydawniczy, pod egidą „Kultury” i dwadzieścia lat istnienia pewnej grupy, która może nie jest jeszcze obozem, ale pewnej grupy ideologicznej. Grupa ta, miesięcznik i książki mają to znaczenie, że są zwrócone przede wszystkim na Kraj i na zagadnienia krajowe. My wszyscy na emigracji zwróceni jesteśmy w stronę Kraju. Ale może najsilniej zagadnieniami krajowymi zajmuje się „Kultura” i najlepszym dowodem, że każdy rodak przyjezdny z Kraju czy w Paryżu czy w Londynie, dopytuje się o numery „Kultury” i o książki wydane przez „Kulturę” Chciałbym tę audycję podzielić na to, żebyśmy mówili i o miesięczniku i o działalności wydawniczej, ale przede wszystkim poproszę pana Mieroszewskiego, jako najbliższej i najściślej związanego z „Kulturą”,

* Tekst dyskusji wyemitowanej w ramach programu RWE „Discussion on Art and Literature” publikowany jest na podstawie kopii transkryptu znajdującego się w archiwum Juliusza Sakowskiego (sygn. AE/JS/XV/1). Maszynopis liczy 19 kart. Nieliczne poprawki naniesione są ręką Sakowskiego. Uczestnicy dyskusji w części identyfikowani są przez Sakowskiego; tam, gdzie identyfikacja nie była możliwa wpisano „Głos”. Zachowano język i interpunkcję oryginalną.

żeby nam opowiedział o powstaniu pisma, o stosunkach redakcyjnych, no to wszystko co może Pan najlepiej powiedzieć. Proszę pan Mieroszewski.

Mieroszewski: Proszę Państwa, to jest tak. Jestem od siedemnastu lat członkiem redakcji „Kultury” i w skutek tego nie może być moim zadaniem w naszej audycji chwalenie czy krytykowanie. Jestem bowiem osobiście zbyt zaangażowany w tej sprawie. Lecz jako staremu dziennikarzowi — byłem członkiem Syndykatu Dziennikarzy krakowskich na wiele lat przed wojną — niech mi będzie wolno wyrazić opinię, że „Kultura” jest sukcesem. Nie tylko jako pismo emigracyjne, ale jako pismo w ogóle. To nie jest sąd wartościujący, tylko opinia obiektywna oparta na faktach i cyfrach. „Kultura” byłaby sukcesem w normalnych warunkach w Polsce, bo nie mieliśmy miesięcznika tej klasy i poziomu o nakładzie sześciu tysięcy egzemplarzy, który docierał do pięćdziesięciu sześciu krajów świata. „Kultura” jest sukcesem również jako pismo europejskie, ponieważ w zachodniej Europie jest bardzo mało pism tego poziomu i klasy, które by miało nakład sześciu tysięcy egzemplarzy i docierało do pięćdziesięciu sześciu krajów świata. Jeszcze jest mniej pism europejskich tego typu i tej klasy, które by przetrwały lat dwadzieścia. Przez ten okres czasu, który jestem w Londynie, byłem świadkiem powstawania wielu pism i czasopism literackich i literacko-społecznych, które po bardzo krótkim czasie upadły. Wystarczy by wymienić choćby wspaniałą „Horizon”.

Sakowski: Może na chwilę przerwiemy jeżeli pan pozwoli. Ja bym chciał Panów spytać z czym, z jakim miesięcznikiem innego rodzaju, polskim lub obcym mogliby Państwo porównać „Kulturę” czy też to porównanie nie wyjdzie dobrze. Czy na przykład można je porównać — z pism krajowych — z „Twórczością”? Może pani Danilewiczowa by na ten temat powiedziała?

Danilewiczowa: Mnie się wydaje, że można porównać z przedwojennym „Pamiętnikiem Warszawskim”, który miał żywot bardzo krótki, który kiedyś redagował Berent przy pomocy Lechonia przez pewien czas, to było pismo, które mi się wydaje, że w ogólnym takim swoim zarysie miało coś bardzo dużo, coś bardzo podobnego, ale to była efemeryda. Jeśli chodzi o pisma krajowe, to tutaj nie widzę wyraźnego odpowiednika, bo „Twórczość” jest jednak pismem czysto literackim, bardzo rzadko odchodzącym od literatury czystej, powiedzmy na podwórko filozoficzne czy socjologiczne. Od czasu do czasu zdarzały się jakieś małe odstępstwa, ale to nie jest odpowiednik wyraźny. Nie można także porównywać z „Więzią” czy „Znakiem”, które znów mają tematykę dyktowaną wyraźną bardzo linią...

Sakowski: Mnie się zdaje, że nie można porównywać tak samo z „Horizon” ani tymi pismami-miesięcznikami. Może najbardziej „Encounter”, jeżeli chodzi o miesięcznik Berenta, to on nie miał żadnych właściwie, zacięcia ideologicznego, raczej to był czysto literacki... Pan Chmielowiec.

Chmielowiec: Ja bym paradoksalnie powiedział, że w moim rozumieniu „Kultura” jest tygodnikiem, który ukazuje się co miesiąc. To znaczy ma pewne cechy tygodnika, ten niesłychany zmysł aktualności, tę silną tendencję czy kierunek polityczny, to nie poświęcanie wiele miejsca studiom o charakterze naukowym czy pół-naukowym, o wiele więcej publicystyki i eseistyki.

Zaremba: Ja bym powiedział, że to „Kultura” jest pismem jedynym w swoim rodzaju. Nie ma właściwie odpowiednika. Jeśli przeglądam powiedzmy prasę zachodnią, pan wspominał „Encounter”, „Encounter” zresztą jest pismem młodszym niż „Kultura”, nieporównanie młodszym. Może odwróciłbym nawet sytuację, „Encounter” w pewnym sen-

sie na pewnych odcinkach na „Kulturze” się wzoruje. Mnie się wydaje, że „Kultura” jest pismem, które właściwie jest zupełnie nieortodoksyjnym w sensie techniki czy metody dziennikarskiej. Nie zgodziłbym się z panem Chmielowcem, że to jest tygodnik, powiedzmy w formie miesięcznika, co nie ujmuje oczywiście dążenia redaktora do jak największej aktualności. Nie mniej powiedzmy, zagadnienia, które byśmy nazwali — teoretyczne — które by poruszały pewne tezy, „Kultura” załatwia sobie nie zapychając łamów samego miesięcznika, tylko w swojej akcji wydawniczej między innymi w „Zeszytach Historycznych”.

Sakowski: Ja poproszę pana Mieroszewskiego, żeby powiedział coś, jakbym to nazwał, od strony kuchni redakcyjnej. Jak to się odbywa w ogóle, bo pan najlepiej wie, najściślej jest związany. Zespół redakcyjny, praca w redakcji, dom pod Paryżem. Jeżeli pan zechce o tym mówić.

Mieroszewski: Proszę bardzo. Nikt z czytelników i przyjaciół nawet bliskich nie zdawał sobie sprawy, że przeniesienie „Kultury” z Rzymu do Paryża było w pewnym sensie rewolucyjnym eksperymentem. „Kultura” została założona, podobnie jak Instytut Literacki, w roku 1946 w Rzymie. Rzym był wówczas jeszcze w pełni stolicą 2. Korpusu Polskiego. Nad Tybrem przebywali pisarze i poeci 2. Korpusu, Herling-Grudziński, Olechowski, Herminia Naglerowa, Tadeusz Sowiński i wielu innych. Chcę przez to powiedzieć, że redagowanie pisma było stosunkowo rzeczą łatwą, bo wszyscy i wszystko było na miejscu. Z chwilą kiedy „Kultura” została przeniesiona do Paryża, powstało zagadnienie redagowania pisma poprzez korespondencję. Pamiętam dokładnie, że wielu ludzi bardzo nam życzliwych twierdziło, że to jest po prostu niemożliwe.

Sakowski: Co pan nazywa, może pan objaśni bliżej — przez korespondencję...

Mieroszewski: Najłatwiej będzie to nam uzmysłowić, gdy stwierdzimy, co to jest redakcja. Przez redakcję w potocznym tego słowa znaczeniu rozumiemy zespół dziennikarzy o ile możliwości zawodowych, którzy redagują jakieś pismo. Otóż paryska redakcja „Kultury” stanowi kapitalny wyjątek od reguły. W paryskiej redakcji „Kultury” nie ma ani jednego dziennikarza. Czy to zawodowego, czy niezawodowego. Jerzy Giedroyc, który w moim przekonaniu jest jednym z najoryginalniejszych i najwybitniejszych redaktorów polskich jakich mieliśmy w ostatnich pięćdziesięciu latach nie jest ani dziennikarzem, ani pisarzem.

Sakowski: Czy nigdy nic nie napisał?

Mieroszewski: Nigdy niczego nie napisał. Oświadczył, że ma organiczną niezdolność do pisania.

Danilewiczowa: Więc ja protestuję, tutaj muszę *votum separatim* zgłosić. Giedroyc pisze listy. Listów tych oczywiście nie można w tej chwili opublikować, ale wróżę, że za pięćdziesiąt lat, jakiś młody polonista czy polonistka wyda tom listów Giedroycia, powiedzmy do mnie czy do pana, i że to będzie swego rodzaju rewelacja.

Mieroszewski: Proszę Pani, jadąc tu do tego studia obliczyłem sobie w kolejce podziemnej, że przez ubiegłe osiemnaście lat Giedroyc napisał do mnie około 2500 do 2800 listów i ja do niego również tyle. Więc to daje wolumen około pięciu czy sześciu tysięcy listów. Gdyby ktoś, co nie daj Panie Boże, zechciał to wydać to to by obejmowało kilka może kilkanaście tomów.

Sakowski: Panie kolego, zapytanie: czy nigdy żadna wypowiedź redakcyjna, żaden anonimowy głos czy jakaś notatka w „Kulturze” nie wyszła spod pióra Giedroycia? Bo to jest zajmujące.

Miorszewski: Kilkuwierszowa notatka może tak.

Sakowski: Ale żadnej enuncjacji...

Miorszewski: Żadnej enuncjacji nie wydał.

Sakowski: Teraz proszę Pana, czy Pan może powiedzieć, bo panowie są najściślej związani. Właściwie poza redaktorem Giedroyciem Pan jest tym przedstawicielem na Anglię i współpracownikiem głównym politycznym. Jak współpraca się układa?

Miorszewski: Chciałem właśnie powiedzieć jedną rzecz, że z jednej strony mamy redakcję „Kultury”, w której nie ma ani jednego zawodowego dziennikarza, z drugiej strony jeżeli weźmiemy do ręki bieżący czy jakikolwiek inny numer „Kultury”, to widzimy w nim rewię najlepszych piór emigracyjnych, a czasem nawet krajowych. Otóż ta rewia tych najlepszych piór, to jest to co jeden z naszych przyjaciół nazwał „niewidoczną redakcją «Kultury»”.

Zaremba: Ja bym wtrącił tu panie Juliuszu troszkę kontrowersyjnie. Cudów nie ma. Pan nazywa, że nie ma zawodowych dziennikarzy. Niemniej jednak „Kultura” co miesiąc się ukazuje, ukazuje się dobrze złamana, no z nienajgorszą korektą, której mogłoby wiele innych pism pozazdrościć i to się w jakiś sposób dzieje. Po osiemnastu latach nawet ktoś kto nie mówi o sobie, że jest zawodowym dziennikarzem, ale poświęcił całe życie temu, staje się jak najbardziej zawodowym i jak najbardziej fachowcem. Tak samo w sensie technicznym, w którym, no w technicznej dziennikarce Giedroyc, jak wiemy, ma na miejscu pomoc bardzo fachową, po tych osiemnastu latach. Choćbym tylko wspomniał obojga Hertzów, zwłaszcza panią Zofię.

Miorszewski: Tak, ale Hertzowie, zasługi Hertzów są niezmierne dla „Kultury” i nie można w ogóle ich przecenić. Ale tak Zofia jak i Zygmunt są wykształceni prawnicy, nie są ani dziennikarzami, ani pisarzami.

Sakowski: Pan mówił o kwalifikacjach fachowo-zawodowych. To są ludzie, którzy przyszli do „Kultury”, zaczęli ją robić, zaczęli robić pismo, nie mając tego fachowego zacięcia czy przygotowania, czy wykształcenia.

Zaremba: Tylko bronię jednej tezy. Żeby naszym słuchaczom się nie wydawało, że to jest cudowny wypadek. To jest ciężka praca i bardzo zawodowa praca. Ja się uważam za zawodowego dziennikarza, chociaż także jestem prawnikiem i z wykształcenia dziennikarskiego nie jestem...

Danilewiczowa: Ja chciałam tylko przypomnieć, że taki wypadek redagowania pisma na odległość wydarzył się w XIX wieku. Kraszewski wydawał „Ateneum”, siedząc zdaje się na Polesiu czy Wołyniu i pismo miało też zasięg bardzo szeroki. No ale to był zupełnie odosobniony wypadek.

Sakowski: Czy ja mogę teraz małą dygresję? Bo tu oprócz pana Miroszewskiego najściślej związanego z „Kulturą” jest pani Danilewiczowa i pan Chmielowiec, którzy współpracują i z „Kulturą” i z londyńskimi „Wiadomościami”. Wobec tego, że tu wspomniano osobę redaktora Giedroycia, czy państwo mogliby nam swoje doświadczenia ze współpracy w jednym piśmie i w drugim. To znaczy, po prostu, żeby ułatwić — co pani wybie-

ra do „Kultury”, a co do „Wiadomości”, dlaczego? Jak się układa współpraca z redaktorem, gdzie jest łatwiej, no takie osobiste doświadczenia. Najpierw panią, a potem pana Chmielowca poproszę.

Danilewiczowa: Ja przeprowadzam jakąś taką bardzo cenzurę wewnętrzną, nie wiem jak to nazwać. Ja wiem z góry co nadaję się, co mogę prawda produkować w „Wiadomościach”, a co mogę posłać Giedroycowi do „Kultury”. Piszemy trochę pod redaktora. Muszę powiedzieć, że ilekroć zdarza się wypadek, że chcę się wypowiedzieć tak jakoś bardzo bezpośrednio — śmiało, chcę powiedzieć wszystko na jakiś temat, to raczej wybieram „Kulturę”. Natomiast jestem w nastroju bardziej akademickim, chłodnym, wybieram „Wiadomości”, licząc się jeszcze z tym, że tekst, który pošlę będzie poddany bardzo surowej skrutynizacji. Najsurowszego z redaktorów.

Chmielowiec: Więc ja uważam, że jednak pomimo bijących w oczy różnic, pomiędzy tymi dwoma redaktorami, może ważniejsze są między nimi podobieństwa. Chcę podkreślić najpierw jedno, bo była tutaj mowa o redagowaniu pisma drogą korespondencyjną. Otóż i Grydzewski i Giedroyc mają niesłychanie rzadką u Polaków cechę, że odpowiadają na wszystkie listy. Grydzewski, chociaż mieszka w Londynie mało się udziela osobiście, ja sam chociaż jestem stałym współpracownikiem „Wiadomości” widziałem go w życiu razy może osiem, w każdym razie, myślę, że nie dziesięć, przeważnie korespondujemy i to idzie bardzo gładko. Druga wspólna cecha niesłychanie ważna, to jest ogromny liberalizm tych obu redaktorów. Ja myślę, że z połową tego co napisałem do „Kultury”, czy do „Wiadomości” redaktorzy się nie godzili. Nie miałem nigdy najmniejszych zastrzeżeń, kłopotów, propozycji skreślenia czy złagodzenia czegokolwiek.

Zaremba: Chociaż nie byłem proszony o głos w tej właśnie sprawie, chciałbym jednak tutaj swoje trzy grosze wtrącić. Wydaje mi się, że nie ujmując broń Bożą niczego „Wiadomościom”. „Wiadomości” i „Kultura” i tak samo obydwaj redaktorzy, to są wartości nieporównywalne. Tego nie można porównywać. Nie tylko dlatego, że „Wiadomości” są tygodnikiem z tradycją, no, powiedzmy dobrze nam znaną, ogromną tradycją ciągnącą się sprzed wojny, a „Kultura” jest miesięcznikiem, który powstał po wojnie. Natomiast wydaje mi się, że „Kultura” jest czymś więcej niż pismem, niż miesięcznikiem. Dla mnie nie wystarczy mówić o „Kulturze”, tylko jako o miesięczniku, albo nawet jako o placówce czy instytucji wydawniczej książkowej. „Kultura” sama w sobie jest pewnego rodzaju instytucją, jak pan słusznie zauważył, ideologiczną, może to jest słowo za daleko idące, niewątpliwie jest to pew...

Głos: ...nie

Zaremba: no tak, dlaczego nie? Ostatecznie, może być to słowo użyte, nie wycofuję się z niego. Jest, jeżeli się mówi „Kultura”, to się myśli także nie tylko o tym co „Kultura” wydała i co w „Kulturze” napisano, ale także o bardzo wielu rzeczach, które „Kultura” zdziałała swoim wpływem, no, wychodzącym poza słowo drukowane. Dlatego też wydaje mi się, że to są dwie różne rzeczy nieporównywalne.

Sakowski: Słusznie, o to mi właśnie chodziło, że to są dwa zupełnie inne pisma, nie tylko dlatego, że tygodnik i miesięcznik i dobrze, że są różne, bo gdyby były podobne czy jednakowe, to jedno z nich by było zbędne. Właśnie dobrze tak się stało.

Danilewicz: Mnie się zdaje, że one się dopełniają.

Chmielowiec: Ja mówiłem tylko o podobieństwach między tymi redaktorami, a nie powiedziałem o jednej bardzo zasadniczej różnicy, i ponieważ pan zadał osobiste pytanie,

jak układa się pana współpraca, co pan posyła tu a co tam, to moja odpowiedź jest bardzo ostra tutaj, i ja prawie nigdy nie piszę do „Kultury” inaczej jak na propozycje jej redaktora. To znaczy Giedroyc jest redaktorem, który lubi inspirować współpracowników. Nie narzucać im tematów, ale inspirować, on przysyła książki, on podsuwa tematy. Tymczasem Grydzewski nie ma tej — w tym stopniu — nie ma tej ambicji inspiratorskiej. On jest takim kolektorem, niż inspiratorem.

Sakowski: Proszę Państwa, już my za długo te porównania snujemy, bo właściwie tematem naszej audycji jest „Kultura”, więc ja poproszę pana Mieroszewskiego, o powiedzenie i na tym tę część zamkniemy, przejdziemy do dalszej. Jak się układały jego, pana wzajemne stosunki z Giedroyciem, panów jest dwóch, pan jest w Londynie on w Paryżu. Współpraca przecież jest bardzo ścisła, bo w każdym numerze pan daje i artykuł polityczny i różne drobiazgi z życia londyńskiego. Współpraca jest przez korespondencję, czy telefonicznie?

Mieroszewski: I telefonicznie i przez korespondencję. Ale ja odpowiedź na to pytanie chętnie poprzedziłbym taką ogólniejszą uwagą. Polacy jeszcze dziś dzielą się na wschodnich i zachodnich. W każdym razie na emigracji ten podział jeszcze odgrywa bardzo znaczną rolę. Wschodni Polacy są na ogół niezmiernie utalentowanymi ludźmi. Miłosz, Wańkiewicz, bracia Pruszyńscy, Iwaszkiewicz, bracia Zbyszewscy, bracia Mackiewiczowie, Pawlikowski, to jest tylko część galerii wybitnych Polaków wschodnich. Nie wiem czy Polacy zachodni mogliby wystawić konkurencyjną, równie efektowną galerię. Chyba nie.

Sakowski: Pan jest z Zachodu?

Mieroszewski: I tak właściwie zawsze było, w każdym razie w XIX wieku. Ja jestem z Zachodu.

Sakowski: Czyli panowie się uzupełniają.

Mieroszewski: Redaktor „Kultury” jest Polakiem wschodnim, miastem jego dzieciństwa jest Moskwa, publicysta „Kultury”, czyli niżej podpisany jest Polakiem zachodnim, a okolicą mojego dzieciństwa jest Podhale. Giedroyc zna język rosyjski, Rosję i Rosjan na wylot. Jeżeli mam być szczerzy, to muszę wyznać, że wydaje mi się, że nie zamieniłem dwóch zdań z autentycznym Rosjaninem w moim życiu. Wydaje mi się więc, że tak Giedroyc jak i ja jesteśmy typami bardzo przeciwstawnymi. Reprezentujemy nie tylko bardzo różne temperamenty, ale dwie różne polskie tradycje i dwa różne polskie nurty kulturalne. Wydawałoby się więc, że jesteśmy niejako predestynowani do tego, żeby w każdej sprawie, a w szczególności w sprawach politycznych, jak chodzi o stosunek do Rosji czy stosunek do Stanów Zjednoczonych, żeby reprezentować skrajnie przeciwstawne poglądy. Niemniej przez te dwadzieścia lat w „Kulturze” nigdy nie było ani żadnego rozłamu, ani żadnej secesji, ani żadnych tego rodzaju nieporozumień, które były udziałem wszystkich niemal innych ośrodków emigracyjnych.

Sakowski: Ktoś powiedział, że dlatego, że was jest mało i dzieli was kanał.

Mieroszewski: Wystarczy, żeby było do kłótni i do rozejścia, wystarczy.

Sakowski: Ja poproszę pana Zarembę, żeby powiedział o działalności wydawniczej, musimy przejść do działalności wydawniczej książkowej kultury, która jest równie ważna, niezmiernie ważna, równie jak miesięcznik. Co pan może o tym powiedzieć?

Zaremba: Trudno mi jest mówić w szczegółach, bo byłby to referat bardzo długi. Sto dwadzieścia osiem książek wydanych przez Instytut Literacki, co właściwie to samo znaczy co „Kultura”. Są to książki o olbrzymim — jak się to mówi — wachlarzu. Są tam dzieła literackie, są studia polityczne, są studia poświęcone zagadnieniom gospodarczym, są podręczniki czy książki historyczne, jest cykl cały „Zeszytów Historycznych” „Kultury”, które — jeśli chodzi o najnowszą historię Polski — przynoszą mnóstwo rewelacji, na które się, powiedzmy powołują historycy. No, i tak samo zresztą w wydawnictwach krajowych i w kraju. No, więc ten wachlarz jest zupełnie ogromny, tempo wydawania tych książek jest nieprawdopodobne i chciałbym tu może poprzeć to, co mówił pan Mieroszewski, że to także w sensie technicznym i redakcyjnym załatwia ten sam człowiek, czy tych samych kilku ludzi, którzy robią także ten miesięcznik. Jeżeli by pan pozwolił, przeszedłbym — troszeczkę bym nawiązał do tego, co już powiedziałem, że „Kultura” znaczy coś więcej niż instytut wydawniczy, niż książki i miesięcznik. Jest określenie „Dom Kultury”, co powiedzmy dla ludzi nie znających bliżej sytuacji wydawałoby się, że to jest coś w rodzaju jakiejś biblioteki publicznej, względnie zamkniętej, dostępnej tylko dla wybranych. Ten dom jest zwykłym domem mieszkalnym, bardzo dużym, w małym miasteczku pod Paryżem i w tym domu może się zjawić właściwie każdy człowiek, który chce z Giedroyciem porozmawiać i z Giedroyciem się naradzić, względnie zasięgnąć jego rady, nawet jeżeli jej nie posłucha. Mogę tu mówić troszeczkę personalnie, tak się składa, że przez lata naszej znajomości nieraz, jeśli chodzi o odcinek ideologiczny czy polityczny, reprezentowałem zupełnie inne stanowisko niż redaktor Giedroyc, redaguję sam pismo, które — no — w przynajmniej dużej mierze reprezentowało zupełnie inną linię polityczną, niemniej z Giedroyciem na skutek tego, że cechują go dwie rzeczy: nie tylko liberalizm, ale ogromny rozsądek, można...

Głos: Tak, tylko że...

Zaremba: ...porozmawiać i można się radzić i można dostać dobrą radę, której on nigdy nie wyzyska w jakikolwiek sposób przeciwko człowiekowi, któremu poradził i który — powiedzmy — wręcz coś odmiennego zrobił. No, współpraca, jeśli chodzi o współpracę ze strony wydawniczej, to tak się składa, że mam z tym trochę do czynienia, no, po prostu w sensie rozprowadzania, pomagania w rozprowadzaniu tych książek i muszę przyznać, że tego rodzaju osiągnięcie, jeżeli sobie przypominam, lat temu dwanaście czy piętnaście, kiedy mi Giedroyc powiedział, że ma zamiar wydać mniej więcej tyle książek, żeby była jedna książka na dwa numery „Kultury”, powiedziałem: Panie Jerzy, to jest nieosiągalne, pan będzie mógł w ciągu dziesięciu lat mieć pozycji dwadzieścia lub trzydzieści.

Sakowski: Wydał sto dwadzieścia osiem, ja poproszę panią Danilewiczową, żeby o tym powiedziała, jeszcze o tych książkach, bo i jeden z plusów tych książek, o których nie wspomniał Paweł Zaremba jest to, że wszystkie właściwie są dobre.

Danilewiczowa: Właśnie ja chciałam powiedzieć to samo, że Giedroyc ma niewątpliwie przysłowiowy łut szczęścia. Fakt, że w tych stu dwudziestu tomach, których objętość jest w tej chwili naprawdę sprawą zupełnie drugorzędną, czy trzeciorzędną, jest właściwie prawie cały Miłosz, prawie cały Gombrowicz — to jest — prawie cały Hłasko. I powiedzmy — najlepszy Hłasko.

Głos: I bardzo dużo szczęśliwych debiutów.

Danilewiczowa: Bardzo dużo szczęśliwych debiutów. Są tomy doskonałej prozy. Przy-
pomnę tu tylko Chciuka, czy Straszewicza, czy Lipskiego...

Chmielowiec: Czy Bobkowskiego.

Danilewiczowa: ...Bobkowskiego. No po prostu jest rzeczą zadziwiającą, jak dużo spośród tych stu dwudziestu książek określić można przymiotnikiem książki „żywe”, książki, które są potrzebne, niezbędne, które rozeszły się do ostatniego egzemplarza, i których przedruków brak nam bardzo dotkliwie.

Sakowski: Ja jeszcze chciałbym zwrócić uwagę na jeden szczegół, bo w nastroju jubileuszowym zawsze rozdajemy laurki. Ja muszę dodać, że „Kultura” w środowisku emigracyjnym jest pismem kontrowersyjnym, co jej niczego nie ujmuje. Sam nieraz nie zgadzam się z poglądami wypowiedzianymi przez pana Mieroszewskiego, bo ośrodkiem tej kontrowersji jest on zwykle, ale muszę powiedzieć, że jest rzeczą zadziwiającą, żeby w każdym numerze „Kultury” ukazywał się artykuł polityczny pana Mieroszewskiego o sprawie polskiej na tle sytuacji międzynarodowej, artykuł, z którym można się nie zgadzać, który można zwalczać, ale to jest zadziwiająca umiejętność wysnuwania oryginalnych wniosków ze sprawy polskiej na tle sytuacji międzynarodowej, nawet jak w tej sytuacji panuje stagnacja czy marazm. Poproszę pana Chmielowca, który chciał coś powiedzieć o książkach jeszcze, a wkrótce musimy kończyć.

Chmielowiec: Gdy mówimy o książkach, to mnie się zdaje, nie można pominąć milczeniem tego, że „Kultura” uprawia to co może brzydko zostało nazwane przez zachodnich dziennikarzy „przemym”. Przemym dwustronnym...

Głos: O to chodzi...

Chmielowiec: To znaczy drukuje przemycane książki z bloku sowieckiego, prawda — głośna sprawa Arżaka i Terca, czyli Daniela i Sinjawskiego — i książki jej — wydaje mi się — docierają w większym stopniu do kraju niż inne książki wydawane na emigracji.

Głos: Jeszcze Pan powinien dodać Stawara.

Głos: Stawara i Hłaskę.

Chmielowiec: ...pierwsza książka Hłaski na emigracji. Jeszcze Swinarski wydał w „Kulturze”, gdy nie był emigrantem. Mnie się zdaje, że to jest bardzo ważne i ten punkt działalności zwrócił uwagę goniących trochę za sensacją dziennikarzy zachodnich.

Głos: ...dziennikarzy całego świata...

Chmielowiec: ...ale pomijając tę sensację, to jest niesłuchanie istotna i ważna robota.

Danilewiczowa: Niech mi wolno będzie dodać, że nic tak nie ginie jak „Kultura”. Nie można po prostu upilnować...

Chmielowiec: ...w bibliotece?

Głos: ...ginie w bibliotece...

Danilewiczowa: Tak. Ja jestem wrogiem formatu „Kultury”, ten format kieszonkowy...

Chmielowiec: ...zbyt kieszonkowy, zbyt kieszonkowy...

Danilewiczowa: ...jest naprawdę bardzo kuszący.

Zaremba: Ja bym chciał powiedzieć parę słów na temat charakterystyki „Kultury” ogólnie. Pan zaczął w przemówieniu swoim, panie Juliuszu, że jest to pismo, które zajmuje się przede wszystkim...

Głos: Tu jest dwóch Juliuszów..., o którym pan mówi?

Zaremba: O przewodniczącym. Pan Sakowski. Przede wszystkim zajmuje się sprawami krajowymi. Ja bym to sprostował. W moim przekonaniu — przynajmniej z obserwacji mojej to wynika — że „Kultura” nie jest pismem emigracyjnym, które zajmuje się sprawami krajowymi. Tak się zdarza, że wychodzi na emigracji, wychodzi poza Polskę. Natomiast jest to pismo *par excellence* polskie, przeznaczone dla Polaków, bez względu na to, gdzie się w danym momencie znajdują. „Kultura” może sobie pozwalać — i pozwala sobie na to — że się nakrywa niekiedy, powiedzmy, nazwijmy, ogonem obojętności w stosunku do rozmaitych spraw emigracyjnych ściśle. To są dla „Kultury” rzeczy peryferyjne. Dlatego też nazwałbym, zaryzykowałbym to — nie będąc współpracownikiem stałym „Kultury”, mogę to śmiało powiedzieć, że „Kultura” jest czołowym pismem polskim, w języku polskim, polskim pismem, jakie się w tej chwili ukazuje.

Sakowski: Proszę Państwa, chciałbym, dziękując Państwu za wzięcie udziału w tej dyskusji, podkreślić, że „Kultura” jest obecnie wrogiem numer jeden reżymu w Polsce. Oprócz tego dostąpiła tego — powiedziałbym nawet — zaszczytu, że została zaatakowana przez mocodawców tego reżymu, czyli przez Rosję. Została zaatakowana przez „Izwestja” — i to jest również dosyć cenny laur tego wieńca, który złożyliśmy dziś z okazji dwudziestolecia. Dziękuję Państwu za udział w rozmowie.

POŻEGNANIE JERZEGO SITY W LONDYNIE*

Florian ŚMIEJA (Kanada)

W imieniu zespołu Kontynentów-Nowego Merkuriusza witam wszystkich najserdeczniej. Raduję się, że po długim letargu udało nam się zorganizować wieczór publiczny poświęcony twórczości literackiej jednego z naszych kolegów. Oby dzisiejszy początek był pomyslną wróżbą.

W tym samym miejscu przed bodajże rokiem witałem pisarza z kraju (wcześniej, bo w październiku 1957 roku odbył się wieczór Cz. Miłosza — przyp. F.Ś.). Dzisiaj żegnam poetę opuszczającego emigrację. Może niektórzy z Państwa zdziwili się, że mnie przypadała rola przewodniczenia dzisiejszemu wieczorowi.

Gdyby się potrudzić i spróbować zrozumieć wybór, należało by go chyba przypisać szarmanckiemu gestowi Jerzego Sity, pewnego rodzaju „kochajmy się” ostatniego rozdziału naszej współpracy. Mogło mu też chodzić o sprowokowanie mnie do publicznego wypowiedzenia się na temat jego twórczości. Bo jak można coś gorzkiego powiedzieć o poecie, którego się oficjalnie wprowadza na wieczorze autorskim? Byłby to nietakt o wiele poważniejszy od niewinnego trzymania rąk w kieszeni. Dopuścił się tego jeden z kolegów w czasie przemawiania na niedawnym pokazie filmów z kraju. Sala przyjęła go okrzykami: „ręce z kieszeni”. Do linczu jednak nie doszło.

Dziwnym więc zbiegiem okoliczności wypadło mi Jerzego Sity żegnać, a pamiętam jak witałem go przed sześcioma laty. W owym czasie powstał pierwszy chyba ośrodek młodych poetów w Anglii, Koło Polonistów przy Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Były to pierwsze kroki stojące pod urokiem formalizmu bijącego z kart statutu i nazwy: Sekcja Twórczości Własnej. Jerzy Sito był wówczas młodzieńcem bardzo nieśmiałym, uprzejmym, skromnym, piszącym sagi o słowiańskich wojach i robotniczo-miejskie wiersze *à la* Tuwim. Od tego czasu upłynęło kilka lat. Mężczyzna, którego dzisiaj żegnamy, wyzbył się dawnej niepewności. Przestał także pisać o kniazich Olegach i lokomotywach.

Z jego osiągnięć życiowych wynika dość jasno, że mimo wszystko nie wiozł swojego czasu na ośle. Nie wiozł go także na ośle, jak któryś z niezorientowanych krytyków

* Słowo wygłoszone w Instytucie im gen. Władysława Sikorskiego w Londynie w listopadzie 1959 roku.

krajowych napisał. Moim zdaniem osiągnął on bardzo wiele. Jego poetycki debiut zdobył poklask w Polsce, a na uchodźstwie jego poezje wdarły się do okopów św. Trójcy i z powodzeniem straszą pobożnych czytelników „Wiadomości”. Jako pierwszy z naszego grona merkuriuszowego napisał sztukę teatralną. Od Października Sito zajmuje się także publicystyką. Dla mnie jest ona związana z silnym natężeniem idealizmu. Jest to postawa mimo wszelkich pozorów raczej emocjonalna, a jej racjonalizacja jest czymś wtórnym i dodatkowym. Wielu ludzi postawa ta razi. Ja jej nie podzielam, niemniej szanuję ją i poważam wyciągnięte z niej wnioski.

Bez wątpienia ubytek Jerzego Sity z naszego środowiska jest stratą. Zabraknie nam jego barwnej osobowości. Brakowało nam będzie w rozmoworze dyskusji jego apodyktycznych sądów. Były one niby głązy pośród miałkich i bojaźliwych sugestii. Śmiem przypuszczać, że wśród bogatszego i obfitszego życia umysłowego i literackiego w Polsce, nieraz pomyśli on, może nawet z nostalgią, może pokiwa głową z politowaniem, nad znikomością naszych możliwości i szarzyzną polskiego życia emigracyjnego. Może zateśni do kolegów i do okresu, kiedy zdobywał ostrogi jako poeta i wyjeżdżał po raz pierwszy na publiczne utarczki.

Może wspomni z żalem, że często w bojuwaniu tym był samotny, że nie potrafił pociągnąć za sobą innych. Ale niechaj równocześnie pocieszy się myślą, że jego koledzy bez względu na to, czy się z nim zgadzali czy nie, byli mu lojalni.

Kraj otrzyma młodego wykwalifikowanego technika i zdolnego humanistę. Otrzyma człowieka ukształtowanego wszechstronnie, władającego piękną polszczyzną. A o to ostatnie nie jest tak łatwo za granicą. Jeżeli mu czego zazdrościmy, to zanurzenia się w rzece żywego języka, to możliwości smakowania go do woli. Ci z nas, którzy uczęszczali do polskiej szkoły czy mieli polski dom, nie doceniają ważnej roli środowiska, jakim się stała grupa poetycka Merkuriusza. Przyjęła ona na swoje barki troskę o losy tych młodych, którzy w odcieciu od rodzimego języka postanowili pielęgnować pisanie po polsku, starając się w trudnych warunkach obiektywnych osiągnąć nie tylko poprawność, ale i własny styl. O ile łatwo jest drukować na emigracji, o tyle trudno o bodźce do pracy nad sobą i o przykład. Wystarczy otworzyć jakiekolwiek pismo, żeby stwierdzić wszechobecność cieniutkiego żargonu inteligentckiego, gdzie słowa jak plastikowe żetony są idealnie wyabstrahowane z przedmiotu, który oznaczają. Nawet wspomnienia z najbardziej rzeczywistych miejsc i lat noszą patynę słowników i gładkość rozmówek kawiarnianych. Jakim olśnieniem dla spragnionych świeżego języka była dla ludzi karmionych inteligentką zupką *Dolina Issy*! Jakim ciosem w dętą prozę byli *Turyści z bocianich gniazd* bez których nie byłoby Hłaski. Dlaczego nie mamy więcej *Basiek i Barbar* czy *Obozów Wszystkich Świętych*, których miłosna intymność i żywiołowe odczucie życia wyrwywają się z szarej monotonii emigracyjnej prozy, której język nie jest ani giętki, ani nie oddaje wszystkiego, co pomyśli głowa. Naszym chlebem jest prasa codzienna używająca niechlujnego szwargotu, rojąca się od anglicyzmów jak „zaczarterowane statki” czy „chory znajduje się poza niebezpieczeństwem”. Jeżeli dodamy słabą korektę, nieprzestrzeżenie jednej pisowni, otrzymamy obraz pożywki, na której ma wyrosnąć młody pisarz.

Otoczeni przez obcy żywioł, nie wytrzymujemy jego naporu. Obcym językiem nie tylko porozumiewamy się na ulicy i w pracy. Często na tematy specjalistyczne nie potrafimy już po polsku rozmawiać, a tymczasem przybrany język zaczyna dostarczać nam wzruszeń artystycznych, korci nas jego uniwersalność, wciąga jego poręczność. Oddalenie od naszego kraju, w którym język ma życie bogate i nie wtórne, stępia jego efekt, jednocześnie zaś rośnie obcość do powstających w Polsce w specyficznych warunkach nowotworów i barbaryzmów. Z dystansu zjawiska te traktujemy z pewnością zbyt jedno-

stronnie, ale tylko tam, na miejscu, można poznać całą aurę i klimat języka, czuć jego puls i dostrzegać możliwości.

Zaledwie przed godziną byłem w Instituto de España na odczycie o poezji Juana Ramóna Jiméneza. Prelegentem był były dyrektor Królewskiej Akademii Hiszpańskiej, José María Pemán, poeta, dramaturg i mówca. Jerzy Sito, z niecierpliwością swoich lat i czując się nieswojo w warunkach emigracyjnych, dał swojemu pierworodnemu tomikowi wierszy tytuł *Wiozę swój czas na ośle*. Uważa widocznie, że w naszych czasach należy używać szybszego środka lokomocji. Życzę mu w Polsce najczystszej krwi Pegaza, choć dziś koń nie jest tam najmilej widziany. Skoro jednak chce jechać daleko, niech weźmie przykład z Jiméneza. Jego łagodny, poetycki osiołek, Platero, zawiózł go najpewniej na Parnas.

MAŁY LEKSYKON 175 ZNANYCH POLAKÓW W AMERYCE

Wojciech A. WIERZEWSKI (USA)

„Mały leksykon” obejmuje 175 sylwetek Polaków, którzy trwale zapisali się w różnych okresach historii Ameryki, w życiu jego polonijnych środowisk. Stanowi on „czubek góry lodowej”. Przedstawiam miniaturę prawdziwej listy zasług naszych rodaków w tym kraju, dla przypomnienia, że na takie wydawnictwo czekamy wciąż bezskutecznie i to od dawna. W trakcie, bez mała, czterech wieków naszej obecności na tym kontynencie tysiące Polaków dokonywały znaczących czynów i zapisywały się niezwykłymi karierami we wszystkich dziedzinach życia, od wojskowości, polityki i rządowej administracji po, sport, naukę, kulturę i sztukę. Postacie zasłużonych rodaków powinny doczekać się sprawiedliwej prezentacji w encyklopediach i leksykonach, a także znaleźć poczesne miejsce w powszechnej świadomości po obu stronach Oceanu. Niestety, tak się dotąd nie stało. Mój leksykon ma zachęcić do wysiłku.

Jedyna dostępna na rynku publikacja, *Who's Who in Polish America* (wydana przez Bicentennial Publishing Corp. w Nowym Jorku w 1996) też daleka jest od kompletności. Zawiera kilkaset haseł i nazwisk wybranych, ale wyłącznie współcześnie żyjących w Stanach Polaków. To samo dotyczy opracowanego przez A. i Z. Judyckich słownika biograficznego *Polonia* (Warszawa 2000). O słynnych rodakach z przeszłości — bliższej i dalszej — nie informuje kompetentnie żadna z dostępnych na rynku amerykańskim — publikacji czy encyklopedii.

W „Małym leksykonie” brakuje z pewnością bardzo wielu nazwisk tak z przeszłości jak i ze współczesności — wynika to po prostu z formuły pierwszego, próbnego podejścia, nie zaś z uprzedzeń, czy niedoceniań czyichś zasług. Pełną sprawiedliwość oddać będą mogły wszystkim Polakom żyjącym w Ameryce przyszłe zbiorowe przedsięwzięcia i opracowania, na jakie czekamy. Niniejsze opracowanie należy traktować jedynie jako pierwszy krok.

Klucz do nazw i skrótów głównych organizacji polonijnych:

KNAPP — Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia
KON — Komitet Obrony Narodowej
KPA — Kongres Polonii Amerykańskiej
PAHA — Polskie Stowarzyszenie Historyków w Ameryce
PIASA — Polski Instytut Naukowy w Ameryce
SWAP — Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej
ZNP — Związek Narodowy Polski
ZPRKA (PRCUA) — Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce
ZPwA — Związek Polek w Ameryce

ABRAMOWICZ Alfred (1919–1999), zasłużony dla Polonii, popularny biskup katolicki z Chicago. Po studiach duchownych w Mundelein (1943), a następnie wieloletnich studiach prawa kanonicznego w Rzymie (1951) pracował w dziale prawnym kurii watykańskiej. Po powrocie do Stanów kierował założoną przez siebie Katolicką Ligą Pomocy Polsce (w latach 1960–1968). Od 1968 biskup pomocniczy Archidiecezji Chicago, aktywny współorganizator m.in. polonijnych obchodów milenijnych w Chicago (1966) i pierwszej wizyty papieża Jana Pawła II w Stanach Zjednoczonych (w 1979 r.). Kierował też pracami komisji do spraw dialogu z Żydami i z Polskim Kościołem Narodowym. Obecnie powstało w Chicago seminarium dla księży polskich Jego imienia. Laureat nagrody Fundacji Kopernikowskiej w Chicago w 1990 r.

ANDRZEJKOWICZ Juliusz (1821–1898), główny inicjator i założyciel Związku Narodowego Polskiego w Ameryce Północnej. Emigrant polityczny po powstaniu 1848 r. Po przybyciu do Stanów brał udział w kalifornijskiej „gorączce złota”. Później pracował jako chemik, producent i dystrybutor farb w Filadelfii. Po założeniu ZNP, w lutym 1880 r. pełnił rolę pierwszego lidera, a następnie głównego urzędnika (nazwanego „cenzorem”) tej organizacji (1880–1883), nadając kierunek pierwszym działaniom Związku. Uehonorowany za zasługi dla ZNP w 1897 r.

AZARJEW Andrzej (ur. 1932 w Poznaniu), dziennikarz polonijny, krytyk literacki i teatralny. Po przybyciu, po wojnie, do Chicago podjął działalność w kręgach młodzieży polonijnej, redagując „Zew Młodych” w latach 1952–1956, występując także w radiowych programach Polonii. Studia dziennikarskie odbył na Northwestern University (1957–1961); pracował w redakcji „Dziennika Chicagoskiego” (1968–1970). W tym samym czasie zasiłł tygodnik „Gwiazda Polarna” w Wisconsin. Był korespondentem Radia Wolna Europa (1974–1979), a następnie redaktorem w „Dzienniku Związkowym” (1978–1986). W 1986 objął redakcję organu ZPRKA, „Naród Polski” i prowadził ją do połowy lat 90. Wieloletni prezes Polskiego Związku Akademików w Chicago (1962–1992).

BARSZCZEWSKI Stefan (1870–1937), dziennikarz polonijny. Przybył do Ameryki w r. 1887. Pracę znalazł w „Dzienniku Chicagoskim”. Objął następnie redakcję „Sokoła” (1890), a później prowadził „Zgodę” (1897). Autor pierwszej historii Związku Narodowego Polskiego, wydanej na 10-lecie istnienia tej organizacji (w r. 1894). Po 1901 r. powrócił do kraju i dalej pracował jako dziennikarz w „Kurierze Warszawskim”, pisał także sceniczne sztuki i krótkie opowiadania.

BARWIG Regis Norbert (ur. 1932 w Chicago), teolog, autor publikacji historycznych. Studiował w Illinois Benedictine College w Chicago, następnie w Georgetown University w Waszyngtonie (nauki polityczne, 1956), wreszcie na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie (1959–1961). W latach 1945–1953 pracował jako tłumacz w „Dzienniku Chicagoskim”. Sekretarz opata w Lisle (1955–1959), sekretarz generalny Kongresu Jedności Katolickiej w Stanach Zjednoczonych (1956–1957), redaktor kwartalnika „The Voice of the Church” (1957–1964). Członek dyrekcji Inter-Catholic Press Agency w Nowym Jorku (1966–1978). Przeor klasztorów benedyktyńskich w Cedarburgu (1964–1968) oraz w Oshkosh (od 1969), oba w stanie Wisconsin. Autor i tłumacz siedmiu książek kościelnych w języku polskim, angielskim i włoskim. Kawaler Rycerskiego Zakonu Maltańskiego, oraz Zakonu Rycerskiego Bożego Grobu w Jerozolimie. Tytułarny kanonik Królewskiej Kapituły Kolegialnej w Warszawie.

BARZYŃSKI Wincenty (1838–1899), czołowy lider katolicki, wywodzący się z zakonu księży zmartwychwstańców, założyciel Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiej w Chicago, które powołano do życia w r. 1873, celem stworzenia w Stanach Zjednoczonych szerokiej sieci polskich placówek charytatywnych i kościelnych. Wcześniej zakładał polskie parafie w Teksasie; w Chicago stał na czele parafii św. Stanisława Kostki (1874–1899). Jego brat, **Jan**, założył „Gazetę Polską Katolicką”, w 1875 r., z której wyłonił się z czasem organ ZPRKA, „Naród Polski” (w r. 1896).

BECZKIEWICZ Tomasz Jan (ur. 1936 w South Bend, In), profesor i wykładowca uniwersytecki, syn polskich emigrantów osiadłych w Indianie. Po studiach historycznych w Waszyngtonie i psychologicznych w Zurychu pracował w Szwajcarii od r. 1957 jako historyk, a po powrocie do Stanów Zjednoczonych i rodzinnej Indiany, na Uniwersytecie w Bloomington (1965–1969). Następnie, jako administrator stanowy na różnych stanowiskach związanych z oświatą i kulturą, stworzył w r. 1979 Międzynarodowy Festiwal Skrzypcowy. W latach 70. rozpoczął karierę jako realizator dokumentalnych filmów telewizyjnych o sztuce (m.in. „Open Your Arts to Spring”, 1984 i „Violin Pressed Against the Heart”, 1989).

BEKKER Mieczysław (1905–1989), absolwent Politechniki Warszawskiej, w latach 1931–1939 pracował jako inżynier konstruktor czołgów dla Ministerstwa Obrony Narodowej. Po wybuchu wojny, przez Francję trafił do Kanady, gdzie kontynuował służbę dla armii jako konstruktor. Od 1954 zatrudniony był w U.S. Army Detroit Arsenal. Od 1960 pracował dla programów NASA, gdzie zasłynął jako konstruktor mechanizmów mobilnych w tym słynnego „łazika”, pojazdu kosmicznego poruszającego się po księżycu i jego metalowych opon.

BEREŻNICKI Bogdan (ur. 1925 w okolicach Lwowa), inżynier, kombatant, działacz polityczny Polonii. W czasie wojny wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych podjął studia techniczne i pracę w zakładach samochodowych Forda w Detroit. W trakcie wieloletniej pracy wybił się jako wynalazca i twórca nowych rozwiązań konstrukcyjnych mikrobusów. Aktywny działacz organizacji kombatanckich i Kongresu Polonii Amerykańskiej. Prezes Koła Żołnierzy 2. Korpusu w Detroit, fundacji i centrum kombatanckiego w Orchard Lake, Mi.

BIAŁASIEWICZ Józef (1912–1986), wybitny dziennikarz krajowy i polonijny. Po studiach prawnych na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczął pracę w „Gazecie Warszawskiej” (1930), współpracując również ze „Szczerbcem”. Po wybuchu wojny kontynuował działalność w prasie konspiracyjnej („Państwo Polskie”). Aresztowany przez gestapo został zesłany do Oświęcimia. Po wyzwoleniu, w Bawarii stał na czele Komitetu Polskiego, wydawał „Wiadomości Polskie”, i założył Syndykat Dziennikarzy Polskich na Zachodzie. Do Stanów przybył w r. 1949; założył Stowarzyszenia Samopomocy Nowej Emigracji, współpracując z „Kulturą” i „Orlem Białym”. Od 1951 r. pracował w „Dzienniku Chicagowskim”, w 1958 r. został jego naczelnym redaktorem i prowadził gazetę do r. 1971. Założył również w Chicago polską księgarnię, „Polish-American Book”. Od 1968 r. był prezesem wznowionego Syndykatu Polskich Dziennikarzy w Ameryce; w latach 1971–1976 kierował tygodnikiem „Polonia”, a od 1977 do 1986 pracował w „Dzienniku Związkowym”.

BIAŁASIEWICZ Wojciech (ur. 1940 w Warszawie), dziennikarz, badacz dziejów amerykańskiej Polonii, syn Józefa. Studiował historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (1958–1962). Bronił doktorat z historii II wojny światowej na Uniwersytecie Warszawskim (1973). Publikował w lubelskim „Słowie Powszechnym” (1965–1981), „Kurierze Lubelskim” (1965–1981) oraz „Tygodniu Zamojskim” (1982–1984). Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracował w redakcji „Panoramy” (1985–1987), „Relaksu” (1985–1987), a następnie „Dziennika Polskiego” w Detroit (1987–1989). W r. 1989 objął redakcję „Dziennika Związkowego” w Chicago. Wydał książki: *Pomiędzy lojalnością a serc porywem. Polonia amerykańska we wrześniu 1939 r.* (Chicago, 1989), a także *W kręgu chicagowskiej Polonii* (Chicago, 2001).

BIELASKI Aleksander (1811–1861), uczestnik powstania listopadowego, emigrant polityczny, pracował w Stanach Zjednoczonych jako inżynier, topograf, budowniczy linii kolejowych na Florydzie, a następnie w Illinois (od 1832 r.), w latach 1843–1944 pracował w Meksyku. Od 1845 pełnił odpowiedzialne funkcje w Federalnym Urzędzie Ziemijskim. Był przyjacielem prezydenta Abrahama Lincolna, zginął w bitwie pod Belmont, w trakcie Wojny Secesyjnej.

BOGDAN Jan (XVII w.), jeden z pierwszych polskich pionierów pracujących w kolonii brytyjskiej w Jameston, w Wirginii (1608). Był tym Polakiem, który poznał kapitana Johna Smitha z polskimi rzemieślnikami, gotowymi wyjechać i pracować w Ameryce. Bogdan pochodził z Kolumy i specjalizował się w wytwarzaniu smoły i dziegciu. Polscy koloniści w Jamestown nie tylko zainicjowali przyjazdy dalszych Polaków na prace kontraktorskie w Stanach (i stworzyli kontakty gospodarcze tego kontynentu z Polską), ale wsławili się również pierwszym na tej ziemi strajkiem, zorganizowanym w celu przyznania cudzoziemcom równych praw cywilnych (do głosowania i wyboru lokalnych władz).

BOLESŁAWSKI Ryszard, wł. Ryszard Średnicki (1897–1937), reżyser teatralny i filmowy, najpierw w carskiej Rosji (1908–1917), następnie w Warszawie i Poznaniu. Od r. 1922 zajmował się reżyserowaniem w Stanach, przenosząc tu słynną metodę Stanisławskiego, prowadząc szkoły aktorskie. W Hollywood znalazł się w r. 1932 i wyreżyserował tam szereg głośnych filmów, m.in. „Malowaną zasłonę”, ekranizację *Nędzników* i „Ogrody Allacha” (z Marleną Dietrich).

BRAUN Kazimierz (ur. 1936 w woj. kieleckim), teatrolog, reżyser i wykładowca uniwersytecki. Po studiach polonistycznych w Poznaniu (1954–1958) i teatrologicznych w Warszawie (1958–1962) podjął pracę jako reżyser, u progu lat 60., na scenach Warszawy, Łodzi i Torunia. Po objęciu dyrekcji artystycznej Teatru Współczesnego we Wrocławiu (1975–1984) uczynił go czołową sceną kraju. Jako wykładowca-teatrolog pracował we Wrocławiu i Krakowie. W 1985 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych jako *visiting professor*. Wykładał w Nowym Jorku i Kalifornii, osiadając ostatecznie w Buffalo w r. 1989. Wystawił w Stanach Zjednoczonych wiele głośnych sztuk, opublikował też szereg książek, m.in. *Helena — rzecz o Modrzejewskiej* (1984), *A History of Polish Theater 1939–1989* (1996).

BRODOWSKI Zbigniew (1852–1901), prezes ZNP i naczelny red. „Zgody” (od 1885), obrońca prawa Polski do niepodległości. W Kalifornii pracował przy budowie linii tramwajowych, przyjaźnił się z Heleną Modrzejewską i kręgiem jej przyjaciół. Jako komisarz parków publicznych w Chicago (1890) dał pracę tysiącom emigrantów z Polski. Redagował także „Gazetę Chicagoską” (1884) potem „Zgodę” (do 1889), przez krótki czas był prezesem ZNP. W r. 1897 został dyplomatą, skierowanym jako konsul amerykański do Niemiec, co wywołało szereg kontrowersji politycznych.

BRZEZIŃSKI Zbigniew (ur. 1928 w Warszawie), wybitny polityk i politolog. Po studiach w zakresie ekonomii i nauk politycznych, w Montrealu i na Georgetown University w Waszyngtonie, pracował na Harvardzie, następnie dla Departamentu Stanu, od 1962. Od 1973 doradca do spraw narodowego bezpieczeństwa, w latach 1976–1981 główny doradca prezydenta Jimmy Cartera. Od r. 1988 stał na czele Centrum Studiów Strategicznych w Waszyngtonie. Autor szeregu głośnych politologicznych książek — m.in. — *Power and Principle* (1971), *Game plan* (1986), *The Grand Failure* (1989), *Out of Control* (1993).

BURZYŃSKI Stanisław (ur. 1943 w Lublinie), biochemik, odkrywca nowych rewolucyjnych metod leczenia chorób nowotworowych. Po studiach i doktoracie w Lublinie (1961–1968) uzyskał możliwość pracy badawczej w Stanach Zjednoczonych i w r. 1972, przeniósł się do Houston, w Teksasie, gdzie opracował liczne patenty na leczenie nowotworów, AIDS oraz chorobę Parkinsona. Opublikował ponad 100 artykułów naukowych, występował w czołowych programach telewizyjnych ABC, NBC oraz CBS. Mimo kontrowersji w świecie medycznym i naukowym, a także długich bojów prawnych z przeciwnikami, metody dr. Burzyńskiego budzą wciąż ogromne zainteresowanie.

CHMIELIŃSKA Stefania (1866–1939), wybitna działaczka kobieca, „matka Związku Polek w Ameryce”. Przybyła do Stanów Zjednoczonych w wieku 25 lat, ale szybko ujawniła wielki talent organizatorski. Należała do ścisłego grona założycielek ZPwA (w 1898 r.) i została pierwszą prezeską krajowej kobiecej organizacji Polek w Ameryce. Stworzyła Wydział Oświaty i nawiązała kontakty z wybitnymi pisarkami polskimi, m.in. z Marią Konopnicką. W 1910 r. założyła pismo, „Głos Polek”. W 1931 została Pierwszą Honorową Prezeską ZPwA. 22 maja obchodzony jest w USA jako jej „Dzień Założycielki Związku”.

CYGANIEWICZ Zbyszko, wł. Stanisław (1881–1967), legendarny polski zapaśnik o światowej sławie z przełomu wieku, występujący na arenach, zarówno w stylu klasycznym, jak i wolnoamerykańskim, trzykrotny zdobywca tytułu mistrza świata (Paryż, 1906; Nowy Jork 1921 i 1922). W 1937 opublikował głośne wspomnienia *Na ringach całego świata*.

DĄBROWSKI Józef (1842–1903), działacz i duszpasterz polonijny, założyciel Polskiego Seminarium, a następnie zespołu polskich szkół w Detroit, Mi. Aktywny uczestnik powstania styczniowego, po jego klęsce zmuszony do emigracji. Z jego inicjatywy sprowadzono do Ameryki Siostry Felicjanki. Seminarium pod wezwaniem św. Cyryla i Metodego utworzone przez niego w 1885 r. w Detroit, zostało w 1909 r. przeniesione do Orchard Lake, Michigan.

DERWIŃSKI Edward (ur. 1926 w Chicago), zasłużony polityk polonijny, republikanin. Pochodzi z Chicago, służył w ostatniej fazie II wojny światowej w armii Stanów Zjednoczonych. Studiował na Loyola University. W 1957 został wybrany do stanowej legislatury w Illinois; w 1959 r. został krajowym kongresmanem i służył wyborcom przez kolejne 13 kadencji (1959–1983). Pracował w komisjach Spraw Zagranicznych i Służby Cywilnej Kongresu Stanów Zjednoczonych. W 1970 był delegatem do ONZ, następnie radcą w Departamencie Stanu. W 1989 został sekretarzem stanu w administracji prezydenta George'a Busha, od spraw weteranów. Pracował w sztabach wyborczych republikanów w kolejnych wyborach prezydenckich ostatnich kadencji. Zawsze blisko współpracował z liderami Polonii i organizacjami zrzeszającymi weteranów.

DIDUR Adam (1874–1946), znakomity śpiewak operowy, jeden najwybitniejszych basów epoki, solista opery w Warszawie w latach 1899–1904. W początku wieku trafił na czołowe sceny operowe Europy (La Scala) i w końcu do nowojorskiej Metropolitan Opera, gdzie odnosił największe sukcesy. Podróżował po obu Amerykach, a po 1945 r. zdecydował się powrócić do kraju, organizując m.in. Operę Śląską w Bytomiu.

DMOCHOWSKI Henryk, ps. Sanders (1810–1863), uczestnik powstania listopadowego, emigrant polityczny do Stanów Zjednoczonych, znalazł tu uznanie głównie jako rzeźbiarz, tworząc popiersia i pomniki, zarówno wielkich Ojców Rewolucji (Th. Jeffersona) jak i Polaków: K. Pułaskiego i T. Kościuszki (w Savannah i Waszyngtonie). Zginął w powstaniu styczniowym, po powrocie do Polski.

DUDZIAK Urszula (ur. 1943), wokalistka jazzowa, w Polsce związana z grupami Krzysztofa Komedy i Michała Urbaniaka, w latach 70. znalazła uznanie w Stanach Zjednoczonych występując zarówno z zespołami, jak i solo. Nagrała tu płyty („Urszula”, „Atma”) i występuje z powodzeniem jako wirtuoz-gwiazda śpiewu jazzowego do dziś dnia w klubach i środowiskach amerykańskich, głównie nowojorskich.

DUDZIŃSKI Andrzej (ur. 1945 w Sopocie), artysta grafik. Po studiach architektonicznych w Gdańsku i plastycznych w Warszawie, w końcu lat 60. projektował z sukcesem plakaty filmowe, malował i wystawiał w kraju. U progu lat 70. wyjechał do Anglii, gdzie publikował swoje prace w brytyjskich czasopismach. W Stanach Zjednoczonych od 1977; wykładowca szkoły plastycznej w Nowym Jorku, współpracownik czołowych wydawnictw, takich jak „The New York Times”, „Rolling Stone”, „Vanity Fair”, „Playboy”. Wykonał szereg projektów plastycznych dla zachodnich korporacji we Frankfurcie, w Bonn, Hadze, Paryżu i Nowym Jorku.

DUTKOWSKI Mieczysław (ur. 1946), działacz „Solidarności” w Polsce, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej w południowej Kalifornii. Wydawca i redaktor pisma „Głos Polonii” („Voice of Polonia”) w Los Angeles. Skarbnik krajowy KPA od r. 1995, organizator Polskiej Unii Kredytowej w L.A., Centrum Polskiego w Yorba Linda i Polsko-Amerykańskiego Forum Ekonomicznego.

DYKLA Edward (ur. 1933 w Chicago), działacz polonijny, zasłużony prezes Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Chicago (1986–1999) i krajowy skarbnik Kongresu Polonii Amerykańskiej (1986–1995). Pracował jako nauczyciel w Weber High School, w latach 1957–1974, następnie działał we władzach PRCUA na różnych stanowiskach (sekretarza, skarbnika i prezesa). Prezes Polskiego Muzeum w Ameryce, Chicago (1986–1998).

DYNIOWICZ Władysław (1843–1928), wybitny działacz polonijny w Chicago, uczestnik powstania styczniowego, jeden z założycieli „Gminy Polskiej” w Ameryce, po przybyciu do tego kraju. Wydawca pierwszej w Chicago, „Gazety Polskiej”, założonej w r. 1873 (zwanej popularnie „dyniewiczówką”), która dotrwała do 1877 r. Rzecznik zorganizowania ogólno-amerykańskiej organizacji Polaków w Stanach, orędownik skupionej polskiej kolonizacji w jednym ze stanów (typował — Arkansas). Działacz ZNP na polu wydawnictw i oświaty. Publikował w Ameryce zarówno teksty klasyków (Mickiewicz) jak i współczesnych (Sienkiewicz), przede wszystkim jednak — słowniki, poradniki i książki praktyczne, od r. 1876 stojąc na czele spółki wydawniczej W. Dyniewicz i Ska, która dotrwała do czasów I wojny światowej.

DZIEWANOWSKA Ada (ur. 1917 w Poznaniu), wybitna instruktorka i choreograf zespołów folklorystycznych w Ameryce. Po studiach w Bostońskim Konserwatorium Muzycznym, w 1961 r., została instruktorem polonijnych zespołów w tym mieście, prowadząc również kursy rytmiki w Cambridge Adult Center i służąc ekspertyzą w wielu krajach świata, od Kanady po Izrael i Meksyk. Autorka wielu publikacji na tematy choreografii i folkloru (stroje, tradycje, zwyczaje), których swoistym podsumowaniem stał się gruby tom *Polish Folk Dances and Songs*, wydany w Nowym Jorku w 1997 r.

DZIEWANOWSKI Marian Kamil (ur. 1913 w Żytomierzu), historyk. Studia prawnicze odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim (1933–1935), Uniwersytecie Warszawskim (1935–1937) i w Instytucie Francuskim w Warszawie. Uczestnik kampanii wrześniowej, instruktor w szkole cichociemnych w Wielkiej Brytanii (1941–1942). Studia na Harvard University, doktorat (1951). Wykładowca Boston University (1948–1978), a także University of Wisconsin w Milwaukee (1979–1983). Autor siedemnastu książek, opublikował m.in.: *A European Federalist, Józef Piłsudski* (1969), *20th Century Poland* (1977), *A History of Soviet Russia* (1979), *War at Any Price* (1987), *Alexander I* (1990), *Jedno życie to za mało* (1994), *Lord Wellington* (1996), *Książę Adam Czartoryski* (1998).

DZIÓB Franciszek (1890–1983), oficer i organizator Armii Błękitnej gen. J. Hallera (w latach 1916–1918), działacz polskiego „Sokolstwa”, następnie Związku Narodowego Polskiego. Prowadził oficerskie szkolenie w Alliance College dla zgromadzonej tam kadry ochotników. W trakcie wojny adiutant gen. J. Hallera i asystent Ignacego J. Paderewskiego w jego akcjach politycznych. Po r. 1918 zajmował wysokie stanowisko w ruchu weteranów w Stanach, jako jego krajowy dowódca. Radca prasowy prezesa Karola Rozmarka (1939–1967), autor większości jego słynnych publicznych wystąpień. Mąż Wandy Dziób, długoletniej sekretarki prezesów A. Mazewskiego i E. Moskała.

EHRENKREUTZ Andrzej (ur. 1921 w Warszawie), naukowiec, badacz i wybitny działacz polityczny Polonii amerykańskiej (obecnie australijskiej). Po kampanii francuskiej w 1940 r. przebywał w Anglii, studiując na Uniwersytecie Londyńskim. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych w latach 1954–1987 prowadził wykłady na Uniwersytecie w Ann Arbor w Michigan. Specjalista w zakresie dziejów krajów muzułmańskich, opublikował wiele artykułów, studiów i książek. W latach 1976–1987 stał na czele Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich w Ameryce, publikując stały biuletyn i ściśle współpracując z KPA. W 1987 r. przeniósł się do Australii, pracując na Uniwersytecie w Melbourne, a od 1991 stojąc na czele Australijskiego Instytutu Spraw Polskich.

FEDERKIEWICZ Stefania Zofia, ps. art. Stephanie Powers (ur. 1942), wzięta filmowa i telewizyjna aktorka amerykańska polskiego pochodzenia. Debiutowała w latach 60. w seriach telewizyjnych, takich jak: „The Girl from Uncle”, „Bonanza”, „The Six Million Dollar Man”, „The Bionic Woman”, sławę osiągając w serialu „Heart to Heart” (1979). Grała w wielu filmach m.in.: „McLintock” (1963), „Love Has Many Faces”, „Die, Die, My Darling”, „Joe Kid” (1966), „The Magnificent Seven Ride” (1972), „Gone with the West” (1975). Marszałek Parady Pułaskiego w Nowym Jorku w r. 1997.

FUNK Kazimierz (1884–1960), biochemik, badacz i odkrywca roli witamin. Pracował w Instytucie Pasteura w Paryżu, w Wielkiej Brytanii i w Warszawie (1923–1927). Po przeniesieniu się do Stanów Zjednoczonych, w r. 1915, prowadził intensywne badania nad witaminami i hormonami, identyfikując je, jak też łącząc ich brak z określonymi chorobami, w tym również chorobami nowotworowymi, z czasem zajmując z tej racji zupełnie wyjątkowe i wybitne miejsce w nauce amerykańskiej.

GABRESKI Francis Stanley (ur. 1919), słynny pilot, bohater II wojny światowej w lotnictwie brytyjskim i amerykańskim, syn polskich emigrantów, rodziny Gabryszewskich z Oil City w Pensylwanii. Wyznaczony przez amerykańskie dowództwo do współpracy z polskimi pilotami w Wielkiej Brytanii, zestrzelił rekordową ilość niemieckich samolotów — i stał się przykładem wybitnej kariery wojskowej Polaka w Stanach Zjednoczonych.

GAŁĄZKA Jacek Michał (ur. 1924 w Wilnie), wydawca. W czasie wojny znalazł się w szeregach I. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka; po studiach na Uniwersytecie w Edynburgu przyjechał do Nowego Jorku, gdzie podjął pracę w amerykańskich domach wydawniczych, takich jak St. Martin's Press (1955–1963) i Charles Scribner's Sons (1963–1985), zajmując się marketingiem. Od 1985 r. pracował w firmie Macmillan, a następnie objął dział polskich przekładów i wydawnictw w firmie Hippocrene Books, Inc. Wydał szereg zbiorów własnych tłumaczeń myśli i maksym Stanisława Jerzego Leca oraz przewodnik po polskich miejscach w Stanach Zjednoczonych. Przez wiele lat wydawał również piękne kalendarze polskiego malarstwa i tradycji (Polish Heritage Publications).

GELLA Aleksander Jan (ur. 1922 we Lwowie), socjolog, wykładowca uniwersytecki. Żołnierz AK w czasie II wojny światowej. Studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (1945–1947), Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie (1947–1949), Uniwersytet Warszawski (1954–1949). Doktoryzował się w 1958 r. Pracownik Polskiej Akademii Nauk w Zakładzie Nauki, Historii i Techniki. Po wyjeździe do Kanady wykładał na University of Alberta w Edmonton (1967), w San Jose University (1967–1969), na University of California w Santa Barbara (1968–1970), następnie osiadł w Buffalo, NY i pracował tam w latach 1970–1994. W Stanach wydał książki: *The Ward-Gumpłowicz Correspondence: (1897–1909)* (New York, 1971), *The Intelligentsia and the Intellectuals: Theory Method, and Case Study* (Beverly Hills, 1976), *Humanism in Sociology* (1978), *Development of Class Structure in Eastern Europe: Poland and her Southern Neighbors* (Albany, 1989). Oprócz tego opublikował m.in.: *Naród w defensywie: rozważania historyczne* (London, 1987), *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej: 1945–1947* (Warszawa, 1998).

GOLASKI Walter (1913–1993), wynalazca sztucznego serca, wybitny innowator i konstruktor, pracujący w Nowym Jorku. W r. 1972 otrzymał Medal Waszyngtona za osiągnięcia w inżynierii biomedycznej w zakresie cyrkulacji krwi. Jego sztuczne serce jest stosowane przez tysiące specjalistów na świecie od trzydziestu lat. Był przewodniczącym Rady Fundacji Kościuszkowskiej w latach 60. i 70.

GOŁEMBIOWSKI Jarosław (ur. 1958 w Bielsku-Białej), kompozytor, pedagog, pianista. Studiował w Akademii Muzycznej we Wrocławiu (1977–1984). Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych zajmował się uczeniem gry na pianinie, komponowaniem i wydawaniem muzyki. Jego debiut kompozytorski „Primavera” miał miejsce w 1987 r. (wykonanie: zespół The Lira Singers w Chicago). Od 1996 na czele niezależnego wydawnictwa muzycznego w Chicago. Nagrania płytowe: „Walking Through Chicago” (1986), „In Memoriam of Carinio” (1987), „Kolędy Polskie” (1995). Kompozycje: „Homage to Paderewski” (1991), „Epitaph” (1993), „Zdrowaś Mario” (1994), „Trzy Mazurki” (1999).

GROMADA Tadeusz (ur. 1929 w Passaic, NJ), historyk, działacz Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Uczeń Oskara Haleckiego, po studiach na nowojorskim Fordham University, w latach 1959–1992 zajmował się koordynowaniem studiów etnicznych w Nowym Jorku. Jako nauczyciel i wykładowca związany był z Jersey City College i ze stanowym University New Jersey w Trenton (do r. 1989). Od r. 1985 dyr. wykonawczy PIASA w Nowym Jorku, także prezes PAHA (1990–1995). Wydawca czasopisma „Orzeł Tatrzański”, od 1947 r., autor *Essays on Poland's Foreign Policy 1918–1939*, współautor tomu *Polonia Amerykańska* (1988).

GRONOWICZ Antoni (1912–1985), pisarz i poeta. Zanim przybył do Stanów Zjednoczonych, w r. 1938, kształcił się we Lwowie. Opublikował przez dziesięciolecia serię głośnych i kontrowersyjnych „nieoficjalnych” biografii — Chopina, Czajkowskiego, Rachmaninowa i Heleny Modrzejewskiej, które zbudowały mu swoistą renomę. Wydał w 1984 r. książkę o papieżu Janie Pawle II *God's Broker*. Jego ostatnia książka — biografia Grety Garbo ukazała się już pośmiertnie, w r. 1990.

GRYGLASZEWSKI Franciszek (1852–1918), pochodził ze Lwowa, po przyjeździe do Chicago przystąpił do Gminy Polskiej, a następnie do nowopowstałego Związku Narodowego Polskiego, którego stał się szybko najaktywniejszym działaczem. Przyczynił się wnie do założenia „Zgody”, świadom roli polskiej prasy. Został Cenzorem ZNP, w r. 1882. Pracując dla rządu federalnego, podróżował wiele, wykorzystując kontakty dla rozszerzania wpływów i członkostwa ZNP. Zajmował się pomocą dla emigrantów od 1894 i pomógł tysiącom nowoprzybyłych otrzymać własne działki. W Minneapolis założył odlewnie żelaza, tam też został wybrany na komisarza ZNP.

GRZEGORZEWSKI Adam (ur. 1911 w Warszawie), zasłużony, wieloletni radiowiec polonijny. Jako dziecko, wraz z rodzicami emigrował do Chicago. Już w 1930 zadebiutował programem radiowym „Quo Vadis” na WSBC, następnie do r. 1950 nadawał ze stacji WGES. Przez kolejne 20 lat pracował na stacji WOPA (dziś WPNA 1490 AM) i nadal prowadzi program radiowy, sponsorowany przez ZNP.

GUROWSKI Adam (1805–1866), działacz polityczny na emigracji. Organizator zamachu na cara Mikołaja I, uczestnik sprzysiężenia Piotra Wysockiego i powstania listopadowego. Wysłany do Paryża w 1831 r. z ramienia rządu narodowego pozostał na emigracji, gdzie założył Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Do Stanów Zjednoczonych wyjechał w r. 1848, gdzie podjął działalność publicystyczną w „New York Tribune” jako radykalny abolicjonista, rzecznik uwolnienia Murzynów i ich emancypacji, stając się jedną z najbarwniejszych i najbardziej wpływowych postaci świata polityki amerykańskiej tamtych czasów.

GZOWSKI Kazimierz Stanisław (1813–1898), emigrant polityczny deportowany za swą działalność do Stanów Zjednoczonych przez Austriaków w r. 1834, gdzie ukończył studia prawnicze. Zatrudniony w 1842 r. przez rząd kanadyjski stał się głównym projektantem i twórcą sieci linii kolejowych, mostów i kanałów w zachodniej Kanadzie. Jest autorem projektu m.in. mostu nad Niagarą k. Buffalo. Z końcem życia został mianowany administratorem prowincji Ontario.

HAIMAN Mieczysław (1888–1949), historyk, założyciel i kurator Polskiego Muzeum w Ameryce, przy ZPRKA w Chicago (1935). Urodzony w Złoczowie, tuż przed wybuchem I wojny światowej wyjechał do Ameryki wraz z bratem, Adamem, który został wydawcą pisma „Polacy w Ameryce” w Buffalo. W 1932 wydał książkę o Polakach, bohaterach Wojny Rewolucyjnej Stanów Zjednoczonych. Wydał także pierwszą historię Polaków w Ameryce (*Polish Past in America 1608–1864*) oraz szereg prac o amerykańskich dziejach T. Kościuszki.

HALECKI Oskar (1891–1973), wybitny polski historyk, doktoryzowany na UJ w Krakowie, profesor UW w Warszawie. Reprezentował Polskę na wielu międzywojennych kongresach naukowych w całej Europie. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie Fundacji Kościuszkowskiej w 1938 na serię wykładów, po wybuchu II wojny światowej nie wrócił już do kraju. W Nowym Jorku został jednym z głównych założycieli Polskiego Instytutu Naukowego w 1942 r., i tu, w Ameryce, opublikował szereg kluczowych książek o dziejach Polski: *The Millenium of Europe* (Notre Dame, 1963), *From Florence to Brest, 1439–1596* (New York, 1958), *Jadwiga of Anjou and the rise of East Central Europe* (Boulder, 1991), *History of Poland* (New York, 1956).

HASZLAKIEWICZ Zbigniew Marian (ur. 1922 na Polesiu), architekt, autor książek. Żołnierz Związku Walki Zbrojnej w Tuchowie, więzień obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Buchenwaldzie, w Dorze, Nordhausen i Bergen-Belsen. W Niemczech podjął po wojnie studia architektoniczne w Brunshwiku (1945–1950), które kontynuował po przybyciu do Stanów Zjednoczonych w Institute of Technology w Chicago (1962–1964). Pracował jako kreślarz, projektant i konstruktor w ośmiu stanach USA. Zaprojektował ok. 900 budynków przemysłowych, wielokondygnacyjnych biurowców i hoteli. Dla Polonii w Stanach dokonał m.in. przebudowy Centrum Kopernikowskiego w Chicago (1980) oraz Kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej w Merrillville dla oo. salwatoriaków. Autor książek: *Madness of the XXth Century* (1998) i *Spod rynnicy na deszcz* (1998).

HODUR Franciszek (1866–1953), twórca polskiego kościoła narodowego w Ameryce, stworzonego w duchu protestu przeciwko dominacji kleru irlandzkiego w tym kraju (1900). Pierwszy biskup i główny ideolog ruchu, który pociągnął za sobą setki tysięcy polskich katolików w Stanach

Zjednoczonych. Założyciel pisma „Straż” w Scranton, Pa. (1897), wspierał czynnie sprawę niepodległej Polski w trakcie I wojny światowej.

HOROWITZ Ryszard (ur. 1939 w Krakowie), fotografik i grafik. Jako dziecko trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po wyzwoleniu studiował w Krakowie w Akademii Sztuk Pięknych w latach 1959–1963. W 1963 r. trafił do Nowego Jorku i pracował w CBS. Otworzył własne studio fotograficzne w 1965 r. Mając duże doświadczenie w grafice reklamowej i fotografii wydawniczej stworzył własny styl plakatu i plócien malarskich, które przyniosły mu światowy rozgłos.

HORSZOWSKI Mieczysław (1892–1993), wybitny pianista ze Lwowa, pierwszy wykonawca muzyki K. Szymanowskiego. Trafił do Stanów Zjednoczonych w 1906, koncertując w Carnegie Hall. Po wybuchu II wojny światowej osiadł w Ameryce na stałe. Występował z Pablo Casalsem w długich tournée artystycznych. Grał też dla papieża Piusa X, prezydenta Johna F. Kennedy’ego i Jimmy Cartera.

JANUSZEWSKI Franciszek (1886–1953), wydawca prasy polonijnej i działacz Polonii po II wojnie światowej. Przybył z Łomży, w wyniku politycznych prześladowań w r. 1905 na terenach zaborów, osiadł w Cleveland i podjął działalność w polskim „Sokolstwie”, stając się liderem ich radykalnego skrzydła, w 1909 r. Po przeniesieniu do Detroit, w roku 1912, podjął pracę w „Dzienniku Polskim”, współpracując z Komitetem Obrony Narodowej (KON). Z czasem został właścicielem gazety i wydawcą, a także zajmował wysokie stanowisko w Polskiej Gildii Dziennikarzy i Wydawców w Stanach Zjednoczonych. W 1942 założył organizację KNAPP powołaną dla promowania spraw Polski w Ameryce, która weszła w r. 1944 w skład KPA.

JERZMANOWSKI Erazm (1844–1909), filantrop i działacz polonijny pochodzący z polskiej arystokracji z Kalisza, zmuszony do emigracji po powstaniu styczniowym do Francji. Tam studiował chemię i stał się specjalistą od paliw płynnych. Po przybyciu do Ameryki w r. 1873, Jerzmanowski opatentował lampę gazową i podjął pracę w Nowym Jorku dla Equitable Gas Company, stając się jednym z pierwszych milionerów polskiego pochodzenia w tym kraju. Stworzył sieć placówek tej kompanii w stanie Nowy Jork, Indianie i Illinois. Pomagając polskim organizacjom, w tym ZNP oraz emigrantom, stworzył w Nowym Jorku polskie biuro emigracyjne i bibliotekę dla rodaków. W 1896 r. wrócił do Europy. Z jego pośmiertnego majątku stworzono Polską Akademię Umiejętności w Krakowie oraz Polska Nagrodę Literacką.

KAJENCKI Franciszek Kazimierz (ur. 1918 w Erie, PA), historyk wojskowości, zajmujący się badaniami nad polskim udziałem w dziejach Stanów Zjednoczonych. Studiował w słynnej Akademii Wojskowej w West Point (1939–1941). W czasie II wojny światowej brał udział w operacjach armii amerykańskiej na Pacyfiku. Po wojnie kontynuował studia, tym razem dziennikarskie, w Madison, Wi. U progu lat 70. pracował w Departamencie Armii w Waszyngtonie D.C. Po 1977 stanął na czele wydawnictwa Southwest Polonia Press w El Paso, Arizona. Opublikował w nim książki o Polakach w Wojnie Secesyjnej, amerykańskie dzieje własnej rodziny, a także militarne biografie Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego (1998 i 2001).

KALUSSOWSKI Henryk (1806–1894), urodzony w Polsce, musiał emigrować z kraju po upadku powstania listopadowego. Po przybyciu do Ameryki w 1842 r. założył pierwszą polską organizację w USA pn. Gmina Polska. Brał udział w powstaniu 1848 roku w Wielkopolsce, a kiedy wybuchło powstanie styczniowe 1863 r. pełnił w Stanach funkcję przedstawiciela jego władz. Był jednym z duchowych inspiratorów i rzeczników założenia Związku Narodowego Polskiego, któremu przekazał swoje bezcenne zbiory biblioteczne. Został pierwszym, honorowym członkiem ZNP.

KAPER Bronisław (1902–1983), kompozytor filmowy, zdobywca Oscara za film „Lili” (1953). W 1935 r. skomponował dla Jana Kiepury piosenkę-przebój, „Ninon”. Urzeczony nią Louis B. Mayer podpisał z nim kontrakt dla czołowej wytworni filmowej w Hollywood, MGM. Od tamtej pory Kaper zapisał się znakomitymi partyturami, m.in. do głośnych filmów: „Dwulicowa kobieta”, „San Francisco”, „Bunt na Bounty”, „Czerwone godło odwagi” i „Lord Jim”. Dla Kiepury i Marty Eggert napisał specjalnie musical „Polonaise”, z którym dłuższy czas, z powodzeniem występowali oni na Broadwayu.

KARGE Józef (1823–1892), wychowany w Polsce. Służył jako oficer królewskiej gwardii pruskiej. W 1851 przybył do Ameryki i zajmował się początkowo wykładaniem literatury na amerykańskich uniwersytetach. Na apel prezydenta Lincolna wziął udział w Wojnie Secesyjnej i jako pułkownik służył w armii Północy. Ciężko ranny w bitwach, przeszedł na emeryturę i powrócił do nauczania literatury w Princetown University.

KARSKI Jan, wł. nazwisko: Kodzielewski (1914–2000), słynny kurier wojenny, który przywiózł do Ameryki dramatyczne dowody na postępującą w Europie, planową i masową, hitlerowską zagładę Żydów. Kształcił się we Lwowie jako prawnik i dyplomata, kontynuując studia za granicą, w Niemczech, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. W czasie wojny zasłużył się działalnością kurierską, dwukrotnie otrzymując Krzyż *Virtuti Militari*. Po wojnie zdobył naukowe tytuły na Georgetown University i opublikował książki m.in. *Story of a Secret State* (1944), *The Great Powers and Poland, 1919–1945* (1985).

KENAR Jerzy Szymon (ur. 1948 w Iwoniczu Zdroju), rzeźbiarz. Ukończył Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Gdańsku (1971–1973). Po serii wystaw w zachodniej Europie (Szwecja) osiadł w Chicago w 1979 r. otwierając Studio Wooden Gallery, nie tylko jako własną pracownię, ale także środowiskowe miejsce wydarzeń artystycznych. Specjalizuje się w drewnie i brązie. Wykonał szereg wnętrz kościołów wg własnych projektów, wiele z nich nagrodzonych (Orlando, Floryda), Sanktuarium św. Sabiny w Chicago. Wykonał tron dla papieża Jana Pawła II podczas pierwszej wizyty w Chicago (1979). Szereg prac Kenara zdobi instytucje w Chicago (cała wystawa na lotnisku O'Hare w Chicago).

KETCHEL Stanley, wł. nazwisko: Kiecal (1886–1910), doskonały polonijny bokser z Grand Rapids, w stanie Michigan. Karierę boksera rozpoczął w r. 1903 w wieku lat 16, a już w 1908 zdobył tytuł mistrza świata wagi średniej, pokonując Mike Sullivana. Karierę bokserską kontynuował ze zmiennym szczęściem w następnych latach, zwyciężając m.in. z Jackiem O'Brianem i stając się pierwszą polską gwiazdą w amerykańskim sporcie. Amerykańska prasa fachowa (pismo „Ring Magazine”) stawia Ketchela na czele listy zawodowych bokserów świata wszystkich czasów.

KIEPURA Jan (1902–1966), słynny tenor z Sosnowca. Po studiach w Warszawie i sukcesach w Wiedniu i Paryżu, zadebiutował w 1931 r. w Stanach, śpiewając w Chicago Opera Company. W 1938 pojawił się na scenie Metropolitan Opera, odnosząc wielkie sukcesy w „La Bohème”, „Carmen” i w „Rigoletto”. W latach 40. śpiewał na Broadwayu z Martą Eggert w „Wesołej wdówce” i dając 800 przedstawień w musicalu innego rodaka, Bronisława Kapera, „Polonaise”.

KIERKŁO Mieczysław (ur. 1919), poeta, satyryk, publicysta. Był żołnierzem 1. Dywizji Pancerniej w czasie II wojny światowej. Po wojnie został nauczycielem języka angielskiego w Lowton, a następnie podjął pracę w przemyśle tekstylnym w firmie Robert Scotts Sons. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych (1949) kontynuował pracę jako operator maszynista w Atlantic Machine Tool Works w Newington, jednocześnie wspólnie z Czesławem Maliszewskim zaczął redagowanie „Listów do Polaków”. Pisał w „Gwieździe Polarnej” i w „Nowym Dzienniku”, stając się z czasem bardzo popularnym satyrycznym komentatorem życia Polonii. Wydał szereg tomików swoich wierszy i tekstów, działał też aktywnie w szeregach Kongresu Polonii Amerykańskiej.

KIOLBASSA Peter (1837–1905), wywodzący się ze Śląska. Wyemigrował wraz z rodziną do Ameryki w r. 1855 i znalazł się w gronie osadników kolonii Panna Maria w Teksasie. Podczas Wojny Secesyjnej służył w armii północy Stanów Zjednoczonych w stopniu kapitana i w 1864 osiadł w Chicago, gdzie w 1867 r. objął stanowisko szefa miejscowej policji. Był potem także pierwszym polskim aldermanem w tym mieście, komisarzem budowlanym, komisarzem robót publicznych, w końcu został skarbnikiem miasta Chicago w r. 1891. Jeden z założycieli Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce, i zarazem jeden z jego pierwszych prezesów (1880–1885).

KOBELIŃSKI Mitchell (1928–1997), urodzony w Chicago bankier, businessman, polityk i działacz polonijny, założyciel Fundacji Kopernikowskiej. Twórca Parkway Bank i Eksport-Import Bank of Chicago, w r. 1973 wszedł do rządu federalnego za czasów administracji prezydenta For-

da, jako specjalista do spraw małego businessu. Członek Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej, cieszył się zaufaniem kolejnych administracji prezydentów: Forda, Reagana i Busha. Organizował związki miast siostrzanych Chicago z polskimi grodami, zbiórki na pomniki słynnych Polaków (pomnik Kopernika w Chicago), założył też i kierował do śmierci Fundacją Kopernikowską i jej Centrum (czynnym od 1979 r.). Laureat Nagrody Kopernikańskiej w Chicago.

KONARSKI Feliks ps. Ref-Ren (1907–1991), poeta, satyryk. Od 1928 r. autor wziętych piosenek i tekstów kabaretowych w Warszawie. Wybuch wojny zastał go we Lwowie, wraz zoną, Niną Leńska. Po podpisaniu układu Sikorski–Majski przedostał się do Armii gen. Władysława Andersa i przebył z nią szlak 2. Korpusu — z Rosji przez Persję, Palestynę do Włoch. Prowadził przyfrontowy zespół dla żołnierzy, jest autorem „Czerwonych maków na Monte Cassino”. Po wojnie osiadł w Londynie, podróżując z żoną z występami po emigracyjnych i polonijnych środowiskach. W 1965 r. przeniósł się do Chicago, zapisując się w historii polonijnej sceny jako twórca Teatru Ref-Rena i licznych przedstawień kabaretowych. Prowadził też własny program radiowy na WO-PA/WPNA. Autor i kompozytor niezliczonych sztuk i przedstawień muzycznych. Odznaczony dwukrotnie „Polonia Restituta” i „Krzyżem Odrodzenia RP”.

KORCZAK-ZIÓŁKOWSKI Janusz (1908–1982), urodzony w Bostonie rzeźbiarz monumentalny polskiego pochodzenia. W roku 1939 zatrudniony przy pracach nad „twarzami prezydentów w skalach”, Mt. Rushmore Memorial w Black Hills w Dakocie, zdobył I nagrodę na Światowych Targach w Nowym Jorku za swoją rzeźbę Ignacego J. Paderewskiego. Idea stworzenia monumentu skalnego, na miarę Mt. Rushmore, tym razem ku chwale Indian, a zwłaszcza wodza Crazy Horse, nie opuszczała go od r. 1940, kiedy spotkał się z wodzem Henrym Standing Bear. W 1947 przybył do Black Hills i zaczął samotnie pracować w skale. W 1950 ożenił się i osiedlił z całą rodziną, kontynuując pracę, którą miał pierwotnie zakończyć w r. 1981. Dzieło samotnika kontynuuje obecnie jego 10 osobowa rodzina, żona, synowie i córki.

KORZYBSKI Alfred (1879–1950), wybitny znawca w zakresie semantyki i literatury. Studiował na Politechnice Warszawskiej przed I wojną światową i jako inżynier armii rosyjskiej został wysłany do Ameryki, w celu dokonania zakupów broni. Po rewolucji został w Stanach Zjednoczonych. W latach 1920–1950 wykładał na uniwersytetach w Stanach semantykę i literaturę. W 1938 r. był założycielem Instytutu Semantyki. Opublikował wiele książek i prac z zakresu semantyki, stając się jej wybitnym znawcą i cenionym specjalistą.

KOSIŃSKI Jerzy (1933–1991), kontrowersyjny, lecz w swym czasie bardzo popularny pisarz amerykański polskiego pochodzenia, barwna postać publiczna z kręgu nowojorskiej cyganerii artystycznej. Okupację przeżył z rodzicami na dalekiej prowincji, po studiach na Uniwersytecie Łódzkim pracował w PAN. Pojawił się w Stanach po r. 1957 tworząc wokół siebie mit „dziecka cudownie ocalonego z Holocaustu”. Ugruntowaniu legendy służył jego bestseller, *Malowany ptak* (1965). Opublikował sporo wziętych książek, od *Steps* (1965), *Being There* (1968), *The Devil Tree* (1973), *Blind Date* (1977) po *Pinball* (1982) i *The Hermit of 69th Street* (1988). Zmarł śmiercią samobójczą na Manhattanie. Był prezesem amerykańskiego PEN Clubu.

KOŚCIUSZKO Tadeusz (1764–1817), bohater narodowy wojny o wolność Stanów Zjednoczonych. Stąd wiele miejscowości nosi jego imię, a jego pomniki znajdują się w dziesiątkach miast tego kraju. Przybył do Stanów w 1776 r. jako inżynier militarny, dokonując szeregu kluczowych prac, ważnych dla sukcesu armii gen. George’a Washingtona. Jego koncepcja obrony West Point uchodzi za kluczowe osiągnięcie militarne tamtych czasów. Po powrocie do Polski, w 1784 r., jako oficer służył w kampaniach wojennych przeciwko Rosji, i w 1794 r. po klęsce pod Maciejowicami, ciężko ranny dostał się do rosyjskiej niewoli. Uwolniony przez amerykańskich przyjaciół, w 1796 po raz drugi przybył do Stanów Zjednoczonych osiedlając się w Filadelfii. Rząd amerykański wykorzystywał go do akcji dyplomatycznych. W 1902 West Point zamieniono na szkołę militarną wystawiając T. Kościuszce pomnik.

KRAWIEC Walter (1889–1994), ceniony malarz i rysownik polonijny, przybył z rodziną do Stanów w r. 1891. Mieszkał i studiował w Chicago, gdzie na studiach w Art Institute poznał swoją żonę, Harriet, również malarzkę. Inspiracje dla jego rodzajowego malarstwa stanowił początkowo

świat strażaków Chicago, następnie świat ludzi cyrku. Obrazy z tych serii należą do najbardziej poszukiwanych i cenionych w jego dorobku, zebrały też w swoim czasie szereg nagród na dorocznych wystawach malarskich w Chicago. W 1913 został zatrudniony jako rysownik w „Dzienniku Chicagoskim” i pracował tam aż do lat powojennych, by przejść z czasem do „Dziennika Związkowego”. Tam kontynuował z dużym powodzeniem pracę karykaturzysty w latach 60. i 70.

KRÓL John (1910–1996), pierwszy polski kardynał kościoła rzymsko-katolickiego w Ameryce. Studiował w Orchard Lake, w latach 1929–1931, następnie na Pontyfikalnym Uniwersytecie Gregorianum w Rzymie, by rozpocząć karierę duchowną w Cleveland, w latach 1937–1942. W 1951 r. został biskupem, w 1967 r. kardynałem. Jako arcybiskup Cleveland objął tę archidiecezję, kończąc karierę jako arcybiskup-emeryt miasta Filadelfii. Autor wielu dzieł kościelnych i inicjator projektów i przedsięwzięć pomocnych do awansu publicznego i podniesienia prestiżu Polonii amerykańskiej.

KRUSZKA Michał (1860–1918) i jego brat **Wacław** (1868–1937) działacze polonijni. Michał był aktywnym dziennikarzem i publicystą, pojawił się w Stanach Zjednoczonych w roku 1880. W 1892 został pierwszym w dziejach tego kraju senatorem stanowym, w Wisconsin, a także wydawcą szeregu gazet polonijnych, m.in. „Dziennika Polskiego”, od 1886 r. oraz „Kurieria Polskiego” w Milwaukee, od r. 1888. Wacław był księdzem i historykiem Polonii, założycielem polskich parafii w Stanach Zjednoczonych. Przybył do Ameryki w r. 1893, osiadł w stanie Wisconsin i z czasem spisał swoje doświadczenia z tamtej epoki w cennej, 13 tomowej *Historii polskiej w Ameryce* (1905), która, jako klasyczną pozycję, wznosiła PAHA w latach 90. Pionier walki o awans polskiego duchowieństwa i nominację polskich biskupów w Stanach.

KRYGIER Marcin (XVII w.), kapitan marynarki holenderskiej, uczestnik wypraw morskich admirała Arciszewskiego do brzegów Brazylii, należał do najbliższego grona współpracowników Petera Stuyvesanta, który założył i administrował Fortem Amsterdam, dzisiejszym Nowym Jorkiem, w połowie XVII w. Krygier trzykrotnie był wybrany burmistrzem Nowego Amsterdamu i komendantem Fortu Casimir, zbudowanego w 1651 r., a nazwanego tak na cześć polskiego króla, Jana Kazimierza.

KRZYŻANOWSKI Włodzimierz (1824–1887), uczestnik powstania w Wielkopolsce, w r. 1848, zmuszony do wyemigrowania, wypłynął z Hamburga do Stanów, gdzie początkowo pracował jako inżynier przy budowie linii kolejowych w Wirginii. W obliczu Wojny Secesyjnej podjął się rekrutacji ochotników w środowiskach polskich i wystawił 58. Pułk Strzelców Nowojorskich, którego został dowódcą. Po bitwach pod Cross Keys, Bull Run i Gettysburgiem został przez Abrahama Lincolną mianowany generałem armii. W 1867 r. za swoje zasługi, został rządowym administratorem stanu Alaska i jego pierwszym gubernatorem.

KRZYŻEWSKI Michael (ur. 1942 w Chicago), wysoko notowany w Stanach trener koszykówki na Duke University, związany z nim od r. 1980. Pochodzi z polskiej rodziny w Chicago, studia na wojskowej akademii w West Point, gdzie wyróżnił się wybitnymi sukcesami sportowymi w koszykówce. Bobby Knight oferował mu pracę trenera w Indianie, Krzyżewski wybrał jednak Duke University, z którym po dziś dzień pozostaje związany. Autor rekordowej serii sukcesów tej drużyny: co najmniej 23 zwycięstwa w 11 sezonach pod rząd, pięć finałów NCAA. Był też trenerem olimpijskiej drużyny USA w Barcelonie (w r. 1992). Uhonorowany w National Polish American Hall of Fame (w r. 1991).

KUNICZAK Wiesław (1930–2000), pisarz amerykański polskiego pochodzenia i wybitny tłumacz polskiej klasyki literackiej („Trylogia” H. Sienkiewicza, w latach 1990–1992, *Quo vadis* w r. 1993). Urodzony we Lwowie, w rodzinie wojskowej, zdołał wydostać się z Polski do Anglii, po klęsce w 1939 r. W r. 1950 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych podejmując pracę jako dziennikarz i agent PR w Cleveland, Pittsburgu i Nowym Jorku. W 1966 ukazała się pierwsza część jego epickiej, wojennej trylogii — *The Thousand Hour Day*, o wrześniu 1939 r., w ślad za nią *The March*, w 1979, oraz *Valedictory* w 1983. Wydał on również historię Polaków w Stanach — *My Name is Million* (1978), oraz polskie legendy — *The Glass Mountain* (1992).

KURCJUSZ Aleksander Karol (XVII w.), pierwszy polski lekarz i medyczny autorytet w Nowym Amsterdamie (dziś miasto Nowy Jork) sprowadzony tam przez Dutch West India Company, w 1658 r. Jego nazwisko i wykaz specjalności widnieją w spisie lekarzy i chirurgów tego miasta z 1659 r. Akademia medyczna mieściła się na Broad Street na niższym Manhattanie. Gubernator Peter Stuyvesant chwalił działalność Kurcjusza i rozszerzył jego praktykę, co spowodowało przyjazd dalszych lekarzy-Polaków: Jana Rutkowskiego i Kazimierza Butkiewicza.

KUSIELEWICZ Eugeniusz (1930–1997), historyk i wybitny działacz polonijny, głośny prezes Fundacji Kościuszkowskiej (w latach 1970–1980) w Nowym Jorku. Profesor historii na St. John University, autor szeregu prac i wydawca pisma „Newsletter” Fundacji Kościuszkowskiej. Współautor zbiorowej pracy *Polonia Amerykańska: przeszłość i współczesność* (Wrocław 1988).

LANDOWSKA Wanda (1877–1959), światowej klasy klawesynistka i kompozytorka. W latach 1925–1940 prowadziła we Francji własną szkołę gry na tym rzadkim, klasycznym instrumencie. Na amerykańską scenę wprowadził ją Leopold Stokowski w r. 1923 wywołując powszechną sensację. Wybuch wojny światowej skłonił ją do wyjazdu do Ameryki, gdzie w r. 1941 osiadła na stałe. Tu zdobyła ogromną sławę i popularność jako odtwórczyni muzyki dawnej nadawanej w radio i nagrywanej na płyty, kompozytorka oraz muzykolog.

LENARD Kazimierz i Myra (1924–2000), wybitnie zasłużeni działacze Kongresu Polonii Amerykańskiej. Kazimierz wywodzący się z chicagowskiej rodziny Lenardów był zawodowym oficerem Armii Amerykańskiej, wysoko odznaczonym za swoją służbę. Od 1960 pracował w Pentagonie, od 1970 prowadził biuro KPA w Waszyngtonie. Myra działała w ZNP i kierowała Polish Women’s Civic Club. W 1982 r., po długiej działalności w organizacjach charytatywnych i rządowych, przejęła po mężu, Kazimierzu obowiązki dyrektorki biura KPA w Waszyngtonie, kierując przez niemal dwie dekady wieloma ważnymi akcjami lobbingsowymi KPA i przedsięwzięciami Kongresu (m.in. związanych z włączeniem Polski do NATO). Uhonorowana wysokimi odznaczeniami polskimi i polonijnymi w r. 1995, 1999 i w 2000.

LEWANDOWSKI Robert (ur. 1920 w Warszawie), aktor i radiowiec, zasłużony dla polonijnej radiofonii w Chicago. Po powstaniu warszawskim i niewoli niemieckiej brał udział w inicjatywach teatralnych w Niemczech, Anglii i we Francji. W 1951 r. przybył do Stanów Zjednoczonych podejmując współpracę z „Głosem Ameryki” i „Wolną Europą”. W 1953 r. rozpoczął nadawanie popularnych programów radiowych na stacjach WHFC i WSBC w Chicago. Reżyserował sztuki w „Naszej Reducie” i brał udział, jako aktor, w licznych przedstawieniach polonijnych. Od 1961 r. rozpoczął nadawanie własnych polonijnych programów telewizyjnych „Bob Lewandowski Show” i kontynuował je do połowy lat 90. W latach 1957–1961 prowadził także ogólno-amerykański program TV w sieci ABC: „Polka-Go-Around”. Zrealizował szereg dokumentów m.in. o wizycie Jana Pawła II w Chicago, udziale Polaków w dziejach Ameryki, Czarnej Madonnie w Częstochowie i uroczystościach przeniesienia serca Paderewskiego do Doylestown.

LIBERACE Władysław (1919–1987), pianista, showman amerykańskiej TV. Urodzony w Wisconsin, za radą I.J. Paderewskiego skierowany został przez rodziców, muzyków filharmonii w Milwaukee, na studia muzyczne. Zadebiutował jako solista w Chicago, w r. 1933 r. Od 1940 występował w Nowym Jorku, od 1950 także w szeregu filmach, wielką popularność i sławę zdobył jednak występując w serii własnych programów TV, od 1952 r. (otrzymał za nie dwie nagrody Emmy). W 1953 r. wystąpił w Carnegie Hall i w Madison Square Garden; w 1955 występy w Las Vegas. Powrócił do TV w 1960, koncertując w Europie, z czasem wystąpił w Radio City Music Hall, bijąc tam rekordy powodzenia (r. 1984). Założył za życia własną fundację artystyczną, w 1977 r., a po jego śmierci powstało w Las Vegas „Muzeum Liberace”.

LIPCZYŃSKA Waleria (1847–1930), wybitna działaczka polonijna. W młodości pielęgniarka powstańców styczniowych, wyjechała do Ameryki po jego upadku, w r. 1869. Mieszkała w Grand Rapids, Michigan i żywo solidaryzowała się z rosnącym ruchem emancypacyjnym kobiet. W Związku Narodowym Polskim stała się pierwszą liderką kobiecą po r. 1901; wice-cenzorka ZNP, komisarka kobieca, organizatorka Wydziału Kobiet. Czynnice brała udział w organizacji Armii Błękitnej i rekrutacji jej żołnierzy (w r. 1917).

LIZAKOWSKI Adam (ur. 1956 w Dzierżoniowie), wybijający się poeta pokolenia nowej emigracji. W 1981 r. wyemigrował przez Austrię do San Francisco z pomocą Fundacji Lwa Tołstoja. Opublikował tomiki poezji: *Cannibalism Poetry* (1984), *Anteroom Poetry* (1986). Uwagę zwrócił tomikiem *Złodzieje czereśni* (1990) oraz *Legenda o poszukiwaniu ojczyzny* (2001). Laureat światowego konkursu na pamiątki „Zachodnie losy Polaków” (I nagroda). Przywódca grup poetyckich „Kraak” w Los Angeles i „Niezapłacony rent” w Chicago. Redagował w Kalifornii czasopismo „Razem” (1985–1990).

LORYŚ Maria (ur. 1916), działaczka polonijna, redaktorka prasy. Urodzona k. Lwowa tam kształciła się przed wybuchem wojny. Aktywna w AK, prześladowana i więziona przez UB, zdołała przedostać się na Zachód i przybyła do Stanów Zjednoczonych w 1952 r. Związała się ze Związkiem Kobiet Polskich w Ameryce, zostając redaktorką jego organu, „Głosu Polek” w 1964 r. i prowadząc pismo aż do lat 90. Jest autorką dziejów tej organizacji, *Historii Związku Polek w Ameryce* (t. II, wyd. w r. 1980).

LOTARSKI Kazimierz (1918–1999), urodzony w Ameryce, wraz z rodziną wrócił jako dziecko do niepodległej Polski, gdzie został pilotem, i w 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej. Po niewoli niemieckiej powrócił do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie pracował w Komitecie pomocy dla dipisów, pomagając w osiedleniu się i znalezieniu pracy tysiącom Polaków. Pracował w Buffalo w administracji stanu i stał na czele przyznającej stypendia, tamtejszej Fundacji Kopernikowskiej. W r. 1971 został wybrany Cenzorem ZNP i pełnił tę funkcję przez dwie kadencje.

LUKAS Richard Conrad wł. Łukaszewski (ur. 1937), historyk, wykładowca Tennessee University. Opublikował serię ważnych książek z najnowszej historii, ukazujących amerykańskiemu czytelnikowi złożone stosunki polityczne polsko-amerykańskie, a także zupełnie inny obraz Holocaustu oraz roli Polaków w II wojnie światowej, niż ten jaki dominował dotąd w mediach amerykańskich. Główne książki: *Eagles East: the Army Air Forces and the Soviet Union, 1941–1945* (Tallahassee 1970), *The Strange Allies* (Knoxville 1978), *Bitter Legacy* (Lexington 1982), *The Forgotten Holocaust* (Lexington 1986), *Out of the Inferno* (Lexington 1989), *Did the Children Cry?* (New York 1994).

ŁAGODZIŃSKA Adela (1896–1990), prezeska Związku Polek w Ameryce, wiceprezeska Kongresu Polonii Amerykańskiej. Urodzona w Chicago, objęła przewodnictwo Związku Polek w 1947 r. i prowadziła tę organizację do roku 1971. Pełniła wiodącą rolę w agencji humanitarnej pomocy dla emigrantów powojennych, w Radzie Polsko-Amerykańskiej, która pomagała rozpocząć nowe życie dipisom. Była pierwszą działaczką Polonii, która odwiedziła po wojnie kraj. Uczyniła to w r. 1956, wspólnie z ks. Fr. Świątlikiem, na czele delegacji Rady.

ŁAZOWSKI Eugeniusz Sławomir (ur. 1913 w Częstochowie), lekarz, wykładowca, pisarz. Po studiach lekarskich w Warszawie, kampanii wrześniowej i służbie w Związku Walki Zbrojnej, osiadł jako lekarz w Rozwadowie w 1940 r., prowadząc intensywną działalność konspiracyjną. Jako członek Komendy Sił Zbrojnych AK w powiecie tarnobrzelskim niezależnie od leczenia i operowania rannych partyzantów, przeprowadził akcję wprowadzania okupanta w błąd przy pomocy fałszywej epidemii tyfusu plamistego pozwalającej ochronić tysiące partyzantów i mieszkańców okolic. Ta inicjatywa stała się tematem jego książki *Prywatna wojna* (1993), a także artykułów i dokumentu filmowego zrealizowanego w Stanach Zjednoczonych (2001). W Stanach od 1960 r.

ŁOPATA (ZNANIECKA) Helena (ur. 1925 w Poznaniu), socjolog, wykładowca uniwersytecki. Córka wybitnego naukowca, Floriana Znanieckiego. Po studiach na University of Illinois (Urbana) oraz doktoracie na University of Chicago, rozpoczęła pracę socjologa na Roosevelt University w Chicago w 1965 r. Opublikowała szereg studiów i prac m.in.: *Occupation: Housewife* (1971), *Widowhood in an American City* (1975), *Polish Americans: Status Competition in an Ethnic Community* (1976), *Role Changes of American Women* (1993) oraz *City Women: Work, Jobs, Occupations, Careers: America* (1985).

MACIUSZKO Jerzy Janusz (ur. 1913 w Warszawie), literaturoznawca, wykładowca i wydawca. Studiował przed wojną na Uniwersytecie Warszawskim. W r. 1952 przybył do Stanów Zjednoczo-

nych. W latach 1969–1974 kierował wydziałem studiów polskich w Alliance College w Pensylwanii; zainicjował wymianę studentów polonijnych z Uniwersytetem Jagiellońskim. Następnie pracował w Baldwin Wallace College w Ohio. Dla amerykańskich wydawnictw przełożył na język angielski zbiór polskich nowel, opracowywał teksty o polskiej literaturze w Stanach, polskich poetach i twórcach.

MAKOWICZ Adam (ur. 1940 w Czechosłowacji), wybitny polski pianista jazzowy, wysoko notowany w amerykańskim świecie muzycznym. W Stanach osiadł w r. 1978, po sukcesach i tournée artystycznych w Europie, Australii, Indiach i Ameryce Południowej. Nagrał 16 płyt w Stanach (w sumie wydał 40 na świecie), jest autorem licznych kompozycji jazzowych, występował w Carnegie Hall, na festiwalach w Cleveland i w Warszawskiej Filharmonii.

MANKIEWICZ Joseph (1909–1989), amerykański scenarzysta i reżyser filmowy polskiego pochodzenia, brat **Herrmana**, autora filmu „Obywatel Kane”. Po pobycie w Niemczech, jako reporter, od 1936 r. pracował w Hollywood jako scenarzysta, wchodząc do czołówki jako reżyser szeregu wybitnych filmów psychologicznych, m.in. „Listu do trzech żon”, „House of Strangers”, „Wszystko o Ewie” (Oskar w r. 1950), „Juliusz Cezar”, „Spokojny Amerykanin”, „Kleopatra” (1963), „Sleuth” (1968).

MARZYŃSKI Marian (ur. 1937 w Warszawie), dokumentalista, filmowiec. Okupację przetrwał w klasztorze sióstr w Jeziornej pod Warszawą. Od 1957 reporter Polskiego Radia, autor programów publicystycznych TV („Wszyscy jesteśmy sędziami” czy „Turniej miast”) oraz filmów dokumentalnych („Powrót statku”, I nagroda w Krakowie). Wyemigrował na Zachód w 1969 r., najpierw do Danii, następnie do Stanów Zjednoczonych. Wykładowca szkoły artystycznej w Providence R.I. (1971), w Governors State University (1979). Filmy TV zrealizowane w Ameryce, emitowane w programach „Frontline” oraz „Nova” w sieci PBS: „Return to Poland” (1982), „Welcome to America” (1984), „Love It or Leave It” (1985), „Messenger to Poland” (1989), „God Bless America and Poland Too” (1990), „Shtetl” (1996).

MAZEWSKI Alojzy (1916–1988), czołowy lider polonijny, prezes ZNP i KPA w latach 1967–1988. W młodości organizował w szkołach polskie kluby i przewodził im w Lane Tech. H.S., był prezesem Chicago Polish Students Association. Po zdobyciu dyplomu prawnika na De Paul University pracował w czasie wojny w armii jako oficer wywiadowczy i administrator. W 1947 został dyrektorem krajowym ZNP i kontynuował karierę w tej organizacji, stając na jej czele, po wyborach w 1967 r. Przewodził Polonii w Stanach Zjednoczonych przez niemal 30 lat.

MICHELSON Albert (1852–1931), ur. w Strzelnie, wybitny fizyk amerykański polskiego pochodzenia. Od 1887 r. przeprowadzał badania nad prędkością światła, przygotowując bazę dla odkryć następców, m.in. A. Einsteina. Pracował i wykładał na uniwersytetach w Cleveland, Chicago i Waszyngtonie. Za swe odkrycia w dziedzinie spektroskopii i meteorologii, w tym także „kosmicznego eteru”, otrzymał w 1907 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki.

MIERZWA Stefan Paweł (1892–1971), profesor, działacz polonijny, założyciel Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku (1925 r.). Przybył do Stanów Zjednoczonych w 1912 jako dziecko ubogiej chłopskiej rodziny, dzięki pomocy i uporowi zdobył wyższe wykształcenie, wykładał na Drake University w Iowa City. Myśląc o losie podobnych do siebie i z wdzięczności za pomoc jaką sam uzyskał, założył istniejącą do dziś, Fundację, która przyznaje studentom stypendia i wspomaga wymianę polsko-amerykańską.

MIGAŁA Józef (1913–1997), działacz ludowy, radiowiec. Po wojnie działał w ruchu wiejskiej spółdzielczości. Do Ameryki wyjechał z rodziną w r. 1947. Od 1947 prowadził radiowe programy dla Polonii ze stacji WLEY i WCRW, zostając producentem stacji WOPA w Oak Park. Założył własnej stacji WCEV w Chicago, w r. 1979, w której rozwinęły programy „Głosu Polonii” jego dzieci: **Lucyna**, **George**, **Diana**. Spisał dzieje polskiej radiofonii w Stanach w książce *Polish Broadcasting in the US* (1984), za którą przyznano mu doktorat na Uniwersytecie Warszawskim w r. 1981.

MIKULSKI Barbara A. (ur. 1936 w Baltimore, MD), senator Stanów Zjednoczonych. Pochodzi z polskiej rodziny, prowadzącej piekarnię w Baltimore. Po studiach w Mount St. Agnes College i University of Maryland School of Social Work pracowała w organizacjach charytatywnych Baltimore. W 1971 wygrała wybory do rady miejskiej, w 1976 zdobyła miejsce w Kongresie Stanów Zjednoczonych i była pierwszą kobietą w Komitecie do Spraw Energii i Handlu. Wybrana do Senatu w r. 1986; pierwsza w historii tego kraju kobieta wybrana kolejno do obu izb Kongresu Stanów Zjednoczonych.

MILEWSKI Stanley (ur. 1929 w Detroit, Mi), Kanclerz Szkół w Orchard Lake, Michigan (1977–2000). Wychowanek St. Mary's College swoją pracę kapłańską rozpoczął w Detroit w 1955 r. Od 1957 r. nauczał i wykładał w Orchard Lake, zajmując kolejne stanowiska i pozycje w administracji szkół i polonijnego centrum. Dzięki wieloletniemu wysiłkowi utrzymał polskie seminarium i uczelnię, założoną jeszcze w 1886 r., i podniósł ich prestiż, tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w świecie.

MIŁOSZ Czesław (ur. 1911 na Litwie), poeta, prozaik, profesor uniwersytecki, laureat nagrody Nobla w r. 1980. Członek grupy poetyckiej Żagary w Wilnie, po wojnie trafił do dyplomacji. Po wybraniu wolności na Zachodzie opublikował głośną rozprawę *Zniewolony umysł* (1953). Autor wielu zbiorów poetyckich i eseistyki — m.in. *Ziemia Ulro*, *Ogród nauk*, *Człowiek wśród skorpionów*. Jego wspomnieniową powieść, *Dolina Issy*, sfilmował T. Konwicki. Autor *Historii literatury polskiej* dla amerykańskich studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

MOCZYGEMBA Leopold (1825–1901), polonijny lider katolicki, ks. franciszkanin, wyjechał z Górnego Śląska do Teksasu w 1851 r. Opanowany ideą stworzenia w Stanach ośrodka umożliwiającego rodakom awans ekonomiczny, zachęcił opolskich chłopów do założenia kolonii polskiej w Teksasie, pod jego przewodnictwem, w r. 1854. Była to legendarna osada Panna Maria. Trudny start na obcej ziemi wywołał bunt przybyłych, i ks. Moczygamba kontynuował swą karierę na północy Stanów, stając się duszpasterzem Polonii w Chicago w r. 1864, będąc kolejno inicjatorem powstania polskiego seminarium duchownego w Detroit w r. 1886, a także założycielem Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego (1876) i jego wczesnym prezesem.

MODJESKI Ralph (1861–1940), wybitny amerykański inżynier, syn Heleny Modrzejewskiej. Do Stanów przybył z rodzicami w 1871 i po skończeniu studiów politechnicznych we Francji zasłynął w Stanach jako konstruktor śmiałych i nowatorskich rozwiązań przy budowie mostów na Missisipi (w 1904 r.), Missouri, Ohio czy Columbii. Są one uznawane po dziś jako szczyt inżynierskiej sztuki amerykańskiej w budowie wiszących bądź wieloprzęsłowych mostów (np. Benjamin Franklin Bridge nad rzeką Delaware w Filadelfii — długości 533 m). W 1940 r. „New York Time” przyznał mu tytuł „Pierwszego w świecie budowniczego mostów”.

MODRZEJEWSKA Helena (1840–1909), wybitna aktorka sceniczna (ps. artystyczny Modjeska). Po sukcesach krajowych w Galicji i Krakowie jako aktorka (1861–1869) wraz z mężem, K. Chłapowskim, postanowiła szukać szczęścia w Kalifornii. W 1877 zadebiutowała na scenie w San Francisco, rozpoczynając swą niezwykłą, długą i prawdziwie gwiazdorską karierę na scenach całych Stanów Zjednoczonych obejmującą 26 tournée. Po przyjęciu obywatelstwa amerykańskiego wyjeżdżała z występami także do Europy. Swoje życiowe i aktorskie doświadczenia spisała w książce *Wspomnienia i wrażenia*, wydanej w 1910 r.

MOSKAL Edward (ur. 1924 w Chicago), prezes ZNP i KPA od 1988, związany z tą organizacją od 1963 r., najpierw jako krajowy dyrektor, następnie skarbnik. Po nagłej śmierci prezesa A. Mazewskiego stanął wobec nowej sytuacji i polityki wobec Polski, tak jak i problemów Polonii. Prezes Mazewski polecił mu w r. 1987 zorganizowanie stacji radiowej WPNA 1490 AM, patronował też radiotonom polonijnym, które zatoczyły wielki zasięg (na budowę Centrum Papieża Jana Pawła II, odbudowę bastionów Jasnej Góry i powodziań w Polsce w r. 1997). Jego akcje charytatywne na rzecz polskich szpitali (w Krakowie i Poznaniu) przyniosły mu duże uznanie: został Honorowym Obywatелеm Krakowa w 1997 r., a następnie Doktorem Honoris Causa poznańskiej Akademii Medycznej. Zainicjował pierwszą w dziejach Kongresu Polonii Amerykańskiej wizytę liderów w nowej Polsce, w 1989 r. Utrzymuje bliskie i stałe kontakty z kolejnymi rządzącymi ekipami. Znany z kontrowersyjnych akcji w obronie polskości i praw Polaków.

MOSTWIN Danuta (ur. 1921 w Lublinie), wybitna pisarka, socjolog polskiej emigracji. Po wydo-
staniu się z rodziną z powojennej Polski i połączeniu z ojcem, który był polskim wojskowym
w Anglii, wyjechała do Stanów w r. 1951, gdzie po studiach podjęła pracę jako społeczny doradca
i konsultant. Obserwacja losów emigrantów skłoniła ją do podjęcia studiów nad losami przybyszy
do Stanów (*Transplanted Family*, 1980) i po latach przyniosła klasyczne prace, *Trzecia wartość*
(1985) oraz *Emigranci polscy w USA* (1991). Jednocześnie stała się kronikarzem losów powojennej
Polski w serii ważnych książek beletrystycznych: *Ameroko! Ameroko* (Paryż 1961), *Asteroidy*
(Londyn 1965), *Ja za wodą, ty za wodą* (Paryż 1972), *Odchodzą moi synowie* (Londyn 1977).

MUSIAŁ Stan (ur. 1920 w Donora, Pa), znany jako „Stan the Man”, czołowa gwiazda amerykańskiego
baseballu, polskiego pochodzenia. W latach 1941–1963 grał w barwach „Cardinals” ze
St. Louis, osiągając znakomite wyniki (331) w trakcie 22 sezonów sportowych i bijąc 60 rekordów
w skali ligi oraz krajowych osiągnięć. Zdobył siedem krajowych tytułów sportowych i znalazł się
jako jeden z pierwszych Polonusów uhonorowanych w r. 1969 w amerykańskim Baseball Hall of
Fame a w r. 1973 trafił również do National Polish Hall of Fame w Hamtramck, Michigan. Otworzył
wrota sukcesom polonijnych sportowców, jacy przyszli po nim — Al Simmonsa (Szymańskiego),
Stana Covaleskiego (Kowalewskiego), Carla Yastrzemskiego i Phila Niekro.

MUSKIE Edmund, wł. Marciszewski (ur. 1920), senator Stanów Zjednoczonych ze stanu Maine
i późniejszy sekretarz stanu w administracji prez. Jimmy Cartera. Po studiach prawniczych w Cornell
University służył w marynarce Stanów Zjednoczonych w II wojnie światowej. Po wojnie wybrany do
legislatury stanowej, w 1954 r. został gubernatorem Maine, a w 1959 senatorem w Kongresie.
W 1968 r. był kandydatem z ramienia demokratów na wiceprezydenta kraju przy Hubercie Hum-
phrey’u; po przegranych wyborach wrócił do Senatu, gdzie odgrywał bardzo aktywną rolę, szczególnie
w trakcie kadencji prezydenta Jimmy Cartera, kiedy pełnił wiele funkcji i urzędów w administracji
demokratycznej.

NEGRI Pola wł. Apolonia Chałupiec (1897–1987), polska aktorka sceniczna i filmowa, po stu-
diach baletowych w St. Petersburgu zadebiutowała na scenach warszawskich w r. 1913, szybko
trafiając do filmu. Stała się pierwszą polską gwiazdą filmową niemiego kina („Bestia”, 1916), szyb-
ko wchłonięta przez kinematografię niemiecką, a następnie Hollywood, gdzie pojawiła się już
w r. 1923, występując w serii przebojów takich jak „Madame Dubarry”, „The Spanish Dancer”,
„Flower of Night”. Karierę kontynuowała jeszcze w pierwszych latach kina dźwiękowego i spisała
ciekawe wspomnienia *Pamiętnik gwiazdy* (Warszawa 1976).

NIR Roman (ur. 1940 k. Częstochowy), historyk i archiwista Polonii, kierujący Zakładami Nau-
kowymi w Orchard Lake, Michigan. Po studiach na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie
pracował początkowo jako wykładowca ATK, a następnie KUL w Lublinie, zdobywając z czasem
specjalizację w archiwistyce. Po przyjeździe do Orchard Lake w r. 1978 zajmował się zbiorami
Centrum Jana Pawła II, a następnie poświęcił się wieloletniej pracy nad badaniem złożonych tam
kolekcji i zbiorów polonijnych. Rezultatem tych badań stała się seria publikacji: *Katalog Polskich
Archiwów w Orchard Lake* (1996), *Przewodnik do polskich archiwów w Stanach Zjednoczonych*
(1999) i szereg innych prac.

NOWAK-JEZIORANSKI Jan Zdzisław (ur. 1913 w Warszawie), emisariusz podziemia konspira-
cyjnego z lat wojny, dyrektor sekcji polskiej Radia Wolna Europa, polityk, publicysta. Po studiach na
Uniwersytecie Poznańskim i pracy badawczej, którą przerwał wybuch wojny włączył się do działalno-
ści podziemia, opisaney w książce *Kurier z Warszawy* (1978). W latach 1952–1976 był dyrektorem
sekcji polskiej RWE w Monachium. W r. 1979 został dyrektorem Kongresu Polonii Amerykańskiej,
następnie jego wiceprezesem (do r. 1992). Autor wielu książek m.in. *Wojna w eterze* (1986), *Polska
z oddali* (1988), *W poszukiwaniu nadziei* (1993).

OLBIŃSKI Rafał (ur. 1945 w Kielcach), malarz i grafik. Po studiach na wydziale architektury Poli-
techniki Warszawskiej wyjechał jako wykładowca do nowojorskiej School of Visual Arts. Od 1981 r.
jego rysunki i grafika ukazują się w czołowych czasopismach amerykańskich: „Atlantic Monthly”,
„New Yorker”, „Playboy”, „Times”. Wykonuje wiele plakatów, ilustracji i grafiki użytkowej. Zebrał
za tę działalność liczne nagrody na konkursach i festiwalach w Europie (Stuttgart, Strasburg, Paryż,

Nowy Jork). Wystawiał swoje płótna w Brazylii, Francji, Wielkiej Brytanii i w Polsce. Jego prace znajdują się w renomowanych kolekcjach, takich jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, Carnegie Foundation w Nowym Jorku, a także Muzeum Plakatu w Wilanowie.

PADEREWSKI Ignacy Jan (1860–1941), światowej sławy pianista, polityk silnie związany z dziejami Polonii w Stanach Zjednoczonych. Po raz pierwszy Paderewski wyładował w Ameryce w r. 1891, odbywając długie i rewelacyjne tournée (107 występów). W r. 1913 artysta nabył posiadłość w Paso Robles w Kalifornii, co związało go trwale z tym krajem. Od 1913 r. rozpoczął nie tylko artystyczną, ale również polityczną kampanię na rzecz odrodzenia i pełnej niepodległości Polski, gromadząc tłumy na wiecach w Chicago, Nowym Jorku i Detroit. Paderewski odegrał kluczową rolę w motywowaniu Polonii do wystąpienia zbrojnego (Armia Błękitna), a jednocześnie wpłynął na prezydenta W. Wilsona, aby publicznie poparł polskie aspiracje do niepodległego państwa. Był pierwszym premierem i ministrem spraw zagranicznych odrodzonej Polski. W r. 1921 wrócił do Stanów Zjednoczonych na artystyczne tournée i odpoczynek. Do wybuchu II wojny światowej stał na czele Rady Narodowej, występując publicznie ze zbiórkami i płomiennymi przemówieniami. Zmarł w Nowym Jorku, a jego prochy długo pozostawały na cmentarzu wojskowym w Arlington, aż w r. 1992 zostały oficjalnie przetransportowane do kraju.

PIASECKA-JOHNSON Barbara (ur. 1937 w Staniewiczach), historyk sztuki, filantrop. Studiowała historię sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim (1964–1976), następnie w Rzymie (1967–1968). W 1971 r. wyszła za mąż za J. S. Johnsona, twórcę wielkiej firmy medycznej i kosmetycznej, prowadziła z nim wspólnie światową działalność filantropijną, tworząc szereg fundacji charytatywnych. W 1982 r. przekazała Kongresowi Polonii Amerykańskiej milion dolarów na działalność i pomoc w okresie stanu wojennego, na rzecz ludności w kraju. Założona w Stanach Zjednoczonych w 1984 r. fundacja jej imienia miała służyć polskim studentom i naukowcom pomocą w prowadzeniu badań. Fundacja przekazała milion dolarów na Społeczną Fundację Solidarności, celem udzielenia pomocy społecznej w Polsce, oraz milion dolarów na akcje dobroczynne prymasa Józefa Glempa. Wspierała również studia i badania polsko-żydowskie w Oxfordzie. W sumie, jako filantrop przeznaczyła na podobne inicjatywy przeszło 31,5 miliona dolarów.

PIĄTKIEWICZ Karol (1895–1971), jeden z najwybitniejszych dziennikarzy prasy polonijnej i związkowej. Przybył do Ameryki w r. 1914, po stażu we lwowskim „Nowym Wieku”. Pracował najpierw w Milwaukee w „Kurierze Polskim”, następnie w nowojorskim „Kurierze Narodowym”, a w 1931 r. objął redakcję „Dziennika Związkowego” w Chicago. Pracował tam aż do r. 1968 — swoisty rekord w dziejach polonijnej prasy — i wyniósł pisma związkowe do największej w ich dziejach popularności i poczytności. Był również autorem przemówień prezesa Karola Rozmarka i cenzora Franciszka Świetlika. Opracował zwięzłą historię ZNP od jego zarania do połowy lat 50.

PIENKOS Donald (ur. 1944 w Chicago), historyk Polonii, politolog, działacz. Wywodzący się z chicagowskiego środowiska polonijnego, po studiach na De Paul University i doktoracie na University of Wisconsin w Madison — poza pracą dydaktyczną na University of Wisconsin w Milwaukee poświęcił się badaniu i wydawaniu książek o dziejach kolejnych organizacji polonijnych. Wydał w 1984 r. pierwszą w języku angielskim *Historię Związku Narodowego Polskiego* na 100-lecie tej organizacji, następnie *Historię Sokolstwa Polskiego w Stanach* (1987) i dzieje Kongresu Polonii Amerykańskiej jako *Polish American Efforts on Poland's Behalf, 1863–1991* (1991). Pełnił także funkcje krajowego dyrektora ZNP (1987–1996) i archiwisty ZNP, był kolejno dyrektorem organizacji PAHA i PIASA.

PISZEK Edward (ur. 1916 w Chicago), wybitny działacz i filantrop polonijny, z polskiej rodziny w Chicago. Studiował w czasie wojny na University of Pennsylvania, uzyskał honorowy doktorat w Alliance College w 1971 r. Osiągnął duży sukces w biznesie (produkty „Mrs. Paul's Kitchens”), w 1972 założył Copernicus Society w Fort Washington, Pa. następnie Liberty Bell Foundation, które sponsorowały wiele inicjatyw, m.in. odbudowę Domu T. Kościuszki w Filadelfii, rozbudowę Amerykańskiej Częstochowy w Dolestown, Pa., budowę Domu Jana Pawła II w Rzymie, Peace Corps Partners dla nauczania w Polsce angielskiego przez wolontariuszy. Przyjaciel niezwykle

popularnego pisarza Jamesa A. Michenera inspirował jego głośną książkę *Poland*. Finansował także amerykańskie wydanie „Trylogii”, w tłumaczeniu Wiesława S. Kuniczaka.

PITYŃSKI Andrzej (ur. 1947 w Ulanowie), wybitny rzeźbiarz monumentalny, twórca czołowych pomników Polonii w Ameryce. Wychowanek krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku i Mercerville, tworzy i pracuje od 1975 r. Autor m.in. pomników: I.J. Paderewskiego (1974), ks. Jerzego Popiełuszki (1987), Marii Curie-Skłodowskiej, papieża Jana Pawła II (1989), gen. Władysława Andersa (1995) oraz pomnika katyńskiego w Doylestown, Pa (1991) i pomnika Armii Błękitnej w Warszawie (1998).

POGONOWSKI Iwo Cyprian (ur. 1921 we Lwowie), wynalazca, historyk, autor słowników. Spędził w młodości pięć i pół roku w hitlerowskim obozie Sachsenhausen w czasie wojny. Dzięki studiom w Belgii i w Stanach, wyspecjalizował się w inżynierii wiertniczej i pracując w Wenezueli opracował 50 patentów. Po przejściu na wczesną emeryturę poświęcił się dwóm pasjom — wydał serię słowników polsko-angielskich w Hippocrene Books w Nowym Jorku i kilka cennych albumów poświęconych dziejom Polski: *Poland — A Historical Atlas* (1987), *Jews in Poland — A Documentary History* (1993). Erudyta i polemista zawsze obecny w większości ważkich debat i dyskusji polonijnych.

POLAŃSKI Roman (ur. 1933 w Paryżu), wybitnie utalentowany, wykształcony w Polsce, aktor i filmowiec. Po ukończeniu łódzkiej szkoły filmowej natychmiast zabłysnął etiudą „Dwaj ludzie z szafą” (1958) i filmem „Nóż w wodzie” (1960), który zrobił międzynarodową karierę. Po dwóch filmach w Wielkiej Brytanii („Wstręt” i „Cul de Sac”) w 1967 r. trafił do Hollywood, gdzie stworzył serię błyskotliwych przebojów od „Rosemary’s Baby” po „Mackbeth” i „Chinatown”, przynoszących mu najwyższe notowanie krytyki i nominacje do Oskarów. Po skandalu w r. 1978, opuścił Stany bez możliwości powrotu. Jest twórcą „Tess”, „Pirates” czy „Frantic” oraz aktorem, grając na scenie Mozarta w „Amadeuszu” Schaffera i występując w filmach („Tenant”).

PUCIŃSKA Lidia wł. Jędrzejowska (1896–1984), aktorka i reżyser teatralny polonijnego Chicago, wybitna postać radia w tym mieście. Urodzona w Krakowie i przybyła do Ameryki w r. 1912. Poświęciła życie i energię początkowo scenie, gdzie występowała i wystawiała sztuki od r. 1913 w Detroit, Cicero, Buffalo, Toledo, Cleveland, Erie i w Nowym Jorku oraz radiu polonijnemu, w którym zasłynęła jako „Słoneczna Pani”. Jej programy nadawane były przez 55 lat, w ostatnim okresie z jej własnej stacji, WEDC w Chicago.

PUCIŃSKI Roman (ur. 1919 w Chicago), lider i polityk polonijny. Absolwent John Marshall Law School, służył podczas wojny w lotnictwie Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Po wojnie działał jako reporter i dziennikarz „Sun Times” w Chicago i brał udział w kongresowych przesłuchaniach w sprawie Katynia (1951–1952). W 1958 został kongresmanem Stanów Zjednoczonych i pracował przez 14 lat na Kapitolu w Waszyngtonie, po czym wybrany aldermanem w Chicago w 41. okręgu (wardzie) kontynuował polityczną karierę na lokalnym szczeblu. Kierując Wydziałem Illinois KPA zbudował jedną z najsilniejszych organizacji Kongresu. Jego córka, **Aurelia**, również z powodzeniem poświęciła się karierze politycznej w Chicago.

PULASKI Kazimierz (1747–1779), bohater amerykańskiej wojny rewolucyjnej, twórca narodowej kawalerii. Przybył do Ameryki w r. 1777 z legendą wyniesioną z walk z Rosją. Biorąc udział w serii potyczek i bitew miał rychło sposobność wykazać się talentami militarnymi, oślaniając odwrót i ratując życie gen. G. Washingtona pod Brandywine. Mianowany generałem brygady i otrzymawszy zezwolenie na sformowanie kawalerii Pułaski miał tylko kilka okazji wykazać jej rolę, zanim zginął pod Savannah, w brawurowym ataku. Znaczenie jego krótkiej, ale barwnej kariery w rewolucyjnej armii amerykańskiej polegało na wykazaniu roli jaką odgrywać w niej mogli cudzoziemcy życzliwi Ameryce.

RHODE Paul Peter (1871–1945), pierwszy polski biskup w Stanach Zjednoczonych wybitny działacz niepodległościowy w okresie I wojny światowej. Pochodził z Wejherowa, jako dziecko przybył do Ameryki z rodzicami. Studia teologiczne odbył w seminarium w Milwaukee i został wyswięcony w r. 1894. Od 1908 był biskupem pomocniczym archidiecezji Chicago, piastując to

stanowisko przez 12 lat. W 1915 został biskupem Green Bay w Wisconsin, gdzie pracował do końca życia. Założył Stowarzyszenie Polskich Księży w Ameryce i był honorowym kapelanem ZPRKA. W okresie I wojny światowej zajmował czołowe funkcje w patriotycznych organizacjach Polonii, takich jak Rada Narodowa oraz Centralny Komitet Pomocy Narodowej.

ROGAŁA Mirosław (ur. 1954 w Krakowie), światowej sławy artysta w dziedzinie eksperymentalnych technik wideo. Absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i prof. Andrzeja Strumiłły, w 1977 r. wyruszył do Stanów Zjednoczonych aby doskonalić swoje umiejętności w Art Institute w Chicago, zwłaszcza w nowych technikach graficznych i elektronicznych. Wkrótce stał się wykładowcą tego przedmiotu w Columbia College w Chicago. Stworzył serię widowisk wideo i nowoczesnych oper („Question to Another Nation”, 1983; „Remote Faces: Outerpretations”, 1986; „Nature is Leaving US”, 1989, „Human Energy: Outerpretations”, 1991 i wiele innych). Podróżował ze swoimi wystawami do Lizbony, Barcelony, San Sebastian, Sao Paolo, Rzymu, Paryża. Prezentował prace w Brooklyn Museum w Nowym Jorku, Museum of Contemporary Art, The Art Insitute w Chicago oraz w Polsce.

ROGOZIŃSKI Antoni (ur. 1912 w kieleckim), działacz kombatancki, wydawca. Uczestnik kampanii wrześniowej, kampanii francuskiej i szlaku 1. Dywizji Pancerniej gen. St. Maczka. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych studiował chemię w Instytucie Technicznym w Milwaukee. Pracował w laboratorium Patrick Cudahy Inc. w latach 1951–1977. Od 1951 r. stały korespondent prasy kombatanckiej w Wielkiej Brytanii, a od 1968 r. redaktor naczelny i wydawca pisma „Pancerniak” dla kombatantów 1. Dywizji Pancerniej na całym świecie. Współzałożyciel Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Milwaukee oraz ich programu radiowego w tym mieście.

ROMASZKIEWICZ Jan (1873–1949), prezes ZNP, twórca „związkowego harcerstwa”, które przyciągnęło do ZNP, znaczną część Polonii. Urodzony w Polsce, kształcony w Bostonie, Romasziewicz miał doświadczenie w bankowości, i już w 1907 r. został wice-cenzorem, następnie komisarzem ZNP. Członek Skarbu Narodowego działał aktywnie na rzecz sprawy polskiej w czasie I wojny światowej. Jako prezes ZNP (w latach 1928–1939) stworzył silną, liczącą 52 tys. młodych ludzi organizację polskiego harcerstwa w Stanach i zainicjował ogromnie popularne, doroczne podróże delegacji ZNP statkiem do Polski, które ożywiły i umocniły polskość całych pokoleń młodej Polonii.

ROSTAFIŃSKI Wojciech (ur. 1921 w Warszawie), inżynier badań kosmicznych. Żołnierz Związku Walki Zbrojnej i uczestnik powstania warszawskiego, następnie oficer Polskich Sił Zbrojnych we Francji (1945–1947). Podjął studia inżynierskie na uniwersytecie w Louvain, a po przyjeździe do Ameryki w Instytucie Technologicznym w Cleveland. Dalsze studia z zakresu matematyki stosowanej i doktorat zdobył w latach 60. Po doktoracie pracował w oddziale NASA w Ohio, specjalizując się w silnikach rakietowych, paliwach oraz kosmicznej akustyce. Brał udział w wielu konferencjach naukowych i międzynarodowych projektach, publikując ok. 300 artykułów naukowych. Jego hobby to działalność pisarska i edytorska: *Niedostrzegalne światy* (1989), *Listy Marii z Ebertow Rostafinskiej* (1991), *Szef sztabu artylerii* (1993). Jeździ z odczytami, jest członkiem PIASA, czterokrotnie odznaczony przez NASA za osiągnięcia techniczne oraz działalność popularyzatorską.

ROSTENKOWSKI Daniel (ur. 1928 w Chicago), wybitny polityk demokratyczny ze środowiska polonijnego, urodzony w Chicago. Wnuk prezesa PRCUA i skarbnika Rady Narodowej, **Piotra R.**, syn aldermana **Josefa R.** studia odbył w szkole wojskowej St. John’s oraz prawnicze studia na Loyola University. Wybrany w r. 1952 do legislatury stanowej, reprezentował 33. dystrykt wyborczy w Chicago, następnie został najmłodszym senatorem w Springfield. W 1959 r. wygrał wybory do Kongresu Stanów Zjednoczonych i przez ponad 30 lat sprawował ten urząd w Waszyngtonie robiąc jednocześnie błyskotliwą i szybką karierę polityczną. Od 1960 r. brał udział w każdej konwencji demokratycznej. Sprawował bardzo wysokie funkcje w partii demokratycznej (*chairman of caucus, deputy majority whip*, członek Steering and Policy Committee) stając się w r. 1977 przewodniczącym wpływowego Komitetu Rozwiązań i Środków (Ways and Means Committee) oraz członkiem Komisji Podatkowej na Kapitolu. Wplątany w kongresowe dochodzenia finansowe,

utracił w połowie lat 90. swoją polityczną pozycję; obecnie prowadzi praktykę adwokacką w Chicago. Pierwszy laureat Nagrody Kopernikańskiej w Chicago (1980).

ROWNY Edward (ur. 1917 w Baltimore), wysoki rangą dowódca armii Stanów Zjednoczonych (szef sztabu w administracji prezydenta Ronalda Reagana). Po studiach w John Hopkins University (1937) i Akademii Wojskowej w West Point (1941) służył w Korpusie Inżynierskim Stanów Zjednoczonych w Afryce i we Włoszech. Podczas wojny koreańskiej (1950–1952) był rzecznikiem gen. Douglasa McArthura i kierował tam 38. Dywizją Piechoty w siedmiu kampaniach bojowych. Podczas konfliktu wietnamskiego (1962–1963) był w głównej kwaterze strategicznej. W latach 1965–1969 stał na czele 24. Dywizji armii amerykańskiej w Niemczech. W 1970 objął dowództwo I. Korpusu w Korei, od 1971 przeniesiony został do głównej kwatery NATO w Brukseli, biorąc udział w negocjacjach militarnych. Od 1973 do 1979 był członkiem naczelnego dowództwa skierowanego do rozmów SALT w Genewie, a od 1981 głównym negocjatorem w randze ambasadora. W 1985 został specjalnym doradcą prezydenta R. Reagana i sekretarzem stanu do spraw redukcji uzbrojenia. Odznaczony za zasługi w 1989 r. uznany został za „głównego architekta amerykańskiej polityki na rzecz pokoju”.

ROZMAREK Karol (1897–1973), wybitny lider ZNP i KPA. Z wykształcenia prawnik (Harvard), od 1931 r. działał w młodzieżowych organizacjach związkowych i zasiadał w radzie Alliance College w Pensylwanii. Wybrany prezesem ZNP w r. 1939. Za jego rządów ZNP osiągnęło najwyższą liczbę członków (ponad 300 tys.) oraz największe wpływy polityczne. Z chwilą powołania do życia Kongresu Polonii Amerykańskiej, w 1944 r., Polonia za sprawą Rozmarka stała się partnerem prezydentów, Kongresu i Senatu Stanów Zjednoczonych. Historyczną zasługą Rozmarka oraz akcji organizowanych przez ZNP i KPA, było uzyskanie zgody administracji amerykańskiej na imigrację przeszło 125 tys. Polaków, dipisów, którzy nie chcieli i nie mogli wrócić do Polski.

ROŻEK Edward (ur. 1920 k. Sieradza), wybitny politolog i historyk. Po II wojnie światowej, w trakcie której walczył w ramach I. Dywizji Pancerniej gen. St. Maczka, osiadł w Stanach Zjednoczonych. Studiował politologię i sowietologię w Harvard College i University w Cambridge (1951–1965). Pracował następnie jako wykładowca i dyrektor Instytutu Studiów Ekonomicznych i Politycznych (1964–1997), profesor Uniwersytetu w Kolorado, prezes i dyrektor Centrum Myśli Politycznej w Boulder, w latach 1973–1999. Jako badacz i wizytujący wykładowca pracował w Instytucie Hoovera, w Palo Alto. Główne publikacje: *Allied Wartime Diplomacy* (1958), *Soviet Foreign Relations and World Communism* (1965).

SADOWSCY/SANDUSKY, rozległa rodzina (Antoni, Jakub, James, Jonathan, Emanuel, John) wczesnych pionierów amerykańskich polskiego pochodzenia, których zasługi w eksplorowaniu nowego kontynentu i kraju weszły do legendy. Antoni notowany jest w 1712 jako badacz obszarów Ohio, Kentucky i Tennessee, założyciel wielu osad nad jeziorem Erie. Bracia James i Jakub brali udział w szeregu ekspedycjach, w 1773 badali tereny Kentucky spływając czołnem wzdłuż głównych rzek. Inni bracia — Antoni Jr. i Jonathan założyli Sandusky Station w 1780 r. Dalsi, Emanuel i John, zapisałi się w historii walk stanów Tennessee i Kentucky z Indianami.

SAMOLIŃSKA Teofila (1848–1913), działaczka polonijna, poetka i pisarka. Przybyła do Ameryki w r. 1866 z falą uchodźców po powstaniu styczniowym. Od 1870 r. zasilala polskie pisma swoimi wierszami i tekstami, stając się aktywistką na rzecz powstania patriotycznej organizacji zdolnej zjednoczyć wszystkich Polaków na tym kontynencie. Uchodzi za „matkę” Związku Narodowego Polskiego z racji intensywnej korespondencji z hr. Platerem w Rapperswilu i z Agatonem Gillerem, który wpłynął ostatecznie na twórców ZNP, w r. 1880. Równie czynna była przy organizowaniu Związku Polek w Ameryce, podobnie jak wcześniej, Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego. Pisała sztuki teatralne o życiu polonijnym, występowała na scenie i walczyła o równe prawa dla kobiet w organizacjach polonijnych na przełomie XIX i XX wieku.

SAWKO Czesław (ur. 1930 w białostockim), wybitny filantrop polonijny, przedsiębiorczy wynalazca i wytwórca. Wraz z rodziną deportowany na Syberię, przeszedł długą drogę od Archangielska po Persję, aby znaleźć się w kolonii Santa Rosa w Meksyku, gdzie doczekał końca wojny. Służył w armii USA w czasie wojny koreańskiej, założył własne przedsiębiorstwo R.C. Coil pod Chicago

i dzięki wynalazkom ustabilizował się zawodowo i materialnie. Był członkiem Rady Alliance College w Pensylwanii, gdzie otrzymał honorowy doktorat. Hojny sponsor wielu akcji na rzecz pomocy Polsce, fundator pomnika pojednania Jana Pawła II i prymasa S. Wyszyńskiego na Jasnej Górze w Częstochowie.

SCHREIBER Antoni (1864–1939), po studiach chemicznych i doktoracie w Berlinie przybył do Ameryki i związał się z ZNP w 1886 r. W 1900 r. otworzył własny browar o nazwie „Manru” w Buffalo, NY. W 1905 r. został cenzorem ZNP w bardzo aktywnym okresie działań Związku. Zorganizował zbiórki na rzecz budowy w Waszyngtonie, obok Białego Domu, pomnika T. Kościuszki. Dopiął swego celu w r. 1910. Był również inicjatorem założenia Szkoły Związkowej w Cambridge Springs w Pensylwanii.

SEMBRICH-KOCHAŃSKA Marcella (1858–1935), wybitna śpiewaczka operowa (sopran) ze Lwowa. Po występach w Europie (Ateny, Berlin, Mediolan, Londyn) przybyła do Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdzie w latach 1883–1909 była primadonną. Jako pedagog pracowała następnie w słynnych szkołach muzycznych w Stanach — Julliard School w Nowym Jorku i Curtis School w Filadelfii. Dziś nagrodą jej imienia w postaci specjalnych stypendiów wyróżnia się najbardziej polonijną młodzież muzyczną w nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej.

SENDZIMIR Michael (ur. 1924 w Szanghaju), potentat stalowy, działacz kulturalny i dobroczylny. Syn przemysłowca i wynalazcy, **Tadeusza Sendzimira**. Po pobycie w młodości w Chinach, Polsce, Szwajcarii i Francji przybył do Stanów Zjednoczonych z końcem lat 30. Walczył podczas II wojny światowej na Filipinach w mundurze Armii Amerykańskiej. Od 1956 do 1999 prowadził firmę ojca, T. Sendzimir Inc. w Waterbury, CT. Uzyskał 52 patenty przemysłowe, zajmował czołowe pozycje w zawodowych organizacjach przemysłu ciężkiego. Szczególne zasługi oddał Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku jako jej wieloletni działacz i prezes (od roku 1968), a także Polskiemu Instytutowi Naukowemu (od r. 1978).

SENDZIMIR Tadeusz (1894–1989), znakomity wynalazca technologii metalurgicznych. Karierę jako inżynier i wytwórca rozpoczął w Szanghaju, w r. 1917. Po powrocie do Polski, w r. 1924 założył zakłady cynkowania blach i opracował nową technologię walcowania stali na zimno, która zrewolucjonizowała cały przemysł światowy. W latach 30. przeniósł biura do Paryża, następnie do Nowego Jorku. W Middletown, Ohio a następnie w Waterbury, Ct. założył zakłady i w ciągu lat ogłosił 50 patentów walcarek i technologii, które są dziś stosowane w 80 krajach świata. Patron i prezes rady patronackiej Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym, Jorku.

SKROWACZEWSKI Stanisław (ur. 1923 we Lwowie), polski kompozytor i wybitny dyrygent, początkowo związany z filharmoniami w Katowicach i w Krakowie (1949–1956) wygrał konkurs na dyrygenta w Minneapolis, MN, i od r. 1960 pracuje z wielkim sukcesem w Stanach. W 1970 r. dyrygował w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Pracował m.in. w Milwaukee, Wi., kierując Saint Paul Chamber Orchestra. Skomponował szereg utworów symfonicznych, m.in. „Muzyka nocą” i „Symfonia zwycięstwa”, także balet — „Ugo i Parisina”. Pisze muzykę filmową i teatralną.

SMULSKI Jan (1867–1928), przybył z rodziną do Stanów jako młody człowiek, studiował na Northwestern University w Chicago w 1890 r. W 1893 został dyrektorem krajowym ZNP, odgrywając jednocześnie wielką rolę w lokalnej, amerykańskiej polityce. Był kolejno skarbnikiem stanowym Illinois, kontrolerem Chicago i kandydatem na burmistrza miasta, w 1911 r. W 1906 r. stworzył Northwestern Trust and Savings i otworzył bank nazwany jego imieniem. W trakcie I wojny światowej blisko współpracował z I.J. Paderewskim, tworząc Wydział Narodowy, który domagał się niepodległości Polski i zbierał na ten cel miliony dolarów, zorganizował też 25 tys. Armii Błękitną — otrzymując w podzięk za zasługi francuską Legię Honorową i order Polonia Restituta, od rządu RP.

SOBOLEWSKI Edward (1808–1872), kompozytor i dyrygent, autor opery „Imogena” (1833). Po pracy w berlińskiej Filharmonii przybył do Milwaukee w 1859 r., gdzie wystawił operę o życiu i śmierci K. Pułaskiego „Kwiat lasu”. W 1861 za sprawą jego starań powstała w Milwaukee pierw-

sza miejscowa filharmonia. Dyrygował również orkiestrą symfoniczną w Chicago (1862) i innych miastach amerykańskich. Zmarł w r. 1872 jako główny dyrygent orkiestry w St. Louis, Missouri.

SOBOLEWSKI Paul (1816–1884), poeta, pisarz i wykładowca. Po upadku powstania listopadowego emigrował za Ocean, i w r. 1883 osiedlił się w Filadelfii, gdzie pracował w firmie wydawniczej. Od 1840 drukował w Nowym Jorku pierwszy polski periodyk (po angielsku) pt. „Poland — Historical, Monumental and Picturesque”. Następnie przeniósł się do Chicago, gdzie wydał m.in. pierwszą antologię polskiej poezji — *The Poets and Poetry of Poland*, w 1881 r.

STARZYŃSKI Teofil (1879–1952), prezes Sokolstwa Polskiego w Ameryce, współzałożyciel Kongresu Polonii Amerykańskiej w r. 1944. Kierował przez 34 lata ruchem „Sokołów”. W okresie I wojny światowej był głównym organizatorem wysłania 22 tys. ochotników do Armii Błękitnej, z którymi wspólnie walczył na froncie europejskim i dosłużył się rangi majora. W 1920 r. założył Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej (SWAP), w 1944 został wiceprezesa KPA.

STEFANOWICZ Zygmunt (1886–1978), zasłużony działacz Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce (ZPRKA), a także redaktor naczelny ich organu, „Naród Polski” (od r. 1938), któremu przywrócił prawdziwą rangę. Prowadził również w tym czasie „Dziennik Zjednoczenia”, jedną z głównych gazet codziennych w Chicago. Działał w Wydziale Narodowym podczas I wojny światowej, a także w Polskiej Radzie Pomocy Polonii, i w Radzie Polonii. W r. 1944 należał do grona współzałożycieli Kongresu Polonii Amerykańskiej, w którym pełnił przez lata obowiązki sekretarza krajowego.

STOKOWSKI Leopold (1882–1997), wybitny dyrygent i muzyk urodzony w Londynie. Początkowo był organistą w Nowym Jorku, w 1908 zadebiutował jako dyrygent w Paryżu, w rok później kierował już orkiestrą symfoniczną w Cincinnati, tworząc z niej czołowy amerykański zespół w okresie międzywojennym. Występował w szeregu filmach jako dyrygent („The Big Broadcast of 1937”), a jego wykonania muzyczne towarzyszyły m.in. eksperymentalnej „Fantazji” Walta Disney’a (1940). W ciągu przeszło 70-letniej kariery brał udział w 7 tys. koncertów, będąc zawsze barwną i podziwianą postacią publiczną.

STRAM Hank (ur. 1923 w Gary, In), renomowany trener zespołów amerykańskiego futbolu, polskiego pochodzenia. Po studiach w Gary, Ind. i wybitnych osiągnięciach sportowych, rozpoczął karierę trenera najpierw w Purdue, Ind., następnie w Notre Dame, Ind. i w Miami na Florydzie. W r. 1960 został głównym trenerem Dallas Texans, i doprowadził ich do tytułu mistrzowskiego w r. 1962. Prowadził następnie zespół The Chiefs w Kansas City (liga NFL) który zdobył tytuł mistrzowski w r. 1970. W ciągu 17-letniej kariery trenerskiej osiągnął znakomite wyniki: 131 zwycięstw. Później stał się popularnym komentatorem sportowym — radiowym i telewizyjnym.

STYKA Jan (1858–1925), malarz monumentalny. Po studiach w Wiedniu i w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych osiadł, po 1900 w Paryżu, gdzie wspaniał się zarówno płótnami batalistycznymi jak i portretami. Zasnął zwłaszcza monumentalnymi panoramami wielkich bitew: „Panorama Racławicka” (z lat 1892–1894), „Męczeństwo pierwszych chrześcijan” (1899) oraz „Golgota” (1896), której amerykańska kariera stała się głównym fundamentem jego sławy. Przeznaczona na światową wystawę w Nowym Jorku w r. 1904, z inicjatywy I.J. Paderewskiego, zatrzymana na cle, doczekała się dopiero pełnej demonstracji w specjalnie wybudowanym auditorium w kalifornijskim Forest Lawn, w Glendale, gdzie jest wystawiana od roku 1951 dzięki wysiłkom i dużym inwestycjom dr Huberta Eatona.

SZYMANOWICZ Helena (ur. 1909 w Erie, Pa), wybitna liderka Polonii, pierwsza kobieta-prezesa w dziejach ZNP („100 dni” jesienią 1988 r. po nagłej śmierci prezesa Alojzego Mazewskiego). Wywodząca się z Erie w Pensylwanii dała się wcześniej poznać jako organizatorka i znakomita działaczka. Wybrana w r. 1967 na krajową dyrektorkę, a następnie wiceprezeskę Związku w r. 1971. Zajmowała się działalnością kobiecych wydziałów, oświatą polonijną i pomocą dla studiującej młodzieży, organizacją parad ku czci Konstytucji 3 Maja w Chicago. W 1991 r. przeszła na emeryturę, powracając do rodzinnego Erie, Pa.

ŚWIETLIK Franciszek Ksawery (1890–1983), wybitny działacz polonijny, wieloletni cenzor ZNP; Prawnik wywodzący się ze środowiska Milwaukee. Podczas I wojny światowej był w misji ZNP w Kanadzie, walczył w szeregach Armii Błękitnej, dosługując się rangi kapitana. Objął stanowisko cenzora ZNP w r. 1931. W 1936 organizował Radę Polonii Amerykańskiej, która dostarczyła w czasie II wojny światowej największą pomoc materialną Polsce, Polakom, ofiarom wojny (wartości 20 milionów dolarów) oraz odwiedzał obozy przesiedleńcze po wojnie. Ostatnie lata życia spędził jako sędzia powiatowy w Milwaukee, wykładowca i dziekan prawa na Marquette University.

TOCHMAN Kasper (1797–1882), major wojsk powstańczych, krewny gen. Jana Skrzyneckiego, po klęsce w r. 1831 zmuszony był emigrować do Francji, a następnie Ameryki. Po studiach prawnych został przyjęty do adwokatury nowojorskiej i występował przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Po przeniesieniu do Wirginii, w 1852 r. i nawiązaniu kontaktów z tamtejszymi politykami, znalazł się w szeregach armii konfederackiej w czasie Wojny Secesyjnej jako pułkownik, organizując dwa duże polskie oddziały, z Teksasu i Nowego Orleanu, za co awansowano go do stopnia generała brygady. Po wojnie założył w Nowym Jorku Polsko-Słowiańskie Stowarzyszenie Literackie.

TRUSZKOWSKA Maria Angela (1825–1899), założycielka organizacji Sióstr Felicjanek w Stanach Zjednoczonych, głównej bazy dla polonijnej działalności charytatywnej i oświatowej. W 1874 r., staraniem ks. Józefa Dąbrowskiego siostry Felicjanki przybyły do Ameryki z misją uczenia i prowadzenia polskich szkół parafialnych. Pierwszą misję założono w Teksasie w 1875 r. łącząc ze sobą wcześniej działające zakony sióstr Niepokalanego Poczęcia oraz siostry Świętej Opatrzności. Szybko rosnąca i sprawnie działająca organizacja sióstr Felicjanek pod kierownictwem Matki Marii Truskowskiej objęła z czasem główne środowiska Polonii w Stanach. Stworzyły one wiele instytucji zajmujących się wychowywaniem sierot oraz szkół dla dziewcząt.

ULAM Adam (1933–2000), znakomity politolog i sowietolog amerykański polskiego pochodzenia. Od 1959 r. wykładał na Harvard University, publikując kluczowe prace na temat Rosji Sowieckiej i jej polityki, m.in.: *The New Face of Soviet Totalitarianism* (Cambridge 1963), *Lenin and the Bolsheviks* (London 1965), *Dangerous Relations: The Soviet Union in World Politics* (New York 1983).

ULAM Stanisław (1909–1984), wybitny matematyk amerykański polskiego pochodzenia, wywodzący się ze szkoły lwowskiej. Do Stanów wyjechał w r. 1936, od 1941 wykładał w Harvard University, następnie w Madison, Wisconsin i w Boulder, Colorado. Od 1944 pracował w centrum badań jądrowych w Los Alamos, przygotowując wraz z E. Tellerem, pierwszą amerykańską bombę wodorową. Autor wielu teorii matematycznych, w zakresie teorii mnogości, teorii miary, topologii i rachunku prawdopodobieństwa. Pionier informatyki i powiązań matematyki z biologią.

URBAN Matt (1919–1995), najbardziej odznaczony żołnierz amerykański II wojny światowej. Pochodził z polskiej rodziny w Buffalo, NY. Studiował na Cornell University (1937–1941) specjalizując się w historii i komunikacji społecznej. Po wybuchu wojny przeszedł kurs oficerski i przygotowanie w Fort Bragg w Północnej Karolinie, następnie trafił na front afrykański w szeregach 60. Dywizji Piechoty. W trakcie kilku kampanii śródziemnomorskich, na frontach: algierskim, tunezyjskim, sycylijskim, francuskim i belgijskim odznaczył się wyjątkową odwagą i męstwem zdobywając 29 odznaczeń. Wielokrotnie ranny. Latem 1980 r. rząd Stanów Zjednoczonych przyznał mu Medal Honorowy. Wydał książkę wspomnieniową *The Matt Urban Story: The Hero We Never Forgot* (1989).

VINTON Bobby (ur. 1941 w Pittsburghu, Pa), Popularny piosenkarz, „książę polskiej piosenki”, wywodzący się z polskiej rodziny spod Pittsburga. Już jako 15-latek śpiewał z własną orkiestrą i stał się idolem nastolatków. Po studiach muzycznych w Duquesne University opanował wiele instrumentów, ale pozostał najbardziej lubiany i znany jako piosenkarz, dzięki własnemu telewizyjnemu serialowi, „Bobby Vinton Show” w latach 60. i 70. i kompozycjom takim jak „Roses are Red”, „Blue Velvet”, „Mr. Lonely”. Występował w filmach „Music Man”, „Big Jake” i „The Train Robbers” z Johnem Wayne. Jego polski przebój: „Moja droga ja cię kocham” („My Melody of Love”, 1973) przyniósł mu wielką sławę i nowy kontakt z rzeszami Polonii. Obecnie występuje we własnym show w Branson City, w Missouri.

WALDO Artur (1896–1985), historyk i dziennikarz polonijny, związany ze Zjednoczeniem Polskim Rzymsko-Katolickim, badacz dziejów Polonii i jej organizacji, zwłaszcza Sokolstwa Polskiego. Pochodził z Radomia, po przyjeździe do Ameryki zgłosił się do tworzonej Armii Błękitnej i walczył w jej szeregach na frontach I wojny światowej. Po jej zakończeniu poświęcił się badaniu i popularyzowaniu dziejów amerykańskiej Polonii. Czynnie działał także w Kongresie Polonii Amerykańskiej, reprezentując Arizone i Kalifornię. Wydał pracę o *Pierwszych Polakach w Jameston* i monografię Teofili Samolińskiej. Autor wielu opracowań i książek, m.in.: *Sokolstwo, przednia straż narodu* oraz *Dzieje idei i organizacji w Ameryce* (1938).

WALSKA Ganna (1887–1984), śpiewaczka operowa, sopran. Wychowywana i kształcona w St. Petersburgu, po rewolucji znalazła się w Paryżu, gdzie studiowała z Janem de Reszke, polskim śpiewakiem operowym, który również trafił do nowojorskiej Metropolitan Opera. W Nowym Jorku występowała wspólnie z Enrico Caruso, śpiewała też na scenach Chicago, Detroit i Filadelfii. Wyszła za mąż za słynnego milionera Harolda McCormicka, właściciela Harvest International w Chicago. W Paryżu dysponowała sceną Theatre des Champs Elysees, którą przekazała z czasem symfonicznej orkiestrze tego miasta. Od 1939 r. żyła w Santa Barbara w Kalifornii, gdzie jej willa z ogrodami stanowi do dziś atrakcję turystyczną. Opisała swoją karierę i życie w *Always Room at the Top*, wydanej w r. 1943.

WANDYCZ Piotr (ur. 1923 w Krakowie), historyk, wykładowca uniwersytecki. Pochodzi z Krakowa, w czasie wojny walczył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie podjął studia historyczne najpierw w Grenoble we Francji, następnie w Cambridge i w Londynie. Karierę wykładowcy rozpoczął na Uniwersytecie w Indianie (1954–1966) i kontynuował ją na Columbia University w Nowym Jorku; od 1966 na Harvardzie. Opublikował szereg głośnych książek i studiów historycznych, m.in.: *France and Her Eastern Allies* (1962), *Soviet-Polish Relations* (1969), *United States and Poland* (1980), *Polish Diplomacy* (1988). Obecnie jest prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce w Nowym Jorku.

WĘGRZYNEK Maksymilian (1892–1944), wydawca prasy polonijnej, działacz. Przybył do Stanów w r. 1914, i tu ukończył studia w New York City College. Od 1922 r. wydawał w Nowym Jorku gazetę „Nowy Świat”, a od 1928 do 1938 także węgierską gazetę etniczną. Wraz z wybuchem II wojny światowej zaczął działać w Polsko-Amerykańskiej Radzie Pomocy wraz z Frankiem Januszewskim z Detroit i został pierwszym prezesem Krajowego Komitetu Amerykanów Polskiego Pochodzenia. Został wybrany na wiceprezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej.

WICIK Stefan (1924–2001), wybitny śpiewak operowy zasłużony dla środowisk Polonii w Chicago. Wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty trafił do Ameryki w r. 1951. Zaraz po wojnie studiował śpiew w Kolonii, następnie w Chicago w American Music Conservatory. Zadebiutował w miejscowej operze w 1954 r. Odbył wiele tournée po Stanach i Kanadzie, w latach 1964–1969 był solistą Chicago Lyric Opera, następnie śpiewał wiele sezonów w tutejszej Operze Litewskiej (od 1982 r.). W 1961 zdobył I nagrodę na konkursie tenorów w Cincinnati. Występował w Europie w Operze Wiedeńskiej, w Mozarteum w Salzburgu, w Niemczech i w Anglii. W r. 1978 odbył pierwsze polskie tournée, które rozpoczął w rodzinnym Poznaniu. Wielokrotnie odwiedzał Polskę w następnych latach, występując jednocześnie w musicalach, przedstawieniach muzycznych i kabaretach Ref-Rena w Chicago. Odznaczony Polonia Restituta i Krzyżem Kawalerskim RP.

WIERZBIAŃSKI Bolesław (ur. 1915 w Bachorzu), dziennikarz, wydawca, działacz polonijny. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim i warszawskiej Akademii Nauk Politycznych podjął pracę w „Światopole”, organizacji koordynującej więzi Polonii z krajem. Pracował także dla Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej. Wybuch wojny zastał go na Zachodzie, gdzie do 1945 r. działał jako korespondent wojenny. Pracował w „Głosie Ameryki” oraz Radio Wolna Europa do 1956 r. Przybył do Ameryki w 1958, jako korespondent BBC oraz szef Foreign News Service. Założyciel „Nowego Dziennika” i „New Horizon” w Nowym Jorku, w 1971 r.

WOŁOWSKA Honorata (1875–1967), prezeska Związku Polek w Ameryce i liderka Polonii. Przybyła z Torunia do Stanów Zjednoczonych w r. 1890, osiedlając się w Chicago, a następnie w Pensylwanii. Przygotowana do zawodu nauczycielki spędziła znaczną część życia ucząc polskich

górników w tym regionie. Początkowo związała się z Sokolstwem, ale wraz z powstaniem Związku Kobiet stanęła na czele lokalnego wydziału tej organizacji. W okresie I wojny światowej pracowała przy rekrutacji do Armii Błękitnej oraz organizacji służby medycznej Szarych Samarytanek. Za tę służbę otrzymała od marszałka J. Piłsudskiego Krzyż Walecznych. W 1935 r. została wybrana prezeską ZPwA, by w 1939 organizować dla Polski szeroką pomoc charytatywną. Współzałożycielka KPA, była pierwszą wiceprezeską tej organizacji po r. 1944.

YASTRZEMSKI Carl (ur. 1933 pod Nowym Jorkiem), legenda amerykańskiego baseballu, polskiego pochodzenia. Pasję do sportu odziedziczył po ojcu, organizatorze Bridgehampton White Eagles. Po studiach w Notre Dame związał się z bostońską drużyną Red Sox i szybko stał się narodową gwiazdą amerykańskiego sportu. W 1967 r. przewodził całej lidze swoimi wynikami w uderzeniach i rundach. Po 23 latach w zawodowym baseballu miał na swym koncie trzy tytuły krajowe, udział w 3308 meczach, 3419 uderzeń i 452 „home runs”; wszedł do National Baseball Hall of Fame w r. 1989.

ZABŁOCKI Clement (1912–1983), kongresman, działacz polonijny. Wywodził się ze środowiska polskiego w Milwaukee, w stanie Wisconsin. Tam ukończył studia na Marquette University. Pracował jako nauczyciel w polonijnych szkołach; prowadził też chóry szkolne. W 1942 r. rozpoczął karierę w polityce amerykańskiej kandydując na stanowisko senatora stanowego. Wybrany ponownie w 1946 r. kandydował następnie na stanowisko kongresmana, którym został w r. 1948. Wybierano go przez następne dziesięciolecia aż 18-krotnie. Zwany „Clemem” zdobył duży respekt i pozycję polityczną pracując w Komitecie do spraw międzynarodowych (od 1949 r.) i zostając jego przewodniczącym w r. 1977. Był zwolennikiem siły militarnej Stanów Zjednoczonych i wojny wietnamskiej, jednocześnie czynnie popierał politykę pomocy innym krajom, akcje charytatywne i walkę z głodem. Bronił interesów Polonii i weteranów, a w r. 1959 został ich Człowiekiem Roku. Równie intensywnie pomagał Polsce, realizując w 1984 r. projekt budowy polsko-amerykańskiego szpitala dla dzieci w Krakowie za sumę 12,5 miliona dolarów.

ZABOROWSCY ps. Zabriskie, rozgałęziona rodzina polska w Stanach Zjednoczonych. Pierwszy z tego rodu Albert (1638–1711) przybył do obecnego stanu New Jersey w 1662, gdzie został sędzią pokoju, a z czasem posiadaczem rozległych ziemskich posiadłości w hrabstwie Bergen County. Syn Alberta, Jakub wychowywał się wśród Indian, poznał ich życie i obyczaje, a wnuk John ubiegał się o reprezentowanie stanu w brytyjskim parlamencie. Ich drzewo genealogiczne liczy przeszło 2000 osób, powiązanych z rodzinami Astorów, Bayardsów, Van Houtenów czy Mornsów. Wiele miejscowości w Stanach od New Jersey po Kalifornię nosi ich imię.

ZACHARIASIEWICZ Władysław (ur. 1911 w Krakowie), działacz polonijny. W czasie studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (1931–1935) aktywny działacz ruchu Polskiej Młodzieży Demokratycznej oraz Związku Zbliżenia Międzynarodowego „Liga”. Po kampanii wrześniowej, więzień sowieckich łagrów w Archangielsku i Bielomorsku. Po stworzeniu polskiego przedstawicielstwa w Czelabińsku kierownik placówki opieki społecznej, a następnie delegat Ambasady RP w Kujbyszewie. Pracownik delegatury rządu RP w Londynie w Konstancy-nopolu, potem w Rzymie (1944–1946). Dyrektor wykonawczy Polskiego Komitetu Emigracyjnego w Nowym Jorku (1946–1948), a następnie dyrektor do spraw etnicznych Partii Demokratycznej w Stanach Zjednoczonych. Koordynator polonijnej kampanii budowy Domu Jana Pawła II w Rzymie. Od 1983 r. Członek Rady Administracyjnej Fundacji Jana Pawła II.

ZAKRZEWSKA Maria Elżbieta (1829–1912), lekarka i postępową działaczka społeczna, sufrażystka, przybyła do Ameryki w r. 1853, po studiach medycznych w Berlinie. Po ukończeniu szkół medycznych w Cleveland, stała się rzeczniczką i orędowniczką równouprawnienia zawodowego kobiet w dziedzinie medycyny, zakładając specjalne szpitale kobiece w Nowym Jorku, zupełną nowość w tamtych czasach. W 1859 r. stanęła na czele takiej placówki w Bostonie i prowadziła ją przez kilka dziesięcioleci, otwierając studia pielęgniarskie dla dziewcząt różnych ras. W 1879 dyplomowała pierwsze czarne pielęgniarki głosząc, że praca w tym zawodzie przyniesie im „użyteczność, godność i dumę”.

ZALE Tony, wł. Antoni Zaleski (1913–1997), syn polskich emigrantów w Gary, Indiana, od dziecka pracował w zakładach hutniczych i uprawiał boks. Serię wielkich zwycięstw zapoczątkował w r. 1940 nokautując Al. Hosaka, następnie George Abramsa w Nowym Jorku, w 1942 r. Po tym zwycięstwie uznany został mistrzem świata wagi średniej i zyskał przydomek „Człowieka ze stali”. Po wojnie wstąpił się kilkoma dramatycznymi walkami z legendarnym później, Rocky Grazziano o tytuł bokserskiego mistrza świata.

ZAMORA Maria (ur. 1906 w Zaleszczykach), poetka, działaczka kulturalna, nauczycielka. Studiowała w Buczaczu w latach 1934–1937, przygotowując się do zawodu nauczycielskiego. Przed wybuchem wojny uczyła w Zamościu i Buczaczu. W czasie okupacji kontynuowała swoją pasję na Węgrzech, będąc pedagogiem i dyrektorką polskich instytucji edukacyjnych, a po zakończeniu wojny organizowała polskie szkolnictwo w Niemczech. Po przybyciu do Ameryki, w polonijnym Chicago (1951–1961) stała się *spiritus movens* ruchu sobotnich szkół języka i kultury polskiej dla nowej emigracji. Pisała przez lata wiersze i sztuki sceniczne publikując je we Francji, Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Główne utwory: *Kwiaty dla mamy* (1991), *Obrazki sceniczne* (1969), *Pastorałka* (1969). Działaczka Komisji Oświatowej KPA, odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

ZAWODNY Janusz Kazimierz (ur. 1921 w Warszawie), historyk, wykładowca nauk politycznych. Uczestnik powstania warszawskiego. Od 1945–1948 oficer 2. Korpusu we Włoszech. Studia z zakresu nauk politycznych w University of Iowa i w Stanford University (1951–1955). Wykładał na Princetown University, Washington University oraz University of Pennsylvania (1955–1975). Był szefem Katedry Stosunków Międzynarodowych w Claremont i Pomona College (1975–1982). Autor głośnych publikacji historycznych: *Man and International Relations* (1967), *Death in the Forest: The Story of the Katyn Forest Massacre* (1967), *Nothing but Honor: The Story of the Uprising of Warsaw* (1978), *Powstanie Warszawskie w walce i dyplomacji* (1994).

ZNANIECKI Florian (1882–1958), wybitny polski socjolog, badacz masowej emigracji chłopskiej do Stanów Zjednoczonych, współautor fundamentalnej, pięciotomowej pracy *The Polish Peasant in Europe and America, 1918–1920* zbierającej opisowo losy i motywacje przybyszy do tego kraju z Polski. Przyniosła mu ona międzynarodowy rozgłos i trwałą pozycję w polskiej i amerykańskiej nauce. Założyciel „Studiów Socjologicznych” w r. 1930. Doktorat z socjologii otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim w r. 1910. Dalsze studia w zakresie wybranej specjalności prowadził w Paryżu, Genewie i Zurychu. Wykładał od 1919 do 1939 na Uniwersytecie Poznańskim, następnie w Columbia University w Nowym Jorku, a od 1940 na University of Illinois, Champaign-Urbana do 1951. Jego córka, **Helena Znaniecka-Lopata** jest wybitnym socjologiem na Loyola University w Chicago.

ZYGMUND Antoni (1900–1992), wybitny matematyk amerykański polskiego pochodzenia, pracował w Wilnie w latach 1930–1939, w Stanach Zjednoczonych od roku 1940. Od 1947 pracował na University of Chicago. Specjalizował się w pracach nad teoriami trygonometrycznymi, funkcji zmiennej rzeczywistej i zespolonej. Rozgłos i pozycję w nauce zapewniły mu szczególnie badania i prace nad rachunkiem prawdopodobieństwa i teoria całek osobliwych.

ŻYCHLIŃSKI Kazimierz (1859–1927), lider Sokolstwa Polskiego i działacz Związku Narodowego Polskiego w okresie I wojny światowej. Wychowany w Polsce, trafił do Nowego Jorku w r. 1876. Jako członek ZNP w 1881 r. przeniósł się do Chicago, gdzie stał się znaną postacią w świecie Polonii. W r. 1888 zaangażował się w ruch Sokolstwa Polskiego, zostając w r. 1894 prezesem tej organizacji, powiązanej wówczas blisko ze Związkiem Narodowym Polskim. W r. 1912 objął kierownictwo powstającej Szkoły Związkowej w Cambridge Springs w Pensylwanii i został prezesem ZNP do roku 1927. Blisko 25 tys. członków Sokolstwa z chwilą wybuchu I wojny światowej zgłosiło gotowość walki w szeregach Armii Błękitnej. Sam Żychliński odgrywał dużą rolę w organizacjach polonijnych na rzecz Polski (Komitet Obrony Narodowej), a po jej zakończeniu, w Kongresie Polskiej Emigracji. Odznaczony przez Paderewskiego w r. 1921 za zasługi na rzecz odrodzenia Polski.

WSPOMNIENIA – BIOGRAFIE

SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA

HANNA BOGUSŁAWSKA (1907–2001)

W słownikach, które o Hannie Bogusławskiej pamiętają rzadko można przeczytać raczej niewiele: urodziła się 3 maja 1907 roku w Piotrkowie Trybunalskim. W roku 1929 rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym UW, a wkrótce potem równoczesną naukę na Wydziale Pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej (WWP). Będąc studentką opublikowała pracę *Grafika książki a czytanie* (Warszawa 1933) i przełożyła na polski podręcznik G.L. Andersona pt. *Ciche czytanie w świetle badań psychologicznych i pedagogicznych* (1932). Po ukończeniu studiów podjęła na WWP własne prace badawcze pod kierunkiem Heleny Radlińskiej w zakresie teorii czytania. Efektem tych prac była książka *Technika czytania a czytelnictwo* (Warszawa 1938). W latach 1938–1939 redagowała pismo młodzieży szkolnej „Młody Spółdzielca”; pisywała artykuły i reportaże do prasy spółdzielczej; redagowała popularne kalendarze książkowe „Społem”. W czasie wojny wstąpiła do AK i na tajnych kompletach uczyła historii i języka polskiego. Brała udział w powstaniu warszawskim. Wspomnienia powstańcze opublikowała w 1947 roku w książce *Ludzie walczącej Warszawy*. Po zakończeniu wojny znalazła się w Niemczech i zgłosiła się do służby w szkolnictwie wojskowym dywizji gen. S. Maczka. W latach 1946–1947 była nauczycielką propedeutyki filozofii w Liceum I. Dywizji Pancerniej w Niemczech (w Quackenbruck). W 1947 roku wyjechała do Wielkiej Brytanii. Zamieszkała na stałe w Anglii i rozpoczęła pracę w Londynie jako kierownik kulturalno-oświatowy w hostelach polskich dla rodzin wojskowych (1948–1951). Odbyła roczny kurs bibliotekarstwa w North Western Polytechnic w Londynie. Od 1951 pracowała jako nauczycielka w polskich sobotnich szkołach, studiując i pracując fizycznie. Podjęła próby stworzenia nowej, ułatwionej metody nauki czytania po polsku, czemu służyły opracowane przez nią elementarze i podręczniki z cyklu „Bawię się i czytam”. Publikowała w fachowej prasie emigracyjnej: „Przewodniku Kulturalno-Oświatowym” (wyd. YMCA), „Wychowaniu Ojczystym”, które współredagowała w latach 1969–1983 (wyd. Polska Macierz Szkolna) i innych. Była członkiem United Kingdom Reading Association oraz Guild of Teachers of Backward Children. Należała również do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Była autorką kilkunastu podręczników i elementarzy do nauki czytania i pisania, a także książek dla dzieci ułatwiających zabawę i naukę. W 1961 roku opublikowała też *Przyjdę i zagram... Obrazek sceniczny o młodym Chopinie*, a w 1965 rozdział w pomnikowej *Literaturze polskiej na obczyźnie 1940–1960* pod redakcją Tymona Terleckiego, poświęcony „Literaturze dla dzieci i młodzieży”. W roku 1988 w Warszawie wydane zostały książki do nauki języka polskiego pt. *Uczę się i bawię* autorstwa Hanny Dobrowolskiej-Bogusławskiej dla dzieci Polonii rozrzuconej po całym świecie.

W Archiwum Emigracji znajduje się list córki Hanny Bogusławskiej, Ewy Barker z 22 października 2001 r., z którego można dowiedzieć się o okolicznościach wyjazdu obu kobiet z Polski. Tekst jest ważny zwłaszcza w kontekście książki Bogusławskiej *Na ruchomym gruncie*, postrzeganej jako autobiografia. Tymczasem Ewa Barker pisała:

w książce [Mama] opisuje śmierć ukochanego męża. W rzeczywistości przeżyła taką śmierć, ale był to brat, ukochany, Lech Dobrowolski, który zmarł w marcu 1945. Zmienił się też szczegóły osobiste, ale obserwacje społeczne i polityczne, postacie spotykane w podróży przez krajobraz tych czasów, to wszystko jest zaobserwowane wiernie.

Dalej czytamy:

były też powody osobiste wyjazdu z Polski, o których HB zawsze milczała publicznie. W roku 1939 wyszła za męża. Mąż nazywał się Stanisław Wolski, ale już przed urodzeniem córki (Maji) w marcu 1940 małżeństwo się rozleciało. Gdy dziecko miało rok, ojciec porwał je i umieścił u drugiej żony. Wszystkie fotografie ojca mojego (nazywałam się wtedy Maja) rozdała HB detektywom szukając mnie. W końcu, po roku, odnalazła mnie i odebrała. Było wiele kłopotów, spraw sądowych... Niestety szczegółów już nie mogę dokładnie opowiedzieć. [...] HB podejrzewała że to jej własny mąż podał jej nazwisko do NKWD i robił ciągłe kłopoty jej ojcu. Były nawet sugestie że denuncjował wrogów osobistych do Gestapo. Nigdy nie mogłam tego sprawdzić, ani potwierdzić, ale póki on żył (zmarł zdaje się w 1980 r.) nie było mowy o powrocie do kraju. Bardzo się go bała. W roku 1946 nie było mowy o legalnym wyjeździe z Polski. Miałyśmy wyjechać z Gdańska do Szwecji pod węglem. Zdaje się, że wsadzają podróżujących do dużego pudła i zakopują węglem. Potem odkopują jak już statek jest na morzu. To się nie udało, bo zachorowałam na odrę. Następny plan przewidywał wyjazd przez Szczecin do Berlina. Jechało się na barce. Mały holownik ciągnął ze sześć lub osiem takich kanałami. Pamiętam dobrze drogę do barki. Szło się przez miasto, potem jechało stateczkiem, potem znowu pieszo do miejsca gdzie małą łódeczką marynarz z barki przywiosłował do nas aby zabrać nas do siebie. Na barce był „gospodarz” z żoną. Byli Niemcy. „Pasażerów” było kilku, nie pamiętam dokładnie ile, ale poza mną i mamą jeszcze dwie albo cztery osoby. Niestety, holownik jakoś nie dochodził. Czekaliśmy na tej barce coraz dłużej. Zdaje się, dłużej niż tydzień. Mama wypisała adresy kontaktów w Berlinie na skrawkach materiału i wyszła w podszewkę mojego pałta. Napisała list po niemiecku i dała mi go z instrukcją, żeby „w razie czego” wręczyć go Panu Gospodarzowi. Musiała wrócić do portu po żywność, bo jedzenia na barce zaczęło braknąć. Powoli traciliśmy towarzyszy podróży. Ludzie zmieniali plany, słyszeli o jakiś innych możliwościach, odchodzili. Tylko mama i ja zostałyśmy na barce. Pewnego wieczoru, mała Maja (aha — Maja miała się od tej pory przeobrazić w Ewę — a Pani Wolska w Panią Bogusławską, dla bezpieczeństwa) więc mała Ewa, nudząc się strasznie z tych długich dni na pokładzie unieruchomionej barki, urządziła na pokładzie operę. Garstka guzików służyła jako postacie grające wszystkie role a Ewa śpiewała za nich pełnym głosem, po Polsku, wśród wieczornej ciszy. Dopiero po kwadransie ktoś się zorientował, że polskie dziecko na niemieckiej barce może wyglądać podejrzanie, i wciągnęły mnie pod pokład. Następnego dnia była inspekcja milicyjna. Matka była schowana pod deskami podłogi. Mnie kazano nie mówić ani słówka. Jakoś nikogo nie złapali. Może komuś ktoś coś zapłacił. Mama znów musiała wrócić do portu po zapasy. Ubrała się „po niemiecku” nakupowała jadła, wracała przez miasto pieszo. Na brzegu przy łódeczce, która miała zabrać ją do barki stał rosyjski żołnierz — czy może żandarm. Aresztował ją. Tego wieczoru posłali holownik i cały komplet barek ruszył. Pamiętam niepokój, z jakim siedziałam, owinięta w koc, na pokładzie. Zdawałam sobie sprawę, że ruszamy w świat, a mama nie wróciła. [...] Pytałam się potem mamy jak się wydostała. Opowiedziała mi bajkę, że na barce Niemcy sprzedawali jakiś ładny serwis porcelanowy, i tym serwisem i złotą obrączką „wykupiła się”. Miała szczęście, trafiła na „pocziwszego” milicjanta, puścił ją.

Ruszyła do Berlina za dzieckiem. W Berlinie odnalazła Ewę w sierocińcu prowadzonym przez zakonnicę. Marynarz z barki zajął się obcym dzieckiem i opiekował, a następnie dostarczył je pod

wskazany adres w Berlinie. Stamtąd trafiła do sierocińca, gdzie mogła liczyć na wyżywienie i dach nad głową. Znalazłszy córkę Hanna (już wtedy) Bogusławska wyruszyła z Berlina kierując się do strefy brytyjskiej, w której stacjonowały polskie oddziały 1. Dywizji Pancерnej gen. Stanisława Maczka.

Tym razem jadąc jako mydło ciężarówką — pisała Ewa. Ciężarówka okryta, ludzie schowani tuż za kabiną. A stosy pudeł z towarem z tyłu zakrywały „prawdziwy towar”.

Dojechały bezpiecznie.

Mirosław A. Supruniuk
(na podstawie relacji Ewy Barker)

POETA I NAUKOWIEC

JÓZEF BUJNOWSKI (1910–2001)*

Dziesięć lat temu — podczas uroczystości nadania i wręczenia Józefowi Bujnowskiemu nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości literackiej — starałam się uzasadnić szerszym warstwowi naszego społeczeństwa emigracyjnego słusność tego wyróżnienia i omówić przede wszystkim jego twórczość poetycką, biorąc pod uwagę cechy charakterystyczne każdego tomiku, a było tych tomików wtedy trzynaście. Teraz jest ich piętnaście plus krótka powieść poetycka *Koła w Mglawicach*, gdzie inferno ziemskiego koszmaru drugiej wojny światowej przeplata się w onirycznych wizjach z przemożną troską i potrzebą serca i duszy poety o ocalenie błękitu nieba (Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1993). Za chwilę spróbuję wyjaśnić te słowa, które na razie brzmią trochę enigmatycznie. Powiedziałam też wtedy, że profesor Bujnowski jest jednym z filarów naszego życia kulturalnego na emigracji, a szczególnie nauki polskiej. Może tym razem powinnam zamienić określenie „na emigracji” na coś innego, ale nie zmieniam, bo jako poeta nadal jest emigrantem ze swoich stron ojczystrych, mimo że jego poezja dawno już przekroczyła emocjonalnie i intelektualnie granice zarówno jego regionu, jak i Polski. Nigdy zresztą nie pokrzykiwał poetycko czy inaczej czegoś w rodzaju: „albośmy to jacy tacy chłopcy kresowiaci!” Poczynał sobie Bujnowski w młodym wieku chwacko, i to, uff — z grubej rury — ale o sztukę mu chodziło, o Sztukę. Awangardową. Tam, na Wileńszczyźnie (w Braślawiu), gdzie wydał przed wojną swoje pierwsze tomiki poetyckie. Pierwszy, *Pęknięty tor* (1937 r.), drugi *Pięścią w twarz — kwiatami pod nogi* (1939 r.).

Tytuły są co najmniej zastanawiające jak na poetycki debiut; oba tomiki są bowiem przejawem buntu skierowanego przeciwko tradycyjnej poezji. Buntu jawnego a nawet programowego, gdyż poeta był wówczas prezesem „Klubu Błękitnych”, którego program pokrywał się w pewnej mierze z тезami Awangardy Krakowskiej z tym, że „Błękitni” szerzej pojmowali swoją awangardowość, i ich dewizą było nie uznawanie struktur zamkniętych ustalonych konwencji, a każdy nowy temat winien był przynosić ze sobą jedyną i niepowtarzalną strukturę. Nazwa klubu „Klub Błękitnych” brzmi niewinnie i nie zapowiada buntu, a pochodziła od błękitu nieba symbolu sztuki, pojęcia raczej szerokiego. Jesteśmy teraz w Anglii i gdyby to ich „niebo” podciągnąć pod idiom angielski *the sky is the limit* dla określenia ich creda poetyckiego, to okazałoby się, że ambicje mieli duże, żeby nie powiedzieć nieograniczone. Organem klubu było pismo literackie „Smuga”.

W swoim drugim tomiku (bo w pierwszym lepiej się zachowywał) Bujnowski drwi, kąsa, miażdży, pluje, pokonuje, uderza pięścią (metaforyczną) a także bagnetami słów. Walczy. Ale nie cały tomik jest taki agresywny. Obok tych wierszy ostrych, zawziętych są i wiersze, że tak powiem „normalne”, a nawet powiem więcej — piękne np. „Zwidzeniem zjawiam się” lub „Podkowa”. Wydaje nam się, że robi to po to, żeby nam pokazać, że umie pięknie pisać, jeżeli ma na to ochotę. Ale Bujnowski nam to wyjaśnia wierszami „Schizofrenia” i „Schizofrenia II”, że — mówiąc metaforycznie — cierpi na rozdwojenie jaźni, że jest ich dwóch, że mają różne twarze (no, nie tylko twarze), że są razem skuci i zawsze rozdarci. Tak, to nam trafia do przekonania; człowiek czujący i myślący nie może być monolitem.

I odtąd już zawsze będziemy mieli ich dwóch. Z przewagą jednak poezji awangardowej, lecz pozbawionej już agresywnego tonu wczesnych tomików, którym epatował czytelników w latach 30. W miarę upływu czasu, jako poeta już nie tylko *natus*, który zasmakował w etosie awangardy, po skosztowaniu przedtem futurizmu, a po drodze różnych „izmów” (np. nadrealizmu), ale i jako poeta *doctus* świadomie ustawił swój warsztat poetycki w stronę, od której przyszło nowe, a może przede wszystkim chodziło tu o wyakcentowanie najistotniejszych potrzeb, przeżyć i uczuć współczesnego człowieka przy użyciu najmniejszej ilości słów. To nowe, jest już stare, bo od paru pokoleń jest chyba niemal powszechnym sposobem tworzenia poezji. I odbioru. Kiedy współczesna poezja przejęła rolę królowej nauk, filozofii. I kiedy Nagrodę Nobla dają nie za poezję piękną, lecz za jej problematykę metafizyczno-egzystencjalną, za dążenie do poznania istoty, zasad i struktury bytu, prawdy, praw

rzządzających człowiekiem itd. Bujnowski czuje się w tym nurcie jak ryba w wodzie. Buntem nie najeżają mu się słowa, kiedy pisze o przemijaniu, w tomiku *Spod Gwiazdozbioru Wielkiego Psa* (LSW, Warszawa 1987) pisze natomiast: „że trzeba zrozumieć porządek rzeczy”.

Józef Bujnowski urodził się w roku 1910 na Wileńszczyźnie, w Okolicy-Rudawie, gdzie rodzina Bujnowskich miała własne szlacheckie gniazdo (cytuję samą siebie, bo od niego, tego wroga życiorysów, niczego się przecież nie dowiem, czy to był majątek czy folwark czy pałac). W Wilnie, na Uniwersytecie Stefana Batorego studiował filologię polską, napisał pracę magisterską i zaczął pracę doktorską pod kierunkiem profesora Manfreda Kridla. Poglądy i metody profesorów Wóycickiego i Kridla ukształtowały w jakimś stopniu osobowość i późniejszy kierunek zainteresowań naukowo-badawczych Bujnowskiego, które zresztą poszerzył później o własne przemyślenia i osiągnięcia. Obaj wyżej wymienieni profesorowie wpłynęli też na jego profil poetycki.

Najkrócej mówiąc i upraszczając dałoby się może podsumować postawę naukową i poetycką Józefa Bujnowskiego następująco:

1. Badania nad literaturą jako taką, czyli nad twórczością artystyczną wyrażoną w słowach, a nie nad życiem prywatnym literatów i wpływem ich życiorysów na jakość słowa poetyckiego.
2. Analiza utworów pod kątem ich wartości estetycznych, pod kątem ich struktury, a nie zajmowanie się wartościowaniem utworów literackich, szczególnie z punktu widzenia ich przydatności narodowej czy też tzw. zamówienia społecznego.
3. Służebność sobie a muzom (wierność sobie?), a nie służebność wobec idei/ideologii pozaliterackich.
4. Bunt przeciwko tradycyjnej poezji.
5. Awangardowość i związane z nią eksperymentowanie słowem, formą i układem graficznym wiersza.

Wydaje mi się, że o to chodzi w badaniach naukowych Bujnowskiego, a także że taka jest właśnie jego poezja. Trudna raczej, zwięzła, bez ornamentów. Oczekuje współpracy od swego odbiorcy. Oczekuje nowoczesnego poglądu na współczesną poezję. Domaga się od odbiorcy intelektu. Nie stara się manipulować emocjami czytelnika nadużywając np. słów: ojczyzna, ojcowizna, wolność. Jest w głównym, wiodącym nurcie tej poezji jakaś uczciwość, wierność sobie, która nie chce zejść z raz obranej drogi, nawet za cenę rezygnacji z popularności i oklasków.

Jako pedagog i naukowiec Józef Bujnowski przekroczył emigracyjne bariery, (jako poeta częściowo także, chociaż tu przeszkadza dodatkowa bariera językowa). Karierę pedagogiczno-naukową rozpoczął od szkolnictwa średniego w Polsce, następnie kontynuował we Włoszech i w Anglii, a ponad trzydzieści siedem lat pracował jako wykładowca, następnie profesor, dziekan, członek Senatu akademickiego i konsultant na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie. Przez lat bez mała dwadzieścia był chyba najbardziej kompetentnym i prężnym dziekanem Wydziału Humanistycznego naszego Uniwersytetu. Napisał wiele cennych prac naukowo-badawczych i był promotorem wielu prac naukowych. Był organizatorem Kongresów Kultury Polskiej na Obczyźnie i wkład naukowy jego samego był w tych kongresach niebagatelny. Jest autorem wielu esejów, szkiców literackich, prac krytycznych i niezliczonych artykułów w periodykach literackich i w prasie codziennej. Do najważniejszych jego prac należą: dwa eseje o Wyspiańskim — „Wyspiański spętany” i „Tragiczny Don Kichot” (1957); „Ostatnie lata życia i twórczości Juliusza Kadena-Bandrowskiego” (1965); „The origins of Polish Literature” (1967); „Zygmunt Lubicz-Zaleski — życie i twórczość” (1969). Do większych rozpraw należą: „Esej, szkic literacki i krytyka artystyczna w literaturze polskiej na obczyźnie 1940–1960” (Londyn, 1964). Był to wkład autora do *Literatury polskiej na obczyźnie* pod redakcją Tymona Terleckiego; praca ta ukazała się też osobno, jako nadbitka. W tej ostatnio wymienionej pracy sumiennie i z dużą znajomością przedmiotu badań z zacięciem kronikarza wymienił, wyliczył i zobrazował wszystkie najważniejsze przejawy życia literackiego na emigracji w ciągu 20 lat. Dwadzieścia lat, to tyle — ile liczyła sobie Polska tzw. międzywojenna — od odzyskania niepodległości do wybuchu wojny w 1939 roku. Następnie ważną pracą Bujnowskiego były „Przemiany we współczesnej poezji polskiej” (Zeszyt Naukowy nr 5 Wydziału Humanistycznego, PUNO, 1968), gdzie z kolei pomógł nam się zorientować w gąszczu tajników warsztatów poetyckich naszych czasów, z rzutem oka wstecz celem ukazania nam w sposób analityczny procesu przemian. Przy okazji zapoznał nas z nazwiskami nowych poetów. O przemianach w literaturze i w polskiej poezji informował nas parokrotnie i w późniejszych szkicach poświęconych temu zagadnieniu. Inną ciekawą pracą Bujnowskiego były „Niektóre uwagi o tzw. IV systemie wersyfikacyjnym” (1973). W 1969 r. Bujnowski był też chyba jedynym na

naszym terenie znawcą „Poezji Konkretnej”, której poświęcił obszerny szkic opublikowany w kilku krajach (np. w Anglii, w Holandii i w Polsce). Szkice te, np. „Przemiany w polskiej poezji poza granicami kraju” (Prace Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie, Londyn 1988), miały tę zaletę, że były napisane przystępnym i żywym językiem, mimo naukowej treści. Niektóre jego prace z zakresu metodologii i teorii literatury były tłumaczone na języki obce: holenderski i niemiecki. Brał czynny udział w międzynarodowych kongresach i sympozjonach poświęconych literaturze polskiej. Był na Kongresie Polonistów w Warszawie we wrześniu 1998 roku, aczkolwiek ze względu na stan zdrowia nie brał w nim czynnego udziału. Zorganizował od podstaw filologię polską na uniwersytecie w Amsterdamie, a następnie wykładał tam przez osiem lat literaturę polską i teorię literatury. Kontakty naukowe i personalne z uniwersytetem w Amsterdamie utrzymuje do dzisiejszego dnia. Wykładał także przez jeden semestr na uniwersytecie w Heidelbergu. Był też przez jakiś czas wykładowcą literatury polskiej w School of Slavonic & East European Studies Uniwersytetu Londyńskiego. Był współredaktorem i współpracownikiem czasopism literackich i jest członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego w Londynie oraz członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Świadoma rezygnacja z podpierania się życiorysami innych twórców literatury w badaniach naukowych jest cechą charakterystyczną prac z zakresu historii i teorii literatury Bujnowskiego. Sam badacz bowiem nie ma powodu do uciekania od własnego życiorysu. Powołaniem jego była poezja; poczynając od poezji bardzo zbuntowanej, buńczucznej, agresywnej, potem ironicznej, następnie mocno eksperymentalnej, później refleksyjnej (rzadziej na smutno, częściej z domieszką humoru lub ironii, w tym także autoironii) i ostatnio pełnej zadumy nad życiem i przemijaniem. Nadal pisze wiersze, nadal tworzy poezję. Dlaczego więc mówię „że powołaniem jego była poezja” w czasie przeszłym? Bo chcę wrócić do jego życiorysu. Że nie miał powodu od niego uciekać. Od swego życiorysu. Spełnił swój obowiązek Polaka i obywatela z nadwyżką. Walczył w 1939 r. w obronie Lwowa. Aresztowało go NKWD, był w niewoli sowieckiej, uciekł z niewoli, był w ZWZ (Związku Walki Zbrojnej), znowu dostał się w łapy NKWD, więzienie i łagier i znowu ucieczka, ale tym razem do formującego się w ZSRR wojska polskiego. I potem 2. Korpus, 5. Kresowa Dywizja Piechoty. Oficer biorący udział w bitwach o Monte Cassino, Ankonę, Senio. Nie głaskało go życie po głowie przez tych kilka lat, a i potem też nie od razu, chociaż w porównaniu z piekłem sowieckich więzień i łagru, a także z takim Monte Cassino, na którym wtedy nie było wolnego centymetra kwadratowego na czerwone maki — późniejsza praca w szkolnictwie średnim, a z czasem w akademickim to było tak zwane małe piwo. Może dobrze, że Jego tu nie ma na sali, może by się boczył, że mu wchodzi „w życiorys”? Profesor był promotorem mojej pracy doktorskiej, w której zajęłam się poezją. Była to praca „zdalnie kierowana”, bo wykładał wtedy w Amsterdamie. Porozumiewaliśmy się listownie. Jeżeli za długo nic nie mogłam z siebie wykrzesać dostawałam od Profesora list-upomnienie, który składał się z daty, „Droga Pani Alicjo!”, dużego znaku zapytania i podpisu „J. Bujnowski”. Ta metoda skutkowałam Zasiadałam do maszyny do pisania do trzeciej rano. Gorzej bywało z metodą badań naukowych, bo ja nie wyszłam ze szkoły Kridl/Bujnowski. Dość późno do mnie dotarło, że to nie jest zła metoda, a na razie chciałam postawić na swoim. Śmieszne, prawda? Jakoś przebrnęliśmy przez te ciężkie czasy. On ze mną, a ja — wstyd się przyznać, bo co to za porównanie — z Nim. Teraz wiem, to znaczy już od dawna wiem, że to były dobre czasy i że miałam świetnego promotora

Nie jestem odosobniona w tym mniemaniu, że był świetnym promotorem, nauczycielem i profesorem. Inni Jego studenci i uczniowie też tak czują i myślą. Spotkałam wielu, tutaj i w Polsce. I nie tylko eks-studenci. W ubiegłym roku państwo Anna Maria Grabania i Frederick Richards, po dokonaniu selekcji utworów poetyckich i faktów z życia Profesora, zorganizowali wieczór, w ramach Teatru Małych Form, w języku angielskim pt. „Impressions”, poświęcony w całości Józefowi Bujnowskiemu. Wieczór ten odbył się 23 września 1997 w Instytucie Kultury Polskiej, przy Portland Place w Londynie i był nadzwyczaj udany. Brytyjscy aktorzy grali i recytowali znakomicie polskiego autora. Słowo zajaśniało błękitem.

Alicja H. Moskalowa (Wielka Brytania)

Kpt. prof. dr (hab.) Józef Bujnowski zmarł spokojnie w domu, w Londynie, po długiej chorobie 15 lutego 2001 r. W pogrzebie (26.2.01) wzięli udział, oprócz najbliższej rodziny, przedstawiciele środowisk naukowych, kulturalnych, kombatanckich, a przede wszystkim liczni eks-studenci.

TADEUSZ CHCIUK — MICHAŁ LASOTA — MAREK CELT

(1916–2001)

Dziesiątego kwietnia 2001 roku zmarł w Monachium Tadeusz Chciuk. Jego śmierć nie była dla mnie zaskoczeniem. O tym, że próbuje się „uporać z chorobami”¹ pisał do mnie już w maju 1995 roku w odpowiedzi na prośbę o wspomnienie o jego młodszym bracie Andrzeju. Gromadziłam wówczas materiały do jego biografii i bardzo liczyłam na pomoc Tadeusza².

„Cieszę się ogromnie, że pisze Pani pracę o naszym Jędrku i dziękuję Pani za to. Może się jeszcze «pozbieram» na czas i dorzucę coś do tekstu Pani książki, zobowiązać się jednak po harcersku nie mogę — tłumaczył się. — Gdyby Panią losy mogły zanieść do Celtowa, sprawa mogłaby się łatwiej posunąć do przodu. Mam mnóstwo zdjęć, pamiątek, artykułów, listów, które by się Pani mogły przydać”³ — dodawał zachęcająco.

Do naszego spotkania doszło w marcu 1996 roku. Przesiedzieliśmy w domu przy 13 Nikolau Müller Str. w Planegg pod Monachium, przy stole pełnym papierów i albumów z fotografiami kilka dni. Opowieść Tadeusza o Drohobyczu i o rodzinie Chciuków była jednocześnie opowieścią o nim samym. Życiorys, który poznałam, okazał się równie ciekawy, jak życiorys Andrzeja.

Tadeusz Tomasz Chciuk urodził się 17 października 1916 roku w Drohobyczu jako jedno z pięciorga dzieci Marii (z domu Śpiewak) i Michała Chciuków (Andrzej był od niego młodszy o trzy i pół roku). Po ukończeniu czteroklasowej Szkoły Powszechnej im. S. Konarskiego przeszedł do Państwowego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły, w którym w maju 1935 roku zdał maturę. W gimnazjum działał w harcerstwie (doszedł z czasem do stopnia harcmistrza), w kole PCK, w Sodalitacji Mariańskiej, w kółkach naukowych, w chórze i orkiestrze. Pisywał do szkolnego czasopisma „Młodzież”. Był hokeistą, szachistą i narciarzem. Po maturze podjął studia na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie uzyskując w czerwcu 1939 roku tytuł magistra praw. Ukończył także średni kurs Konserwatorium Muzycznego im. K. Szymanowskiego we Lwowie. Wcześniej uczęszczał do Szkoły Muzycznej im. M. Łysenki w Drohobyczu. Kierował męskim chórem „Echo”, który pod jego batutą odniósł sporo sukcesów.

Po wybuchu wojny przedostał się wraz z bratem Andrzejem i lwowskim batiarem Tońkiem Krasulskim na Węgry. Jako kurier Związku Walki Zbrojnej przemierzał górskie szlaki pomiędzy Węgrami a okupowaną przez Sowieców wschodnią Małopolską przeprowadzając przez granice między innymi żołnierzy do odradzającego się we Francji Wojska Polskiego. O przeżyciach z tego okresu, przyjaźni z innymi kurierami, z których większość przepadła w sowieckim nie-świecie, napisał książkę *Biali kurierzy* (1986), za którą otrzymał nagrodę SPK.

„Po to mnie, zapewne, Bóg pozostawił na tej ziemi, abym groby naszym przyjaciomom usypował choć z drukowanych liter, abym utrwał ich nazwiska dla ludzkiej pamięci”⁴ — pisał w posłowniu do pierwszego oficjalnego wydania w Polsce. Publikacja tej książki dała impuls do wznowienia poszukiwań najmłodszego z białych kurierów — Władysława Ossowskiego, który w chwili wpadki w ręce NKWD miał czternaście lat. „Mały Władzio” odnalazł się cudem po pięćdziesięciu latach w głębi Rosji. Podobne poszukiwania innych zaginionych nie dały efektu.

Po przedostaniu się na Zachód Tadeusz Chciuk otrzymał przydział jako ochotnik do artylerii 3. Dywizji. Po upadku Francji dostał się koło St. Nazaire na brytyjski kontrtorpedowiec i wylądował w Plymouth. W Szkocji ukończył Szkołę Podchorążych Artylerii.

W grudniu 1941 roku jako kurier rządu gen. Sikorskiego został zrzucony na terytorium oku-

¹ List T. Chciuka z 15 V 1955 r. (z archiwum autorki).

² Biografia Andrzeja Chciuka (B. Zongołowicz, *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*) ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie w 1999 r.

³ Tamże.

⁴ M. Celt, *Biali kurierzy*. Warszawa 1992 s. 348.

powanej Polski. Była to jedna z najwcześniejszych i najtragiczniejszych w skutkach operacji spadochronowych (operacja „Jacket”). Z sześciu skoczków zrzuconych pomyłkowo tuż za granicą Generalnej Guberni dwóch zginęło w dniu zrzutu, a pozostałych czterech — w tym Tadeusza Chciuka — wzięła do niewoli niemiecka straż graniczna. Udało im się jednak po ostrym starciu z Niemcami dotrzeć do Warszawy i wykonać powierzone zadania. Ten skok T. Chciuk opisał jako Marek Celt w *Koncertcie. Opowiadaniu cichociemnego*, które po raz pierwszy ukazało się w londyńskim miesięczniku „Nowa Polska” w 1945 roku⁵.

W okupowanej Polsce T. Chciuk pracował w biurze delegata rządu Cyryla Ratayskiego prowadząc rozmowy z działaczami podziemia, kontaktując się z organizacjami politycznymi, z Armią Krajową i Batalionami Chłopskimi, ze stronnictwami politycznymi, z organizacjami harcerskimi.

Droga powrotna zabrała mu dwanaście miesięcy. Szedł przez Słowację, Węgry, Chorwację, Włochy, Szwajcarię, Francję, Hiszpanię, Gibraltar. We Francji PCK, a właściwie Groupement d'Assistance aux Polonais en France (GAPF), umożliwiło mu spotkanie z uwięzionym w Tuluzie Andrzejem. W Hiszpanii sam wpadł i jako szkocki pilot James Huges spędził kilka miesięcy najpierw w więzieniu w Geronie, a następnie w obozie koncentracyjnym w Miranda de Erbo, z którego udało mu się wydostać dzięki pomocy obozowego lekarza. Wszystko to opisał w książce *Raport z podziemia — 1942* (Monachium 1990).

Po powrocie do Londynu, w czerwcu 1943 roku, otrzymał nominację na szefa kurierów w MSW. Jesienią tego samego roku został członkiem zespołu tajnej rozgłośni polskiej „Świt” w Bletchley. W kwietniu 1944 roku ponownie znalazł się w kraju. Polecił jako emisariusz premiera Mikołajczyka. Do Anglii wrócił w lipcu tego samego roku trzecim „Mostem” z największą w dziejach podziemia pocztą od Delegatury Rządu na Kraj dla centrali. Podczas tej akcji miał również pod opieką Tomasza Arciszewskiego, desygnowanego na następcę prezydenta RP i Józefa Retingera, wysłannika rządu z Londynu, a jednocześnie najstarszego (wówczas 56-letniego) cichociemnego. Tą samą Dakotą lecieli oficerowie AK ze zdobytymi przez wywiad planami i częściami rakiety V 2.

W grudniu 1945 roku T. Chciuk pojechał do Polski w charakterze sekretarza Misji ds. Demobilu, gdzie został aresztowany wraz ze świeżo poślubioną Ewą Lovellówną („Ewamoją” — jak ją nazywał), jako rzekomy agent Intelligence Service i wypuszczony po dwóch miesiącach na skutek silnych nacisków z zewnątrz.

Szykanowany i nakłaniany do współpracy przez ówczesnego zastępcę komendanta wojewódzkiego UB w Krakowie, Józefa Światło, uciekł z żoną i półtoraroczną córeczką jesienią 1948 roku do Francji, gdzie w trudnych warunkach spędzili trzy i pół roku i gdzie urodził im się pierwszy syn. Aby utrzymać rodzinę T. Chciuk sprzątał sklepy, pomagał przy wysyłce paczek dla głodnego wówczas Izraela, zbierał makulaturę. Jednocześnie wstąpił do PSL na Uchodźstwie, został prezesem okręgu Paryż, redagował „Biuletyn Informacyjny PSL we Francji”.

W 1952 roku przeniósł się z rodziną do Monachium i podjął pracę w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, w której przepracował ponad 30 lat. Słuchacze RWE zapamiętali go jako Michała Lasotę. Był kierownikiem działu wiejskiego, pisał i nagrywał komentarze, audycje harcerskie i słuchowiska. Pracę w rozgłośni zakończył na stanowisku wicedyrektora w 1983 roku.

Otrzymał wiele odznaczeń i orderów, wśród nich Order Virtuti Militari klasy V za działalność kurierską, dwukrotnie Krzyż Walecznych, Krzyże Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich oraz Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta. Ten ostatni — nadany przez prezydenta Lecha Wałęsę — został mu wręczony na początku grudnia 1994 roku w Konsulacie Generalnym RP w Monachium.

Przez wiele lat był prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech, kierownikiem i dyrygentem kościelnego chóru polskiego „Lutnia”. Od 1981 roku pełnił funkcję prezesa samodzielnego Oddziału b. Żołnierzy AK w Niemczech.

W październiku 2000 r. przysłał mi kartkę z życzeniami na Boże Narodzenie. „Droga Chciukom — Miła! — napisał drobnym maczkiem — Piszę życzenia już dziś, bo boję się, że w tzw. międzyczasie może się zdarzyć coś nieprzewidywanego, choć od dawna przewidywanego. Pomyślności, ZDROWIA, na B.N. I N.R.”⁶. Na Wielkanoc 2001 r. kartka nie przyszła. Zdarzyło się to „od dawna przewidywane”.

⁵ T. Chciuk wszystkie wspomniane w tym tekście książki, a także nie wymieniony *By Parachute to Warsaw* (Londyn 1945) wydał pod pseudonimem Marek Celt.

⁶ Kartka świąteczna T. Chciuka z 28 V 2000 r. (z archiwum autorki).

Z okazji uroczystości nadania Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta, Tadeusz Nowakowski napisał „Alfabet Celta”, który pozwałam sobie niniejszym przytoczyć w całości, mówi bowiem o Tadeuszu Chciuku wszystko.

Alfabet Celta

A — Tadeusz to żywa antyteza samochwalstwa pamiętnikarskiego, uosobienie skromności. Nasz rzetelny świadek Historii nie przepycha się łókciami na narodowy Panteon.

B — Barski Konfederat Semper Fidelis. Fideista — w najlepszym słowa znaczeniu, a więc bez zacierzwienia.

C — jak Cichociemny. Emisariusz, legendarny tytuł. Przywodzi na pamięć tradycje łączności między okupowanym Krajem a wolnym światem.

D — Drohobyckie dziecię. Światło dzienne ujrzał na ziemi w talenty urodzajnej. Dość wspomnieć o Kazimierzu Wierzyńskim czy Brunonie Schulzu. Genius Loci zobowiązuje.

E — Ewy mąż, wzorowej towarzyszką życia.

F — Frankofil, ale umiarkowany. Czteroletni byt emigranta polskiego we Francji nie był łatwy.

G — Główny obrońca chłopów, gospodarki indywidualnej, zagrożonej przez kolektywizację.

H — Harcmistrz idealny, taki z harcerskiego hymnu: „Wszystko co nasze Polsce oddamy”. Czuwaj druhu hufcowy, bo czasy nadal niespokojne.

K — Kurier. Podobnie jak Lerski, jak Karski — należy do legendy Polski Podziemnej. Jak sam wspomina, na nartach, szczytami i dolinami Bieszczadów chodził z Budapesztu do Lwowa i z powrotem, jako kurier pod okupację sowiecką. Pod okupację niemiecką służył z nieba z Anglii... i z powrotem. Udało się to przez całą wojnę i aż do roku 1948, kiedy trzeba było uchodzić za granicę.

L — Ludowiec. W tym samym stopniu pryncypialny co liberalny. Działacz PSL-u. Mąż zaufania premiera Mikołajczyka. Tadeusz, dziś udekorowany, przeszło połowę życia poświęcił sprawie wsi. Można go uważać za duchowego spadkobiercę Witosa.

M — Muzycznie uzdolniony, krzewiciel pieśni, dyrygent chórów polskich, m.in. w Monachium.

N — Niepodległościowiec, a więc romantyk, taki co domaga się Ojczyzny Wolnej, całej i Suwerennej.

O — Orędownik tych, którzy „żywią i bronią”, szczerzy demokratą, wyżej stawiający ideały solidarnej wspólnoty nad złudne uroki wodzostwa.

P — Pamiętnikarz. Prawdomówny, rzetelny, szlachetne pióro.

R — Radiowiec z powołania. Pracował przez jakiś czas w radiostacji „Świt” w Anglii. Przez długie lata nasz kolega po piórze i mikrofonie, współtworzył Wolną Europę.

T — Towarzysz broni w radiowej batalii o przyszłość Kraju, jeden z pierwszych komandosów w okopach zimnej wojny. 3 maja 1952 roku puszczaliśmy pospołu „Głos Wolnej Polski” na fale eteru. Tadeusz Chciuk i jego dwaj dobrzy znajomi, a więc: Marek Celt i Michał Lasota, stając się stałymi gośćmi w wielu tysiącach polskich domów, zasłużyli się sprawie wolności.

W — Więzień Mirandy, obozu we frankistowskiej Hiszpanii. I... Wyrwałość (też „W”), wytrwały piechur, który „Drogą przez Wieś” przez wiele lat maszerował „do Kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów Nieba”.

I szczęśliwie doczekał się spełnienia marzeń.

I na koniec litera **Ż**. Tytuł najcenniejszy: Żołnierz Polski Walczącej! W tym duchu pozdrawiam Cię, Drogi Komandorze. Szczęść Boże! I *ad multos annos!*⁷

Bogumiła Żongołłowicz (Melbourne)

⁷ Kopia utworu przesłana przez T. Chciuka (z archiwum autorki).

ODSZEDŁ Z KLANU CHORYCH NA WOLNĄ POLSKĘ

TADEUSZ ANDRZEJ GŁOWACKI (1917–2001)

Po długiej chorobie odszedł śp. Tadeusz Andrzej Głowacki (ur. 30 IX 1917 w Krakowie, zm. 20 VIII 2001 w Sztokholmie) nasz Przyjaciel i Kolega, działacz społeczny oraz mecenas kultury polskiej w Skandynawii. Po śmierci żony Zofii z Czajkowskich w 1995 r., byłej więźniarki Ravensbrück, zdrowie jego podupadało coraz bardziej. Potomstwa nie pozostawił.

W chwili wybuchu II wojny światowej był radiotelegrafistą w sztabie Dowództwa Floty kontradmirała Józefa Unruga na Helu i stamtąd poszedł do niewoli. Po udanej ucieczce z obozu jenieckiego w Niemczech w 1944 r. i z pomocą Tajnej Organizacji Polskiej „Felicja” przez Danię przedostał się do Szwecji. Zgłosił się ponownie do czynnej służby i został skierowany do ataszatu wojskowego Poselstwa RP w Sztokholmie, gdzie przebywał aż do przejścia do cywila w 1946 r.

Po wojnie podjął studia inżynieryjno-techniczne w zakresie konstrukcji maszyn. Specjalizował się w limnologii oraz produkcji papieru. Uzyskał szereg patentów w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii oraz w Ameryce Północnej. W karierze zawodowej pełnił stanowisko naczelnego inżyniera oraz doradcy technicznego szwedzkich koncernów. W latach 1958–1985 był także właścicielem firmy inżynieryjno-technicznej.

Fascynowało go badanie historii Polski. W ramach Instytutu Polsko-Skandynawskiego (IPS) specjalizował się w zakresie mniejszości narodowych na ziemiach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Pomagał materialnie w wydawaniu i redagowaniu biuletynu Koła Lwowian „Głos Lwowa” i „Wiadomości Polskich” w Sztokholmie oraz „Kroniki poświęconej sprawom polskim” w Kopenhadze.

Emigracyjny horyzont Tadeusza Głowackiego obejmował wspólnotę emigracji niepodległościowej od Skandynawii i kontynentu europejskiego do Ameryki Północnej. Brał czynny udział na forum Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Stowarzyszenia Marynarki Wojennej, Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata, Komitetu na Rzecz Wolnej Polski w Skandynawii oraz Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji.

Dzięki szerokim kontaktom w szwedzkich sferach politycznych i wojskowych (pplk Obrony Terytorialnej), przychodził z pomocą naszej emigracji. W 1970 r. uratował majątek Rady Uchodźstwa Polskiego, co umożliwiło powstanie istniejącego do dzisiaj Ośrodka Polskich Organizacji Niepodległościowych (OPON) w Sztokholmie; „Wiadomości Polskie” stały się wówczas ponownie miesięcznikiem i organem Rady. W 1973 r. założył wydawnictwo „Kronika”, które w 1985 r. weszło w skład IPS z siedzibą w Kopenhadze i kierował nim do 1993 r. będąc równocześnie redaktorem jego publikacji.

Był twórcą (pomysłodawcą, budowniczym i fundatorem) pierwszego pomnika Katyńskiego na Zachodzie, który w 1975 r. stanął w Sztokholmie oraz prezesem Komitetu Katyńskiego (1975–1985). Rozrzucenie z samolotu ulotek w języku szwedzkim „Na powitanie Gierka” przez Tadeusza Głowackiego w Sztokholmie w 1975 r. przeszło do legendy.

Wspierał POSK w Londynie, był jego gorącym orędownikiem i jednym z pierwszych fundatorów. Swoją cegiełkę fundacyjną dołożył do Fundacji Jana Pawła II w Rzymie, wspomagał Kościół w różnej formie (m.in. Jasną Górę, Bibliotekę KUL).

Powstanie „Solidarności”, a następnie wprowadzenie stanu wojennego w PRL wzmogło jego działalność na rzecz ruchów niepodległościowych w Kraju. Został przedstawicielem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) na Skandynawię, oraz wydatnie brał udział w akcji pomocy materialnej więźniom i internowanym oraz ich rodzinom w Polsce. Wspomagał Komitet Obrony Robotników (KOR), Komitet Katyński w Krakowie, a później Polski Uniwersytet w Wilnie i materialnie akcję „Polacy w Kazachstanie”.

W 1985 r. uczcił pamięć swoich rodziców założeniem naukowej Fundacji Instytutu Polsko-Skandynawskiego. Z ramienia Instytutu przez kilka lat troszczył się o polskie zbiory w Muzeum Pamięci Wojny NCzK w Narwiku, oraz zaprojektował i ufundował epitafium wymieniające imieniem wszystkich poległych członków załogi ORP „Grom” we fiordzie Rombak.

Tadeusza Głowackiego charakteryzowała ogromna dynamika, młodzieńczy sprzeciw oraz zamiłowanie do dobrej organizacji i nie uchylanie się od praktycznej działalności. Był prawdziwym działaczem oraz ofiarnym człowiekiem, realistą wierzącym w ideały.

Był wszędzie tam, gdzie podejmowano działania na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości oraz upamiętniające zarówno wojenny, jak i pokojowy czyn żołnierza polskiego — czyn Drugiej Wielkiej Emigracji.

Był sceptyczny wobec odznaczania osób spośród emigracji za ich działalność, którą uważał za służbę na rzecz niepodległej Polski. Cenił sobie jednak społeczne wyróżnienia: Wielki Krzyż Kombatancki Światowej Federacji SPK (Londyn), Honorową Nagrodę „Złotej Róży” Towarzystwa Miłośników Nauki i Sztuki (Kopenhaga) i Order Międzynarodowego Związku Kawalerów Białego Krzyża za udział w pomocy humanitarnej w okresie stanu wojennego w PRL. Instytut wyróżnił swego wielkiego Donatora Medalem Pro Meritis.

Wraz z odejściem Tadeusza Głowackiego niepodległościowa społeczność polska w Skandynawii utraciła jednego z najbardziej konsekwentnych w swej postawie patriotycznej, działaniu i wielkiej ofiarności przedstawiciela elity niezłomnych na Zachodzie do czasu uwolnienia się narodu polskiego od kurateli sowieckiej.

Pożegnano go 14 IX mszą św. w katolickiej kaplicy na cmentarzu Norra w Solna k. Sztokholmu. W uroczystości wzięli udział: konsul i attaché wojskowy RP w Sztokholmie, przedstawiciele Instytutu Polsko-Skandynawskiego w Kopenhadze oraz miejscowych organizacji kombatanckich i społecznych a także przyjaciele, składając głęboką cześć Jego pamięci ufni, że miłosierny Pan przyjmie Go do siebie.

Eugeniusz S. Kruszewski (Dania)

ZDZISŁAW JAGODZIŃSKI

(1927–2001)

Poniższy szkic to zaledwie krótka osobista winiетка o osobie Zdzisława Jagodzińskiego, bibliotekarza, bibliografa, bibliofila, miłośnika literatury pięknej, a nade wszystko człowieka polskich Kresów Wschodnich. Szczególnie okolic Krzemieńca na Wołyniu skąd pochodził. To pochodzenie, dokładnie z Białokrynicy koło Krzemieńca, nadało barwy jego postawie jako człowieka i zakolorowało całe jego życie. Każda konwersacja z nim, literacka czy polityczna, czy nawet emigracyjna, zwykle obracała się w końcu wokół losu Polaków z Kresów. Tych co tam zostali, tych, których tak jak jego, Sowieci wywieźli w głąb Rosji po 17 września 1939 roku, i tych którzy zostali na Zachodzie. Był szermierzem specjalnie tych ostatnich, którzy wyszli z Rosji z armią gen. Andersa, przeszli akcje wojenne 2. Korpusu i znaleźli się w Anglii albo w innych krajach Zachodu. Nie zapominał też nigdy o tych, którzy nie doszli do armii polskiej w Rosji i zostali na „posiołkach” w Kazachstanie i innych odległych republikach tego kraju. Wszystkim pisarzom, dziennikarzom, redaktorom i historykom, i tym którzy nie dość, w jego mniemaniu, poświęcali uwagi Polakom kresowym i ich dziejom, nigdy nie darował, ostro polemizując gdzie tylko mógł. Miał dzięki temu wielu wiernych czytelników.

Dr Jagodziński miał różne znamienite cechy charakteru. Jako bibliotekarz i bibliograf miał świetną pamięć. Lubił katalogi wydawnictw, które cytował z pamięci kiedy pytano go o nowe wydawnictwa krajowe. Znał też zawartość zbioru Biblioteki Polskiej, a co ważniejsze, doskonale wiedział czego w niej nie ma i gdzie można daną książkę znaleźć. Jako recenzent literacki, miał wycucie dobrego stylu choć cenił często dość zawikłane rozumowania polityczne, wytykając autorom błędy w nie dość pozytywnym traktowaniu ważnych zagadnień wschodniej, przygranicznej Polski. Jako doradca historyków poszukujących materiałów do prac naukowych umiał wskazać pułapki archiwalne i przestrzegać przeciwko łatwym wyrokom bez odpowiednich dowodów rzeczowych. Jako juror nagród (braliśmy obaj udział w naradach jury Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i jury Nagrody Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego), był sumienny w ocenach uznając kryteria merytoryczne na równi z tym co mu przypadło do gustu. Tu znowu jego zawsze bezkompromisowa postawa co do — jak mówił — nie dość pozytywnego nastawienia Polaków na uchodźstwie do „ziem wschodnich”, miała swoje miejsce. Ponieważ nagroda PFK była przeznaczona na prace historyczno-polityczne, dzieła dotyczące tychże „ziem wschodnich” były często i licznie reprezentowane. Tu Jagodziński działał jako rzeczoznawca. Jako pisarz, czy może raczej autor dokumentów historycznych, czy dziennikarz, pozostawił po sobie interesującą pracę *Anglia wobec sprawy polskiej w okresie Wiosny Ludów 1848–1849*, wydanej w Warszawie w 1997 r. Było to jakoby przypomnienie historyka stosunku Anglii do naszych spraw sto lat temu. Zdawało się, że miał na końcu języka pytanie: „co się zmieniło?...”.

Choć widywałem go dość rzadko, istniała pomiędzy nami nić przyjaźni. Nie trzeba było jej nigdy przypominać, choć wiedzieliśmy obaj, że tem jej była postać mego ojca, jednego z założycieli Związku Bibliotekarzy Polskich w wolnej Polsce po pierwszej wojnie i autora „biblii” tego zawodu „Życia Książki”. Nić ta nigdy się nie przerwała. Od czasu do czasu odbierałem dowody jego życzliwości w mojej pracy. Biblioteka była warsztatem jego życia. On sam był częścią życia polskiego w Londynie i jego aktywnym uczestnikiem. Spotykając go w różnych londyńskich instytucjach mówiliśmy niezmiennie o przyszłości tych instytucji, a specjalnie przyszłości Biblioteki Polskiej. Jej szef nie był optymistą co do tej przyszłości. Był, jak sam o sobie mówił, realistą. Głos miał zwykle przyciszony i smutny. Myślę, że chciał wierzyć, że przyszłe pokolenia Polaków na obczyźnie będą miały dość zapału by te instytucje utrzymać. Dlatego bronił zawsze swojej nieustępliwiej pozycji w sprawie nie wysyłania do kraju materiałów archiwalnych publicznych ani prywatnych. Ale czy rzeczywiście wierzył? Nie było by może od rzeczy, znając jego nastawienie do powojennej historii Polski, uznać, że jego kategoryczna postawa co do archiwów była zgodna z jego głębokim przeświadczeniem, że Polska wyszła z ostatniej wojny niesprawiedliwie okrojona. Że nie było już w niej jego „ziem wschodnich”.

Krzysztof Muszkowski (Wielka Brytania)

MECHANIZM PRZYJAŹNI

JAN KOTT (1914–2001)

— Janku! — wołam nie pytając kto mówi, gdy podnoszę słuchawkę i słyszę „Dzień dobry!”. Głos jest rozpoznawalny skądkolwiek dochodzi, może to być Polska, Japonia, czy dzisiaj Kalifornia.

Tak samo bez żadnych wątpliwości Jan Nowak-Jeziorański poznawał ten głos w Monachium za czasów Wolnej Europy, gdy usłyszał w telefonie: „Zdzisiek?”. Nie był to szyfr, wtedy zrozumiały, tylko przyzwyczajenie szkolne, gdy Zdzisław Jeziorański i Jan Kott siedzieli koło siebie w gimnazjum Mickiewicza w Warszawie.

By nie narazić przyjaciela z PRL, Nowak tajemniczo umawiał się z nim na spotkanie w jakimś bezpiecznym miejscu, z czego Kott, beczelny w swojej odwadze, która mu dobrze służyła za niemieckiej okupacji, trochę się podśmiewał. Choć należeli w tamtych złych czasach do wrogich sobie światów, ich zaufanie było wzajemne. Z początkiem okupacji, w mieszkaniu gdzie Kott ukrywał się z żoną, któregoś dnia zjawił się „Zdzisiek”, by zapytać czy i jak mógłby im pomóc.

Poznałam Kotta z początkiem lat 70., gdy redagowałam „Wiadomości”. Przyjechał do Londynu ze Stanów, gdzie był profesorem na nowojorskim uniwersytecie i miał przyjść wieczorem do redakcji.

Czekałam na to spotkanie z wielką treścią. Choć minęło już wtedy jakieś 10 lat od ukazania się w Anglii jego rewolucyjnych szkiców o Szekspirze (*Shakespeare — our contemporary*), Kott był nadal „współczesny” w Anglii. Wciąż traślałam gdzieś na jego nazwisko. Na przedstawieniu *Burzy*, na które poszliśmy ze znajomymi Anglikami, w programie przytoczono zdanie o tej sztuce Coleridge’a, Shawa i Kotta, czym natychmiast pochwaliłam się naszym towarzyszom. W encyklopedii Pearsa, która co roku wypuszcza nowe wydanie i bez której nie pracuje żaden angielski dziennikarz, czytam, że znakomity reżyser Peter Brook w swej interpretacji Szekspira „wiele zawdzięcza Janowi Kottowi, polskiemu krytykowi i profesorowi literatury, który...” itd. Jakaś statystyka informuje, że żadna z tysięcy książek, napisanych o Szekspirze w całym świecie, nie rozeszła się w takiej ilości egzemplarzy, jak przełożony na 30 języków *Szekspir* Kotta. A oto Kott na zdjęciu w gazecie z modną młodą aktorką, Helen Mirren, której przepowiada się wielką przyszłość; gdzie indziej ktoś dowodzi, że Graham Greene myślał o nim w swym „Honorowym Konsulu”, pisząc, że „Szekspir unikał mówienia o współczesnej polityce... Historia była dla niego środkiem do tego, co nazywam abstrakcją polityczną”.

(Jeszcze dzisiaj, teraz gdy to piszę, czołowy dramaturg angielski, Tom Stoppard — Czech z pochodzenia — poskarżył się w wywiadzie radiowym, że jego sławna później pierwsza sztuka *Rosenkrantz i Guildenstern nie żyją* nie mogła liczyć po premierze na należyte powodzenie, gdyż sensacją był wtedy w Londynie *Król Lear* w interpretacji Kotta.)

Więc gdy wielki profesor Kott zapowiedział, że przyjdzie do redakcji, nie wiedziałam jak sobie z tą wielkością poradzę, zwłaszcza, że byłam nastroszona politycznie.

Staął na progu, i było tak jakbyśmy się znali od dawna. Bez oficjalnych ceregieli towarzyskich, pocałował mnie na przywitanie i od razu zaczął mi mówić po imieniu. Byłam zachwycona.

„Mechanizm historii”, jaki pokazał w swoim *Szekspirze*, Janek w stosunkach z ludźmi umiał przerobić na własny „mechanizm przyjaźni”, działający ponad wszelkimi granicami i różnicami.

W „reakcyjnych” „Wiadomościach”, ja, z miejscem w peerelowskiej czarnej księdze cenzury, prowokacyjnie ubrana na czerwono na to pierwsze spotkanie, śmiałam się razem z nim, gdy mi opowiedział jak kiedyś po reportażu z kopalni węgla w Polsce, napisanym w odpowiednio partyjnym duchu, przyjechał do Anglii, gdzie zamiast wrażeń teatralnych czekał na niego program wielkiej tury po kopalniach, przygotowany przez zapraszających go Anglików.

Miewałam do niego różne pretensje. Wychowana w kulcie Prusa przez wielkiego jego znawcę, prof. Zygmunta Szweykowskiego, który mnie uczył w gimnazjum, wypominałam Jankowi co wypisywał marksistowsko o *Lalce*. I co mówił o tym. I jeszcze o czymś innym. Ale jednocześnie pamiętałam jak przemawiał do tysięcznego tłumu studentów w Politechnice Warszawskiej po Październiku 1956. I że wystąpił z partii komunistycznej, z którą był związany nie oportunistycznie

od wojny, jak tylu innych, ale od wczesnej młodości. Nieraz mi się później wydawało, że on sam, wyrafinowany intelektualista, sceptyk, dziwił się jak mógł być tak zauroczony fałszywą wiarą.

W latach 70. dużo pisał do „Wiadomości” i później te eseje o greckiej tragedii, o „esencji teatru”, poczynając od japońskiego do Ionesco i Kantora, ukazywały się zebrane w angielskich książkach i różnojęzycznych przekładach. Ale on zawsze pamiętał i przypominał, że „Wiadomości” były jedynym pismem, gdzie mógł być wtedy drukować po polsku.

Lubiłam dobierać do jego tekstów ilustracje, które doskonale wychodziły na błyszczącym papierze pisma. Buszowałam po muzeach i antykwiariatach w ich poszukiwaniu, wyciągałam je ze zbiorów mego męża, czasem pomagał mi w potrzebie Topolski, który nieodmiennie odpowiadał, gdy dzwoniłam: „Przyjdź do pracowni i wybierz sobie co zechcesz”. I tak esej Kotta o *Rewizorze* był ilustrowany rysunkami Feliksa do dekoracji tej sztuki w londyńskim teatrze.

Każda przesyłka z Kamiennego Potoku (na jaki przemienił swój Stony Brook) wywoływała w redakcji radość i lekką panikę. Esej, wiadomo, będzie piękny, ale jak do niego dotrzeć, jak przebić się przez maszynopis, najgorszy w świecie? Bez marginesów, bez odstępów, pisany na kulawej maszynie i z poprawkami nieczytelnym pismem, wciśniętymi w każdy wolny skrawek papieru.

Te maszynopisy, po których poznałabym autora, nie przeczytawszy jeszcze słowa, świadczyły o jego absolutnej pogardzie dla przyziemnych szczegółów, które niepotrzebnie odrywają tylko myśl od jej biegu. Ważne jest to co ma do powiedzenia i nie będzie sobie zwracać głowy drobiazgami. Żona, mądra Pani Lidia uśmiecha się: „Janek jest encyklopedią niedokładnych wiadomości”. Trochę w tym prawdy, ale z poprawką: on wie, ale nie będzie sprawdzał. Szkoda czasu, gdy można myśleć i pisać dalej. Od poprawiania są inni. Więc sprawdzałam daty, tytuły, odnośniki, czasem coś więcej.

Był zdumiewająco „łatwym” autorem, wzorem dla innych, mniej ważnych, upierających się przy swoim, nawet przy swoich błędach*. Gdy znalazłam u niego cytat z Moliera po angielsku, srogo zwróciłam mu uwagę, że może być tylko albo po polsku, albo po francusku. Odpisał mi rozbrajająco: „Myślałem, że sama to znajdziesz po polsku”. W Londynie! Moliera po polsku! I to bez podania tytułu sztuki!

Tylko raz poważnie mi się naraził. Wpadłszy do Londynu w drodze do Stanów, opowiedział mi, że w Paryżu był zaproszony do znakomitej restauracji. Zagrały moje pasje kulinarne. „Do której?”. Nie pamiętał. Trudno. I tak nie pójdę. Ale najważniejsze: „Co było do jedzenia?” „No, jakaś ryba, mięso i chyba coś słodkiego...” Do dzisiaj mu tego nie przebaczyłam.

Ze spokojem znosił moje adiustatorskie narzekania i nawet uparcie powtarzane apele „Pisz po ludzku”. Było to głównie w fazie jego fascynacji modą na strukturalizm, semiologię, semiotykę, te wszystkie umysłowe akrobacje amerykańskich przemądrzalców, w których Kott, zawsze czuły na nowinki, z pasją uczestniczył. Oczywiście nie próbowałam dyskusji, bezradna w tej lingwistycznej stratosferze. Tylko raz, w zapale rozmowy w jakimś londyńskim pubie, gdy powiedział, że bez tych nauk nie można zrozumieć *Dziadów*, pamiętając jego zachwyty nad *Dziadami* od młodości, o czym mi sam opowiadał, zapytałam jak mógł tak je uwielbiać, gdy się jeszcze nie śniło o tych teoriach. Wielki Profesor nie znalazł odpowiedzi, co mu się nieczęsto zdarzało.

W swym życiu, tak bogatym, że zrobiło niemal *thriller* z jego autobiografii, Janek nagromadził więcej przyjaciół, niż udało się to zrobić wielu mniej kontrowersyjnym ludziom. Nie pogubił ich po drodze przez wszystkie lata wędrówek po świecie i odmian losu. Jest im wierny czy żyją, czy już tylko pamięć po nich została. Pisz do nich, interesuje się ich życiem, pisze o nich, pamięta.

Pamiętają go też nie tylko oni, ale i tacy, którzy tylko przewinęli się przez jego życie. Do Londynu przyjeżdżają czasem dawne studentki, starsze panie z Warszawy, z Wrocławia, gdzie był profesorem i na dźwięk jego nazwiska, rozmarzają się: „Ach, profesor Kott...”. Dyskretnie nie zadają pytań. Dziś nie rusza się z Kalifornii, uwięziony tam wyrokiem lekarzy, którzy nie pozwalają mu na podróże po rekordowej ilości zawałów. A tak chciałby choć raz jeszcze pojechać do Polski. Tylko tam jest u siebie.

Czasem dostaję list, czasem odzywa się telefon. Podnoszę słuchawkę, słyszę „dzień dobry” i wołam z radością — „Janku!”

Stefania Kossowska (Wielka Brytania)

* Raz poprawiłam komuś cytat ze Słowackiego, sprawdziwszy w oryginale, na co autor tekstu gwałtownie zaprotestował, że on pamięta jak powinno być, i wycofał artykuł — obrażony.

ARTYSTA GRAFIK — FILOZOF

PIOTR ŁABUŻEK (1924–1998)

Retrospektywna wystawa prac Piotra Łabużka, pseudonim artystyczny Baro, w Bibliotece Narodowej w Kopenhadze (27 VIII–6 X 2001) była w pewnym sensie oficjalnym pożegnaniem Artysty przez ludzi sztuki i prasy w Danii. Otwarcia wystawy dokonał dyrektor i przedstawiciel duńskiego ministra kultury, prezes Muzeum Grafiki Prasowej wygłosił specjalistyczny referat, a niżej podpisany scharakteryzował artystę na tle dziejów powojennej Polski i emigracji¹. Baro odszedł tak nagle, że trudno było się z tą myślą oswoić, iż już go nie ma wśród nas. Przez 40 lat był jednym z tych, którzy wzbogacali swą oryginalną twórczością duńską i europejską kulturę, zwłaszcza w zakresie rysunku prasowego.

Z urodzenia białostoczanin studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w latach 1944–1947. Na studia przyjął go bez egzaminu rektor Eugeniusz Eibisch, a profesorami byli reprezentanci postimpresjonistycznego koloryzmu Hanna Cybis Rudzka i Zbigniew Pronaszko oraz należący do grupy Awangardy i Formy, Zygmunt Radnicki. Piotr Łabużek jeszcze jako młody adept malarstwa i grafiki, z powodzeniem próbował swych sił w słownym przekazywaniu myśli. Krytyk literacki, prozaik i tłumacz Artur Sandauer pochlebnie wyraził się o jego pisanej twórczości — zwięzły język podobny do uznanych pisarzy amerykańskich². Zwyciężył jednak przekaz graficzny z podtekstem filozoficznym, który na początku prezentował i zabawiał czytelników „Przekroju” Mariana Eilego.

Żakowskie lata w Krakowie także pod względem osobistym okazały się szczęśliwe — spotkał wybraną i towarzyszkę życia Barbarę Konweczyńską, koleżankę, studentkę Akademii. Próby ustabilizowania swego życia w Krakowie, Łodzi i w Warszawie nie udawały się. Specjaliści zachwycali się niejednokrotnie oryginalnością twórczości artystycznej — grafiką prasową i użytkową, plakatami i ilustracjami książkowymi, ale przełożeni z namaszczeniem monopartii (pomiędzy im obojgu życie. Poczucie bycia wolnym człowiekiem miało dla nich bezcenną wartość. Wspomnijmy (nie tylko na marginesie), że do rzadkości należało, by pismo o wysokim nakładzie było kierowane przez bezpartyjnych redaktorów naczelnych (poza prasą katolicką), a wyjątkiem był, do czasu, naczelny redaktor „Problemów” Józef Hurwic i wspomniany wyżej Eile³.

Baro rysował w „Szpilkach”, dla „Świata Młodych” i „Sztandaru Młodych” oraz „Żołnierza Polskiego”. Był ilustratorem książek dla oficyny „Książka i Wiedza”, Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego (WAG) i „Nasza Księgarnia”. Mimo talentu, twórczość pisarska pozostała z różnych względów na marginesie. Publikował na łamach „Odrodzenia”, ilustrowanego tygodnika „Świat”, młodzieżowego „Dokoła świata” i angielskojęzycznego „Poland”.

Artysta nie mógł narzekać na brak zainteresowania swoimi pracami, a co za tym idzie — na warunki ekonomiczne. Był jednak stale pod presją i naciskami politycznymi dyspozycyjnych wobec monopartii przełożonych. Przypomnijmy, że w latach 1948–1956 szybko zmieniające się warunki społeczno-polityczne oraz cenzura stwarzały coraz trudniejsze życie, zwłaszcza dla ludzi myślących i mających ambicje samodzielnego pójścia przez życie i robienia kariery tylko własnym talentem i wysiłkiem.

Wobec nieudanej próby okazania się w PRL-u obywatelem godnym zaufania, ofiarowującym swój talent narodowej i europejskiej kulturze bez błogosławieństwa PZPR — małżeństwo Łabużków w 1957 r. „wybrało wolność”. Duma naszej przedwojennej floty pasażerskiej, transatlantyk „Batory” w drodze do Nowego Jorku (zanim Stany Zjednoczone wprowadziły zakaz przybywania statku) przeniósł naszych bohaterów z południowych na północne wybrzeża Bałtyku. Będąc faktycznie w drodze do Ameryki, małżeństwo zdecydowało się jednak opuścić statek w Kopenhadze,

¹ Na podstawie dokumentacji przechowywanej w archiwum Instytutu Polsko-Skandynawskiego w Kopenhadze.

² P. Baro, *Oleodruk*, *Odrodzenie* (Warszawa) 1949 nr 9 s. 5 (ilustrował Jan Lenica).

³ J. Hurwic, *Wspomnienia i refleksje: szkic autobiograficzny*. Toruń 1996 s. 67.

która stała się odtąd ich przystanią na dobre i na złe. Chęć życia w niezależności i wolności była silniejsza od „przywilejów” narzuconej dyktatury.

Jeszcze w tym samym roku Stefan Bratkowski i Ryszard Wiśniowski relacjonowali to wydarzenie w artykule „70 z Batorego” dziwiąc się, że zrobili tak nierozważny krok⁴. Jak wiadomo, od tego czasu nie tylko Bratkowski, ale i inni zmienili zdanie...

Amerykańskie marzenia Baro zostały wkrótce zrealizowane, ale już z Kopenhagi. Po kilku miesiącach pobytu w Danii Łabużkowie wyruszyli na podbój Ameryki. Mając zapewnioną możliwość powrotu do Danii, także do pracy w redakcji, mogli jako wolni obywatele podjąć dowolną decyzję. Po kilku tygodniach powrócili, a duńskie otoczenie ze zdziwieniem usłyszało, iż ich „marzenia i rzeczywistość jaką zastali w Stanach Zjednoczonych zbytnio odbiegały od siebie, by mogli pozostać tam na stałe”. Zresztą Baro już na początku emigranckiej drogi wyłożył swoją filozofię życiową na łamach skandynawskich pism⁵.

Nawet w tak trudnym położeniu w jakim się znalazł, zachował zimną krew i optymizm. Jednemu z pierwszych rysunków w kopenhaskim dzienniku „Politiken” nadał tytuł „Niezwyczajne czasy”. Karykatura przedstawia pasażera z „Batorego” wychodzącego z nadbrzeża portowego do miasta z trzema kapeluszami na głowie, dwiema walizkami w ręku, klatką z kanarkiem itd. Stojący na wachcie marynarz (czytaj — agent SB) pyta: — Czy tak dużo trzeba zabierać na zwiedzanie miasta? Na to pasażer: — Nigdy nie ma się pewności jaka będzie pogoda!⁶

Mimo wielu przeszkód, jakie napotyka każdy emigrant, Baro miał jednak niezaprzeczalny atut — młodość oraz niezachwianą wiarę i wolę urzędzenia sobie życia na własnych, a nie narzuconych warunkach. Mimo trudności, zwłaszcza dla artystów w wolnym świecie, Baro potrafił zainteresować swoją twórczością. Jego talent został bardzo szybko dostrzeżony w nowym środowisku i już wkrótce otrzymał pracę w swoim zawodzie. Nigdy też nie korzystał z zasiłku dla bezrobotnych czy pomocy socjalnej. Przez czterdzieści lat był w stołecznych dziennikach stałym prasowym rysownikiem-komentatorem: „Information” (1957–1964), „Berlingske Tidende” (1966–1972), „Politiken” (1979–1994), „Det frie Aktuelt” (1995). Tematyka obejmowała od zagadnień etycznych i moralnych (manipulacja genami) poprzez prawa człowieka i skutki ruchów rewolucyjnych (sowiecka okupacja państw bałtyckich, Powstanie Węgierskie, rozruchy studenckie 1968 r.) do bieżących zagadnień społeczno-politycznych (usprawiedliwianie zbrodni niemieckich czy sowieckich, integracja Europy). Tak aktualne problemy, jak ochrona środowiska, integracja przedstawicieli różnych kultur, brak obiektywizmu w mediach i inne, które są w dalszym ciągu dyskutowane, miały z reguły filozoficzną puentę. Artysta miał wyjątkową ostrość spojrzenia na otaczający go świat i głębokie poczucie sprawiedliwości. Prace Baro są oryginalne w swoim przekazie artystycznym, niełatwe w odbiorze i pobudzające do refleksji. Dodajmy, że nie wykonywał on rysunków do artykułów, ale według własnej wizji. Duńczycy określali je jako „filozofujące”. Okazjonalnie ukazywały się jego rysunki w duńskich i zagranicznych pismach satyrycznych, jak francuski „Crises” i „Le Rire”. Poza tym, tak w kraju jak i w Danii, projektował szereg plakatów, w tym filmowych⁷.

Baro ma także swój udział w projektowaniu okładek oraz ilustrowaniu książek duńskich pisarzy (Tove Ditlevsen, Bjarne Gaardsvoll, Robert Siveberg, Ingeborg Suhr i inni). Wraz z żoną ilustrował podręczniki szkolne (Gjellerup, Munksgaard), w tym trudne dla artysty podręczniki do matematyki. Ich popularność wskazywała jednak, że zdołał pokonać przeszkodę i przeniknąć psychikę młodzieży. Dość oryginalne zamówienie, dotyczące zilustrowania rozprawy doktorskiej z zakresu psychiatrii (Jörgen Jung, „Psychologist and Patient”), otrzymał w 1996 r. z Uniwersytetu w Bambergu (Niemcy).

W pewnym okresie Baro zajmował się także grafiką użytkową — dekorowaniem ceramiki i projektowaniem opakowań towarów. Wielkim osiągnięciem było uzyskanie zlecenia na dekorację artystyczną wagonów najnowocześniejszego pociągu kolejowego, będącego jednocześnie duńskim produktem eksportowym. Wówczas „Politiken” napisała, że redakcyjny kolega „będzie miał swój

⁴ S. Bratkowski, R. Wiśniowski, 70 z „Batorego”, Nowa Kultura 1957 nr 48 s. 2,5.

⁵ P. Baro, *Vi ønsker braendende at saeette børn i verden*, Dansk familieblad (København) 1957 nr 42 s. 20–21; P. Baro, *Min flugt fra Batory*, Dansk familieblad (København) 1957 nr 46 s. 2–3, 7, 13, portret; P. Baro, *En Polakks vei til friheten*, Vi menn (Oslo) 1957 nr 15 s. 15, 29, 31–32, portret.

⁶ Politiken (København) wrzesień 1957.

⁷ W dziedzinie plakatu będąc w kraju współpracował z Antonim Uniechowskim (np. plakat do filmu „Dumna królowa”).

własny pociąg”⁸. Na milenium chrześcijaństwa w Polsce (1966) zaprojektował plaketkę (zaczek) cieszący się wielką popularnością wśród emigracji i Polonii, a dzisiaj stanowiący cenny polonik. Motywem są najstarsze stolice biskupie — duńską przedstawia katedra w Roskilde, a polską katedra w Gnieźnie — oraz polski herb narodowy. Ta różnorodność dziedzin i przedsięwzięć artystycznych świadczy nie tylko o talencie, lecz także o szerokich zainteresowaniach.

Baro był artystą o unikalnym stylu — pełnym symboliki, figur geometrycznych, prostych kresek, a zarazem nadzwyczaj kompleksowych i surrealistycznych rysunków. Jego figury fascynują, ale nie stają się powszechną własnością. Przekazywany dowcip często wymaga od czytelnika czy widza pogłębienia tematów, które są w większości ponadczasowe.

Jednocześnie z pracą artystyczną Baro przekazywał swoje doświadczenia młodym adeptom sztuki jako wykładowca w zakresie „znaku i formy” w Wyższej Szkole Graficznej w Kopenhadze (1969–1979), gdzie zyskał uznanie za umiejętności pedagogiczne. Był kandydatem na profesora kopenhaskiej Akademii, ale los nie pozwolił mu na zajęcie tego stanowiska.

Jest autorem czterech książek specjalistycznych w języku duńskim na temat perspektywy, trójwymiarowości obrazu, rysunku prasowego i karykatury⁹. W jednej z nich mówi: „dawniej upatrywałem w rysunku satyrycznym broń przeciwko złu, a nie komentarz do popełnianych błędów. Dzisiaj ta funkcja się zmieniła i jest faktem, że rysunek nie ma sędzić i karać, ale stawiać diagnozę i leczyć”. Jak możemy się domyślać od czasu wyjazdu z Polski artysta nie tylko rozwinął swój talent i warsztat, ale widać także znaczące zmiany w poglądach na otaczający go świat.

Artysta miał wystawy w szeroko znanym w Europie Muzeum Fundacji Carlsberga (1982), na 10-lecie Muzeum Karykatury w Warszawie (1988). Kilkakrotnie brał udział w biennale w bułgarskim Gabrowie (House of Humour and Satire) w latach 1988–1999, gdzie ostatni raz jego rysunki wystawiono już pośmiertnie wśród prac 56 artystów z 15 krajów. Na jubileuszową wystawę w Warszawie pt. „Świat się śmieje” został zaproszony przez Eryka Lipińskiego przesyłając wówczas swoje trzy prace.

Na zapytanie dziennikarza Lipiński podał wówczas „przepis” na zrobienie dobrej wystawy: „Do udziału w niej zaprasza się najlepszych artystów i mistrzów karykatury z całego świata. Dokłada się do tego czołówkę karykaturzystów polskich. Rezultat — nadesłano prace 200 rysowników z 33 krajów”¹⁰.

Oficyna „Politiken” uhonorowała Baro w dziele *Historia Politiken 1884–1984*. W ten sposób został włączony jako jedyny Polak w poczet duńskich rysowników i karykaturzystów prasowych, który rozpoczyna się Peterem Ch. Klastrupem (1820–1882), autorem słynnej karykatury filozofa Sørensa Kierkegaarda¹¹. Natomiast polski fotografik (były student anglistyki UW) osiadły w Danii uwiecznił Baro portretem w albumie, w którym wśród 41 „imigrantów” jest także książę małżonek królowej Danii — jak wiadomo z pochodzenia Francuz¹².

Baro stworzył sobie w Danii świat daleki od wychodźczego getta i był jak swego czasu Konstanty Brandel w Paryżu. Nie wiem czy rektor krakowskiej Akademii Sztuk w 1944 r. podobnie jak wcześniej Julian Fałat wołał do młodzieży „przysięgajcie wierność sztuce, kochajcie naturę”, ale Baro wraz z żoną byli wierni temu przesłaniu. Mieszkając w pełnym uroku zakątku największej wyspy duńskiej Zelanii tworzyli wspólnie jedyne w swoim rodzaju rysunki i ilustracje. Baro miał znaczący wkład w kulturę tego kraju oraz zyskał uznanie w Europie, ale co ważniejsze — utrzymał w warunkach bardzo silnej konkurencji swoją artystyczną i osobistą niezależność.

Od czasu wyjazdu PRL-u nie odwiedzał, natomiast po 1990 r. do Polski nie powrócił. Spoczął w ziemi duńskiej na cmentarzu w Hoersholm. Nagrobek został wykonany na podstawie przygotowanego przez niego szkicu. Jego twórczość powstała na emigracji złożono w duńskim Muzeum Grafiki Prasowej Biblioteki Narodowej w Kopenhadze oraz w Archiwum Emigracji w Toruniu.

Eugeniusz S. Kruszewski (Dania)

⁸ Politiken (København) 8.01.1991 s. 2–3.

⁹ Baro *tebner. Strange cartoons*, København 1959; *Perspektiv og tredimensional billedannel-se*, København 1979; *Bladtegning i funktion*, København 1986; *Bladtegning lige i øjet*, 1995.

¹⁰ E. Zieleniewicz, *Karykatura jest jak muzyka*, Kurier (Warszawa) 1988. (Ilustrowane przez Grzegorza Szumowskiego karykaturą E. Lipińskiego i rysunkiem Baro.)

¹¹ B. Bramsen, *Politikens historie set indefra 1884–1984, t. 2: 1934–1934*. København 1984 s. 490 (portret).

¹² P. Topperzer, *I Danmark er jeg*. København 1993.

KOMUNISTA DO CZASU

BRONISŁAW MOSZKOWICZ (1907–2001)

W Londynie w wieku 94 lat zmarł Bronisław Moszkowicz, autor wspomnieniowej książki *Na spotkanie rzeczywistości*, która w 1996 r. ukazała się w Wydawnictwie Polonica w Sztokholmie. Książka była przyczyną licznych swego rodzaju *qui pro quo*, gdyż bardzo często przypisywano jej autorstwo Michałowi Moszkowiczowi, synowi Bronisława, który w polskich środowiskach w Szwecji jest postacią bardzo znaną. Jeden z recenzentów, Tadeusz J. Żółciński, napisał nawet: „Gdybym nie znał jej autora, uwierzyłbym, że jest to autentyczny zapis wspomnieniowy człowieka, który urodzony z początkiem naszego stulecia, przeżył i doświadczył lata pierwszej wojny światowej, dwudziestolecia międzywojennego i drugiej wojny światowej”. Żółciński nie skojarzył, że chodzi w tym przypadku o zupełnie inną osobę, a samą książkę uznał za pamiętnikarski pastisz, który przeobraża się „w jeszcze jedną autentyczną opowieść o losach ludzi, którzy przeszedłszy gehennę wojenną na terenie Związku Radzieckiego, przestali wierzyć w wielkość komunizmu”^{*}.

Wszystko to prawda. Poza tym, że autorem książki nie był Michał Moszkowicz, ale jego ojciec, Bronisław. A są to wspomnienia jak najbardziej autentyczne. *Na spotkanie rzeczywistości* to prawdziwy, ale i stereotypowy, zapis biografii licznych szeregowych komunistów okresu międzywojennego, wywodzących się z kręgów biedoty żydowskiej.

Gdy po raz pierwszy w Warszawie zaczyna wychodzić w soboty gazeta żydowska, co było pomyślane jako bunt, wśród kolporterów ulicznych jestem oczywiście również ja — pisze Moszkowicz. — Wywołuje to wielkie poruszenie. Zostaję pozbawiony pracy. Również Ojciec bojkotowany jest przez środowisko i zarzuca mu się złe wychowanie dzieci. Wcale nie jest wykluczone, że miało to jakiś związek z późniejszym wyrzuceniem nas na bruk przez chasydzkiego gospodarza domu.

Biografia Bronisława Moszkowicza jest typowa dla jego pokolenia. Urodził się 6 maja 1907 roku w biednej rodzinie żydowskiej w Warszawie. Bardzo wcześnie zaangażował się w ruch komunistyczny i był członkiem Komunistycznej Partii Polski. Spędził dwa lata w więzieniu na Pawiaku oskarżony o nielegalną działalność. Po klęsce wrześniowej wraz z żoną i dzieckiem ucieka z Warszawy i przedostaje się do Białegostoku, a więc na tereny zajęte przez armię sowiecką. Na ochotnika zapisał się na roboty budowlane do Orska na południowym Uralu. „Wszyscy, dobrowolnie, bez żadnych nacisków, zgłosili się na ten wyjazd — czytamy w książce. — Byliśmy pełni nadziei na lepszą przyszłość”. Trafia do Magnitogorska na Uralu. Tam też urodził się później, w 1941 r., jego syn Michał. Wywózkę, skazanie na prymitywne życie, pracę ponad siły, niemożność decydowania o sobie, przyjmuje za dobrą monetę.

Lata spędzone w Sowietach to jednak dla Moszkowicza podróż na spotkanie komunistycznej rzeczywistości. I chociaż wyleczył się z komunizmu to jednak nigdy, po powrocie do Polski w 1945 roku, nie przestał być członkiem partii. Na PRL-owską teraźniejszość patrzył jednak zupełnie nowymi oczami. Najpierw mieszkał w Wałbrzychu, później we Wrocławiu. Angażuje się w ruch spółdzielczy. Na Ziemiach Zachodnich organizował Żydowskie Rzemieślnicze Spółdzielnie Pracy. Później mieszkał w Warszawie. Był prezesem — *nomen omen* — „Solidarności”, żydowskiej Wielobranżowej Spółdzielni Pracy, która istniała jeszcze w latach 70. Jeszcze przed wydarzeniami Marca 1968 roku przeszedł na emeryturę. Na stałe opuścił Polskę w 1984 r. Emigruje do Szwecji. W 1996 r., po śmierci żony, przenosi się do Londynu, gdzie mieszkają jego córki.

Ten sowiecki fragment życia, opisany w książce *Na spotkanie rzeczywistości*, wywołał pewne poruszenie. Krytycy pisali, że Moszkowicz chciał swoją książką pokazać, że los większości społeczności żydowskiej, która nie chciała zrezygnować ze swojego przywiązania do Polski, był taki

* T. Żółciński, *Kiedy byłem komunistą*, Słowo Żydowskie, 1996 nr 10–11 s. 29.

sam jak i Polaków, którzy w czasie wojny znaleźli się na terenach zajętych przez Związek Sowiecki. Z drugiej strony wypomniano autorowi, że w złym świetle przedstawia spotkanych przez siebie przed wojną żołnierzy w błękitnych mundurach z formacji generała Hellera. Większość uznała jednak książkę za rzadki dokument tamtych czasów.

Autor zachęcony dobrym przyjęciem książki, przygotował do druku kolejną, tym razem o czasach powojennych, o znanych mu działaczach partyjnych w PRL-u. Książka nigdy jednak się nie ukazała. Bronisław Moszkowicz zmarł 26 października 2001 roku w Londynie.

Tadeusz Nowakowski (Szwecja)

„KSIĘGARNIA POLSKA”

EDMUND NEUSTEIN (1917–2001)

Drugiego stycznia 1958 roku otwarta została w podziemnym pasażu budynku przy ulicy Allenby 94 w Tel Awiwie nowa księgarnia — „Księgarnia Polska” państwa Ady i Edmunda Neusteinów. Wiele — począwszy od uroczystej inauguracji zaanonsowanej uprzednio ogłoszeniem w gazecie — zdawało się zapowiadać sposoby i formy działania dotąd tu nieznanne.

Jakoż od razu ujawniła się dobra orientacja właścicieli w bieżących sprawach księgarstwa w Polsce, z którym jako niedawno stamtąd przybyli fachowcy byli obeznani.

Sprawnie i odpowiedzialnie zorganizowali czynności biurowo-handlowe, co z pewnością zadecydowało o sukcesie i działalności księgarni nieprzerwanie odtąd wyróżnia. To właśnie zapewnienie akuratajną realizację przyjmowanych zamówień na książki i czasopisma. I to wszystko było tutaj nowe i nowość ta zyskała sobie z miejsca życzliwość.

Niezauważalnie i jakoś samorzutnie stawała się księgarnia Neusteinów — z początku zajmująca mały, a następnie znacznie powiększony lokal — czymś więcej niż tylko sklepem z książkami. Pewnego rodzaju placówką kulturalną, punktem kontaktowym i uznanym miejscem spotkań.

Od pierwszej chwili była to księgarnia sortymentowa aprowizowana dostawami nowości z Polski, działająca w łączności z wypożyczalnią książek beletrystycznych. Zarazem ośrodkiem sprzedaży czasopism z Polski — i po niedługim już czasie także z emigracji. Bo to właśnie „Księgarnia Polska” włączyła w systematyczny obieg dotychczas w Izraelu nieobecne publikacje polskich wydawców z Paryża i Londynu. Spełnia też rolę — naturalną przecież w istniejącej sytuacji — centralnego dystrybutora wydawnictw polskich ukazujących się w Izraelu.

Handel książkami używanymi, głównie beletrystyką prowadzono tutaj od zawsze. Jednak dopiero po upływie dwudziestu lat — w r. 1979 — zdecydowano uruchomić z księgarnią złączony, a jednak osobny — antykwariat naukowy. Na pierwszym etapie był on zaopatrywany w książki bukinistyczne pochodzące głównie z rynku miejscowego. Niebawem przecież stało się możliwym zaopatrywanie antykwariatu u samego źródła — nabywanie również książek starych w Polsce. Co najwyraźniej asortyment niepomierne zwiększyło i zróżnicowało.

Rychło okazało się, że adresatem nie jest — istotnie kurczące — się miejscowe środowisko odbiorców, lecz nabywcy zagraniczni. Książki skomasowano w magazynach niedostępnych do wglądu. Sprzedaż prowadzono za pośrednictwem rozsyłanych katalogów. Począwszy od stycznia 1979 r. katalogi takie ukazywały się parokrotnie w roku, w sumie wydano ich ponad sto dwadzieścia — nie licząc katalogów książek rosyjskich, których sprzedażą także zajmowano się przez pewien czas. Są to zatem katalogi-cenniki polskich książek antykwarsko-bukinistycznych, a także nowych i najnowszych ze wszystkich dziedzin nauk społecznych i humanistycznych oraz literatury pięknej — książek, odbitek i nadbitek, reprintów, fotokopii różnorodnych rozprawek, a nawet i większych a trudno osiągalnych dzieł. Przeważają katalogi mieszane, towarzyszyły im jednak od czasu do czasu ogłaszane spisy tematyczne, np. z dziedziny judaiców, historii i polityki, literatury czy religii.

Ten telawiwski antykwariat jest z pewnością najzasobniejszą księgarnią tego rodzaju poza granicami Polski. Ilościowo przerasta także niejedną znaną mi z autopsji antykwariat w Krakowie i Warszawie.

Nie na tym — okazuje się — kończyła się handlowa ruchliwość Edmunda Neustaina. Sporadycznie bowiem udzielał on także dyrektyw wydawniczych lub uczestniczył w przedsięwzięciach wydawniczych — w Polsce i w Izraelu. Obok edycji w formacie miniaturowym tekstu Juliana Tuwima *My Żydzi polscy* (1988) są to reprintowe wznowienia dzieł dawnych: broszurki Józefa Wolfa z r. 1885, *Żyd ministrem króla Zygmunta* (1988), Majera Bałabana monografii *Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII wieku* (1989) oraz reportażu Ksawerego Pruszyńskiego z r. 1933 „Palestyna po raz trzeci” (1990). Koedycja słownika hebrajsko-polskiego Aleksandra Klugmana

w roku 1992, podobnie jak *Samouczka języka hebrajskiego* Szoszany Ronen i Michała Sobelmana (2000) wydaje się w tej kolekcji najbardziej naturalna.

Zatem: księgarnia sortymentowa — wypożyczalnia — antykwariat naukowy — sporadyczny wydawca...

„Księgarnia Polska” jest już jedyną polską firmą księgarską w Izraelu. Księgarnia duża i bogata, w której — powiedział niegdyś właściciel w wywiadzie prasowym — „mamy do dyspozycji czytelników ponad 30 tysięcy tomów”. A grono tutejszych czytelników i odbiorców książki polskiej topnieje, nowych zaś przybywa niewiele.

Księgarnia efektywna w swoich czynnościach nie zagrożonych konkurencją — samotna i z pewnością ostatnia. I nieustannie gościnna dla miejscowych i przyjezdnych jako polski w Tel Awiwie adres.

Odwiedzają zatem „Księgarnię Polską” przybywający do Izraela lub w nim zamieszkali pisarze polscy. Ich wpisy mogły się być złożyć na niezwykle ciekawy album pamiątkowy, gdyby we właściwym czasie pomyślano o jego założeniu. Utkwiło mi w pamięci — w kwietniu 1969 r. — pierwsze spotkanie ze Stanisławem Wygodzkim; widziałem — lub widywałem — tutaj Leopolda Tyrmanda, Artura Sandauera, Jerzego Ficowskiego, Henryka Grynberga, Kazimierza Brandysa, Stanisława Beńskiego, Józefa Hena, Andrzeja Chciuka, Arnolda Śluckiego, Aleksandra Rozenfelda; spotykam Idę Fink. Tutaj właśnie poznałem Juliana Strykowskiego.

Sposób promocji książek za pośrednictwem spotkań w lokalu księgarni nie wydał się widać nikomu specjalnie atrakcyjny. Pamiętam wszystkiego kilka takich spotkań.

26 października 1979 r. — zaanonsowany ogłoszeniem w dzienniku hebrajskim — w „Księgarni Polskiej” spotkał się z czytelnikami Julian Strykowski. Podpisywał *Przybysza z Narbony* oraz *Austerię* i *Sen Azriela* — także w opublikowanych wówczas tłumaczeniach na język hebrajski. W kwietniu 1993 r. dedykował tutaj swoje książki Ryszard Kapuściński, zaś w marcu 1995 r. Hanna Krall — i kolejka do jej stolika wiała się daleko poza drzwi wejściowe do księgarni. Takich spotkań może nawet odbyło się jeszcze parę.

Były i są jeszcze w Izraelu rozmaite polskie księgozbiory prywatne. Przeważają z pewnością te podręczne zestawy beletrystyki, do której się wraca. Są biblioteki domowe o charakterze naukowym stanowiące po prostu warsztat pracy profesjonalnej ich posiadaczy, a że mowa w większości o historykach i filologach — łatwo domyślić się ich bogactwa i ważności. Są także zbiory książek o nie zawsze ściśle dającym się określić profilu erudycyjnym — nie mające nic wspólnego z zawodem i pracą ich właścicieli. Wiem o nich i niektóre znam. Nie sądzę, by mogły być się rozwinąć bez ustawicznego kontaktu z „Księgarnią Polską” i osobiście Edmundem Neusteinem.

W okresie przewlekłej choroby Pana Edmunda, księgarnia, która wkroczyła już w piąte dziesięciolecie swojego istnienia, była czynna, otwarta jest obecnie i z całą pewnością będzie funkcjonować nadal; Ada Neustein pozostaje na posterunku. Coś jednak się w niej zmieniło, nieodwołalnie i bezpowrotnie; te same półki obłożone książkami, ci sami czytelnicy i nabywcy, tylko biurko, przy którym zwykł był zasiadać Szefer stoi osamotnione. Zbyt silne piętno odcisnął tutaj swoją osobowością, ażeby Jego nieobecność mogła być dobitnie nieodczuwalna. Należał bowiem do tego wielkiego klanu księgarzy i antykwariuszy żydowskich — olbrzymia rola, jaką odegrali oni w życiu książki polskiej jest powszechnie znana — którym fachowość niejednokrotnie zastępował entuzjazm zaś bodźcem do pracy było przeświadczenie o spełnianym posłannictwie. Takich już nie ma; był ostatnim.

Edmund Neustein — księgarz-antykwariusz — wydawca polski w Izraelu — urodzony w Drohobyczu 21 października 1917 r. zmarł w Tel Awiwie 9 lutego 2001 roku.

Ryszard Löw (Izrael)

POLAK, KTÓRY WSTRZĄSNĄŁ SZWECJĄ — PROZAIK, PUBLICYSTA, SOWIETOLOG

TADEUSZ JAN NOWACKI (1902–1976)

13 września, od rana zaczęła się niemiecka operacja ogniowa na Płyte Oksywską z lądu, morza i powietrza z niebywałą siłą. Pożary rozprzestrzeniały się coraz szybciej. Naszym 2 cywilnym aparatem RWD 13, które z portu lotniczego w Zagórzcu schroniły się do ogrodu w Nowym Babim Dole, groziło spalenie. Szef sztabu, pragnąc je ocalić wydał mi rozkaz odprowadzenia ich do Wilna, drogą przez Szwecję i Rygę, jako oficerowi znającemu już dawniej stosunki szwedzkie. Na aparacie moim, pilotowanym przez pilota cyw. por. Jereczka, jechałem tylko ja, na drugim młody pilot, którego nazwiska nie pamiętam i inż. Szpunar z gdańskiej dyrekcji kolejowej, który nie mógł w żaden sposób dostać się w ręce niemieckie¹.

Tak rozpoczęły się szwedzkie losy Tadeusza Jana Nowackiego — Norwida², jednej z najbardziej barwnych postaci emigracji polskiej w Szwecji.

Nowacki urodził się 20 stycznia 1902 roku³ w wagonie kolejowym, gdy jego rodzice przemieszczali się z Kaukazu na Wołyń, gdzie jego ojciec Jan, miał objąć nowe stanowisko. Inżynier Jan Nowacki prowadził budowę kolei żelaznej na Kaukazie. Matka, Stanisława, z domu hrabina Żaboklicka zajmowała się domem i wychowaniem czwórki dzieci — Ignacego i Heleny, starszych od Tadeusza i młodszej siostry Wandy. Młody Tadeusz ochrzczony został w cerkwi prawosławnej na Wołyniu, ale był katolikiem podobnie jak ojciec. Matka natomiast była protestantką. Około 1910 roku cała rodzina powróciła do Warszawy.

W latach 1918–1920 Tadeusz Nowacki bierze udział w wojnie polsko-rosyjskiej. Wojna była dla niego ciężkim przeżyciem. Trafia do szpitala. Po wojnie nie rezygnuje jednak z wojska. W latach 1921–1922 służył w marynarce wojennej i w Państwowej Szkole Morskiej w Tczewie. W tym czasie ma jedno marzenie — chce zostać kapitanem żeglugi wielkiej. Zaciąga się na „Dar Pomorza” i płynie do Rio de Janeiro. Był ciekawy świata, ale nie dane mu było opuścić pokładu żaglowca tak jak planował w Curacao — musiał czyścić pokład — a dopiero w Nowym Yorku. Atmosfera wielkiego miasta rozbudziła w nim drugie marzenie: postanowił zostać milionerem. Jak to często bywa z marzeniami, weryfikowało je życie. Ciężko pracuje w miejskiej rzeźni, gdzie czyści konie. Wspominał, że był to jeden z najtrudniejszych okresów w jego życiu. W pracy nie był najlepiej traktowany, opowiadał później, że bił go jakiś Murzyn. Nic więc dziwnego, że zawiedziony „wielkim światem” chce wrócić do domu, do Polski. Niestety, nie ma na to pieniędzy. Matka, być może zmęczona awanturczym życiem Tadeusza, odmawia mu przesłania pieniędzy na podróż. Wynajduje więc inną pracę — grą na pianinie udaje mu się wreszcie zarobić na bilet powrotny i to w dodatku pierwszą klasą.

Po powrocie do Warszawy podejmuje naukę w Wyższej Szkole Handlowej (1923–1927). Mniej więcej w tym czasie zawiera pierwszy związek małżeński z Henryką (?), w 1928 r. przychodzi na świat córka Anna⁴. Od 1932 roku pracuje jako naczelnik Wydziału Ekonomicznego Pań-

¹ Fragment raportu, jaki ppor. Tadeusz Nowacki przedstawił polskim władzom wojskowym, po internowaniu go przez Szwedów we wrześniu 1939 r.

² Nowacki używał pseudonimu Norwid, w późniejszych publikacjach poświęconych jego osobie, biografowie często pisali o nim, jako o Stefanie Tadeuszu Norwidzie.

³ W części opracowań pojawia się inna data urodzenia: 6 czerwca 1900 roku. Według dokumentów zatrzymanych przez władze szwedzkie urodził się 20 stycznia 1902 roku.

⁴ W rodzinie Nowackich wspomina się pierwszą żonę ojca jako Henię — prawdopodobnie więc miała na imię Henryka, albo Hanna. Córka Anna podobno mieszka po dzień dzisiejszy w Sopocie.

stwowego Instytutu Eksportowego w Warszawie. Dwa lata później przenosi się do Gdyni, gdzie był zatrudniony w spedycji morskiej. Tutaj rozpoczyna się jego przygoda z piórem. W Wydawnictwie J. Przeworskiego ukazuje się w 1934 r. debiutancka powieść *Na papierowych szynach*, będąca satyrą stosunków panujących w przedwojennej Polsce. W tym czasie Nowacki współpracował również z „Cyrulikiem Warszawskim”, gdzie redagował stałą rubrykę „Żółtko i Eierweiss”. Pracę i działalność publicystyczną przerywa wybuch II wojny światowej. Rozpoczyna się drugi, nie mniej barwny okres życia Tadeusza Nowackiego.

W górze warczy motor niemieckiego samolotu. Z dalekiego Helu widocznego przez wody Zatoki Puckiej świeci luna. Podobno las się pali. Na podwórzu folwarku spostrzegłem szefa sztabu, którego poznałem kilka dni temu. Major kiwnął na mnie. [...] — Weźmie pan jako dowódca dwa aparaty RWD 13, które stoją tu w ogrodzie, pan pilot — tu wskazał na instruktora wyglądającego w swej cyklistówce i zniszczonej wiatrówce na ulicznego sprzedawcę biletów loteryjnych — pokaże panu, i odprowadzi pan te aparaty do Wilna, gdzie pan zamelduje się u dowódcy sił lotniczych. Podał mi rękę i spiesznie odszedł do swego samolotu. Zostałem sam z pilotem. Kiedy lecimy? — spytałem. — Wcześniej niż za 20 minut nie będą gotów — odpowiedział patrząc w niebo. — Czy dolecimy? — Kto to może wiedzieć? Benzyny mamy na jakieś 500 kilometrów⁵.

Do Wilna Nowacki nigdy nie dotarł. W raporcie, sporządzonym prawdopodobnie pod koniec roku 1939, pisał:

W drodze nad Puckiem zostaliśmy silnie ostrzelani przez niemieckie baterje, przyczem drugi aparat mojej małej ekipy został zestrzelony. Nam, mimo, że lecieliśmy bez map i z zepsutym kompasem, dzięki mgłę, która nas zasłaniała przed nieprzyjacielem, udało się lądować w Visby na wyspie Gotland, gdzie pragnąłem po 3-godz. locie kupić benzynę. Benzyny nam nie sprzedano, natomiast nas aresztowano. Zostałem internowany, por. Jereczek, jako cywilny, został zwolniony i wyjechał do Francji⁶.

W czasie II wojny światowej na terytorium Szwecji lądowało awaryjnie bądź przymusowo ponad 300 samolotów. Samolot SP-BML, którym leciał Tadeusz Nowacki, był pierwszym. Jak wynika z raportów policyjnych, które znajdują się obecnie w Landsarkivet w Visby, samolot wylądował koło Visby w środę 13 września 1939 roku około godziny 17.25. Tadeusz Nowacki i Edmund Jereczek przesłuchiwani byli przez oficera policji w obecności adwokata Gunnara Kjällmana. Wkrótce przekazani zostali oni władzom wojskowym z jednostki I 18. pułku Visborgsslätt⁷. Nowacki miał ze sobą przesyłki pocztowe dla rodzin wojskowych w Wilnie, w tym również dużo pieniędzy, łącznie ok. 115 tysięcy złotych. Wszystko zostało bardzo skrupulatnie spisane na posterunku policji⁸. Wiadomość o lądowaniu Polaków wywołała oczywiście zainteresowanie prasy szwedzkiej. W prasie lokalnej „Gotlands Folkblad” informacja znalazła się na czołowym miejscu⁹. 15 września o godzinie 07.10 Nowacki został poinformowany, że będzie internowany w Szwecji. Tego samego dnia o godz. 22.00 odpłynął statkiem do Nynäshamn, gdzie przekazany został początkowo wydziałowi kryminalnemu policji. Wkrótce przewieziono go do obozu w Roma, stamtąd na początku listopada do Vaxholmu. Przez krótki czas przybywał w obozie w Rommehed, a następnie w końcu lipca 1940 roku skierowano go do obozu Främby koło Falun, gdzie pozostał do 15 kwietnia 1944 roku.

Już w 1940 roku nawiązał szereg kontaktów z władzami szwedzkimi. Domagając się zmiany swojej sytuacji pisał bezpośrednio do króla Gustafa V¹⁰. Wytoczył nawet władzom szwedzkim

⁵ Fragment zbeletryzowanych wspomnień Tadeusza Nowackiego, które zachowały się w maszynopisie i są w posiadaniu rodziny.

⁶ Fragment raportu, jaki ppor. Tadeusz Nowacki przedstawił polskim władzom wojskowym, po internowaniu go przez Szwedów we wrześniu 1939 r.

⁷ Za artykułem: Curt Jacobsson, *Andra världskriget har börjat. Polsk flygplan landar på Visborgsslätt*, 1999.

⁸ Protokół sporządzony na posterunku policji w Visby 15 września 1939 r.

⁹ Gotlands Folkblad, 1939 nr 212 (14 września).

¹⁰ Odpis listu w języku francuskim w posiadaniu rodziny.

proces przeciwko — jego zdaniem — bezprawnemu internowaniu. Sprawę prowadził adw. Hugo Lindberg w Sztokholmie i, ku zaskoczeniu wszystkich, sprawę wygrał. Niestety, nie zmieniło to jego sytuacji. Pozostawał w internowaniu aż do 1944 roku. Zanim jednak uzyskał zwolnienie z obozu, na podstawie oficierskiego słowa honoru otrzymywał okresowe pozwolenia na pobyt w Sztokholmie. Wyjeżdżał również jako lektor i nauczyciel ekonomii do innych obozów internowania, w których przetrzymywani byli polscy marynarze z okrętów podwodnych. Pozwolenia takie otrzymywał w zasadzie bez ograniczeń, zazwyczaj były one podpisywane przez hrabiego Folke Bernadotte, ówczesnego szefa Wydziału dla Internowanych przy Sztapie Generalnym¹¹. Przebywając w Sztokholmie Nowacki mieszkał w dzielnicy Kungsholmen i utrzymywał ścisłe kontakty z miejscowym poselstwem RP. Przede wszystkim nawiązał kontakt z majorem Witoldem Szymańskim, który oddelegowany został do Szwecji na stanowisko oficera łącznikowego między dowództwem w Londynie a szwedzkim sztabem generalnym.

Jeszcze podczas pobytu w Falun poznał Elwę Eriksson (1905–1981), córkę Carla Gustafa i Hilmy Frederiki Amalie Lindh. Pracowała ona m.in. wraz z Astrid Lindgren¹² na poczcie w dziale kontroli korespondencji. W czasie wojny obowiązywała bowiem w Szwecji cenzura pocztowa. Początkowo nikt nie wiedział o jej znajomości z polskim uchodźcą. Sprawa wydała się jednak, gdy w ręce szefa Elwy wpadł list pisany przez Nowackiego do wybranki serca. Znalazły się w nim jakieś niezrozumiałe słowa, które wzbudziły podejrzenia. Sprawa szybko się wyjaśniła — był to bowiem tylko niewinny flirt między zakochanymi — ale Elwę Eriksson zwolniono z pracy i przeniesiono do innego działu na poczcie. 13 października 1945 roku zawarli ślub, a dwa lata później urodził się ich syn Jan Erik Nowacki.

Zbliżał się koniec wojny. Szwedzi zdając sobie sprawę z nieuniknionej klęski Hitlera zaczęli wyraźnie sprzyjać aliantom. W kwietniu 1944 roku Nowacki zostaje zwolniony z obozu dla internowanych ze statusem rezydenta z prawem podjęcia pracy w Szwecji¹³. Pracę taką podejmuje początkowo w poselstwie polskim w Sztokholmie. 6 listopada 1944 roku wyjeżdża do Anglii gdzie nawiązuje kontakt z polskimi władzami wojskowymi w Londynie. W latach 1945–1947 był oficerem łącznikowym w Dywizji Pancерnej gen. Maczka na terenie północnych Niemiec. 30 czerwca 1948 roku otrzymuje zaświadczenie demobilizacyjne z Foreign Despatch Centre¹⁴. Decyduje się na powrót do Szwecji.

W Sztokholmie bierze czynny udział w pracach Koła Prawników Polskich i Dyskusyjnego Klubu Politycznego skupiającego pracowników Poselstwa RP i dziennikarzy-korespondentów politycznych w Szwecji. Przełomem w jego życiu staje się wydanie w 1944 roku, w szwedzkim wydawnictwie Albert Bonniers, książki *Landet utan Quisling (Kraj bez Quislinga)* przetłumaczonej na język szwedzki przez Birger Calleman i Lennarta Kjellberga¹⁵. Książka ta ukazała się pod pseudonimem „Stefan Tadeusz Norwid” a była oparta na relacji Stefana Trębickiego z okupowanej Polski. 21 września 1944 r. Nowicki podpisał umowę z Trębickim, w której ustalono, że temu pierwszemu przysługuje 51% „udziałów” w książce, a temu drugiemu 49%. Książka wywołała żywe reakcje w prasie szwedzkiej. Ukazała się niemal w tym samym momencie co dwie inne: Stefana Szende *Den sista juden fran Polen (Ostatni Żyd z Polski)* i *Polens martyrium*, opracowanie przygotowane przez Polskie Ministerstwo Informacji i Propagandy w Londynie. Wszystkie trzy opracowania ujawniały nieznane dotąd szwedzkiemu czytelnikowi fakty o warunkach okupacyjnych w Polsce. Nie wszyscy chcieli w nie uwierzyć — pisze Andrzej Nils Uggla w opracowaniu *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960 (Szwedzki obraz Polski i polska proza w Szwecji 1939–1960)*. Wiele osób w Szwecji nie chciało bowiem uwierzyć w oskarżenia formułowane w książce *Kraj bez Quislinga* przeciwko Niemcom. Jeden z recenzentów pisał:

¹¹ Zachowały się oryginały przepustek podpisanych przez hr. Folke Bernadotte, a także pisma Nowackiego w tej sprawie do wojskowych władz szwedzkich.

¹² Astrid Lindgren (ur. 1907), jedna z najwybitniejszych pisarek szwedzkich, autorka głośnych książek dla dzieci i młodzieży.

¹³ Decyzja Sztabu Głównego Wydziału Obrony Lotniczej skierowana do Stockholms Stads Kristidsnämnd, Wydział Paszportowy.

¹⁴ Zaświadczenie demobilizacyjne podpisane przez chor. Kwaśnego.

¹⁵ W książce nie ma podanych nazwisk tłumaczy. Wymienia je natomiast Andrzej Nils Uggla w opracowaniu *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960*.

Nie możemy w to uwierzyć. To kłamstwo, kłamstwo angielskiej propagandy. Jeśli byłaby to Rosja, wówczas byłaby to inna sprawa¹⁶.

Książka ukazała się również po polsku. W 1945 roku wydał ją w Rzymie Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu. *Kraj bez Quislinga* — zdaniem Zygmunta Markiewicza — był jednak „niewiele zbyt patetyczny”¹⁷. Nie przeszkodziło to jednak wielkiej popularności książki — ukazała się w jedenastu tłumaczeniach, nawet po niemiecku.

Zachęcony sukcesem Tadeusz Nowacki pisze kolejną książkę. W 1945 roku pod pseudonimem Stefan Tadeusz Norwid wydaje u Bonniersa *Warszawa-rapsodin (Rapsodia warszawska)*. W 1946 roku ukazały się w Sztokholmie *Europa skvallrar (Europa plotkuje)* i *Inbrott i Kreml (Włamanie na Kremlu)* o systemie sowieckim. W 1948 roku *Till Malagas vinstänka redd (Na redzie Malagi skropionej winem — o Hiszpanii w cieniu Franco)*; w 1949 roku w Oslo powieść dokumentalna *Direkt från Ryssland (Bezpośrednio z Rosji)* na podstawie materiałów dokumentalnych dostarczonych przez inż. Henryka Eigera o systemie i łągach sowieckich¹⁸. W 1953 roku na zamówienie Utrikespolitiska institutet (Instytutu Spraw Międzynarodowych) napisał książkę *Den folkdemokratiska staten (Państwo demokracji ludowej)* wyjaśniającą ustrój i prawodawstwo krajów tzw. demokracji ludowej.

Duży wpływ na karierę publicystyczno-dziennikarską Nowackiego miał Arvid Fredborg (ur. 1915), postać niezwykle kontrowersyjna w Szwecji. Był on bowiem oskarżany o sympatie proniemieckie. Nie tak dawno ukazał się szereg artykułów w prasie szwedzkiej potwierdzających, że był on w latach 1935–1937 członkiem Sveriges Nationella Förbund na uniwersytecie w Uppsali, organizacji wspierającej faszyzm¹⁹. Fredborg był w czasie wojny berlińskim korespondentem jednej z największych gazet prawicowych „Svenska Dagbladet”, a po wojnie Niemcoznawcą i wydawcą. To właśnie w Fredborgs Förlag²⁰ ukazały się dwie książki Nowackiego.

Przyjaźń Tadeusza Nowackiego z Arvidem Fredborg była oceniana bardzo różnie przez środowisko polskie w Sztokholmie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że właśnie dzięki tej znajomości ukazały się na rynku szwedzkim dwie książki ujawniające strukturę systemu sowieckiego. Nowacki miał zresztą do Fredborga pełne zaufanie. Twierdził, że już w czasie wojny zmienił on całkowicie swoje zdanie na temat nazistowskich Niemiec i stał się prawdziwym demokratą. Sam Arvid Fredborg wspomina Tadeusza Nowackiego w jednej ze swoich książek *Destination Berlin* wspominając swoje kontakty z „białymi Polakami” w Sztokholmie, poza Nowackim byli to Norbert Żaba i Wiesław Patek²¹.

W ramach założonej przez siebie agencji specjalizującej się w sprawach sowieckich, Nowacki opracowuje materiały dla władz szwedzkich. Jednym z jego współpracowników — jak wspomina Eugeniusz S. Kruszewski — był były poseł RP w Finlandii i Szwecji Henryk Sokolnicki²². Agencja jest stałym odbiorcą radzieckich raportów gospodarczych, sowieckich gazet m.in. „Izwestii” i „Prawdy”, przeprowadza wywiady z radzieckimi marynarzami przybywającymi do Sztokholmu na statkach handlowych — Nowacki kupuje od nich nie tylko wiadomości o życiu w Rosji, ale także alkohol i kawior. Jak wspomina jego syn, Jan Erik — ojciec nigdy nie gardził kieliszkiem alkoholu i namiętnie palił. Raporty przygotowywane przez Nowackiego trafiają regularnie do szefa II wydziału szwedzkiego wywiadu, Thele Palma (?).

Był to drugi człowiek, który niezwykle pomógł Nowackiemu w jego karierze. To właśnie on wciągnął go do stałej współpracy z wywiadem szwedzkim. W 1948 roku wysłany nawet został do Izraela w celu zbadania okoliczności zabójstwa hr. Folke Bernadotte, mediatora z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych w konflikcie palestyńskim. 17 września samochód, którym jechał,

¹⁶ A.N. Uggla, *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960*.

¹⁷ Z. Markiewicz, *Literatura dokumentarna*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960. Praca zbiorowa*, t. 2, pod red. T. Terleckiego. Londyn 1965 s. 14.

¹⁸ Książka *Direkt från Ryssland* ukazała się pod pseudonimem Antoni Ekart. Zachowała się umowa wydawnicza z 5 kwietnia 1948 r. między Wydawnictwem Alberta Bonniersa i autorami książki: Tadeuszem Norwidem-Nowackim i Henrykiem Eigerem. Honorarium autorskie za tą książkę miało być wypłacone po połowie. Warto przypomnieć, że część książek Nowacki podpisał jako „Tadeusz Norwid”.

¹⁹ Wycinki prasowe: „Aftonbladet” z 28 lipca 1995 r.

²⁰ W wydawnictwie tym ukazała się *Europa skvallrar i Inbrott i Kreml*.

²¹ A. Fredborg, *Destination Berlin*. Stockholm 1985.

²² Wg biografii Tadeusza Nowackiego przygotowanej przez Eugeniusza S. Kruszewskiego.

został ostrzelany w żydowskiej części Jerozolimy i hr. Bernadotte zginął. Podejrzenia padły na żydowską organizację terrorystyczną Abrahama Sterna. Nowacki był jedną z osób, która tę zagadkę miała wyjaśnić. Po powrocie do Sztokholmu napisał raport, który szybko został utajniony. Już po jego śmierci znaleziono w jego domu jeszcze jedną kopię raportu, ale rodzina zdecydowała się przekazać go wywiadowi szwedzkiemu.

Niewiele osób ze środowiska polskiego wiedziało o współpracy Nowackiego z wywiadem. Jednym z nielicznych był Witold Szymaniak, sam utrzymujący dobre kontakty ze Szwedami. Nie ma dowodów na to, że Nowacki był na stałe zatrudniony w wywiadzie, ale — jak potwierdza to jego syn — od czasu do czasu otrzymywał na działalność swojej agencji fundusze. Natomiast już po jego śmierci, na adres rodziny zaczęła napływać emerytura z Försvarets Fabriksverket w Arboga (Zakłady Zbrojeniowe w Arboga).

Tadeusz Nowacki był bardzo zaangażowany w działalność polskich środowisk emigracyjnych. Jako działacz polityczno-społeczny czynny był w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów Oddział w Szwecji, gdzie pełnił funkcję prezesa, działał również w Światowej Federacji SPK z siedzibą w Londynie, gdzie — jak wspomina była delegatka rządu RP na Uchodźstwie, Zofia Stadors — spędzał bardzo wiele czasu. Był członkiem zarządu Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji, Komitetu na Rzecz Wolnej Polski w Skandynawii oraz Związku Polskich Federalistów w Paryżu. W 1963 roku wraz z Jerzym Jankowskim założył pismo Związku Polskich Federalistów „Polska w Europie” ukazujące się w Paryżu. Przez 13 lat był korespondentem pisma w Szwecji oraz redaktorem odpowiedzialnym za materiały Europejskiej Federacji Polskich Kombatantów.

Był Europejczykiem i federalistą z przekonania — pisze Kruszewski — oraz propagował wejście Polski po odzyskaniu wolności do jednoczącej się Europy²³.

W latach 1948–1973 był redaktorem „Wiadomości Polskich”, pisma wydawanego przez Radę Uchodźstwa Polskiego w Szwecji. Stale współpracował z „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza” oraz tygodnikiem „Wiadomości” ukazującymi się w Londynie. Publikował w paryskiej „Kulturze” i „Zeszytach Historycznych”. Miał ścisłe kontakty z prasą szwedzką: „Svenska Dagbladet”, „Sydsvenska Dagbladet”, „Stockholms Tidningen” oraz kopenhaską „Berlingske Tiden”. Już w 1947 roku został członkiem Klubu Publicystów Szwedzkich. Przez polskie kręgi emigracyjne uznawany był za jednego z najlepszych specjalistów od spraw sowieckich. Lidia Ciołkoszowa wymieniała go wśród najwybitniejszych publicystów emigracyjnych obok Mieroszewskiego, Sukiennickiego, Pawła Zaremby i Benedykta Heydenkorna²⁴.

Początkowo rodzina Nowackich mieszkała w Sztokholmie w willi w dzielnicy Saltsjö-Duvnäs (Rävstigen 6), później dopiero przeprowadziła się do willi w innej dzielnicy, na wyspie Lidingö. Jego mieszkanie zawsze pełne było gości. Jak wspomina syn Jan Erik, w dymie papierosów toczyły się zazarte dyskusje polityczne. Częstymi gośćmi Nowackiego byli Norbert Żaba, były attaché prasowy polskiego poselstwa w Sztokholmie, Wiesław Patek, były pierwszy sekretarz poselstwa RP w Sztokholmie, generał Zygmunt Przyjałkowski, redaktor Łukasz Winiarski, konsul Alf de Pomian Hajdukiewicz i wielu innych, w tym także odwiedzający Szwecję generał Tadeusz Bór Komorowski i generał Władysław Anders.

Był typowym *homo politicus* i niejednokrotnie dość wyraźnie prezentował swoje emocje polityczne. Dobrze ilustruje to fakt rozprawy przed Kompletem Oficerskim Sądu Honorowego dla Oficerów Starszych i Młodszych w czerwcu 1945 roku. W orzeczeniu tegoż Sądu uznany został winnym „naruszenia honoru i godności oficera przez to, że dnia 20 marca 1941 roku w lokalu Klubu Polskiego «Ognisko» w Sztokholmie znieważył czynnie przez uderzenie w twarz ppor. Świtalskiego Ferdynanda”. Jak wynika dalej z uzasadnienia, Sąd Honorowy skazał go jedynie za „nie wyczerpanie właściwych środków reakcji”, natomiast przychylił się do tego, że Nowacki miał powody do wyrażenia swojego oburzenia²⁵.

²³ Tamże.

²⁴ L. Ciołkoszowa, *Publicystyka*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960. Praca zbiorowa*, t. 2. Londyn 1965 s. 294.

²⁵ Chodziło o artykuły podpisane przez ppor. Ferdynanda Świtalskiego, które ukazywały się w „Biuletynie”, a które zdaniem Nowackiego „szkodziły żołnierzom internowanym w Szwecji, jak i Polakom powracającym z ZSSR”.

Za życia Nowacki doczekał się kilku odznaczeń i wyróżnień. Jego największą zasługą było to, że w sposób bezkompromisowy swoimi książkami i publikacjami prasowymi odkrywał prawdę o zbrodniach nazizmu i komunizmu. Badacz polskiej emigracji w Szwecji, Andrzej Nils Ugglą podkreśla, że Nowacki, a także Wiesław Patek i Norbert Żaba, którzy również zajmowali się publicystyką polityczną, przyczynili się w sposób niezwykle do tworzenia w społeczeństwie szwedzkim właściwego obrazu sytuacji w Polsce²⁶. Tadeusz Nowacki, nigdy bowiem nie dał się zwieść propagandzie — do końca życia nie miał złudzeń co do istoty i perfidii systemu komunistycznego. Jego syn, Jan Erik, wspomina, że ostatnie słowa jakie usłyszał od ojca brzmiały: „Pamiętaj synu, komuniści to zbrodniarze”. Tadeusz Nowacki zmarł 12 kwietnia 1976 roku w Sztokholmie. Pochowany został na cmentarzu katolickim w Haga Norra.

Tadeusz Nowakowski (Szwecja)

Materiały źródłowe:

Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939–1980, pod red. B. Klimaszewskiego. Warszawa 1992.

Literatura polska na obczyźnie 1940–1960. Praca zbiorowa, t. 2, pod red. T. Terleckiego. Londyn 1965.

A.N. Ugglą, *Polacy w Szwecji w latach II wojny światowej*. Gdańsk 1996.

A.N. Ugglą, *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960*. Uppsala 1986.

My, z Polski. 400 not biograficznych imigrantów polskich w Szwecji, pod red. T. Nowakowskiego. Stockholm 1997.

T. Nowakowski, *Lexikon över polska författare i Sverige. (Leksykon polskich pisarzy w Szwecji)*. Borås 1996.

A. Fredborg, *Destination Berlin*. Stockholm 1985.

Maszynopis opracowania Eugeniusza S. Kruszewskiego z 1997 r.

Wycinki z prasy szwedzkiej.

Oryginały i kopie dokumentów ze zbiorów rodziny Nowackich.

Relacja ustna Jana Erika Nowackiego (luty 2001).

²⁶ A.N. Ugglą, *Den svenska Polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939–1960*.

AUTOR PIERWSZEJ KSIĄŻKI O GUŁAGU I KOŁYMIE

KAZIMIERZ ZAMORSKI (1914–2000)

Z nieukrywaną dumą określał siebie jako autora pierwszych powojennych książek o Gułagu i Kołymie. Pierwsza z nich, *Sprawiedliwość sowiecka*, napisana wspólnie ze Stanisławem Starzewskim, ukazała się we Włoszech w 1945 roku pod pseudonimami Sylwester Mora i Piotr Zwierniak. Wydanie włoskie i francuskie wyszło tegoż roku w Rzymie, a hiszpańskie w Bilbao w 1947 roku. Już z podaniem pełnych nazwisk autorów książka została opublikowana w 1989 roku jeszcze w drugim obiegu w wydawnictwie BAZA w Warszawie, a trzecie uzupełnione wydanie ukazało się w wydawnictwie ALFA w Warszawie w 1994 roku. Maria Danilewicz Zielińska oceniła *Sprawiedliwość sowiecką* w swoich *Szkicach o literaturze emigracyjnej* jako „najlepsze wprowadzenie do problematyki Polaków w Rosji i literatury zsyłkowej”. David J. Dallin, profesor Yale University, pisze w swej pracy *Forced Labor in Soviet Russia* z 1947 roku: „Jedną z najważniejszych książek o rosyjskich obozach pracy, jakie się kiedykolwiek ukazały, jest *La justice soviétique*, wydana w języku francuskim w Rzymie. Napisali ją dwaj polscy oficerowie, Sylwester Mora i Piotr Zwierniak, opierając się z jednej strony na własnych przeżyciach i doświadczeniach, a z drugiej na licznych relacjach byłych więźniów”. Istotnie, opracowanie to powstało na podstawie osobistych doświadczeń i materiałów zebranych w Biurze Dokumentów i Biurze Studiów 2. Korpusu, działających najpierw na Bliskim Wschodzie, potem w Rzymie, gdzie obaj autorzy pracowali jako referenci. W pierwszej części książki szczegółowej analizie poddane są zasady sowieckiego wymiaru sprawiedliwości; część druga, obszerniejsza, zawiera uporządkowane według określonych zagadnień opisy przeżyć ludzi rozmaitych narodowości, zawodów i wieku, kobiet i mężczyzn. Autentyczność tych relacji, spisanych świeżo po wydostaniu się z — jak Józef Czapski w tytule swej książki trafnie określił — „Nieludzkiej ziemi” nadaje książce szczególną wagę. Nie dziwi więc, że pracownik naukowy Institut d’Histoire Sociale w Paryżu, Pierre Rigoulot, pisze w cytowanym na okładce ostatniego wydania liście do autora z 14.10.1985 roku: „Z ogromnym przejęciem czytałem tę rzecz o sprawiedliwości sowieckiej. To naprawdę pierwsze opracowanie na temat Gułagu. I życzylibym sobie tylko jednego — by w pełni doceniona została jego prawdziwa wartość”. Także w trzecim, poprawionym wydaniu z 1994 roku ten charakter dokumentu został utrzymany, gdyż — jak czytamy w przedmowie — „książka ma przedstawiać stan faktyczny w t e d y, nie dzisiaj. Uzupełnienia pochodzą od osób, które jeszcze w 1945 roku, tuż po przeczytaniu książki, nadesłały nam dodatkowe materiały i uwagi”. Owe materiały zebrane w Biurze Dokumentów i Biurze Studiów 2. Korpusu oraz odpowiedzi na ankietę rozesłaną do odpowiednich placówek i referatów posłużyły Kazimierzowi Zamorskiemu między innymi także jako punkt wyjścia przy opracowaniu monografii o Kołymie, opublikowanej znów pod pseudonimem Sylwester Mora w języku angielskim w 1949 roku przez Fundację dla Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie pt. *Kołyma. Gold and Forced Labor in the USSR*. Znany sowietolog Robert Conquest zaliczył to opracowanie do jednego z czterech podówczas dostępnych poważnych źródeł na temat Kołymy.

Nim Kazimierz Zamorski trafił do 2. Korpusu nabrał niemało doświadczeń życiowych. Urodził się 5 lutego 1914 roku w Krasieczynie jako najmłodsze z pięciorga dzieci. Wkrótce rodzina przeniosła się do Lwowa. Ojca wcześniej stracił a matka z trudem wiązała koniec z końcem. Jako dziecko zachorował na gruźlicę kości, z której cudem wyszedł. Zdolnym, ale biednym uczniem zainteresowali się dominikanie przyjmując go do gimnazjum i internatu w Żółkwi, gdzie w 1932 roku zdał maturę. Po maturze łapał się różnych dorywczych prac, żeby zarobić na życie — jakieś korepetycje, potem posada pomocnika kancelaryjnego Państwowego Gimnazjum w Kołomyi, w latach 1936–1937 Szkoła Podchorążych 5. Dywizji we Lwowie, i wreszcie od 1937 do 1939 praca sekretarza gimnazjum we Lwowie oraz nauczyciela przysposobienia wojskowego. W tych warunkach dopiero w 1938 roku mógł rozpocząć upragnione studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, które z kolei wojna przerwała. Nie dał jednak za wygrane. Gdy wy-

dział stosunków międzynarodowych kalifornijskiego uniwersytetu otworzył filię w koszarach amerykańskich w Monachium, zapisał się w 1974 roku na studia i po pracy w RFE jechał do koszar na wykłady i zajęcia, uzyskując w 1977 roku tytuł magistra nauk politycznych.

We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Lwowa. W czasie nieudanej próby przedostania się do Rumunii aresztowany przez NKWD spędził trzy lata w sowieckich więzieniach i łagrach. Po umowie Sikorski–Majski i ogłoszeniu „amnestii” dostał się na jesieni 1941 roku do Tatiszewa w Uzbekistanie do formujących się tam Polskich Sił Zbrojnych. Tym, których nieubłagany los rzucił na „Nieludzką ziemię” i którym udało się dotrzeć do Armii generała Władysława Andersa, dobrze znany jest szlak przez Persję, którym także i Kazimierz Zamorski wy dostał się z obrębu sowieckiego panowania. Wiosną 1943 roku został odkomenderowany do wyżej wymienionych Biura Dokumentów i Biura Studiów, zajmujących się zabezpieczaniem informacji o losach Polaków deportowanych do ZSRR jak też ogólnymi zagadnieniami sowieckimi. Po demobilizacji w stopniu porucznika w 1948 roku przeszedł już w Anglii jednoroczną szkołę handlu zagranicznego i administracji portowej, po czym pracował jako urzędnik firmy maklerskiej Lloyds’a w Londynie. W czerwcu 1952 roku rozpoczął pracę w polskiej sekcji amerykańskiego Wydziału Studiów i Analiz Radia Wolna Europa w Monachium (RFE Research and Analysis Department), którego szefem był od 1959 roku, do przejścia na emeryturę we wrześniu 1979 roku.

Pisywał szkice, recenzje i analizy polityczne do „Wiadomości” londyńskich, do paryskiej „Kultury” i do „Zeszytów Historycznych” i innych polskich czasopism oraz do brytyjskiego kwartalnika „World Affairs”. Działalność Biura Dokumentów i Biura Studiów opisał krytycznie w wydanej w Londynie w 1990 roku książce *Dwa tajne biura 2. Korpusu*, która została wyróżniona przez Fundację im. J. Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Angielska, nieco skrócona wersja tej książki ukazała się w tłumaczeniu Antonii Lloyd-Jones cztery lata później w Londynie pt. *Telling the Truth in Secret. The Story of Two Polish Army Research Units*. Przedstawił tu także, bynajmniej niełatwe, warunki gromadzenia materiału i powstania *Sprawiedliwości sowieckiej* oraz dalsze losy tego opracowania — należy pamiętać, że temat był z wielu powodów drażliwy. Konieczna z jednej strony ochrona osób składających relacje ze swoich sowieckich doświadczeń i ich przebywających nadal w Rosji rodzin (co tłumaczyło tajność obu instytucji), a z drugiej strony fakt, że książka ukazała się jeszcze przed zakończeniem wojny, czyli w czasie, gdy Związek Sowiecki był aliantem naszych aliantów, nie ułatwiał sytuacji. Wszelkie głosy przedstawiające wschodniego sojusznika w niekorzystnym świetle były źle widziane. 2. Korpus był przecież częścią wojsk alianckich i podlegał — póki wojna była w toku — jej rygorom. Był to też powód, że pierwsze wydanie książki ukazało się z dość enigmatycznym podaniem miejsca wydania: Włochy 1945, bez określenia wydawcy i nazwy drukarni. Swoje uwagi o pracy w wydziale Studiów i Analiz RFE zebrał z kolei w książce *Pod anteną Radia Wolna Europa*, która ukazała się w Poznaniu w 1995 roku. Pióro miał czasem drapieżne i nie unikał polemik, a — jak sam przyznaje w swych radiowych wspomnieniach — do pokornych nie należał. Opisując swe pożegnanie z Radiem przyznaje, że „pracę w RFE mile wspomina, dała mi wiele zawodowej satysfakcji, a i na mych szefów narzekać nie mogę, nie zdziwiłbym się natomiast gdyby się okazało, że po mym odejściu odetchnęli z ulgą, pozbywszy się wprawdzie jednego z «najbardziej wartościowych» (mam to na piśmie), ale również «trudnych» pracowników”.

Swój nieco zadziorny charakter, ale i umiejętność spojrzania na siebie z przymrużeniem oka uwidocznił w swoistym epitafium, które sam sobie wypisał, i w którym czytamy: „Nie miał dzieci. Spłodził parę książek, w których prawda przeważa rozsądek: miast przytakiwać i kadzić pomnikom, uludę, łgarstwa i mity wytykał. Życie miał niełatwe, lecz ciekawe. Zwiedził sporo świata, w niejednym świętoszku dostrzegł chytrego łajdaka. Cenił dobrą poezję, klasyczną muzykę, chętnie grywał w brydża i remika. Medal za wojnę, Italię, Imperium Obronę, Krzyż za książkę (tę o Gułagu), drugi za Włoską Koronę. To osobliwe epitafium sporządził u nirwany progę ku zgorszeniu wierzących, zadumie sceptyków i uciesze wrogów”.

Mimo takich przekornych gestów Kazimierz Zamorski był człowiekiem niesłychanie towarzyskim, w przyjaźniach szczerze oddany i zawsze pomocny, otwarty na świat i ciekawy ludzi. W swym, jak sam przyznaje, „niełatwym życiu” poznał z konieczności nieźle kilka języków. Wykorzystywał te umiejętności, aby się cieszyć czytaniem dzieł literatury w miarę możliwości w oryginalnej. Może właśnie dlatego doceniał także dobrą polszczyznę i denerwowały go wszelkie niechlujstwa językowe, niepotrzebne makaronizmy, wszelka nowo-mowa. Tepił to i wyszydzał, a czasem

wytykał różne błędy czy śmieszności językowe w liście do redakcji. Gdy szczególnie w ostatnich latach zwracali się do niego czasem młodzi naukowcy z Kraju poszukujący dostępu do materiałów źródłowych, chętnie udzielał informacji. Swoje własne bogate archiwum i pokaźny zbiór książek przekazał do Ossolineum, Biblioteki Jagiellońskiej i Biblioteki Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Daleki bowiem od wszelkiego rodzaju patriotycznego patosu i pustosłowia, które go śmieszyły i denerwowały, doceniał wagę rzetelnych badań historycznych. A wobec tego na sercu mu leżało zabezpieczenie śladów — dokumentów, notatek, wspomnień, korespondencji itp. — oddających losy ludzkie, a tak często ulegających zniszczeniu, zwłaszcza w warunkach emigracyjnych. Toteż czynnie, choć po cichu, wspierał nasze placówki kulturalne poza Krajem, szczególnie Muzeum Polskie w Rapperswilu. Chętnie sobie pokpiwał z wszelkich objawów mitomanii: tę na skalę narodową uważał za niebezpieczną, tę — niestety tak częstą — indywidualną potrafił zwalczać niemiłosiernie, czym sobie zresztą niemało kłopotów przysparzał. I taki pozostanie w pamięci tych, którzy go znali — hardy a jednocześnie uczynny, Lwowiak z krwi i kości, odzwierciedlający się w przeróżnych lwowskich anegdotach, które z zamiłowaniem opowiadał. Lubił zresztą nie tylko lwowskie „szmoncesy”, ale w ogóle dowcipy. Czy kryła się za tym chęć złagodzenia ponurych wspomnień z Gułagu? Może. Nie wiem. Leszek Kołakowski w rozdziale „O śmiechu” swoich *Mini-wykładów o maxi-sprawach* nie wyklucza, że dowcipy i humorystyczne historyjki mogą spełniać taką funkcję.

Po długiej i z godnością znoszonej walce z nowotworem naczyń limfatycznych zmarł w Monachium 7 grudnia 2000 roku. Zgodnie z jego życzeniem prochy zostały złożone w styczniu 2001 r. na monachijskim cmentarzu północnym jedynie w obecności najbliższej rodziny.

Nina Kozłowska (Niemcy)

DLACZEGO NIE WRÓCIŁEM „WTEDY”

1. Wcześniej, pewnie w 1940 roku dotarł do mnie list mojej przyjaciółki Krystyny Krahelskiej, a w nim zdanie: „...Janek jest w Kozielsku. Pisuje”. Kozielsk? Polska miejscowość. Gdzie? Nie mogłem znaleźć jej na mapie Polski. A po kilku miesiącach nadbiegł drugi list Krystyny: „... od Janka od dawna nie ma wiadomości. Od kwietnia”. Gdy ten drugi list Krystyna pisała On już był zabity w Katyniu. Mój brat. Było nas dwóch.

2. Rosja. Zrywa stosunki z naszym rządem w Londynie z racji Katynia.

3. Rosja. Powstanie w Warszawie.

4. Rosja. Marzec 1945. Porwanie Szesnastu Członków Rządu Polskiego i bezczelny „proces” hańbiący Rosję.

5. Rosja. Październik 1947. Mikołajczyk ucieka z Polski.

6. 1947 — wezwanie mnie przez głowę Rodziny do powrotu i szybkie odwołanie wezwania.

7. Rodzina żony usilnie namawia do powrotu. Zwykle uczuciowo szkodliwe argumenty. Żona podejmuje tamte sposoby myślenia. „Trzeba ratować dzieci!”. Odpowiadam: „Tam — to prosta droga do więzienia. Tutaj — myśleć o pożytecznej pracy na emigracji. Polska potrzebuje emigracji, silnej emigracji. Teraz i zawsze. Patrz — Żydzi.” Do dziś jestem tego samego zdania.

8. Spotkanie z moimi byłymi wykładowcami ze Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Ogromnie patriotyczni. Wracają, by wychować młodzież lotniczą, w odnowionej Szkole. Pytają czy pojedą z nimi? Odpowiadam: „Temu, kto wyciągnie rękę po młodzież — «oni» ręce obetną”. Wrócili. Kilku, co najlepszych, najaktywniejszych „oni” rozstrzelali.

9. Leopold Skwierczyński. Jesienią 1947 roku, po ucieczce z Polski wraca do Anglii, były wysłannik rządu londyńskiego, w sprawach łączności lotniczej z podziemną armią. Przyjaźniliśmy się żywo. Sprowadził także swoją żonę, również zawodową aktorkę, podobnie jak on. Założyli teatr objazdowy „Komedia”, celem jego było podtrzymywanie na duchu i w polskośći rozbitków naszych tkwiących w obozach, gdzie usiłowali formować swą politykę życiową na resztę przyszłości. Zaprosili mnie do pomocy, później do współpracy. Opowiadali mi to co przeżyli pod Niemcami, przed Powstaniem, w czasie Powstania, po ucieczce Niemców, którzy sprowadzili nam do Polski bolszewików; po aresztowaniu ich obojga przez bolszewików polskich, jakże chętnie wykazujących, że nie ustępują KGB, trzymali ich przez dziewięć miesięcy w Krakowie. KGB nie udowodniło im „zdrady Polski na rzecz Zachodu i szpiegostwa dla Ameryki” i wypuszczono ich. Moi przyjaciele nie czekali na zmianę „linii”. Uciekli. Potwierdzała się słuszność mojej decyzji w sprawie powrotu „wtedy”.

10. Rozmowa z Jasiem L.

Obóz PKPR w Dunholm Lodge, by przeprowadzić angielską demobilizację. Wtem dowiedziałem się, że On tam przyjechał w tym samym celu. Radość! To mój przyjaciel sprzed wojny, bliski mi jak żaden z przyjaznych kolegów. Przyjaciel. Tym się wyróżniał, że oceniał fakty i to co inni o nich myśleli i spokojnie dobierał słowa decyzji. I, bardzo ważne, z natury pełen uśmiechów.

Nieco rozedrgany wszedłem do jego kwatery. Bałagan męczyzny pakującego się do szybkiego wyjazdu. Stałem w drzwiach, patrzyłem na jego plecy pochylone nad zawiniątkami, materiałami, pantoflami, bucikami, spodenkami — dla żony, dla syna, już dziesięcioletniego. No, tak.

Rzekłem: „Jasiu”. Odwrócił się. Zarżał tym swoim śmieszkiem, jak młody konik, a nie pan major spod czterdziestki. I już mówił: „Dziś dowiedziałem się, że tu jesteś, jutro bym do ciebie przyszedł. Dziś muszę się upakować. Jadę”.

Rozumiałem. On nigdy „nie wyjechał”, więc jedynie „jechał” stąd — tam. Stałem bez słowa. Nie przyszedłem po radę, ale na gadanie o moim zapieczonym, dławiącym, niemożliwym do usunięcia z gardła, porażającym całego mnie przymusu niejechania. I... na zbadanie Jego stosunku do mnie po mojej decyzji.

„No, to do jutra — powiedziałem. — Chce się z Tobą pożegnać, bo... — Tak — powiedział Jan. — Potem się nie zobaczymy.” Stwierdził. Stałem. Myślałem: „W ogóle po co? Tylko może jemu coś zatruje, coś zaostrzę, załamie, podłamię. Zgniotę. Jak siebie”. Umówiliśmy się na drugi

dzień, na obiad w oficerskiej mesie. I zaplanowaliśmy miły wieczór „ku pamięci”, u mnie. Wróciłem do swojej kwatery, sprawdziłem, czy mam butelkę whisky i dokupiłem niebieskiego „Stiltona”, najlepszego sera Anglii, biskwitów o smaku pieczonego bekonu. I tyle. Na kolację mieliśmy pójść do kasyna.

Nie poszliśmy. Wypiliśmy od razu po dwa „podwójne whiskacze” i rozgadaliśmy się o kontaktach z rodzinami i o swoich lataniach. On był nawigatorem pułkownika Bolesława Orlińskiego, szczęściarz, na Mosquito latali z Francji. Ja na Bliskim Wschodzie, na Spitfirze, pod koniec na Dakotach. Rozczmuchał się. Wspominaliśmy przedwojenne wieczory w Jego domu, gdzie światłem była jego śliczna żona. Piliśmy za ich bliski pierwszy wieczór po latach i za ich Jędrka.

Piliśmy z wolna, do późna. I stało się nieuniknione — poczęły z nas wyłazić nasze argumenty, Jego rozgrzana wizja ich dwojga, kolorowa, potem coraz bardziej ogólna, przygaszone „Za”. I moje „Nie!” Od miesięcy uformowane, zażarte na wszystkie okrutne, bezlitosne „ale”, bywało, nadziane obłęsną pychą „Za”. Tych już podających szyję w niewolnicze jarzmo. Przekreślałem je dla siebie swym wielkim, niosącym ulgę „Nie!” Ale już przestawało działać dobrodziejstwo whisky, rozmach bezsensu. Zmęczyliśmy się, spowaźnieliśmy, zamilkliśmy. Aż Jan odstąpił mi swoje zamykające sprawę „Za”. Obrazowo. Zaczął spokojnie. „Ty — powiedział — nauczyłeś się angielskiego, latałeś z nimi, poznałeś ich trochę, źle ci z nimi nie było. Ja? Nigdy się ich języka nie nauczę, nigdy ich nie zrozumieję. Ja znam rosyjski. Znam Rosjan. Wiem jak przeżyć.” Zapadł się w siebie i wyrzucił: „Ja chcę być ojcem mego syna, chcę być mężem mojej żony!”

Milczałem. Cokolwiek bym powiedział wyszedłby z tego platfus, oklepus. On wzruszył ramionami do swoich myśli i powiedział: „Wyobraź sobie, że jesteśmy Rosjanami. Pijemy. Ta butelka jest w połowie pełna. Jest nam wesoło! Gadamy sobie o tym co nas boli i przygadujemy sobie ze śmiechem, ja «Tak», ty «Nie». I pijemy. A gdy butelka będzie pusta — zaśpiewamy coś żalnego, zaszlochamy rozpaczliwie, ja wyciągnę nóż i chłasnę cię po szyi, bo ty «Nie»! Bo ty, psia twoja, «Nie» i «Nie». Zdrajca! A kiedy ty leżysz zakrwawiony i zipiesz ostatkiem, ja padam na kolana przy tobie i wołam: O, Boże, Bożesz Ty mój! Ja świnia, ja kryminalista! Ja przyjaciela zabiłem! Nie przebac mi, Boże! Ja Kain! I przy tobie stygnącym zasnę... — Znasz ich — powiedziałem. — Ja też o nich wiem dość. — Znam ich — zakończył Janek”.

Przeżył.

Koniecznym winienem dodać dwa „elementy” mojej wczesnej decyzji:

a. Rosja. Łubnie. 1917/1918 — tam po raz pierwszy zobaczyłem wozy załadowane rozstrzelanymi — bolszewicy weszli do miasta.

b. Rosja? Listopad 1939, statek „Kościuszko”, płyniemy z Pireusu do Marsylii. Poznaje mnie urzędnik magistratu w Siedlcach. Mój wuj, Sławomir Łąguna, był prezydentem tam i ja mieszkałem u Niego przez dwa lata.

Ów pan opowiedział mi co następuje:

W końcu pierwszego tygodnia września 1939, kilka ministerstw przesunięto z Warszawy do Siedlec. 9-go, 10-go i 11-go naloty niemieckie dały się Siedlcom tak we znaki, że 12-go prezydent miasta zdecydował wymarsz całego taboru ministerialnego, oraz personelu magistratu. Wyruszyli na Wschód.

Śladu po nich do dziś nie ma. Zwracałem się do „Karty” w Warszawie, jako do ostatniego i może najlepszego źródła — żadnych informacji nie otrzymałem.

Stanisław Wujastyk (Niemcy)

Z TECZKI ARCHIWALNEJ:

POLSKI ZWIĄZEK AKADEMIKÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH

„Przez młodość ptakiem człowiek przeleci...”

Już od dobrych kilku lat prowadzę podwójne życie. Jedno bieżące, realne, wypełnione po brzegi codziennymi zajęciami, a więc sprzątaniami, gotowaniem, pisaniem, malowaniem, płaceniem rachunków, podchowrywaniem wnucząt, wizytami u dentysty i lekarza (wiek! wiek!), chodzeniem do kościoła, do teatru, na koncerty, robieniem zakupów, wakacjami rodzinnymi, spotkaniami towarzyskimi z przyjaciółmi i — co najważniejsze — czytaniem książek. I drugie, zamknięte w teczkach i pudełkach, pełne spraw przeszłych, minionych, w którym wszystko co się miało stać, spełnić i zrealizować już się stało, wypełniło, zrealizowało i zostało zapisane po stronie zysków lub strat.

Każdego niemal dnia kursuję między życiem przedwczorajszym i wczorajszym, a dzisiejszym i jutrzejszym. Zdarza się też coraz częściej, że nie wiem, które życie ważniejsze, które bardziej mnie absorbuje i które bardziej wypełnia moją teraźniejszość. Niech tylko nastąpi jakaś przerwa w nieustannym potoku spraw bieżących, a zaraz w tę przerwę wstępuje przeszłość. Radosna, bolesna, bogata i biedna, urodzajna i nieurodzajna, roześmiana i zasmucona. Pełno w niej wzlotów i upadków, potknięć i osiągnięć, a także zwykłej, szarej nijakości — jak to w życiu. Nie po samych tylko szczytach chodzimy, zdarzają się przecież niziny, doliny i przepaście. Z teczek i pudeł rozmaitych rozmiarów wyciągam papierzyska, zapiski, notatki, wycinki z pozóółkłych gazet i czasopism. Przeglądam i podejmuję ważką decyzję: zachować, czy wyrzucić?

Ostatnio sięgnęłam do materiałów przesłanych mi dość dawno przez Jana Piotra Wampuszyca, z którym przez długie lata współpracowałam w bardzo wartościowej, wysoko kiedyś cenionej, a dziś niemal zupełnie zapomnianej organizacji o nazwie Polski Związek Akademików w Stanach Zjednoczonych (w skrócie PZA — przyp. R.N.). Niezwykła to była organizacja, skupiająca ludzi aktualnie studiujących w pełnym wymiarze za dnia, a pracujących wieczorami lub na nocnej zmianie; pracujących w pełnym wymiarze godzin za dnia, a studiujących na wieczornych kursach uniwersyteckich; ludzi z przerwanyimi wskutek wojny lub wywózek, więzień lub obozów jenieckich studiami, a także tych, którzy studia rozpoczęli na kompletach podziemnych w okupowanej Polsce, lub po wojnie w Niemczech czy Anglii, ale po przybyciu do Ameryki rozpoczętych studiów ze względów finansowych lub rodzinnych nie mogli chwilowo kontynuować. Mając jednak zamiar podjęcia ich na nowo, gdy tylko warunki materialne będą sprzyjały, nie chcieli tracić kontaktu ze świeżo powstałym środowiskiem akademickim, do którego słusznie się zaliczali. I wreszcie tych po studiach lub już nie studiujących, którzy przystąpili do PZA, jako członkowie wspierający, wspomagający, pragnący ze względów ideowych i z poczucia obowiązku społecznego dopomóc zapracowanym ponad miarę młodym, ambitnym, nowoprzybyłym — jak oni sami — we współorganizowaniu nie tylko spotkań towarzyskich, dyskusyjnych i autorskich, ale także wystaw, koncertów, prelekcji i wieczorów poetyckich. Wzbogacających życie wewnętrzne o polskie wartości kulturowe. PZA obejmujący swym zasięgiem cztery okręgi: Chicago (Illinois), Detroit (Michigan), Cleveland (Ohio) i Buffalo (Nowy Jork), stał się w krótkim czasie prężną, nadzwyczaj żywotną organizacją młodej, polskiej inteligencji. Stał się dla wielu szkołą obcowania z innymi, był pierwszym w ich życiu doświadczeniem o charakterze kulturalno-bratniacko-samopomocowym. Pierwszym zetknięciem się z kulturą wyższą, z jej przeróżnymi przejawami i obliczami. Poprzez rozliczne działania, Związek uczył harmonijnej współpracy, poszerzał horyzonty myślowe pomagał w rozwoju talentów i uzdolnień, pobudzał indywidualne zainteresowania i upodobania. A co może najważniejsze, stanowił pozadomowy polski punkt oparcia w nowym kraju.

„Gaudeamus igitur juvenes dum sumus!”

Polski Związek Akademików powstał w 1950 roku, w okresie największego napływu powojennej emigracji. Na tę nową emigracyjną, polską społeczność składali się — wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec, nie mający zamiaru wracać do Polski — byli więźniowie obozów koncentracyjnych, byli żołnierze 2. Korpusu generała Władysława Andersa, byli powstańcy warszawscy, AK-owcy, NSZ-etowcy, byli więźniowie sowieckich obozów pracy przymusowej, byli zesłańcy, niedawni jeńcy wojenni uwolnieni z oflagów i stalagów i wreszcie uchodźcy z kraju, znajdujące się w orbicie sowieckiej, pod rządami komunistycznymi. Dorośli i ich dzieci właśnie wstępujące w szeregi akademickie, już od wielu lat nie znali normalnego życia, nie mieli własnych domów czy mieszkań. Znali tylko życie obozowe, od obozów koncentracyjnych, sowieckich łagrów i obozów jenieckich poczynając a na obozach dipisowskich (*Displaced persons*), istniejących pod patronatem dobroczynnych UNRRA i IRO, będących punktem przejściowym, przystankiem między wojennym i okupacyjnym wczoraj a pokojowym jutrem kończąc.

Polski Związek Akademików nie był organizacją liczebnie silną. Nie mógł być ze względu na swą wyjątkowość, czy — jak chcieli niektórzy — elitarność. Nie był też organizacją zamożną, zasobną materialnie. Był natomiast organizacją umiejącą zabiegać o fundusze, umiejącą zarabiać na siebie i swoje potrzeby. Organizacją hojną na dobre cele — z jednym naczelnym: aby pomagać finansowo studiującym i nostryfikującym swe dyplomy. Dzisiaj te koleżeńskie, bratniackie wsparcia, udzielane z Funduszu Stypendialnego wydają się śmiesznie małe, niemal ubogie, ale w tamtych latach spełniały swe zadanie a co najważniejsze, dawały poczucie przynależności do polskiej wspólnoty studenckiej, akademickiej i etnicznej. Ogromnie ważnej po latach wojny i rozsyпки.

Vivat, Floreat, Crescat!

W późnych latach 50. z podszeptu Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku przy entuzjastycznym poparciu PZA (w osobie wiceprezesa Zbigniewa Antoniego Kruszewskiego), członkowie organizacji zebrali dane o ponad dwu tysiącach pracowników naukowych polskiego pochodzenia, zamieszkujących lub przebywających na środkowym zachodzie i na środkowym wschodzie Stanów Zjednoczonych. A w listopadzie 1963 roku, przy wydatnej pomocy PZA został zorganizowany pierwszy zjazd z udziałem 80 naukowców polskiego pochodzenia. Na tym zjeździe utworzono oddział PIN-u na środkowym wschodzie Ameryki. Były to inicjatywy w tamtych latach niezwykle, o jakich przedtem nikt nie słyszał, a które przyczyniły się znacznie do zmiany amerykańskiej opinii publicznej o Polsce a nowoprzybyłym dopomogły w odnalezieniu i utrwaleniu własnej tożsamości, odzyskaniu dumy ze swego polskiego pochodzenia. W tym też okresie, niezmordowany w działaniu Zbigniew Antoni Kruszewski zainicjował wspólnie z Władą Chałko (prezeską Legionu Młodych Polek) utworzenie istniejącej do dziś katedry polskiej na uniwersytecie chicagowskim.

Przez długie lata cztery okręgi PZA współdziałały ze sobą tak dynamicznie, podejmowały z rozmachem tak różnorodne inicjatywy, że nie jestem w stanie, w ramach jednego, wspomnieniowego artykułu, wszystkich ich wymienić. Przypomnę tylko, że gośćmi-prelegentami, mówcami a w rezultacie przyjacielami i poplecznikami braci akademickiej stali się m.in. Aleksander Janta-Pończyński, ks. prałat Walery Jasiński (opiekun duchowy, kapelan PZA), Anna Mortka, ks. prałat Zdzisław Peszkowski, Jan Rostworowski, prof. Tymon Terlecki (doradca PZA w sprawach kulturalnych), Kazimierz Wierzyński i pianista koncertowy Jan Wojnar.

Jak z tego co powyżej napisałam wynika, młoda organizacja akademicka miała nie byle jakich mentorów, doradców, mecenasów i opiekunów. Nic dziwnego, że impreza goniła imprezę, że ducha działania był silny a entuzjazm i zapał w propagowaniu sztuki i kultury polskiej — wielkie. Dorównywały im osiągnięcia uniwersyteckie. Polscy studenci zaliczali się na wyższych uczelniach do najlepszych, najzdolniejszych i najpracowitszych. Nic też dziwnego, że w sprzyjających warunkach kwitło życie koleżeńskie, towarzyskie, stanowiące przedmiot wspólnej radości.

Biorąc pod uwagę rozwój organizacji i osiągnięcia ogólne, zdobyte w tak krótkim czasie, w nowych warunkach, w nowym kraju, Zarząd Główny PZA (wybierany co dwa lata) w liście kurtuazyjnym wystosowanym w roku 1964 do wielu organizacji staro-polonijnych, mógł śmiało napisać:

jesteśmy młodą organizacją, owianą duchem nowych idei, patrzącą w przyszłość, pracującą konsekwentnie dla przyszłości, oceniającą realistycznie nasze zadania i obowiązki. Przyjmujemy i łączymy w twórczą całość najlepsze tradycje amerykańskie, szczytne dziedzictwo kultury polskiej i religii chrześcijańskiej. [...] Pragniemy służyć nie części ale całej Polsce a silniejsi duchowo i intelektualnie, pragniemy służyć Ameryce. [...] W Stanach Zjednoczonych wykształcenie określa powodzenie materialne i jest miarą wartości świadczonych społeczeństwu. Wykształcenie średnie, jest ogólnie dostępne. Nieodzowną jest jednak pomoc wartościowym jednostkom w osiągnięciu wykształcenia wyższego. Przez udzielanie stypendiów PZA spełnia ważną rolę w tym zakresie. [...] Zasięg działania PZA obejmuje takie dziedziny, jak: badania naukowe, publikacje, wykłady, odczyty, audycje radiowe, pokazy filmów, wystawy artystyczne, wieczory dyskusyjne, przedstawienia teatralne, nadsценki kabaretowe oraz najbardziej popularne wieczory literacko-muzyczne.

Ale na tym nie koniec. Polski Związek Akademików od początku zabiegał o dobre stosunki z polonijną prasą i radiem. W bardzo krótkim czasie, dzięki przychylności i zrozumieniu założeń PZA, redaktor naczelny detroickiego „Dziennika Polskiego”, Stanisław Krajewski (związany przed wojną ze „Światopolem”), udostępnił łamy swego pisma akademikom, przeznaczając w każdy poniedziałek kilka szpalt na rubrykę pod hasłem „Sprawy akademickie”. W rubryce tej można było znaleźć informacje dotyczące działań Zarządu Głównego i każdego z czterech Okręgów. Nie tylko informacje, ale krótkie recenzje, zawiadomienia o mających się odbyć imprezach, zbiórkach, balach, zjazdach, odczytach, akademiach narodowych i demonstracjach patriotycznych. A także o stypendiach.

Charakter kroniki był w zasadzie poważny, ale zdarzało się, że w okresie kanikulu autorka kroniki pozwalała sobie na żartobliwe, zabawne przerywniki. Jak dla przykładu — wierszowane, utrzymane w stylu K.I. Gałczyńskiego sprawozdanie z podróży wakacyjno-służbowej do Nowego Jorku:

Czas poza domem się nie dłuży —
jestem już trzeci dzień w podróży...
Wielka wystawa w Nowym Jorku
w której jest wszystko jak we worku.
Każdy wystawia to, co może,
Szanowny Panie Redaktorze...

Boli mnie dumą narodowa
że na światowym tym ryneczku
o Polsce nie ma ani słowa
w najmniejszym choć pawilloneczku,
więc ból mój w Pana ręce złożę,
Szanowny Panie Redaktorze

[...]
Byłam też w West Point, gdzie nad dróżką
stoi Tadeusz, nasz Kościuszko
więc serca zaraz poszły w górę,
bo taką mamy już naturę.
W nas ciągle patriotyzm gorze
Szanowny Panie Redaktorze...

[...]
Weszłam tu w kontakt z „Nowym Światem”
który ma „stronę” nam drukować
zimną i wiosną, także latem
byśmy PZA mogli propagować.
Więc teraz z nami nie najgorzej,
Szanowny Panie Redaktorze...

[...]
Wakacje dobiegają końca
Dnie coraz krótsze, noce chłodne

I coraz słabszy promień słońca,
Choć niebo nadal jest pogodne.
Już coraz bledsze świecą zorze
Szanowny Panie Redaktorze...

Obdarzony dużym poczuciem humoru red. Stanisław Krajewski ten pół-prywatny a pół-sprawozdawczy list zamieścić w całości (ja podaję wersję skróconą) a co więcej w sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oddał do dyspozycji PZA cały dwunastostronicowy „Dodatek Niedzielnym” pisma (coś w rodzaju miniaturowego „Przeglądu Polskiego”), który zapełniliśmy materiałami historycznymi, poezją, fotografiami Uczelni i obszernymi rozmowami z dawnymi wychowankami Wszechnicy Krakowskiej. Za dość niecodzienny w tamtych latach uniwersytecki dodatek, PZA zebrał mnóstwo pochwał a „Dziennik Polski” zaskarbił sobie wdzięczność licznej społeczności nowo przybyłych Polaków.

Jak z wspomnianej trochę wyżej, wierszowanej korespondencji wynika, weszliśmy też w kontakt z prestiżowym, najpopularniejszym na wschodnim wybrzeżu, nowojorskim „Nowym Światem”. Podczas mojej wizyty w redakcji „naczelnym” dr Tadeusz Siuta rozmawiał ze mną wprawdzie przez ramię, nie odwracając ani razu głowy w moją stronę, ale jednak uważnie słuchał i przychylił się do naszej prośby, przyznając nam w dodatku „Ogniwo”, raz w miesiącu, całą stronę (zaznaczając, aby była to strona akademicka a nie kabaretowa...) drukując przesyłane materiały bez ingerencji w ich treść. Ambitna grupa, redagująca „Stronę”, z wielkim zapałem zbierała ciekawostki, dotyczące m.in. osiągnięć Polaków na amerykańskim rynku kulturalnym. Na tej właśnie „Stronie” ukazały się — jedyne w tamtych czasach — rozmowy w polskim języku z kompozytorami i twórcami muzyki filmowej: Henrykiem Warszem („Miłość ci wszystko wybaczy”, „Tylko we Lwowie”, „Flipper”, „A Little Shepard of the Kingdom Come” i inne) i Bronisławem Kaperem („Ninon, ach uśmiechnij się”, „Carnival”, „Lord Jim”, „Green Dolphin Street”, „Mutiny on the Bounty” i inne); z Anetą Strakacz-Appleton o jej ojcu Sylwinie Strakaczu i Ignacym Janie Paderewskim; z Danutą Mostwin o jej pisarstwie; z Ryszardem Kubińskim o przekładach poezji itd., itd.

Bardzo życzliwie odnosił się też do działań akademickich chicagowski „Dziennik Związkowy”, organ prasowy Związku Narodowego Polskiego (redaktorzy: Józef Białasiewicz, Jan Krawiec, Wojciech Białasiewicz) — zamieszczając na swych łamach informacje o urządzanych przez PZA imprezach i obszerne recenzje z tychże imprez. Dla okręgu chicagowskiego ta serdeczna pomoc była nie do przecenienia. W gorszej sytuacji znalazły się Okręgi w Cleveland i w Buffalo, nie mające żadnego zaplecza prasowo-informacyjnego. A bez poparcia prasowego i radiowego — o czym za chwilę — po kilkunastoletniej, pięknej działalności, życie akademickie w tych miastach zaczęło zamierać. Pozostały jednak dwa dynamiczne, pełne społecznego wigoru i zapału Okręgi: chicagowski i detroicki. I te dwa przetrwały...

Ale było jeszcze radio i ten środek masowego przekazu Zarząd Główny i poszczególne okręgi postanowiły pozyskać dla swej działalności kulturalno-społecznej. Przdował w tym pozyskiwaniu Okręg detroicki, który przyjął od początku nazwę „Akademia”. Dzięki uprzejmości i zrozumieniu celów i zadań Związku przez dyrektorów pięciogodzinnego, codziennego programu, druha Eugeniusza Konstantynowicza i red. Jana Mariana Kreutza, PZA uzyskała własną, cotygodniową, piętnastominutową audycję o nazwie „Gaudeamus”. Głównym tematem audycji — obok informacji o mających się odbyć imprezach — była kultura polska i konieczność jej podtrzymania i propagowania wśród starej, średniej i młodej Polonii. Słuchacze zapoznawali się z fragmentami poezji i prozy, wysłuchiwali rozmów na nurtujące młodzież akademicką tematy. Audycja przetrwała całe lata, aż do likwidacji programu (śmierć obu dyrektorów...). Tak było w Detroit. Natomiast Okręg chicagowski korzystał niejednokrotnie z zaproszeń dyrektora codziennego programu radiowego i godzinnego, niedzielnego programu telewizyjnego Roberta Lewandowskiego do rozmów i wywiadów na tematy związane z zamierzeniami, dokonaniem i zainteresowaniami PZA.

Miał też Polski Związek Akademików w Stanach Zjednoczonych dobre stosunki koleżeńskie ze Zrzeszeniem Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie z siedzibą w Londynie i ukazującym się tam „Merkuriuszem” pismem młodej inteligencji mieszkającej nad Tamizą. (O „Merkuryszu” w rozmowie przeprowadzonej przez Beatę Tarnowską mówi obszernie poeta Bolesław Taborski w trzecim zeszycie toruńskiego „Archiwum Emigracji”).

A w roku 1964 na Walnym Zjeździe w Buffalo, otwarto Związkowi mikrofony „Głosu Ameryki”, nadając do Polski obszerne sprawozdanie zjazdowe i rozmowy o celach, zadaniach i osią-

gnięciach młodej polskiej inteligencji żyjącej wprawdzie na drugiej półkuli, ale uczuciowo związanej z krajem pochodzenia. Jednym z najważniejszych tematów był bratniacki fundusz stypendialny, stworzony samorzutnie przez studentów, dla studentów. Transmisja z Buffalo zaowocowała licznymi listami od słuchaczy w Polsce, poruszonych najwyraźniej ambicjami i niezależnością młodego pokolenia w Ameryce, podtrzymującego przekonanie Antoniego Słonimskiego, że „świat nie jest piłką futbolową, świat się podbija głową!”

**„Na Pięterku”, „Na Pięterku”
Wszak ten lokal każdy zna,
„Na Pięterku”, „Na Pięterku”
Co niedzielę „szafa gra”...**

Starając się odtworzyć — z konieczności bardzo pobieżnie — dzieje PZA, pragnę podkreślić, że znając dość dobrze całość działalności, najbardziej czułam się związana z Okręgiem detroickim. Był to jedyny Okręg posiadający w tamtych latach rzecz bezcenną, a mianowicie — własny lokal, zwany „Na Pięterku”. Tutaj właśnie, przy głównej arterii polskiej dzielnicy o nazwie Hamtramck, koncentrowało się życie organizacyjne i kulturalne PZA. Prawie każdy weekend, jak rok okrągły, cztery obszerne pokoje — a bywało, że i klatkę schodową — wypełniała doborowa publiczność, która z zainteresowaniem i życzliwością przysłuchiwała się popisom recytatorskim, odczytom, muzyce, pieśni i poezji. Brała gromadny udział w kiermaszach sztuki ludowej, wystawach książki polskiej i spotkaniach autorskich. Największym jednak powodzeniem cieszyły się „podwieczorki kabaretowe” i „wieczory poetycko-muzyczne” (ktoś nawet ukuł powiedzenie, że PZA to „Poetycki Związek Akademików”...). Podwieczorki i wieczory przynosiły wielką radość wykonawcom („młodość się musi wyszumieć!”) i publiczności, a organizatorom wcale niezły dochód, zasilający Fundusz Stypendialny. W kabaretowym repertuarze prezentowano utwory: Mariana Hemara, Ryszarda Kiernowskiego, Feliksa Konarskiego, Anatola Krakowieckiego, Antoniego Słonimskiego i Juliana Tuwima. Sięgano też do Aleksandra hr. Fredry i biskupa Ignacego Krasickiego. Próbowali też swoich sił w tekstach „aktualnych”: Zdzisław Jachulski i — ja.

Współzawodnictwo — w najlepszym tego słowa znaczeniu — między Okręgiem chicagowskim a detroickim było wręcz legendarne, w związku z czym w „Podwieczorkach kabaretowych” prezentowaliśmy takie oto fraszki:

W Chicago mówią, że co zrobią, to zawsze jest wszystko wspaniałe
Na guziczek ostatni zapięte, od „A” do „Zet” doskonałe.

A jakże być może inaczej, gdy szczęścia ich taka jest miarka,
że na dwa „A”^{**} zaczyna się prezes — a na dwa „Zet” — sekretarka!^{**}

W Detroit każdy się zachwyca
Postawą Jana Wampuszyca —
Że to jest prezes jakich mało,
Że więcej takich by się zdało.

Czy zawsze rację ma? rzecz sporna,
Odmienność zdań jest przeogromna!
W opiniach wielka jest różnica
Co do prezesa Wampuszyca!

Jedno wszak pewne: nikt nie wąpi
Od swych zamiarów nie odstąpi.
A zamiar ma (czy mu się uda?)
By w „Akademii” zdziałać cuda,

* Andrzej Azarjew.

** Zofia Zatyрка.

By „Akademia” sięgła nieba,
Bo taka właśnie jest potrzeba
I by przerosła wszystkie góry,
Za jego super-prezesury!

Rywalizacja nie przeszkadzała owocnemu współdziałaniu i koleżeńskej współpracy, także na polu rozrywkowym. Gdy w Chicago miał powstać teatrzyk satyryczny, to „podwieczorkowi kabareciarze” detroicycy podesłali pomysłodawczyni Ewie Buchowskiej taki wierszyk:

Był malarz, co innym malarzom nie zazdrościł sławy;
Był poeta dla innych poetów w krytyce łaskawy;
Był aktor, co o innych aktorach dobrze się wyrażał;
Był działacz, co się nigdy w życiu nie obrażał.
Był pieśniarz, który innym swe teksty pożyczał;
I był nierób co o innych nieróbstwie nie krzyczał;
Była jedna, co w innych widziała zalety,
Choć były młode, ładne i także kobiety...

Spytacie: Cóż za bajka? wszystko to być może...
Lecz pozwólcie, że ja to między bajki włożę...

(Wówczas wiadomo było, o które osoby chodziło!)

W Chicago też — żeby było śmieszniej — detroiczanie zaprezentowali po raz pierwszy (Aleksandrowi Jancie-Polczyńskiemu) piosenkę o „Akademii” śpiewaną na melodię „Deep in the Heart of Texas”:

Piosenka ta, objaśnić ma, co to jest Akademia
Być może ktoś z was nie wie co, to jest ta Akademia
Dziewczęcy gwar, dziewczęcy czar, to właśnie Akademia
I chłopców rój, ach Boże mój, to właśnie Akademia
W przepychu sal, wspaniały bal, to właśnie Akademia
I wina dzban i skoczny tan, to właśnie Akademia
I mądrość ksiąg i uścisk rąk, to właśnie Akademia
I w późną noc, nauki moc, to właśnie Akademia!
Śpiewajmy wraz, po wieczny czas, niech żyje Akademia
Niech słyszy świat: aby sto lat, żyła nam Akademia!

Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

Więc jeszcze raz, śpiewajmy wraz: niech żyje Akademia
Życzymy iż, by rosła wzwych, ta właśnie Akademia!

Piosenki i fraszki rosły dosłownie jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Ale większość z nich przepadła — bo nikomu nie przychodziło do głowy, stworzenie prawdziwej kroniki i zachowanie na wieczną rzeczy pamiątkę, jakie to były zabawy akademickie w tamtych jakże dawnych latach...

Klub „Na Pięterku” funkcjonował znakomicie przez dobrych parę lat. Jego wpływ na społeczność polską (polonijną) w Detroit był nie do przecenienia. Było to w całym tego słowa znaczeniu ognisko polskości promieniujące kulturą i sztuką polską, gromadzące pod jednym dachem najlepszych twórców i wykonawców i najciekawsze postacie tamtych, odległych dziś czasów.

Nie mam zamiaru czynić z mego wspomnieniowego artykułu alfabetycznej wyliczanki, ani też przysłowiowej (przestarzałej!) książki telefonicznej. Niemniej, pragnę przypomnieć niektóre podejmowane przez PZA inicjatywy, dla propagowania sztuki polskiej i nazwiska osób z nimi związanych, jak: koncerty Teresy Garbulińskiej i Jana Wojnara; wystawy malarskie: Barbary Dąbrowskiej, Krystyna Dudkiewicza, Ireny Hałko, Zbigniewa Leśniaka, Tadeusza Łady, Rafała Malczewskiego, Zdzisława Nowińskiego, Jerzego Ochockiego, Romy Starczewskiej (wycinanki), Ludwika Wiecheckiego, Stanisława Wcisło (rzeźba) i Kazimierza Żurka. Spotkania autorskie: z ks. prof. Stanisławem Bełchem (Londyn), językoznawcą prof. Zbigniewem Gołąbem, red. Jerzym Jankowskim, red. Janem Dunin-Karwickim (Australia); pisarzem Jerzym Krzysztoniem, o. Zdzisławem

Kozłowski, założycielem PZA, który poświęcił się służbie bożej wstępując do zakonu oo. Kapucynów, Stanisławem Latożyńskim, prof. Tymonem Terleckim, Leopoldem Tyrmandem, pisarzem; Bogusławem Ustaborowiczem, harcerzem i społecznikiem itd., itd. Występy estradowców: Tadeusza Łuczaja, Marii Maliszewskiej, Leszka Kobylińskiego, Zygmunta Kossakowskiego i Stefana Wicika. Przedstawienia i sztuki czytane: „Tygrys” Murray’a Schisgala, „Madame X-ow” i „Słoneczniki” Teodozji Lisiewicz. Wieczory poezji: Romana Brandsteattera, Zbigniewa Chałko, Mariana Hemara, Ryszarda Kubińskiego, Jana Lechonia, Jana Leszczy, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, Jana Rostworowskiego, Andrzeja Lecha Sowulewskiego, Kazimierza Wierzyńskiego i Józefa Wittlina. Imprez artystycznych było oczywiście dużo, dużo więcej, ale zawodna pamięć nie mi w tej chwili nie podpowiada...

Dla Ciebie, Polsko i dla twej chwały...

Pozostała jeszcze do omówienia zakrojona na szeroką skalę działalność patriotyczna PZA. Przez wszystkie lata istnienia organizacji, nie było zbiórki na polskie cele, obchodów jedenasto-listopadowych, trzecio-majowych, Dni Pułaskiego czy rocznicy bitwy o Monte Cassino, w których by PZA nie uczestniczył. Nie było demonstracji anty-reżymowej, anty-komunistycznej, aby akademicy nie brali w niej udziału. We wszystkich akcjach, w których domagano się wolności dla Polski lub ochrony jej dobrego imienia, Akademicy byli na pierwszym miejscu. Wolna, niepodległa, samorządna Polska była stale na uwadze młodej inteligencji, która w słowie i czynie dawała wyraz miłości i przywiązaniu do kraju ojczystego i jego kultury. Zebrania i zjazdy odbywały się w języku polskim. W pierwszych dziesięciu latach pobytu w nowym kraju, dość często mówiło się o chęci powrotu do Polski i przeszczepieniu demokratycznych doświadczeń amerykańskich na ojczysty grunt. „Gdy tylko Polska będzie wolna...” Ale czas upływał i nic się nie zmieniło. Młoda inteligencja przestała żyć złudzeniami, tkwić pamięcią w przeszłości a wybiegała myślą w przyszłość. W przyszłość w Stanach Zjednoczonych. Była to nieunikniona, normalna kolej rzeczy. Polska spisała na straty dziesiątki tysięcy młodych, dobrze wykształconych ludzi... Niemniej, gdy zaistniała „Solidarność”, Akademicy udzielili jej entuzjastycznego poparcia, nie tylko moralnego! Chociaż...

...już się mówiło tylko w czasie przeszłym...

Lata biegly. Wczorajsza, ambitna studenteria, z dyplomami w rękę weszła w dorosłe życie. Rozbiegła się po Ameryce. Pozakładała rodziny. Podjęła starania o jak najkorzystniejsze miejsca na amerykańskim rynku pracy. Weszła do najwyższych sfer życia zawodowego.

Najpierw przestały istnieć najszabsze liczebnie Okręgi: Buffalo i Cleveland. Chicago zubożało pod względem organizacyjnym z chwilą, gdy Zbigniew Antoni Kruszewski wyjechał (wraz z żoną Jadwigą) do Teksasu, aby objąć najpierw katedrę a potem dziekanat Wydziału Nauk Politycznych na uniwersytecie w El Paso. Teksas zabrał też inżyniera Stanisława Garczyńskiego (z żoną Marią), aby powierzyć mu zaplanowanie, wykonanie i nadzorowanie budowy podziemnego metra w Houston. Z tzw. „życiowych powodów” odeszli też inni i chociaż na miejscu zostali tak znakomici społecznicy jak na przykład Leszek Kapturski i Witold Pawlikowski, coraz bardziej brakowało rąk do pracy. Organizacja zaczęła się kurczyć, a młodego narybku nie przybywało. Z końcem lat 80. nastąpił w Okręgu chicagowskim kryzys organizacyjny. Ostatnim — jeśli się nie mylę — wspólnym przedsięwzięciem akademików było spotkanie z laureatem Nagrody Nobla Czesławem Miłoszem. Życie akademickie, tak bujne kiedyś w stolicy Polonii amerykańskiej — zamarło. Do dnia odzyskania przez Polskę niepodległości dotrwała — i to tylko dzięki uporowi Jana Piotra Wampuszycy — jedynie detroicka „Akademia”, której oficjalna likwidacja nastąpiła w 1998 roku.

Polski Związek Akademików w Stanach Zjednoczonych istniał i działał przez blisko pięćdziesiąt lat i pięknie się zapisał w bogatych dziejach Polonii amerykańskiej. Wydaje mi się, że to pracowite półwiecze warto przypomnieć, odnotować, aby ułatwić pracę przyszłym archiwistom i historykom, którzy — być może — zechcą opracować dokładniej ode mnie działania polskiej młodzieży akademickiej w nowym kraju, który stał się ich drugą ojczyzną.

Róża Nowotarska (USA)

KONFRATERNIA „ZŁOTEJ RÓŻY”

W latach 1968–1971 przybywali do Kopenhagi wygnańcy z peerelu, przeważnie z całymi rodzinami. Stanie na kołyszącym się przy nabrzeżu portowym statku „St. Laurence” — miejscu pierwszego zakwaterowania — było w rzeczywistości odzwierciedleniem poczucia niepewnej przyszłości w obcym kraju. Często przywoływało również refleksje na temat nie tak dalekiej przeszłości.

Dni wyczekiwania na załatwienie formalności, zwłaszcza przez ludzi nawykłych do działania, były wypełnione nawiązywaniem kontaktów z przybyłymi z różnych stron Polski — Warszawy, Krakowa, Łodzi, Lublina, Poznania, Wrocławia... Wśród uchodźców były osoby, które rozpoznawano z widzenia lub z nazwiska — pisarze, dziennikarze, muzycy. W pośpiesznie zorganizowanym przez Duńczyków klubie dla emigrantów organizowano spotkania, odczyty itd. W ten sposób zamiast przesiadywania w kajutach na statku lub hotelowych pokojach, długie wieczory jesienno-zimowe można było — o ile nerwy na to pozwalały — wypełnić rozmowami ze współtowarzyszami niedoli, muzyką, poezją czy satyrą.

Pustkę kulturalną i brak działalności niepodległościowej wśród wcześniej osiadłych w okręgu stołecznym Polaków, zaczęto wkrótce wypełniać odczytami i wystawami malarskimi (np. w 1971 r. poety i artyści malarza Jana Winczakiewicza z Paryża, czy też młodych adeptów malarstwa przybyłych z Polski), spotkania przy świecach, a nawet zorganizowaną (M. Marczyński) audycją w duńskiej telewizji z „czarnym aniołem” z Krakowa — Ewą Demarczyk.

Z inicjatywy redaktora „Kroniki poświęconej sprawom polskim”, 1 lipca 1972 r., w gronie przyjaciół postanowiono utworzyć bractwo „Art et Sciencia” — Towarzystwo Miłośników Nauki i Sztuki. Prezesem została znakomita wiolonczelistka, Halina Kowalska-Zalewska. Znana solistka Filharmonii Warszawskiej i Teatru Wielkiego podzieliła los tysięcy innych wygnańców. W ten sposób kraj nasz zubożał, a w Kopenhadze znaleźli się wybitni pracownicy nauki (fizycy, chemicy, biolodzy itd.), lekarze, inżynierowie, studenci różnych kierunków i inni. Byli wśród nich: reżyser Aleksander Ford („Chopin”), operator filmowy Władysław Forbert („Kronika filmowa”), Mariusz Marczyński (znany z „Teleturnieju miast”), Tadeusz Polanowski (ze „Szpilek”), kompozytor Zygmunt Karasiński, reżyser teatralny Włodzimierz Herman, krytyk literacki Janina Katz, śpiewak operowy Andrzej Orłowicz i wybitna skrzypaczka Henryka Trzonek, oraz młody poeta Andrzej Zalewski.

Towarzystwo „Art. et Sciencia” skupiało grono osób, które zawodowo zajmowały się twórczością artystyczną i publicystyczną. Z niewielkiej dokumentacji jaka się zachowała, możemy w zarysie odtworzyć działalność Towarzystwa z lat 1971–1986(?), która głównie polegała na organizowaniu otwartych posiedzeń tematycznych lub odczytów, oraz współudziale w imprezach organizowanych przez inne środowiska niepodległościowe lub Polską Misję Katolicką.

Pierwszą większą imprezą jaka została zorganizowana przez konfraternię, był poranek literacki w dniu 26 listopada 1972 r. poświęcony życiu i twórczości poety Jana Sztudyngera. Odczyt wygłosił Eugeniusz S. Kruszewski, a utwory recytowali — Ewa Młodecka i Andrzej Zalewski. Jak podano w zaproszeniu, wstęp w wysokości dwóch koron był przeznaczony na fundusz wydawniczy. Trudno dzisiaj dokładnie podać jaka za tym kryła się myśl, ale był to początek pobytu na emigracji. Pieniądzy brakowało nawet na wydanie zaproszeń, a sponsorów nie było.

25 lutego 1973 r. odbyło się posiedzenie poświęcone Mikołajowi Kopernikowi, a w kwietniu tegoż roku na uroczystości rocznicy Katynia przedstawiono wyjątki ze sztuki „Świadek” Romana Orwida-Bulicza (1902–1973)¹.

Z kolei 15 czerwca 1973 r. odbyło się posiedzenie poświęcone pamięci wybitnego psychiatry i filozofa prof. Antoniego Kepińskiego (1918–1972) z Krakowa. Prelekcję wygłosił Eugeniusz S. Kruszewski, a wyjątki z książki *Rytm życia* czytał Andrzej Zalewski².

¹ R. Orwid-Bulicz, *Świadek. Sztuka w 3 aktach*. Londyn 1953.

² A. Jakubik, J. Masłowski, *Antoni Kepiński — człowiek i dzieło*. Warszawa 1981; *Kronika poświęcona sprawom polskim* (Kopenhaga) 1973 nr 30 s. 89; A. Kepiński, *Rytm życia*. Kraków 1972.

Jedną z ważniejszych imprez było Sympozjum Kultury Wolnych Polaków, które odbyło się w Roku Kopernika, w dniach 13 i 14 października 1973 r., w Kopenhadze pod protektoratem Edwarda Raczyńskiego³. W liście skierowanym do uczestników Patron Sympozjum napisał: „Traktuję to jako zaszczytne wyróżnienie dla siebie, a zarazem podkreślenie więzi łączącej mnie z Danią od czasu kiedy spędziłem tam pogodnie dwa lata młodości. Wierzę, że dzięki energii Państwa ożywi się życie kulturalne polskie w Danii i zacieśni współzycie między rodakami tam rozsiyanymi”⁴. W sympozjum uczestniczyło dwadzieścia jeden osób. Wygłoszono osiem referatów, w tym na tematy: „Tycho Brache i Mikołaj Kopernik” prof. Leona Koczego (Glasgow), „Duszpasterstwo polskie w Danii” rektora o. Jana Szymaszka CSSR, „Wizja teatru Stefana Żeromskiego” Andrzeja Zalewskiego i „Teraźniejszość i przyszłość współpracy polskiej emigracji niepodległościowej” Andrzeja Jachowicza (Oslo).

W drugim dniu sympozjum, w kościele św. Anny została odprawiona msza św. za poległych i pomordowanych pracowników nauki i kultury polskiej, a następnie odbył się koncert z udziałem Haliny Kowalskiej — wiolonczela, Władysława Marchwińskiego — skrzypce i Czeszki, Bohumily Jedlickovej — fortepian. Na koncert przybyło około 200 osób.

Na jednym z zebrań zarządu Towarzystwa, w dniu 25 lutego 1973 r., ustanowiono honorową nagrodę „Złotej Róży”. Nagroda składała się z pozłacanej jedwabnej róży z białą-czerwoną kokardą i dyplomu. Regulamin — łącznie trzy paragrafy — przewidywał przyznanie nagrody za „osiągnięcia i wybitne zasługi dla wolnej kultury, nauki i sztuki”. Nagroda mogła być przyznana osobom należącym do niepodległościowej emigracji polskiej, osobom zamieszkałym w Kraju oraz przyjaciołom niepodległej Polski.

Pierwszą „Złotą Różę” przyznano pośmiertnie w 1973 r. Antoniemu Kępińskiemu (Kraków), absolwentowi Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu, który sam przeszedł okropności obozu w Miranda del Ebro (Hiszpania), a po powrocie do kraju, był człowiekiem-legendą wśród pacjentów, oraz uznanym autorytetem w środowisku specjalistów w Polsce i zagranicą.

W dniu 12 kwietnia 1975 r. E.S. Kruszewski wygłosił odczyt nt. „Prasa wychodźstwa polskiego w Danii w latach 1893–1975”.

Dopiero po dziesięciu latach przyznano kolejne nagrody. W 1984 r. otrzymała ją Halina Kowalska-Zalewska (Kopenhaga) obchodząca jubileusz 50-lecia pracy artystycznej, który zorganizowano w dniu święta 3 Maja. Z tej okazji Wydawnictwo „Kronika” opublikowało broszurkę z fragmentami biografii jubilatki oraz programem wieczoru słowno-muzycznego, w którym Halina Kowalska wystąpiła w towarzystwie Liliany Bondarczuk-Elmborg — fortepian, Elsbeth Brodersen — fortepian i Annelise Bensen — sopran. Konferansjerem wieczoru był Andrzej Zalewski⁵.

Jubilatka ukończyła studia w klasie Elega Kochańskiego w Konserwatorium Warszawskim. Podczas okupacji brała udział w wielu podziemnych wieczorach muzycznych. Od 1945 r. była związana z Filharmonią Narodową i Polskim Radiem. Jej występy solowe, w Kwartecie Polskiego Radia i sekstecie Stefana Rachonia, stanowisko koncertmistrza oraz liczne nagrania płytowe sprawiły, że była najpopularniejszą wiolonczelistką w kraju. Po zwolnieniu z pracy („na własną prośbę”) zdecydowała się na emigrację do Danii w 1970 r., gdzie do emerytury, przez dwanaście lat, była etatowym członkiem Orkiestry Duńskiego Radia.

Towarzystwo zorganizowało również jubileusz 50-lecia pracy naukowej prof. Józefowi Parnasowi (1908–1998), więźniowi PRL i emigrantowi z Lublina. W uroczystości 15 czerwca 1984 r., obok członków Towarzystwa i innych stowarzyszeń niepodległościowych, brali udział polscy i duńscy pracownicy nauki.

W liście gratulacyjnym do jubilata rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie prof. Jerzy Gawenda (1917–2000) podkreślił jego wkład w rozwój nauk ścisłych i rozpowszechniania ogólnej kultury narodowej, natomiast dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego prof. Władysław Skiba (1912–1988) uwypuklił wielkość jego zasług dla nauki polskiej i światowej, zwłaszcza jako autora ponad 400 rozpraw i recenzji. Profesor otrzymał liczne gratulacje od uczniów, kolegów

³ E.S. Kruszewski, *Sympozjum Kultury Wolnych Polaków w Danii, fragment działalności niepodległościowej*, [w:] *Idea niepodległości i suwerenności narodowej w działalności Polaków w kraju i na obczyźnie (1918–1998). Prace naukowe, t.4.* Gorzów Wlkp. 2000 s. 180–184.

⁴ Korespondencja z amb. E. Raczyńskim. Archiwum IPS.

⁵ *Jubileusz 50-lecia pracy artystycznej Haliny Kowalskiej-Zalewskiej.* Kopenhaga 1984; *Złoty jubileusz*, *Kronika...* 1984 nr 5/6 s. 20–21.

i naukowców z różnych stron świata, do których należy dodać list z Międzynarodowej Akademii Przyrody w Rzymie. Delegat Rządu RP w Danii powiedział wówczas, że dzisiejsza uroczystość „odbywa się w tej okazałej i historycznej sali (królowej Dagmary) w Kopenhadze, zamiast w macierzystej auli Almae Matris, ale jest to los wielu emigrantów. Nie tracimy jednak nadziei, że wcześniej czy później Polska znowu będzie wolna”⁶.

Na uroczystości prof. Parnas wygłosił odczyt (w j. polskim i angielskim) na temat: „Przyczynę do polskiej nauki w zakresie nauk przyrodniczych i lekarskich”. Po okolicznościowych przemówieniach profesorów, prezes Towarzystwa wręczyła jubilatowi Nagrodę „Złotej Róży”. Wydawnictwo „Kronika” opublikowało broszurę „Sylwetki moich nauczycieli” autorstwa Jerzego Gawendy⁷.

We wrześniu 1984 r. przybył do Kopenhagi z San Francisco lwowianin prof. Jerzy Lerski (1917–1992). 21 września w sali „Ogniska” wygłosił odczyt „O potrzebie dialogu polsko-żydowskiego”, a następnie na spotkaniu w delegaturze Rządu R.P. w Kopenhadze, prezes Towarzystwa wręczyła mu honorową Nagrodą „Złotej Róży”. W uzasadnieniu podano, że laureat otrzymał ją „za wkład w dzieło przyjaźni między narodami i książkę *Emisariusz Jur*”⁸.

Prof. Lerski, z wykształcenia prawnik i historyk, był oficerem rezerwy artylerii przeciwlotniczej. W 1939 r. przedostał się do Francji, a następnie do Anglii. Był emisariuszem premiera i Wodza Naczelnego oraz czterech stronnictw politycznych wysłanym do kraju. Po rocznym pobycie i pracy w strukturach Podziemnego Państwa, wrócił do Londynu. Był sekretarzem osobistym premiera Tomasza Arciszewskiego i w dramatyczny wieczór 13 lutego 1945 r. otrzymał surowy tekst komunikatu do ostatniej redakcji. Historyczną zasługą Lerskiego pozostaną włączone do tekstu komunikatu następujące słowa: „Rząd polski oświadcza, że decyzje Konferencji Trzech Mocarstw dotyczące Polski nie mogą być uznane przez rząd polski i nie mogą obowiązywać narodu polskiego”. Fakt uhonorowania Lerskiego został odnotowany zarówno w biuletynie PAT-a (Londyn), jak i w innych pismach⁹.

W tym samym czasie Towarzystwo uhonorowało „Złotą Różą” wilniankę Alicję Pomian-Pożerską Matulewiczową (1910–), poetkę i publicystkę z San Francisco, która otrzymała ją za dwa tomy liryki oraz płytę gramofonową „Koncert E-mol”¹⁰. Nieobecnej laureatce nagrodę miał przekazać, na prośbę zarządu, Jerzy Lerski.

Alicja Matulewiczowa debiutowała w Wilnie przed wojną. Od 1950 r. publikuje lirykę i prozę w pismach polskich i polsko-amerykańskich, a kilka jej utworów ukazało się także w kopenhaskiej „Kronice” i „Notatkach skandynawskich”.

W święto niepodległości 11 listopada 1985 r. „Złotą Różą” uhonorowano inż. Tadeusza Głowackiego (Sztokholm). Nagrodzono go za wybitny udział w szerzeniu polskiej kultury na terenie Skandynawii, szczególnie przez objęcie swoim mecenatem niezależnych wydawnictw w Kraju (zwłaszcza Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela) i na emigracji. Własnym nakładem przez prawie piętnaście lat redagował miesięcznik „Kronika poświęcona sprawom polskim” (Kopenhaga, 1971–1985). Wydał również osiem książek popularnych i popularno-naukowych, oraz wybór poezji Andrzeja Zalewskiego¹¹. Obrońca Helu w 1939 r., po ucieczce z obozu jenieckiego w Niemczech przedostał się do Szwecji, gdzie ponownie zgłosił się do służby wojskowej. Po demobilizacji w 1946 r. w Londynie, i zdobyciu pozycji zawodowej na emigracji, poświęcił czas i pieniądze na działalność niepodległościową. Zasłynął m.in. walką o prawdę dotyczącą Katynia, budując pierwszy w świecie (poza Polską) pomnik na wykupionej przez siebie prywatnej posesji. Mimo protestów sowieckich pomnik stanął 16 listopada 1975 r. w Sztokholmie¹².

⁶ 50-lecie pracy naukowej. Kronika... 1984 nr 7/8 s. 25; Tydzień Polski (Londyn) 1984 nr 28 s.15; Historia Medicinæ Veterinariæ (Kopenhaga) 1984 nr 9 s. 2.

⁷ J. Parnas, *Sylwetki moich nauczycieli*. Kopenhaga 1984.

⁸ J. Lerski, *Emisariusz Jur*. Londyn 1984; *Jewish-Polish coexistence, 1772–1939. A Topical Bibliography*. New York 1986.

⁹ Polska Agencja Telegraficzna 1984 nr 4(84) s. 3; Dziennik Polski (Londyn) 9.10.1984; Rzeczpospolita Polska (Londyn) 1984 nr 11 s. 8; Kronika... 1984 nr 9/10 s. 26.

¹⁰ A. Pomian-Pożerska, *Najlonowe skrzydła*. London 1974; *Koncert E-mol i wiersze inne*. San Francisco 1974.

¹¹ A. Zalewski, *Fuga na cztery pory roku — wybór poezji*. Kopenhaga 1984.

¹² J. Sikorski, *Pierwszy w świecie Pomnik Katyński*, *Jutro Polski* (Londyn) 1975 nr 12 s. 1.

Dodać trzeba, że przez cały okres działalności Konfraterni, jej członkowie brali czynny udział w uroczystościach narodowych (3 Maja, 11 Listopada), zabronionych w kraju, a kultywowanych na emigracji, organizowanych przez Kościół i środowiska niepodległościowe.

Kilkakrotnie Towarzystwo zajmowało także publicznie stanowisko w sprawach kultury w Danii, np. w sprawie finansowania przez socjaldemokratyczny rząd „antykulturalnego” i „antymoralnego” filmu „Jezus” anarchisty Jens Joergen Thorsena. Na ten protest, wbrew oczekiwaniom, premier rządu duńskiego odpisał i rzeczowo się do niego ustosunkował¹³.

Towarzystwo poparło natomiast wysiłek utworzenia katolickiego diecezjalnego muzeum w Kopenhadze, m.in. przez zbiorowe członkostwo Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Katedralnego św. Ansgara. Publikacje firmowane przez Towarzystwo zostały wydane i sfinansowane przez Wydawnictwo „Kronika” w Sztokholmie.

Towarzystwo z braku funduszy, nigdy nie miało własnego lokalu na spotkania, zwłaszcza na posiedzenia otwarte. Jednak, dzięki zrozumieniu rektora Polskiej Misji Katolickiej o. Jana Szymaszka (1901–1989) — do 1939 r. dyrektora Gimnazjum oo. Redemptorystów w Toruniu, a następnie więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych — dla położenia uchodźców niejedna pożyteczna inicjatywa mogła się rozwinąć. Z gościnności Polskiej Misji Katolickiej w Kopenhadze, której drzwi były szeroko otwarte dla wszystkich, także tych z kościołem nie związanych, często korzystano.

Śmierć wielu członków oraz wyjazdy do różnych miejscowości w Danii i innych krajów w poszukiwaniu pracy spowodowały, że Towarzystwo choć formalnie nigdy się nie rozwiązało, zawiesiło działalność.

Eugeniusz S. Kruszewski (Dania)

¹³ Premier rządu duńskiego. Protest z 2.09.1973 r.; Kronika... 1973 nr 31 s. 97, nr 32 s. 112.

„LISTY DO POLAKÓW” — ORGAN „NIEZŁOMNYCH”

W wyniku zwycięskiej wojny z Niemcami w krajach Zachodu akcje sowieckiego prestiżu wzrosły niepomierne. Odwrotnie miała się rzecz u tych, którzy wymknęli się z krajów sowieckiej supremacji, szukając miejsca w świecie. Kraj Rad był postrachem dla tych, którzy mieli pecha zetknąć się z jego zachwalaną rzeczywistością. Tuż po wojnie robotnicze miasteczka Francji były udekorowane czerwonymi flagami jak zagon czerwonymi piwoniami, a z głośników płynęły tony Internacjonau. Dla Francuzów, którym mundur wojskowy ani imponuje, ani jest świętością, mundur z napisem „Poland” na rękawie był prawie mundurem wroga dla francuskiego robotnika. Przecież Czerwona Armia przyniosła Polsce wolność, dlaczego nie wracają?

W Anglii to uwielbienie dla Sowietów było cokolwiek mniej odczuwane i eksponowane. Ale też po przesunięciu oddziałów 2. Korpusu gen. Andersa z Włoch do Anglii wyraźnie nasiliła się i tak często okazywana niechęć do Polaków. Angielskie związki zawodowe, silnie skomunizowane, postawiły twardo, że jedyne dziedziny, w których mogą pracować Polacy, to kopalnie, farmerstwo i przemysł bawełniany, który w tym czasie przynosił znaczne zyski krajowi. Zwłaszcza nieprzejednana była unia elektryków. Jak zwykle sowiecka propaganda szukała sympatyków wśród ludzi pracy i tam odnosiła sukcesy. Po ubikacjach fabrycznych podrzucano stopy „Daily Workera” — organu partii komunistycznej, który po wyroku wykonanym na parze szpiegów Juliuszu i Ethel Rosenbergów tytułową stronę opatrzył jednym słowem *Murder* — morderstwo! W odniesieniu do robotników cudzoziemskich, a więc i do Polaków, angielskie związki zawodowe wykuły znane motto: *Last in, first out* — ostatni do przyjęcia (w razie braku rąk do pracy), pierwsi do zwolnienia (w razie braku pracy). Niechęć do naszych zmieniła się gdy Anglię zaalała, w kilka lat później, fala „obywateli imperium” — Pakistańczyków, Hindusów, itp. Niemniej w Wielkiej Brytanii pozostało wielu, zwłaszcza starszych oficerów z emigracji żołnierskiej.

Inna była atmosfera polityczna Stanów Zjednoczonych. Głośne afery szpiegowskie tych czasów — wykradzenie tajemnic bomby atomowej, ucieczka szyfranta ambasady sowieckiej w Ottawie Igora Guzienki, głośny proces i skazanie za zdradę tajemnic państwowych Algiera Hissa prawnika i administratora w amerykańskim ministerstwie rolnictwa, sprawiedliwości. Zdradził i oskarżył go inny komunista Whittaker Chambers. Hiss otrzymał i odsiedział pięcioletni wyrok. W tym czasie działał niekwestionowany szef FBI Edgar Hoover, który odnosił wiele sukcesów w wykrywaniu agentów obcego wywiadu. Afery te nagłaśniała prasa. Blokada Berlina w 1948 r. oraz rozpoczęty z tym wyścig zbrojeń nie dawały podstawy do przyjaźni i współpracy. Po śmierci prezydenta Roosevelta, który eufemistycznie nazywał Stalina *good uncle Joe* — dobry wujaszek Joe, prezydentem został wybrany Harry S. Truman, który bynajmniej nie podzielał entuzjazmu swego poprzednika w stosunku do Związku Sowieckiego. Za jego kadencji został utworzony Senacki Komitet do Działalności Antyamerykańskiej (*Committee on Un-American Activities*), w którego gestii było wyszukiwanie w kołach rządowych sympatyków i cichych przyjaciół Sowietów. Kampanii tej przewodził wybrany senatorem Joseph McCarthy, którego na tym punkcie opanowała prawie obsesja, niemniej zdobył krzesło senatora w ponownych wyborach i dotrwał do końca drugiej kadencji.

W takie Stany Zjednoczone w latach 1948–1951 wlały się fale uchodźców ze starganej wojną Europy. Część z tej masy była z pewnością emigracją polityczną, więcej szukało spokoju i chleba ale wszyscy w swej masie byli wrogami Rosji Stalina. Pierwsze, większe grupki Polaków-emigrantów rekrutowały się z amerykańskich Kompanii Wartowniczych w Niemczech. Drugą większą grupą było 18 tysięcy żołnierzy ze zdemobilizowanych oddziałów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którym uchwała Kongresu ułatwiła przyjazd (później dodatkowo 2 tysiące więcej). W międzyczasie mnożyły się liczne ucieczki „zza żelaznej kurtyny”. Na początku lat 60. Kongres uchwalił ustawę o łączeniu się rodzin, na mocy której zaczęli przybywać z Polski Ludowej krewni do swoich rodzin w Stanach.

Emigracja tych pierwszych lat była rzeczywiście nieprzychylna Sowietom. Zbyt wielu zetknęło się osobiście z zakłamanym komunizmem, by w niego wierzyć. Trudno było nie spostrzec,

że komunizm był tylko narzędziem do budowy imperium, o którym marzył Stalin. Z taką wiarą była również nastawiona prawie cała prasa emigracyjna każdej grupy narodowościowej. Nie inną była i nasza. Od brazylijskiego „Ludu”, po „Dziennik Polski” w Anglii, „Ostatnie Wiadomości” w Monachium, „Głos Polski” w Argentynie po „Nowy Świat”, „Dziennik dla Wszystkich” i długi szereg innych w Kanadzie i Stanach. Prócz większego kalibru gazet, była drukowana wielka liczba pism mniejszych — biuletynów, organów organizacyjnych i różnych grup, które były wyrazicielami opinii tych, którzy je czytali.

Z końcem 1969 roku w liczbie tych ostatnich narodziło się pismo, które początkowo nie wróżyło swego późniejszego rozkwitu. Jego twórcą, redaktorem i wydawcą w jednej osobie był również emigrant powojenny Czesław Maliszewski. Student czwartego roku prawa na Uniwersytecie w Poznaniu, zmobilizowany przed kampanią wrześniową, dostał się do niewoli, którą częściowo przesiedział w Niemczech. Częściowo, bo został fałszywie oskarżony przez jednego Niemca, że rzekomo zamordował jego ziomka. Gdyby sprawa toczyła się przed sądem na wschodzie Rzeszy, względnie na terenach anektowanych — opowiadał później — niewątpliwie skończyłaby się śmiercią. A na zachodzie Niemiec otrzymał rok więzienia i zesłanie do pracy w kopalni. Po oswo-bodzeniu osiadł we Francji, gdzie ze względu na stosunkowo dobrze opanowany język francuski dostał pracę księgowego w jednym z przedsiębiorstw.

W 1952 roku zdecydował się na emigrację do Stanów. Osiadł w New Britain — miasteczku w środkowym Connecticut, zwanego „stolicą Polonii” z racji wielkiej ilości przed- i powojennej imigracji do tego miasta. Pierwsze kroki — pierwsze kłopoty każdego przybysza. Z czasem znalazł pracę w małym warsztacie metalurgicznym, kupił skromny dom, w którym zamieszkał z żoną, i w którym zaczął wprowadzać w czyn swój dawno przemysłiwany zamiar — wydawanie niepodległościowego pisma.

Na kilku kartkach papieru standardowego wymiaru odbił na powielaczu kilka dziesiątków egzemplarzy pisma, które nazwał „Listy do Polaków”. Na wewnętrznej stronie pierwszej okładki umieścił uwagę: „«Listy do Polaków» są czasopismem prywatnym, niezależnym i prawdziwie polskim”. Te pierwsze puszczone w teren, nie przepowiadały sukcesu. Artykuły były, które sam napisał, trochę o sprawach lokalnych, trochę przedruków. Pierwsze egzemplarze były bezpłatne — zresztą takie zostały do końca — i koszty ponosił z własnej kieszeni. Wkrótce jednak zaczęły nadchodzić datki na pokrycie kosztów. Pierwsza lista ofiarodawców ukazała się w numerze z września 1970 r. i odtąd stała się już stałą rubryką. Pismo nabierało tempa i objętościowo zaczęło się powiększać. Gdy numer z maja 1970 r. miał 16 stron, to już następne wzrosły do dwudziestu i kilku. Maliszewski zwracał uwagę na objętość i wagę, od której była zależna kosztowna opłata pocztowa. W styczniu 1971 r. prof. Jędrzejewicz z Instytutu Józefa Piłsudskiego z Nowego Jorku prosi Maliszewskiego o stałe nadsyłanie miesięcznika do Instytutu. Już w tym roku „Listy” są wysyłane do odbiorców w Kanadzie, Australii, Ameryki Południowej i Europy. Sposobem łańcuszkowym — jeden przekazywał drugiemu. Na wewnętrznej stronie ostatniej okładki była umieszczana prośba: „Ten «List» nie spełnił jeszcze swego zadania. Po przeczytaniu prosimy o przekazanie go swym krewnym, przyjaciołom, znajomym”.

Ze wzrostem nakładu jął wzrastać i fundusz prasowy. Jeśli w lutym 1971 r. wyniósł on 43 dolary to w połowie następnego roku już 107 dolarów a w lutym 1973 r. 214 dolarów i wzrastał tak już dalej. Oczywiście wartość dolara była w tych latach dość znaczna. Zdarzały się sporadyczne wypadki, że jakiś entuzjasta „Listów” wpłacał większe sumy, nawet i tysiąc dolarów.

Maliszewski był tytanem pracy. Drukowanie, składanie i wysyłka na czas były czasochłonnym zajęciem. Toteż pracował długie godziny od rana do późnej nocy. Dobierał i selekcionował materiał, starannie przepisując go na zwykłej maszynie do pisania. Gotowe strony przepuszczał przez powielacz, układając je w stosy na stołach według kolejności stron, by łatwiej było je składać. Pracownia mieściła się w piwnicy jego domu. Po kilku latach stary powielacz zastąpiła — też nie pierwszej młodości — drukarenka ofiarowana przez miejscowego drukarza, który często przychodził by ją naprawiać, niemniej jednak bardzo usprawniła pracę. Maliszewski miał kilku oddanych sobie ludzi, którzy służyli mu radą i pomocą. Gdy wszystkie strony były wydrukowane, tego dnia dwoje lub troje osób zjawiało się by luźne kartki składać w zeszyt. Maliszewski spinał je i obcinał. Praca ta trwała od czterech do sześciu godzin. Gotowe egzemplarze pakował w potrzebnej ilości i zawoził na pocztę. Jak już zostało wspomniane wyżej, najbardziej kosztowna była opłata pocztowa. Po kilku latach i staraniach Maliszewski uzyskał pocztowe zezwolenie na wysyłkę pism po

cenie hurtowej (*bulk price*). To odciążało jego budżet, jednak ta wysyłka miała ostre wymogi pod względem wagi, wymiarów, daty, itd.

Pierwszym stałym współpracownikiem „Listów” był przybyły do Stanów w 1961 roku z Brazylii Jan Wójcik, współpracownik tamtejszej gazety „Lud”, który pisał artykuły — w zasadzie redakcyjne — od pierwszego egzemplarza w 1970 r. do 1987 r. Drugim stałym, którego po kilku rozmowach telefonicznych namówił Maliszewski, był Mieczysław Kierkło. Pierwszy pisał pod pseudonimem Janusz Muchawiec, drugi miał pseudonim „Emka”. Pierwszy artykuł i satyra „Emki”, przedrukowana z nowojorskiego „Nowego Dziennika” ukazały się w maju 1972 r., następnie były drukowane sporadycznie, aż we wrześniu 1974 roku weszły w stałą, wielce poczytną satyryczną rubrykę „W moim zwierciadle” prowadzoną do 1986 r.

Bardzo wcześnie, bo już w pierwszych numerach „Listów”, zaczęły się ukazywać artykuły opracowane przez wykształconych i zdolnych pisarzy. Pierwszy związał się z piśmiem młody, zdolny poeta E. Dusza, późniejszy redaktor „Gwiazdy Polarnej”, następnie wielu z naukowymi tytułami jak dr J. Morelewski, prof. A.S. Ehrenkreutz, dr A. Matejko z uniwersytetu w Albercie (Kanada), dr K. Sienkiewicz z Rio de Janeiro, prof. J. Fryling, senator Tadeusz Katelbach, poetka Alicja Pomian-Pożerska z Kalifornii i inni, którzy wskutek wojny znaleźli się poza granicami Polski. Maliszewski szybko nawiązał kontakty z wieloma ludźmi nie tylko w Stanach ale wielu krajach zachodniej Europy i prawie wszystkich kontynentów świata za wyjątkiem Azji. Wysyłał też miesięcznik i do Polski Ludowej. Tu pomagali mu marynarze, a także ten i ów wyjeżdżając zabierał kilka sztuk z myślą „najwyżej zabiorą”, jednakże wsuniętych kilka dolarów porterowi na Okęciu wystarczyło by towar przewieźć.

W 1973 roku Maliszewski zaczął prowadzić pogadanki radiowe w ramach programu Ireny Wachulewicz jednej z lokalnych stacji radiowych w Hartford. Pogadanki nosiły nazwę „Kronika kulturalna”, zawsze na tematy niepodległościowe i zakończyły się w 1975 r.

W związku z wydawaniem pisma, do redakcji nadchodziło bardzo wiele listów od czytelników, z całego świata. Niektóre komentował w „Listach”, na niektóre odpowiadał osobiście, a jeszcze inne zbywał krótkim podziękowaniem, ale zawsze była odpowiedź. Żadnych listów ani korespondencji nie zbierał. Szczupłość miejsca nie pozwalała mu na to. Cała piwnica była zawałona kartonami papieru, przyborami drukarskimi i zbywającymi egzemplarzami pisma.

Staraniem Maliszewskiego zostały wydrukowane trzy wydania broszurki „1940 Katyń”. Wydał też broszurkę własnego autorstwa w języku angielskim „The curse of Yalta” (Przekleństwo Jałty). Broszurkę tę rozesłał do wielu kongresmanów i senatorów w Stanach otrzymując liczne odpowiedzi.

W środkowym Connecticut, a nawet i w całym stanie w grupie polskiej, Maliszewski zdobył należne poważanie. Spokojny, elokwentny, o dużej wiedzy, był często zapraszany na wygłaszanie przemówień. Kiedy w pewnym czasie zaczął ubolewać, że psuje mu się maszyna do pisania, w miejscowej placówce kombatanckiej (weterańskiej) urządzono przyjęcie dla zebrania funduszy. Była potrzebna suma 800 dolarów. Zebrano ponad 1200 pierwszy raz i kilkaset drugi raz. Również na 10-lecie „Listów” weterani w sąsiednim Hatford urządzili podobną popołudniówkę i wręczyli redaktorowi znaczny czek. Nowa, zakupiona maszyna oszczędziła redaktorowi mnóstwo czasu, chociaż zajęło to mu blisko trzy miesiące dobrze ją opanować.

Miesięcznik ten był solą w oku nowojorskiego konsulatu oraz osób z nim współpracujących czyli zwolenników status quo tych czasów, to jest Polski Ludowej. Takim był między innymi prof. Eugene Kusielewicz, prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, a także Chester Grabowski, wydawca anglojęzycznego „Post Eagle” w stanie New Jersey. Dla zwalczania „Listów” konsul, względnie organa, w których gestii leżało zwalczanie opozycji, opracował wielostronicowe pismo zwane „Biuletynem Informacyjnym”, w którym przedstawiano Maliszewskiego jako tepogłowego dziwaka, mało inteligentnego, itp. Wydań tych było kilka. Konsulat wysłał dwóch swoich agentów nazwiskiem Ewa i Józef Pióro do New Britain, gdzie biuletyny te były rozdawane ludziom, którzy wychodzili po skończonym nabożeństwie, przed dwoma polskimi kościołami. Pewnej niedzieli zostali oni poturbowani i przegnani z tej misji, odtąd więcej jej nie powtarzając. „Biuletyn Informacyjny” pisany drobnym drukiem, pełen kłamstw i pomówień, nie odniósł zamierzonych skutków. W amerykańskich dziennikach po przegnaniu Piórow ukazały się na ten temat obszerne artykuły po przeprowadzonych wywiadach. Redakcje tych pism („The Herald” i „Hartford Courant”) zwróciły się telefonicznie do konsulatu z zapytaniem ale otrzymały odpowiedź, że konsul nic o tym nie wie.

Ludzi, którzy stali mocno na stanowisku niepodległości Polski, nazywano w Stanach „niezłomnymi”. Maliszewski był właśnie klasycznym typem tej grupy. Pisarzy, ściśle z nim współpracujących, zawsze prezentował jako „Koło niezależnych dziennikarzy”. Na adres redakcji oprócz pieniędzy na fundusz prasowy, nadsyłano wiele datków na inne cele, jak np. na „Ruch Oporu w Polsce”, na „Solidarność walczącą”, dla rodzin aresztowanych solidarnościowców, itp. Pieniądże te przekazywał Maliszewski do Instytutu Literackiego w Paryżu, a potwierdzenie odbioru ukazywało się w paryskiej „Kulturze”.

Maliszewski przemyślał i wielokrotnie dawał temu wyraz na łamach swego miesięcznika, o stworzeniu w Stanach „Ośrodka Myśli Polskiej” — niewielkiej grupy ludzi, której zadaniem byłaby walka o wolną Polskę. Jednak do zrealizowania tego pomysłu nigdy nie doszło.

Jednego razu na zwołanym zebraniu swoich lokalnych współpracowników, znalazła się sprawa podpisania listu lub ulotki i głowiono się czyj to ma być podpis. Jeden z obecnych w żartobliwym tonie rzucił ni stąd, ni zowąd nazwę „Polski Komitet Koordynacyjny”. Tak i podpisano. Nazwa nieistniejącego komitetu utrzymała się długi czas i była celem dociekań oraz zagadką dla nowojorskiego konsulatu, bo ten na ogół wszystko wiedział co się działo w terenie, przede wszystkim przez polonijne biura podróży.

W drugiej połowie lat 80. Maliszewski dwukrotnie przerywał i wznawiał wydawanie pisma. Śmierć żony w 1985 r. oraz zmniejszanie się liczby odbiorców z przyczyn naturalnych i rosnące koszty były tego przyczyną. Jednakże na prośbę wciąż żyjących prenumeratorów i nadesłane większe fundusze przedłużyły o kilka lat życie miesięcznika. Ostatecznie zamknął wydawanie w 1991 roku. O ile wiadomo autorowi tego opracowania, na terenie Stanów Zjednoczonych dwie instytucje posiadają pełny komplet „Listów do Polaków” — Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku oraz archiwum Biblioteki Stanowego Uniwersytetu w New Britain, Connecticut.

Czesław Maliszewski zmarł 22 stycznia 1993 roku.

Mieczysław Kierkło (USA)

RECENZJE – OMÓWIENIA – POLEMIKI

„Kultura” w pigułce

Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976. T. 1–2, do druku przygotowała, wstępem, przypisami i indeksem opatrzyła G. Pomian. Lublin: Wydaw. UMCS; Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, 1999 441; 455 s. (brak recenzentów).

„Kultura” wydawana przez Jerzego Giedroycia w Paryżu była w warunkach wychodźczych zjawiskiem wyjątkowym i w dziejach polskiej emigracji dwudziestowiecznej nie miała sobie równego. Redaktor konsekwentnie kształtował własną linię programową pisma, której podporządkowywał wybór autorów i tematów. Od chwili wydania pierwszego rzymskiego numeru w 1947 roku stał się jedynym „reżyserem” „Kultury” i na jej łamach kreował wizję przyszłej niepodległej Polski. Zadawał trudne, często niewygodne pytania i szukał na nie odpowiedzi w publicystyce politycznej, filozofii, krytyce, literaturze. Często podkreślał w wywiadach, pytany o arkana swego warsztatu redakcyjnego, iż kryteriami, jakimi się kierował przy doborze autorów i tematów były: temat oraz jego ujęcie. Baczną uwagę zwracał także na formę artykułów, ich stronę warsztatową. Dbał również o utrzymanie wysokiego poziomu pisma, starał się publikować artykuły skłaniające do refleksji, czy nawet dyskusji. Często były to teksty kontrowersyjne, opinie, z którymi nie do końca się identyfikował. Ta właśnie immanentna cecha „Kultury”, jej otwarcie na różnorodność postaw, poglądów, opinii, wyróżniała pismo Giedroycia spośród innych pism emigracyjnych. Było to wynikiem niezłomnej postawy twórcy „Kultury”, jego obsesyjnej wręcz niezależności, a przede wszystkim poczucia uczciwości politycznej. Często powtarzał, iż należy umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy. Uważał przy tym, iż polityka powinna „przylegać” do zmieniającej się rzeczywistości. To credo życiowe redaktora znajdowało odbicie na łamach pisma, o czym łatwo się przekonać zapoznając się z ewolucją publicystyki „Kultury” w ciągu pierwszego trzydziestolecia jej istnienia.

Rozwój tych wszystkich koncepcji politycznych, społecznych, poszukiwań światopoglądowych, filozoficznych „Kultury” prezentuje w swojej antologii Grażyna Pomian. Ukazanie się na rynku wydawniczym tej ważnej publikacji umożliwiło wielu, którzy często nie znają pisma Giedroycia z czasów, kiedy było w Polsce prohibitem, kontakt z „Kulturą”. Warto tu zauważyć, że do tej pory nie ukazała się pełna monografia „Kultury” paryskiej, chociaż w ostatnim czasie pojawiło się wiele istotnych publikacji, dotyczących pisma. Należy tu przypomnieć chociażby *Autobiografię na cztery ręce* Jerzego Giedroycia w opracowaniu Krzysztofa Pomiana¹ oraz niezmiernie starannie wydaną książkę Andrzeja Stanisława Kowalczyka *Giedroyc i „Kultura”*². Interesującym dopełnie-

¹ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*. Warszawa 1999.

² A. S. Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*. Wrocław 1999.

niem informacji na temat pisma i jego czołowych publicystów oraz atmosfery, w jakiej tworzyła się powoli legenda „Kultury”, stała się korespondencja Jerzego Giedroycia z Witoldem Gombrowiczem³, Konstantym Aleksandrem Jeleńskim⁴, Andrzejem Bobkowskim⁵, Jerzym Stempowskim⁶, Juliuszem Mieroszewskim⁷, Melchiorem Wańkowiczem⁸, wydawana w serii „Archiwum «Kultury»”. Nie sposób nie wspomnieć też o książce Krzysztofa Pomiana *W kręgu Giedroycia*⁹.

Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976 to starannie przemyślana pod względem konstrukcji praca. Wybór tych, a nie innych, wątków skłania do przemyśleń i do wyrobienia sobie poglądu na przedstawioną w publikacji ewolucję programową pisma. Autorka łączy wyśmienitą znajomość historii z wiedzą socjologiczną i politologiczną. Zwarta konstrukcja tej publikacji: każdy z rozdziałów poprzedza wstęp o charakterze eseistycznym, rozdziały natomiast zawierają kompletne zazwyczaj przedruki artykułów „Kultury”, pozwala na szybką orientację w wybranych zagadnieniach. Wszystkie teksty autorka zgrupowała w siedmiu rozdziałach: „Polska z bliska i z daleka”, „Oceny i prognozy”, „Inteligent w Polsce Ludowej”, „Kościół a współczesność”, „Swoi i obcy”, „Polska — sąsiedzi — Europa”, „Emigracja i Kraj o PRL”. W każdym z tych obszarów Grażyna Pomian wyeksponowała najbardziej charakterystyczne nurty publicystyczne tamtej epoki. Widać wyraźnie, że każdy z cytowanych w antologii publicystów wypracował odmienną retorykę, styl wypowiedzi, sposób argumentacji i formowania swoich poglądów. W antologii Grażyny Pomian znalazły miejsce tak odmiennie stylistycznie i gatunkowo teksty, jak: „Nie” Czesława Miłosza, „Mój testament” Stefana Kisielewskiego, „Tezy o nadziei i beznadziejności” Leszka Kołakowskiego, „Koniec Małej Stabilizacji” Pelikana (Zbigniewa Florczaka), „Kordian i Cham” Juliusza Mieroszewskiego, „Klasa najbardziej niezadowolona” Gastona de Cerizay (Stanisława Cata-Mackiewicza).

Zgrupowane w siedmiu rozdziałach artykuły stanowią zwartą, spójną kompozycyjnie całość. Z tego obrazu Polski lat 1947–1976 wyłania się kilka głównych wątków publicystyki „Kultury”. Oscylują one wokół następujących tematów: postaw inteligencji w PRL, szarej rzeczywistości pogrążonego w zapaści gospodarczej i zniewoleniu politycznym kraju, roli Kościoła w walce z systemem, zadań emigracji w obliczu przemian politycznych, a także ksenofobii i antysemityzmu. Niezmiernie ważna dla linii programowej pisma była wnikliwa obserwacja sytuacji politycznej w ZSRR i krajach satelickich.

Kluczowe miejsce w publicystyce „Kultury” zawsze zajmowała inteligencja, bowiem na niej spoczywał główny ciężar walki o niepodległość i projektowanie przyszłego niezależnego państwa. Jej część zwana „kordianowską”, jak nazywał inteligencję o genezie szlacheckiej Juliusz Mieroszewski, stała się nośnikiem najbardziej trwałych wartości i tradycji polskich, brała na siebie rolę „strażnika moralności”. Wątek inteligencji przewijał się właściwie w większości artykułów, jako że publicyści ujmowali wszystkie zagadnienia przez pryzmat własnych doświadczeń i osądów. Zazwyczaj poruszano temat wpływu transformacji politycznych i społecznych w PRL na postawę i mentalność tej grupy społecznej. Często były to teksty o charakterze filozoficznym, poświęcone bardzo szeroko pojmowanej myśli politycznej i społecznej. Publicyści „Kultury” zazwyczaj zajmowali się analizą inteligencji opozycyjnej, twórczej, zaangażowanej, ponieważ w niej upatrywano ideologów i konstruktorów przyszłej rzeczywistości. Dlatego postulowano rozliczenie się z przeszłością pewnej grupy inteligencji, co niewątpliwie pozytywnie miało wpłynąć na jej wizerunek w społeczeństwie, a także utrudnić władzom zniesławianie poszczególnych jej przedstawicieli. Znaczące przemiany dokonały się w strukturach tej grupy społecznej w drugiej połowie lat 70. Wtedy właśnie sprawy krajowe zaczęły być ujmowane z perspektywy uczestników wydarzeń w kraju, a nie tylko obserwatorów z emigracji. W tym czasie publicystów interesowała inteligencja opozycyjna. Stało się to w następstwie zmian, jakie dokonały się wtedy w polskim życiu politycznym i których szczególnie jaskrawym przykładem jawiło się powstanie Komitetu Obrony Robotników. Podjęto wtedy odważnie i otwarcie problem robotników oraz na szeroką skalę zakrojona

³ J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy 1950–1969*. Warszawa 1993.

⁴ J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy 1950–1987*. Warszawa 1995.

⁵ J. Giedroyc, A. Bobkowski, *Listy 1946–1961*. Warszawa 1997.

⁶ J. Giedroyc, J. Stempowski, *Listy 1946–1969. Cz. 1–2*. Warszawa 1998.

⁷ J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956. Cz. 1–2*. Warszawa 1999.

⁸ J. Giedroyc, M. Wańkowicz, *Listy 1945–1963*. Warszawa 2000.

⁹ K. Pomian, *W kręgu Giedroycia*. Warszawa 2000.

akcję edukacji społeczeństwa poprzez samodzielne akcje wydawnicze, intensyfikowało się zjawisko publikowania za granicą pod prawdziwym nazwiskiem, jak również powstał „Latający Uniwersytet”. Społeczeństwo polskie obserwowało uważnie działania opozycji i w znacznej większości je popierało, nie włączając się jednakże w aktywny nurt działań kontestacyjnych. Powód takiej biernej postawy, jak również wyraźny podział na linii społeczeństwo-opozycja, „Kultura” upatrywała w braku koordynacji działań pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami, tworzącymi opozycję w PRL. Pismo wzięło na siebie rolę mediatora, który obserwując sytuację z zewnątrz miał duże szanse na uporządkowanie chaotycznych sporów politycznych oraz ideologicznych. Na łamach „Kultury” ścierały się zatem różne opinie i poglądy, często nie w pełni popierane przez redakcję (dopiski takie towarzyszyły wielu artykułom Kisiela). Jednakże zawsze odznaczały się owe teksty oryginalnym, nowatorskim spojrzeniem na nurtujące w owym czasie inteligencję „opozycyjną” problemy. Nie unikano kontrowersji, poruszano tematy drażliwe, zmuszające czytelników do określenia swego stosunku do konkretnego zagadnienia. Publikowano artykuły inicjujące dyskusje, często bardzo burzliwe, na tematy uważane przez redaktora za zasadnicze dla polskiej racji stanu. Teksty „wychowawcze” miały pobudzić do aktywnego działania jeszcze jawnie nie zdeklarowaną część polskiej inteligencji.

Rozdział zaprojektowany przez Grażynę Pomian jako „Polska z bliska i z daleka” przedstawia teksty, będące zazwyczaj relacjami odwiedzających Polskę emigrantów. W miarę zwiększającej się na łamach pisma aktywności publicystów krajowych oraz ewolucji sytuacji politycznej i gospodarczej kraju, ujawniał się kontrast pomiędzy egzystującymi na co dzień w państwie totalitarnym a wyobrażeniami emigrantów o rzeczywistości krajowej. Podkreślanie podobieństw PRL do innych państw „bloku”, jak napisała autorka antologii, było odbierane jako lekceważenie wysiłków i poświęcenia inteligencji opozycyjnej. Istotną rolę „Kultury” stało się także demaskowanie rządowego sita informacyjnego, które cenzurowało wiadomości o nieudanych inwestycjach, niedokończonych z braku funduszy budowach, falami powracających deficytach podstawowych przedmiotów codziennego użytku, środków czystości, żywności na kartki. Prasa krajowa mogła opisywać tylko poszczególne wycinki z życia PRL, bowiem cenzura skutecznie blokowała informacje o rzeczywistej sytuacji gospodarczej. Prasa niezależna natomiast, według mnie, próbowała spełniać raczej doraźne funkcje interwencyjne niż podejmować się systematycznego opisu całości życia społecznego.

Temat religii i Kościoła w Polsce prezentowano w szerszym kontekście przemian świadomości religijnej społeczeństwa, zachodzących w następstwie rozwoju cywilizacji przemysłowej, ale próbowano określić także rolę tej instytucji w życiu społeczno-politycznym kraju. Kościół stał się właściwie jedynym silnym przeciwnikiem ideologicznym i politycznym partii. Najczęściej jednak „Kultura” sprowadzała zagadnienie instytucji kościelnej do jego wpływu na społeczeństwo zgębnione i relacji stosunków z władzami komunistycznymi. Uważnie śledzono i szeroko komentowano wszelkie posunięcia partii wobec kleru i Episkopatu. Dla wielu przedstawicieli opozycji, publikujących w „Kulturze”, najważniejszym zadaniem Kościoła było spowodowanie presji społeczeństwa na komunistów, bezkompromisowa walka o niepodległość i demokrację. Oczywiście poza tym uważano tę instytucję za strażnika wartości moralnych i rzecznika przestrzegania praw zagwarantowanych przez konstytucję PRL oraz Karty Praw Człowieka, układów helsińskich. Analizowano politykę Watykanu wobec Polski i tutejszego Kościoła. W tym miejscu należy podkreślić znaczenie publicystyki Dominika Morawskiego, który interpretował politykę kościelną dla „Kultury” i stał się niejako rzecznikiem Episkopatu na jej łamach. Problem roli Kościoła w uciemionym społeczeństwie polskim rozpatrywano zazwyczaj w kontekście jego współistnienia z opozycją. Powiązania duchowieństwa z lewicą laicką stanowiły w opinii redakcji pisma ważną część strategii dla przyszłej wyzwolonej Polski. Temat ten podjął również Adam Michnik w kontrowersyjnej książce *Kościół, lewica, dialog*¹⁰, wydanej przez Instytut Literacki. Publicysta zawarł w niej sąd, iż założenia etyki chrześcijańskiej stały się fundamentem porozumienia i dialogu, nie zaś jedynie argumentem politycznym czy propagandowym. Wspólny dla obydwu stron przeciwnik spowodował konsolidację działań i utworzenie sojuszu, nie utożsamianego jednak, co podkreślała „Kultura”, z porozumieniem politycznym. Odcięcie się Kościoła od polityki, a jednocześnie koncentracja na walce o prawa człowieka i umacnianie etycznych postaw stanowiła według redakcji pisma o sile i aurytecie tej instytucji w PRL. Zasadniczym przełomem w tej dziedzinie okazał się wybór na papieża

¹⁰ A. Michnik, *Kościół, lewica, dialog*. Paryż 1977.

przedstawiciela episkopatu Europy Wschodniej. Wobec tak doniosłego wydarzenia na nowo rozgorzały nieco już wtedy przycichłe nadzieje na szybkie zmiany za „żelazną kurtyną”. Widziano w Janie Pawle II męża opatrnościowego, dobrze przecież obeznanego ze specyfiką wschodnich Kościołów, polityką wyznaniową komunistów oraz olbrzymią potencjalną siłą opozycyjną zgromadzonych wokół niego instytucji i ugrupowań. Interpretacje roli Kościoła i katolicyzmu w życiu społecznym, publikowane na łamach „Kultury” czasem różniły się od siebie. Niemniej sam Jerzy Giedroyc nie uważał Kościoła za czynnik sprawczy przemian w Polsce. W literaturze przedmiotu uważa się, że wynikało to ze względów ideowych: „Redaktor znajdował się w zdecydowanej opozycji wobec formuły «Polaka-katolika» i «mentalności endeckiej»”¹¹.

Odpowiedzialnością za przyszłe losy Polski w równym stopniu „Kultura” obciążała emigrantów, jak i działaczy opozycyjnych w PRL. Dopiero obydwie te fronty, połączone wspólną troską o los Ojczyzny i ideą wolności, mogły stworzyć warunki ku realizacji tych pragnień. Dlatego też poznanie jakości funkcjonowania emigrantów, ich egzystencji w obcych, często niezbyt przyjaznych środowiskach, stosunek wychodźców do PRL, obserwacja kontaktów z krajem, w opinii Jerzego Giedroycia miały kluczowe znaczenie dla stosunków z opozycją za żelazną kurtyną. „Kultura” apelowała o pomoc materialną dla opozycjonistów w Polsce, często sama ją organizowała. Zdaniem redaktora podstawowe przesłanie istnienia emigracji stanowił tworzony przez nią „drugi front” opozycji, tworzenie nowych nurtów ideowych, odrzucenie nieprzejednanej postawy „odrębności”, co powodować musiało izolacjonizm i nierealność postulatów przez nich wysuwanych. Często powodem kultywowania takich postaw stawał się brak wyobraźni, często świadome uchylanie się od przyjęcia odpowiedzialności, a nierzadko po prostu niewiara w celowość owych działań „wolnościowych”, zwątpienie w możliwość upadku pojałtańskiego podziału świata, lub też odwrotnie, wiara w szybki wybuch trzeciej wojny światowej i odzyskanie Polski na kształt Drugiej Rzeczypospolitej. Na łamach „Kultury” ostrzegano przed kultywowaniem popularnego na zachodzie poglądu, że walka o ograniczone zdobycze, ale w warunkach danego czasu realne do uzyskania, oznaczają odstąpienie od głównego i priorytetowego celu, jakim było odzyskanie w bliżej nieokreślonej przyszłości niepodległego bytu państwowego. „Ulepszanie” systemu prowadzić miało w rzeczywistości, według sceptyków, do jego akceptacji i biernego wyczekiwania. Antagoniści, jak Jan Nowak-Jeziorański, przekonywali, iż codzienna walka o częściowe cele utrzymywała społeczeństwo w stanie gotowości i aktywności.

Kolejny wątek stale obecny w „Kulturze” odnosi się do wydarzeń i opinii o krajach „satelickich” i ZSRR. Pismo relacjonowało istotne dla polskich sąsiadów wydarzenia, ewolucję ruchów dysydenckich, dyskusje na temat mniejszości narodowych. Pozwalało to na projektowanie rozwiązań tymczasowych oraz dalekosiężnych, niemniej realnych. Absolutnie podstawowym założeniem redaktora stało się uświadomienie czytelników pisma o europejskiej akceptacji dla pojałtańskiego porządku świata, a co się z tym wiąże, zaakceptowaniu ustalonych przez mocarstwa granic Polski. Apelowano na łamach „Kultury” o odnowienie przyjaznych stosunków z sąsiadami, a przede wszystkim Ukrainą, Litwą i Białorusią. Redakcja pisma podkreślała, iż istnienie tych niezawisłych państw leży w żywotnym interesie Polski i konieczne było popieranie idei ich państwowości. Jerzy Giedroyc konsekwentnie wieszczył upadek reżimu i rozpad ZSRR, odważnie przeciwstawiając się powszechnej opinii o trwałości systemu. Szczególnie ostro redaktor krytykował politykę PRL wobec Niemiec, wytykając jej krótkowzroczność i podporządkowanie doraźnym interesom politycznym. Niezmiernie istotnym warunkiem przyszłej wyzwolonej Europy było dla Jerzego Giedroycia ułożenie dobrosąsiedzkich stosunków ze zjednoczonymi Niemcami. Publikowanie artykułów polemicznych także przedstawicieli inteligencji opozycyjnej z innych państw demokracji ludowej niewątpliwie spowodowało przełamanie wielu barier i stereotypów, a także ewolucję poglądów czytelników „Kultury”.

Pismo Jerzego Giedroycia od początku swojego istnienia piętnowało wszelkie przejawy nietolerancji religijnej i narodowościowej. Szczególnie wiele uwagi poświęcano zwalczaniu antysemityzmu, który postrzegano jako niebezpieczny i niekorzystny dla polskiego wizerunku w świecie. Zjawisko to nasiliło się po roku 1968, kiedy to niechęć manifestowana wobec Żydów nabrała rangi urzędowej. Fala emigracji „marcowej” została przyjęta chłodno przez środowiska wychodźcze, nie

¹¹ A. Friszke, *Jerzego Giedroycia praca u podstaw (1956–1976)*, [w:] *Spotkania z paryską „Kulturą”*. Warszawa 1995.

próbowano rozdzielić argumentów politycznych od uprzedzeń narodowościowych. Sztandarową rolą „Kultury” stało się przełamywanie wzajemnej niechęci Polaków i sąsiadów zza wschodniej granicy, szczególnie Ukraińców i Litwinów, piętnowanie przejawów asymilacyjnej polityki polskiej wobec Białorusinów, Żydów i Mazurów. „Kultura” obserwowała także z niepokojem postępującą politykę wynaradawiania na obszarze ZSRR. Przejawy ksenofobii i nacjonalizmu szczególnie zajadle atakował Konstanty A. Jeleński, który umieszczał tolerancję religijną i narodowościową, a także praworządność w niezbywalnej części dziedzictwa kulturowego Polski.

Wydaje się jednak, iż w tym szerokim przeglądzie zagadnień, na których skoncentrowała się autorka antologii, zabrakło osobnego rozdziału poświęconego kulturze sensu stricto. Grażyna Pomian we wstępie zastrzega:

Antologia przeznaczona dla polskiego czytelnika musiała podlegać innym kryteriom. Pierwszym z nich było usunięcie tematów znanych przeciętnemu polskiemu czytelnikowi z innych publikacji. Należała do nich przede wszystkim proza, poezja i krytyka, jednym słowem literatura. Książki Miłosa, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego czy Czapskiego ukazywały się, niezależnie od Instytutu Literackiego, w wydawnictwach podziemnych, a od 1989 roku są nieprzerwanie publikowane w różnych oficynach wydawniczych. Na rynku pojawia się również coraz więcej książek pisarzy-emigrantów mniej znanych publiczności. Publikacjom książek pisarzy towarzyszą informacje i krytyczne eseje. Z tych właśnie względów literatura została wyeliminowana z antologii, choć stanowi niezaprzeczalny dorobek „Kultury”, będąc jednym z jej najbardziej atrakcyjnych działów. Pisarze, których nazwiska pojawiają się w antologii, występują wyłącznie w roli osób zabierających głos w sprawach polityczno-społecznych¹².

Przyznając rację autorce co do zasadności przytaczania w antologii tekstów literackich, historycznoliterackich lub też krytyki literackiej, należy jednocześnie przypomnieć, iż zamieszczano także w „Kulturze” artykuły dotyczące kondycji kultury polskiej, jej recepcji społecznej, stosunku władz PRL do twórców, działalności Związku Literatów Polskich itd. Co prawda niektóre teksty z działów: „Polska z bliska i z daleka”, „Oceny i prognozy”, „Emigracja i Kraj o PRL” dotyczą tej problematyki, niemniej warto byłoby poświęcić temu istotnemu zagadnieniu osobny rozdział.

Pisząc o antologii należy również zwrócić uwagę na pewien istotny szczegół: wśród tekstów cytowanych zabrakło ważnych artykułów podpisanych „tajemniczym” pseudonimem „Redakcja”, pod którym zazwyczaj „ukrywał się” Jerzy Giedroyc. (W publikacji występuje tekst sygnowany hasłem „Redakcja”, zatytułowany: „Problem antysemityzmu. Ankieta «Kultury»”, ale autorstwa Konstantego Jeleńskiego.) Szkoda, że w antologii nie znalazły miejsca deklaracje zamieszczone w dwóch pierwszych numerach pisma, określające przesłanie „Kultury” i zadania, jakie stawiała sobie Redakcja u progu powstania Instytutu, a także słynnego tekstu: „Do krajowych czytelników «Kultury»”, w którym Jerzy Giedroyc, odpowiadając na ataki pism komunistycznych i zamknięcie tygodnika „Po prostu” w końcu 1957 roku, określił rolę emigracji w nowej rzeczywistości i wycofał swoje poparcie dla Gomułki.

Uważam też, że publicystyka najbliższego współpracownika Jerzego Giedroycia i współtwórcy linii programowej pisma, Juliusza Mieroszewskiego, nie została przedstawiona w reprezentatywnym dla rangi jego pisarstwa wymiarze. Autorka antologii zaznacza wprawdzie we wstępie, iż celowo ograniczyła wybór tekstów tego publicysty do minimum, bowiem w roku 1997 ukazał się w Lublinie wybór tekstów Mieroszewskiego pod tytułem *Final klasycznej Europy* w opracowaniu Rafała Habielskiego. Jednak dotkliwy wydaje się brak programowych dla publicystyki „Kultury” artykułów, jak chociażby „Dramat polskich klerków” z 1955 roku, który piętnował uległość, oportunizm polskiej inteligencji, a także wątpliwą moralnie postawę kierownictwa Związku Literatów Polskich, albo credo politycznego Mieroszewskiego, sformułowanego w „Tematach do refleksji” (1972), czy też słynnego programowego tekstu „Ewolucja czy rewolucja” (1968).

Zawsze przy tego typu wyborze musi pojawić się niedosyt spowodowany brakiem innych ważnych tekstów. Szkoda, że pominięto ważny w historii myśli społeczno-politycznej „Kultury” tekst Zbigniewa Florczaka, późniejszego Pelikana, zatytułowany „Podróż na horyzonty” z 1949 roku, który dał początek koncepcji „Klubu Trzeciego Miejsca” (artykułowi poświęcono zaledwie

¹² *Wizja Polski na łamach „Kultury”, t. I. Lublin 1999 s. 16.*

wzmiankę we wstępie do rozdziału „Polska z bliska i z daleka”). Żał, że nie ma tu także bezpośrednio nawiązującego do tekstu Z. Florczaka dyskusyjnego artykułu Melchiora Wańkowicza właśnie pod tytułem „Klub Trzeciego Miejsca”. Niezrozumiałe wydaje się również przeoczenie „Manifestu demokratycznego” o. Innocentego Bocheńskiego, podpisanego przez Zespół „Kultury”, opublikowanego w 1951 r., a projektującego wizję przyszłej zjednoczonej Europy.

Wszystkie te zastrzeżenia nie umniejszają jednak rangi tej publikacji. Grażyna Pomian ujęła w niej właściwie wszystkie istotne dla publicystyki „Kultury” owego czasu zagadnienia, zaprezentowała rozmaite poglądy, urozmaiciła antologię różnorodnością form wypowiedzi literackiej, obok artykułów znajdujemy tu także eseje i reportaże. Na koniec można wyrazić nadzieję, iż publikacja doczeka się kontynuacji i za jakiś czas otrzymamy antologię poświęconą kolejnemu trzydziestoleciu tego legendarnego pisma.

Ewelina Godlewska (Warszawa)

Sztuka pisarska Włodzimierza Odojewskiego

Odojewski i krytycy. Antologia tekstów. Wybór i oprac. S. Barć. Lublin: Wydaw. UMCS, 1999, 416 s. (brak recenzentów).

Niewielu współczesnych pisarzy pochwalić się może tak szerokim odzewem krytycznym jak Włodzimierz Odojewski. Zebrana przez Stanisława Barcia antologia tekstów zawiera 62 eseje, a załączony wybór poświęconych Odojewskiemu prac nie włączonych do antologii liczy 133 pozycje. Mamy zatem przeszło dwieście pozycji opublikowanych w latach 1955–1996, przy czym niektóre z nich są poważnymi, dogłębными studiami krytycznymi, zasadniczymi dla poznania i zrozumienia twórczości pisarza. Obecnie, po ogłoszeniu *Oksany* (1999, III wydanie 2000) i poszerzonego zbioru opowiadań „*Jedźmy, wracajmy...*” (2000) ilość ta znacznie się powiększyła.

Dodajmy jeszcze nieco więcej danych statystycznych, rzutują one bowiem na problem krytycznej percepcji dzieła Odojewskiego. Około pięćdziesięciu prac ogłoszono poza Polską (30 w językach angielskim, francuskim i niemieckim), przy czym większość z nich stanowiły krótkie, dziennikarskie wzmianki o ukazaniu się obcojęzycznych tłumaczeń powieści Odojewskiego, a zaledwie kilka należy do niewielkiej grupy, w całej antologii ogółem około 15 pozycji, esejów o dużym ciężarze gatunkowym. Sześć polskich tekstów napisanych przez krytyków emigracyjnych (jeden ogłoszony w Polsce) znalazło się w antologii, pozostałe 56 to rzeczy pisane i publikowane w kraju. Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny fakt: na mój artykuł „The Land of No Salvation” ogłoszony w „The Polish Review” (New York, 1978) powołuje się pięciu krajowych krytyków, ale robią to dopiero po roku 1991, sądzić należy, że nie tylko ze względu na wcześniejszą niedostępność tego tekstu, gdyż opublikowany został także po polsku w tomie *Legenda Somosierry i inne prace krytyczne* (Warszawa, 1987).

Omówienie antologii w *Archiwum Emigracji* nie jest przypadkowe, bowiem dzieło Odojewskiego, który tak jak większość pisarzy emigracyjnych drukuje od ostatnich dziesięciu lat wyłącznie w kraju, można i należy zaliczać przede wszystkim do literatury emigracyjnej, bez względu na to, jak współczesne czy historyczne są to kryteria. Pisarz debiutował i publikował w kraju przez lat dwadzieścia, do roku 1971, potem, po osiedleniu się w Niemczech, utwory swoje ogłaszał w wydawnictwach i prasie emigracyjnej, skąd różnymi drogami przeciekały do Polski, by po roku 1989 powrócić na krajowy rynek oficjalnie i tryumfalnie, w pełni uzyskanej przez pisarza za granicą sławy.

W tekście specjalnie napisanym do antologii, a więc najaktualniejszym czasowo, Jerzy Smulski zauważa: „Zacznijmy od przypomnienia banalnej prawdy: Odojewski funkcjonuje w świadomości krytycznej przede wszystkim jako autor cyklu podolskiego; o cyklu mowa w większości wypowiedzi krytycznych i historycznoliterackich dotyczących pisarstwa autora *Wyspy ocalenia*” (s. 14). Uwaga o tyle cenna, że główne dzieło cyklu, powieść *Zasypie wszystko, zawieje...*, napisana wprawdzie była w Polsce, ale odrzucenie jej przez krajowych wydawców spowodowało decyzję

emigracji pisarza i ogłoszenie jej przez Instytut Literacki, w latach 70. centralne pod każdym względem polskie wydawnictwo na Zachodzie. Podjąwszy pracę w rozgłośni Radia Wolna Europa w Monachium Odojewski związał się tym samym z dwoma najważniejszymi ośrodkami myśli politycznej i działalności kulturalnej na emigracji. Dwie, tematycznie nie mniej ważne od wspomnianej powieści pozycje, to zbiór opowiadań *Zapomniane, nieuśmierzone*, wydany w roku 1987 w Berlinie, oraz zbiór poprzedni, *Zabezpieczanie śladów*, ogłoszony w 1984 r. nakładem Instytutu Literackiego. Tym samym Odojewski osiągnął najwyższy poziom swojej twórczości jako pisarz emigracyjny i dopiero wtedy zaczął w pełni „funkcjonować w świadomości krytycznej”. Przypomnijmy, że prawie połowa — dokładnie 82 pozycje — wymienionych w bibliografii prac powstała po roku 1989, a więc po licznych wznowieniach książek Odojewskiego na rynku krajowym, gdzie wrócił w glorii pisarza emigracyjnego.

Sprawy te, zasadnicze dla zrozumienia pozycji pisarza we współczesnej literaturze polskiej, nie znajdują prawie żadnego odbicia w antologii, a wspomniane są tylko skrótowo w posłowie napisanym przez redaktora tomu. Antologia bowiem poświęcona jest głównie, a może nawet wyłącznie, sztuce pisarskiej Odojewskiego. Nawet najbliższy — zdawałoby się — kwestiom politycznym esej Grażyny Królikiewicz „Wyjechać: czy to romantyczne?”, ogłoszony w Paryżu w 1996 r., rozpoczyna się nadającym kierunek jej przemyśleń akapitem: „W dziele pisarskim Odojewskiego w szczególnie uderzający sposób realizuje się «emigracyjność» literatury. Mniej znany europejskiej publiczności literackiej od strony własnych emigracyjnych losów niż Gombrowicz czy Miłosz, Odojewski jest tym z polskich pisarzy, którego proza osnuta jest wokół idei nazwanej kiedyś przez Wiktora Hugo «exil — chose morale»” (s. 294). A zatem wybór moralny a nie polityczny, literatura a nie działalność, pisarz a nie polityk.

A mimo to pamiętać należy, że *la chose morale* to reakcja pisarza na Katyń i masowe deportacje do Rosji, na zniewolenie Polski przez system komunistyczny, na zniszczenie wolnej myśli u ludzi w systemie tym żyjącym. Wszystkim tym sprawom poświęca Odojewski ogromną ilość miejsca w swoich nie tylko emigracyjnych utworach, są one w wielu przypadkach osią jego sztuki pisarskiej, której podstawę stanowi wierna, nieubłagana i nie podlegająca selektywnym nakazom pamięć. Przekonać się o tym nie trudno, gdy czyta się zamieszczone w antologii prace, poczynając od otwierającej ich listę recenzji Jarosława Iwaszkiewicza z opublikowanych w 1955 r. *Opowieści leskich* (s. 11), gdzie stary majster trafnie dostrzega zarówno „wyobraźnię młodego pisarza czy też pamięć dzieciństwa” jak i „upolitycznianie tych opowiadań nieco za włosy ciągnięte”. Toteż wszyscy późniejsi krytycy wyobraźnią, pamięcią i sztuką oddania ich w formie literackiej zajmować się będą przede wszystkim.

Antologia podzielona została na trzy części (Proza, Dramaturgia, Pisma krytyczne), przy czym część pierwsza, najobszerniejsza, zawiera dziesięć rozdziałów, z których każdy przynosi eseje krytyczne poświęcone poszczególnym etapom rozwoju prozy Odojewskiego — od „przygody z socrealizmem” lat 50. po „Przekroje”, będące najczęściej próbami analitycznego omówienia powieści i opowiadań Odojewskiego. W części tej znalazły się prace tak pamiętne, jak Zbigniewa Bienkowskiego „Ten raj jest piekłem” (1965) i „Odojowszczyzna” (1991), Marii Janion „Cierni i róża Ukrainy” (1984–1989), Ingi Iwasiów „Podążając za Katarzyną” (1997) oraz szereg cennych prac m.in. Tomasza Burka, Bogdana Wojdowskiego, Ewy Wiegandt, Wojciecha Tomasika i wielu innych autorów licznych nieraz prac o Odojewskim, z których tylko wybrane trafiły do antologii. W sumie otrzymaliśmy możliwie pełny przegląd omówień jego twórczości, zakończony sumującym posłowiem redaktora tomu.

Staranna lektura zamieszczonych prac pozwala poznać warsztat pisarski — a raczej sztukę pisarską — autora możliwie dokładnie. Niektórzy krytycy, zwłaszcza w okresie początkowym, zarzucali mu uleganie wpływom pisarzy zachodnich, a jeden z nich posunął się nawet do zatytułowania swego eseju „Kwarantanna na Polach Elizejskich” (1960), zarzucając młodemu pisarzowi fascynację modnym wówczas w Warszawie francuskim egzystencjalizmem. Janina Katz określiła którąś z jego książek (*Czas odwrócony*) jako „Thriller egzystencjalny” (s. 78–79); inni widzieli u niego i krytykowali wpływy Schultza, Kafki, Faulknera („naśladowanie z Faulknera, doskonale wtórne i niesamodzielne”, pisał Wacław Sadkowski, s. 99). W kilkanaście lat później Zbigniew Bienkowski prostował ten sąd: „Faulkneryzm prozy Odojewskiego nie jest zadłużeniem, lecz przedłużeniem faulknerowskiego etosu” (s. 239). W miarę upływu czasu i pojawiania się nowych tomów prozy autora głosy krytyczne cichną, zastępowane coraz bardziej wnikliwymi analizami

tekstów pisarza, podkreślaniami jego samodzielnych, wyjątkowych osiągnięć artystycznych. „W tej wszechobejmującej kontroli autorskiego stylu — pisze Andrzej Werner — wyraża się chyba także pewna intencja natury psychologicznej: autor chciałby pomóc postaciom w wyrażaniu własnych przeżyć, własnego sposobu widzenia, a zarazem podkreślić jedność i powiedzieć: to wszystko moje. Moje co? Osiągnięcie czy może inaczej — zobowiązanie?” (s. 337).

Śledząc chronologię zamieszczonych w tomie esejów widzi się wyraźnie jak Odojewski udoskonala swoją sztukę i jak stosownie do tego zmieniają się sądy recenzentów i badaczy — z pocuczających na coraz bardziej entuzjastyczne. Zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie przyniosło szereg prac krytycznych stawiających pisarza wśród najwybitniejszych twórców przełomu nowego wieku. Jego sztuka, jak pisał Tomasz Burek przed przeszło trzydziestu laty, wyzwala bowiem „nie nastroje frustracyjne, nie potok ciemnej rozpacz, nie lament, lecz strumień czystego arcyzmu” (*Zamiast powieści*, 1971).

Jerzy R. Krzyżanowski (USA)

Arcymistrz, fraszkopis, kabareciarz

Anna Mieszkowska, *Marian Hemar — od Lwowa do Londynu. Szkic do biografii artysty*. Londyn: PFK, 2001, 254 s., il., tabl. 12. (brak recenzentów).

Od czego zacząć recenzję z książki o Marianie Hemarze i jego drodze *Od Lwowa do Londynu*? Autorka książki, Anna Mieszkowska radzi: „Jeżeli nie wiesz od czego zacząć, zacznij od początku”. Więc, słuchając jej rady, zaczynam od mojego niezapomnianego, niepowtarzalnego, cudownego domu w Krakowie, w którym kultywowano z zapałem książki, teatr, muzykę i śpiew. W którym — obok niezbędnych mebli użytkowych, najważniejszymi sprzętami były: fortepian, skrzypce, radio a potem gramofon, patefon, adapter, no i — płyty. W jednym z pokoi był nawet tzw. kącik muzyczny z głębokim fotelem dla słuchającego, pragnącego się wyłączyć z dość ruchliwego i gwarneego, sześciuosobowego życia rodzinnego.

W tym to cichym kąciku (nie mylić z miejscem znajdującym się przy Błoniach, na końcu krakowskiego deptaku) zawarłam znajomość z Marianem Hemarem. To znaczy nie z nim samym, osobiście a z jego świetnymi poetycko i muzycznie piosenkami. Dziś, nie potrafiłabym już połączyć piosenek z ich wykonawcami i odpowiedzieć na pytanie kto tę lub tamtą piosenkę śpiewał: Andrzej Bogucki, Zofia Terne, Hanka Ordonówna, Mira Zimińska, Maria Modzelewska, Mieczysław Fogg, Adam Aston, Stefan Witas, Janusz Popławski, Chór Dana, Konrad Tom, czy ktoś zupełnie inny. Ale pamiętam, jakby to wczoraj było, moje zachwyty i zauroczenia, moje sentymenty i wzruszenia. Słuchając nagrań płytowych przeżywałam rozkosz intelektualną, nabierałam smaku artystycznego, który zaważył na moich przyszłych gustach muzycznych i estradowych. A w roku 1936 otrzymałam od ojca w imiennym prezencie tom wierszy satyrycznych *Koń Trojański*, który przypieczętował mój bezgraniczny podziw dla kunsztu poetycko-artystycznego autora, Mariana Hemara.

W trzy lata i jeden dzień potem wybuchła wojna i wśród rzeczy, które utraciliśmy nagle, było m.in. radio, patefon, adapter i blisko dwieście płyt z nagraniami polskimi i zagranicznymi. Nie były to największe, niemniej jednak, bolesne straty. W 1939 roku straciliśmy też ojca, dom i szczęśliwe lata niepodległej Ojczyzny.

Idąc za radą Anny Mieszkowskiej zaczęłam od początku, od najdawniejszych, najpiękniejszych krakowskich czasów, w których Marian Hemar, lwowiak i warszawiak równocześnie w jednej osobie, porwał moją wyobraźnię i skłaniał do podejmowania młodocianego, pensjonarskiego może, niemniej zdecydowanego postanowienia, że będę szła w jego ślady. Nie tylko pisarskie, ale — jeśli okoliczności okazały się sprzyjające — estradowe i kabaretowe. Ile z tych postanowień udało mi się zrealizować — na ile udało mi się w pisaniu i w wykonawstwie estradowo-kabaretowym iść hema-

rowskim traktem, nie mnie oceniać ani opiniować. Jedno jest pewne: podczas wojny i potem na emigracji, arcy mistrz słowa, poezji i satyry towarzyszył mi swą twórczością, zachwycał tym co tworzył, wywoływał najczulsze drgnienia serca i najczystsze uniesienia intelektu.

Ponieważ początki i dalszy ciąg były właśnie takie, jak je pobieżnie opisałam, nic dziwnego, że z wielkim wzruszeniem (i wdzięcznością!) odebrałam przesłaną mi przez Annę Mieszkowską książkę, mającą w podtytule skromną informację: „szkic do biografii artysty”. Jeśli zaaprobujemy informację, że jest to szkic, to pozwolę sobie dodać moją opinię, że jest to szkic doskonały, oddający w pełni osobowość człowieka i twórczą Marianą Hemara. I skrótove dzieje jego oszałamiającej kariery.

Anna Mieszkowska przytacza w swej książce wspomnienia osób, które miały szczęście przyjaźnić się, kolegować, współpracować lub zetknąć przypadkowo z Hemarem. Z tych wspomnień dowiadujemy się, że był postacią dynamiczną, obdarzoną absolutnym słuchem, nieprawdopodobnym wręcz poczuciem humoru, żywiołowym temperamentem, zjadliwym — gdy zaszła potrzeba — politycznym dowcipem. Był też —

autorem doskonałych sztuk scenicznych — w tym ślicznych, mało znanych jednoaktówek o Kochanowskim, Fredrze, Chopinie, Krasickim — świetnym tłumaczem Szekspira i ód Horacego, celnym polemistą, poetą, który umiał w jasnej i prostej formie wyrazić głębokie prawdy o sobie i innych. (Stefania Kossowska)*

Natomiast Józef Mackiewicz, pisząc o Hemarze podkreślił jego:

jasność, artystyczną doskonałość i komunikatywność. Może dlatego — mimo, że Hemar był poetą, dramaturgiem, satyrykiem, oratorem, fraszkopisarzem, lirykiem, osobiście cenilem szczególnie jego prozę, klarowność jego artykułów, esejów: ich żywotność, wszechstronność, precyzję wyrazu.

Przedwojenny wykonawca piosenek Hemara — Andrzej Bogucki opowiadał, że —

Hemar żył teatrem. Teatr był jego światem, jego życiem. Pisał i komponował dla teatru, reżyserował, ustawiał aktorom głos i ich wejścia na scenę, muzykom objaśniał akompaniament... Hemar, który świetnie grał na fortepianie, tłumaczył czy raczej pokazywał nawet bardzo muzykalnym aktorom, jak należy zaśpiewać jego tekst, żeby się uł o ż y ł pod muzykę... Narzucał jednocześnie formę interpretacji — zawsze takiej, jaka powinna być. Był demonem pracy. Żył życiem podwójnym: prawdziwym i pisanym. Był człowiekiem o ogromnej wiedzy i kulturze muzycznej.

Do września 1939 roku Hemar napisał ponad tysiąc piosenek i do większości z nich miał stosunek niezwykle emocjonalny. I to bez względu na wartość artystyczną piosenki. Sam o sobie napisał kiedyś:

Ja sam nie wiem, czy ja liryk,
Czy piosenkarz, czy satyryk,
Czy poeta, czy kupleciaz,
Tyle wiem, że KABARECIARZ.

Do kabareciarza powrócę jeszcze... a teraz powtórzę za Anną Mieszkowską, że —

w sumie napisał około trzech tysięcy piosenek. Dla kabaretu, filmu, radia. Ocalało niewiele. Większość zaginęła w czasie drugiej wojny światowej. Hemar pisał piosenki liryczne, sentymentalne, żartobliwe, smutne i wesołe. Satyryczne i polityczne. Ale przede wszystkim — miłosne. Te najpiękniejsze powstawały w okresach jego największych uczuciowych fascynacji. Im bardziej był zakochany, tym żarliwsze pisał piosenki. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że te najdoskonalsze pisał gdy był — n i e - s z c ę ś l i w i e zakochany! [...] A kochał swoje piosenki jak kochał kwiaty i zwierzęta. I jak kochał kobiety, z myślą o których powstała większość piosenek sentymentalnych.

Jak się dowiadujemy z książki, miał Marian Hemar — oprócz piosenek, teatru i kobiet, jeszcze dwie wielkie, niewygasłe miłości. Lwów i Warszawę. Lwów znaczył dla niego:

* Cytaty pochodzą z książki Anny Mieszkowskiej.

dzieciństwo pełne słońca i zabawy, młodość zieloną, dom rodzinny i miasto serdeczne, ludzi miłych, śliczne lwowskie dziewczęta i panie, dobrych przyjaciół, poetów młodych i pianistów, wszystkie marzenia i krzywdy, których nie można zapomnieć.

Swą tęsknotę do rodzinnego miasta wyraził w niezliczonych utworach, piosenkach i skeczach. Do legendarnych przedstawień londyńskiego „Teatru Hemara” należała rewia, w której niezrównana odtwórczyni lwowskich piosenek Włada Majewska zaśpiewała przy akompaniamencie Jerzego Kropiwnickiego „Chlib kulikowski”. Interpretacja Majewskiej była tak przejmująca, tak wzruszająca, że publiczność — nie tylko lwowska — rozczuła się do łez. Hemar utrzymywał, że napisał tę piosenkę —

aby samemu sobie zrobić przyjemność. Kto płakał słuchając tej piosenki, płakał po samym sobie, który już nie wróci, do którego nie ma powrotu, do którego drogę zamknął wróg gorszy niż Moskal — czas.

Karol Zbyszewski w recenzji z jednej z licznych rewii, która była „szczodrze naszpikowana sentymentem o Wysokim Zamku, o dorożce w Alejach i znów o Lwowie” napisał, że do „Teatru Hemara” „zamiast z chustką do nosa należałoby przychodzić na przedstawienia — z prześcieradłem”. Była to ze strony recenzenta krotkochwilna złośliwość, zawierająca nie ziarno, a cały snop prawdy!

„O dorożce w Alejach...”. Warszawa to była druga po Lwowie wielka miłość Mariana Hemara. W stolicy Polski spędził najszcześniejsze lata, rozwinął swój niepospolity talent.

Pisał piosenki, sztuki, tłumaczył obce teksty, przerabiał, adaptował i reżyserował, był kierownikiem literackim, muzycznym, artystycznym a nawet dyrektorem.

Odnosił sukcesy i porażki. Musiały być jedne i drugie przy zawrotnym tempie wszystkich jego teatralnych i kabaretowych poczyną. Zgromadził wokół siebie najlepszych wykonawców teatralnych i estradowych, których w krótkiej recenzji nie sposób wyliczyć. Współpracował z Julianem Tuwimem i z najdoskonalszym z konferansjerów, Fryderykiem Jąrosym. Kazimierz Wierzyński, poeta i krytyk teatralny po premierze „Pięknej Heleny” Offenbacha z librettem i w reżyserii Hemara napisał:

[Operetka] stanowi swego rodzaju arcydzieło... [przedstawienie] jest opracowane do najdrobniejszych szczegółów. [...] Dyscyplina godna najlepszych majstrów. Tekst iskrzy się najprzedniejszym dowcipem, kalamburem, persyflażem. Jest zaktualizowany w sposób śmiały i udany. Talent piosenkarski Hemara błysnął najświetniej w utworach śpiewanych i doskonałych kupletach Dymyzy. Obok satyry znalazło się miejsce na sentyment i mgiełki poetyckie w przyjemny sposób. Ale to wszystko, to tylko jedna część sukcesu. Druga część nazywa się Maria Modzelewska. Jest śliczna, mądra po aktorsku, śpiewa tak, że słychać wyraźnie każdą sylabę. Wszystko jest jej ozdobą — aparycja, prostota, wdzięk. Hemar kłaniał się ze sceny, szczerze i długo oklaskiwany. Szczęście miał Offenbach do Hemara i Hemar do Offenbacha.

Na najszcześniejsze lata warszawskie złożyły się nie tylko pochlebne recenzje, nieustanny przepływ weny poetyckiej i hołdy jakie mu składała zachwycona publiczność. Ale także życie osobiste. W roku 1936 ożenił się z Marią Modzelewską.

Mieszkali na Mokotowie w pięknie urządzonej willi przy ulicy Madalińskiego 89. Byli młodzi, popularni, zapracowani, bogaci i szczęśliwi —

— pisze Anna Mieszkowska. A w wiele lat później, po wojnie, kiedy małżeństwo z Hemarem było już tylko bolesnym wspomnieniem, starsza i bardziej doświadczona Hemarysia powie w przystępie szczerości, że „za dużo było tego szczęścia na tylko ich dwoje”.

Londyńskie, emigracyjne lata Mariana Hemara po gorzkich początkach były jednym pasmem wielkich sukcesów. Zdarzały się wprawdzie potknięcia, nieporozumienia, rozejścia i drobne kłótnie, ale w sumie życie było łaskawe, podróże interesujące, hołdy i dowody szacunku i uznania — wielkie. Zaplecze materialne też nie było jakie. Drugie małżeństwo z piękną Carol Eric, zwaną popularnie Kają — szczęśliwe, uładzone, spokojne, sprzyjające twórczości poetyckiej, satyrycznej i dramaturgicznej. Otoczenie koleżeńskie, towarzyskie, życzliwe i przyjazne. Nieprzyjazny okazał się jedynie wpływający nieustannie, bezwzględnie — czas, który zabierał mu najbliższych przyjaciół: Konrada Toma, Wojciecha Wojteckiego, Kazimierza Wajdę, Zygmunta Nowakowskiego, gen.

Władysława Andersa, Jerzego Kropiwnickiego, Fryderyka Jąrosy'ego, Mieczysława Grydzewskiego, Kazimierza Wierzyńskiego. Przeżywał te śmierci buntowniczo. Uderzały one jak grom w jego nadwrażliwe jestestwo, osłabiały eksploatowane przez całe lata do granic wytrzymałości serce.

Autor, któremu „Muzy powierzyły humor Polaków” śmiał się coraz rzadziej a pewnego dnia znalazł się w szpitalu, skąd pisał do przyjaciół (Sakowskich):

Ledwie daję sobie radę z pisaniem tego listu, pióro mi się płacze w palcach. Najbardziej mi żal w tym wszystkim Kaji, sama w domu, zgubiona, zmaltrretowana. No, mam nadzieję, że to jeszcze przetrzymam i wrócę do domu...

Przetrzymał, powrócił. A 14 grudnia 1971 Jan Fryling, Juliusz Sakowski i Karol Zbyszewski odwiedzili Hemara w domu. Fryling zanotował:

Zwłókł się z łóżka i starannie ubrał na nasze przyjęcie, podejmował wraz z żoną gościnie, po pięknym domu oprowadzał, psom i kotom zaprezentował. Ale widać było, że „srogі kapral” snuje się w ślad za nim i że przedwczesny cień już pada na niego. Hemar czasem podniecał się jeszcze w rozmowie, unosił mówiąc o jakiejś naszej dziennej sprawie — a za oknami zachodzące słońce zapalało łunę na ciężkich obłokach. Dał mi wtedy swoje *Wiersze staroświeckie* — podarunek świąteczny. Są te wiersze pożegnaniem z życiem i przywitaniem śmierci. Są również skierowanym do życia wyznaniem miłosnym i są buntem — z góry przegrany bunt — przeciw śmierci. Ich piękno wracać do nas będzie nie milknącym refrenem.

W roku 1972, w roku dla Mariana Hemara jubileuszowym (50 lat od wydania pierwszej książki) 21 stycznia przyznano mu tytuł Kawalera Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu zasług dla Polski i za całokształt twórczego wkładu do jej literatury”. A w trzy tygodnie później — 11 lutego prasa emigracyjna informowała na pierwszych stronach:

[...] po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w szpitalu w Dorking pod Londynem znakomity poeta i publicysta śp. Marian Hemar. Żył lat 70. [...] Tysiące czytelników znają jego wiersze, w których szczery sentyment i gorący patriotyzm łączył z niezawodnym wyczuciem chwili. Znają jego ostry język, który chłostał biczem satyry komunistycznych władców Polski. Wielbicieli jego talentu mieli wielki szacunek dla bojowej postawy szermierza, nieustającego w walce o wspólne cele. Wysoko cenili rzadki dar słowa, które umiało uchwycić sens wydarzeń i ukazać je w ostrym świetle.

18 lutego w Dorking odbył się pogrzeb a w dzień później obszerne wspomnienie na pierwszej stronie (londyńskiego) „Tygodnia Polskiego” ogłosił Leopold Kielanowski, przyjaciel i wieloletni współpracownik poety w emigracyjnym teatrze i studiu radiowym: „Hemar był jedną z najbardziej kolorowych postaci na emigracji. [...] Pisał zawsze w temperaturze wrzenia...”. A 27 lutego cytatem z Horacjusza „w pięknym przekładzie Mariana Hemara, pogrążone w żalobie — «Wiadomości» — żegnały świetnego pisarza, szlachetnego człowieka, niezłomnego patriotę, wiernego syna Lwowa”.

Wzniosłem sobie monument
Bardziej niż spiż niepożyty
I wyższy niżli Piramid
Królewskie szczyty.

Ani powodzi łapczywość
Ani burzy wichura
Już go z oblicza ziemi
Nie zniesie. I nic nie wskóra.

Lat pochód niepoliczony,
Gdy rok po roku jak listek
W nicość ulata. Ja
Nie umrę wszystkich.

Idąc za dobrą radą Anny Mieszkowskiej, recenzję z jej książki *Marian Hemar — od Lwowa do Londynu* zaczęłam od osobistego wspomnienia z moich najszcześniejszych, krakowskich czasów.

Osobistym wspomnieniem pragnę też recenzję zakończyć. Otóż tak się w moim życiu złożyło, że podczas okupacji niemieckiej wraz z pianistą i kompozytorem Zbigniewem Dronką, z jego siostrą, piosenkarką Hanką Dronkówną i z Jerzym Passendorferem założyliśmy czteroosobowy „teatrzyk w salonie”. Na zaproszenie osób, posiadających większe mieszkanie i fortepian, prezentowaliśmy poezję i piosenki przedwojenne „ku pokrzepieniu serc”. Ponieważ nie miałam głosu do śpiewania, wyspecjalizowałam się w melorecytacjach tekstów Mariana Hemara. „Teatrzyk w salonie” istniał przez prawie cztery lata, dopóki warunki materialne i tzw. „zewnątrzne” nie zmusiły nas do zaprzestania tej artystycznej działalności. A po wojnie, na emigracji, najpierw w Niemczech (wówczas Zachodnich, w amerykańskiej strefie okupacyjnej) w Regensburgu a potem w Ameryce, w Detroit w „Podwieczorkach przy mikrofonie”, w lokalu akademickim „Na Pięterku” w „Kabarecie pod parasolem”, a także w klubie nocnym „Gay Haven” i wieczorach literacko-muzycznych organizowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuki Polskiej, prezentowałam wiersze sentymentalne i satyryczne... Mariana Hemara. Numerem popisowym w moim dość bogatym hemarowskim repertuarze, był niezmiennie wiersz, zaczynający się od słów:

Tęsknota rozmaicie w człowieku się wyraża,
Czasami tęsknię do Kraju tęsknotą — kabareciarza.
Czasami, wieczór zwłaszcza, koło ósmej godziny,
Kiedy na całym świecie podnoszą się kurtyny
Z aksamitu i pluszu, brokatu i purpury,
Kurtyna moich marzeń także idzie do góry...

Słyszę dawne piosenki, wraca tango po tangu
I Żarty, uśmiechy, bon-moty, jakby na bumerangu
Tęsknoty, co uleciał w krążek światła jaskrawy
I znowu wraca do mnie... wraca z t a m t e j Warszawy...

Przy akompaniamencie znakomitego pianisty Jana Wojnara melodiami i poezją prowadziłam publiczność w aleje, pachnące kwitnącymi białymi bzami, obiecywałam, że nadejdą kiedyś takie dni...

A w roku 1966 w Waszyngtonie, u progu moich długoletnich związków z „Głosem Ameryki” znalazłam się w towarzystwie redaktora Szczęsnego Leśniewicza, Marka Święcickiego i Feliksa Bronieckiego na wieczorze powitalnym dla Mariana Hemara. Czekaliśmy — wzruszeni — na wyrażenie mu naszych zachwytów i sentymentów. Gdy wreszcie Hemar podszedł do nas, Leśniewicz powiedział: „a to doskonała wykonawczyni pana tekstów, Róża Nowotarska...”

Hemar przechylił głowę, przypatrując mi się niedowierzająco spod ciężkich brwi i z przekorą w głosie zapytał:

— A pani, z których Nowotarskich?

Więc ja pospiesznie, bo publiczność napierała ze wszystkich stron:

— Z tych gorszych, oczywiście...

— Aaa, jeśli z tych gorszych, to bardzo dobrze. Lubię tych gorszych! Może potem sobie porozmawiamy? Co trzeba opowiemy?

Ale do tego „potem” nie doszło. Porwali go, ciągnąc niecierpliwie za rękaw ci najlepsi, najznakomitsi, najważniejsi...

Ostatnim akordem w mojej „hemariadzie” (jak dziwnie splatają się i przenikają ludzkie biografie!) stało się — w okresie stanu wojennego — odczytanie przed mikrofonem „Głosu Ameryki” w ramach mojej autorskiej audycji „Czwartkowe spotkania z poezją i prozą” jednoaktówki Hemara pt. *Fraszkopis*. Bogusław Jerke był biskupem Ignacym Krasickim a ja panią Rajecką z Rajec. Jak się później z setek listów dowiedziałam słuchacze nagrywali te audycje na kasety magnetofonowe, odtwarzając je na zebraniach rodzinnych i towarzyskich. W listach upartym refrenem powtarzało się pytanie: „kto to jest Marian Hemar?”

Teraz, odpowiedź na to i na inne pytania znajdujemy w książce, do której Anna Mieszkowska zbierała materiały przez wiele, wiele lat, a którą napisała w morderczym tempie, w trzydziestu sześciu dniach, dając jej podtytuł: „szkic do biografii”. Czytając szkic życzyć by sobie należało, aby właśnie spod jej pióra wyszła obszerna biografia o niezrównanym, niepowtarzalnym arcymistrzu słowa poetycznego, fraszkopisie i kabareciarzu, aby zapewnić mu wieczne życie. Aby „nie umarł wszystek”.

Róża Nowotarska (USA)

Książka o Polakach w Indiach

Polacy w Indiach 1942–1948 w świetle dokumentów i wspomnień, red. L. Beldowski i in., Londyn: Koło Polaków z Indii 1942–1948, 2000, 758 s. (brak recenzentów).

Tytuł książki zdaje się precyzyjnie określać jej zawartość. Tak jednak nie jest... Praca *Polacy w Indiach 1942–1948 w świetle wspomnień i dokumentów* to coś więcej niż relacje i listy, zdjęcia i zapiski. Co prawda rzut oka na spis treści pozwala czytelnikowi zorientować się, że biorąc do ręki opasły tom znajdzie w nim opracowania podchodzące do zasygnalizowanego w tytule tematu z wielu różnych punktów widzenia (znaleźć tu można szkice historyczne, socjologiczne, bibliograficzne, a nawet dotyczące spraw ekonomicznych i religijnych), jednak dopiero wnikliwa lektura pozwala mu na odkrycie, że za dyskursem naukowym kryje się coś więcej. Emocje przebijające się przez tkankę tekstu są na tyle wyraziste, że często zza długich kolumn cyfr i nazwisk wylaniają się te elementy i wartości, które stanowiły o klimacie i (mimo grozy lat wojennych!) uroku tamtego okresu kilkuletniego przymusowego pobytu na obcej, choć już nie nieludzkiej, ziemi. Wyjaśnienie tego fenomenu przynosi *Słowo wstępne* pióra ks. prałata Zdzisława J. Peszkowskiego, w którym czytamy m.in.:

Kochani Czytelnicy, pragnąłbym, abyście czytając słowa tego wstępu zdali sobie sprawę, że były to najpiękniejsze lata naszego życia, bo mogliśmy we wszystkim, co nam dawała nasza młodość, polskość już wypróbowana, Kościół, harcerstwo, szkoła, umacniać się i uszlachetniać. [...] Niczego nie zamieniłbym za tamte chwile. Wtedy dojrzywała w nas prawda naszego życia i nasza przyjaźń [...] (s. xi).

O tym, jak silna musiała być ta ostanía, niech świadczy choćby to, że w 50. lat po tym, jak wówczas kilku i kilkunastoletnie dzieci opuszczały Indie (los rozproszył je po wszystkich kontynentach — w pracy znajdujemy informacje i wspomnienia o osiedlaniu się m.in. w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Argentynie, Anglii, Francji i Belgii, Ugandzie i Kenii, Australii i Azji Środkowej, wreszcie pozostawaniu w Indiach czy powrotach do Polski) już jako dorośli ludzie zdołali oni powołać do istnienia w 1990 roku Koło Polaków z Indii 1942–1948 z siedzibą w Londynie. Owocem pracy tej organizacji mającej swe filie w USA, Kanadzie, Australii i Polsce, a zrzeszającej w chwili obecnej 453 członków zamieszkałych w dziesięciu krajach jest właśnie wspomniana książka.

Została ona podzielona na cztery zasadnicze części, z których każda składa się z rozdziałów omawiających wybrane kwestie pogrupowane tematycznie i chronologicznie. Część pierwsza przynosi przypomnienie okoliczności wywożenia w czasie pierwszych lat II wojny światowej ludności polskiej w głąb ZSRR oraz jej dalsze losy zakończone pospieszoną ewakuacją do Indii i Iranu w 1942 roku, a także opis stosunków brytyjsko-indyjskich, zakończonych uzyskaniem niepodległości przez Indie w 1947 roku. Część druga omawia funkcjonowanie i finansowanie polskich ośrodków w Indiach — z jednej strony mowa tu o działalności polskich placówek dyplomatycznych, z drugiej zaś o obozach i miejscach czasowego pobytu uchodźców (gł. koło Karachi). Uzupełnieniem tej części jest rozdział poświęcony polonikom indyjskim. Trzecia — najobszerniejsza koncentruje się wokół osiedla Valivade w księstwie Kolhapur. Z pewnością jest to najbardziej frapująca część pracy, bowiem obok informacji historycznych związanych z samym księstwem, danych dotyczących powstania osiedla, przynosi ona szereg interesujących rozdziałów poświęconych zagadnieniom funkcjonowania i zorganizowania życia w obozie — od informacji dotyczących zaopatrzenia osiedla w żywność i odzież, poprzez omówienie zagadnień związanych ze służbą zdrowia, oświatą i różnorodnymi działającymi tam stowarzyszeniami i organizacjami, aż do przywołania danych na temat religijności i kryminogenności żyjących tam uchodźców. Część czwarta omawia powojenne losy „Indian” — obok danych na temat miejsc ostatecznego osiedlenia odnależć tu można historię powstania i działalności Koła Polaków z Indii, a także rozdział poświęcony powrotom do Indii — wizytom, wycieczkom itp. Całość uzupełniają: wykaz skrótów, glosariusz będący rodzajem podręcznego słownika indyjsko-polskiego, bibliografia przedmiotowa, wykaz indyjskich poloników, indeks osobowy, wreszcie listy osób, które przewinęły się przez Indie w latach 1942–1948 oraz wykaz przedwojennych miejscowości, z jakich osoby te pochodziły.

Układ pracy w zasadzie jest przejrzysty i czytelny. Co prawda umiejscowienie niektórych rozdziałów nie wydaje się zbyt przekonujące (np. *Polonika indyjskie: wydawcy i wydawnictwa*, które powinny raczej otwierać część czwartą), to jednak całość sprawia dobre wrażenie. Równocześnie, jak widać z powyższego zestawienia zawartości, zakres tematyczny i chronologiczny materiału opracowanego w książce znacznie przekracza ramy, jakie wyznacza jej tytuł. I mimo iż w efekcie może on być mylący, to jednak ten nadmiar jest tu niewątpliwą zaletą. Podstawowej wartości książki *Polacy w Indiach 1942–1948 w świetle dokumentów i wspomnień* upatrywać należy właśnie w warstwie dokumentacyjnej. Ogrom informacji zawartych w poszczególnych rozdziałach poraża. Najślabiej na tym tle wypadają rozdziały ogólne — wprowadzające kontekst historyczny opisywanych wydarzeń oraz te, które sięgają w przeszłość Indii. Naturalnie decyzje redakcji są tu w pełni zrozumiałe, jednak szkice te stanowiące rodzaj uzupełnienia i mające zapewne na celu nakreślenie tła pomagającego w pełniejszy sposób zrozumieć okoliczności i warunki, w jakich przyszło funkcjonować uchodźcom polskim, bądź to powielają informacje powszechnie znane, bądź też są na tyle wybiórcze, że nie w pełni wywiązują się ze swego zadania. Abstrahując jednak od tego, należy stwierdzić, że lektura tej pracy przytłacza, ale przytłacza pozytywnie. Stanowi ona bowiem doskonały punkt wyjścia i zarazem materiał do dalszych badań omawianych w niej tematów, których rozmiary i skalę zjawisk z nimi związanych można w pełni docenić przeglądając niekończące się zestawienia, tabele, wykazy danych statystycznych, listy nazwisk, biogramy, fragmenty uchwał i postulatów, wreszcie dokumenty przytaczane w całości (np. *Statut uchodźcy polskiego w Indiach*, s. 244–249 czy *Statut Koła Polaków z Indii*, s. 667–668). Jeżeli do tego doliczyć kilkaset fotografii, map, listów, fragmentów publikacji zwartych i czasopism, planów i szkiców, świadectw szkolnych, zarządzeń, oświadczeń itp., których zdjęcia i kopie wplecione w zasadniczy dyskurs stanowią ilustrację omawianych kwestii, to okaże się, że dokumentacja zdecydowanie dominuje nad dyskursem wspomnieniowym.

Naturalnie, w książce można znaleźć wiele ocen i interpretacji przywoływanych faktów. Jałta, niechęć władz brytyjskich i indyjskich, trudności pojawiające się w czasie realizacji spraw najprostszych — wszystko to wzbudzało wiele emocji, a i obecnie — jak wynika z książki — nie jest autorom obojętne. Oczywiście, *Polacy w Indiach* nie są książką *sensu stricto* historyczną czy nawet historyczno-socjologiczną, stanowią raczej dokument, zapis pewnego czasu i okoliczności, w którym fakt przeplata się z emocją a relacja i sprawozdanie z żywym wspomnieniem. W tym kontekście za znakomity należy uznać pomysł wprowadzania po każdym rozdziale partii pamiętnikarskich, które pisane przez osoby w różnym wieku i z różnej perspektywy obudowują „suche” fakty „żywą” tkanką. Odnaleźć w niej można wiele humoru i ciepła, niekiedy nieco żalu czy smutku. Należy przy tym podkreślić, że dobór materiałów wspomnieniowych został przeprowadzony z należytą pieczołowitością — do publikacji wybrano jedynie niezbędne minimum (niektóre wspomnienia składają się z kilkunastu zdań) dbając o to, aby książka nie stała się zbiorowym pamiętnikiem.

Dzięki temu jednak praca ta, obok solidnego dokumentowania, w pewnych swych partiach jest książką do czytania, lekturą zajmującą i wartościową. Naturalnie nie wszystkie fragmenty utworów literackich przywoływane w tekście (także zasadniczym) aspirują do miana wybitnych dzieł, jednak co do tego nie mają złudzeń sami autorzy. Ich celem bowiem było — jak słusznie napisał o tym zespół redakcyjny — „naświetlenie i utrwalenie naszej indyjskiej przygody, by nie poszła w zapomnienie”. Z całą odpowiedzialnością można stwierdzić, że zadanie to zostało zrealizowane w pełni. *Polacy w Indiach* z pewnością dla czytelników nie zajmujących się wcześniej tym zagadnieniem będą rodzajem odkrycia. Odkrycia tej karty naszej historii, która dotychczas znana zbyt mało lub zgoła wcale, okazuje się być wielce interesująca. Do podobnego wniosku doszli sami autorzy, którzy — jak można wnosić ze wstępu — sami byli nieco zaskoczeni wynikami swej pracy:

Przeszło pół wieku temu, jako dzieci czy młodzież, nie zdawaliśmy sobie sprawy w tego, jak wyjątkowy był nasz pięcioletni pobyt w Indiach. Już jako ludzie dorośli postanowiliśmy dotrzeć do dokumentów archiwalnych, kronik osiedlowych, wspomnień i dzienników [...] Późno zabraliśmy się do tej pracy, bo dopiero gdy większość autorów osiągnęła wiek emerytalny, znaleźliśmy czas na odszukiwanie i studiowanie rozproszonych po świecie materiałów (s. ix).

Można powiedzieć, że na szczęście pomysł ten nie pojawił się zbyt późno.

Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę na jeszcze dwie sprawy związane ze sposobem napisania tej książki, które świadczą o jej specyfice. Po pierwsze w czasie lektury uderza wyraźnie

pewne przesunięcie akcentów, obserwowalne zwłaszcza w tekstach bezpośrednio dotyczących pobytu w Indiach. W części trzeciej książki, poświęconej osiedlu Valivade, bardzo widocznym jest to, że autorzy poszczególnych opracowań w trakcie pobytu w Indiach byli dziećmi, bowiem to sytuacja dzieci i ich potrzeb stanowi w wielu tekstach jeden z głównych ośrodków zainteresowania. Naturalnie pisząc o poszczególnych zjawiskach z perspektywy lat uzupełniają swą wiedzę o dokumenty i materiały, których wówczas nie znali, jednak perspektywa dziecka jest w tych opracowaniach wyraźnie zaznaczana. I rzecz druga — lektura poszczególnych rozdziałów potwierdza założenie redakcji, która na wstępie zadeklarowała, że „starła się dotrzeć do prawdy i przedstawić ją możliwie bezstronnie” (s. ix). I rzeczywiście — książka sprawia takie wrażenie. Pisząc o różnorodnych aspektach uchodźczego życia autorzy niczego nie ukrywają, nawet jeżeli sprawy, które wspominają, nie należą do pozytywnych (jak choćby prostytutka, kradzieże czy pomysł stworzenia „polskiego obozu koncentracyjnego” — s. 252–258). Oczywiście ocena merytoryczna zawartości książki pozostaje nadal sprawą otwartą. Ogrom danych przywoływanych w poszczególnych rozdziałach wymusza konieczność szczegółowego i precyzyjnego zweryfikowania każdego z nich z osobna. Niech więc wolno mi będzie odstąpić od tego i pozostawić osobom zawodowo zajmującym się historią stosunków polsko-indyjskich (nie polując na potknięcia znalazłem w tej pracy zaledwie dwa błędy polegające na nieprecyzyjnym podaniu danych — jeden dotyczył biografii Michała Chmielowca, drugi — twórczości Wandy Dynowskiej). Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na stronę technicznego przygotowania książki i konsekwencję z tego wynikającą.

I tu dochodzimy do przysłowiowej łyżki dziegciu. Niestety wspomniana strona techniczna książki pozostawia bardzo wiele do życzenia. Nie wdając się w nadmierne szczegóły wymienię tylko najważniejsze przewinienia, jakich w tej materii dopuścili się redaktorzy *Polaków w Indiach*. Pominięcia nazwisk w indeksie (np. Brońska M., s. 662; Sowiński Kazimierz, s. 77), niepełne zestawienia stron przy już wymienionych (np. Charuba Barbara, s. 662; Bukowski Stefan, s. 663), wadliwy skład — powtarzanie całych fragmentów czy wręcz stron (por. s. 708) lub ich pomijanie (por. s. 255–256 — brak dwóch stron (?) przy zachowaniu numeracji), błędy edycyjno-korektorskie — od nadmiaru (braku) spacji i znaków interpunkcyjnych, wreszcie potknięcia ortograficzne (por. s. 79, 320) czy znaczeniowe (por. s. 406). Irytujące są także uchybienia w zakresie niekonsekwencji zapisu nazwisk, dat itp., wreszcie przytaczanie tych samych danych w różnych miejscach książki (por. np. s. 255 i 324, 275–277 i 324). Dodajmy, że załączona do książki errata niestety nie koryguje tych potknięć. Konsekwencje takiego stanu rzeczy są oczywiste — badacze poszukujący danych o wybranych osobach są pozbawieni dobrych narzędzi (indeks!) i muszą samodzielnie wertować całą książkę sprawdzając, czy odnaleźli wszystkie niezbędne im informacje, natomiast inne osoby sięgające po tę pracę mogą niekiedy popaść w irytację.

Jednak mimo tych braków chciałbym jeszcze raz wyraźnie zaznaczyć, że praca zbiorowa *Polacy w Indiach 1942–1948 w świetle dokumentów i wspomnień* stanowi ważne uzupełnienie obrazu losów powojennego uchodźstwa polskiego, który bez tej części — jak się wydaje dotychczas niedostatecznie zbadanej — z pewnością był zubożały i niepełny.

Rafał Moczgodan (Toruń)

„Ali” — czyli Józef Mackiewicz

Józef Mackiewicz, *Bulbin z jednosielca*, Londyn: wyd. KONTRA, 2001. (*Dzieł J. Mackiewicza* tom 14)

Odkąd żona pisarza, Barbara Toporska, ujawniła, że pierwszym napisanym przez Józefa Mackiewicza i wydrukowanym utworem był „opis Puszczy Białowieskiej”, trwały poszukiwania owego zapomnianego debiutu. O ile mi wiadomo, „mackiewiczolodzy” sprawdzili karta po karcie całą prasę z początków lat dwudziestych XX wieku, nigdzie jednak nie natrafili na tekst o puszczy sygnowany kryptonimem „J.M.” albo nazwiskiem autora. Jedyne co pozostało, to snucie przypuszczeń, że przyszły powieściopisarz debiutował w jakimś mało znaczącym, „kameralnym” piśmie, którego zasoby

nie zachowały się do naszych czasów. Tymczasem obszerny artykuł pt. *Z ostępów leśnych Białowieży*, wraz z dopełniającym go tekstem *O zwiastowanie na Litwie i Białorusi*, cierpliwie czekał na odkrywców na szpaltach wileńskiego „Słowa”, rocznik 1922! Rzecz w tym, iż pozostawał niewidzialny dla tych wszystkich, którzy wertując prasę wileńską przyglądali się jedynie tytułom utworów i umieszczonym pod nimi sygnaturom. Mackiewicz-debiutant, o czym nie wiadomo, używał bowiem pseudonimu „Ali”. By to odkryć, trzeba zatem było skrupulatnej lektury wszystkich publikacji zamieszczonych w „Słowie”, nie tylko tych o „podejrzanych” sygnaturach. Innymi słowy — nie w podpisach, a wewnątrz utworów należało szukać znaków atrybucji, dowodów autorstwa.

Powyższe uwagi pozwalają, przynajmniej w jakimś stopniu, na wyobrazenie trudu, ogromu pracy, jaką trzeba było wykonać, by przygotować książkowy wybór opowiadań i artykułów Józefa Mackiewicza z lat 1922–1936, zawierający m. in. wczesne publikacje „Alego”, a także teksty podpisywane „Z. O.”, „m.”, „aż.”, „M. J.”, wreszcie — „oczywistym” „J. M.”. Książka wyszła pod intrygującym (a przejętym z jednego z drukowanych w niej opowiadań) tytułem, jako czternasty już tom *Dzieł* J. Mackiewicza, serii publikowanej przez londyńskie wydawnictwo KONTRA, rozprowadzanej także na rynku księgarskim w Polsce. Jest to zarazem pierwszy z trzech tomów przypominających publikacje prasowe pisarza, wybrane z jego całozyciowego dorobku dla uczczenia setnej rocznicy urodzin, która przypada na rok 2002. Zapowiadany trzeci tom wyboru (16. t. *Dzieł*) przyniesie także szczegółowe informacje na temat kryptonimów i pseudonimów oraz bibliografię, nad której opracowaniem od lat kilkunastu pracuje w Londynie Michał Bąkowski. On też wybrał teksty do omawianej tu książki, zaś powinności edytora dopełniła Nina Karsov, prowadząca wydawnictwo KONTRA, co warto wyraźnie powiedzieć, jako że w słowie wstępnym wydawca, z rzadką dziś skrupulatnością i nadmierną — jak się zdaje — grzecznością, umieszcza podziękowania dla kilkudziesięciu osób, które „przyczyniły się do powstania” publikacji. Lista obejmuje tych wszystkich, którzy udzieliли jakichś pomocnych informacji czy materiałów oraz osoby, którym zlecano „zdalnie kierowane” kwerendy, jak i tych, którzy w minionych latach poczynili jakieś ustalenia w „mackiewiczologii”. W żadnym wypadku nie należy szukać w tym gronie współautorów opracowania, mamy bowiem do czynienia z efektem pracy dwóch osób — edytora i bibliografa.

Czytelnik, sięgając po ten wybór podpisywanych różnymi kryptonimami tekstów, z łatwością wyzbędzie się wątpliwości, że ich autorem jest rzeczywiście Józef Mackiewicz. Wystarczy znać biografię pisarza, choćby w takim zakresie, w jakim poznać ją można zapoznając się z kalendarium dołączonym do tomu, by bez trudu odnaleźć w tych artykułach masę wiadomości autobiograficznych, ich autor bowiem zwykł często powoływać się na swoje rzeczywiste doświadczenia, wspominać przeżycia, objaśniać własne relacje z przedstawianymi osobami, odwoływać się do innych tekstów przez siebie napisanych. Co ciekawsze, ci wszyscy, którzy znają powieści Mackiewicza, odnajdą tu niejedną zawijazkę przedstawień powieściowych, zrealizowanych w późniejszych latach zamierzeń epickich. Kto pamięta, w jakie to ciemne interesy uwikła się piastujący godność leśniczego bohater *Karierowicza*, uśmiechnie się czytając w debiutanckim artykule „Alego” uwagi o wydawaniu zezwoleń na pozyskiwanie drewna z puszczy, uzyskiwanych pod pretekstem „walki z kornikiem”. Ten sam „Ali” w nowelę *Wspomnienia wojenne* wplata opowieść kaprała W. o „złym człowieku”, Rosjaninie zwanym Griszą, bardzo przypominającym owego Flora, który Leszka z *Karierowicza* namówi na wyprawę w puszczańskie ostepy. Wspomnienie „Alego” o rekruckim okresie w wojsku polskim w Pietkowie koło Łap w 1919 roku, o nudzie szkolenia i wyczekiwania na pierwszy bojowy wymarsz, jako żywo przypomina odpowiedni fragment *Lewej wolnej*. Podpisany „aż” felieton *W 105-ym orenburskim* dowodzi, że już w roku 1935 Mackiewicz miał skompletowaną dokumentację losów pułkownika Miasojedowa, tytułowego bohatera wydanej w 1962 powieści! Nie sposób tu kontynuować tego wyliczenia; dość powiedzieć, że tego rodzaju dowodów na to, iż niektóre przedstawienia literackie zamyślał J. Mackiewicz przez lat kilkadziesiąt znajdzie czytelnik omawianego tomu o wiele więcej.

Swoistą rewelacją jest też obecność w książce tekstów w ścisłym słowa znaczeniu literackich, pochodzących z okresu początków kariery dziennikarskiej przyszłego powieściopisarza. Dotychczas wydawało się, że Mackiewicz przez lat kilka był wyłącznie publicystą, potem dopiero zaczął snuć plany pisarskie. Tymczasem najwcześniejsza nowela tu prezentowana pochodzi z 1922 roku, zaś tytułowy *Bulbin z jednosielca*, utwór nowelistyczny najwyższej próby, tak bowiem skonstruowany, że oczywistą wydaje się potencjalna możliwość rozwinięcia go do rozmiarów obszernej opowieści epickiej, powstał w roku 1926, a więc dziesięć lat przed ogłoszeniem pierwszego zbioru

nowel Mackiewicza *16-go między trzecią i siódmą*. Z 1924 pochodzi *Droga przez las*, zdumiewająca impresja, którą po zastanowieniu uznać można za ćwiczenie stylistyczne podjęte przez kogoś, kto ma zamiar być w przyszłości epikiem, teraz zaś pisze wprawki, ćwiczy sztukę sprawnej narracji. Jest w tej miniaturze i kunsztowny opis, i przytoczenie chłopskich opowieści, są aluzje literackie, a wszystko to razem wplecione w rytm kunsztownej i wartkiej, chciałoby się rzec — szlacheckiej, gawędy. Przytaczam drobny urywek z pięknym odwołaniem aluzyjnym do najstynniejszego polsko-litewskiego sonetu.

Nic to wszystko. Czernieje głębia lasu, jak okiem rzucić. Las wszystkich ukryje, nikogo nie wyda. Na mile długie w bok od drogi pokryta jest ziemia tajemnicą. Co się tam dzieje? Któż odgadnie. Nadśłuchiwać... nic, zadnego dźwięku. Dzień już minął, ale sowa nie krzyczy, puszczyk nie śmieje, wilk nie zawyje. — Jedziemy dalej.

Mackiewicz najwyraźniej stara się być, pewnie ostatnim w Polsce, pisarzem szlacheckim. Przejawia się to nie tylko w starannie cyzelowanej rytmice gawędziarskiej narracji literackich utworów. Także w tekstach publicystycznych, w których z lubością buduje drzewa genealogiczne szlachty siedzącej na lokalnych, litewskich gniazdach. Widać to także w koncepcjach politycznych, choćby prezentowanej parokrotnie zaskakującej tezie, iż w trudzie budowania kontaktów państwowych pomiędzy Polską a Litwą strona polska nie powinna stawiać na litewskich chrześcijańskich demokratów ani ludowców, lecz na — zdawałoby się — najtrudniejszego partnera, narodowców A. Voldemarasa, ponieważ tylko oni nie wyrzekli się „imperializmu”, zatem nie dążą do Litwy w granicach etnicznych i nie chcą wyrzec się dziedzictwa Litwy szlacheckiej. Tylko tradycje szlacheckie natomiast mogą, zdaniem Mackiewicza, ożywić ideę powrotu do wspólnoty Wielkiego Księstwa. W tym też duchu pisarz polemizował z „Przeglądem Wileńskim”, organem najbliższych mu ideowo tzw. Krajowców.

[...] istotą tego, co my zwiemy — Litwą, była tylko i wyłącznie szlachta i dzieje [...] Litwy kreśliła w historii wieków — szlachta. [...] Wielkie Księstwo Litewskie tak długo istniało, jak długo istniała materialna potęga szlachty. [...] Ale jeżeli obecnie powstała Polska, to jedynie zawdzięczając współpracy wszystkich stanów. [...] Gdyby Polskę budowali wyłącznie chłopci, uważający szlachtę swoją za wroga — to dzisiejsza Rzeczpospolita obejmowałaby jedynie teren etnograficznie polski, zupełnie tak, jak republika litewska.

Z tego przekonania wychodząc, sprzeciwiał się Mackiewicz pomysłom reformy rolnej, twierdząc że dalsze zubożenie szlachty tylko pogorszy ogólną sytuację „wileńskiego kraju”. Opowiadał się natomiast w licznych wystąpieniach za zlikwidowaniem przyczyn obecnej stagnacji gospodarczej Wileńszczyzny, odciętej granicami od swych żywotnych ekonomicznych powiązań. Domagał się uznania przez władze warszawskie całkowitej odrębności kulturowej tych ziem i dążenia do ich scalenia przez polityczne próby reaktywacji Wielkiego Księstwa. Odrębność tę ilustrował i unaoczniał opinii polskiej w licznych reportażach, o czym łatwo się przekonać, przeglądając zawartość omawianego tomu. Bywało, że przekonując czytelników o odrębności kulturowej rodzinnego „kraju”, sięgał w argumentacji nawet po „regionalne” stereotypy, jak chociażby przekonanie o wybitnej serdeczności i gościnności, która jakoby odróżnia mieszkańców terenów byłego Księstwa od ludności Polski centralnej (np. *Staropolska gościnność*). W takim operowaniu stereotypem można się oczywiście dopatrywać intelektualnej łatwizny, można jednak dostrzec w nim pewien polityczny zamysł Mackiewicza-dziennikarza. W końcu schlebując ludności własnego „kraju” — w niej właśnie chciał obudzić poczucie „inności”, które mogłoby stać się fundamentem powodzenia krajowej ideologii.

Są też w tej książce liczne teksty poświęcone zagrożeniu ze strony sowieckiej, metodom walki z komunizmem — zwracam uwagę zwłaszcza na artykuł *Bierzny przykład* z „*Cichego Donu*”, w którym czytelnik dojrzy fundamenty powojennej publicystyki politycznej autora *Zwycięstwa prowokacji*, o czym niech zaświadczy choćby następujące przytoczenie:

Powinniśmy prowadzić walkę z komunizmem na śmierć i życie. To nie jest walka o piłkę w tenisie, ani o bilę w bilardzie lub wieżę w szachach. To jest walka o najszczytniejsze ideały ludzkości. A w walce na śmierć i życie nie udziela się „forów”.

A takim właśnie udzielaniem „forów” byłyby z naszej strony wojna z komunizmem, bez stosowania równie groźnej broni, jaką jest metoda wojującego „internacjonau” —

bezwzględność i bezkompromisowość. [...] My musimy komunizm wyniszczyć, wypełnić, wystrzelać! Żadnych względów, żadnego kompromisu! [...] nie możemy stwarzać takich warunków walki, które z góry przesądzą na naszą niekorzyść. Musimy zastosować ten sam żelazno-konsekwentny system. A tym bardziej posiadamy ku temu prawo, ponieważ jesteśmy nie stroną zaczepną, a obronną!

Są także w tym tomie ważne i interesujące polemiki z modnym wówczas „regionalizmem” (np. *Pomyślmy o własnej Naprawie*), jest też sporo przykładów typowego dziennikarstwa interwencyjnego, obrony prostoty miejscowej przed urzędniczą samowolą i samowładztwem starostów.

Każdy z prezentowanych w tym wyborze tekstów daje jakieś pojęcie o formowaniu się niezależnej umysłowości Józefa Mackiewicza i motywacji jego późniejszych poczynań. Dotyczy to także tych prasowych wystąpień, które w pierwszym odruchu dzisiejszy czytelnik uzna za błahe, może nawet niewarte przypominania. — Jak choćby artykułu *Refleksje po dniu akademika* (1922), przynoszącego dziennikarskie narzekania na kwestę „Bratniej Pomocy”. Zrazu czytelnik odnosi wrażenie, że dziennikarz zwyczajnie „czepia się” studentów i ich organizacji samopomocowej, bo nie znalazł lepszego tematu dla wypracowania wierszówki. Dalej jednak pojawia się zaskakująca teza, że lepiej byłoby nie kwestować na pomoc socjalną dla studentów, lecz wyłącznie — na rozwój nauki uniwersyteckiej. Artykuł kończy się zaś refleksją — aforyzmem, który sam w sobie stanowi dostateczne uzasadnienie sensowności przypominania dzisiaj tej zapomnianej publikacji sprzed lat. — „Lepiej jest dla kraju, gdy posiada dobrze postawiony uniwersytet o małej liczbie słuchaczy, niż dużą ilość studentów na biednym uniwersytecie”.

Wacław Lewandowski (Bydgoszcz)

„Acta Polonica Monashiensis”

„Acta Polonica Monashiensis”. Monash University, 2001 wol. 1 nr 1, 147 s.

We wrześniu 2001 r., nakładem oficyny uniwersyteckiej Leros Press ukazał się pierwszy numer czasopisma „Acta Polonica Monashiensis”. Wydział Studiów Słowiańskich Monash Univeristy w Melbourne rozpoczął tym samym wydawanie rocznika naukowego, najogólniej rzecz ujmując, poświęconego sprawom polskim. Fakt ten ma na pewno dla niego znaczenie prestiżowe jako dla ośrodka badawczego i podmiotu wymiany myśli humanistycznej, świadczy też o zaawansowaniu prowadzonych tam studiów polskich, których dokumentacja wyradza się w odrębny — nie generalnie sławistyczny — periodyk.

We wstępnej notce, redaktor naczelna, dr Lila Zarnowski określiła charakter czasopisma — krótkie rozprawy, szkice czy recenzje mają dotyczyć wszelkich aspektów polskiej kultury, zwłaszcza literatury, historii, nauk politycznych i społecznych, sztuki, filmu i teatru. Na numer inauguracyjny składa się dziewięć artykułów-poloników, podejmujących kwestie z rozmaitych obszarów. Choć dominuje problematyka literacka, można się też zapoznać z krytyczną rewizją historiograficznych przedstawień przebiegu bitwy pod Słobodyszczami, z poglądami Francuzów na polską mentalność, z interpretacją twórczości plastycznej Wacława Obrzydowskiego czy z utrzymanym w tonie regularnego akademickiego wykładu szkicem z historii języka.

Czasopismo jest dwujęzyczne, zawiera część artykułów po angielsku, a część po polsku, w zależności od woli autora. Ma to oczywiście swoje uzasadnienie, ale nie wydaje mi się najszcześniejszym pomysłem, zwłaszcza że w omawianym numerze jedynie naukowcy z Monash piszą w języku, w którym najprawdopodobniej myślą studenci, dla których „Acta Polonica...” mają się stać pomocą w zgłębianiu polskich spraw. Autorzy z krajowych i innych zagranicznych (Uppsala, Marne-la-Vallee) ośrodków uniwersyteckich zaprezentowali tu teksty po polsku, którym niestety nie towarzyszą nawet angielskie streszczenia, co przecież powinno być w tej sytuacji standardem.

Numer otwiera przysłany ze Szwecji szkic Michała Legierskiego, pt. „Wola i ból istnienia”,

który okazuje się być swoistą esencją (streszczeniem?) znakomitej zresztą pracy doktorskiej tego badacza¹³. Autor określa jako cel swojego szkicu wskazanie głównych idei w historii kultury, które doprowadziły do zaistnienia modernizmu. Najwięcej uwagi poświęca w związku z tym intelektualnym sylwetkom Schopenhauera, Nietzschego, Darwina i Dostojewskiego, nie wklajając się zarazem w roztrząsanie dyskusyjności zawartości znaczeniowej samego terminu „modernizm”. Sposób prowadzenia analizy samorzutnie ujawnia jakie zjawiska uznawane są tu za konstytutywne dla takiego a nie innego ukształtowania się formacji ideowej, której skutki obecne są w kulturze do dziś. Pytanie o rację umieszczenia artykułu podejmującego problematykę o zakroju co najmniej ogólnoeuropejskim w piśmie o jasno przecież określonej specyfice, wyjaśnia autor odpowiadając z rozbijającą dwuznacznością: „Wszystkie kierunki myślowe zbiegają w tym eseju do Witolda Gombrowicza”. Tym samym szkic o modernizmie staje się szkicem o Gombrowiczu, jako o twórcy najpełniej wcielającym tę właśnie ideę (choć sformułowanie „wcielanie idei” brzmi w sąsiedztwie tego nazwiska trochę dziwnie). Na istotność pozycji tego pisarza w nurcie modernistycznym wskazywano już przed Legierskim (np. M. Kundera czy M. Delaperriere). Autor *Modernizmu Witolda Gombrowicza* wyklada to jednak w sposób systematyczny, a w omawianym eseju również esencjonalnie syntetyczny, za centralne przyjmując koncepcje proveniencji nietzscheańsko-schopenhauerowskiej — czyli kategorię woli oraz, pozostających z nią w związku, walki o dominację i cierpienia. Dużą zaletą szkicu jest przedstawienie oryginalności opracowania myśli modernistycznej przez autora *Pornografii*, a *implicite* także potwierdzenie bogactwa i ważkości całego nurtu. Należy też może wspomnieć, że wkradła się do tekstu pewna, z perspektywy celu pracy drugorzędna, ale jednak dezinformacja, na podstawie której początkujący australijski student może wywnioskować, że pierwszy rozbiór Polski nastąpił w 1782 r. (Chyba, że jako początkujący w ogóle nie będzie czytał tak skomplikowanych tekstów w języku polskim).

W kręgu problematyki literackiej, mieści się krótki artykuł Marka Pytasza „Literatura mniejsza/literatura większa. Pomysły na marginesach polskich teorii literatury emigracyjnej”, który na wstępie deklaruje pogląd o niemożliwości teoretycznego opisanie istoty literatury emigracyjnej, by w rozwinięciu przedstawić własną, szkicową co prawda, teorię, po skrytykowaniu innych koncepcji, nie tylko zresztą zapowiadanych w podtytule — polskich. Autor nadaje swoim przemyśleniom status zaproszenia do dyskusji, a podjęcie tego zaproszenia przez środowisko naukowe może się okazać — zdaniem Marka Pytasza — dla nauki o literaturze bardzo korzystne i uwolnić twórczość emigrantów od snującej się za nią zmory upośledzających ją stereotypów. Przedstawione w tekście obserwacje z zakresu psychologii twórczości, psychologii społecznej i socjologii mają na pewno w perspektywie przyszłej, adekwatnej do rzeczywistości konstrukcji teoretycznej niebagatelne znaczenie. Upatrywanie źródeł opisywanego w artykule pęknięcia literackiej twórczości wygańców jedynie w decyzjach egzystencjalnych pisarzy jest jednak moim zdaniem nieuprawnionym uproszczeniem, zwłaszcza że na całość rozważań badacza rzutuje dość powszechnie zresztą pokutujące w refleksji nad literaturą przekonanie o nadrzędnym miejscu tzw. funkcji estetycznej (której fantomatyczności nie będę tu udowadniać z powodu braku miejsca). Zaś stwierdzenie, że koncepcja literatury mniejszej (rozumianej nieco inaczej niż zaproponowana przez J. Kryszaka kategoria emigracyjnego pisarstwa *minorum gentium*)¹⁴ „uwalnia nas od konieczności oceny estetycznej”, pozostawię bez komentarza w nadziei, że jego złożona nieprawdziwość ujawni się w postulowanej przez badacza dyskusji. Co zaś do pewnej metafory, którą autor pragnie aby mu wybaczyć, to lepiej te parę linijek ominąć wzrokiem, żeby powstały niesmak nie zakłócał odbioru wartościowej skądinąd całości.

Kontrowersje budzić też może szkic związanego z australijskim uniwersytetem Lecha Kellera — „Stanisław Lem as a political writer”, i to nie tylko w zasadniczej, obwieszczonej w tytule kwestii, ale też przy okazji rzucanych tonem oczywistości, a w gruncie rzeczy mocno dyskusyjnych twierdzeń na przykład o historycznych konfabulacjach w twórczości Sienkiewicza czy o przyczynach „stosunkowo szybkiej” klęski kampanii wrześniowej. Hipotezy interpretacyjne przedstawiane przez niewątpliwego znawcę twórczości Lema zbiegają do rewizji całościowego sensu dzieła tego jednego z czołowych przedstawicieli światowego SF, który w myśl nowej, niemalże objawionej w omawianym artykule prawdy okazuje się być przede wszystkim pisarzem politycznym. Keller,

¹³ M. Legierski, *Modernizm Witolda Gombrowicza: wybrane zagadnienia*. Warszawa 1999.

¹⁴ J. Kryszak, *Peryferia literatury: poeci minorum gentium*, [w:] *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej*, t. 1, pod red. J. Kryszaka i R. Moczkodana. Toruń 2001 s. 43–48.

wyrzucając dotychczasowej profesjonalnej krytyce rzekome niedostrzeżenie bogactwa dzieła Le-ma, sam je w sumie, zapamiętałe i zbyt jednostronnie rewidując, zuboża.

O przemianach w pisarstwie innego pierwszoplanowego polskiego prozaika pisze redaktor Lila Zarnowski. Szkic pt. „Tadeusz Konwicki — promise of confession” w ciekawy sposób sygnalizuje napięcia pomiędzy żywiołem tradycyjnego „opowiadania historii” a literackim wyrażaniem prawdy wewnętrznej pisarza jako podmiotu. Sferę tego napięcia między biegunami motywującymi specyficzną formę twórczości Konwickiego wypełnia znacząca i współkonstituująca pustka. Na tle pozostałych poświęconych literaturze artykułów fakt, że w skromnym objętościowo kształcie, udało się autorce uniknąć fałszujących uproszczeń wart jest odnotowania.

Podobne wrażenie można odnieść po zapoznaniu się z tekstem Romualda Cudaka z Uniwersytetu Śląskiego — „Współczesna polska kołęda poetycka. Prolegomena”. Niedosyt pozostawia jedynie część podsumowująca, której właściwie prawie nie ma, podczas gdy dobór i sposób opracowania przykładów, wręcz wołają o dopełnienie w postaci głębokiej całościowej interpretacji.

Godne uwagi są też artykuły poświęcone kwestiom innym niż literackie. Szkic socjologiczny Joanny Nowicki z Uniwersytetu Marne-la-Vallee — „O postrzeganiu przez Francuzów mentalności wschodnioeuropejskiej”, daje odpowiedź na istotne dla przedstawicieli próżnego gatunku ludzkiego, w tym wypadku wschodnich Europejczyków, pytanie: „Jak nas widzą?” i jest to odpowiedź niemalże z pierwszej ręki, bo autorka przebywa w środowisku francuskiej inteligencji na co dzień. Oczywiście przy okazji referowania ewolucji i stanu świadomości tej grupy w odnośnej kwestii nie chodzi tylko, a nawet nie przede wszystkim o zaspokojenie próżnej ciekawości, ale o istotność dialogu ogólnoeuropejskiego w dobie postępującej integracji. Największy nacisk w swoim systematycznym i bogatym wywodzie autorka kładzie na aspekt polski. Zainteresowanych, zwłaszcza tym, w czym odnośnie nas Francuzi błędzą (niekoniecznie tylko z własnej winy) i do czego ewentualnie należałoby ich przekonać odsyłam do wspomnianego artykułu.

Miłośnicy sensacji historycznych z przyjemnością zapoznają się z tekstem Łukasza Ossolińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, rewidującym z nacechowaniem emocjonalnym przebieg polsko-kozackiej bitwy pod Słobodyszczami. Sposób rekonstrukcji zdarzeń może się kojarzyć z sytuacją komentowania ekscytujących wydarzeń sportowych, co nie obniża wartości poznawczej szkicu jako hipotezy (spiskowej). Autor wyraźnie nie podziela opisanych we wspomnianym wyżej artykule dylematów intelektualistów francuskich odnośnie przynależności Rosji do Europy. Jego stosunek do tego problemu jest jednoznacznie negatywny, z jakimś swoście młodzieńczym zapałem.

Równie samodzielną postawę, choć wobec zupełnie innej kwestii prezentuje Zygmunt Jasłowski z Uniwersytetu Monash w szkicu „Obrzydowski — kitsch against modernity”, gdy wyprowadzając argumenty z twórczości antyakademickiego krakowskiego prekursora neoekspresjonizmu, przewartościowuje ideę kiczu i dialektyzuje ją. Kicz okazuje się być nie tylko zagrożeniem dla sztuki, ale też z drugiej strony potencjalnym czynnikiem wartościotwórczym, choć można dyskutować, czy mamy tu do czynienia z tożsamością istoty zjawisk.

Atutem zamykającego numer artykułu Jolanty Tambor z Uniwersytetu Śląskiego, pt. „Zmiany znaczeniowe w języku odbiciem przemian społeczno-politycznych. Na przykładzie polskiej terminologii chrześcijańskiej”, są interesujące egzemplifikacje w gruncie rzeczy oczywistej, zawartej w tytule tezy. Powinien się on okazać przydatny w ramach prowadzonego na uniwersytecie kursu historii języka.

Reasumując, można stwierdzić, że poziom naukowy zawartych w pierwszym numerze tekstów dobrze rokuje dla przyszłości periodyku i australijskiej polonistyki.

Karolina Famulska (Toruń)